



Charlotte
LINK
Oszukana



Ktoś, kto zna mroczną prawdę, czuwa...

Charlotte **LINK** Oszukana

Z języka niemieckiego przełożyła
Anna Makowiecka-Siudut



Tytuł oryginału:

DIE BETROGENE

Copyright © 2015 by Blanvalet Verlag,

a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany.

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz, Anna Gauza

ISBN: 978-83-8110-139-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Piątek, 14 września 2001

Sobota, 22 lutego 2014

Poniedziałek, 28 kwietnia

Sobota, 3 maja

Niedziela, 4 maja

Sobota, 17 maja

Piątek, 23 maja

Środa, 4 czerwca

Czwartek, 5 czerwca

Piątek, 6 czerwca

Sobota, 7 czerwca

Poniedziałek, 9 czerwca

Wtorek, 10 czerwca

Środa, 11 czerwca

Czwartek, 12 czerwca

Piątek, 13 czerwca

Sobota, 14 czerwca

Wtorek, 17 czerwca

Poniedziałek, 23 czerwca

Piątek, 14 września 2001

Było jeszcze tak gorąco jak latem. W południe wrócił ze szkoły do domu i natychmiast wsiadł na rower. Ów wspaniały szybki rower w kolorze niebieski metalik, który dostał w lipcu na urodziny. Skończył wtedy pięć lat i z początkiem września poszedł po raz pierwszy do szkoły. Nauka sprawiała mu przyjemność. Nauczyciele byli mili, także koledzy w klasie. Wydawał się sobie bardzo dorosły. A najlepsze było to, że miał najlepszy rower ze wszystkich. Mimo że Gawin, jego klasowy kolega, z którym siedział w jednej ławce, stale się chwalił, że jego rower jest lepszy, co nie było prawdą. Widział ten rower – nawet w połowie nie był tak dobry jak jego.

– Najpóźniej o szóstej bądź z powrotem! – zawołała za nim matka. – I uważaj na siebie!

Tylko skinął głową w odpowiedzi. Matka stale się o niego martwiła. Obawą napawał ją ruch uliczny, źli ludzie, którzy uprowadzają dzieci, nawet ewentualne burze, które można było napotkać.

– To dlatego, że cię kochamy – odpowiadała, kiedy złościł się z tego powodu.

Zanim opuścił miasto, jechał bardzo ostrożnie. Nie był dzieckiem, wiedział, na co trzeba uważać. Ale teraz miał przed sobą zupełnie pustą trasę. Odkrył ją kilka tygodni temu i od tego czasu przyjeżdżał tu prawie codziennie. Była to wąska polna droga, po której bardzo rzadko jeździły samochody. Ciągnęła się między łąkami i polami i wydawała się nie mieć końca ani początku. W słoneczne dni, takie jak dzisiejszy, stawała się białym zakurzonym paskiem wśród płaskich pól, które sięgały aż po horyzont. Latem z pewnością rosło tu zboże i zasłaniało widok, ale teraz wszystko było już żółte, co tylko potęgowało wrażenie nieskończoności. I wolności.

A teraz był słynnym kierowcą wyścigowym i jeździł samochodem marki Ferrari. Jechał w czołówce wyścigu – ale pozostali zawodnicy byli tuż za nim. Dreszczyk emocji był więc tym większy. Musiał dać z siebie wszystko. Zwycięstwo było tuż-tuż, lecz należało walczyć ze wszystkich sił. Pozostali zawodnicy byli równie dobrzy. Jednak to on był najlepszy. Wiedział, że zaraz stanie na podium jako zwycięzca i opryska szampanem wiwatujący na jego widok tłum. Wszystkie kamery skierują się prosto na niego, a krzyczący komentator będzie bliski utraty głosu. Przycisnął więc pedały i niemal położył się na kierownicy roweru. Poczul gwałtowne uderzenie wiatru na twarzy i we włosach.

Życie wydawało mu się tak piękne, że był gotów krzyczeć z radości.

Był tu zupełnie sam, jeśli nie liczyć jego fikcyjnych współzawodników. Jak okiem sięgnąć – nikogo. Tylko on. I ta nieskończoność drogi.

Nie miał pojęcia, że nie był już sam.

Nie miał pojęcia, że pozostały mu zaledwie dwie minuty do końca. Do końca jego kariery najślynniejszego kierowcy wszech czasów.

I życia – takiego, jakie znał.

Sobota, 22 lutego 2014

Była szansa, aby ujść z tego cało i uratować skórę.

Sypialnia Richarda Linville'a mieściła się pod samym dachem domu, prowadzące do niej drzwi można było zamknąć na klucz, a w środku znajdował się telefon. I kiedy tej zimnej i mglistej lutowej nocy Richard obudził się nagle przerażony, słysząc jakiś dziwny dźwięk, którego nie potrafił rozszyfrować, a który brzmiał tak podejrzanie jak odgłos rozbijanej szyby, powinien był wyskoczyć z łóżka, zamknąć drzwi i natychmiast wezwać policję. Ale Richard nie był człowiekiem, który od razu wołałby o pomoc tylko dlatego, że nocą usłyszał w swoim domu coś dziwnego, coś, co równie dobrze mogło się okazać złudzeniem. Zanim przeszedł na emeryturę, pracował jako nadkomisarz w North Yorkshire Police i niełatwo go było wystraszyć. I jeśli naprawdę działo się coś dziwnego, najpierw próbował wyjaśnić to sam.

Bezszelestnie i zadziwiająco zwinnie jak na swój wiek podniósł się z łóżka, wymacał w ciemnościach górną szufladę nocnej szafki, wysunął ją i zza stosu starannie poukładanych chusteczek wyciągnął pistolet. Dawniej, w czasie służby, nie nosił broni, ale jako były funkcjonariusz policji kryminalnej wiedział, że także będąc emerytem, nie może wykluczyć pewnego zagrożenia swej osoby. Zbyt wielu ludzi ścigał, zbyt wielu postawił przed sądem, było więc oczywiste, że miał wrogów. Niektórzy dzięki niemu już od wielu lat siedzieli za kratkami. Dlatego też postarał się o pistolet, ale fakt, że nie szedł spać, nie mając go pod ręką, był wyłącznie środkiem ostrożności.

Wyślizgnął się z pokoju, zatrzymał na półpiętrze i nasłuchiwał. Nic nie było słychać oprócz cichego bulgotania wody w rurach centralnego ogrzewania. Żadnego podejrzanego trzeszczenia, skrzypienia, niczego, co przypominałoby dźwięk tłuczonej szyby. Prawdopodobnie się pomylił, albo coś mu się przyśniło. Jak dobrze, że się nie ośmieszył i nie zadzwonił do któregoś z dawnych kolegów.

A jednak przed powrotem do łóżka postanowił się upewnić.

Powoli i w zupełnej ciszy schodził po schodach. W marcu tego roku miał skończyć siedemdziesiąt jeden lat i był dumny z tego, że na jego ciele prawie nie można było dostrzec żadnych oznak starości. Przypisywał to temu, że zawsze uprawiał dużo sportu, dziś jeszcze, niezależnie od pogody, każdego dnia przebiegał długie odcinki, a swoje niezbyt zdrowe upodobania kulinarne kompensował przynajmniej poprzez całkowitą rezygnację z papierosów i znaczne ograniczenie napojów alkoholowych. Większość ludzi, których spotykał, uważała go za młodszego, niż był, a u wielu kobiet miałby ciągle duże szanse. Choć co prawda do tego ostatniego nie przywiązywał żadnej wagi. Jego żona, Brenda, kobieta, z którą spędził czterdzieści jeden lat życia, zmarła trzy lata temu na raka po długiej walce

z chorobą.

Dotarł już na dół. Na prawo od niego znajdowały się drzwi wejściowe do domu, które jak każdego wieczoru starannie zamknął. Przed sobą miał salon z narożnym oknem wychodzącym na ulicę. Richard zerknął przez nie na dół. Wszędzie pusto, cicho i ciemno. Zastony nie były zaciągnięte. Nocne ciemności nigdy nie są zupełnie czarne i zwykle nawet wtedy na końcu ulicy można było dostrzec kościół w Scalby, który wzniesiono swego czasu na porośniętym drzewami wzgórzu. Dziś jednak mgła była zbyt gęsta – otulała szczelnie jak wata ulice i domy, tak że nie można było dostrzec nawet budynku po przeciwnej stronie. Richard miał przez chwilę upiorne wrażenie, że nie tylko jest zupełnie sam na tym świecie, ale przede wszystkim, że jest przez wszystkich opuszczony. Ale przywołał się szybko do porządku: przecież to bzdura. Wszystko było takie samo jak zawsze. Przyczyną tego stanu była tylko mgła.

Kiedy się odwracał, znów dobiegł go jakiś szmer. Zabrzmiało to jak ciche skrzypienie i w ogóle nie przypominało zwykłych odgłosów, jakie można było usłyszeć nocą w domu. Dźwięk dotarł do niego z kuchni i Richard miał wrażenie, że ktoś stanął na odłamkach szkła. I to pasowało do tego, co przedarło się do jego snu.

Odbezpieczył broń i ruszył przez korytarz w stronę kuchennych drzwi. Pojmował, że robił dokładnie to, co tak usilnie odradzała ludziom policja i przed czym on także wszystkich przestrzegał: *Jeśli jesteście pewni, że w waszym domu jest włamywacz, nie próbujcie działać na własną rękę. Ukryjcie się w bezpiecznym miejscu, opuszczając dom albo zamykając się w jednym z pomieszczeń, i wezwijcie telefonicznie pomoc. Zachowujcie się przy tym tak cicho, jak to tylko jest możliwe. Sprawcy nie mogą mieć świadomości, że zostali zauważeni.*

Ale jego to oczywiście nie dotyczyło. On był policjantem, nawet jeśli już nie pracował zawodowo. A poza tym miał broń i znakomicie umiał się nią posługiwać. To odróżniało go od większości mieszkańców miasta.

Dotarł do kuchennych drzwi. Były zamknięte, jak zawsze w czasie zimowych nocy. Drzwi, które prowadziły z kuchni do ogrodu, były już stare i na tyle nieszczelne, że do środka dostawało się dużo zimna, które przy zamkniętych drzwiach kuchennych przynajmniej nie przenikało do dalszych części domu. Richard wiedział, że dawno należało je wymienić. Już Brenda narzekała na nie dostatecznie często – z powodu zimna, ale także właśnie bezpieczeństwa. W odróżnieniu od bardzo solidnych drzwi wejściowych te prowadzące do ogrodu można było całkiem łatwo wyłamać.

Nasłuchiwał, trzymając pistolet gotowy do strzału. W ciszy słyszał jedynie swój własny oddech.

Ale jednak wiedział, że coś czy też *ktoś* tam był. Nie odniósłby tylu sukcesów w policji, gdyby w ciągu wielu lat służby nie rozwinęło się w nim owo

osobliwe wycucie grożącego niebezpieczeństwa.

Ktoś był w kuchni.

Najpóźniej teraz powinien był wezwać pomoc. Bo przecież nie miał pojęcia, ilu mogło być włamywaczy. Możliwe, że przyjdzie mu się zmierzyć z jednym człowiekiem. Ale być może będzie miał do czynienia z dwojgiem lub trojgiem ludzi i wówczas nie mógłby wykorzystać swej przewagi polegającej na posiadaniu broni. I później nie za bardzo by wiedział, dlaczego właściwie zlekceważył wszystkie zasady i przepisy i podjął tak wielkie ryzyko, którego rozmiarów nie był nawet w stanie skalkulować. Starczy upór? Przeniesienie samego siebie? A może chciał sobie coś udowodnić?

W rzeczywistości nie miał już zbyt wiele czasu, aby odpowiedzieć na to pytanie.

Wszystko stało się dokładnie w tej samej chwili: chciał właśnie ostrożnie nacisnąć klamkę u drzwi, ale jednocześnie gdzieś w ciemnościach jadalni, tuż obok siebie, dostrzegł jakiś ruch i poczuł tak silne uderzenie w ramię, że wydał z siebie gwałtowny okrzyk bólu. Z rozpaczą próbował utrzymać pistolet, lecz uderzenie trafiło w nerw w taki sposób, że przez chwilę wszystkie jego mięśnie były jak sparaliżowane. Broń wypadła na podłogę i z hałasem potoczyła się w stronę jadalni, a Richard wykonał jakiś nieskoordynowany ruch w jej stronę, choć wiedział już, jak bardzo bezsensowny był jego zamiar: wróg znajdował się dokładnie tam, w jadalni właśnie. Nagle pojął, na czym polegał największy błąd, jaki popełnił w czasie ostatnich kilku minut: założył, że włamywacz, albo włamywacze, wszedł do domu przez kuchenne drzwi prowadzące do ogrodu – bo stanowiły najslabszy punkt. Ale przecież także w jadalni znajdowały się drzwi prowadzące do ogrodu i najwyraźniej w nich właśnie wybito szybę. Richard w czasie długich lat pracy wyszkolił wielu młodych policjantów i credo, które im przekazywał, zawsze brzmiało: niczego nie przyjmujcie za pewnik. Zawsze należy sprawdzić wszystko, każdą możliwą opcję. Od tego może zależeć życie wasze albo innych ludzi.

Nie mógł pojąć, dlaczego dzisiejszej nocy naruszył niemal każdą ze swoich zasad.

Silny cios w żołądek spowodował, że osunął się na kolana i zaraz potem poczuł uderzenie pięścią w skroń. Na chwilę zrobiło mu się czarno przed oczami, ale to wystarczyło, aby przewrócić go na podłogę. Nie stracił przytomności, choć miał wrażenie, że świat nagle zakręcił się wokół niego i zaalała go nagła fala mdłości. Próbował stanąć, lecz silny kopniak w żebra spowodował, że znów upadł. Zaraz potem poczuł, że ktoś chwycił go brutalnie i jednym szarpnięciem podniósł. Ten przeciwnik był niezwykle silny. I bardzo zdecydowany.

Ktoś gwałtownie otworzył kuchenne drzwi, zapalił światło i wepchnął Richarda do środka. Włamywacz, trzymając go mocno jedną ręką, wyszarpnął

drugą krzesło spod stołu i postawił je na środku pomieszczenia. Richard, oślepiiony, zmrużył oczy, a za chwilę siedział już na krześle, ciągle walcząc o każdy haust powietrza, bo ostatni kopniak w żebra na dłuższą chwilę pozbawił go możliwości oddychania. Czuł, że jego lewe oko zaczyna gwałtownie puchnąć i że kleista substancja, przypuszczalnie krew, ciekła mu z nosa. Niemal nie był w stanie myśleć tak szybko, żeby nadażyć za tym, co się z nim działo, nie mówiąc oczywiście o tym, że nie mógł też zrobić niczego, aby się bronić.

Ktoś szarpnął go za ramiona, przeciągnął je za oparcie krzesła i związał nadgarstki. Tak brutalnie i ciasno, że zdrętwiały niemal natychmiast. I zaraz potem w nagie, sterczące spod piżamy kostki Richarda wpił się cienki drut. Łącznik do kabli, jak stwierdził za chwilę, a to oznaczało, że nie miał najmniejszych szans, aby uwolnić się z tych więzów bez czyjejś pomocy. Kamienna podłoga pod jego stopami była w dodatku lodowato zimna.

„Powiniennem był włożyć kaptcie” – pomyślał.

W jego położeniu była to doprawdy osobliwa myśl. Musiał się przecież zmierzyć z o wiele poważniejszymi problemami.

Podniósł głowę, popatrzył i stwierdził, że ma do czynienia tylko z jednym człowiekiem, choć co prawda liczba przeciwników w jego obecnym położeniu nie grała już żadnej roli. Był to niezwykle wysoki mężczyzna. Budowa jego ciała zdradzała, że musiał być dość młody – mógł mieć około trzydziestu lat. Wyglądał, jak gdyby spędzał dużo czasu na treningu w siłowni, a może nawet uprawiał boks. Sprawiał wrażenie wręcz naładowanego agresją.

Jeszcze jedno uderzyło Richarda, choć nie bardzo był pewien, czy ma to interpretować na swoją korzyść czy też nie: młody mężczyzna miał na rękach rękawiczki, a na głowie robioną na drutach czapkę nasuniętą nisko na czoło. Był więc na tyle przebiegły, że wiedział, jak uniknąć pozostawienia śladów DNA i odcisków palców. I nie dawał się poznać swojej ofierze. Świadczyło to o pewnym profesjonalizmie, a ogólnie zawsze było tak, że szanse na szczęśliwe zakończenie były większe, jeśli miało się do czynienia z tego rodzaju sprawcą. Taki człowiek nie tracił zbyt szybko panowania nad sobą i nie wpadał w panikę, która zwykle kończyła się rzezią. Także to, że ukrywał swoją tożsamość, przemawiało za tym, że Richard mógł przeżyć tę noc. Ale jakiś instynkt podpowiadał mu, że tego akurat napastnik nie planował. Młody mężczyzna był chyba na tyle ostrożny, aby zabezpieczyć się przed każdą ewentualnością.

Richard pograżył się w koszmarze niepewności.

Nie sądził też, że agresor włamał się do domu w celach rabunkowych. Zgodnie z jego doświadczeniem złodzieje na ogół unikali konfrontacji z mieszkańcami. Ten mężczyzna raczej wymknąłby się jak najciszej do ogrodu przez drzwi jadalni, kiedy tylko usłyszałby kroki na schodach. Miał na to dość czasu. Nie czyhałby na niego, nie próbowałby go pobić, co tylko zwiększało

ryzyko jego pochwycenia.

To włamanie miało więc coś wspólnego z osobą Richarda. Gdyby się nie obudził, intruz poszedłby na górę i napadł go w łóżku. Los dał więc Richardowi szansę, którą on tak lekkomyślnie zaprzepaścił.

Ale, do diabła, co ten typ miał z nim wspólnego?

– Popatrz na mnie, ty gnoju – odezwał się młody mężczyzna, który teraz stał wyprostowany przed Richardem. Dżinsy, koszulka z krótkim rękawem mimo zimowej temperatury. Niemal widziało się grę jego mięśni na ramionach. Ten typ był silny jak niedźwiedź.

Richard spojrzał na niego uważniej. Jego lewe oko puchło coraz szybciej, ale prawym widział dobrze.

– Znasz mnie? – spytał napastnik.

Właśnie nad tym Richard zastanawiał się gorączkowo od kilku minut, przy czym to, że nie widział twarzy mężczyzny, nie ułatwiało sprawy.

– Skąd mam wiedzieć? – spytał. – Przecież ukrywa pan twarz.

W odpowiedzi pięść napastnika uderzyła go w szczękę. Zobaczył wszystkie gwiazdy i poczuł, że jest bliski utraty przytomności. Ból dotarł do niego dopiero po chwili – i był on tak silny, że Richard nie potrafił zdusić głośnego stęknienia. Poczuł też, że uderzenie złamało mu jakąś kość, prawdopodobnie szczękę. Spróbował przełknąć, co udało mu się za którymś razem. Połknął gęstą krew.

– Czego... pan... chce? – wyrzucił z siebie z trudem.

– Naprawdę mnie nie pamiętasz? – spytał mężczyzna. – Moja twarz nie gra roli, rozumiesz? Wystarczy, jeśli przypomnisz sobie kilka obrzydliwych podłości z twojego pełnego perwersji życia. Wtedy ci oświeci, kogo masz przed sobą.

Czy to ktoś, kogo w czasie swoich lat pracy wsadził do więzienia? Ale przecież takich ludzi było wielu.

Richard nie ważył się odpowiadać, lecz patrzył z rozpaczą w twarz przeciwnika.

– Naprawdę myślałeś, że tak łatwo uda ci się przed tym uciec?

Richard z trudem sformułował odpowiedź.

– Ja... nie wiem... kim... pan jest.

Wewnętrznie przygotował się na kolejny cios, który jednak nie nastąpił. Obecny mężczyzna kołysał się na stopach, stojąc przed nim.

– Nie masz pojęcia, ty mały dupku. Naprawdę nie masz pojęcia, prawda?

– Nie – potwierdził Richard i tym razem ponownie trafiła go pięść, teraz prosto w żołądek. Tak gwałtownie, że na chwilę zabrakło mu tchu. Walczył o haust powietrza, po czym pochylił się do przodu tak daleko, jak było to możliwe, i wypluł krew na podłogę.

On mnie zamorduje. To jedyny powód, dla którego tu jest.

Bo napastnik nieprzypadkowo włamał się właśnie do jego domu, o tym

Richard był już przekonany. To nie było tak, że ten człowiek obejrzał sobie jakiś dom, jeden z wielu, i postanowił trochę podręczyć, a potem zabić jego mieszkańców. Z tego rodzaju motywacją Richard zetknął się nieraz w czasie wielu lat swojej pracy i czasami nie mógł pojąć, dlaczego w efekcie swobodnego wyboru i zwykłego przypadku ludzie padali ofiarą najokrutniejszych zbrodni. Ale tu nie chodziło o to. Czuł nienawiść swojego przeciwnika skierowaną wyłącznie przeciwko niemu. I choć nie znał młodego mężczyzny – to najwyraźniej ten wybrał go z pełną świadomością.

– Proszę... – wystękał z trudem – niechże mi pan powie...

Kopniak wymierzony prosto w jego piszczel był tak bolesny, że Richard wprost zawył z bólu. Ten typ nosił buty z metalowymi kolcami. Policjant poczuł krew wypływającą z nogawki piżamy. Wiedział, że jego jedyną szansą było ustalenie, co łączyło go z tym człowiekiem. Gdyby mógł z nim pomówić. Rozmowa z ludźmi pomagała prawie zawsze. Ale musiał oczywiście wiedzieć, o czym miał z nim rozmawiać.

Zebrał całą odwagę. Bolało go już wszystko, żebra, żołądek, noga, twarz. Bał się wprost potwornie, że znów będzie bity, jeśli tylko odważy się otworzyć usta, ale jednocześnie wiedział, że przegra, jeśli tego nie spróbuje.

– Ja... naprawdę nie wiem, co... mi pan zarzuca – powiedział. Formułowanie i wypowiedanie słów przychodziło mu z wielkim trudem; jego wargi też zdążyły już spuchnąć i stale czuł, że połyka krew. – Proszę... ja chciałbym wiedzieć. Moglibyśmy... o tym pomówić...

W jego stronę znów wystrzeliła pięść – odruchowo uchylił głowę. Uderzenie musnęło go tylko, ale jego przeciwnik natychmiast chwycił go za włosy i przytrzymał. Szarpnął jego głową do tyłu tak mocno, że Richard miał wrażenie, iż mężczyzna skręcił mu kark. A za chwilę druga pięść trafiła w jego i tak złamany nos, opuchnięte oko i usta. Napastnik uderzał w jego twarz raz za razem.

„Umieram – pomyślał. – Umieram, umieram”.

Mężczyzna przestał go bić, kiedy Richard był bliski utraty przytomności. Czuł, że brakowało do tego zaledwie ułamka sekundy, i żałował, że tak się nie stało. Utrata przytomności była w tej chwili jego jedynym pragnieniem. Oprócz pragnienia, aby umrzeć szybko.

Dygotał, wił się i trząsał z wszechogarniającego bólu. Nieomal składał się wyłącznie z cierpienia i prawie nie był w stanie oddychać. Przemknęło mu przez głowę pytanie, dlaczego w ogóle jeszcze żył.

Jakimś wewnętrznym zmysłem wzroku widział siebie samego: stary człowiek we flanelowej piżamie w kratkę siedzący na kuchennym krześle, ze skrzepowanymi rękami i nogami, z twarzą zbitą wręcz na miazgę, zakrwawiony i stękający. Niecały kwadrans wystarczył, aby Richard zamienił się w skazany na śmierć wrak człowieka.

Przez chwilę pomyślał o Kate. Wiedział, co dla niej będzie znaczyła jego śmierć. Był jedynym bliskim jej człowiekiem, i to, że ją teraz opuści, nappełniło go nagle przeogromnym żalem. Była jego jedynym dzieckiem... Samotna nieszczęśliwa kobieta, która po prostu nie potrafiła znaleźć sobie przyjaciół, zdobyć serca mężczyzny, założyć rodziny. Albo chociaż mieć satysfakcji z wykonywanej pracy. Nigdy nie mówiła o tym, jak bardzo czuła się samotna i nieszczęśliwa. Kate wobec niego zawsze starała się sprawiać takie wrażenie, jak gdyby wszystko w jej życiu było w najlepszym porządku, a on respektował jej wyraźne życzenie podtrzymywania takiego pozoru. Nigdy nie mówił, że wie, jak jej jest źle i jak bardzo jest nieszczęśliwa. I teraz, w tych przypuszczalnie ostatnich chwilach życia, przyszło mu do głowy, że to był błąd z jego strony. Swój wspólnie spędzany czas właściwie trwonili, udając coś przed sobą nawzajem.

I wszystko wskazywało na to, że on, Richard, nie będzie już miał okazji, aby ten błąd naprawić.

Z trudem podniósł zwieszoną na piersi głowę. Ledwo widział przez szczeliny opuchniętych oczu, jak mężczyzna bez pośpiechu zaczął wyciągać kolejne szuflady i w nich grzebać. W końcu najwyraźniej znalazł to, czego szukał: plastikową torbę z supermarketu.

Richard zrozumiał. Otworzył usta, chcąc krzyknąć, ale z jego krtani wydobyło się tylko pełne bólu i rozpaczony charczenie. Miało to znaczyć: *nie, nie, proszę, nie!*

W następnej chwili torbę nałożono mu na głowę i umocowano wokół szyi – sznurkiem czy też taśmą klejącą, cokolwiek to mogło być.

Richard chciał się odezwać. Bo teraz już wiedział. Wiedział, kim był napastnik. Pojął też, o jaką historię z jego życia chodziło.

Jak mógł tak długo brodzić w ciemnościach?

Było już za późno. Nie mógł już mówić. Oddychał tylko. Gwałtownie, panicznie, nierozsądnie, coraz szybciej. Łapczywie wciągał do płuc ostatnie resztki tlenu.

Poniedziałek, 28 kwietnia

1

Jonas Crane nie był pewien, czy nie będzie to stratą czasu, ale obiecał Stelli, że poważnie potraktuje termin wizyty u doktora Benta, i postanowił dotrzymać słowa bez względu na to, że niezbyt ufał tego rodzaju lekarzom. W przeciwieństwie do swojej żony nie był zagorzałym zwolennikiem medycyny homeopatycznej, choć nie był także jej zdeklarowanym oponentem. Niektórym homeopatia pomagała, innym znowu nie. Stella jednak zawsze wracała z wizyt u doktora Benta zrelaksowana i szczęśliwa. Ale jeśli chodziło o dziecko, to tu Bent także nie mógł pomóc, podobnie jak inni. Czasami chyba w życiu tak miało być.

Jonas musiał dość długo czekać, co go denerwowało i ostatecznie wręcz rozzłościło. Termin wizyty miał wyznaczony na godzinę jedenastą, a jego kolej nadeszła dopiero za dwadzieścia dwunastą. Co prawda Stella uprzedzała go, że tak może być. „On poświęca sporo czasu swoim pacjentom. I dlatego trzeba czasami długo czekać. Ale za to każdy siedzi odpowiednio długo w jego gabinecie, a doktor Bent nikogo nie wygania tylko dlatego, że czeka następny pacjent”. I choć w mniemaniu Stelli było to coś niezwykłego i wspaniałego, to Jonas uważał taki sposób postępowania za co najmniej wątpliwy. Ale teraz pomyślał, że w ogóle miał szczęście, bo termin jego wizyty przypadł na godziny przedpołudniowe i chyba mógł się cieszyć, że musi czekać tylko czterdzieści minut. Skoro wszystko opóźniało się już teraz, to pecha mieli ci pacjenci, którzy musieli przyjść po południu.

Tak czy owak, także jemu doktor Bent wydał się bardzo sympatyczny. Zaangażowany i mądry. I bardzo skoncentrowany. Ktoś, kto naprawdę chciał pomóc i bardzo poważnie traktował swoich pacjentów.

Lekarz z uwagą przestudiował wydruk badania EKG, który pokazał mu Jonas.

– To przecież wygląda bardzo dobrze – stwierdził po chwili.

– Tak, i to jest właśnie problem – odparł Jonas, próbując nie myśleć o tym, że o pierwszej ma bardzo ważne spotkanie, na które w dodatku musi jechać przez pół Londynu. Wreszcie się doczekał, to była kolej na jego wizytę, postanowił więc skoncentrować się na swojej historii. – Wszystko wydaje się w całkowitym porządku. Byłem już u dość wielu lekarzy. Serce, krążenie, ciśnienie krwi... wszystko jest w porządku. Proszę – tu Jonas wyciągnął z kieszeni marynarki kolejny starannie złożony papier i podsunął go lekarzowi – to wynik szczegółowego badania krwi sprzed dwóch tygodni. Także bardzo dobry.

– Istotnie – zgodził się doktor Bent, przyglądając mu się uważnie. –

Wszystko wskazuje na to, że jest pan zupełnie zdrowy. A mimo to coś pana niepokoi, prawda?

– No tak – przyznał Jonas. To mógł być bardzo nieprzyjemny moment. Czterdziestodwuletni mężczyzna, najwyraźniej zdrowszy jak rydz, siedział u cieszącego się wielką popularnością lekarza, próbując go przekonać, że jest chory, choć dotychczas nikt nie znalazł żadnych tego objawów. Chroniczny hipochondryk? Początek kryzysu wieku średniego? Jonas czuł jednak, że doktor Bent traktuje go poważnie, i zaczynał rozumieć, dlaczego Stella tak bardzo go polecała: ten człowiek sprawiał wrażenie kogoś, komu można powiedzieć wszystko, nie ośmieszając się ani też nie wywołując u niego niechęci. – Jestem... trochę zaniepokojony. Od pewnego czasu... to znaczy, od początku tego roku mniej więcej mam takie dziwne objawy. Zawroty głowy. Nagle przestaję słyszeć. Jakieś dziwne swędzenie w lewym ramieniu, wrażenie drętwienia. Z początku myślałem, że to zbliżający się atak serca, ale to zostało wykluczone. Bo rzeczywiście nie stwierdzono niczego, co mogłoby być przyczyną takich objawów. Ale one jednak nie ustępują. Oczywiście uspokoiło mnie to, że nie kryje się za tym nic złego. Jednak mimo wszystko – jest to irytujące. Stella w każdym razie jest zdania, że powinienem ustalić przyczynę.

Doktor Bent się uśmiechnął.

– A co słyszać u Stelli? – zapytał.

– Wszystko w porządku, dziękuję.

– A u małego Sammy'ego?

– Też dobrze, nawet bardzo dobrze. Kończy za parę dni pięć lat i wyczekuje z niecierpliwością imprezy urodzinowej.

– Jest pan szczęśliwy, że podjął pan decyzję o adopcji dziecka?

– Tak, absolutnie. To było najlepsze, co mogliśmy zrobić. I zakończyło te ciągle, daremne próby... – Jonas urwał, bo przecież doktor Bent wiedział o wszystkim.

Lekarz skinął głową.

– Osiem prób sztucznego zapłodnienia, prawda?

– Tak. Trwało to całymi latami. Nie mieliśmy już sił... I fakt, że Stella w końcu zgodziła się na to, aby z tym skończyć, i zdecydowała się na adopcję, to właściwie uratowało nasz związek. I nasze konto bankowe. Finansowo też byśmy tego nie wytrzymali.

– A więc finansowo już się pozbieraliście? Minęło już przecież ładnych parę lat.

Jonas potrząsnął głową. Czuł, że rzeczywiście dobrze mu robiło, że mógł być całkowicie szczery i otwarty. Nie musiał udawać i starać się sprawić wrażenie, że wszystko jest w najlepszym porządku i że nad wszystkim panuje. Mógł za to otwarcie powiedzieć, jak było naprawdę.

– Nie. Nadal mamy dość wysokie długi. Naszego domu i tak jeszcze długo nie spłacimy, ale musiałem otworzyć dodatkową hipotekę, żeby móc zapłacić za Bournhall.

Była to nazwa kliniki, w której próbowali począć dziecko. Kliniki założonej przez tych lekarzy, dzięki którym urodziło się pierwsze „dziecko z probówki” – Louise Brown. Ale w przypadku Stelli i Jonasa i ich pragnienia posiadania dziecka ci sami lekarze nie odnieśli sukcesu.

– Ciągle jeszcze spłacam to z wielkim trudem. Dlatego nie mogę mieć żadnych problemów w pracy, bo od tego wszystko zależy.

– Uprawia pan wolny zawód jako autor scenariuszy filmowych?

– Tak.

– I jest pan w tym dobry?

– Tak, oczywiście, ale... – Jonas rozłożył ręce w geście bezradności.

Doktor Bent przyglądał mu się uważnie.

– Ale jeśli telefon nie dzwoni choć jeden dzień, to czuje pan niepokój, prawda? Także kiedy nie nadchodzą maile od producentów filmowych. Albo kiedy spada oglądalność. Przypuszczam jednak, że czuje się pan bliski katastrofy nawet wtedy, kiedy wszystko układa się pomyślnie. Im jest pan lepszy, tym większy jest pana lęk, że nie sprostą pan oczekiwaniom otoczenia. Czy tak?

Jonas patrzył z zaskoczeniem na lekarza i zastanawiał się, jak temu człowiekowi w ciągu zaledwie kilku minut rozmowy udało się zajrzeć za fasadę, której tak strzegł. I tak dokładnie opisać jego obawy i niepokoje.

– Tak – odpowiedział po dłuższej chwili. – Żyję w ciągłym oczekiwaniu jakiejś katastrofy.

Wszłuchał się w dźwięk tego słowa. Katastrofa. Czy nie zabrzmiało to zbyt dramatycznie? Nie. Właśnie to dokładnie oddawało jego odczucia. Cały czas obawiał się jakiejś katastrofy, jakiegoś nieszczęścia. Zapaści finansowej. Niepowodzenia zawodowego. Totalnej klęski na całej linii.

Katastrofa, zapaść, niepowodzenie, zawód... Czy to były właśnie te lęki i obawy, które stale prześladowały jego świadomość, a także zagnieździły się nawet gdzieś w podświadomości? W takim razie nie mógł się niczemu dziwić.

– Czy dobrze pan sypia? – spytał lekarz.

– Źle. I mało. Wieczorem właściwie zasypiam łatwo, ale nocami budzę się około drugiej, czuję gwałtownie łomotanie serca, mam jakieś napady paniki. No i to rozmyślanie. Przeważnie leżę potem, nie śpię i czekam, aż zadzwoni budzik.

Doktor Bent przez cały czas robił notatki. Teraz jednak odłożył długopis, oparł łokcie na biurku i popatrzył na Jonasa bardzo poważnie.

– Mr Crane, musi pan wyeliminować modus katastrofy. To jest bardzo istotne. Fizycznie jest pan jeszcze zdrowy, ale otrzymuje pan wyraźne i bardzo dobitne sygnały alarmowe. Zaburzenia snu, przyspieszone bicie serca, zawroty

głowy, drętwiejące ramię... To jest bardzo poważne, bez względu na to, co mówią wyniki tych badań. – Lekarz wskazał na wydruk EKG i badanie krwi. – To jeszcze nie jest stan typu „za pięć dwunasta”, ale za dziesięć dwunasta i powinien pan teraz zaciągnąć ręczny hamulec.

Wyliminować modus katastrofy.

– Jak to zrobić? – spytał Jonas.

– To jest możliwe – zapewnił go doktor Bent. – Choć nie jest to proste.

– Jak mogło do tego dojść? To znaczy, mam na myśli to, że jak się człowiek od czasu do czasu martwi, to jest przecież normalne. Ale ma pan rację, ja żyję, spodziewając się jakiegoś strasznego nieszczęścia, nawet jeśli nie ma ku temu żadnych podstaw. Dawniej – dawniej tak nie było. To jakoś... zakradło się do moich myśli. I nawet tego nie zauważyłem.

Doktor Bent skinął głową.

– Coś takiego nie zjawia się ni stąd, ni zowąd, z dnia na dzień. Obciążenia sumują się powoli, z początku każdy sobie z nimi radzi, każdy też przypuszcza, że nad wszystkim panuje. I jeśli organizm nagle wysyła alarmujący sygnał typu: dłużej nie dam rady – to z reguły jest już za późno. Pańskie ostatnie lata nie były łatwe, Mr Crane, wiem o tym od Stelli. Całymi latami pan i pana żona żyliście nadzieją, że będziecie mieli dziecko. A te wyczerpujące próby, aby wreszcie udało się sztuczne zapłodnienie. I związane z tym liczne rozczarowania... Wysokie koszty. A potem sam proces adopcji, który też nie jest łatwy. A przecież poza tym musiał pan wykonywać swój zawód, pracować, jakoś funkcjonować, tym bardziej że długi rosły. Przypuszczam, że z problemami finansowymi próbował się pan uporać sam, aby nie obciążać tym żony, ale właśnie dlatego było to tym trudniejsze dla pana.

Jonas skinął głową. Było dokładnie tak, jak mówił lekarz. „Czy możemy sobie na to pozwolić?” – pytała z lękiem Stella przed piątą, szóstą, siódmą i ósmą próbą, a on zawsze odpowiadał z uśmiechem: „To w ogóle nie jest problem. Mam dużo zleceń. Nie martw się!”. Stella była wykończona licznymi zastrzykami hormonalnymi, kolejnymi badaniami, pobieraniem jajeczka i umieszczaniem go w macicy, pełnym nadziei wyczekiwaniem – i równie licznymi rozczarowaniami. Pod względem medycznym dla niego, jako mężczyzny, wszystko było o wiele prostsze, dlatego też uważał za swój obowiązek nie niepokoić Stelli innymi problemami. To były jego zadania, jego obowiązki i one najwyraźniej go przerosły.

– Przepiszę panu krople, i proszę je zażywać regularnie każdego ranka przed śniadaniem – powiedział doktor Bent, wrywając kartkę ze swojego bloczka z receptami. – Ale poza tym...

– Tak?

– Jak pan sądzi, czy udałoby się panu na kilka tygodni całkowicie wyłączyć się z dotychczasowego życia?

– Wyłączyć się?

– Kiedy ostatni raz był pan na urlopie, Mr Crane? Mam na myśli prawdziwy urlop, bez komórki, bez laptopa i tak dalej. Bez ciągłej obecności w pracy, bez bycia zawsze dla kogoś dostępnym?

Jonas się zastanowił.

– Myślę, że na takim urlopie nie byłem chyba nigdy. Właśnie od czasu, kiedy jest się stale dostępnym. Kiedy jechaliśmy na wakacje, zawsze, że tak powiem, zabierałem ze sobą moje biuro. I dalej pracowałem.

– Właśnie to mam na myśli. Mam wielu pacjentów, Mr Crane, u których obserwuję dokładnie takie same objawy jak u pana. Pański przypadek nie jest niczym nadzwyczajnym. Cyfrowa epoka podarowała nam wiele ułatwień, ale doprowadziła także do tego, że praktycznie nie możemy już znaleźć miejsca, w którym mogliśmy zostawić za sobą wszystko i skupić się wyłącznie na nas samych. Bez przerwy sprawdzamy maile, aż do późnego wieczoru, i przystępujemy do tego już z samego rana. Nie jesteśmy w stanie gdzieś zniknąć, za to ciągle jesteśmy obecni.

Jonas przeczuwał już, co będzie dalej.

– Radzi mi pan, abym zrobił sobie przerwę od wszystkiego? Abym gdzieś wyjechał, był niedostępny dla wszystkich?

– Wszyscy moi pacjenci, którzy tego spróbowali, byli zachwyceni. Czuli się jak nowo narodzeni. Odnaleźli samych siebie i potrafili odróżnić i oddzielić to, co ważne, od tego, co nieważne. Także ważne i nieważne problemy w swoim życiu. Odnaleźli spokój.

– I tak będzie już potem przez całe życie?

– Coś takiego powinno się od czasu do czasu powtarzać. Ale potem to rzeczywiście przychodzi jakby samo z siebie. Najważniejszy jest pierwszy krok.

Jonas w ogóle nie mógł sobie tego wyobrazić.

– Zwariuję, jeśli będę siedział gdzieś na pustkowiu całkowicie niedostępny dla całego świata!

– Może przez pierwszych kilka dni będzie się pan źle czuł. Ale potem pojawi się spokój. Zobaczysz pan.

– Czyli najlepiej byłoby wynająć gdzieś dom. Gdzieś pośrodku jakiegoś „nigdzie”. Bez telefonu i wszystkich tego rodzaju możliwości. To ma pan na myśli?

– Niektórzy zamykają się w klasztorze – odpowiedział doktor Bent, ale tu Jonas potrząsnął przecząco głową.

– To nie dla mnie. Ale coś w rodzaju bezludnej wyspy... Czy będę mógł zabrać rodzinę?

– Lepiej byłoby bez. Ale na początek – lepsze to niż nic. Najpóźniej podczas drugiej próby sam pan zapragnie całkowitej samotności.

Jonas wstał i wziął receptę, którą podał mu doktor Bent.

– Dziękuję, doktorze. Te krople w każdym razie będę zażywał. O tym... o tym drugim muszę pomyśleć. Wierzę w to, co pan mówi. Ale na razie nie mogę sobie wyobrazić, że mi się to uda.

– Proszę po prostu zacząć się oswajać z tą myślą – odpowiedział doktor Bent. – Po jakimś czasie stwierdzi pan, że jest to coraz bardziej kuszące.

„No, temu bym się raczej dziwił” – pomyślał Jonas. Spojrzał na zegarek i się przeraził.

– Już tak późno! Muszę jechać. Rozumie pan, mam ważne spotkanie.

– Wszystkiego dobrego – odparł doktor Bent.

Jedno było jasne: Hamzah Chalid także żył w oczekiwaniu grożącej mu katastrofy i z całą pewnością dobrze robił, starając się znaleźć jakieś wyjście z tego rodzaju sytuacji życiowej. Jego ciemnobrązowe oczy bezustannie błędziły tu i tam – Hamzah sprawiał wrażenie, że nie potrafi skoncentrować swego spojrzenia na czymkolwiek choćby przez pół minuty. Zawsze reagował nerwowo, kiedy nagle skądś dobiegał czyjś głos, a teraz zaczął wręcz dygotać, gdy w kawiarni, gdzie miał się spotkać z Jonasem, kelnerce wypadła z rąk filiżanka z kawą. Hamzah był drobnym, szczupłym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, a jego czarne włosy zaczęły już siwieć nad czołem i na skroniach. I sprawiał wrażenie kogoś, kto stale spodziewa się grożącego mu w każdej sekundzie nieszczęścia.

Jak gdyby oni ciągle jeszcze deptali mu po piętach, byli tuż za nim. Siepacze nieżyjącego już dyktatora Saddama Husajna.

Jonas znał historię Hamzaha, która miała być sfilmowana – jego zadaniem było napisać scenariusz. Zaproponowano mu to, a on zgodził się natychmiast, choć nigdy jeszcze nie robił czegoś podobnego. Pisał kryminały dla telewizji, których fabułę wymyślał sam, albo inne historie, dla których z kolei adaptował akcje z niektórych powieści. Ale nigdy nie pisał historii z tłem politycznym, a w dodatku nigdy jeszcze nie odważył się robić czegoś, co częściowo przynajmniej miałyby cechy dokumentacji. Ale tu zaoferowano mu nadspodziewanie dużo pieniędzy i ten argument przeważył, choć Jonas wiedział, że w tej chwili raczej nie powinien był podejmować tak dużego wyzwania.

Znał więc tę historię, bo jej krótkie streszczenie przesłała mu firma producencka: Hamzah Chalid we wrześniu 1998 roku został aresztowany przez tajną policję w środku nocy we własnym domu i przewieziony do więzienia. Nie wiedział dokładnie, co mu zarzucano, ale w końcu odniósł wrażenie, że miało to coś wspólnego z jednym z jego przyjaciół, który najwyraźniej w bardzo nieostrożny sposób wypowiedział się publicznie, krytykując panujący reżim. I który także siedział już w więzieniu. Każdy, kto utrzymywał bliższe kontakty z tym człowiekiem, znalazł się w efekcie na celowniku organów bezpieczeństwa państwa. Hamzah był więc torturowany, a odniesione w wyniku tego rany

zrujnowały mu zdrowie właściwie na całe życie. W końcu uznano, że pod względem politycznym nie stanowi żadnego zagrożenia, i wypuszczono go z więzienia. Ale Hamzah nie był już tym samym człowiekiem co kiedyś; cierpiał z powodu nagłych ataków paniki i ciężkiej depresji i nie potrafił już prowadzić normalnego życia. Musiał często chodzić do lekarza, a w efekcie otrzymywanych zwolnień równie często nie pojawiał się w pracy. Czy to właśnie była okoliczność, która spowodowała, że znów padły na niego podejrzenia – tego nie dowiedział się nigdy. Dość, że któregoś dnia otrzymał ostrzeżenie, iż grozi mu kolejne aresztowanie. Hamzah uciekł dosłownie w ostatniej chwili przez okno znajdujące się na tyłach jego mieszkania, kiedy tajna policja stała już pod drzwiami. Znalazł schronienie u przyjaciół, którzy przekazywali go sobie po kolei, bo każdy bał się o własne życie. I wreszcie doszło do czegoś, od czego nie mógł się uwolnić ani na chwilę. I tę historię właśnie opowiedział Jonasowi w kawiarni jako pierwszą, choć ten oczywiście już ją także znał.

– Wtedy znów przewożono mnie z jednej kryjówki do drugiej w samochodzie jednego z moich znajomych. Schowałem się na podłodze między przednim a tylnym siedzeniem, byłem przykryty kocem. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu na światłach. Pod moim kocem było ciemno i o wiele za ciepło. Duszno po prostu. Wszystkie dźwięki z zewnątrz docierały do moich uszu jak z jakiegoś oddalenia i były mocno przytłumione... – Hamzah umilkł.

– Ale nagle poczuł pan niebezpieczeństwo...? – dopytywał się ostrożnie Jonas, który uprzednio bardzo uważnie przeczytał opis całego zdarzenia.

– Tak. Czulem niebezpieczeństwo. Czulem je doskonale. Do dziś nie potrafię wyjaśnić, co właściwie mnie ostrzegło. To było coś w rodzaju nagłej pewności: oni są bardzo blisko. Zacząłem dygotać, prawie nie mogłem oddychać. – Hamzah znów urwał. Jego oczy stały się jeszcze ciemniejsze, twarz nagle pobladła, a na czole pojawił się pot.

– To była pańska podświadomość. I coś w rodzaju jej czujników, które rozwinął pan sam od chwili pierwszego aresztowania – wyjaśnił Jonas. – Taki instynkt posiadają dzikie zwierzęta. One właśnie potrafią zwiertzyć niebezpieczeństwo na długo przedtem, zanim można je zobaczyć czy usłyszeć. W tym momencie pański instynkt zadziałał znakomicie, Mr Chalid.

Hamzah zrzucił wtedy z siebie koc, pchnął drzwi samochodu i wyskoczył na zewnątrz. Miał szczęście, bo auto akurat stało na skrzyżowaniu, w pobliżu którego znajdował się mały, porośnięty gęstymi krzakami park. Hamzah przepadł w zaroślach. Dowiedział się później, że samochód tajnej policji znajdował się zaledwie o dwa pojazdy dalej z tyłu. Interwencja miała nastąpić jedną czy dwie minuty później. Hamzah uciekł więc znów dosłownie w ostatniej chwili.

Później przemytnicy przeszmyglowali go przez granicę do Pakistanu, gdzie po licznych przygodach kolejny raz omal nie wpadł w ręce rządowych szpicli.

Dobry los sprawił, że udało mu się dotrzeć do Anglii, gdzie poprosił o azyl i go otrzymał. Jego historia była ciekawa i kiedy ktoś opowiedział ją pewnemu dziennikarzowi, ten opublikował jej zarys w jednej z gazet. A teraz zainteresowała się tym materiałem pewna wytwórnia filmowa. Jonas miał wrażenie, że Hamzah wręcz wyczekiwał kolejnych, związanych z tym wydarzeń: wreszcie wolno mu było opowiadać o tym, co przeżył. Uważnie go słuchano. Dostrzegano go. A przede wszystkim dostrzegano potworną niesprawiedliwość, jaka go spotkała. Hamzah był człowiekiem cierpiącym z powodu głębokiej traumy, któremu odebrano normalne życie. Wprawdzie przeżył – ale nie potrafił już odnaleźć się w rzeczywistości. Nie mógł się uporać z wydarzeniami swojego życia i nie rozumiał, dlaczego świat nie krzyczał wprost z oburzenia wobec historii takich jak jego. Teraz jednak wreszcie ktoś chciał usłyszeć jego krzyk, po którym wszystko miało być już lepsze. Po którym Hamzah miał wreszcie odnaleźć swoją drogę i przyszłość.

Jonas powątpiewał w spełnienie nadziei Hamzaha, ale nie chciał od razu przesądzać sprawy. Ten film nigdy nie znajdzie wśród widzów takiego oddźwięku, jakiego spodziewał się Irakijczyk. W jego kraju działo się tak wiele od tamtej pory... Dawno już nie było dyktatora z tamtych czasów, a cały region szarpany był w tej chwili zupełnie innymi problemami i kryzysami. Tak naprawdę opinię publiczną historie takie jak Hamzaha obchodziły tyle co zeszłoroczny śnieg. Choć oczywiście zwróciłaby ona uwagę i ściągnęła przed ekrany znaczną liczbę widzów, ale nie stałaby się tematem dyskusji ani nie pisano by o niej w gazetach. Hamzah marzył o tym, aby zapraszano go do kolejnych talk-show, gdzie mógłby o wszystkim opowiedzieć, marzył o udzielaniu wywiadów i wygłaszaniu wykładów. Marzył o uwolnieniu się od swej traumy i lęków i sądził, że stanie się to wtedy, kiedy już nie będzie z nimi sam.

– Na pewno będzie pan pisał ten scenariusz? – pytał co chwila. – Czy ten film na pewno będzie nakręcony?

– Tak jak teraz to wygląda, to wszystko będzie szło zgodnie z planem – odpowiedział Jonas. – Proszę się nie martwić!

Hamzah ciągle wiercił się na krześle, rozglądał się i uważnie obserwował gości w kawiarni. Wpatrywał się też w przechodniów za oknem.

– Ten instynkt, wie pan – odezwał się po chwili – ten instynkt, który wtedy w Bagdadzie uratował mi życie... Nie potrafię się od niego uwolnić. Ciągle daje o sobie znać, ciągle go słyszę.

– To zrozumiałe – odparł Jonas uprzejmie. Bo to, co Hamzah nazywał instynktem, dawno już nie istniało. Hamzah widział teraz wrogów tam, gdzie ich nie było. Był to już jakiś rodzaj neurozy graniczący wręcz z psychozą. Ciągle wydawało mu się, że otaczają go siepacze dawno zmarłego dyktatora. Teraz, kiedy podnosił do ust filiżankę z kawą, jego ręce drżały tak, że płyn wylewał mu się na

kolana. I za ledwie odstawił filiżankę, znów rozejrzał się niespokojnie dookoła. Jonas, widząc to, przypomniał sobie określenie doktora Benta: „modus katastrofy”. I pomyślał, że on sam i ten naprawdę biedny Hamzah Chalid mieli z sobą wiele wspólnego. Im obu towarzyszyły przeróżne lęki, które w tej chwili nie miały żadnego związku z rzeczywistością, przez nich samych były jednak odczuwane jako najzupełniej uzasadnione. Hamzah i Saddam Husajn. Jonas i klęska społeczna i zawodowa. Dwie całkowicie różne historie, dwaj zewnętrznie zupełnie różni mężczyźni.

A jednak każdy z nich miał w swoim wnętrzu małą bombę zegarową, o której istnieniu wiedzieli tylko oni i której tykanie słyszeli tylko oni sami.

– To jak będzie dalej? – dopytywał się Hamzah.

– Napiszę teraz scenariusz, a właściwie jego zarys – wyjaśnił Jonas. – Będzie podzielony na obrazy i sceny. Mam przecież szczegółowy opis pańskiej historii. Oczywiście otrzyma pan natychmiast gotowy scenopis do przeczytania. Powinniśmy się wtedy znów spotkać, aby wszystko omówić raz jeszcze i wówczas przystąpię do właściwej pracy.

– A kiedy to będzie? To znaczy, kiedy będzie pan miał gotowy scenariusz?

Jonas powstrzymał westchnienie. Z Hamzajem najwyraźniej nie będzie łatwo.

– To musi potrwać. Nie podjęto jeszcze ostatecznej decyzji, czy ma to być film dokumentalny czy fabularny i jak mają wyglądać proporcje, jeśli będzie tym i tym. W przyszłym tygodniu mam się spotkać z producentem i będziemy na ten temat rozmawiać.

Hamzah skinął głową, ale sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Gdzieś poza nieustannym lękiem i obawą przed ciągle grożącym niebezpieczeństwem pojawiała się jeszcze jedna cecha jego charakteru, która kazała mu zawsze zakładać najgorszą wersję wydarzeń i nigdy nikomu ani niczemu nie ufać.

– To przecież nie może być jakiś na szybko napisany kawałek – powiedział Jonas. – To ma być prawdziwa, rzetelnie opowiedziana historia i nie można działać pochopnie.

– Ale pozostaniemy w kontakcie? – upewnił się Hamzah.

Jonas doskonale rozumiał, że dla niego nie do zniesienia była sama myśl o tym, że miesiącami będzie siedział w swoim nędznym pokoju gdzieś pod jednym z londyńskich dachów, nie wiedząc, co się dzieje.

– Oczywiście – odparł. – Nic nie wydarzy się za pańskimi plecami, niczego nie zrobimy, nie informując pana. Jest pan przecież główną osobą w tej historii!

Ostatnie zdanie było jedynie kłamstwem i pobożnym życzeniem. Nikt w wytwórni filmów nie uważał Hamzaha Chalida za kogoś ważnego. Sprzedał przecież prawa do swojej historii i teraz jego osoba nie miała żadnego szczególnego znaczenia. Wręcz przeciwnie, wszyscy cieszyliby się, gdyby trzymał

się od filmu z daleka. Podobnie zresztą było z autorami powieści, które filmowano: pisarze lamentowali z powodu każdej zmiany, której dokonywano, chcieli tego czy tamtego, denerwowali się i byli z nimi tylko kłopoty. Producenci nie pragnęli niczego bardziej niż tego, aby autorzy po prostu poszli sobie z planu albo przynajmniej stali gdzieś daleko z tyłu. Ale przeważnie niełatwo było ich onieśmielić czy też zmusić do milczenia. Jednak sprawa z tym wystraszonym, będącym ciągle na pograniczu załamania nerwowego uchodzącą wyglądała inaczej. Nim nikt nie będzie się przejmował. I koniec końców, pomyślał Jonas, to przypuszczalnie on właśnie będzie jedyną osobą litującą się nad Hamzahem, który przyczepi się do niego jak natręt. A jeśli wszystko zakończy się dla niego gorzkim rozczarowaniem, to Jonas, chcąc nie chcąc, też będzie musiał wziąć udział w tym dramacie.

Teraz jednak odpędził od siebie tę myśl – było za wcześnie, aby się z jej powodu martwić. A rozmyślania nad ewentualnym przebiegiem dalszych wydarzeń też do niczego nie prowadziły.

Już samo określenie „główna osoba” nieco rozpogodziło Hamzaha. W jego oczach nie było już widać tak bezgranicznego smutku i przygnębienia. Irakijczyk wypił swoją kawę, po czym jak zwykle rozejrzał się niespokojnie dookoła.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy – powiedział.

– Tak, ja też – odparł Jonas, po czym skinął na kelnerkę i zapłacił za siebie i Hamzaha. – Odezwę się do pana – obiecał, wstając.

Hamzah także podniósł się z krzesła. Jonas dostrzegł, że mężczyzna był w stanie stać tylko lekko pochylony, i pomyślał o torturach, którym go poddawano. Ten świat był tak daleki od jego świata i trudno było go sobie nawet wyobrazić. Przez chwilę poczuł wstyd.

Obaj mężczyźni pożegnali się na ulicy. Był pochmurny, choć ciepły kwietniowy dzień. Jonas patrzył przez chwilę za Hamzahem, który oddalał się powoli, lekko kulejąc.

Ruszył w kierunku swojego samochodu.

Jeszcze dwa spotkania. A potem pojedzie do domu i wreszcie zabierze się do swojej właściwej pracy: pisania.

2

Stella i Sammy weszli do domu i Sammy, który już w samochodzie mówił niemal bez przerwy, nie zamilkł także wtedy, kiedy oboje znaleźli się w kuchni, a on sam wdrapał się na swoje wysokie krzeselko za barem. Stella odebrała go z grupy przedszkolnej, gdzie tego przedpołudnia obchodzono urodziny jednego z przyjaciół, a to dziecku znów przypomniało o jego własnych urodzinach, co właściwie w ogóle nie było konieczne. Miały się one odbyć w najbliższy piątek i z tej okazji dawno już zaplanowano uroczyste party. Sammy po raz setny

powtarzał ciągle rozszerzaną listę prezentów, które chciałby otrzymać, i wymyślał coraz bardziej zwariowane gry i zabawy. Radość i energia wprost go roznosiły, a Stella cieszyła się, widząc go tak szczęśliwym. Sammy mógł wprawdzie jadać obiady w swojej grupie, ale ona przeważnie zabierała go do domu, a już zwłaszcza w te dni, kiedy nie było Jonasa. Dlaczego miała siedzieć sama i w ponurym nastroju zjadać jogurt czy coś podobnego? O wiele przyjemniej było zasiąść do stołu razem z synem i cieszyć się, że pojawił się w jej życiu. Na dziś Stella zaplanowała frytki i nuggetsy z kurczaka – było to jego ukochane danie. Wysypała na blachę mrożone frytki, słuchając przy tym jednym uchem paplaniny Sammy’ego. Bo właściwie rozmyślała także o swojej przyszłości. Przestała pracować od chwili, kiedy zamieszkał tutaj Sammy, ale we wrześniu chłopiec miał iść do szkoły, uważała więc, że będzie to odpowiedni moment, aby zacząć od nowa kształtować swoje życie. Nie chciała już siedzieć w domu, ale wiedziała, że powrót do zawodowego życia nie będzie łatwy. Poprzednio pracowała jako producentka w wytwórni filmów i choć brakowało jej tej pracy, to nie łudziła się, że łatwo ją będzie pogodzić z życiem rodzinnym. Zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin z kolei tylko na papierze było proste, w praktyce jednak na dłuższą metę się nie sprawdzało. Ale z drugiej strony Jonas dużo pracował w domu i jeśli postarają się wszystko dobrze uprzednio zaplanować i omówić...

– I baloniki – powiedział właśnie Sammy. – Mummy! Słyszałaś? Wszędzie w domu powiesimy nadmuchane baloniki, dobrze?

– Jasne, zrobimy tak. I w ogrodzie też, o ile tylko będzie dobra pogoda.

Frytki były już w piekarniku i Stella właśnie regulowała termostat, kiedy zadzwonił telefon. Później wiele razy przypominała sobie tę scenę. I ten dźwięk dzwoniącego telefonu, który z początku był zupełnie zwyczajny, ale z perspektywy czasu wydał jej się jakiś nieprzyjemny czy też wstrętny. Dźwięk, który wdzierał się w jedną ze scen codziennego życia rozgrywającą się w jasnej przytulnej kuchni. Kwiaty w oknie. Frytki w piekarniku. Sammy na swoim wysokim krzeselku paplający wesoło o urodzinach, prezentach... Na ulicy koło domu powoli przejechało auto. Kilka promieni przedarło się przez gęste chmury, które tego dnia skutecznie tłumiły światło słońca.

Podeszła bez pośpiechu do aparatu, który znajdował się w salonie. To pewnie Jonas. Kiedy był gdzieś w drodze, dzwonił do niej zawsze, a dziś od wczesnego ranka nie dał jeszcze znaku życia. A jego wizyta u doktora Benta zapewne dobiegła końca. Stella była ciekawa zdania Jonasa.

Sammy dalej mówił w kuchni, nie zwracając uwagi na jej nieobecność.

– I ciasto bananowe z polewą czekoladową, i...

– Halo – odezwała się, podnosząc słuchawkę.

Chwila milczenia. A potem głos należący do młodej kobiety, trochę nieśmiały, co i tak było słyhać, mimo nieco sztucznego zdecydowania.

– Halo! Stella? Mówi Terry. Terry Malyan. Czy pamięta mnie pani?
Jakże mogłaby nie pamiętać.

Biologiczna matka Sammy’ego. Co do której miała nadzieję, że nigdy w życiu jej nie zobaczy. A teraz ona, Stella, siedziała znów w kuchni, naprzeciw Sammy’ego i niemal nie dostrzegła syna, który radośnie malował keczupem esy-floresy na talerzu. Jakoś udało jej się przygotować jedzenie i nakryć do stołu, ale poruszała się przy tym jak w transie. I przez cały czas zastanawiała się, skąd to osobliwe poczucie zagrożenia, które zaczęło ją prześladować po tamtym telefonie.

Terry Malyan.

– Drugiego maja Sammy kończy pięć lat – powiedziała kobieta tym swoim osobliwie sztucznym, afektowanym głosem. – I pomyślałam, że to byłaby cudowna okazja, aby go znów zobaczyć!

Terry nie dawała o sobie znać prawie pięć lat. Ani nie dzwoniła, ani też nie pisała, czy to z okazji Gwiazdki, czy też urodzin Sammy’ego. Kiedy Sammy skończył rok, Stella wysłała jej kilka fotografii, ale reakcją było jedynie milczenie. Wreszcie całkowicie wykreśliła kobietę ze swej świadomości, co sprawiło jej dużą ulgę.

– Przypadkowo w ten weekend i tak jesteśmy w Londynie...

Ach tak, przypadkowo? A co w ogóle znaczy słowo „my”?

– Mój chłopak i ja. Mój chłopak ma tam sprawy zawodowe do załatwienia.

Czy mówiła o ojcu Sammy’ego? Stella nigdy go nie poznała, bo nawet wtedy, w czasie procesu adopcyjnego, nie pojawił się ani razu. Wiedziała jedynie, że był siedemnastoletnim uczniem, przerażonym i zszokowanym wobec owocu swego pierwszego doświadczenia seksualnego, które miało miejsce w czasie wakacyjnego obozu na walijskim wybrzeżu z szesnastoletnią koleżanką – dokładnie dziewięć miesięcy później na świat przyszedł mały chłopiec.

Stella pamiętała dobrze telefon pracowniczki Urzędu do spraw Młodzieży w kwietniu 2009 roku: „Mamy dla pani dziecko. Urodzi się na początku maja, a rodzice są zdecydowani natychmiast oddać je do adopcji. Sami są jeszcze na wpół dziećmi, chodzą do szkoły, a ta sytuacja całkowicie ich przerosła”.

Cała sprawa od początku zaplanowana była jako „potajemna adopcja”, Stella i Jonas nie zdecydowałiby się na coś innego. Biologiczni rodzice mieli nie poznać rodziców adopcyjnych, także odwrotnie miało być tak samo. Gdyby dziecko później chciało poznać swoich biologicznych rodziców, przysługiwało mu prawo wglądu do akt, do tego czasu jednak wszelkie kontakty miały być wykluczone. Stella i Jonas nigdy nie zamierzali ukrywać przed dzieckiem faktu, że zostało adoptowane, ale nie chcieli ciągłych odwiedzin, mieszania się do spraw wychowania i co za tym idzie – ciągłego rozdarcia dziecka między jedną i drugą parą rodziców.

– Nie, to nie jest ojciec Sammy’ego – odpowiedziała Terry. – Nigdy już nic

o nim nie słyszałam. Od pół roku jestem w związku z innym chłopakiem. To Neil Courtney. Prawdopodobnie się pobierzemy.

– Mummy, czy ty mnie słuchasz? – spytał Sammy, patrząc na matkę ponad stołem. Był wysmarowany keczupem dosłownie od ucha do ucha i wyglądał tak, jak gdyby wpadł do wiadra z farbą. Stella spróbowała uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Ależ oczywiście, że cię słucham.

Neil Courtney. Nowy chłopak Terry. I Terry najwyraźniej chciała mu pokazać dziecko, które urodziła i którym nie interesowała się całymi latami.

A może ten kolejny mężczyzna stał się czymś w rodzaju siły napędowej w jej życiu? Ale który mężczyzna jest ciekaw syna swojego poprzednika, który to syn w dodatku nie odegrał żadnej roli w dotychczasowym życiu matki?

Poczuła przemożne pragnienie, aby Jonas był już w domu. Musiała koniecznie z kimś porozmawiać. Z kimś, kto mógłby ją uspokoić, dzięki czemu znikłyby jej wszystkie lęki i obawy, których w tej chwili nawet nie potrafiła bliżej określić.

Bo wówczas sprawa kompletnie wymknęła im się z rąk. Drugiego maja urodziło się tak wytęsknione przez nich dziecko, które natychmiast zostało przekazane rodzicom adopcyjnym. I na krótko przed upływem kilkutygodniowego terminu, w czasie którego biologiczna matka miała prawo przemyśleć tak ważną decyzję i ewentualnie ją zmienić, stało się coś okropnego. Do Stelli i Jonasa ponownie zgłosiła się pracownica Urzędu do spraw Młodzieży, oświadczając, że Sammy niestety nie będzie mógł u nich zostać.

– Matka chce go mieć z powrotem. Nie potrafi się uporać z rozstaniem i chce odzyskać syna bez względu na okoliczności.

Stella miała wtedy wrażenie, że ziemia dosłownie usuwa jej się spod stóp.

– Ale to przecież niemożliwe! On jest prawie pięć tygodni u nas! Jest naszym dzieckiem. Nie może pani go nam zabrać!

Urzędniczka odpowiedziała z wyraźnym udręczeniem w głosie:

– Jest mi bardzo, bardzo przykro, Mrs Crane. Chciałabym oszczędzić pani tego bólu. Ale od strony prawnej mam związane ręce. Muszę działać zgodnie z przepisami, nie mam innego wyjścia.

– Ale ta dziewczyna ma dopiero szesnaście lat!

– Tak, jest bardzo młoda, i to nie jest dla niej zbyt szczęśliwa sytuacja. Mimo to...

Odebrano im Sammy'ego, a tych chwil Stella z pewnością nie zapomni do końca życia. Miała wrażenie, że ktoś wyrywa jej serce z piersi. Wiedziała, że nie zapomni tego bólu nigdy, mimo wszystkich późniejszych zdarzeń. Po upływie strasznych trzech tygodni, w czasie których Stella stale konsultowała się z doktorem Bentem i raz po raz łykała tabletki uspokajające, a Jonas prawie nie

ważył się wychodzić z domu, bo obawiał się, że jego żona zrobi sobie coś złego, ponownie zgłosił się ktoś z Urzędu do spraw Młodzieży. Pojawiły się problemy. Matkę Sammy'ego ta sytuacja coraz bardziej przerastała i dziewczyna nie była już pewna, czy jej decyzja o zatrzymaniu dziecka była słuszna. Prześladowała ją świadomość, że z jednej strony zamyka przed sobą przyszłość, a z drugiej pozbawia dziecko wszelkich szans. A jednocześnie dręczyło ją poczucie winy na samą myśl o ponownym oddaniu dziecka.

– Ona chciałaby się z panią spotkać, Mrs Crane. Wiem, że to niezgodne z naszą umową, ale...

– Tak?

– Ale widzę dużą szansę na to, że ona zdecyduje się na oddanie dziecka wtedy, kiedy pozna przyszłych rodziców i przekona się, że Sammy'emu będzie u państwa naprawdę dobrze. Ta dziewczyna w gruncie rzeczy zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie zapewnić swojemu synowi żadnej stabilności. To, czego ona sama potrzebuje, to pewność, że postępuje słusznie, i przypuszczalnie będzie o tym przekonana po rozmowie z państwem.

– Ale wtedy cała sprawa nie będzie już anonimowa.

– Nie. I zrozumieć, że w tych okolicznościach być może zrezygnuje pani ze swego zamiaru. Proponuję takie rozwiązanie tylko dlatego, że na pierwszym miejscu stawiamy dobro dziecka i... – kobieta się zająknęła. Nie chciała powiedzieć za dużo, ale Stella odgadła, co tamta miała na myśli.

– Także pani zdaniem dla Sammy'ego byłoby lepiej, gdyby trafił z powrotem do nas – powiedziała.

– Z całą pewnością tak.

Wątpliwości Stelli znikły niemal natychmiast. Postanowiła spotkać się z matką Sammy'ego.

Jonas był jednak temu całkowicie przeciwny.

– To może się zamienić w ciągłe oddawanie i zabieranie. Przecież ta dziewczyna zupełnie nie wie, czego chce. Dziś tak, a jutro znów inaczej. Co zrobimy, kiedy co jakiś czas będzie pojawiała się pod drzwiami, bo właśnie obudziły się jej macierzyńskie uczucia?

– Po upływie określonego czasu adopcja się uprawomocni i nie będzie mogła nic zrobić.

– Od strony prawnej tak. Ale może nas zacząć tyranizować. Co jakiś czas pojawiać się u nas, wydzwaniać, że chce zobaczyć syna, i poprzez łzy wywierać na ciebie nacisk. Rozmawialiśmy przecież o tym, Stella. To, że chcieliśmy przeprowadzić potajemną adopcję, ma swoje uzasadnienie.

– Tak, ale teraz sytuacja się zmieniła. Musimy zmienić nasze podejście do sprawy, nie mamy innego wyjścia.

– Mamy. Możemy poczekać na inne dziecko.

– Przecież to trwało prawie rok, zanim Sammy do nas trafił!

– A więc tym razem będzie znów trwało rok. To przecież wcale nie jest tak długo, a może tym razem będzie szybciej.

W oczach Stelli znów pojawiły się łzy, choć chciała tego uniknąć za wszelką cenę.

– Ja już nie mogę dłużej czekać, Jonas. Od ponad sześciu lat staramy się o dziecko i doznaliśmy już zbyt wielu rozczarowań. Ta wojna nerwów trwa już za długo. Nie jestem w stanie dalej walczyć, jestem u kresu sił! A poza tym kocham Sammy’ego. On tu był, trzymałam go w ramionach i nie mogę tak po prostu powiedzieć: dobrze, weźmiemy jakieś inne dziecko. To niemożliwe. Ja nie potrafię.

Jonas ustąpił. Słyszał rozpacz w głosie żony, widział jej wyczerpanie. I sam także był wyczerpany. Wiedział, że nie zniesie już sporu i różnicy zdań w tej sprawie.

I wszystko było potem dobrze, tak dobrze, że wątpliwości Jonasa znikły. Spotkali się oboje z biologiczną matką dziecka, szesnastoletnią Therese Malyan z Kornwalii.

– Proszę mówić do mnie Terry. Czy mogę mówić Stella?

Stella była gotowa na każde ustępstwo. Chodziło przecież o Sammy’ego, tylko o niego, o nikogo więcej! Zaprosiła Terry do Kingston koło Londynu, do ich domu, pokazała jej pokój Sammy’ego, jego zabawki, jego śpioszki. Terry płakała.

– Będzie mu u pani dobrze, widzę. Oboje jesteście dobrymi ludźmi.

Stella niemal czuła ulgę młodej dziewczyny. Niechciana ciąża spowodowała, że jej życie zamieniło się w kompletny chaos i tak naprawdę już od samego początku Terry nie widziała innego wyjścia z tej sytuacji niż oddanie syna w czyjeś ręce, poprzez co miała odzyskać utraconą wolność. I kiedy się upewniła, że to rzeczywiście będą dobre ręce – „najlepsze, Stella, Sammy naprawdę nie mógł lepiej trafić!” – jej decyzja była tym razem ostateczna: postanowiła nie odbierać syna przed upływem czasu koniecznego do uprawomocnienia się adopcji.

Adopcja małego Samuela Malyana stała się więc prawomocna. Chłopiec nazywał się teraz Samuel Crane i był dzieckiem Jonasa i Stelli.

I aż do dzisiaj oboje nic nie słyszeli o Terry. Niemal zapomnieli, że ona w ogóle istnieje.

– Mummy, ty mnie w ogóle nie słuchasz! – poskarżył się Sammy.

Zrezygnowała z wmawiania mu, że tak nie było.

– Muszę szybko zadzwonić do daddy’ego. Zaraz wrócę, kochanie, i dokładnie zaplanujemy twoje urodziny i przyjęcie.

Z twoją drugą mummy i jej nowym chłopakiem w charakterze gości honorowych.

Poszła do salonu. Czuła gwałtowne bicie serca i koniecznie chciała usłyszeć od kogoś, że się niepotrzebnie denerwuje.

Jonas odebrał tak szybko, jak gdyby trzymał komórkę w dłoni i czekał na jej telefon.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić, Stella, bo rozmawiałem z kimś z produkcji. Co byś powiedziała na dwa tygodnie wakacji w końcu maja albo na początku czerwca, gdzieś na torfowiskach w Yorkshire? W całkowitej samotności, a ja nie zabierałbym tym razem ze sobą pracy. Żadnego komputera, smartfona, nic. Mój kolega, także autor scenariuszy, wynająłby nam dom. To coś jest jakby stworzone do tego, aby całkowicie odciąć się od świata. Co o tym myślisz? Doktor Bent...

Nie interesowało jej, co powiedział doktor Bent, a torfowiska Yorkshire interesowały ją jeszcze mniej. Bezceremonialnie przerwała potok jego słów.

– Jonas, ona właśnie zadzwoniła. Dwadzieścia minut temu. Terry Malyan. Chce nas odwiedzić w dniu urodzin Sammy’ego.

Jonas milczał przez kilka sekund. Najwyraźniej potrzebował kilku chwil, aby przypomnieć sobie, o kim właściwie mówiła Stella. A może po prostu nie był w stanie tak szybko wrócić z torfowisk w Yorkshire do spraw codziennego życia.

– Okay – powiedział w końcu powoli. – Okay...

– Jonas, nic nie jest okay. Boję się, że ona... To znaczy, czego ona chce?

Przerwał jej.

– Nie denerwuj się, Stella. Ona z pewnością nie chce niczego innego niż go po prostu odwiedzić. Nie odezwała się przez pięć lat i teraz nagle ta myśl przyszła jej do głowy. Między nią a Sammym nie istnieje żaden związek i coś takiego nie powstanie w czasie jednego popołudnia. Założę się, że potem nie da znaku życia co najmniej przez kolejne pięć lat.

– Ma jakiegoś nowego chłopaka i on przyjedzie razem z nią. Jonas, dlaczego mam jakieś strasznie złe przeczucia?

– Bo widzisz w sobie samej konkurencję dla niej – odpowiedział. – I dlatego jesteś niespokojna. Wszystko będzie dobrze, Stella. Uwierz mi, proszę.

Wiele tygodni później przyznał, że sam też miał jakieś dziwne, złe przeczucia. Czuł niepokój, który teraz natychmiast przepędził ze swych myśli.

Sobota, 3 maja

1

Nadkomisarz Caleb Hale stał w hali lotniska Leeds-Bradford i obserwował pasażerów, którzy wchodzili przez automatycznie otwierane drzwi. Samolot linii lotniczych British Airways z Londynu wylądował przed dwudziestoma minutami i Kate właściwie powinna była już tu być. Ale przypuszczalnie czekała jeszcze na swój bagaż. Powiedziała przecież w czasie rozmowy telefonicznej, że zamierza zostać dłużej, zapewne nie przyleciała więc tylko z bagażem podręcznym. Caleb miał nadzieję, że rozpozna Kate Linville. Spotkali się wiele lat temu i jeśli miał być szczerzy, to w jego pamięci zapisała się jako ktoś wyjątkowo niepozorny. Typowa szara mysz, mała, chudziutka i wystraszona. Miał nadzieję, że jego pamięć zaskoczy, kiedy zobaczy ją gdzieś w tłumie podróżnych.

Żałował teraz swej spontanicznej propozycji, że odbierze ją z lotniska i zawiezie do Scalby, jednak było już oczywiście za późno na to, aby się wycofać, a poza tym była to jedyna drobna przysługa, którą mógł wyświadczyć córce swego byłego kolegi, zamordowanego w tak brutalny sposób. Tę przysługę był jej po prostu *winiem*. Z drugiej strony właśnie z tego powodu obawiał się tego spotkania. Jaką traumę musiała przeżywać teraz ta kobieta? Była właściwie jego koleżanką, sierżantem śledczym w Scotland Yardzie, i z pewnością zetknięcie się z taką zbrodnią to dla niej nic nowego. Ale jednak czymś innym nawet dla niej był fakt, że podobna rzecz dotknęła osobę jej bliską. Caleb wiedział, że ojciec był dla tej kobiety jedynym żyjącym członkiem rodziny. Kate nie wyszła za mąż – o ile nic się nie zmieniło od czasu ich ostatniego spotkania. Już wtedy sprawiała wrażenie samotnej.

Miał ją zawieźć do domu, w którym dorastała. I w którym w lutym jej ojca torturowano w okrutny sposób, w wyniku czego zmarł.

Obawiał się, że ona się załamie. I że wówczas nie będzie wiedział, co ma robić. Choć oczywiście był już świadkiem takich sytuacji, bo niejedną raz musiał przekazywać krewnym ofiar przemocy przerażające wiadomości. Ale to było jednak coś innego. Tu chodziło o córkę jego dawnego kolegi. Caleb czuł swoje wewnętrzne zaangażowanie w tę sprawę, mimo że bardzo się przed tym bronił, i było to tak silne, że niemal bolał go żołądek.

Rozpoznał ją natychmiast, kiedy tylko pojawiła się w drzwiach. Miała w jednej ręce torbę podróżną, a drugą ciągnęła za sobą walizkę na kółkach. Jej rzadkie włosy związane były z tyłu głowy, a blada twarz wydawała się przez to jeszcze bardziej wynędzniała. Prawdopodobnie bardzo schudła i nie było w tym nic dziwnego. Caleb zadygotał wewnątrz na samą myśl o tym, że mógłby stracić

kogoś ze swoich krewnych w taki sposób, w jaki ona straciła ojca.

Podszedł do niej i spytał:

– Kate Linville? – Po czym się zawahał. Nie byli sobie aż tak bliscy, poprawił się więc: – Sierżant Kate Linville?

Podąła mu rękę i odrzekła natychmiast:

– Kate.

Ani śladu uśmiechu na twarzy. Wyglądała jak ktoś, kto nie za bardzo wie, jak podnosić kąciki ust.

– Caleb – odparł, potrząsając jej ręką, wziął od niej torbę i walizkę i dodał: – Chodźmy, mam samochód na miejscu z ograniczonym czasem parkowania. Lot był w porządku?

– Żadnych problemów – odpowiedziała.

Zastanawiał się, czy zawsze miała tak skamieniałą twarz. Nie pamiętał. Była w lutym w Yorkshire, zaraz po zamordowaniu ojca, ale wówczas nie było go tutaj. Wyszedł z kliniki dopiero na początku marca. Oficjalnie było to dłuższe leczenie i rehabilitacja po wszczepieniu bajpasów. Tak przynajmniej ustalili ze swoimi przełożonymi. Tylko najbliżsi współpracownicy Caleba wiedzieli, że nie było żadnych bajpasów, lecz w grudniu Caleb po ciężkim załamaniu usłyszał wyraźną diagnozę od swojego lekarza: albo całkowita rezygnacja z alkoholu, albo jego dni w najbliższej przyszłości będą policzone. I po raz pierwszy zrozumiał, że sprawa była poważna. Stał po prostu nad przepaścią i wiedział, że jeśli natychmiast nie zawróci, to polecą w dół. Mógł mówić o szczęściu, że lekarz był tak brutalnie szczery i że jego przełożeni dali mu drugą szansę. Wiedział, że zawdzięczał to dużej liczbie śledztw zakończonych sukcesem. Zaliczał się do najlepszych śledczych, dlatego też próbowano go zatrzymać za wszelką cenę. Ale Caleb funkcjonował znakomicie właśnie pod wpływem alkoholu. Pytanie, czy udałoby mu się to także bez alkoholu.

W czasie rozmów telefonicznych z Kate, które prowadził mniej więcej co tydzień od chwili swego powrotu do pracy i zajęcia się sprawą Linville'a, wyraźnie wyczuwał zastrzeżenia tej kobiety wobec swojej osoby. Kate wcale nie była szczęśliwa, że właśnie temu mężczyźnie, który zaledwie przed dwoma tygodniami wrócił do czynnej służby, powierzono prowadzenie dochodzenia. Caleb zapewnił ją, że dwoje jego najlepszych współpracowników, funkcjonariuszka śledcza Jane Scapin i sierżant śledczy Robert Stewart, których Kate poznała w związku z tą zbrodnią, pracowało doskonale i dotarło tymczasem do wszystkich niezbędnych wiadomości, które były istotne dla śledztwa. Mógł dzięki temu bez problemu przystąpić do pracy, jak gdyby jeszcze wczoraj zajmował się wszystkim, co miało z tym związek.

Ona jednak widziała to zupełnie inaczej. I przypuszczalnie nie ufała stanowi jego zdrowia – jej zdaniem tylko pozornie dobremu. Z pewnością nie życzyłaby

sobie, aby wyjaśnieniem zbrodni dokonanej na jej ojcu zajmował się ktoś, kto – zgodnie z jej informacjami – właśnie wyszedł ze szpitala po ciężkiej operacji i zapewne usłyszał od lekarzy, że ma się oszczędzać oraz unikać stresu i zdenerwowania.

Choć chyba prawda zaniepokoiłaby ją o wiele bardziej.

Caleb włożył jej walizkę i torbę do bagażnika i ruszył, gdy tylko wsiedli. Kiedy powoli wyjeżdżał z parkingu, zapytał:

– Jak długo zamierza pani zostać?

– Wzięłam cały urlop z tego roku i jeszcze dodatkowo bezpłatny. Prawdopodobnie zostanę sześć tygodni, zobaczymy. A może nawet dłużej.

– Pani szef zgodził się na sześć tygodni urlopu?

Skinęła głową w odpowiedzi.

– Rozumie moją szczególną sytuację. I tak jestem... od kiedy to się stało... no, jestem dość rozkojarzona. Myślę, że moi koledzy się cieszą, że mogli się mnie na jakiś czas pozbyć.

– Wie pani już, co będzie z domem? Jest pani teraz jego właścicielką.

– Nie wiem jeszcze. Także z tego powodu chcę sobie dać trochę czasu. Muszę pomyśleć, co robić dalej. To wszystko jest... jak jakiś koszmarny sen.

Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo cicho. Caleb spojrział na nią przelotnie. Jej twarz była teraz tak blada, że niemal biała. Rzeczywiście Kate sprawiała wrażenie wynędzniałej i chorej – w jakiś przerażający sposób.

– Czy jest pani pewna, że...? – spytał ostrożnie. – To znaczy, czy rzeczywiście chce pani zamieszkać w tym domu? Wszystkie wspomnienia z nim związane, no i jest to miejsce, w którym... W którym to się stało.

– Ale to mój dom rodzinny. Oczywiście, że chcę tam zamieszkać.

Nie uważał tego za zbyt mądre, ale nie odpowiedział. Przez chwilę milczeli oboje, a Caleb skierował samochód na drogę prowadzącą z Leeds w kierunku wybrzeża.

– Czy są jakieś nowe ustalenia? – zapytała po chwili Kate.

To pytanie zadawała mu jako pierwsze w czasie każdej rozmowy telefonicznej. Właściwie dręczyło ją kilka kwestii: kim był sprawca? A może było ich kilku? Dlaczego ktoś popełnił tę zbrodnię? Dlaczego Richard Linville musiał umrzeć w tak straszny sposób? Znaleźć winnego czy też winnych – to zadanie właściwie podtrzymywało jej energię i pomagało nie wpaść w depresję. I przynajmniej przejściowo ratowało zdrowie psychiczne.

Caleb jednak nie mógł jej przekazać żadnej wiadomości, która stanowiłaby jakiś przełom w śledztwie, choć co prawda był jeden punkt zaczepienia.

– Nie możemy jeszcze nic powiedzieć na temat jego znaczenia w śledztwie – uściślił od razu.

– Tak?

– Śledcza Scapin zleciła w swoim czasie rozpytanie mieszkańców, co jednak nic nie wniosło do śledztwa. Ale zgłosiła się kobieta, która może być świadkiem. To przyjaciółka jednego z mieszkańców, która kilka dni przed dwudziestym drugim lutego była w kościele Church Close. I ta kobieta powiedziała, że późnym popołudniem dziewiętnastego lutego widziała zielonego peugeota, który ją zaintrygował.

– Zaintrygował? W jakim sensie?

– Ten samochód kilka razy podjeżdżał pod kościół i odjeżdżał. I nie był to ktoś, kto mieszka w tamtej okolicy, sprawdziliśmy to. Nikt tam nie jeździ peugeotem ani też żadnym ciemnozielonym autem – to na wypadek gdyby ta kobieta pomyliła markę samochodu. I ona miała wrażenie, że ktoś szuka jakiegoś adresu, co jeszcze nie wydało jej się niczym szczególnym. Ale osobliwe wydało jej się to dopiero wtedy, kiedy samochód po raz trzeci skręcił w stronę Church Close, po czym pojechał na zawrotkę i znów wrócił pod kościół. Kobieta była zdania, że kierowca musiał się już chyba zorientować, czy jest na właściwej ulicy czy nie. I znowu wydało jej się to nie aż na tyle podejrzanym, żeby od razu o tym opowiedzieć.

– Dlaczego powiedziała o tym dopiero teraz? Dlaczego dopiero teraz?

– To kwestia dość problematycznych uwarunkowań. Ta kobieta jest mężatką i ma romans z pewnym samotnym mężczyzną, który mieszka koło kościoła w Scalby. Długo nie ważyła się mówić ze strachu, że przy okazji wyjdzie na jaw co innego. I wreszcie sumienie ją ruszyło i razem ze swoim przyjacielem skontaktowała się z nami. Odpowiednio późno oczywiście.

– Rozmawiał pan z nią?

Caleb skinął głową.

– Tak. Ale nie mogłem się dowiedzieć niczego ponad to, co pani powiedziałam. Ona jest zupełnie pewna tego, co widziała. Na nieszczęście nie zapamiętała choćby fragmentu numeru rejestracyjnego.

Kate zacisnęła kurczowo rękę.

– Za późno. Wszystko za późno! Gdyby można było tę kobietę przesłuchać od razu dwudziestego drugiego lutego, może wówczas pamiętałaby o wiele więcej, ale tak...

– Kate! Przecież pani ojciec został znaleziony dopiero dwudziestego trzeciego lutego. Przedtem... i tak nie można było wszcząć śledztwa.

Kate umilkła, odwróciła głowę i wpatrzyła się w krajobraz za oknem. Caleb zdawał sobie sprawę, że rozmyślała o okrutnych chwilach sprzed dziesięciu tygodni. Sąsiadka Richarda Linville'a dziwiła się, kiedy w niedzielę w południe dwudziestego trzeciego lutego przed drzwiami domu Richarda ciągle stała butelka z mlekiem wystawiona poprzedniego dnia. Kiedy Linville wyjeżdżał, zawsze jej o tym mówił i przekazywał jej klucz do domu, aby w czasie jego nieobecności

mogła podlać kwiaty. Sąsiadka miała numer Kate w Londynie, na wypadek gdyby coś się stało, i w końcu zadzwoniła do niej. Później powiedziała policji, że Kate zareagowała przerażeniem, i poprosiła ją, aby zastukała do Richarda albo przynajmniej zajrzała przez okno, czy jest w domu. Kate obawiała się czegoś już w tej chwili, bo ojciec wbrew swojemu zwyczajowi nie zadzwonił do niej ani w sobotę, ani też w ten niedzielny poranek. Ona sama próbowała to zrobić wielokrotnie, ale zawsze odpowiadała automatyczna sekretarka. Sąsiadka zadzwoniła więc do drzwi, potem waliła w nie pięścią, ale nie było żadnej reakcji. Poszła do ogrodu, okrążyła dom i zanim jeszcze odkryła wyważone drzwi do jadalni, zajrzała przez kuchenne okno i cofnęła się przerażona na widok tego, co zobaczyła: krzesło stojące pośrodku pomieszczenia, na nim skrępowana postać, której tułów był przechylony mocno do przodu. Dostrzegła też plastikową torbę zawiązaną wokół głowy. Trzy kroki dalej kobieta zauważyła wyważone drzwi, ale w tej chwili już tylko przeraźliwie krzyczała. Wezwany lekarz stwierdził później, że Richard Linville udusił się w męczarniach.

– Czy ta kobieta, która widziała peugeota, była w stanie opisać bliżej samochód? – spytała Kate po chwili. Miała wyraźnie znużony, choć mimo to opanowany głos.

Caleb chciałby, aby choć tu zyskała odrobinę nadziei, nie mógł jednak zaprzeczać faktom.

– Niestety nie. Sądzi jedynie, że kierowcą był mężczyzna.

Kate westchnęła cicho.

– To prawie tyle co nic.

– Tak, ale oczywiście nie wiemy, czy ten samochód w ogóle ma jakiś związek ze sprawą. Dlatego nie powinniśmy się za bardzo zadrećzać, że także w tym punkcie nie możemy się posunąć dalej.

– Możliwe, że mojego ojca śledzono. Napad na niego był prawdopodobnie zaplanowany i starannie przygotowany.

– I coś takiego zakładamy. Tu nie chodziło o zwykłe włamanie, podczas którego pani ojciec miał po prostu pecha i wszedł włamywaczom w drogę. Gdyby tak było... – Caleb urwał i nie dokończył zdania, ale Kate wiedziała doskonale, co chciał powiedzieć.

– Gdyby tak było, to nie zostałby zamordowany w tak okrutny sposób. Sprawcą kierowały nienawiść i wściekłość. A przy tym niczego nie ukradziono.

– Zgadza się. Dokładnie tak, jak zeznała pani moim kolegom. W domu niczego nie brakowało, w dodatku w portfelu pani ojca znaleźliśmy dużą ilość gotówki, która najwyraźniej nie interesowała sprawcy czy też sprawców.

– Ale tu nasuwa się tylko jeden wniosek – powiedziała Kate. Nie robiła tego po raz pierwszy. – Wobec zawodu mojego ojca może chodzić tylko o akt zemsty. To oczywiste, że miał wrogów, zbrodniarzy, kryminalistów. Trzeba sprawdzić

każdą sprawę z jego przeszłości zawodowej i...

– Dokładnie to właśnie robimy, i to bardzo skrupulatnie – przerwał jej Caleb.
– Proszę mi wierzyć, podchodzimy do tego naprawdę bardzo poważnie. Powołaliśmy specjalną komisję i wszyscy, którzy w niej pracują, angażują się całym sercem. Richard był przecież jednym z nas. Chcemy wyjaśnić tę sprawę i zrobimy to.

– Czy próbował pan porozmawiać z Normanem Dowrickiem?

Sierżant śledczy Norman Dowrick był przez wiele lat najbliższym współpracownikiem Richarda Linville'a, a także jego serdecznym przyjacielem. Kate pamiętała go jeszcze z lat swojej młodości, bo i on, i jego żona często gościli w domu u Linville'ów. Rana postrzałowa, w wyniku której Dowrick doznał porażenia poprzecznego, była bezpośrednią przyczyną zakończenia jego kariery zawodowej dziesięć lat temu. W następstwie wypadku Norman zgorzkniał i stronił od wszystkiego i wszystkich – także od dawnych kolegów i przyjaciół, łącznie z Richardem. Kate często słyszała, jak jej ojciec mówił o tym ze smutkiem i rezygnacją. Ale tak czy owak – obaj mężczyźni pracowali ze sobą tak długo i byli sobie tak bliscy, że możliwość uzyskania od Dowricka interesujących informacji była zdaniem Kate z pewnością duża.

Jednak i tu Caleb musiał ją rozczarować.

– Jeden z moich pracowników był u niego, ale zastał tylko Mrs Dowrick. Norman rozstał się z żoną kilka lat wcześniej i przeprowadził się do Liverpoolu. Wiedzie tam smutne, samotne i pełne goryczy życie. Sądzę, że nie ma sensu go niepokoić. Nie wierzę, że powie nam coś, czego nie wiemy. W końcu on i Richard nie pracowali ot tak sobie. Wszystko jest udokumentowane.

– I czego dowiedział się pan dotychczas z tej dokumentacji?

Tymczasem dotarli do Scalby. Caleb wjechał na parking przed supermarketem znajdującym się na obrzeżu miasteczka i zatrzymał samochód.

– Kate, proszę teraz spokojnie odetchnąć. Nie musimy przecież omawiać wszystkiego zaraz w czasie pierwszej godziny pani pobytu tutaj. I tak będzie to trudne. Wejdzie pani do tego domu, będzie pani miała przed oczami obrazy z przeszłości i tego, co się ostatnio wydarzyło... Nie będę prowadził dochodzenia bez pani udziału. Ale nie jest konieczne, abyśmy już teraz mówili o wszystkim.

Patrzyła na niego oczami, w których widać było aż nadto wyraźnie mieszaninę beznadziei i ogromnego niepokoju.

– Nic pan więc nie ustalił. Niczego się pan nie dowiedział. Ponad dwa miesiące po zbrodni nie natrafił pan na żaden ślad i dochodzenie nie posunęło się do przodu ani o krok.

– Oczywiście wiemy już sporo. Ale sama pani wie, ile skrupulatnej i wykańczającej nerwy pracy to czasem wymaga.

– Czas pracuje przeciwko nam.

– Nie w przypadku aktu zemsty, który wiąże się z funkcją Richarda jako policjanta. To też jeszcze ustalimy, wcześniej czy później. Bez obaw, pracujemy nad tym.

Kate była w tej chwili ucieleśnieniem wszelkich wątpliwości co do tego ostatniego, ale nie powiedziała ani słowa. Caleb wskazał ręką supermarket.

– Powinna pani kupić sobie coś do jedzenia. Nie sądzę, że znajdzie pani cokolwiek w domu ojca. Funkcjonariuszka Scapin w swoim czasie opróżniła lodówkę i wyrzuciła wszystko, co się zepsuło. Zastanie pani także i pod tym względem zupełną pustkę.

– Dziękuję, poradzę sobie.

– Nie chce pani niczego kupować? Jutro jest niedziela i...

– Nie, nie chcę niczego kupować.

– Musi pani coś jeść.

– Coś na pewno się znajdzie.

Więcej nie mógł zrobić. Włączył silnik. Miał przed oczami Kate, jak będzie siedziała sama w pustym cichym domu, w którym niegdyś mieszkała z rodzicami, a jedynym dźwiękiem będzie tykanie zegara i brzęczenie much na szybie. Niemal widział ją, jak będzie stała w kuchni i wpatrywała się w krzesło, na którym, przywiązany za kostki i nadgarstki, umarł jej ojciec. Caleb na jej miejscu próbowałby szukać zapomnienia w dobrym jedzeniu i... No tak, ten dawny Caleb szukałby też zapomnienia w przynajmniej dwóch butelkach whisky. W takiej sytuacji pomóc mogły tylko kalorie i alkohol. Ale Kate nie wyglądała na kogoś, kto sięga po jedno czy drugie. Najwyraźniej już dawno nie zjadła porządnego obiadu i prawdopodobnie niewiele by jej pomogło, gdyby się od czasu do czasu upiła. Sprawiała wrażenie kogoś, kto nie sądzi, że cokolwiek czy też ktokolwiek jest w stanie jej pomóc – poza schwytaniem i ukaraniem mordercy. Ale zdaniem Caleba także i to nie uwolniłoby jej od ciągłego wewnętrznego bólu.

Caleb jechał teraz w kierunku Church Close.

Do domu nieżyjącego nadkomisarza Richarda Linville'a.

2

Siedzieli przy stole w salonie, pijąc kawę, i za wszelką cenę starali się podtrzymać rozmowę. A dokładniej mówiąc, starali się o to Stella i Jonas. Goście robili niewiele, aby to popołudnie nie było tak niemiłe i przykre. Terry Malyan w zasadzie niemal wyłącznie wpatrywała się z zachwytem w swojego przyjaciela i jak zauważyła Stella, próbowała z pewnym niepokojem, albo przynajmniej zdenerwowaniem, wybadać jego nastrój.

Neil Courtney. Ten nowy.

Stelli rzadko zdarzało się spotykać ludzi, którzy na pierwszy rzut oka od razu wydaliby jej się tak niesympatyczni jak ten człowiek. Kogoś, kto obudziłby w niej

wręcz jakiś odruch obrony i uczucie lęku, co nakazywało największą ostrożność w kontaktach. Gdyby miała opisać Neila Courtneya w kilku słowach, to użyłaby przede wszystkim określenia „arogancki”. Zarozumiały pyszałek. Absolutnie zimny uczuciowo. Bez śladu empatii. Typ, któremu najchętniej nie podałyby w ogóle ręki. Choć ten raczej wyglądał dobrze, był wysoki i dobrze zbudowany. Miał włosy zgolone dosłownie na długość milimetra, a w jego prawym uchu połyskiwał kolczyk. Biały T-shirt, dżinsy, kurtka dżinsowa. Mężczyzna, który z pewnością robił wrażenie na kobietach. A już z pewnością na Terry. Terry bardzo się zmieniła w ciągu tych pięciu lat, a może stało się to, jak przypuszczała Stella, dopiero wtedy, kiedy poznała Neila. Bo w pamięci Stelli zachował się obraz młodziutkiej, nieco egzaltowanej dziewczyny, praktycznie dziecka, które całkiem nieoczekiwanie miało zostać matką i nie mogło się odnaleźć w chaosie własnych uczuć. Stella wprawdzie nie była nią zachwycona, ale uważała ją za całkiem sympatyczną.

A teraz pomyślała, że Terry uległa złym wpływom. I nie była już sobą.

Już sam jej wygląd o tym świadczył: dawniej była typem dziewczyny noszącej T-shirty, dżinsy i adidas. Ubierała się sportowo, a brązowe włosy wiązała z tyłu głowy.

Była wtedy lekko, nieprzesadnie umalowana.

Teraz wybrała wariant kobiety seksownej i ekstrawaganckiej, a jednego i drugiego było zbyt dużo. Za dużo szminki, tuszu i pudru, farbowane włosy o nienaturalnie czarnym kolorze, także na czarno pomalowane paznokcie. Spódniczka mini ledwo zasłaniająca uda. Rajstopy we wzorki. Buty na obcasach tak wysokich, że dziewczyna sprawiała wrażenie wyższej niemal o głowę. Dekolt sięgający prawie do pępka.

Taki strój na spotkanie u adopcyjnych rodziców jej własnego dziecka? Tak dalece niestosowny? A przede wszystkim ona sama sprawiała wrażenie kogoś, kto sam nie czuje się zbyt dobrze we własnej skórze. Nie wydawała się pewną siebie młodą kobietą, która działa świadomie, znajduje w tym przyjemność i której nie obchodzi, co myślą o tym inni. Raczej wyglądała jak ktoś niepewny siebie i zestresowany. Nie była sobą. Patrząc na nią, można było przypuszczać, że w jej życiu jest teraz jeden cel, któremu całkowicie podporządkowała wszystko, a przede wszystkim siebie samą: przypodobać się temu facetowi, którego gdzieś dorwała, albo który dorwał ją.

„Ale – pomyślała Stella – może ja to źle interpretuję? Może niewłaściwie odbieram ich oboje, dlatego że ta sytuacja wydaje mi się tak okropna?”

Już w czasie rozmowy telefonicznej powiedziała, że na planowanym party urodzinowym Sammy’ego dorośli tylko by przeszkadzali, ale Terry i Neil w odpowiedzi oświadczyli natychmiast, że wobec tego przyjadą dzień później, i teraz, w sobotę, oboje siedzieli w salonie i działali Stelli na nerwy. Dla

Sammy'ego przynieśli komplet klocków, jakimi chłopiec był zafascynowany w wieku dwóch lat. Teraz były one dla niego nudne. Oczywiście Terry i Neil nie potrafili tego przewidzieć, ale Stella zastanawiała się, czy naprawdę tak trudno było w sklepie zapytać sprzedawczynię o stosowny prezent dla pięcioletniego chłopca. Stella miała wrażenie, że po prostu wzięli z półki pierwszą lepszą zabawkę. Kiedy zjawili się w domu i w korytarzu natychmiast stanął Sammy, Terry odwróciła się do Neila i powiedziała z dumą:

– To właśnie on! To mój syn!

Stella z trudem powstrzymała się przed wygłoszeniem ostrego komentarza, zaskoczony Sammy przenosił wzrok z jednego dorosłego na drugiego, a Neil spojrział na dziecko przelotnie, nawet nie próbując ukryć kompletnego braku zainteresowania. W mieszkaniu panował bałagan po dopiero co zakończonym party – dmuchane baloniki wiszące na poręczy schodów, ale także w ogrodzie na krzewach, powoli traciły powietrze, a w kątach leżały jeszcze nieposprzątane resztki serpentyn i papierowe kubki. Stella przeprosiła za nieporządek, ale goście nie zareagowali. Nie pytali też, jak wypadło party, ile dzieci wzięło w nim udział ani czy Sammy ma dobrych przyjaciół. Nic nie wskazywało na to, że są ciekawi informacji na temat małego chłopca, jego życia i otoczenia. „Czy ma mnie to uspokoić czy raczej nie?” – zastanawiała się Stella.

Po przyjęciu zostało mnóstwo ciasta i lodów, dlatego przynajmniej było czym poczęstować gości. Terry chciała herbatę, Neil kawę. Sammy przeniósł się do ogrodu i bawił się tam z dzieckiem sąsiada, które przyszło w odwiedziny, po prostu wspiąwszy się na płot.

Miłe, spokojne sobotnie popołudnie.

Tak to przynajmniej wyglądało z zewnątrz.

– Neil chciał koniecznie poznać Sammy'ego – oświadczyła Terry. – I oczywiście także państwa oboje. W jakiś sposób jesteście państwo częścią mojego życia.

Stella wcale nie czuła, że jest częścią życia Terry, ani też nie chciała nią być. Zauważyła, że Neil wpatruje się w nią intensywnie. Miała wrażenie, że dostrzegł jej zakłopotanie i że w jakiś sposób go to cieszy.

– Nie powinniśmy wymagać zbyt wiele od Sammy'ego – powiedziała. – Oczywiście nie będziemy ukrywać przed nim faktu, że jest dzieckiem adoptowanym, ale w tej chwili on tego jeszcze nie jest w stanie zrozumieć. Uważa siebie za nasze dziecko.

– Nie można temu niczego zarzucić, jeśli jest pani wobec niego szczerą – odparł Neil.

Po tych słowach zapadło nieprzyjemne, pełne zakłopotania milczenie. Zarówno Stella, jak i Jonas mieli uczucie naruszenia pewnych granic, ale oboje byli zdecydowani przetrwać ten dzień bez eskalacji konfliktu. Jonas dał znak Stelli, aby

nie dała się wyprowadzić z równowagi.

– Jeszcze przed adopcją Urząd do spraw Młodzieży bardzo dokładnie nas poinstruował, Mr Courtney – odpowiedział Jonas uprzejmie. – Doskonale wiemy, co i kiedy mamy robić, aby oswoić Sammy’ego z jego specyficzną sytuacją. Proszę się nie obawiać.

– Zawsze mówiłam Neilowi, że jesteście państwo wspaniałymi ludźmi – powiedziała Terry. – Zachwycalam się państwem zawsze, prawda, Neil? Jesteście tak sympatyczni, pełni ciepła i tak zaangażowani... A poza tym nie byłabym w stanie zapewnić mojemu małemu takich warunków. To wszystko tutaj... – rozejrzała się po obszernym wnętrzu ze słonecznym wykuszem – to wszystko musiało kosztować dużo pieniędzy.

– No, takich domów nie splanca się od razu – wyjaśnił Jonas i roześmiał się, co zabrzmiało trochę nieszczerze. – To trzeba robić mozolnie całymi latami.

– Pan jest autorem scenariuszy? – dopytywał się Neil. – Terry wspominała coś o tym...

– Tak. Pracuję na własny rachunek dla kilku telewizji i wytwórni filmowych. Taka praca sprawia dużo przyjemności, jest interesująca, bo zawsze robi się coś nowego, ale trzeba mieć duże zaufanie do swojej kreatywności.

Dom splanca się mozolnie całymi latami... Zaufanie do własnej kreatywności... Stella potrzebowała dłuższej chwili, aby zrozumieć, dlaczego Jonas zniżał się do takiej otwartości wobec tych zupełnie obcych ludzi. Jonas najwyraźniej rozumiał albo przypuszczał, że ci dwoje nie zjawili się tutaj z powodu Sammy’ego. Sammy był im całkowicie obojętny. Terry opowiadała Neilowi bajki o dobrobycie Crane’ów, a to popołudnie nie było niczym innym jak przyjazdem na zwiady. Neil chciał się dokładnie rozejrzeć. I z pewnością snuł już plany, jak poprzez osobę małego Sammy’ego będzie można tu zdobyć trochę pieniędzy. Strategia Jonasa polegała zaś na tym, aby tej parce już teraz wybić z głowy przekonanie, że mają do czynienia z bogatymi, dobrze sytuowanymi ludźmi.

– A czym się pan zajmuje zawodowo, Mr Courtney? – zapytał z kolei Jonas. Neil w odpowiedzi uniósł brwi.

– A czy trzeba się czymś zajmować zawodowo? – odparł.

– Trzeba z czegoś żyć – odrzekła na to Stella.

Neil spojrział na nią wręcz pogardliwie, jeśli nie lekceważąco.

– Życ można z wielu rzeczy. I trzeba dać sobie tyle czasu, żeby móc znaleźć właściwą drogę.

Stella oceniła, że mógł mieć około dwudziestu dziewięciu lat, najwyżej trzydzieści. Czy w tym wieku nie powinien był już znaleźć takiej drogi?

– Neil odziedziczył trochę pieniędzy – pośpieszyła z wyjaśnieniem Terry. – I dlatego w tej chwili nie musi myśleć o zawodzie, pracy i w ogóle. A ja pracowałam w pubie, ale dwa tygodnie temu straciłam tę pracę. Zobaczymy, czy

znajdę coś innego.

Tego jeszcze brakowało. Stella cieszyłaby się, gdyby oboje, odpowiednio do swojego wieku, byli tak zapracowani, że intensyfikacja kontaktów z rodziną Crane'ów stanowiłaby przynajmniej problem czasowy. Ale wszystko wskazywało na to, że Terry i Neil żyli z dnia na dzień, a ich największym zmartwieniem było wymyślanie strategii wypełnienia pustki codziennego dnia i grożącej nudy. Stella widziała samochód, którym przyjechali: stary i zniszczony. Neil nie mógł odziedziczyć zbyt dużego majątku; był typem człowieka, który chętnie szafowałby symbolami statusu, gdyby go było na to stać.

Teraz chodziło zapewne o stawkę, która pozwoliłaby mu żyć jakiś czas bez pracy i szukać własnej drogi, co jednak nie wystarczyłoby na całe życie. Stella z biciem serca pomyślała, że Jonas najprawdopodobniej ma rację: Neil właśnie rozglądał się za nowym źródłem pieniędzy, a oni oboje stanowili jedną z opcji.

„Nigdy nie powinnam była się zgodzić na to spotkanie” – pomyślała.

Ale jednocześnie wiedziała, że nie miała wielkiego wyboru: Terry dowiedziała się już kilka lat temu, pod jakim adresem mieszkają. Neil i ona za tydzień lub dwa i tak sprawiliby im radosną niespodziankę, stukając po prostu do drzwi bez zapowiedzi. „Bo byliśmy tu przejazdem i pomyśleliśmy...”

Nieznosne popołudnie wlokło się w nieskończoność. Jonas opowiadał o swojej pracy, a Stella od czasu do czasu wychodziła do ogrodu, aby zobaczyć, co robią Sammy i jego mały przyjaciel. Ale u dzieci wszystko było w porządku. Wczesnym wieczorem Neil spytał, czy mógłby dostać szklankę soku pomarańczowego, a Stella natychmiast uciekła do kuchni, ciesząc się, że choć przez chwilę nie będzie się męczyć w tej przygniatającej, niemiłej atmosferze. Pół minuty później zjawił się Jonas, zamknął drzwi za sobą i najciszej jak mógł, syknął:

– Tylko nie proponuj im kolacji! Chcę, żeby stąd zaraz znikli!

Stella właśnie wyjmowała sok z lodówki.

– Na pewno niczego nie zaproponuję. Ale jak się ich pozbędziemy?

– Właśnie w ten sposób: niczego nie proponując. Nie dostaną nic więcej oprócz tego soku. Od tej chwili niczego nie podamy. Ani wina, ani soku, ani piwa czy krakersów. Nic. Może w końcu zrozumieją.

– Jonas, sądzisz, że są niebezpieczni?

Zawahał się przez sekundę.

– Nie. Ale ten Neil to bardzo niesympatyczny facet. I przez całe popołudnie rozmyśla, pod jakim pretekstem będzie mógł do nas co rusz zaglądać. A Terry jest mu całkowicie podporządkowana i nic nie rozumie. Ona ciągle sądzi, że Neil chciał poznać jej syna.

– Jonas, czy oni oboje...

Położył jej rękę na ramieniu.

– Nie martw się. Nie mogą nam odebrać Sammy’ego, nie mają żadnej podstawy prawnej, aby żądać zezwolenia na kontakty. To, że oni dzisiaj tutaj są, wynika wyłącznie z naszej skłonności do ustępstw. Ale muszą pojąć, że na tej wizycie się skończy.

Stella skinęła głową. Kiedy oboje wrócili do pokoju, Terry i Neil nie siedzieli przy stole. Terry stała w wykuszu i patrzyła na ulicę, a Neil był przed małym sekretarzykiem Stelli koło kominka i trzymał coś w ręce. Stella podeszła bliżej i zauważyła, że był to prospekt z North York Moors, w którym jeszcze rankiem oglądali miejscowość leżącą w pobliżu ich domu do wynajęcia. Jonas dostrzegł to w tej samej chwili. Natychmiast podszedł do Neila i zdecydowanym ruchem wyjął mu prospekt z ręki.

– Nie lubimy, kiedy ktoś patrzy, co mamy na biurku – wyjaśnił.

Neil podniósł obie ręce, ale w najmniejszym stopniu nie sprawiał wrażenia zakłopotanego.

– Sorry. Chciałem sobie tylko obejrzeć ten sekretarzyk. Piękna rzecz. Naprawdę jest taki stary?

– Tak.

Neil wskazał na prospekt.

– North York Moors. Spędzacie tam letnie wakacje?

– Jeszcze nie wiemy – odparł Jonas. – Termin mojego urlopu nie jest na razie ustalony.

– Cudowna okolica. No w każdym razie dla kogoś, kto naprawdę lubi przyrodę. Oprócz wrzosów i owiec nie ma tam niczego więcej.

– Jak mówiłem, jeszcze się nie zdecydowaliśmy.

Stella podała mu sok.

– Proszę, pański sok.

Razem z Jonasem stali na środku pokoju, jak gdyby na coś wyczekując. Żadne z nich nie proponowało gościom zajęcia miejsca.

Neil spokojnie, jak gdyby nigdy nic pił swój sok.

– No tak – powiedział wreszcie – powinniśmy się powoli zbierać.

– Jedziecie państwo jeszcze dziś do Truro? – spytał Jonas.

Neil zrobił taką minę, jak gdyby Jonas powiedział coś zabawnego, po czym odrzekł:

– Ja przecież nie mieszkam w Truro! Dobry Boże! Terry wprawdzie stamtąd pochodzi, ale mnie do tej dziury nie zaciągnęłyby nawet parą koni!

Terry się roześmiała, ale raczej z przymusem i z pewnym udręczeniem w głosie.

– My mieszkamy w Leeds – oświadczył Neil, po czym wskazał na prospekt, który Jonas trzymał w dłoni. – Dlatego tak dobrze znam tamtą okolicę. Jeśli zamierzacie państwo spędzić tam wakacje, mogę dać wam parę wskazówek.

– Dziękuję. Ale jak mówiłem, nic jeszcze nie jest zdecydowane – odparł Jonas, czując przez chwilę nagły strach.

Trwało to jeszcze dobre dwadzieścia minut, zanim oboje wreszcie wyszli, bo Terry celebrowała tkliwe pożegnanie z Sammym, co chłopiec przyjmował z pewną niechęcią. Kiedy wreszcie zamknęły się za obojgiem drzwi i rozległ się odgłos włączanego silnika, Stella oświadczyła:

– Tego tylko brakowało. Yorkshire już nie wchodzi w grę jako miejsce twojego odosobnienia. Dobry Boże, Leeds! To przecież tuż obok!

– Nie tak całkiem obok – odparł Jonas – choć rzeczywiście nie na drugim końcu kraju, to prawda.

Wszedł do salonu i wyraźnie wyczerpany osunął się na jedną z kanap.

– Boże, Leeds! Też o niczym nie wiedziałaś?

Stella poszła za nim i zatrzymała się w wejściu, opierając się o drzwi.

– Nie. Po prostu zakładałam, że oboje mieszkają w Truro, bo Terry kiedyś tam mieszkała. To oczywiście było naiwne. Minęło przecież pięć lat. Dlaczego wszystko miałooby być takie jak wtedy?

– Terry bardzo się zmieniła.

– Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że jest mu całkowicie podporządkowana.

Stella wyjrzała przez okno. Neil właśnie zawrócił i niebieski renault ruszył, opuszczając – oby na zawsze – Kingston-upon-Thames.

– Ona wpatruje się w jego usta. Błaga, nawet nie mówiąc, o odrobinę akceptacji z jego strony, i zrobi wszystko, czego on zażąda. A on to wstrętny typ.

– Tak, to prawda. – Jonas wstał gwałtownie. – Ale ja nie pozwolę na to, aby ta parka wtrącała się do naszego życia. I ty także nie. Ten dom gdzieś na pustkowiu to doskonała oferta i wynajmiemy go.

Stellę nagle ogarnęły lęk i poczucie zagrożenia – a wraz z nimi jakieś niedobre przeczucia.

– Powinniśmy z tego zrezygnować – oświadczyła.

– Stella, a cóż może się stać? Oni oboje nie mają pojęcia, gdzie dokładnie mamy zamiar się zatrzymać. Nie wiedzą też, kiedy to będzie. A w ogóle dlaczego mieliby nas tam tropić? Raczej nie z powodu tęsknoty za Sammym, o tym już się dziś przekonaliśmy. Nie są nim zbyt zainteresowani.

– Właśnie. I o to chodzi. To dlaczego dziś tutaj byli?

Oboje patrzyli na siebie, rozmyślając.

Po chwili Stella sama odpowiedziała na swoje pytanie:

– Ty wiesz, dlaczego opowiadałeś im, jak mozolnie spłaca się domy kupowane na raty i jak niepewny jest los autora scenariuszy pracującego na własny rachunek. To, co chciałeś im powiedzieć, brzmi: nie jesteśmy bogaci. Nic od nas nie wyciągniecie. Bo czuleś, że to właśnie kryje się za tą historią. Terry opowiedziała mu, że ma syna, który został adoptowany i wie, że teraz dostanie

życie na jednym z lepszych londyńskich przedmieść. W jej przekonaniu jesteście zapewne dość bogaci, i to także powiedziała Neilowi. Te odziedziczone pieniądze mają się chyba ku końcowi, wobec tego on postanowił tu wpaść i rozejrzeć się, czy da się tu coś uskubać.

– Okay. Tak, rzeczywiście tak myślałem. Ale jeśli zastanowisz się do końca, Stella, to też zadasz sobie pytanie: co on mógłby tu zrobić? Może wyobrażał sobie, że dzięki Sammy’emu staniemy się czymś rodzaju wielkiej szczęśliwej rodziny albo przynajmniej dobrymi przyjaciółmi i że dzięki takiej okoliczności on odniesie jakieś mniej lub bardziej nieokreślone korzyści? A przecież od nas zależy, czy sobie na to pozwolimy. I nie mamy tego zamiaru. To było pierwsze i ostatnie spotkanie, następnych nie będzie. Sądzę też, że Neil to zrozumiał. Terry jest beznadziejnie naiwna, ale on jest naprawdę przebiegły. Przypuszczam, że jeśli miał jakieś plany, to już nas skreślił.

– A jeśli nie?

– Gdyby przeszło to w coś w rodzaju stalkingu, zwrócimy się do policji. I jeśli będzie to konieczne, postaramy się o odpowiedni nakaz sądu. Ale oni tak daleko się nie posuną. Nie sądzę więc, że będziemy do tego zmuszeni.

Stella miała przed oczami dom, o którym marzył Jonas. Jonas, któremu groziło wypalenie zawodowe i który dlatego powinien przynajmniej na dwa tygodnie całkowicie odizolować się od świata. Następna miejscowość nazywała się Bridge i była położona dość centralnie w Hochmoor, ale była także oddalona o dziesięć mil jazdy samotną wiejską drogą od dawnej farmy, którą kiedyś kupił i przebudował kolega Jonasa, urządzając tam swoją samotnię.

„Tam można naprawdę pracować i pisać – mówił ów kolega. – Jest się zupełnie odizolowanym od Boga i świata. Nie ma telewizora, nie ma telefonu ani nawet radia. Żeby złapać zasięg komórki, trzeba się wspiąć na najbliższe wzgórze. Jedyne istoty, które zobaczysz, to owce i ptaki. A one na pewno nie będą zamęczać cię gadaniem. Możesz się tam całkiem odizolować od świata. Jeśli będę miał dość presji czasu i terminów, a będę potrzebował koncentracji, to się tam wyniosę, bo to jest akurat to, czego potrzebuję. A jeśli w dodatku twój lekarz sądzi, że powinieneś koniecznie się wyłączyć, to jest odpowiednie miejsce. Absolutnie nudne!”

Jonas opowiadał o tym Stelli z zachwytem. Ale jej nie podobało się to, co mówił o swojej wizycie u lekarza i o rozwiązaniu, które się od razu pojawiło. W głębi ducha zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby Jonas wyjechał dokądś sam, a ona w tym czasie została w domu albo pojechała z Sammym do krewnych w odwiedzin, przesuwane od lat.

Ale teraz wszystko wyglądało inaczej. I chociaż wiedziała, że Jonas ma rację, uspokajając ją i przedstawiając tyle argumentów, to nie mogła uwolnić się od owego osobliwego przecucia, które męczyło ją przez całe popołudnie, a nawet od chwili pierwszego telefonu Terry: uczucia grożącego niebezpieczeństwa. A przy

tym sama nie wiedziała, co to właściwie miało być, nie potrafiła tego zdefiniować ani choćby bliżej opisać. Jedyne, co sobie wobec tego uświadamiała, brzmiało: nie powinniśmy się teraz pod żadnym pozorem rozstawać.

– Nie powinniśmy tam jechać – powiedziała głośno. – Do Egton Bridge. Jonas, znajdźmy jakieś inne miejsce.

– Prześpijmy się z tym pomysłem – odparł.

Choć właściwie podjął już decyzję.

Niedziela, 4 maja

Spała w łóżku swojego zamordowanego ojca, bo miała nadzieję, że będzie mu w ten sposób bliższa. Że jakoś poczuje jego bliskość. Byli przecież ludzie, którzy po utracie swoich krewnych mówili, że ciągle czują ich obecność. On nie odszedł, nawet jeśli go nie widzę. On jest ze mną.

Kate po śmierci Richarda ani przez chwilę nie odczuwała czegoś podobnego. Ojciec odszedł gdzieś daleko, i ona czuła się teraz zupełnie opuszczona. Pamiętała go, ale to było jedynie wspomnienie, i miała wrażenie, że to wspomnienie szepcze do niej: wszystko minęło, minęło, minęło... Pościel nie była zmieniona od tamtej nocy, w czasie której został zamordowany. Kate wtedy, w lutym, nie była w stanie tego zrobić, a teraz prawdopodobnie też by nie mogła. Wydawało jej się, że czuje jeszcze zapach żeluzianu, którego używał pod prysznicem Richard, ale może sobie to tylko wmawiała.

Tego ranka po obudzeniu leżała jeszcze chwilę w łóżku, a blade światło dnia powoli rozjaśniało pokój. Łóżko, szafa, komoda. Więcej mebli tu nie było. Na komodzie fotografia w ramkach przedstawiająca matkę Kate. Zdjęcie jeszcze z czasów przed chorobą. Matka była wtedy kobietą o różowych policzkach i błyszczących, pełnych radości oczach. A później zmizerniała i zbladła, jej oczy zapadły się głęboko i widać w nich było jedynie ból i rozpacz.

Kate wstała o ósmej, wzięła prysznic w znajdującej się obok łazience, ubrała się i zeszła na dół. Wyważone drzwi, które prowadziły z jadalni do ogrodu, naprawiono już w lutym, ale tych między ogrodem a kuchnią ciągle nie dawało się porządnie zamknąć. Kate czuła ciągłe chłodnego powietrza, które płynęło do kuchni przez szparę szerokości palca. Te drzwi to była prawdziwa katastrofa, pożeracz ciepła i zagrożenie, ale jednak nie tędy wiodła droga mordercy. Kate wnioskuje, że sprawca, czy też sprawcy, nie znał pomieszczeń i rozkładu domu, w którym mieszkał Richard. Wybicie szyby w drzwiach jadalni było o wiele bardziej ryzykowne, głośnie i trudniejsze; za to drzwi kuchenne można było praktycznie bez żadnego hałasu po prostu wyjąć z zawiasów. I choć sprawca interesował się wyłącznie osobą Richarda, to jednak nie należał do kręgu jego bliższych znajomych, bo wówczas wiedziałby o tym. Z kręgu podejrzanych należało chyba także wykluczyć rzemieślników, którzy prawdopodobnie jeszcze przed kilkoma tygodniami pracowali w domu, jak też ludzi z otoczenia przychodzącej tu sprzątaczkii. Kate wiedziała, że także i te możliwości zostały natychmiast sprawdzone, ale tak jak się spodziewano, nie przyniosły one rezultatu. Była więc przekonana, że zbrodnia miała coś wspólnego z przeszłością ojca. Czyli to szukanie igły w stogu siana, którym było ponad czterdzieści lat pracy zawodowej Richarda.

Poprzedniego dnia Kate podgrzała sobie puszkę fasoli w pomidorach, którą

znalazła w jednej z kuchennych szafek, ale perspektywa śniadania była raczej beznadziejna. Chyba powinna była zaakceptować propozycję Caleba Hale'a i zrobić jakieś zapasy w supermarkecie. Kromka tostowego pieczywa z dżemem byłaby teraz jak najbardziej wskazana, ale niczego podobnego nie mogła znaleźć w kuchni. W szafce były tylko kolejne puszki fasoli w pomidorach. Kate uśmiechnęła się mimowolnie. Po śmierci żony Richard odżywił się bardzo monotonnie.

Ale ona, jeśli miała być szczerą, też postępowała podobnie. Już od dawna nie jadła starannie i smacznie przyrządzonych posiłków. Ostatni raz było to na Gwiazdkę. Całe święta oraz sylwestra spędziła tutaj, u ojca, razem gotowali, a dwa razy Richard zaprosił ją do eleganckiej restauracji. I jak zawsze rozmawiali o wszystkim, tylko nie o problemach, z którymi każde musiało się uporać. Kate przypuszczała, że ojciec czuł się bardzo samotny, ale nigdy jej o tym nie mówił, a ona, podobnie jak on, nie zdobyła się na odwagę, aby mu powiedzieć, jak jej jest źle. Trochę bagatelizując sprawę, wmówiła sobie, że po prostu nie chce go zdręzczać i że on nie powinien się martwić o swoje jedyne dziecko. Ale w głębi ducha wiedziała, że kryło się za tym co innego: za nic nie chciała go rozczarować. Nie mógł się dowiedzieć, że tak naprawdę była życiowym bankrutem. A tak bardzo chciała być córką, z której on mógł być dumny.

Stała w kuchni i grzała palce, trzymając w dłoniach kubek z gorącą kawą. Kawy przynajmniej było tutaj dość. Z całej siły starała się nie patrzeć na krzesło, do którego przywiązano tamtej nocy jej ojca i na którym on zmarł. Ktoś wsunął je głęboko pod stół, może sprzątaczką, która usunęła wszystkie ślady, kiedy policja przekazała jej miejsce zbrodni. Wtedy, jeszcze w lutym, zaraz po jej przyjeździe, na podłodze były plamy krwi i Kate pamiętała, że na ten widok zrobiło jej się słabo i jedna z policjantek wyprowadziła ją z kuchni do salonu. Wszyscy byli dla niej bardzo serdeczni i troskliwi.

Teraz plamy krwi znikły. Kuchnia była idealnie wysprzątana i czysta, nigdzie nie było ani śladu dramatu, który się tu rozegrał.

„Powinnam otworzyć drzwi i okna – pomyślała. – Tu wewnątrz jest po prostu zimno i czuć stęchlizną”.

Zadygotała i potarła ramiona. Był wczesny ranek, a mimo to miała wrażenie, że chłód panujący w domu nie ma nic wspólnego z temperaturą na zewnątrz. Było to raczej związane z tym, że nikt tu już nie mieszkał i że dom od ponad dwóch miesięcy był niemal hermetycznie zamknięty, a ogrzewanie ustawione na najniższy stopień. Kate przypominała sobie, że dawniej ten dom tętnił życiem i radością, mimo że ich rodzina składała się tylko z trzech osób. Ale jej matka była kobietą pełną radości i ciepła, a ojciec nawet w czasie najgorszych dni w pracy miał zawsze dobry humor. Kate miała szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo. I aż do dzisiaj nie potrafiła zrozumieć, dlaczego potem nie potrafiła ułożyć sobie życia. Bo właściwie

nie było po temu żadnego wyraźnego powodu.

A bilans wyglądał tak: miała trzydzieści dziewięć lat, była kobietą samotną, bez męża, bez dzieci, bez choćby towarzysza życia, także bez przyjaciół. Policjantka w Metropolitan Police, jeszcze rok temu ciągle w stopniu funkcjonariusza śledczego, co było raczej niezwykle i dość nieprzyjemne, jeśli wziąć pod uwagę jej wiek i wszystkie lata, które spędziła w Scotland Yardzie. We wrześniu ubiegłego roku wreszcie zdała egzamin i dostała awans na sierżanta śledczego. Nic to jednak nie zmieniło. Koledzy zachowywali w stosunku do niej dystans, nikt jej też nie szukał, jeśli nie było to naprawdę konieczne. Jej uwadze nie umknął fakt, że plotkowano na jej temat i wręcz przewracano oczami, kiedy zabierała głos w czasie zebrań. W jakiś sposób wydawała się zawsze nie mieć racji, a może formułowała wypowiedzi tak, że nikt się z nimi nie zgadzał. W rezultacie tak dalece straciła pewność siebie, że często w ogóle się nie odzywała i próbowała nie podejmować żadnych decyzji z obawy, że powinno być dokładnie odwrotnie, niż mówiła czy robiła. Dlatego też była odbierana negatywnie przez wszystkich, bo od policjantki, która pełniła służbę w najsłynniejszej i najbardziej renomowanej instytucji Zjednoczonego Królestwa, oczekiwano właśnie zdolności podejmowania szybkich i trafnych decyzji oraz konsekwentnego działania. I domyślała się, że każdy zadawał sobie pytanie, jakim cudem właśnie jej udało się dostać do Scotland Yardu, i że przypuszczano, jakoby wykorzystwała w tym celu znajomości swego ojca. A to akurat nie było prawdą. Kate udało się tego dokonać zupełnie samej. I teraz wydawało jej się, że minęły tysiące lat od czasu, kiedy była bardziej pewna siebie i nawet odnosiła jakieś sukcesy. A potem było jedno czy dwa niepowodzenia, które ją wprost sparaliżowały. Rozsądek podpowiadał jej, że błędy nie są niczym niezwykłym i że nie była jedyną osobą, która to czy owo zaważyła, ale to niewiele pomagało. Jej pewność siebie zachwiała się bezpowrotnie, a spirala raz popełnionych błędów ściągała ją jeszcze bardziej w dół. A bez wiary w siebie nie była w stanie radzić sobie ze swoją pracą. I niemal codziennie czekała, aż ktoś da jej do zrozumienia, że powinna poszukać czegoś innego. Nieco lepiej poczuła się wtedy, kiedy po śmierci ojca zaczęto ją traktować trochę łagodniej i nawet ci koledzy, których najbardziej irytowała, bardzo jej współczuli. Ale za to szef nie ukrywał zadowolenia, kiedy poprosiła o przedłużony urlop – aby uregulować sprawy spadkowe po ojcu i uporać się z samą sobą. Przypuszczalnie miał nadzieję, że ona nie wróci do pracy.

Rozmyślała tak długo, wpatrując się w ogród za oknem, że trzymany w rękach kubek stał się zupełnie zimny. Spróbowała wypić łyk kawy i skrzywiła się: płyn był letni i gorzki. Wylała kawę do zlewu i spojrzała na zegarek. Tuż po dziewiątej. Trochę wcześniej jak na niedzielę, ale postanowiła zaryzykować i kogoś odwiedzić.

Godzinę później wiedziała niewiele więcej. Udała się do Robina Spencera,

mężczyzny, którego przyjaciółka widziała dziwnie zachowującego się kierowcę zielonego peugeota. Choć Caleb Hale w trakcie opowiadania o tym nie wymienił żadnego nazwiska, Kate doskonale wiedziała, o kogo chodziło. W końcu wychowała się w Scalby, w dodatku tu, w Church Close, i dzięki ojcu nawet dwadzieścia lat po przeprowadzce do Londynu była dobrze poinformowana o wszystkich ludziach i wydarzeniach w okolicy. Robin Spencer zawsze uchodził za flirtiarza, kogoś, kto lubił zawierać nowe znajomości z kobietami i bardzo się przy tym starał unikać wszelkich zobowiązań. A romans z zamężną kobietą wskazywał właśnie na niego, bo była to najmniej ryzykowna forma związku.

Ale Kate nie udało się wydobyć z niego więcej niż to, co wiedziała. Robin nie był też zachwycony, kiedy w niedzielę wczesnym rankiem zobaczył ją przed drzwiami, ale zaprosił Kate do środka, z zakłopotaniem złożył jej kondolencje i zaoferował kawę. Na szczęście był sam. Nie, nie zamierza jej ujawnić nazwiska swojej przyjaciółki, bo jak powiedział, ona biedna i tak miała już dostatecznie dużo problemów związanych z tą sprawą. Przede wszystkim była u niej policja i samo to wystarczyło. I powiedziała policji wszystko, co wiedziała. I nie, ona nie wie na pewno, czy to był peugeot, ale przypuszcza, że tak było. Tak, to na pewno był ciemnozielony samochód. Kierowca? Wysokie prawdopodobieństwo, że to był mężczyzna. Nie, nie ma szans, jeśli chodzi o numer rejestracyjny, bo ona w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Kto mógłby w ogóle przypuszczać, że w tej kołtuńskiej okolicy może się zdarzyć coś tak okropnego?

Kiedy Kate pożegnała się i wyszła, zakręciło jej się w głowie z nadmiaru kofeiny. A także z powodu pustego żołądka. Poza tym na dworze zrobiło się dość ciepło i stwierdziła, że była zupełnie niestosownie ubrana: miała na sobie długie spodnie, wełniany sweter i kurtkę. Czowała, że po plecach cieknie jej pot, kiedy szła ulicą w stronę domu. Była zmęczona i sfrustrowana.

„A czego się spodziewałaś – myślała – ty, najbardziej nieudolna policjantka w całym Scotland Yardzie? Że pójdziesz tam, zadasz kilka odpowiednich pytań i hop! – wyciągniesz z niego właściwą odpowiedź, która będzie prowadziła niemal wprost do sprawcy? Przyjaciółka Spencera powiedziała wszystko, co wiedziała. Na rozkaz nie przyjdzie jej do głowy już nic więcej”.

Kate już z daleka zauważyła, że przed jej domem zaparkował jakiś samochód, a kiedy podeszła bliżej, dostrzegła, że było to auto Caleba Hale’a. On sam stał przed drzwiami i trzymał w ręku papierową torbę z nadrukiem indyjskiego sklepu typu take-away, na wynos.

Caleb uśmiechnął się z ulgą na widok Kate.

– Co za szczęście! Myślałem już, że będę musiał odejść z kwitkiem. Proszę.
– Zakotyła lekko torbę. – Już sama myśl o tym, że będzie pani głodować, nie dawała mi spokoju. Mam nadzieję, że lubi pani curry?

Kate, idąc w jego stronę ogrodową ścieżką, miała nadzieję, że nie wygląda

tak okropnie, jak się czuła. Włosy kleiły jej się do karku i czuła, że twarz ma mokną od potu.

– Jeszcze nie ma nawet dziesiątej – odpowiedziała zamiast powitania. – Trochę za wcześnie na obiad, prawda?

– Możemy to odłożyć i potem podgrzać. Ma pani kuchenkę mikrofalową, tak?

Otworzyła drzwi do domu, lekko wzdychając. Wszystko wskazywało na to, że nie tylko przyniósł jej coś do jedzenia, ale postanowił zostać, żeby nie jadła w samotności. Wiedziała, że zachowywała się nieuprzejmie, ale czuła, że on jej współczuł, a to uczucie powodowało, że niemal mimowolnie budził się w niej jakiś wewnętrzny sprzeciw. Potrafiła ocenić siebie samą realnie i wiedziała, że ani nie jest piękną, ani też nie ma w niej nic, co określano jako osobowość silną i pełną uroku. Na nikim nie robiła żadnego wrażenia. Całe życie mężczyźni nie zwracali na nią żadnej uwagi. Z wyjątkiem tych, którym było jej żal. A współczucie było dla niej gorsze niż niezwracanie na nią żadnej uwagi. Niż niedostrzeganie jej, jak gdyby była przezroczysta. Bo z tym potrafiła sobie jakoś poradzić, a teraz wszystko wskazywało na to, że Caleb chce dołączyć do grupy miłosiernych samarytan. Miała ogromną ochotę poprosić go, aby zostawił ją samą, ale to on prowadził dochodzenie w sprawie morderstwa jej ojca. Był dla niej ważną osobą. Był też istotnym źródłem informacji. Głupio byłoby go irytować.

Zmusiła się więc do uśmiechu.

– Przykro mi, przepraszam. Nie chciałam być nieuprzejma. Miło, że pan o mnie pomyślał. Tylko... to jest... być tutaj...

Nie dokończyła, ale Caleb skinął głową ze zrozumieniem.

– Doskonale mogę sobie to wyobrazić. Dlatego też pomyślałem, że nie powinna pani zbyt długo być sama. A na pewno powinna pani zjeść coś smacznego.

Wszedł za nią na korytarz.

– A poza tym chciałbym coś z panią omówić.

W kuchni odstawił torbę na stół i rozejrzał się badawczo. Także on natychmiast odwrócił wzrok, kiedy dostrzegł krzesło, na którym siedział Richard. Caleb nie był wprawdzie na miejscu zbrodni razem z kolegami, ale widział fotografie. I patrząc na nie, doznał wstrząsu, mimo że widział już niejedno.

Kate zatrzymała się pośrodku pomieszczenia.

– Jak długo pracował pan z moim ojcem? – spytała wprost.

– Niezbyt długo – odparł Caleb. – Znalazłem się u niego w zespole zaledwie rok przed jego przejściem na emeryturę. Dlatego nie zdążyliśmy się naprawdę dobrze poznać czy też zbudować wspólnego wizerunku zawodowego. Ale bardzo go cenilem i żałowałem, że odszedł z pracy w policji. Był dobrym i doświadczonym policjantem i bardzo sympatycznym kolegą.

– Był też wspaniałym ojcem – powiedziała Kate cicho – i cudownym mężem dla mojej matki. Małżeństwo moich rodziców było naprawdę szczęśliwe. W ogóle byliśmy szczęśliwą rodziną.

Caleb skinął głową. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Oboje milczeli przez chwilę. Odezwał się po upływie kilkadziesiąt sekund.

– Nie chcę się wtrącać, ale myślę, że powinna pani coś zrobić, aby poprawić atmosferę tego domu. Tu od miesiący nie były otwierane okna, powietrze jest zimne i zatechłe i nawet gdyby nie doszło do tego... okropnego wydarzenia, to sam wpadłbym tu w depresję. Proszę spojrzeć, jak pięknie kwitną kwiaty w ogrodzie. I tam jest ciepło! Może chociaż tu otworzylibyśmy drzwi?

Kate skinęła głową i otworzyła stare drzwi, Caleb zaś, widząc ich stan, zmarszczył czoło. Wyszli oboje na taras. Kate natychmiast poczuła intensywny zapach trawy i bzów, a tuż koło jej twarzy przeleciał gruby futrzasty trzmiel.

Życie. Ale mimo wszystko nie miała w sobie ufności ani radości, za to nieprzyjemny ucisk w gardle był coraz silniejszy. Jak miało teraz wyglądać jej życie?

– Czy ma pani... czy pani ojciec miał jakieś meble ogrodowe? – spytał Caleb.

Skinęła głową.

– Tak, są w szopie. Tam trzymał je zimą.

– Rozstawmy je na tarasie i potem zjemy tu, na dworze – zaproponował Caleb.

Czuła się zdenerwowana, poirytowana, niemal tak, jakby ktoś próbował poddać ją jakiejś terapii wbrew jej woli, ale znów powstrzymała się od wygłoszenia ostrej uwagi. Chciała wiedzieć o każdym kroku w śledztwie, a Caleb był jedyną możliwością. Skinęła więc głową.

– Dobrze, chodźmy – powiedziała.

Razem przynieśli na taras stół i cztery krzesła, które Richard starannie poukładał w szopie i dodatkowo przykrył plandeką. Kate nalała ciepłej wody do wiadra i dokładnie zmyła z nich kurz i zimowy brud, a Caleb ustawił w tym czasie stojak na parasol. Położyli na krzesłach poduszki, rozłożyli parasol. Wprawdzie słońce skryło się za chmurami, ale ciemnoczerwony kolor materiału parasola rozświetlił swą ciepłą barwą taras.

Ponieważ ciągle jeszcze było za wcześnie na obiad, Kate zrobiła kawę i oboje usiedli przy stole. W głębi ducha musiała przyznać, że pomysł Caleba nie był zły. Tu, w ogrodzie, było o wiele przyjemniej niż w kuchni, gdzie powietrze było ciężkie i stęchłe.

– Byłam dziś rano u Robina Spencera – powiedziała Kate. – Wie pan, to ten człowiek, którego przyjaciółka...

– Wiem. – Caleb westchnął. – Kate, pani nie prowadzi śledztwa w tej

sprawie. Tak, jest pani policjantką, jeszcze w dodatku ze Scotland Yardu. Ale pani kompetencje...

– Wiem, nie mam żadnych kompetencji. Nie poszłam też do Robina Spencera jako policjantka, tylko jako córka mojego ojca.

– Mogę to zrozumieć. I oczywiście domyślam się, z jakiego powodu pani tu przyjechała. Nie chodzi tylko o to, aby pani zajęła się domem i mogła się zastanowić, jak będzie wyglądać pani przyszłość, prawda? Uważa pani, że nasze śledztwo się wlecze i wobec tego przyjechała pani, aby patrzeć nam na ręce i, jeśli to będzie możliwe, sama... no, nie zamierza pani siedzieć tutaj beczynnie. Czy mam rację?

Milczała. Ujął to wszystko bardzo trafnie i zwięźle, dlaczego miałyby mu zaprzeczać? Miał rację.

Caleb pochylił się do przodu na swoim krześle.

– Sądzę, Kate, że nie mogę przeszkodzić pani w spotykaniu się z ludźmi, rozmawianiu z nimi, wysłuchaniu wszelkich pogłosek i tak dalej. Choć mógłbym skutecznie odciąć panią od wszelkich informacji, ale o tym pani wie. Nie miałem obowiązku opowiadać pani o tym podejrzanym samochodzie. Mógłbym też wszystkie pozostałe informacje zatrzymać dla siebie.

– Ale? – spytała, bo miała wrażenie, że ton jego głosu sugeruje to słowo.

– Ale, po pierwsze, dzięki pani stosunkom w Scotland Yardzie przypuszczalnie znalazłaby pani sposoby, aby dotrzeć do wszystkich informacji – odparł zrezygnowanym głosem. – A po drugie, współpraca z panią może być dla mnie bardzo korzystna. Nikt nie znał pani ojca tak jak pani. Jeśli w jego przeszłości było coś, co być może ma związek z tą zbrodnią, to właśnie pani może być tą osobą, dzięki której to ustale.

– Ale przecież zakładamy, że chodzi o jakieś wydarzenie z jego przeszłości związane z jego pracą zawodową, prawda? Oczywiście rozmawialiśmy też w domu o takich rzeczach, ale on nie opowiadał mi wszystkiego i przypuszczalnie nie wiem o wszystkim tak dokładnie jak ludzie, z którymi pracował.

– Musimy być otwarci na wszystko – odparł Caleb i brzmiało to tak, jak gdyby wypowiadał jakąś regułę, której się kiedyś nauczył i w którą w tym przypadku sam nie wierzył. – Musimy przyjąć też, że ten czyn miał związek z prywatnym życiem Richarda.

Kate zamieszała kawę w filiżance.

– Prywatne życie mojego ojca było bardzo, ale to bardzo mało spektakularne, Caleb. Właśnie dlatego, że miał tak trudny i niebezpieczny zawód, starał się kształtować pozostałą część swego życia w taki sposób, aby było ono spokojne i bardzo szczęśliwe. Pomijając oczywiście fakt, że moja matka była bardzo nieszczęśliwa z tego powodu, że tak rzadko bywał w domu. Poza służbą ojciec bardzo dużo pracował w ogrodzie. Wszystko, co teraz tak pięknie kwitnie i rośnie,

to jego dzieło. A poza tym spędzał też dużo czasu ze mną. Nauczył mnie jazdy na rowerze, pływania, zimą chodził ze mną na sanki i na łyżwy. Zabierał mnie do teatru, towarzyszył w kinie, nawet jeśli były to filmy, które go kompletnie nie interesowały. Był człowiekiem bardzo, ale to bardzo rodzinnym. Żył właściwie dla nas i dla swojej pracy.

– Ale w czasie ostatnich kilku lat... nie wykonywał przecież swojego zawodu. Jego żona zmarła. Córka dawno wyprowadziła się z domu. Co pani wie o nim z tego czasu?

– Dzwoniliśmy do siebie niemal codziennie. Był samotny, ale nie był człowiekiem, który się na cokolwiek skarży. Poświęcał jeszcze więcej czasu na pracę w ogrodzie. Chodził na długie spacery. Lubił przyrodę. Interesowało go wszystko, co działo się na świecie, codziennie czytał też kilka gazet. Dużo rozmawiał o polityce. Odwiedzałam go tak często, jak tylko mogłam. Gdyby w jego życiu miało dziać się coś niezwykłego, to na pewno opowiedziałby mi o tym.

– Rozumiem – odparł Caleb. Patrzył na nią uważnie, a Kate zdała sobie sprawę, że w tym momencie myśli nie o zmarłym Richardzie, lecz o niej. I że dostrzega jej samotność i smutek, pojmuje rozmiar jej straty. Poczula nagły gniew, bo miała wrażenie, że czyta w niej jak w otwartej książce, i powiedziała:

– Tak, byliśmy wprost niezwykle ze sobą związani. On miał tylko mnie – a ja nie miałam nikogo oprócz niego. W moim życiu nie ma nikogo, Caleb. Mam swoją pracę i mieszkam w najbardziej anonimowym mieszkaniu i dzielnicy, jakie tylko można sobie wyobrazić. To nowe osiedle Brexley, w południowej części Londynu. Nie ma tam nic – ani też w pewnym sensie nikogo. Mój ojciec był dla mnie wszystkim. To do niego jeździłam na wszystkie długie weekendy, na urlopy, święta Bożego Narodzenia czy na Wielkanoc. Myślałam o nim w czasie długich, ciemnych i samotnych wieczorów. Ktokolwiek go zamordował, to w pewnym sensie zabił też mnie. Chcę, aby znaleziono sprawcę. Chcę go zobaczyć. Chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Chcę, aby go ukarano. Gdybym teraz, w tej chwili, miała choć blade pojęcie o tym, jakie wydarzenie z przeszłości mojego ojca bądź jakie spotkanie, czy też cokolwiek to było, doprowadziło do tej tragedii lutowej nocy, powiedziałabym to panu natychmiast. Ale nie wiem. Nie przychodzi mi do głowy nic.

– Kate, muszę zdać się na to, że zwróci się pani do mnie natychmiast, jeśli tylko przypomni sobie pani coś, co mogłoby mieć z tym związek. – Caleb sprawiał wrażenie nieco zaniepokojonego impulsywnością jej wypowiedzi. – Aż za dobrze rozumiem pani rozpacz, wściekłość i pragnienie ukarania sprawcy, ale jest pani mądrą kobietą i policjantką, także z wykształcenia. I wie pani doskonale, że nie może się pani porywać na żadne samodzielne posunięcia i że w tej sprawie ostatnie słowo należy do wymiaru sprawiedliwości.

Kate się domyślała, co on, mówiąc to, miał na myśli. Pistolet jej ojca, który leżał w jadalni na podłodze. Przypuszczano, że wypadł Richardowi z ręki w trakcie szarpaniny z przeciwnikiem. Po zakończeniu badań balistycznych pistolet, podobnie jak wszystko, co należało do jej ojca, zostało przekazane Kate. Caleb wiedział więc, że była w posiadaniu broni palnej.

– To oczywiście, że ostatnie słowo należy do wymiaru sprawiedliwości – potwierdziła.

Ciszę tego wczesnoletniego dnia przerywały tylko brzęczenie latającego nad tarasem trzmiela i ćwierkanie ptaków.

– Czy mówi coś pani nazwisko Denis Shove? – spytał nagle Caleb.

– Nie. Kto to jest?

– Dziewięć lat temu dzięki pani ojcu wyładował w więzieniu. Jego aresztowanie miało więc miejsce w ostatniej fazie pracy zawodowej Richarda. W sierpniu ubiegłego roku człowiek ten dzięki dobremu sprawowaniu i dobrej prognozie opiekującej się nim psycholog został przedterminowo zwolniony.

– Czyli otrzymał wyższy wymiar kary? Bo nie brzmi to tak, jak gdyby chodziło o jakiegoś niegroźnego opryszka.

– Był winien zabójstwa. Zamordował swoją przyjaciółkę.

– Dlaczego?

– Zazdrość, zaborczość. Ona chciała się z nim rozstać, on wpadł we wściekłość. I dosłownie pobił ją na śmierć, ale był w tym momencie mocno pijany i chyba nie miał zamiaru jej zabić. Dostał dwanaście lat. Zbrodnię udowodnił mu Richard, podczas kiedy Shove próbował zwalić winę na kogoś innego.

– To zapewne nienawidził mojego ojca?

Caleb przytaknął.

– Tak było. Ale Richard w ciągu tylu lat pracy wsadził za kratki wielu przestępców. Mimo to Shove należy do tych osób, które w pierwszym rzędzie wzięliśmy pod uwagę, i to z dwóch powodów: w czasie zeznań składanych w trakcie rozprawy sądowej wiele razy groził pani ojcu i oświadczył, że Richard zapłaci mu za to, że znalazł się w więzieniu. A w dodatku tuż po morderstwie pani ojca Shove przepadł. Nie pojawił się już u swojego kuratora sądowego i nocą po prostu zniknął ze swego mieszkania, nie podając adresu, pod którym będzie mieszkał.

– Dlaczego mówi mi pan o tym dopiero teraz? – Kate sama usłyszała, że jej głos zdradzał nagle, ogromne zdenerwowanie. – To niesłychane! Dlaczego ten typ w ogóle został przedterminowo zwolniony, kiedy oświadczył, że zamierza się zemścić na moim ojcu? Dlaczego nie był śledzony? Dlaczego mój ojciec nie miał ochrony?

W głosie Caleba słychać było rezygnację.

– Kate, pracuje pani przecież w tej samej branży. Wie pani przecież, że...

– Tak, oczywiście, wiem. Za mało ludzi, aby obserwować każdego kryminalistę, który kiedyś groził, że ukatrupi glinę!

– Prawda jest taka, że bardzo wielu przestępców mówi podobne rzeczy, ale ich słowa nigdy nie przekładają się na czyny. A zgodnie z tym co mówiła psycholog, Shove w więzieniu nigdy już tak nie mówił. Zaakceptował swoją karę i rozumiał odpowiedzialność za to, co zrobił. Wiedział, że to on popełnił błąd. Nie Richard Linville.

– Czy rozmawiał pan z tą psycholog?

Caleb potrząsnął głową.

– Niestety nie. Bezpośrednio po zwolnieniu Shove'a z więzienia wzięła dłuższy urlop przysługujący pracownikom naukowym, wyruszyła do Australii i gdzieś tam przepadła. Ale jak się dowiedziałem, wraca teraz w czerwcu do pracy w Hull i natychmiast z nią porozmawiam. Jednak przeczytałem bardzo uważnie jej opinię o Shovie i zgodnie z tym jest on całkowicie zresocjalizowany.

– Ale mimo to znajduje się na samej górze pańskiej listy podejrzanych, prawda?

– Tak, oczywiście. A to dlatego, że zniknął. I ponieważ...

– ...ponieważ optymistyczne prognozy psychologów więziennych to przeważnie jedynie deklaracje gruntownej przemiany ich pacjentów, które rzadko pokrywają się z rzeczywistością.

– Nie można generalizować. Ale oczywiście pomyłki nie są wykluczone.

Kate wróciła do swego pierwszego pytania.

– Dlaczego mówi mi pan o nim dopiero dziś?

– Nie chciałbym, aby uwaga nas wszystkich zbyt wcześnie skierowała się wyłącznie na niego. Wie pani przecież, że człowiek nie dostrzega innych możliwości, jeśli skupi się wyłącznie na jednej kwestii. Zniknięcie Shove'a nie musi mieć żadnego związku ze zbrodnią popełnioną na pani ojcu. Ten człowiek już przed zamordowaniem swojej przyjaciółki był kryminalistą, który stale wchodził w konflikt z prawem z powodu drobniejszych przestępstw. Równie dobrze może być tak, że po prostu wrócił do poprzedniego życia – takiego, w którym nie musi pracować, tylko może przetrwać w inny sposób.

– Czy mój ojciec pracował z Normanem Dowrickiem wtedy, kiedy aresztował Shove'a?

– Nie. To oczywiście też natychmiast sprawdziliśmy, bo wówczas Normanowi również groziłoby niebezpieczeństwo. Ale on nie miał z tym nic wspólnego. Już przeszło rok wcześniej odszedł ze służby w policji.

– Czy ten Shove jeździ zielonym peugeotem?

Caleb potrząsnął głową.

– Zgodnie z naszą wiedzą wcale nie ma samochodu. W każdym razie nigdzie nie został zarejestrowany jako właściciel samochodu.

Denis Shove. Kate wsłuchała się w brzmienie tych słów i próbowała ustalić, czy w jej głowie nie rozbrzmiewa jakiś sygnał alarmowy.

Caleb to zauważył.

– Tak, to także jeden z powodów, dla których postanowiłem panią odwiedzić. Chciałem zapytać, czy pani ojciec w ciągu tych kilku miesięcy przed swoją śmiercią nie wymienił tego nazwiska. Zawiadomiono go, że Shove został zwolniony, i o tym wiem. Pytanie tylko, czy Shove w jakikolwiek sposób próbował się skontaktować z Richardem, choćby nie ujawniając się. Czy Richard napomknął o czymś, co mogłoby na to wskazywać? Może mówił, że coś się zmieniło w jego otoczeniu albo w codziennym życiu? Może anonimowe telefony? Albo na przykład mówił o jakimś uczuciu, że ktoś był w jego ogrodzie czy też skradał się wokół domu? Czasami człowiek czuje, że jest obserwowany albo też jest świadomy jakiegoś zagrożenia.

Zastanawiała się przez chwilę, ale wiedziała, że nie było niczego takiego. A przynajmniej ojciec jej o niczym podobnym nie mówił.

– To nazwisko z pewnością słyszę dziś po raz pierwszy – powiedziała. – A mój ojciec na pewno nie mówił, że czuje się zagrożony czy też obserwowany. Ale to nic nie znaczy. Nawet gdyby rzeczywiście coś było nie w porządku, to i tak nic by mi nie powiedział. Już choćby dlatego, żeby nie wyjść na fantastę, który wmawia sobie to czy owo. I na pewno nie chciałby mnie niepokoić bez powodu. My oboje... – Urwała. Dlaczego temu mężczyźnie, którego prawie nie знаła, miałyby opowiadać o swoich tak bardzo prywatnych sprawach?

– Tak? – spytał Caleb.

– Ach, nic ważnego. Znów uświadomiłam sobie, że mój ojciec i ja dużo czasu poświęcaliśmy przekonywaniu siebie nawzajem, że w naszym życiu wszystko jest w idealnym porządku. A teraz nader często zadaję sobie pytanie, dlaczego właściwie to robiliśmy.

– Ponieważ coś takiego robimy bardzo często właśnie wobec tych osób, które kochamy. Jak sama pani powiedziała, nie chcemy ich niepokoić. Ani też rozczarować. Pani ojciec chciał być w pani oczach kimś silnym. Kimś w rodzaju opoki. To prawdopodobnie normalne zachowanie ojców wobec córek, bez względu na to, czy są one dorosłe czy nie. A córki... Sądzę, że one ciągle chcą być tymi wyidealizowanymi kobiecymi istotami, którymi są w oczach ojca już od dziecka. Po prostu nie chcą pozbawiać ojca tej iluzji.

Trudno było mu odmówić słuszności.

– Czy ma pan dzieci? – spytała Kate.

Caleb potrząsnął głową.

– Nie. I nie mam już żony. Rozstaliśmy się mniej więcej dwa lata temu.

– Przykro mi.

– Nie można już tego zmienić. – Wstał, dodając: – Może podgrzejemy nasze

jedzenie? Już bardzo zgłodniałem.

Kate z zaskoczeniem stwierdziła, że ona także jest głodna. Kiedy szli do kuchni, Caleb powiedział:

– Powinna pani kazać naprawić te drzwi, Kate. Są całkowicie zniszczone i właściwie może pani równie dobrze zostawiać je na noc otwarte.

– Matka też powtarzała to ojcu, ale on nigdy nie brał tego poważnie. No i, jak pan widzi: i tak by go to nie uratowało. Sprawca albo sprawcy znaleźli inną drogę.

– Ale teraz mieszka pani tutaj zupełnie sama – odparł Caleb. – A człowiek, który ma pani ojca na sumieniu, jest ciągle na wolności. I nie wiemy, co skłania go do działania. Nie powinna pani być zbyt lekkomyślna.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Tylko to, co powiedziałem, ani mniej, ani więcej.

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie. Caleb mówił naprawdę poważnie.

– Doprawdy, Kate, niechże pani będzie ostrożna. – Wyjął portfel i podał jej wizytówkę. – Proszę, mój numer służbowy jest na odwrocie. Także mój numer prywatny i adres. Jeśli zajdzie coś, co wyda się pani dziwne czy podejrzane, proszę dzwonić natychmiast!

Sobota, 17 maja

Melissa Cooper od wielu tygodni w każdy piątek po południu wahała się, czy opuścić swoje mieszkanie w Hull i wyjechać na weekend do domku, który ona i jej dzieci zakupiły przed trzema laty, a który znajdował się na rozlewiskach przy ujściu rzeki Humber do Morza Północnego. Wtedy właśnie wraz z dwoma dorosłymi już synami oraz ich żonami obejrzała chatkę i choć wszyscy od razu stwierdzili, że wymaga ona gruntownego remontu i renowacji, to jednak wszystkich zachwycała tamtejsza okolica. Dacza położona była przy East Bank Road, wąskiej wiejskiej drodze prowadzącej z Sunk Island wzdłuż coraz szerszego ujścia rzeki docierającej do morza. Dookoła rozciągał się płaski rozległy teren. Im dalej od miasta, tym rzadziej dostrzec można było domy, bo okolica nie była zbyt gęsto zasiedlona. Osamotniony domek Cooperów pozbawiony był niemal zupełnie sąsiedztwa, przynajmniej w zasięgu wzroku. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali prawie trzy mile dalej w dół drogi, a i oni przyjeżdżali tu właściwie tylko na weekendy.

Dom składał się z ośmiu pokoi, otoczony był olbrzymim ogrodem, i kiedy matka z synami dokonali transakcji, a potem restaurowali wszystko dzięki ofiarnej pracy własnych rąk, wszyscy marzyli o spędzaniu tu pięknych, wspólnych wakacji i weekendów. Owdowiała Melissa, synowie ze swoimi żonami i dziećmi – wszyscy pod jednym dachem, a małe przytulne pomieszczenia pełne śmiechu i nawoływań dzieci, krzyku niemowląt, rozmów dorosłych. Do repertuaru marzeń należały też długie godziny spędzane z herbatą przy kominku, spacer po nadmorskiej plaży, także ciepłe wieczory na werandzie znajdującej się z tyłu domu. Można było stąd oglądać cudowne zachody słońca i jednocześnie grillować. Można było zapraszać przyjaciół. I po prostu spędzać razem czas.

Ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Jeszcze w czasie ostatniej fazy remontów żona starszego syna Melissy tak bardzo pokłóciła się z żoną młodszego syna, że obie kobiety nie miały zamiaru spotykać się ze sobą ani tu, w dacy, ani gdziekolwiek indziej. A ponieważ Melissa nie chciała opowiedzieć się po żadnej ze stron i pozostała całkowicie neutralna, to w efekcie nie była z nikim skłócona, ale jej stosunki z jedną i drugą synową znacznie się ochłodziły. I koniec końców wszystkie marzenia wzięły w łeb. Nikt już nie przyjeżdżał na weekendy do domku, a w czasie wakacji młode rodziny wołały jechać gdzieś na południe, niż spędzać czas w łagodnym, ale bardzo wilgotnym i deszczowym klimacie północno-wschodniego wybrzeża Anglii. I Melissa naprawdę nie mogła mieć im tego za złe.

Do wiosny tego roku jeździła w każdy piątek do dacy, a w niedzielę wieczorem wracała do Hull. Robiła tak, bo miała dom i ktoś musiał się o tę posiadłość zatroszczyć, ale także dlatego, że sama potrzebowała zmiany krajobrazu

i otoczenia. Kochała swoją pracę w sekretariacie szkoły podstawowej – lubiła kontakty z wieloma ludźmi, a przede wszystkim z dziećmi, a dla nich zwłaszcza miała wiele serca. Ale kiedy wracała do domu, była sama i weekendy ciągnęły się w nieskończoność. I dobrze jej robiło, kiedy zamiast tkwić w swoim dwupokojowym mieszkaniu w centrum Hull, wsiadała do samochodu i jechała wprost w niezmierną pustkę nadmorskiego krajobrazu, aby tam przez dwa dni zająć się pracą w ogrodzie czy w domu. I na szczęście zawsze przychodziło jej do głowy coś, co musiała zrobić.

Jednak to, że ostatnio od miesiący nigdzie się nie ruszała i o mały włos zostałaaby w domu także w ten wyjątkowo piękny majowy weekend, związane było z osobliwym uczuciem, które opanowywało ją ostatnio coraz częściej i było przyczyną jej rosnącego niepokoju: Melissa czuła się przez kogoś obserwowana. A najgorsze w tym wszystkim było to, że ciągle zadawała sobie pytanie, czy jest na prostej drodze do szaleństwa. Może były to pierwsze objawy demencji starczej? W wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat?

Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd się wzięło to uczucie. Bo przecież nie było tak, że ktoś ją zaatakował czy jej groził. Tylko... Kiedyś późnym wieczorem wyjrzała z okna swojego mieszkania – pod latarnią po przeciwnej stronie ulicy ktoś stał i wydało jej się, że ten człowiek spoglądał właśnie w jej stronę. Natychmiast cofnęła się od okna, ale kiedy później z biciem serca znów zerknęła na dół, tajemnicza postać znikła. Któregoś dnia wyszła ze szkoły dość późno, bo miała tam coś przygotować na następny dzień, i na parkingu jakiś mężczyzna spacerował tam i z powrotem, paląc papierosa, i obserwował szkołę. Kiedy ją zobaczył, natychmiast zdeptał niedopałek na asfalcie i pośpiesznie odszedł. Dwa razy rankiem zadzwonił jej telefon, a kiedy odebrała, usłyszała jedynie wyraźny odgłos odkładanej słuchawki. Zdobyła się na odwagę i opowiedziała o tym sąsiadowi, ale ten był zdania, że ona sobie coś wmawia i wyolbrzymia sprawę.

– Na pewno ktoś wybrał zły numer. Wie pani, ile razy mi się to zdarza? A tamto... Że niby ktoś nocą stoi pod latarnią, to ten fakt przecież nie musi być związany z panią, a facet przed szkołą może po prostu na kogoś czekał... Chyba widzi pani duchy!

Melissa postarała się, aby jej śmiech w odpowiedzi zabrzmiał wesoło i autoironicznie.

– Pewnie ma pan rację! Za dużo czasu spędzam sama i przychodzą mi do głowy głupie myśli!

– Nie powinna pani jeździć stale do tej chatki opuszczonej przez Boga i ludzi – stwierdził sąsiad, a Melissa natychmiast zapytała zaniepokojona:

– Dlaczego? Uważa pan, że to niebezpieczne?

Sąsiad, bardzo spokojny mężczyzna około czterdziestki, usłyszał panikę w głosie Melissy i nieco zaniepokojony, ale i zirytowany odpowiedział:

– Nie. Myślę tylko, że jeśli siedzi się samemu gdzieś tam na odludziu, to wszystko naokoło zaraz wydaje się jakieś groźne. Człowiek słyszy wtedy niezwykle dźwięki i wmawia sobie coś, czego nie ma. Powinna pani pójść do lekarza, żeby przepisał pani coś na uspokojenie.

No proszę, Melissa obawiała się właśnie tego. W tym wypadku słuszne było – ale i nieco przesadne – uprzejme określenie jej mianem dziwnej lub przemęczonej.

Może rzeczywiście była dziwna. Kilka niemających znaczenia zdarzeń, a ona od razu wpadała niemal w manię prześladowczą.

Ale znowu ta historia z Richardem Linville'em. Potworne, okropne morderstwo. „A to jest fakt, o którym nie wie nikt wokół mnie” – pomyślała. A przynajmniej nikt nie wie nic o jej związku z tą sprawą.

I w końcu wczoraj, w piątek, znów wyjechała ze świadomością, że nie ma zamiaru paść ofiarą własnych lęków i strachów. Jednak po przyjeździe do domku upewniła się, czy najbliżsi sąsiedzi są obecni, i z ulgą dostrzegła ich ciężki samochód terenowy stojący przed domem. Co prawda odległość trzech mil w razie jakiegoś wypadku skutecznie wykluczała możliwość pomocy, ale jednak poczuła się lepiej, wiedząc, że nie jest tu sama jak palec.

Była cudowna pogoda i w piątkowy wieczór siedziała na tarasie, pijąc wino, a w sobotę w pełnym słońcu pracowała w ogrodzie. Zdążyła też pójść na spacer nad morze. Dobrze się czuła, ale tylko do chwili, kiedy około południa koło jej domu przejechał terenowy samochód sąsiadów. Właściciele, parka artystów ze Scarborough, zostawili jej trochę łatwo psującej się żywności, której nie chcieli wyrzucać, i oświadczyli, że jeszcze dziś jadą do Londynu i późnym wieczorem wylatują do Hiszpanii.

– Trzy tygodnie urlopu! – zawołała radośnie młoda kobieta. – Doprowadziliśmy dom do porządku i wysprzątailiśmy lodówkę. Przydadzą się pani te rzeczy?

– Oczywiście, chętnie wezmę – odparła Melissa. Uśmiechnęła się, ale poczuła nagłe bicie serca. Pomachała obojgu, aż samochód zniknął za zakrętem. Wszystko było tak jak przedtem, ale jednak zrobiło się jakoś ciszej. A ona sama poczuła się jeszcze bardziej samotna. Patrzyła na daleki horyzont, gdzie zielone łąki przechodziły niemal niezauważalnie w niebo, ale nie mogła dostrzec niczego, co w jakikolwiek sposób byłoby osobliwe czy też niepokojące. Przelatujące mewy krzyczały głośno jak zwykle. Brzęczały pszczoły.

„Przecież mogę w każdej chwili wrócić do Hull” – pomyślała, ale zrobiło jej się przykro na myśl o tym, że miałaby spędzać ten słoneczny czas w swoim małym mieszkaniu, które nawet nie miało balkonu.

Znów zaczęła się wpatrywać w horyzont i nagle zauważyła błysk. Krótki, nagły błysk czegoś... Słońce, którego promienie padły na szkło i zostały odbite.

Coś błysnęło gdzieś daleko na pastwiskach, które leżały między ujściem rzeki a morzem.

Wpatrywała się w to miejsce tak intensywnie, że poczuła pieczenie oczu. Nie mogła jednak dostrzec nic podejrzanego i właśnie chciała się odwrócić, ale wtedy znów dostrzegła błysk. Mimo że trwał tylko ułamek sekundy, trudno było go przeoczyć. Było tam coś, co odbijało światło słońca. Kawałek szkła w trawie? Czasami zjawiali się tu wycieczkowicze. Może ktoś wyrzucił pustą butelkę po wodzie? A może kawałek srebrnej folii, w którą zwykle pakowano czekolady?

Ale jeśli to coś leżało, to przecież odbijałoby promienie słońca stale. Czy te błyski oznaczały, że coś się tam poruszało i odbijało promienie wtedy, kiedy padały one pod odpowiednim kątem? Przyszło jej teraz do głowy, że powinna była bardziej uważać na lekcjach fizyki w szkole, bo wówczas potrafiłaby natychmiast wyjaśnić owe błyski.

A może tam ktoś był? Ktoś, kto być może obserwował jej dom? Tak jak ten człowiek w Hull pod latarnią? Albo ten przed szkołą, ten nerwowy palacz? Czy słońce odbijało się w szklach lornetki?

„Mel, zacznasz bredzić” – pomyślała, ale nawet te słowa nie uspokoiły jej szybko bijącego serca. Poczuła się tak, jak gdyby brakowało jej powietrza.

I znów kolejny błysk.

To nie było normalne. Tam coś było.

Poszła do domu i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Po wejściu do salonu zamknęła też drzwi prowadzące na taras i zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Skoro nie ważyła się już wychylić nosa na dwór, to równie dobrze mogła wsiąść w samochód i spędzić resztę weekendu w ciasnym, małym mieszkaniu. Tam przynajmniej naokoło byli ludzie i w razie opresji można było wezwać policję, która zjawi się na miejscu po kilku minutach. A tu, na tym odludziu... Na szczęście jeszcze nigdy nie musiała wzywać pomocy, ale obawiała się, że trwałoby to całe wieki, zanim ktoś by tu dotarł.

Zapaliła papierosa, mimo że znów – po raz któryś tam w życiu – postanowiła stanowczo zerwać z paleniem, i zaciągnęła się głęboko. Jeśli teraz szybko pojedzie do domu, to pytanie, czy w ogóle odważy się tu wrócić. A może jej lęki zablokują ją już na zawsze?

Chciałaby przeczytać w gazecie, że złapano już mordercę Richarda Linville'a. I chciałaby się wreszcie dowiedzieć, co było motywem zbrodni. I nie musiało to mieć nic wspólnego z nią samą.

Podeszła do jednego z okien i wyjrzała na zewnątrz, ale nie dostrzegła niczego. Żadnego ruchu, żadnego błysku. Na zewnątrz był słoneczny, bardzo ciepły i bezwietrzny dzień. Jasny i cichy.

Ale była pewna, że niczego sobie nie wmawiała. Czy zareaguje histerycznie, jeśli rzuci się do ucieczki na łeb na szyję? Czy będzie to najrozsądniejszą rzeczą,

jaką powinna zrobić?

Zastanawiała się ciągle, gdy usłyszała dzwonek telefonu. Choć w pierwszym momencie się przeraziła, to za chwilę odczuła ulgę. Nie była całkiem sama na świecie, nawet jeśli tak się czuła przez ostatnie pół godziny.

– Melissa Cooper – odezwała się, podnosząc słuchawkę.

– Hi, mum, tu Michael. Pomyślałem, że teraz na pewno zastanę cię w domku.

Jej starszy syn. Który jeśli miała być szczerą, interesował się nią tylko sporadycznie. Mieszkał w Sheffield, nie było to zbyt daleko i mógłby ją od czasu do czasu odwiedzić, ale... no tak, on miał już własną rodzinę. I swój zawód, pracę. I mało czasu.

– Mike! Jak miło, że dzwonisz! Co u ciebie, jak dzieci?

– U nas wszystko dobrze. Liz w ten weekend pojechała do swojej matki, siedzę więc tutaj jako słomiany wdowiec, rozkoszuję się spokojem i pomyślałem, że zadzwonię do ciebie.

Melissa, słysząc to, poczuła nagłe ukłucie przykrości. Liz pojechała w odwiedziny do swojej matki. Mike siedział sam w domu. Czy to nie byłby dobry pomysł, aby odwiedzić matkę? Z soboty na niedzielę? W tym domku właśnie, który przecież kupili wszyscy razem.

Ale nie chciała mu robić wyrzutów, bo wówczas Mike szybko zakończyłby rozmowę, a ona znów pogrążyłaby się w swoich lękach.

– Tak – odpowiedziała więc. – Znów jestem tutaj. Jest cudowna pogoda i wczoraj siedziałam na balkonie niemal do wpół do dwunastej w nocy.

– Pewnie, ciesz się tym. Wiesz przecież, że takiego prawdziwego lata to nie mamy tutaj nigdy.

– A jak wy, przyjedziecie tu na wakacje?

– Znów zabukowaliśmy podróż na Minorę, jak rok temu. Tam słońce mamy gwarantowane. Wtedy z dziećmi jest o wiele łatwiej.

Minorka, Hiszpania. Dlaczego wszyscy ciągle jeżdżą do Hiszpanii?

I dlaczego w ogóle kupiliśmy ten domek?

Zaciągnęła się głęboko papierosem, a Michael usłyszał to i się roześmiał.

– Mum! Myślałem, że odzwyczajasz się od papierosów?

Nie przyłączyła się do jego śmiechu.

– Czasami coś staje na przeszkodzie – odparła.

– Na przeszkodzie czemu?

– Tak wspomniałem postanowieniu.

Zauważyła sama, że jej głos brzmiał dziwnie. Był lekko drżący i zachrypnięty. Także Michael to zauważył, bo przestał się śmiać.

– Coś się stało? Cóż stanęło na przeszkodzie twoim postanowieniom? Jakieś kłopoty w szkole?

– Nie, nie, tam jest wszystko w porządku. Na szczęście.

– A gdzie coś nie jest w porządku?

Nie mogła znaleźć popielniczki i popiół spadał na podłogę.

– No... ta stara historia. Wiesz przecież, z lutego. Morderstwo Richarda.

Pisały o tym wszystkie gazety.

– No i co?

– Morderca ciągle jest na wolności.

– Być może. Jeśli mam być szczerzy, to nieszczerólnie mnie to interesuje.

Kiedyś go dopadną.

– Nie ma żadnych istotnych tropów ani też wskazówek co do motywu zbrodni.

Michael westchnął. Melissa miała wrażenie, że żałuje tego, iż do niej zadzwonił.

– Linville był policjantem, mamó! I to oczywiste, że miał wielu wrogów. Ktoś zemścił się za to, że on wsadził go za kratki. Co cię w tym tak niepokoi?

– W ostatnich tygodniach rzuciło mi się w oczy parę dziwnych rzeczy. Może wydam ci się wariatką, ale nie mogę pozbyć się uczucia, że... jestem śledzona.

– Śledzona? Przez kogo?

– Nie wiem. Ktoś stał nocą przed moim domem w Hull i patrzył na moje mieszkanie. Ktoś chodził tam i z powrotem przed szkołą. Kilka razy ktoś do mnie zadzwonił, ale kiedy się odezwałam, odłożył słuchawkę. A teraz właśnie... – Urwała. Czy to nie brzmiało jak marudzenie starej, zmęczonej i samotnej kobiety?

– Tak, mamó? A teraz co? – spytał Michael znużonym głosem. Żałował teraz definitywnie, że do niej zadzwonił.

Opowiedziała o swoich obserwacjach i dodała:

– To mogłaby być lornetka.

– Skierowana w twoją stronę?

– Oprócz mnie nikogo tu nie ma.

– Mum, doprawdy, ty się sama nakręcasz. Okay, lornetka. A nie może to być jakiś miłośnik ptaków, który włóczy się po okolicy i je obserwuje? Bądź co bądź jest tam wiele rzadkich gatunków i często przyjeżdżają ludzie, którzy chcą je zobaczyć. Albo kogoś po prostu cieszy ten krajobraz i ogląda go przez lornetkę. Przecież to nie byłoby... niczym nadzwyczajnym!

Powiedział to tonem, za którym kryły się słowa: „to ty jesteś osobą, która zachowuje się osobiwie. Rzeczywistość wokół ciebie jest zupełnie normalna. To twoje widzenie świata jest dziwne, mum”.

Prawdopodobnie miał rację. Miała nadzieję, że miał rację. Spróbowała się roześmiać.

– Za dużo czasu spędzam sama. Prawdopodobnie to jest przyczyną wielu rzeczy – powiedziała.

Oczywiście Michael odebrał to jako wyrzut.

– Mum, nasze życie jest wypełnione po brzegi tysiącem spraw, niestety. Dwoje małych dzieci, Liz i ja pracujemy. Do tego dochodzą dom, ogród i wszystko, co tam trzeba zrobić. Codzienne życie. Chętnie odwiedzałbym cię częściej, ale nie da się, naprawdę.

Ale Liz mogła pojechać do swojej matki na weekend.

A ty tkwisz sam w domu i na pewno nie jesteś w pracy!

Jednak nie powiedziała tego. Po co się kłócić?

Kiedy się pożegnali i zakończyli rozmowę, stwierdziła, że Michael jednak jakoś ją uspokoił. Uznał jej sposób myślenia za całkowicie absurdalny i to przekonanie rzeczywiście trochę jej się udzieliło.

Otworzyła drzwi na taras i chociaż była dopiero piąta, nałapała sobie duży kieliszek wina, zapaliła kolejnego papierosa i usiadła na dworze. Postanowiła zostać. Od połowy przyszłego tygodnia miało stać padać i następny weekend będzie chłodny i szary.

To uzasadniony powód, aby nie dać się spłoszyć i nie uciec z tego małego rajku.

Ale mimo wszystko nie wytrzymała na tarasie tak długo jak poprzedniego wieczoru. Kiedy się ściemniło, poszła do domu i dokładnie zamknęła wszystkie okna i drzwi. Zaciągnęła też zasłony, aby nie być wystawioną na czyjś widok jak na talerzu, jeśli na dworze miałby ktoś być. Wypiła jeszcze jeden kieliszek wina, po czym obejrzała w telewizji sympatyczny talk-show i wreszcie poszła do swojej sypialni. Miała nadzieję, że wypija dostatecznie dużo alkoholu, aby szybko zasnąć, co zwykle zdarzało jej się po kilku kieliszkach czerwonego wina. I rzeczywiście zdołała przeczytać zaledwie dwie strony książki, gdy litery zaczęły jej się zlewać przed oczami. Wyłączyła światło i zasnęła natychmiast.

Kiedy się obudziła, była natychmiast pewna, że nie jest sama. Nie potrafiła uzasadnić, skąd wzięło się to uczucie, ale pojawiło się z gwałtownością nagłego, instynktownego alarmu, jaki prawdopodobnie odczuwają zwierzęta żyjące na wolności: szybkie bicie serca, napięcie, suchość w ustach. Stan natychmiastowej czujności.

Wszystkie symptomy raptownego zastrzyku adrenaliny.

Usiadła w łóżku, włączyła światło, nasłuchiwała w ciemności. Miała wrażenie, że słyszy bicie własnego serca. Poza tym nie było słyhać nic. Co ją obudziło, co wdarło się w jej sny i wyzwoliło tę niemal paniczną reakcję? A może rzeczywiście był to tylko sen i on ją tak przeraził? Ale czy wówczas nie pamiętałaby choćby maleńkiego jego fragmentu?

Spojrzała na zegarek, który miała na ręce także nocą. Było tuż po jedenastej. Nie spała więc dłużej niż najwyżej pół godziny.

„Prawdopodobnie prześladowają mnie te wszystkie bzdurne fantazje, które

towarzyszą mi cały czas” – pomyślała. Bo w gruncie rzeczy od kilku tygodni żyła w stanie ciągłego przerażenia. A może nawet dłużej. Od chwili kiedy przeczytała w gazecie wiadomość, że Richard Linville został zadźwiczony na śmierć we własnej kuchni, nie opuszczało jej pytanie na temat związków, jakie łączyły ją z tą sprawą. Od tamtej chwili strach był jej stałym towarzyszem, co sobie mniej lub bardziej uświadamiała.

Tak bezszelestnie, jak tylko było to możliwe, wyślizgnęła się z łóżka. Starła się nie spowodować żadnego szmeru, który zagłuszyłby inne dźwięki.

Co takiego ją obudziło?

Podeszła do drzwi sypialni, uchyliła je i nasłuchiwała. Wszędzie panowała idealna cisza. Rząd pustych pokoi. Mimo ciągle odczuwanego strachu pomyślała z wściekłością: nie tak to było planowane. Wszyscy zostawili mnie na łodzi. Co ja tu właściwie robię? Dlaczego czepiam się tego pomysłu z domem, do którego nikt już nie przywiązuje żadnej wagi?

Może powinna była zadzwonić na policję. I potem zabarykadować się w swoim pokoju i poczekać, aż przyjedzie patrol. Ale jak by się wówczas ośmieszyła? Starsza kobieta, której przyśniło się coś złego i która w dodatku całymi tygodniami wmawiała sobie jakieś osobliwe rzeczy.

I dokładnie w tym momencie usłyszała odgłos zamykanych drzwi samochodowych. Tam na dworze, przed domem. Drzwi zostały zamknięte bardzo cicho. To ten samochód ją obudził. Samochód podjeżdżający pod dom nocą.

Zatrzymała się na schodach jak sparaliżowana i próbowała przełknąć ślinę, ale nawet tego nie była w stanie zrobić.

Nie można było tego w żaden sposób wyjaśnić. Było po jedenastej, nie istniał żaden powód, dla którego ktoś miałby tu przyjeżdżać. Ktoś się zatrzymał. Wysiadł. Szedł w stronę drzwi. Słyszała żwir pod butami.

Nie była w stanie się poruszyć. Przyszło jej do głowy tak często cytowane powiedzenie o króliku sparaliżowanym przez wpatzonego weń węża. Tak właśnie się czuła. Zesztywniała, przerażona.

Idź do swego pokoju, zamknij się, zadzwoń na policję!

Ale nie była w stanie tego zrobić. Po prostu stała bosa na deskach podłogi i wpatrywała w ciemność domu.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami. A potem usłyszała dźwięk wkładanego do zamka klucza.

Skąd oni mogli mieć klucz?

Drzwi się otworzyły. Widziała to z góry. Do środka weszła jakaś postać. Wielki ciemny cień. Mężczyzna?

W sieni rozbłysło światło. Na dole rzeczywiście stał mężczyzna. Ciemne włosy, szerokie ramiona. Dżinsy, sportowe buty, czarny sweter.

Mężczyzna się odwrócił. Był to Michael.

Melissa odetchnęła głęboko i poczuła, że wreszcie była w stanie się poruszać. Ręce i nogi znów były jej posłuszne, a także głos.

Choć brzmiał on przenikliwie i wręcz dziwnie.

– Michael!

Mężczyzna drgnął gwałtownie i spojrzał na nią do góry.

– Mum? Czemu stoisz tam na górze? Myślałem, że albo siedzisz przed telewizorem, albo już śpisz.

Poczuła tak gwałtowną ulgę, że zaczęła nagle płakać.

Pobiegła na dół i rzuciła się w jego ramiona z gwałtownością, która u niej była wręcz zaskakująca. Michael przytrzymał ją mocno, ale sprawiał wrażenie zirytowanego i trochę zdenerwowanego.

– Co się stało? Płaczesz? Co takiego?

Pociągnęła nosem i próbowała powstrzymać łzy. Wiedziała, że Michael nie za bardzo radził sobie z płaczącymi kobietami, a już zwłaszcza z płaczącą matką.

– Tak się cieszę, że jesteś! Tak się cieszę!

Michael odsunął ją od siebie i popatrzył na nią uważnie.

– Ty cała drżysz. Co się stało?

– Myślałam... Myślałam już...

– Myślałaś, że jestem włamywaczem? Twoim złowrogim prześladowcą? Dobry Boże, mamó! – Puścił ją. – Włamywacze raczej nie przyjeżdżają samochodem i nie zatrzymują się tuż przed furtką. I przeważnie nie mają ze sobą klucza!

– To prawda! – roześmiała się, ale nie zabrzmiało to szczerze. – Masz rację. Ale, no tak... Kiedy człowiek się tak nagle budzi...

– Moje zjawienie się tutaj było chyba błędem – stwierdził Michael. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego. Jazda zajęła mu półtorej godziny i przecież poświęcił na to cały wieczór, który chętnie spędziłby w spokoju przed telewizorem – wreszcie bez marudzenia dzieci i zrzędzenia żony, że stale skacze po kanałach. Ale te plany zniszczyło nagle poczucie winy. Słowa i głos matki słyszane w telefonie brzmiały jakoś dziwnie. Jak dawno ją odwiedził? Przypomniawszy sobie, że w styczniu, z okazji jej urodzin. Nawet w czasie świąt Wielkanocy była sama. Nagle stanął mu przed oczami jej pusty dom i spędzane w nim samotne weekendy matki i poczuł się podle. Sam sobie wydał się egoistą bez serca. I wyobraził sobie, jak bardzo ona będzie się cieszyć, kiedy nagle zjawi się u niej. Może wypiją razem wino, porozmawiają, a rankiem posiedzą dłużej przy obfitym śniadaniu. Pójdą na spacer nad morze, później gdzieś na obiad do pubu, zanim ona wróci do swojego mieszkania w Hull, a on do Sheffield. Taka wizyta doda jej otuchy na dłuższy czas, a on będzie mógł zacząć nowy tydzień z miłym przeświadczeniem, że jego matka jest teraz znów dzięki niemu szczęśliwa.

A tymczasem napędził jej strachu, zamiast radości były płacz, dygotanie

i niewiele brakowało, a wpadłaby w histerię.

Tyle stresu za to wszystko, co zrobił!

Popchnął ją zdecydowanym ruchem do pokoju, zapalił światło, wyjął dwie szklanki i karafkę sherry z kredensu.

– Wypijmy po łyku, mum. Jesteś blada jak kreda. Mój Boże, powinienem był zadzwonić i cię uprzedzić. To na pewno byłoby rozsądniejsze.

Ciągle jeszcze drżała, ale jakoś zdołała podnieść szklankę do ust i wypić łyk.

– Nie, nie. To cudowna niespodzianka, Michael. Tak się cieszę, że jesteś. Że tylko z mojego powodu zdecydowałeś się jechać taki kawał drogi!

– Tak daleko to znowu nie jest. A ja i tak nie miałem nic innego do roboty.

– Mam nadzieję, że nie czułeś się zobowiązany, żeby tu przyjechać? – spytała z lękiem.

– Nie, nie – skłamał Michael, po czym jednym haustem wypił sherry.

Alkohol sprawił, że jego napięcie ustąpiło, znikło też uczucie irytacji. Dobrze, że tu przyjechał. Matka wyglądała rzeczywiście źle. Bardzo zeszczupiała od stycznia, dostrzegł to mimo długiej nocnej koszuli, którą miała na sobie, jak i to, że jakoś nagle... bardzo się postarzała. Miał nadzieję, że przyczyną nie była żałoba po Richardzie Linville'u.

Rozejrzał się dookoła.

– Widzę, że się dosłownie zabarykadowałaś. Coś jeszcze się stało? Jakieś tajemnicze błyski na horyzoncie? Cień w ogrodzie? – Roześmiał się, ale matka była poważna.

– Wiesz, Michael, po śmierci Richarda...

Przerwał jej.

– Ja właściwie nie chcę już rozmawiać na temat Linville'a, nie miej mi tego za złe. Niczego dobrego nie zaznałaś od niego za jego życia, a teraz, kiedy on nie żyje, też, zdaje się, nie jest ci lepiej. Powiedziałem ci, został zamordowany przez jakiegoś byłego więźnia, i to wszystko nie ma w ogóle nic wspólnego z tobą.

Milczała. Michael znów nalał jej i sobie sherry.

– Masz, wypij to i pójdziemy spać. Teraz ja tu jestem i będę cię chronił. A jutro spędzimy piękny i miły dzień, dobrze?

Uśmiechnęła się wreszcie, pierwszy raz od chwili przyjazdu syna. Mimo że przerwał jej dość szorstko, kiedy zaczęła mówić o Richardzie, to poczuła otuchę z powodu jego bliskości i spokoju. Michael wprawdzie nie wiedział o wszystkim, całą historię znał tylko częściowo, ale mimo to miał chyba rację: ona sama dała się ponieść wyobraźni. Widziała duchy. Wymyślała jakieś dziwaczne historie i doprowadzała do szału nie tylko siebie, ale i swoje otoczenie.

– Cieszę się na jutrzejszy dzień – powiedziała.

Piątek, 23 maja

Wszystko było dokładnie tak, jak obawiała się Stella. Całymi dniami lało jak z cebra, a chmury wisiały nad torfowiskami tak nisko, że nie można było dostrzec horyzontu, nawet nie było widać, gdzie kończy się ziemia i zaczyna niebo. Torfowiska były prawie zupełnie pozbawione koloru, jak zwykle o każdej porze roku, ale pod niebieskim niebem i w słońcu miały swój urok. Ale tego dnia krajobraz wyglądał tak, jak gdyby był listopad. I całkowite odludzie potęgowało jeszcze uczucie beznadziei.

Już w czasie pokonywania ostatnich mil wąskiej wiejskiej drogi minęły ich w dużych odstępach zaledwie dwa samochody, a potem skręcili w boczną drogę i w ogóle już nikogo nie spotkali. Na koniec jechali polną drogą, która prowadziła w dolinę, gdzie znajdował się budynek dawnej farmy.

Była to podłużna, duża budowla z szarego kamienia, jak wszystkie w okolicy, z daleko wysuniętym dachem i małymi oknami osadzonymi głęboko w grubym murze. Obok znajdował się jeszcze drugi budynek, rodzaj kamiennej szopy czy stajni, który jednak najwyraźniej nie był używany – ciężkie drewniane drzwi prowadzące do wnętrza były zamknięte. Niewybrukowane podwórko tonęło w błocie.

– Tutaj nie jest ładnie, mummy – brzmiał pierwszy komentarz Sammy’ego, kiedy zatrzymali się i wysiedli.

Stella zakląła, bo wysiadając, weszła w sam środek kałuży i natychmiast przemoczyła but i skarpetkę.

– Tak, kochanie, masz rację, dzisiaj nie wygląda to zbyt pięknie. Ale zdziwisz się, jak będzie ładnie, kiedy zaświeci słońce, a jak przytulnie jest teraz w domu!

Jeśli chodzi o to ostatnie, to mogła tylko mieć nadzieję, że tak właśnie będzie. A co do słońca: w tej chwili trudno było sobie wręcz wyobrazić, że jego promienie przebijają się kiedykolwiek przez grubą warstwę chmur.

Jonas otworzył drzwi i wszyscy troje szybko weszli do suchego pomieszczenia wprost spod strumieni deszczu. Strząsnęli z ubrań liczne krople wody i rozejrzeli się.

– Ach... – powiedziała wreszcie Stella.

Bo rzeczywiście nie wyglądało to źle. Dobrze, że chociaż to.

Okazało się, że dom był urządzony bardzo komfortowo i do dyspozycji mieszkańców wielkiego miasta były tam wszystkie możliwe wygody. Pomijając oczywiście takie luksusy jak telewizor, radio, komputer, z których konsekwentnie, zgodnie z założeniem zrezygnowano. Ale na środku kuchni znajdował się nowoczesny piec kuchenny, były tam też kuchenka mikrofalowa, wielka

zamrażarka i nawet maszyna do robienia kostek lodu – jak gdyby ich właśnie przy panującej w tej okolicy temperaturze potrzebowano, co pesymistycznie stwierdziła Stella. Jej nastrój poprawił się natychmiast, kiedy obejrzała salon z leżącym na podłodze grubym dywanem i pięknymi starymi meblami z drewna, a potem przeszła do starannie urządzonych sypialni na piętrze. Powietrze było nieco stęchłe, ale natychmiast rozpalili ogień na kominku i włączyli gazowe ogrzewanie, póki płomienie jeszcze nie ogrzewały pomieszczenia.

– Da się wytrzymać – oświadczył Jonas, obejrzawszy sobie regały z książkami. – On zgromadził świetną literaturę. Będziemy czytać, spać, gotować razem, chodzić na spacer... a ja stanę się nowym człowiekiem!

Stella chętnie odpowiedziała, że wszystko tutaj wygląda wspaniale i że cieszy się na ten czas, który mieli tu spędzić razem, ale Jonas przynajmniej w tej chwili w swoich planach zupełnie zapomniał o Sammym. Ani czytanie, ani spanie czy też długie spacer... nie były czymś, co mogłoby zająć i ucieszyć chłopca w tym wieku, a jeśli chodzi o wspólne gotowanie, to interesowałoby go ewentualnie jedzenie gotowych już dań. I to tylko takich, które znalazłyby uznanie w jego oczach: nuggetsy z kurczaka z frytkami, pizza, spaghetti z sosem z mielonego mięsa i paluszki rybne z ziemniaczanym purée.

– Najpierw pojedę na zakupy – powiedziała Stella.

Ku jej uldze Sammy postanowił zostać z ojcem, Stella mogła więc sama wyruszyć do Whitby, gdzie, zgodnie z informacją właściciela domu, znajdował się najbliższy duży supermarket, w którym ponoć można było dostać wszystko. Kolega Jonasa dobrze opisał drogę i Stella łatwo tam trafiła. Na szczęście mieli na farmie dużą zamrażarkę. Stella załadowała cały bagażnik dużego samochodu typu kombi, co oznaczało, że przez dobre osiem dni nie będą musieli jeździć na zakupy. W drodze powrotnej zatrzymała samochód tam, gdzie należało zjechać na polną drogę prowadzącą na farmę, zaparkowała na skraju drogi, oparła się wygodnie na siedzeniu i wpatrzyła się w dolinę. Nad położoną w dole kamienną budowlą zwieszały się ciemne chmury, ale z komina wydobywał się dym, niosąc obietnicę ciepłego i przytulnego wnętrza. Jonas z pewnością wypakował już walizki i może nawet oblekł poduszki i kołdry. A Sammy w ramach pomocy pewnie bezustannie płatał mu się pod nogami. Czy takie odcięcie się od świata, zawodu i wydarzeń codziennego dnia pracy rzeczywiście dobrze zrobi Jonasowi? Zgodnie z radą doktora Benta Jonas nie miał ze sobą ani laptopa, ani smartfona i rzeczywiście był teraz nieosiągalny dla wszystkich, bo tu nie było nawet telefonu. Ten Jonas, który kontrolował swoje maile mniej więcej co dziesięć minut... Stella przypuszczała, że w ciągu pierwszych dziesięciu dni jej mąż będzie się czuł niemal jak alkoholik na odwyku. Wprawdzie ona sama miała ze sobą swoją komórkę, ale zamierzała z niej korzystać tylko w razie najpilniejszej potrzeby. W dodatku tam na dole, na farmie, i tak nie było zasięgu. W ramach próby wyjęła telefon i spojrzała uważnie na ekran:

dwie maleńkie kreski oznaczające nikły zasięg pojawiły się tu, na wzgórzu, ale lepsze to niż nic. Gdyby musiała się koniecznie do kogoś dodzwonić, to będzie musiała tutaj przyjść. Stwierdziła, że czuje się co najmniej dziwnie, mając świadomość, że nikt nie będzie mógł się do niej dodzwonić, ale pomyślała, że podczas dwóch tygodni ich pobytu tutaj w pozostawionym przez nich świecie na pewno nie stanie się nic, o czym musiałaby się natychmiast dowiedzieć. W domu wszystko było uregulowane, sąsiadka miała przychodzić podlewać kwiaty i odbierać pocztę, i nie należało się spodziewać, że pojawią się jakieś problemy.

Mimo to Stella nie mogła się pozbyć uczucia jakiegoś dziwnego niepokoju, które towarzyszyło jej stale, od kiedy Jonas zaczął realizować ten pomysł z pobytem w Yorkshire. Sama nie rozumiała, skąd brały się te niczym nieuzasadnione nerwowość i lęk. Może była to normalna reakcja na zamiar *zwolnienia tempa życia*, który był zalecany tylko dla Jonasa, ale który Stella popierała i brała w nim udział. I teraz ona sama także nie miała żadnej łączności ze światem zewnętrznym i było to uczucie wręcz niezwykle, niemal przytłaczające. Pomyślała nagle, że dobrze zrobiłoby jej, gdyby mogła wieczorem włączyć telewizor i obejrzeć wiadomości, ale teraz to mało spektakularne i normalne przyzwyczajenie było skreślone z listy.

Samotność, deszcz, odosobnienie. Zastanawiała się, czy to w związku z tym ciągle prześladowała ją obawa, że Terry i Neil mogliby pojawić się nagle także i tutaj.

Czy to był powód jej niepokoju i napięcia?

Młoda para od owej soboty na początku maja już się nie odezwała. Nie było od nich ani jednego telefonu, maila, nic. Jonas dawno już wykreślił ich ze swej pamięci.

– Nie dadzą już o sobie żadnego znaku życia, zobaczysz. To była taka wizyta zwiadowcza i jej wyniki nie okazały się zgodne z ich oczekiwaniami.

Stella zdążyła już w to także uwierzyć. Nie, z tej strony nie należało się spodziewać żadnej niemiłej niespodzianki.

„A może – pomyślała nagle – przyczyną jest to, że będę przez czternaście dni siedzieć tu z Jonaszem jak uwięziona. Czy tego się obawiam?”

Ona i Jonas poznali się trzynaście lat temu w czasie kręcenia dwuodcinkowego filmu dla telewizji, do którego scenariusz napisał właśnie Jonas. Stella była po raz pierwszy odpowiedzialna za całość projektu jako producentka, co zleciła firma produkcyjna. Jonas tym razem, co zwykle nie było typowe dla autora, cały czas pętał się w miejscu kręcenia filmu i działał wszystkim na nerwy. Każda najdrobniejsza zmiana tekstu była u niego przyczyną kryzysu, a wykreślenie jakiejś sceny traktował niemal jako próbę osobistej zniewagi i wdawał się w tak gwałtowne dyskusje z reżyserem, że ten któregoś dnia wpadł we wściekłość i zwrócił się do Stelli ze słowami:

– Albo ten typ stąd zniknie, albo go wyrzucę osobiście. Nie mogę tak pracować, nikt nie może. Nie mogę całymi godzinami omawiać każdej najmniejszej zmiany z jakimś neurotykiem!

– Ale to jego pierwszy scenariusz, który jest filmowany – odparła pojednawczo Stella. Jonas już w tym czasie był najnowszym odkryciem w branży, uchodził za bardzo zdolnego, ale trudnego w obejściu. – On po prostu nie ma jeszcze żadnego doświadczenia.

– Wszystko mi jedno. Zabierz go stąd. Idź z nim na obiad i wyjaśnij mu najmilej, jak potrafisz, że jego obecność nie jest tu pożądana. I postaraj się, aby jak najszybciej znalazł się w pociągu i odjechał tak daleko, jak to tylko możliwe!

Stella potraktowała te słowa całkiem poważnie i zaprosiła Jonasa na kolację. Ale Jonas prawie nic nie jadł, za to mówił przez cały czas i wyjaśniał jej dokładnie, jak on wyobraża sobie ten film i dlaczego jest zdania, że reżyser wszystko zawali. Jego wywody i precyzyjne, przemyślane plany zafascynowały Stellę – słuchała jak urzeczona i stwierdziła, że Jonas ma piękne oczy i nie mniej piękne ręce, że jest mądry, wrażliwy oraz inny niż wszyscy mężczyźni, których do tej pory знаła. I w ciągu zaledwie kilku godzin zakochała się w nim po uszy – a on w niej. Niecały rok później się pobrali.

A teraz, wiele lat później, Jonas miał wszelkie objawy wypalenia zawodowego i wobec tego zamierzali spędzić dwa tygodnie na samotnej farmie na torfowiskach w Yorkshire, co zgodnie z planami doktora Benta miało doprowadzić do odzyskania przez Jonasa wewnętrznego spokoju. Przy czym słowo „odzyskanie” nie było właściwe. Zdaniem Stelli ów wewnętrzny spokój nigdy nie był Jonasowi dany, i Stella dawno zauważyła, że jej mąż nie czuł się dobrze. Przerastała go po prostu ta rola, którą niejako ona sama mu narzuciła. Stał się jedynym żywicielem rodziny z chwilą, w której ona przestała pracować, i musiał się teraz troszczyć o żonę i dziecko. Musiał płacić odsetki od czynszu hipotecznego za dom w Kingston. I wszystko zależało od tego, czy dostanie dobre materiały do opracowania, czy napisze tekst z dobrą fabułą, czy jego pomysły znajdą uznanie i czy dostanie zlecenia na pisanie kolejnych scenariuszy. A przecież kreatywność Jonasa od dawna już nie mogła się rozwijać w spokoju, bo musiał funkcjonować pod ogromną presją konieczności zarabiania pieniędzy. I cały czas robił to świetnie, płacono mu dobrze, jego osoba cieszyła się wielkim zainteresowaniem, ale nietrudno było dostrzec, że sprostanie kolejnym wyzwaniom kosztowało go coraz więcej sił i że taka presja podważała jego wiarę w siebie. I w efekcie tego rozwinął się w nim taki lęk przed ewentualnym niepowodzeniem, że był bliski wręcz wykrakania sobie jakiejś klęski.

W oczach Stelli Jonas był artystą. A może artyści nie nadawali się na żywicieli rodzin.

Jeszcze w przeddzień wyjazdu doszło do małego skandalu, który niemal

skłonił Jonasa do rezygnacji z tego pomysłu. Jego projekt filmu o irackim uchodźcy i ofierze tortur Hamzahu Chalidzie został odrzucony przez wytwórnę filmową. Jonas po spotkaniu z Irakijczykiem przygotował już szkic scenariusza, a w mailu napisano wyraźnie, że odmowa nie ma nic wspólnego z jego pracą i że po długich dyskusjach w firmie wszyscy doszli do wniosku, że los Chalida nie nadaje się do tego, aby przyciągnąć przed ekrany dużą liczbę widzów. Dzisiejszy Irak to zupełnie inne zagadnienia i problemy, Saddam Husajn dawno przeszedł do historii i jego ofiary nikogo już nie interesują, nawet jeśli los niektórych osób jest bardzo tragiczny. Świat po prostu się od nich odwrócił.

Jonas bardzo się wtedy zdenerwował, natomiast Stella, która od lat pracowała przy produkcji filmów, doskonale rozumiała ten punkt widzenia. Film mógłby być swoistą terapią dla biednego Hamzaha Chalida, ale to akurat nie należało do zadań producenta. Stella była zdania, że Jonas powinien jak najszybciej zawiadomić o wszystkim Chalida, aby ten nie czepiał się dłużej nadziei, która nie mogła stać się rzeczywistością. Jednak Jonas nie był w stanie tego zrobić.

– On po prostu się załamie, kiedy to usłyszy. I nie będę mógł zostawić go samego w takiej sytuacji, zwłaszcza że od jutra mnie nie ma. Nie mogę go tak potraktować, Stella!

– Nie jesteś jego niańką!

– Ale jednak – nie mogę. Chyba że wszystko odwołamy, odwiedzę Chalida i...

– Nie, nie. Nie odwołamy niczego. Wszystko jest już załatwione, a doktor Bent mówi, że to naprawdę ważne. Poczekaj więc dwa tygodnie i powiesz wszystko Chalidowi po naszym powrocie.

Była to jedyna możliwość uratowania tego wyjazdu i w ogóle całego pomysłu, choć co prawda Stella uważała, że Jonas poprzez fakt, iż nie zawiadomił o wszystkim Chalida natychmiast, stworzył tylko coś w rodzaju uczuciowej hipoteki, którą włókł ze sobą i która obciążała go mentalnie. Świadomość, że będzie musiał odwiedzić tego biedaka zaraz po powrocie, bardzo go przygnębiała i dręczyła. Stella miała nadzieję, że nie zniweczy to wszystkich oczekiwań doktora Benta. Takie sprawy należy załatwiać jak najszybciej, myślała, i za chwilę pytała samą siebie, czy sposób, w jaki Jonas próbował się uporać z własnymi problemami, był właśnie tym, co ją tak bardzo niepokoiło i irytowało. Czasami mąż wydawał jej się człowiekiem słabym i mimo swej miłości do niego nie potrafiła ocenić tego inaczej. Czyli czekały ją dwa tygodnie gdzieś na końcu świata, które miała spędzić ze słabym mężczyzną i pięcioletnim dzieckiem. Nic więc dziwnego, że ta perspektywa ją przygnębiała. Uznawszy, że zbyt długo oddaje się ponurym rozmyśleniom, włączyła silnik, po czym skręciła w pełną drogę i powoli podjechała do budynku dawnej farmy. Należało schować do lodówki i zamrażarki wszystkie produkty żywnościowe i zastanowić się, co podać na kolację.

Kiedy weszła do domu, stwierdziła, że Jonas ani nie rozpakował walizek, ani też nie pościelił łóżek. Za to z kuchni rozchodził się smakowity zapach i za chwilę obaj stanęli przed nią: rozpromieniony Sammy z buzią wysmarowaną sosem pomidorowym i Jonas z chochlą w rękę.

– Znaleźliśmy paczkę spaghetti i gotowy sos. Jesteś głodna?

Teraz dopiero poczuła, że było jej wprost słabo z głodu. Dostrzegła, że stół w kuchni był nakryty i że stały na nim zapalone świece. Sammy nazbierał kwiatów, które stały teraz w wazonie, a kapiąca z nich woda dokładnie przemoczyła śnieżnobiałe serwetki. Chłopiec patrzył z dumą na matkę.

– Wszystko przygotowaliśmy, mum. Podoba ci się?

Gnębiące ją ponure myśli pierzchły natychmiast wobec ciepła i radości w oczach dziecka. Objęła jedną ręką Sammy'ego, a drugą Jonasa.

Doprawdy za dużo i niepotrzebnie się zadręczała.

Środa, 4 czerwca

1

Padało już od wielu dni i było stanowczo za zimno jak na czerwiec. Bardzo zimno. Kate włączyła elektryczny kominek w salonie. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała podjąć decyzję, jeśli chodzi o dom, ale tak naprawdę od chwili swego przybycia tutaj przed czterema tygodniami nie posunęła się ani o krok w tej kwestii. Ale za to przeprowadziła wiele koniecznych prac: drzwi kuchenne prowadzące do ogrodu zostały wreszcie naprawione i zaopatrzone w solidny zamek, a Kate zadbała o ogród tak, że jego widok sprawiłby radość jej ojcu. Wszystkie chwasty na grządkach były usunięte, krzewy równo przycięte, a trawa skoszona. Podwiązała też róże, które pięły się po kracie przymocowanej do ściany domu, i dokładnie wysprzątała szopę, gdzie złożone były narzędzia ogrodnicze. To, czego jednak nie była w stanie zrobić, to uporządkowanie szafy w sypialni Richarda i zawieszenie znajdujących się w niej ubrań do punktu skupu odzieży używanej. Kate zabrała się do tego któregoś dnia, ale po godzinie siedziała zalana łzami wśród swetrów, koszul i spodni, czuła lekki zapach ojca i nie była w stanie zakończyć tej pracy. I w końcu wrzuciła wszystko z powrotem do szafy. Co miałoby się z tym stać, gdyby zdecydowała się rzeczywiście sprzedać dom – nie miała pojęcia. Nie mogła zabrać tych wszystkich rzeczy do swojego małego mieszkania w Bexley, ale z drugiej strony przerażała ją perspektywa przyjazdu firmy zajmującej się zbiórką niepotrzebnej odzieży i po prostu wyrzucenia ubrań ojca. A ona, co ona potem ze sobą zrobi? Wróci do swojego dawnego życia i będzie znosić los nieudolnej policjantki zajmującej się wyrzutkami społeczeństwa, wyjaśniającej kolejne przypadki morderstwa albo przynajmniej uczestniczącej w takich zadaniach? Policjantki, której unikają koledzy i która nie ma żadnych przyjaciół. A w razie sprzedaży domu nawet nie będzie miała tego miejsca tutaj, w Scalby, którego istnienie zawsze napawało ją otuchą i gdzie zawsze miała wrażenie, że jest w domu, u siebie. Życie wydawało jej się teraz czymś w rodzaju ciemnego tunelu bez końca i światła. Jak jakiś dziwny mrok, w kierunku którego dążyła, bez choćby cienia nadziei. Straciła ostatniego człowieka, dla którego jej osoba coś znaczyła. W niektóre dni zadawała sobie pytanie, jaki sens miało w ogóle jej życie. A może nabierze ono sensu, kiedy zbrodnia zostanie definitywnie wyjaśniona? Może wtedy będzie mogła to ostatecznie zamknąć. Wiedziała, że będzie nosiła w sercu żalobę po swoim ojcu przez całe życie, ale może kiedy będzie przynajmniej wiedzieć, kto był mordercą, odkryje w sobie choćby cień nadziei na dalszą przyszłość. Jej własną przyszłość. Kiedy będzie wiedzieć, kto i dlaczego popełnił tę straszną zbrodnię.

Co drugi dzień dzwoniła do Caleba, ale nie miał jej nic nowego do powiedzenia. Denis Shove znikł i ciągle nie można go było odnaleźć. Policja rozesłała za nim listy gończe, lecz on przepadł jak kamień w wodę.

– Złapiemy go – powtarzał ciągle Caleb. – Nikt nie może zniknąć na zawsze.

– A jeśli on dawno już opuścił kraj? – pytała Kate.

– To nieprawdopodobne. Natychmiast po zniknięciu przekazaliśmy jego zdjęcie i dokładne dane na każdy posterunek graniczny. Nie wydostanie się.

Kate milczała. Wiedziała, i oczywiście wiedział o tym także Caleb, że możliwości opuszczenia kraju mimo to było wiele.

A poza tym, jak donosił Caleb, dalej sprawdzano wszystkie zdarzenia z przeszłości Richarda, choć jak na razie nie przyniosło to spodziewanego sukcesu. Shove wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem na zabójcę, ale wciąż nie można było ustalić miejsca jego pobytu. Caleb zawsze znajdował wiele słów mających uspokoić Kate, lecz ona zbyt długo była śledczym i doskonale wiedziała, że ta historia osiągnęła już bardzo krytyczną fazę. Nie udało się tuż po morderstwie schwytać sprawcy albo przynajmniej natrafić na jakiś istotny ślad. I każdy dzień, który upływał bez choćby niewielkiego sukcesu, pracował dla zabójcy – bądź zabójców.

A przeciwko śledczym.

Kate wiedziała, że w tę środę będzie musiała podjąć jakąś decyzję. Do końca urlopu pozostały zaledwie dwa tygodnie, po ich upływie musiała się już stawić w swoim miejscu pracy. Musiała też przedtem znaleźć rozwiązanie sprawy domu.

Nie była już w stanie siedzieć tu dzień w dzień i dygocąc z zimna, patrzeć na padający za oknem deszcz. Czuła, że jej siły i jej spokój są na wyczerpaniu.

Gdybym tylko mogła cokolwiek zrobić!

Zastanawiała się właśnie, czy ma znów zadzwonić do Caleba. Właściwie rozmawiała z nim poprzedniego dnia i postanowiła sobie, że w żadnym wypadku nie będzie dzwonić do niego codziennie, aby go nie irytować, w efekcie czego mogła stracić osobę ciągle gotową do udzielania jej jakichkolwiek informacji. Ale w tym momencie, kiedy właśnie walczyła z chęcią sięgnięcia po telefon, zabrzmiał jego sygnał. Nie miało to miejsca już od tak dawna, że Kate potrzebowała dłuższej chwili, żeby zrozumieć, skąd pochodził ten dźwięk i co oznaczał. A potem pobiegła do kuchni, gdzie na stole leżał telefon. Może to Caleb? Może wreszcie jakiś przełom w śledztwie?

– Tak? Halo? – odezwała się, usiłując złapać oddech.

– Kate? – usłyszała kobiecy głos. – To ty? Mówi Christy.

– Ach, Christy! – Kate nie udało się ukryć rozczarowania w swoim głosie.

Sierżant śledcza Christy McMarrow, jej koleżanka ze Scotland Yardu. Christy była prawdziwym cierniem w oku Kate, bo nie dość, że była znakomitą śledczą i cieszyła się dużym uznaniem szefa i współpracowników, to jeszcze miała

mnóstwo przyjaciół. Christy także była samotna, ale korzystała ze wszystkich uroków bycia singielką i wolny czas spędzała w barach i pubach Londynu z wesołą paczką znajomych. Kate ciągle miała nadzieję, że kiedyś wreszcie znajdzie się wśród nich, ale nie miała szczęścia. Obie kobiety jakoś nie mogły znaleźć wspólnego języka. Musiały wprawdzie pracować razem, ale Christy zawsze dawała Kate do zrozumienia, że nie jest zainteresowana dalszymi kontaktami po zakończeniu pracy. Także teraz na pewno nie dzwoniła powodowana przyjacielskimi uczuciami. Przypuszczalnie szef zlecił jej, aby przypomniała Kate, że wkrótce ma być gotowa do podjęcia pracy.

– No i co u ciebie słyhać? Jak się czujesz? – dopytywała się Christy, choć raczej nie sprawiała wrażenia zainteresowanej, lecz wypełniającej obowiązek. „Ale całkiem możliwe – pomyślała Kate – że widzę to zbyt negatywnie”. Christy, podobnie jak pozostali koledzy w pracy, była naprawdę wstrząśnięta po zbrodni dokonanej na Richardzie Linville’u. Mimo że Kate nie była zbyt lubiana – to czegoś takiego nikt jej nie życzył.

– No, nieźle – odpowiedziała. A potem w nagłym przypiływie szczerości dodała: – Niezbyt dobrze, Christy. Tak naprawdę... nie uporałam się jeszcze z tym wszystkim.

– Nic dziwnego. Ale sądzisz, że siedzenie tak długo w tym... domu ma sens? Mam na myśli to, że tam na każdym kroku wszystko przypomina ci, co się stało.

„Jak gdybym w jakimkolwiek miejscu na świecie mogła o tym zapomnieć” – pomyślała Kate.

– Nie mogę tak po prostu zaniedbać tego domu – odpowiedziała.

– Oczywiście, że nie. Ale może powinnaś spróbować jak najszybciej znaleźć najemcę albo kupca.

– Musiałabym najpierw wszystko stąd usunąć – odparła Kate z wyraźną rezygnacją w głosie.

– A jeszcze się do tego nie zabrałaś? – spytała Christy, nie kryjąc zaskoczenia.

„Ona po prostu nie jest z nikim i z niczym związana – pomyślała Kate. – Nie wie, co czuje ktoś, kto stracił ostatniego człowieka, jakiego miał na tym świecie”.

– Nie – odpowiedziała. – Nie zrobiłam tego jeszcze. Próbowalam. Ale to jest... to dla mnie zbyt trudne.

– Powiem ci, co zrobiłabym na twoim miejscu – rzekła Christy, choć Kate nie spytała jej o ocenę tej sytuacji. – Zatrzymałabym kilka osobistych przedmiotów, a całą resztę kazałabym wywieźć firmie sprzątającej. A potem sprzedałabym dom i za te pieniądze kupiłabym sobie eleganckie mieszkanie własnościowe tu, w Londynie. Bo po co ci ten dom w Yorkshire? Przecież mieszkasz i pracujesz w Londynie. Tu jest twoje życie!

„A właśnie że nie – pomyślała Kate. – Moje życie było tu, w Scalby. Tu było

moje miejsce na ziemi i właśnie je straciłam. I teraz nie wiem, gdzie ono jest”.

– Zrobię to, co trzeba – odpowiedziała i zabrzmiało to bardziej szorstko i chłodno, niż zamierzała. Ułamek sekundy później pomyślała: „To właściwie całkiem zrozumiałe, że nie mogę znaleźć przyjaciół. Może Christy rzeczywiście miała dobre intencje. Może to ja po prostu jestem niemiła i oschła”.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Wiem, że chcesz jak najlepiej, ale...

– W porządku, w końcu nic mnie to nie obchodzi – przerwała jej Christy. Chwila bliskości między obiema kobietami znikła tak nagle jak zdmuchnięty płomień świecy. – Ale właściwie dzwonię w innej sprawie... – mówiła dalej Christy. – Był tu telefon do ciebie. To była... – Coś szeleściło, bo Christy najwyraźniej szukała czegoś wśród papierów na biurku. – O, mam. Dzwoniła jakaś Melissa Cooper. Z Hull.

– Hull? To przecież tu obok, niedaleko!

– Ale ona myślała, że ty jesteś w Londynie. Nie ma pojęcia o tym, że teraz zatrzymałaś się w Scalby, i ja też jej tego nie powiedziałam. A ona chce koniecznie z tobą porozmawiać. Oczywiście nie dałam jej numeru twojego telefonu, ale ja mam jej. Prosi, abys do niej zadzwoniła jak najszybciej.

– Melissa Cooper? Nie znam nikogo, kto się tak nazywa. Powiedziała, o co chodzi?

– Hm, tak. Powiedziała, że musi porozmawiać z tobą w sprawie twojego ojca.

– W sprawie mojego ojca? – Serce Kate zaczęło natychmiast bić jak oszalałe. Czy ta kobieta jest – a może będzie – tą osobą, która dostarczy decydujących, tak bardzo wyczekiwanych przez wszystkich informacji? Częścią układanki, dzięki której śledztwo wreszcie ruszy do przodu?

– Tak. Ale więcej nie można było z niej wydobyć. Powiedziałam jej, że powinna się zwrócić do policji w Scarborough, ale ona oświadczyła, że chodzi o coś prywatnego. I dlatego nie wiem, czy to, co ona ma do powiedzenia, ma jakiś związek ze zbrodnią popełnioną na twoim ojcu.

– Christy, ojciec nigdy nie wymienił tego nazwiska. Doskonale znałam krąg jego prywatnych znajomych, który zresztą nie był duży, i jakaś Melissa Cooper nigdy się tam nie pojawiła. Myślę raczej, że to ma coś wspólnego z tym człowiekiem... – Urwała. Może była to znajoma Denisa Shove’a, która coś wiedziała. Która coś widziała.

Skąd ona mnie zna? Skąd wie, że mieszkam w Londynie i pracuję w Scotland Yardzie?

Wszystko jedno. To należy wyjaśnić.

– Wiesz, że nie ty prowadzisz dochodzenie w tej sprawie? – spytała Christy.

Ależ oczywiście, że wiem, ty miss chytrkości. Ale niestety zdaje się, że tu tak naprawdę nikt nie prowadzi dochodzenia. A przynajmniej nie tak, aby można było

mieć nadzieję, że kiedykolwiek i ktokolwiek zaprezentuje jakiś sensowny wynik tego śledztwa. Tu po prostu wszystko tkwi w miejscu. Prawdopodobnie śmierć starego policjanta nikogo nie obchodzi.

To było niesprawiedliwe. Wiedziała o tym.

– Christy, jeśli ta Mrs Cooper chce mówić tylko ze mną, to nie powinnam wysłać do niej policji i ryzykować, że ona całkowicie umilknie. Możesz mi podać jej numer?

Christy podyktowała numer, który Kate szybko zapisała na odwrotnej stronie kalendarza powieszzonego w kuchni przez ojca.

– Ale nie zrobisz niczego na własną rękę? – spytała jeszcze raz Christy, a Kate przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem.

– Christy, ja nie jestem małym dzieckiem. Zadzwoń teraz do tej kobiety i jeśli ona ma mi do powiedzenia coś, co będzie miało związek z dochodzeniem, to z pewnością nie zatrzymam tego tylko dla siebie.

– Wszystko jasne, Kate. Nie chcę cię denerwować, ale... nie zadrećzaj się aż tak bardzo. Twoje życie płynie dalej.

Ach, doprawdy? Dlatego że wy wszyscy zrobiliście się dla mnie tacy mili i sympatyczni?

– Dziękuję za telefon, Christy. Na razie.

– Na razie, Kate.

Natychmiast po zakończeniu rozmowy Kate wybrała podany numer Melissy Cooper na swoim telefonie. Miała przeczucie graniczące wręcz z pewnością, że teraz wreszcie śledztwo ruszy do przodu.

Po południu wsiadła w samochód ojca i ruszyła w drogę. Zastanawiała się, jak w ogóle mogła wytrzymać te parę godzin oczekiwania. Aby odwrócić nieco uwagę od dręczących ją myśli, wysprzątała cały dom od góry do dołu, umyła nawet okna, i teraz wszystko błyszczało i pachniało cytrynowym środkiem do czyszczenia. I mimo wszystko ciągle myślała o nieznajomej kobiecie, a im dłużej myślała, tym bardziej rósł jej niepokój.

Melissa Cooper miała sympatyczny głos, ale Kate odniosła wrażenie, że kobieta jest pod jakąś ogromną presją. Że jest jakby wystraszona czy zaszczuta. Melissa oświadczyła, że pracuje jako sekretarka w szkole podstawowej i że o wpół do piątej kończy pracę. I z wyraźną ulgą przyjęła fakt, że Kate zadzwoniła nie z Londynu, lecz ze Scalby, po czym spytała, czy wobec tego Kate nie mogłaby do niej przyjechać.

– Mogłabym być około piątej w swoim mieszkaniu. Możemy się tam spotkać?

Jedyne, co ewentualnie mogłaby zakwestionować Kate, to godzina tego spotkania. Dopiero o piątą! Tak późno!

– Bardzo bym chciała zobaczyć się z panią natychmiast – powiedziała

Melissa Cooper. – Ale nie mogę stąd wyjść i nie mogłybyśmy też tu w spokoju porozmawiać.

Czy w jej głosie zawsze można było usłyszeć ten dziwny, piskliwy ton? To brzmiało jak głos kogoś, kto był o krok od nagłego ataku paniki. „Ale może to moja nadinterpretacja” – pomyślała Kate. Możliwe, że ta Mrs Cooper miała skłonności do lekkiej hysterii i zawsze sprawiała wrażenie zestresowanej i nieco przemęczonej.

Mimo to... Kate ciągle nie opuszczało uczucie dziwnego niepokoju i troski. Próbowwała jeszcze w trakcie rozmowy wyciągnąć trochę więcej informacji, ale Melissa dała jej do zrozumienia, że nie może teraz mówić.

– Później – powiedziała mocno ściszym głosem. – Nie jestem sama.

Kate zanotowała więc adres. Zgodnie z samochodową nawigacją Richarda jazda miała trwać około półtorej godziny. Było więc nieco za wcześnie, kiedy wyruszyła w drogę o trzeciej, ale postanowiła, że w razie nieobecności Melissy po prostu poczeka w samochodzie. A poza tym nigdy nie było wiadomo, czy gdzieś po drodze nie utknie się w korkach.

Jakiś wewnętrzny głos mówił Kate, że powinna się pośpieszyć. Może był to instynkt policjantki, który milczał już od tak dawna, że Kate sądziła, iż musi pożegnać się z nim na zawsze. Ale może po prostu go tylko nie słyszała. Właściwie nie wierzyła już w siebie zupełnie, dlaczego więc miałyby zaufać swojemu instynktowi?

Na szczęście deszcz przestał padać. Asfalt drogi błyszczał od wilgoci, ale trawniki po obu jej stronach schły szybko na wietrze. Panował ożywiony ruch i Kate była zadowolona, że wyruszyła odpowiednio wcześnie. Koło Drifffield doszło do jakiegoś wypadku i dobre dwadzieścia minut wszystkie samochody poruszały się w tempie pieszego, bo wprowadzono ruch wahadłowy poboczem. Kate dygotała ze zniecierpliwienia, ale jednak była w stanie przywołać siebie do porządku. Oby tylko nie stracić nerwów. Inaczej ona sama będzie kolejną osobą, która spowoduje wypadek.

I rzeczywiście było już za dziesięć piątą, kiedy skręciła w jedną ze spokojnych uliczek, przy której mieszkała Melissa Cooper. Czteropiętrowe domy wielorodzinne, pomalowane na białą okna, białe drzwi. Małe, starannie utrzymane trawniki przed wejściami. Bardzo czysta, zadbana okolica, choć niezbyt zamożna, może nieco drobnomieszczańska. Kate zastanawiała się, jakim typem kobiety mogła być Melissa Cooper.

Czekała w samochodzie, dygocąc ze zniecierpliwienia i dokładnie o piątej ruszyła wybrukowaną uliczką prowadzącą w stronę drzwi wejściowych do domu Melissy. Kobieta powiedziała, że mieszka na trzecim piętrze. Czy była już w domu? W ciągu ostatnich dziesięciu minut Kate nie widziała nikogo idącego tą drogą. Znalazła tabliczkę z nazwiskiem i zadzwoniła. Czekala przez chwilę, ale nie

było żadnej reakcji.

Melissa najwyraźniej się spóźniała. Kate wróciła więc do samochodu, wsiadła do środka, ale nie spuszczała z oczu domu. Nie mogła nie dostrzec nadejścia Melissy.

Dziesięć po piątej nie zjawił się nikt, także piętnaście po. Kate wyciągnęła telefon z torby i wybrała numer Melissy. Sygnał zabrzmiał sześć razy, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. „Tu skrzynka pocztowa Melissy Cooper. Proszę zostawić wiadomość”.

Może Melissa też siedziała w samochodzie i nie mogła odebrać. Może, podobnie jak Kate, niecierpliwiła się, stojąc w korku, może natrafiła na jakiś wypadek. Ale dlaczego w takim razie nie dzwoniła? Kate podała jej przecież swój numer.

O wpół do szóstej Kate raz jeszcze spróbowała się do niej dodzwonić – znów bezskutecznie. Tym razem zostawiła jednak wiadomość.

„Halo, Mrs Cooper, mówi Kate Linville. Stoję dokładnie naprzeciwko pani domu. Jest wpół do szóstej. Mam nadzieję, że wszystko w porządku? Proszę oddzwonić!”

Znów wysiadła z samochodu, podeszła do drzwi wejściowych i zadzwoniła. Zgodnie z tym, czego się spodziewała, po drugiej stronie nadal panowała cisza. W końcu zadzwoniła do mieszkania znajdującego się obok. Na tabliczce napisane było nazwisko „Acklam”. Może któryś z sąsiadów będzie wiedział, gdzie mogłaby być Melissa.

Tu przynajmniej ktoś był w domu.

– Tak, słucham? – zabrzmiał głos w domofonie i natychmiast rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Ludzie byli doprawdy nieostrożni, ale o tym Kate wiedziała aż za dobrze dzięki swemu zawodowi.

Weszła po schodach na trzecie piętro. Klatka schodowa była dobrze oświetlona, na każdym podejście stały kwiaty w doniczkach. Pachniało środkami do czyszczenia. Najwyraźniej bardzo przestrzegano tu zasad czystości i porządku.

Na górze przed drzwiami do mieszkania stał mężczyzna i patrzył nieufnie na Kate.

– Tak, proszę? – powtórzył swoje pytanie, na które Kate ciągle nie odpowiadała.

Uśmiechnęła się więc życzliwie w odpowiedzi.

– Dzień dobry. Właściwie chciałam się zobaczyć z Melissą Cooper. Byłyśmy umówione na piątą, czekam tu przed domem już pół godziny i zdaje się, że ciągle nie ma jej w domu.

– Mrs Cooper najpóźniej o piątej jest zawsze w domu – wyjaśnił Mr Acklam.
– Czasami robi po drodze zakupy, ale na pewno nie dziś.

– Nie. Umówiliśmy się dziś w południe na piątą i raczej nie mogła o tym

zapomnieć.

– Dziwne... – Mr Acklam popatrzył uważnie na drzwi mieszkania Mrs Cooper. – A poza tym zwykle słyszę, kiedy ona przychodzi do domu. Tu wszystko słyhać, wie pani? A dzisiaj niczego nie słyszałem. To chyba nie ma jej w domu.

– Tak, to bardzo osobliwe – stwierdziła Kate. Niepokój, który czuła od przedpołudnia, wyraźnie wzrósł. – Ona pracuje w szkole, prawda? Może wie pan w której? Może mogłabym podjechać i zobaczyć, czy jej tam nie ma.

Na twarzy mężczyzny znów pojawiła się nieufność.

– Jest pani jej przyjaciółką? Znajomą?

Kate wahała się przez chwilę. W tej sytuacji nie miała żadnego upoważnienia, aby robić to, co właśnie robiła, ale teraz był to najlepszy sposób, aby skłonić sąsiada Melissy do współpracy. Wyciągnęła z torby swoją legitymację służbową.

– Sierżant śledcza Kate Linville, Metropolitan Police.

Mr Acklam był pod wrażeniem.

– Metropolitan Police? Scotland Yard?

– Mr Acklam – powiedziała Kate. – Naprawdę muszę natychmiast porozmawiać z Melissą Cooper.

– Też jej to radziłem – odparł Mr Acklam. – Żeby zwróciła się do policji i porozmawiała z kimś, zanim całkiem zwariuje. To bardzo rozsądne z jej strony, że zadzwoniła do pani.

Kate zmarszczyła czoło.

– Pan jej radził, aby zwróciła się do policji?

– No tak, bo ostatnio była dosłownie wykończona nerwowo. Mówiąc szczerze, nie byłem pewien, czy ona sobie czegoś nie wmawia, ale pomyślałem... nigdy przecież nie wiadomo. I sądziłem, że kiedy policja to sprawdzi i okaże się, że wszystko jest w porządku, to Melissa będzie mogła przynajmniej spokojnie spać. I zapomnieć o wszystkim.

– A co dokładnie opowiadała panu Melissa Cooper?

– Mówiła, że czuje się obserwowana. Że ma wrażenie, jakoby ktoś za nią chodził i ją śledził, czy ja wiem... Ostatnio przyszła do mnie w środku nocy, bo ponoć ktoś stał przed domem i obserwował okna jej mieszkania. Popatrzyłem wtedy na dół, ale nikogo nie było. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć, bo właściwie Mrs Cooper była zawsze osobą bardzo rozsądną. Nie była nigdy dziwna czy ekscentryczna. Ale dużo czasu spędzała sama, a przynajmniej wieczory i weekendy. Jej mąż dawno zmarł, a synowie praktycznie się u niej nie pokazują.

Kate rozmyślała intensywnie. Melissa Cooper czuła się śledzona. I to odpowiadało dokładnie wrażeniu, które Kate odniosła w czasie krótkiej rozmowy telefonicznej: niespokojna, zaszczuta kobieta. Zapędzona w kozi róg. Osaczona.

I miała coś wspólnego z jej ojcem.

Który został w okrutny sposób zamordowany.

Kate ogarnęła nagle pewność, że Melissa Cooper jest w wielkim niebezpieczeństwie, a fakt, że dotychczas nie pojawiła się w swoim mieszkaniu, może oznaczać coś bardzo złego.

– Mr Acklam, muszę natychmiast porozmawiać z Mrs Cooper. To bardzo ważne. Gdzie jest ta szkoła?

– Przy polu golfowym Sutton Park. To jest... jak mam to opisać?

– Żaden problem, mam nawigację. Dziękuję, Mr Acklam. Bardzo mi pan pomógł.

Po tych słowach Kate popędziła schodami w dół. Kiedy biegła do samochodu, przyszło jej do głowy, że jeśli chce przestrzegać przepisów, to powinna natychmiast wezwać do szkoły patrol policji, bo ten dotrze tam z pewnością szybciej niż ona. A z drugiej strony nie była przecież na służbie i nie prowadziła oficjalnego dochodzenia. I zanim wytłumaczy jakiemuś upartemu i nierozgarniętemu urzędnikowi na posterunku, dlaczego ona, policjantka ze Scotland Yardu, tak pilnie potrzebuje tu, w Hull, wsparcia policjantów, tylko dlatego, że jakaś dorosła kobieta nie zjawia się w domu od piętnastu minut, to przypuszczalnie upłynie więcej czasu, niż ona sama będzie potrzebować na dotarcie do szkoły w Sutton Park. Jedyna szybka droga prowadziła przez osobę nadkomisarza Caleba Hale'a, ale Kate dobrze wiedziała, co ją do tego zniechęcało: pragnęła porozmawiać z Melissą Cooper jako pierwsza. Nie chciała się dowiedzieć z drugiej ręki, od Caleba, co ta kobieta miała do powiedzenia.

Wpisała do nawigacji nazwę Sutton Park i ruszyła.

2

Pole golfowe Sutton Park składało się z zielonych łąk obejmujących znaczny areal i na pierwszy rzut oka Kate nie mogła w pobliżu dostrzec niczego, co przypominałoby szkołę. Kręciła się w gąszczu podobnych, jeśli nie wręcz takich samych osiedlowych uliczek, mijała kolejne domy z klinkierowej cegły, ozdobione wieżyczkami i wykuszami, co robiło wrażenie pseudowiktoriańskiej figlarności, a nienaturalność i sztuczność całości były tym bardziej rażące, kiedy za wypielęgowanymi ogródkami dostrzegało się płaskie garaże, przypominające bardziej kamienne kontenery. Kate klęła głośno, jeżdżąc w kółko wśród budowli jak z klocków lego, i zastanawiała się, czy w tej okolicy choćby jedno źdźbło trawy odważy się być wyższe, bardziej krzywe albo w innym kolorze niż jego sąsiad. Co kawałek w polu widzenia pojawiał się ciemnozielony stalowy płot otaczający pole golfowe. Jedna ślepa uliczka za drugą, jedna zawrotka, a zaraz potem następna.

To trwa za długo! Powinnam była zadzwonić do Caleba Hale'a.

Przeszukała ulicę o nazwie Gleneagles Road, którą przecinała niesłychana wprost liczba bocznych, kończących się ślepo uliczek, i była już bliska tego, aby

zatrzymać się na poboczu i wezwać pomoc, ale w tym momencie zobaczyła szkołę. Budynek stał tuż przy rozgałęzieniu dróg, w sporej odległości od domów mieszkalnych i otaczały go rozległe tereny zielone. Obok szkoły znajdowało się kilka mniejszych pawilonów, pomiędzy nimi kilka wyasfaltowanych boisk i trawników, a nawet boisko ze ścianką wspinaczkową. Piękna, nowoczesna szkoła, jeszcze niezniszczona i bardzo zadbana. Na ścianach i murach otaczających budynek nie można było dostrzec żadnego graffiti.

„Choć to jest przecież tylko szkoła podstawowa – pomyślała Kate. – Dzieci w tym wieku nie malują jeszcze żadnych obscenicznych haseł ani rysunków na każdej wolnej powierzchni”.

Wjechała przez otwartą bramę i zobaczyła jedyne, samotne auto stojące na położonym po prawej stronie parkingu. Była gotowa się założyć, że był to samochód Melissy Cooper. Czyli ona przypuszczalnie jeszcze tu była. Dlaczego nie odbierała telefonu? Dlaczego nie oddzwoniła po odsłuchaniu wiadomości? Było już dobrze po szóstej. Ta rozmowa była przecież dla niej tak ważna, że zadzwoniła aż do Metropolitan Police w Londynie. Nie mogła więc po prostu zapomnieć o terminie spotkania.

Kate wysiadła. Szkolny budynek był o tej porze tak pusty i wymarły, że trudno było sobie wyobrazić, jak dzieci za dnia bawią się tu i szaleją. Jak się śmieją i krzyczą, grają w „chłopa”, przekomarzają się i kłócą. A jednak tak było – zaledwie parę godzin wcześniej pulsowało tu życie. Matki przyjeżdżały po swoje pociechy i gorączkowo szukały możliwości zaparkowania, aby móc poczekać na biegnące w ich stronę dzieci, a potem wszystkie samochody ruszały w stronę bramy. Zapewne panował wtedy ogłuszający hałas.

Teraz jednak zalegała tu zupełna cisza.

Kate przypuszczała, że sekretariat znajdował się w głównym budynku, ale kiedy próbowała otworzyć wielkie szklane drzwi prowadzące do wejściowego holu, stwierdziła, że były zamknięte. Szarpnęła nimi kilka razy, choć wiedziała, że to daremne. Kto mógł tu wszystko tak starannie pozamykać? Melissa? Czy ona już poszła, to nie jej auto stało samotnie na parkingu?

Ale gdzie była?

Kate, niewiele myśląc, okrążyła budynek, próbując zajrzeć do środka przez któreś z okien, ale na większości pospuszczano żaluzje chroniące wnętrza przed ciekawskimi spojrzzeniami. Przez jedno z okien udało jej się zajrzeć do klasy. Na tablicy było wypisanych kilka wierszy tekstu, a krzesła poustawiano na stołach.

Nigdzie nie było nikogo widać.

Odwróciła się i zaczęła rozmyślać, co powinna teraz zrobić, kiedy usłyszała czyjś głos.

– Proszę pani! Szuka pani czegoś?

Przez boisko szedł w jej stronę jakiś człowiek, pchając rower.

- Mogę pani jakoś pomóc?
- Umówiłam się z Melissą Cooper – odpowiedziała Kate.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Jej już dawno tutaj nie ma. Wychodzi najpóźniej o wpół do piątej.

- Ale jej samochód stoi na parkingu – odparła Kate.

Mężczyzna zrobił kilka kroków w bok, aby zobaczyć parking, po czym powiedział:

- Rzeczywiście. Tam jest jej auto. Nie rozumiem tego.

- Pan jest tu dozorcą?

Popatrzył na nią nieufnie.

- A z kim mam do czynienia?

Kate zrobiła to po raz drugi – nie było po prostu innego środka, który byłby równie szybki i skuteczny. Wyciągnęła swoją legitymację.

- Sierżant śledcza Kate Linville, Scotland Yard. Proszę otworzyć drzwi.

Mimika i ruchy mężczyzny zmieniły się w mgnieniu oka. Sprawiał teraz wrażenie tak onieśmiałego, że wręcz mógłby uchodzić za podejrzanego.

– Scotland Yard, o Boże! Czy coś się stało z Mrs Cooper? Czy ona ma kłopoty?

– Czy może pan teraz otworzyć? – powtórzyła Kate, zamiast odpowiedzieć na jego pytania.

Mężczyzna oparł rower o ścianę budynku i wygrzebał z kieszeni pęk kluczy.

– Zamknąłem główny budynek o wpół do szóstej, to ten. – Wskazał głową jeden z pawilonów. – Dziś wysiadł tam jeszcze prąd i do tej pory z tym walczyłem. Inaczej dawno by mnie tu nie było.

Ruszyli oboje w kierunku wejścia. Kate szła tak szybko, że nieco ocięzały dozorca ledwo mógł za nią nadążyć.

– O wpół do czwartej szkoła kończy pracę, wie pani? Wtedy zaraz zjawia się ekipa sprzątaczek i pracuje mniej więcej do wpół do piątej. O tej porze przeważnie jest tu jeszcze Melissa i kończy wszystko to, czego nie zdążyła zrobić za dnia. Jak pani zapewne wie, cały dzień panują tu zgiełk i hałas. Często zamykam już o wpół do piątej, zaraz po wyjściu sprzątaczek, ale to nie problem dla Melissy. Ona ma własny klucz i może o każdej porze wyjść.

Dotarli już do głównego budynku i dozorca otworzył drzwi.

- Gdzie jest sekretariat? – spytała Kate.

– Proszę iść za mną – odpowiedział dozorca, którego ciekawiła ta sytuacja, tak odmienna od nudnej szkolnej rzeczywistości. Kate natomiast była coraz bardziej niespokojna. Nie przychodziły jej już do głowy żadne niewinne wyjaśnienia tej dziwnej sprawy.

Puste, wymarłe korytarze. Na podłodze linoleum, które pischczało pod butami. Wieszaki na ubrania na ścianach, tu i tam zapomniana kurtka czy nawet

welniany szalik jeszcze po zimie. I typowy szkolny zapach. Chyba nie dałoby się go pomylić z żadnym innym na całym świecie. I chyba wszędzie jest taki sam. Kate niemal natychmiast poczuła się przeniesiona w inne, dawno minione czasy. I dokładnie rzecz biorąc, były to czasy o wiele bardziej szczęśliwe. Podobnie jak wiele dzieci i nastolatków także ona wierzyła, że życie będzie lepsze, kiedy tylko skończy szkołę. Aby stwierdzić potem, że te najlepsze lata były już za nią.

– No, to tutaj – powiedział dozorca i skreślił w stronę pomieszczenia, do którego drzwi były szeroko otwarte. W następnej chwili niemal odskoczył do tyłu i zderzył się z idącą tuż za nim Kate.

– Jezus! – sapnął przerażony. Jego twarz niemal natychmiast stała się biała jak kreda.

Kate zdecydowanym ruchem odsunęła go na bok.

– Proszę nie wchodzić do pokoju i niczego nie ruszać!

Tego akurat nie trzeba mu było powtarzać. Mężczyzna osunął się na jedną z wąskich ławek, które stały pod rzędem wieszaków, i oparł głowę na rękach. Jego czoło było mokre od potu.

Obraz, jaki miała teraz przed oczami Kate, był przerażający, ale nie wątpiła ani przez chwilę, że kobietą, która siedziała tam na krześle na środku pomieszczenia, była właśnie Melissa Cooper. Ręce miała skrępowane taśmą klejącą z tyłu za oparciem, w ten sam sposób przymocowano do nóg krzesła jej wykręcone na zewnątrz stopy. Spódnica kobiety była podciągnięta do góry, rajstopy podarte i od kolan w dół jej nogi oblepiała gruba warstwa zakrzepłej krwi. Sprawca zgruchotał jej rzepki w kolanach, zapewne za pomocą młotka lub deski. Także górna część ciała była zalana krwią, i to w takich ilościach, że nie można było rozpoznać nawet koloru swetra, który miała. Głowa kobiety zwisała, mocno przechylona na bok. Kate dostrzegła głębokie nacięcie ciągnące się od ucha przez gardło aż do drugiego ucha. Coś tkwiło w jej ustach i było także przymocowane taśmą klejącą. Prawdopodobnie pończocha albo chusteczka. Melissa nie mogła krzyczeć, co tłumaczyło fakt, że dozorca nie miał pojęcia o tej rzezi, do której doszło tak blisko niego. Sprawca skrępował Melissę Cooper, torturował ją, a potem zamordował. I to całkiem niedawno.

Kate wyciągnęła z torby telefon. Patrol policji, pogotowie. I Caleb Hale. Wreszcie zadzwoniła do Caleba Hale'a. Potem odwróciła się w stronę dozorca, chcąc przestrzec go jeszcze raz, aby nie ruszał się z miejsca ani na krok, ale to akurat okazało się zbędne: mężczyzna zsunął się z ławki i leżał nieprzytomny na podłodze. Sprawdziła szybko jego puls i zdecydowała, że to może poczekać na lekarza. A potem pobiegła korytarzami, kryjąc się co chwila za otwartymi drzwiami. Pytanie tylko, czy sprawca, albo też sprawcy, ciągle jeszcze był w budynku. Nie sądziła, aby tak było, ale postępowała zgodnie z przepisami, których się nauczyła na wypadek takiej sytuacji jak ta. Choć co prawda nie do

końca: zgodnie z przepisami nie wolno jej było pozwolić sobie na samodzielne działanie.

Dookoła roilo się wprost od policjantów i sanitariuszy. Mrugające niebieskie światło na pojazdach uczestniczących w akcji rzucało jaskrawą poświatę na ściany. Na dworze zapadał zmrok, a Kate miała wrażenie, że pojawia się coraz więcej ludzi. Każdy robił, co do niego należało. Zajęto się też dozorcą, któremu najpierw udzielono pomocy, po czym odwieziono do domu samochodem patrolu policji. Miejsce zbrodni zostało dokładnie obfotografowane, a ciało zamordowanej kobiety poddano badaniu. Zgodnie z tym, czego dowiedziała się Kate, kobieta zmarła w wyniku przecięcia krtani. Kiedy zmiażdżono jej kolana, żyła jeszcze, ale przypuszczalnie była już nieprzytomna. Orientacyjny czas zbrodni: między godziną wpół do piątej a piątą po południu.

„Kiedy ja beczynn timer stałam przed jej domem i czekałam” – pomyślała Kate, siedząc apatycznie na tej samej ławce, na którą ostatkiem sił osunął się dozorca. O ile mogła stwierdzić, w budynku rzeczywiście nie było już nikogo, ale wiedziała, że i tak zostanie przeszukany każdy jego centymetr kwadratowy. Nikt już nie sądził, że zostanie gdzieś sprawcę. Jednak liczone na ślady, które być może będą pomocne w śledztwie.

Na ławce koło Kate usiadła jakaś kobieta, która wydała się jej znajoma, choć Kate nie pamiętała już skąd.

– Śledcza Jane Scapin. Znamy się jeszcze z lutego.

Prawda, funkcjonariuszka śledcza Scapin z zespołu Caleba Hale’a. Kate przypomniała już sobie. To ona była z nią wtedy, kiedy wszyscy zaprowadzili Kate do domu ojca. Delikatna młoda kobieta, która wówczas wydała się Kate niesłychanie nerwowa.

I mocno umęczona.

– Och, proszę wybaczyć. Nie rozpoznałam pani od razu – odpowiedziała Kate, rozglądając się. – Gdzie jest Caleb Hale?

Jane nieznacznym ruchem wskazała głową gdzieś za siebie.

– Dyskutuje właśnie z szefem oddziału policji w Hull, który najwyraźniej nie bardzo może pogodzić się z faktem, że tu jesteśmy i zamierzamy zgarnąć tę sprawę dla siebie. Ale Caleb potrafi być przekonujący.

– A więc pani też widzi związek między tymi sprawami?

Jane skinęła głową.

– Dotarło do mnie, że przez telefon powiedziała pani nadkomisarzowi Hale’owi, że ta...

– Melissa Cooper.

– Że Melissa Cooper chciała rozmawiać z panią w sprawie pani ojca. I wkrótce potem ją zamordowano, a my zastaliśmy podobny obraz jak... – Nie dokończyła.

„To też jest przyczyną mojego przeświadczenia, że stale jestem w jakiś sposób wykluczana – pomyślała Kate. – Takie dziwne otaczanie mnie specjalnymi względami przez wszystkich. Ciągłe te niedopowiedzenia, taktowne omijanie pewnych tematów... Dla nich nie jestem koleżanką. Jestem krewną ofiary. A to zupełnie odmienny status”.

– Taki obraz, jak wtedy u mojego ojca – uzupełniła. – Ofiara przywiązana do krzesła. W sadystyczny sposób dręczona, zanim sprawca ostatecznie ją zamordował.

– Dlatego właśnie widzimy związek między tymi sprawami – powiedziała Jane i umilkła na chwilę. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej i kompletnie wytrąconej z równowagi, z wyraźnym trudem przychodziło jej panowanie nad sobą, konieczne do wykonania zadań na miejscu zbrodni.

„Jest jeszcze taka młoda – pomyślała Kate – i bierze sobie to wszystko do serca o wiele bardziej niż wszyscy”.

– Kate... Mogę mówić do pani „Kate”? Jest pani z pewnością całkiem wyczerpana, ale byłoby dobrze, gdybym jak najszybciej miała pani zeznanie. Skąd pani zna Melissę Cooper? Czego ona dokładnie chciała od pani? Dlaczego jest pani tutaj?

– Niestety mogę to pani wyjaśnić w kilku słowach – odpowiedziała Kate – bo wiem niewiele więcej od pani.

Szybko opowiedziała o telefonie Melissy do Scotland Yardu i o rozmowie telefonicznej, którą z nią prowadziła wkrótce potem. I o tym, jak czekała przed jej mieszkaniem i jak w końcu pojechała do szkoły.

– Nie mam pojęcia, co chciała mi powiedzieć Mrs Cooper – zakończyła. – Nigdy wcześniej nie słyszałam tego nazwiska. Mój szef też go nigdy nie wymienił. Mogę tylko powiedzieć, że Melissa sprawiała wrażenie bardzo, ale to bardzo niespokojnej. I potwierdził to jej sąsiad. Melissa Cooper czuła się zagrożona. Obserwowana. Kiedyś nocą ponoć przed jej domem stał jakiś mężczyzna i patrzył w jej okna. Ona się czegoś obawiała. I niestety nie bezpodstawnie, jak teraz wiemy.

Jane szybko zrobiła kilka notatek.

– To w każdym razie stanowi różnicę między Melissą Cooper a pani ojcem. On nigdy nie mówił czegoś podobnego.

– Ale to nic nie znaczy. Nawet gdyby tak było, nie powiedziałby o tym już choćby dlatego, aby się nie ośmieszyć. A poza tym jest zeznanie, że pod jego domem krążyło jakieś podejrzanе auto. Ale o Melissie sprawca czy też sprawcy naprawdę dużo wiedzieli. I wybrali bardzo właściwy moment: pusta szkoła, ekipa sprzątaczek także wyszła. Dozorcy o tej porze również by nie było i budynek byłby zamknięty. Przypuszczam, że sprawcy zamierzali pochwycić Melissę na parkingu. Ale jak wiemy, dozorcę zatrzymała awaria prądu i dzięki temu mogli wejść do środka. Mała zmiana planów. Ale poza tym rozkład dnia Melissy był im doskonale

znany. I na pewno śledzili ją od dawna.

– Też tak sędzę – zgodziła się z nią Jane. – Oczywiście porozmawiamy jeszcze z tym sąsiadem i wypytamy go o wszystko dokładnie. W torebce ofiary znaleźliśmy nazwiska i adresy dwóch krewnych, zdaje się, że to jej synowie. Jeden z nich mieszka w Sheffield i został już zawiadomiony. Mam nadzieję, że uda mi się uzyskać od niego jakieś przydatne informacje. W każdym razie... – Nie dokończyła, bo właśnie tuż koło obu kobiet pojawił się Caleb Hale. Kate dostrzegła natychmiast, że był po prostu wściekły.

– Kate, to było bardzo nie w porządku z pani strony i sędzę, że już zdaje sobie pani z tego sprawę. W tym momencie kiedy Melissa Cooper skontaktowała się z panią, powinna była pani od razu zawiadomić o tym mnie. A ja z pewnością nie zgodziłbym się na spotkanie z nią późnym popołudniem, lecz odwiedziłbym ją natychmiast. Prawdopodobnie uzyskalibyśmy od niej wiele cennych informacji. A ona by żyła. Mogła jej pani oszczędzić tej okrutnej... egzekucji!

– Sir... – wtrąciła ostrzegawczo Jane, ale Caleb powstrzymał ją niecierpliwym ruchem ręki.

– Informowałem panią na bieżąco o wszystkich postępach w śledztwie, Kate. Bardziej szczegółowo, niż robię to zwykle w przypadku krewnych ofiary morderstwa. A to dlatego, że miałem panią za koleżankę, która zna procedury i wie, jak powinna traktować uzyskane informacje. I oczekiwałem koleżeńskiego zachowania z pani strony. Najwyraźniej całkowicie się pomyliłem co do pani osoby!

Kate skuliła się wręcz wobec gwałtowności, ale i słuszności jego wyrzutów. Caleb miał całkowitą rację. Znowu wszystko zawaliła. Niemal słyszała, jak jej koledzy z Londynu wzdychają z ubolewaniem. No tak, cała Kate! A najgorsze było to, że być może rzeczywiście ona właśnie mogła zapobiec śmierci tej biednej kobiety, gdyby była bardziej rozważna i mniej samolubna.

– Myślałam... że ona ma mi do powiedzenia coś całkiem prywatnego – wymamrotała niezdarne.

– Przy dochodzeniu w sprawie morderstwa nie ma niczego, co byłoby prywatne! – warknął Caleb. – A już przynajmniej nie pani powinna była to oceniać! Poza tym mogła pani zjawić się tu akurat w chwili morderstwa. Sama. Przypuszczalnie nieuzbrojona. Pani też mogła być w tej chwili martwa.

– Przykro mi – wyszeptała Kate.

– Za późno pani to zrozumiała – rzekł Caleb.

Kate poczuła lekki ucisk ręki na ramieniu i spojrzała w tym kierunku. Jane dotykała jej łagodnie i uśmiechnęła się niemal niezauważalnie. Zaraz mu przejdzie, oznaczał ten uśmiech.

„Ale nie zmieni to faktu, że jestem wszystkiemu winna” – pomyślała Kate. Miała ochotę wyć z rozpacz. Z trudem powstrzymywała łzy, bo wiedziała, że to

i tak nic już nie zmieni. A Caleb pogardzałby nią pewnie jeszcze bardziej.

Sierzant śledczy Stewart, także pracujący w zespole Caleba Hale'a, podeszedł do nich razem z wysokim, przystojnym mężczyzną o gęstych, ciemnych włosach i wyraźnie wstrząśniętej twarzy.

– Mr Michael Cooper, sir – powiedział Stewart. – Syn Melissy Cooper. Właśnie przyjechał z Sheffield.

– Czy mogę ją zobaczyć? – spytał od razu Cooper. – Czy mogę zobaczyć moją matkę?

Caleb uściśnął mu rękę.

– Wyrazy współczucia, Mr Cooper. Zobaczy pan matkę, ale nie teraz. Ciało jest w drodze do zakładu medycyny sądowej. Trzeba wykonać kilka badań.

Michael Cooper sprawiał wrażenie kogoś, kto za chwilę zacznie krzyczeć. Był najwyraźniej zszokowany i zrozpaczony.

– Czy jest pan całkowicie pewien, że... zmarła to moja matka? – spytał.

Caleb skinął głową.

– Dozorca szkoły ją zidentyfikował. A w torebce, która stała obok na stole, znaleźliśmy jej dokumenty. Także fotografia w paszporcie się zgadzała. Niestety. Pańska matka padła ofiarą zbrodni.

Ramiona Coopera gwałtownie zadrżały, a w oczach pojawiły się łzy.

– Jechałem tu jak szalony, kiedy dostałem tę wiadomość. To cud, że nie spowodowałem żadnego wypadku! Mój Boże! – Przejechał rękami po włosach. – To potworne! To okropne i całkowicie niepojęte! Zadzwońłem już do mojego brata. On, wie pan, mieszka w Szkocji. Przyjedzie jeszcze dziś w nocy.

– To dobrze – odpowiedział łagodnie Caleb. – Będziecie sobie teraz nawzajem potrzebni. Mr Cooper, chciałbym z panem w spokoju porozmawiać. Chodźmy do którejś klasy, a ja...

Michael Cooper sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie usłyszał tych słów, i przerwał Calebowi w połowie zdania:

– To wszystko moja wina. Nie brałem tego poważnie. Sądziłem, że ona sobie coś wmawia. Starsza kobieta, myślałem, i w dodatku za dużo czasu spędza sama. I wpędza się w jakieś mroczne fantazje. Ona zmieniła się zupełnie po tej sprawie z Linville'em i myślałem, że za dużo o tym rozmyśla, czuje się odpowiedzialna czy coś...

Wszyscy znieruchomieli.

– Słucham? – spytała Kate zachrypniętym głosem.

– Kate! – odezwał się Caleb ostrzegawczo, ale ona nie zwracała już na niego uwagi. Podeszła bliżej do Michaela Coopera, który przewyższał ją niemal o dwie głowy.

– Sprawa z Linville'em? Co pan o tym wie? Co pan wie o moim ojcu?

Michael błyskawicznie ocknął się ze stanu graniczącego wręcz z transem,

w efekcie którego mówił, nie zwracając uwagi na czyjeś słowa i pytania. Utkwił wzrok w twarzy Kate i patrzył na nią z takim zdumieniem, jak gdyby była jakąś osobliwą kreaturą, której nikt nigdy nie widział.

– Pani ojciec? Pani jest...

– Jestem Kate Linville. Córka Richarda Linville’a. Pańska matka umówiła się dzisiaj ze mną. Przedtem nigdy o niej nie słyszałam, nie wiem, kim ona jest i czego ode mnie chciała. Ale to ma związek z moim ojcem, prawda? Czy znał pan mojego ojca?

Michael się roześmiał w odpowiedzi. Ale nie był to śmiech pełen radości.

– Czy ja go znałem? Pewnie, że tak! Ale pani rzeczywiście nie ma o niczym pojęcia, prawda? No jasne, nic dziwnego. Moja matka była najbardziej strzeżoną tajemnicą Richarda Linville’a, i to aż po sam grób, jak widać.

– Mr Cooper...

Popatrzył na nią pogardliwie.

– Minęło już prawie szesnaście lat od czasu, kiedy Linville i moja matka mieli romans. Trwało to mniej więcej cztery lata. Moja matka była wdową i sama wychowała swoich synów. I zakochała się nieprzytomnie w Linville’u. Liczyła na wielkie szczęście. Ale on zwodził ją i oszukiwał. Szedł z nią do łóżka, a wieczorem wracał do domu, do swojej żony. Moja matka cały czas liczyła na to, że któregoś dnia wreszcie zostawi żonę i zdecyduje się z nią być. Ale on oczywiście tego nie zrobił. Ja ją ostrzegałem, mój brat także. Byliśmy już poza domem, studiowaliśmy i matka któregoś dnia zaprosiła nas do siebie i przedstawiła nam Linville’a. Dla niego było to bardzo nieprzyjemne. A ja wiedziałem od razu, że tego kroku nigdy nie zrobi. Nie rozwiedzie się z żoną. Będzie mamił matkę słodkimi słówkami, a potem ją zostawi. I dokładnie tak się stało. Zerwał z nią i wrócił na łono rodziny. Było mu wszystko jedno, co będzie z moją matką.

Nikt nie powiedział ani słowa. Wszyscy stali w milczeniu jak osłupiali: Caleb Hale, Jane Scapin, nawet sierżant Stewart.

Kate po dłuższej chwili spróbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Czuła się tak, jak gdyby nagle znaleźli się na jakiejś samotnej wyspie, tylko ona i Michael Cooper. Nie dostrzegała w ogóle pracowników policji zabezpieczających ślady, którzy co chwila przechodzili obok. Nie widziała nawet stojących opodal detektywów z zespołu Caleba. Byli tylko ona i Michael, i te przerażające słowa, które teraz usłyszał cały świat.

– To nie może być prawdą – udało jej się w końcu powiedzieć.

Wydawało się, że zadawanie jej bólu pomoże Michaelowi w uporaniu się ze swoją rozpaczą, bo powtórzył niemal z przyjemnością:

– To jest prawda. Było dokładnie tak, jak powiedziałem. Richard Linville wykorzystywał moją matkę, przez kilka lat robił jej ciągle nadzieję, a na koniec po prostu ją rzucił. I ona tak naprawdę nigdy się po tym nie pozbierała, stała się

wiecznie przygnębioną, smutną kobietą pełną wątpliwości co do siebie samej. I kiedy przeczytałem w gazecie, że ktoś go zamordował, to pomyślałem, że tym razem spotkało to właściwą osobę. Tak, wiadomość o śmierci pani ojca rzeczywiście osłodziła mi życie. Także życie mojego brata. Przykro mi, ale nie mogę się zdobyć na obłudne słowa współczucia.

Czwartek, 5 czerwca

1

Stella obudziła się, bo usłyszała, że ktoś ją woła po imieniu. Z początku wydawało jej się, że to sen, ale potem stwierdziła, że to jednak jawa, i zastanawiała się, czy może coś takiego śniło jej się parę godzin temu.

A potem znowu usłyszała wołanie:

– Stella!

Ktoś rzeczywiście ją wołał. I to dość głośno. Ktoś, kto stał na dworze przed domem.

Upewniła się, że Jonas leży obok niej w łóżku i śpi. Usłyszała jego głęboki, równomierny oddech. Po chwili wahania wstała, cicho wyszła z sypialni i zeszła po schodach w dół. Sytuacja była bardziej niż osobliwa, ale Stella postanowiła to wyjaśnić. Nie należała do kobiet, które z lękiem naciągają sobie kołdrę na głowę, aby o niczym nie wiedzieć. W drzwiach wejściowych na wysokości głowy znajdowało się małe okienko, które można było otworzyć, jeśli nie chciało się od razu wpuścić nieproszonego gościa do domu. Stella spojrzała na zegar, który wisiał w sieni. Było tuż po północy. Rzeczywiście nie była to pora stosowna do składania wizyt.

Otworzyła okienko w kształcie rombu i wyjrzała na zewnątrz. Noc była ciemna, a gęste chmury całkowicie przesłaniały księżyc. Ale za to z południowego wschodu wiał ciepły wiatr i Stella poczuła nadzieję, że może do rana chmury znikną. Marzyła o słonecznym dniu.

Zaledwie otworzyła okno, natychmiast pojawiła się przed nią czyjaś twarz, tak nagle, że przerażona Stella się cofnęła.

– Stella! Dobry Boże, jak dobrze, że pani nie śpi! Mogę wejść do środka? Proszę!

Był to głos Terry.

– Terry? – spytała kompletnie zaskoczona Stella.

– Tak, to ja. Stella, proszę otworzyć!

– Jest pani sama?

– Tak.

Stella odpięła łańcuch zabezpieczający drzwi i odsunęła zasuwę. Terry wcisnęła się do środka, zaledwie drzwi się uchyliły, i sama natychmiast je zamknęła i zasunęła zasuwę.

– Nie wiem, może on idzie za mną...

– Kto?

– Neil. Będzie wściekły.

– Niech pani wejdzie do kuchni – powiedziała Stella. – Chce pani herbaty?

– A może ma pani coś mocniejszego? – spytała Terry, idąc za nią do kuchni. Stella zapaliła światło i natychmiast krzyknęła przerażona.

– Terry! Jak pani wygląda?

Terry niepewnie podniosła rękę do twarzy.

– Czy to widać?

Dziewczyna miała opuchniętą i pękniętą wargę oraz podbite i także spuchnięte oko, wokół którego szybko tworzył się fioletowy cień. Od brwi do skroni ciągnął się krwawy ślad.

– Oczywiście, że widać! – odpowiedziała Stella. – Czy to był Neil?

Terry skinęła głową, po czym osunęła się na ławkę koło stołu, ukryła swą pobitą twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Rzeczywiście potrzebowała czegoś mocniejszego niż herbata. Stella naląła jej whisky do szklanki.

– Niech pani pije. A potem proszę mi wszystko po kolei opowiedzieć.

Jedno pytanie nurtowało ją już teraz.

– Skąd pani wiedziała, gdzie jesteśmy?

Terry z początku nie odpowiadała. Cały czas płakała. W końcu podniosła głowę, wytarła rękawem kurtki łzy z twarzy, wydając przy tym mimowolnie okrzyk bólu, i sięgnęła po szklankę. Jednym haustem wypła alkohol, dokładnie w tym momencie, kiedy w kuchni pojawił się zaspany i bosy Jonas ubrany w niebieski szlafrok.

– Co się dzieje? – spytał, mrużąc oczy w świetle.

– Terry przysła nas odwiedzić – odpowiedziała Stella ironicznie.

Jonas otworzył szeroko oczy, patrząc na Terry. Powoli przyzwyczajał się do ostrego światła.

– Dobry Boże – powiedział po dłuższej chwili. – Co się pani stało?

– To jej sympatyczny przyjaciel Neil – wyjaśniła Stella. – Przed którym ona właśnie ucieka, o ile to dobrze zrozumiałam. Niestety tylko nasz dom przyszedł jej na myśl jako ewentualne schronienie. – Spojrzała jeszcze raz na dziewczynę. – Terry! Nie odpowiedziała pani na moje pytanie! Skąd pani wiedziała, gdzie jesteśmy?

Terry najwyraźniej unikała jej wzroku. Patrzyła w podłogę.

– Jeździliśmy tu po okolicy – powiedziała cicho. – W ostatni weekend.

Stella i Jonas popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

– Tu, na torfowiskach? – spytała Stella. – Jeździliście tu w okolicy i... szukaliście nas?

Terry przytaknęła z nieszczęśliwą miną.

– Ja też uważałam, że to... No, to nie był mój pomysł. Ale Neil powiedział, że możemy tu zerknąć...

– Skąd pani wiedziała, że jesteśmy akurat tutaj? – spytał Jonas, już zupełnie

obudzony.

Stella spostrzegła, że sprawiał takie wrażenie, jak gdyby usłyszał dzwonki alarmowe. Terry pociągnęła nosem. Obracała bezmyślnie pustą szklankę stojącą przed nią na stole.

– Neil to ustalił – powiedziała cicho. – Opowiadał pan o swojej pracy, Jonas, i wymieniał pan firmę produkcyjną, dla której pan często pracuje. Neil zadzwonił tam i powiedziano mu, że jest pan na urlopie. I o nic więcej nie musiał już pytać. Widział przecież ten prospekt u pana na biurku i stwierdził, że może tu trochę pojeździć po okolicy i się rozejrzeć... Tu jest tak pusto, można jechać całymi godzinami, zanim trafi się jakiś dom czy farma, czy też jakaś mała wioska... No i z tego wzgórza – Terry wykonała ręką nieokreślony ruch, wskazując gdzieś w ciemność za oknem – stamtąd zobaczyliśmy wasz samochód, który stał przed waszym domem w Kingston, i Neil powiedział: „Aha, to oni tutaj spędzają wakacje”. I potem pojechaliśmy dalej.

Stella sięgnęła po drugą szklankę, usiadła przy stole i nalała sobie whisky.

– Też muszę się teraz napić – powiedziała. – To, co pani mówi, jest niesłychane, Terry, czy pani o tym wie?

– Nie mieliśmy żadnych złych zamiarów – zaczęła się natychmiast bronić Terry. – Naprawdę, musi mi pani uwierzyć.

– Żadnych złych zamiarów? Czego więc chcieliście? – spytał Jonas. – Jak Neil wyjaśnił pani tę całą akcję?

– Powiedział po prostu, że fajnie byłoby wiedzieć, gdzie państwo spędzają urlop. I że może moglibyśmy was odwiedzić. Ja oczywiście powiedziałam, że to nie jest takie proste, kiedy nie jesteśmy zaproszeni. Ale... – Terry wzruszyła ramionami.

– Ale? – dopytywała się Stella.

– Ale... on potem zrobił się niecierpliwy, a ja nie chciałam... Niedobrze jest go denerwować, rozumie pani?

– Kiedy patrzę na pani twarz, to rzeczywiście rozumiem – odparła Stella. – Jest pani pewna, że on jest odpowiednim partnerem dla pani?

Terry znów opuściła wzrok.

– On potrafi być zupełnie inny. Miły i pełen czułości. Tylko nie wolno go denerwować.

– A czym go pani dziś zdenerwowała? – spytał Jonas. – Musiała mu pani naprawdę mocno nadepnąć na odcisk, wnioskując z jego reakcji!

Terry próbowała stłumić szloch.

– To było z powodu pracy. Nie miałam już żadnej pracy, i to od dłuższego czasu, i on poszukał mi czegoś nowego. Jako obsługa w pubie. Ale to nie był pub, tylko okropna, podła spelunka, gdzie każdy po kilku minutach był pijany w sztok. Stale mnie tam zaczepiali i obmacywali, wołali za mną jakieś obsceniczne teksty...

W końcu powiedziałam Neilowi, że więcej tam nie pójde, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Bo przecie potrzebowałmy pieniędzy na czynsz.

– Myślałam, że Neil otrzymał jakiś wspaniały spadek – wtrąciła Stella.

– Tak, ale to przecie nie starczy na wieczność, a poza tym czynsz to moja sprawa, bo to moje mieszkanie. Neil swego czasu przeprowadził się do mnie – wyjaśniła Terry.

– Rozumiem – odparł Jonas. – Czyli Neil mieszka za darmo u pani i zmusza panią do pracy w jakiejś podupadłej knajpie, aby mogła pani opłacić czynsz, dzięki czemu on nie potrzebuje ruszać odziedziczonych pieniędzy? Doprawdy bardzo uczciwe postawienie sprawy, muszę powiedzieć.

– I z coraz większym trudem przychodziło mi chodzenie do tej pracy – mówiła Terry. Po słowach Jonasa znów była bliska łez. – I wczoraj wieczorem...

– Tak? – zachęciła ją Stella.

– Neila przez całe popołudnie nie było w domu, bo spotykał się z jakimś kumplem. Tak mówił. Ja byłam sama w domu i po prostu tam nie poszłam. To znaczy do pracy. Miałam tam być o szóstej, ale położyłam się na kanapie i oglądałam telewizję. Czułam się jak wybawiona, ale o wpół do jedenastej przyszedł Neil i był zdziwiony, że jestem w domu. Bo normalnie nigdy nie wracałam z tej knajpy przed północą, musiałam tam jeszcze sprzątać i zmywać naczynia.

– I Neil na ten widok najwyraźniej wpadł we wściekłość – powiedział Jonas. Usiadł przy stole obok obu kobiet i sprawiał teraz wrażenie zdeprymowanego i bezradnego.

W tej sytuacji nie można było po prostu pokazać Terry drzwi, ale podobnie jak Stella Jonas nie miał zamiaru dać się wciągnąć w tę historię. Ów Neil Courtney był najwyraźniej niebezpiecznym typem i z pełną świadomością ustalał miejsce pobytu rodziny Crane'ów. Po co to robił? Na pewno nie ze zwykłej ciekawości. Jonas czuł niepokój, wiedząc, że Courtney znał teraz samotną farmę i mógł przypuszczać, że Terry uciekła właśnie tam. I prawdopodobnie było tylko kwestią czasu, kiedy Neil także się tu zjawi. Stella posunęła się w swoich przypuszczeniach jeszcze dalej – zastanawiała się, czy historia opowiedziana przez Terry była w ogóle prawdziwa. A może całość była po prostu mistyfikacją obliczoną na to, aby móc się zakraść na farmę? Terry prawdopodobnie nie była na tyle sprytne, aby uknuć taki plan, ale Courtney był przebiegły i pozbawiony wszelkich skrupułów. I nie zawahałby się z pewnością przed pobiciem Terry po to, aby jej zjawienie się tutaj było bardziej wiarygodne.

A z drugiej strony – ona istotnie sprawiała wrażenie zrozpaczonej. Czy to, co opowiadała, rzeczywiście było prawdą? Czy też działała pod przymusem i presją, i dlatego co chwila wybuchała płaczem?

Powinniśmy się jej teraz pozbyć i poszukać dalszych rozwiązań.

– Tak, Neil wpadł we wściekłość – potwierdziła Terry słowa Jonasa. – Był jak oszalały. Powiedział, że teraz stracę tę robotę i znów będą problemy z pieniędzmi. Obiecałam mu, że zrobię wszystko, aby znaleźć coś innego, ale on w ogóle nie słuchał. Krzyczał i szalał, i w końcu... – Urwała. Było aż nadto dobrze widoczne, w jakim kierunku eskalowała kłótnia.

– I nie miała pani nikogo oprócz nas, gdzie mogłaby pani uciec? – spytała Stella. – A co z pani rodzicami? A przyjaciółki? Przecież muszą istnieć jacyś ludzie, którzy panią przyjmą.

Terry potrząsnęła głową.

– Nie mam już żadnych kontaktów z moimi rodzicami od tamtego czasu, kiedy...

Stella natychmiast odgadła, o czym ona mówiła.

– Sammy? – spytała.

– Tak. Oni mi nie wybaczyli, że zaszłam w ciążę, mając szesnaście lat. Uważają, że skompromitowałam ich przed wszystkimi znajomymi i przyjaciółmi. I to, że oddałam Sammy'ego, uznali wprawdzie za jedyne możliwe rozwiązanie, ale nie mogą zrozumieć tego, że znalazłam się w takim położeniu. Kiedy miałam osiemnaście lat, po prostu uciekłam i od tego czasu ani się nie widzieliśmy, ani nie rozmawialiśmy.

– A przyjaciele?

Terry mówiła teraz bardzo cicho.

– Z czasów szkolnych nie mam już nikogo. Wszyscy poszli swoimi drogami. Każdy zdobywa jakieś porządne wykształcenie, niektórzy nawet studiują na uniwersytecie. Ja nie skończyłam żadnej szkoły i usiłuję przetrwać, chwytając się różnych zajęć. Ja... nie pasuję już do ich życia. A nowi przyjaciele... Jakoś nie udało mi się podtrzymać kilku nowych znajomości. Neil też tego nie chciał. Ciągle się złościł, kiedy się z kimś umówiłam, i w końcu dałam spokój.

– A właściwie jak i kiedy poznała pani Neila? – spytał Jonas.

I tu, mimo że od chwili zjawienia się na farmie Terry opowiadała tylko o przemocy i problemach, jakie miała z przyjacielem, oczy dziewczyny rozbliły radośnie. Najwyraźniej uważała spotkanie tego atrakcyjnego pasożyta, który wkraść się do jej życia, za wyjątkowe szczęście. Zgodnie z doświadczeniami Stelli takie fałszywe postrzeganie rzeczywistości zdarzało się przede wszystkim ludziom samotnym albo o niskiej samoocenie. A u Terry występowało jedno i drugie. Czuła się dowartościowana przez Neila Courtney'a i wydawało jej się, że dzięki niemu nie musi walczyć samotnie z przeciwnościami życia. Aby to przekonanie podtrzymać, pozwalała się wyzyskiwać, ograniczać i źle traktować – jednocześnie traciła wiele czasu na to, aby wmówić sobie, że te strony jej związku nie są niczym złym.

– Poznałam go w ubiegłym roku – odpowiedziała. – A dokładnie w końcu października. Zagadnął mnie w pubie, w którym wówczas pracowałam. I było to

porządne miejsce, nie taka knajpa jak ta teraz. Zauważyłam, że obserwował mnie najpierw cały wieczór, zanim zdobył się na odwagę...

„Zdobyl się na odwagę” – zakpiła w myślach Stella.

– ...i chciał się dowiedzieć, jak mam na imię. I powiedział, że uważa mnie za bardzo atrakcyjną kobietę. A następnego wieczoru znów przyszedł. I potem znów. I powiedział, że przychodzi tam tylko z mojego powodu. I... no, i kiedyś zostaliśmy parą.

„Ach, co za szczęście” – pomyślała Stella, powstrzymując się z trudem, aby nie powiedzieć tego głośno. I tak nie była pewna, czy Terry zrozumiała właściwie jej poprzednią ironiczną uwagę.

Ona i Jonas spojrzeli na siebie. Znaczyło to: i co teraz?

– Przyjechała tu pani samochodem? – spytał Jonas.

Terry skinęła głową.

– To jest moje auto. Dlatego myślałam... On mimo to będzie wściekły. Nie ma teraz żadnego środka transportu.

– Ale to już jest jego problem – stwierdził Jonas. Stella wiedziała, że myśl o tym, iż Neil nie pojawi się u nich w ciągu najbliższych kilku godzin, nieco go uspokoiła: raczej trudno będzie zdobyć samochód nocą i jechać za Terry na to pustkowie, nie mówiąc już o drogiej taksówce. Co nie znaczy, że nie należało się liczyć z jego wizytą w niedługim czasie. Upokorzenie graniczące z hańbą, którego przyczyną była ucieczka jego dziewczyny, to coś, z czym nie będzie mu łatwo się pogodzić.

Stella wstała.

– Może pani zostać tu na noc, Terry. Pokażę pani pokój. A jutro będziemy musieli się zastanowić, co robić dalej. Na pani miejscu poszłabym na policję i złożyła doniesie na Courtneya z powodu ciężkiego pobicia.

Terry spojrzała na nią z przerażeniem. Było aż nadto jasne, że tego nie zrobi.

Stella przygotowała łóżko dla Terry i dała jej ręcznik, a kiedy młoda kobieta znikła wreszcie w pokoju, przez chwilę siedzieli razem z Jonaszem w kuchni. Stellę prześladowała myśl, że natychmiastowy wyjazd będzie najlepszym, co mogliby zrobić, ale z drugiej strony oburzało ją to: jej poczucie sprawiedliwości mówiło, że nie powinni tak łatwo dać się zastraszyć takiemu typowi jak Neil. I tak źle, że Terry tańczyła tak, jak on zagrał, ale to w końcu była jej sprawa, i właściwie Crane'ów nie powinno to obchodzić.

– To, że on się tutaj kręcił i szukał naszego domu, uważam za coś absolutnie skandalicznego – powiedział Jonas. – I już w Kingston zapamiętał, jak wygląda nasz samochód, i prawdopodobnie zanotował numery rejestracyjne. To przecież nie jest normalne!

– Courtney nie jest normalny – przytaknęła Stella. – A już na pewno nie ma za grosz poczucia przyzwoitości. Żyje na koszt Terry i jeszcze ją zmusza, aby

pracowała w jakiejś obskurnej knajpie... On sam nie chce pracować, nie waha się używać przemocy i wykorzystuje innych. Prawdopodobnie tkwi jedną nogą w kryminalnym półświatku.

– Ale czego chce od nas? To znaczy, zauważył chyba, że nie pławimy się w pieniądzach, a nawet gdyby tak było, to na jakiej podstawie myśli, że uda mu się od nas coś wyciągnąć?

– Zgodnie z jego miarą jesteśmy raczej dość zamożni, nawet jeśli nie dysponujemy wielkim majątkiem. Przypuszczam, że ma nadzieję, że przyjmiemy Terry – w końcu biologiczną matkę naszego syna – jako kogoś w rodzaju członka rodziny i jednocześnie jego także, jako jej życiowego partnera. Gdybyśmy potraktowali ich bardziej przychylnie za pierwszym razem, to prawdopodobnie zaczęliby pożyczać od nas w kółko pieniądze i coraz częściej wpraszać się do nas.

– Chyba w maju zauważył, że w ogóle nie byliśmy zachwyceni ich wizytą – powiedział Jonas – i że jego przypuszczalny plan typu: *jesteśmy-razem-szczęśliwą-rodziną* raczej się nie uda. To po co szpieguje nas teraz?

– Najwyraźniej nie zamierza zrezygnować – odparła Stella i oboje umilkli zgnębieni.

Doskonale zdawali sobie sprawę, że tu, na tej osamotnionej farmie, nie będzie im łatwo zadzwonić po pomoc; żeby mieć jaki taki zasięg, należało iść spory kawałek na wzgórze. Ale z drugiej strony – może jednak przesadzali ze swoimi obawami? Neil Courtney jako partner mógł rzeczywiście być skłonny do przemocy, bezwzględny i egocentryczny, ale czy tak zachowa się także w stosunku do obcej mu rodziny? Stella była zdania, że Terry znakomicie nadawała się na jego ofiarę, wręcz domagała się tego, aby Neil traktował ją gorzej niż wycieraczkę. Bo wtedy w pubie po prostu ją wypatrzył i instynktownie poczuł, że była kobietą, z której łatwo będzie zrobić oddaną mu niewolnicę. Oboje Crane'owie są ludźmi zupełnie innego kalibru. A poza tym takie typy jak Courtney to zwykle tchórze. I wykorzystują raczej ludzi słabszych, a nie takich, którzy są im równi bądź od nich silniejsi.

– Chodźmy teraz spać – powiedziała Stella – żebyśmy odpoczęli i nie zwariowali. Ale powinniśmy zrobić wszystko, aby Terry opuściła nas jak najszybciej. Musimy cały czas dawać jej do zrozumienia, że nie chcemy żadnych kontaktów. I że nie damy się do niczego wciągnąć. Niech oni oboje sami się uporają ze swoimi problemami.

Jonas skinął głową. W drodze do sypialni Stella zerknęła do pokoju Sammy'ego. Dziecko oddychało głęboko i równomiernie, nie dotarły do niego żadne odgłosy nocnych niepokojów. Stella zatrzymała się także przed drzwiami pokoju Terry – nie było stamtąd nic słyhać, światło było zgaszone. Uznała, że reszta nocy powinna upłynąć spokojnie, ale dodatkowo skontrolowała jeszcze drzwi wejściowe, jak też drzwi prowadzące z kuchni i z salonu do ogrodu.

Wszystko było starannie pozamykane. Postanowiła w najbliższym czasie zwracać szczególną uwagę na takie szczegóły.

2

Kate była tak roztrzęsiona po tym, co usłyszała od Michaela Coopera, że Caleb Hale i Jane Scapin, wymieniwszy parę spojrzeń, od razu byli zgodni co do tego, że nie należy pozwolić, aby sama jechała swoim samochodem do Scalby. Caleb planował jeszcze przeprowadzić szczegółową rozmowę z Michałem Cooperem, dlatego poprosił Jane, aby odwiozła Kate do domu. On sam nie miał tu samochodu, bo przyjechał z Jane, ale zamierzał wziąć auto Kate i przyjechać nim do Scalby.

Kate nie miała nic przeciwko takiemu zakończeniu dnia. Była tak oszołomiona, że i tak nie potrafiłaby niczego sama zaplanować.

Nie zauważyła nawet, że zrobiło się bardzo późno. Zanim dotarły z Jane do domu, była już jedenasta, a nim dołączył do nich przemęczony Caleb, minęła północ. Jane zrobiła herbatę, a Kate piła ją apatycznie małymi łykami z dużego kubka. Patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem i prześladowała ją tylko jedna myśl: „To nie może być prawda. Mój ojciec i inna kobieta. To nie może być prawda!”

Caleb także dostał kubek herbaty i dokładnie zrelacjonował swoją rozmowę z Michałem Cooperem. Jego zeznanie było jednocześnie potwierdzeniem słów sąsiada: Melissa Cooper czuła się od pewnego czasu obserwowana i śledzona. Bała się. Ciągłe opowiadała o zamordowaniu Richarda Linville’a i zastanawiała się, czy to, że ktoś za nią chodził, miało z tym jakiś związek. Obaj synowie byli zdania, że matka wmawia coś sobie, bo nie może się uporać ze śmiercią byłego kochanka.

– Ostatnio Michael Cooper widział swoją matkę w połowie maja – mówił Caleb. – W jej daczynie przy ujściu rzeki Humber do Morza Północnego. Musi to być kompletnie opustoszała okolica, zapomniana przez Boga i ludzi. Melissa Cooper nie była w domku już od dość dawna, ale w tamten weekend pogoda była tak piękna, że postanowiła tam wreszcie pojechać. I tego dnia opowiedziała synowi przez telefon, że ktoś ją śledzi. Widziała odbłask słońca odbity w lornetce, i to kilkakrotnie, i była przekonana, że ktoś obserwuje jej dom. Michael Cooper podjął szybką decyzję i późnym wieczorem pojechał do niej. Ani przez chwilę nie wierzył, że w tej historii był choć cień prawdy, ale czuł, że jego matka była wykończona nerwowo, i miał poczucie winy, bo nie odwiedzał jej już od miesięcy. Dziś Michael jest oczywiście przekonany, że miała rację i że jego pojawienie się wtedy być może przeszkodziło mordercy. Położony na odludziu domek stanowił dla sprawców o wiele lepszą i bezpieczniejszą opcję niż szkoła, ale od czasu tego weekendu Mrs Cooper więcej tam nie pojechała. Za bardzo się obawiała.

– Czy synowi wtedy nic nie rzuciło się w oczy? – spytała Jane. – Coś, co

wówczas pozornie nie miało znaczenia, ale dziś być może jest istotne?

– Niestety nie – odparł Caleb. – Ale Michael obiecał, że odświeży swoją pamięć i spróbuje sobie wszystko przypomnieć. W tej chwili jest kompletnie zszokowany i wstrząśnięty, możliwe więc, że coś jeszcze przyjdzie mu do głowy. Oczywiście sprawdzimy dokładnie ten dom i okolicę i przepytamy sąsiadów, choć ich domy są właściwie położone w znacznej odległości jeden od drugiego. Nie mam zbyt wielkiej nadziei, że dowiemy się czegoś ciekawego.

– Rodzi się pytanie, jak i czy w ogóle obecna sytuacja jest powiązana z naszym podejrzanym Denisem Shove'em – powiedziała Jane. – Jeśli założymy, że Melissa Cooper poniosła śmierć z rąk tego samego sprawcy, który zabił Richarda Linville'a, to musimy szukać motywu, którym kierował się Shove, a ta kobieta...

Caleb spojrział na nią ostrzegawczo, co znaczyło: *Żadnych szczegółów w obecności Kate. Porozmawiamy o tym później.* Jane zrozumiała natychmiast i skinęła głową. Choć co prawda jej zdaniem Kate i tak nic nie słyszała. Siedziała nieobecna duchem i była całkowicie pogrążona w swoich myślach.

Caleb spojrział na zegarek.

– Cholernie późno. I jak, Jane, może mogłaby pani zostać z Kate dzisiejszej nocy? Ona nie powinna być sama.

Jane z żalem potrząsnęła głową.

– Przykro mi, ale muszę jak najszybciej wracać do Dylana. Jest z nim teraz sąsiadka, a i tak zmyje mi głowę, kiedy przyjadę tak późno. Nie mogę ryzykować kłótni z nią.

– A Sean nie mógłby wpaść na chwilę?

– Nie mam z nim w tej chwili żadnego kontaktu – odparła Jane z nieoczekiwaniem znieruchomiałą i zasepioną twarzą. Caleb wolał więc nie dociekać.

– Okay – westchnął. – Proszę więc jechać do domu.

Chciałby, aby w życiu Kate pojawił się ktoś bliski, ktoś, z kim można byłoby się teraz skontaktować. Właściwie od chwili, w której odebrał ją z lotniska, cały czas prześladowała go myśl, że nie powinna całymi dniami i tygodniami przesiadywać sama w tym domu. Czemu taka stosunkowo młoda osoba jak ona mogła być w ogóle tak samotna? Jego zdaniem ta kobieta za dużo rozmyślała i dlatego nie widziała przed sobą żadnych perspektyw, a taki stan mógł szybko przejść w depresję. Po zamordowaniu ojca Kate następowała jeszcze degradacja wizerunku jego osoby – ona w każdym razie tak to widziała. Według Caleba nie było w tym nic wstrząsającego. Jeden czy drugi romans nie zmieniał faktu, że Richard Linville był doskonałym policjantem. Bardzo doświadczonym, kompetentnym, bez żadnych zarzutów. I nie miał na to żadnego wpływu fakt, że jego życie prywatne nie było tak nieskazitelne, jak się wydawało. Ale w oczach

Kate wyglądało to oczywiście inaczej. Dla niej ojciec zawsze był kimś znajdującym się jeśli nie obok, to tuż zaraz za Bogiem. Podświadomie umieściła jego osobę na czymś w rodzaju mentalnego piedestału, jako kogoś nieskażonego ludzkimi słabościami i niedoskonałościami. I teraz w tym piedestale pojawiła się tak głęboka rysa, że groziło to upadkiem całego pomnika, o ile ten już nie rozpadł się na części. Zachwiały się podstawy świata Kate. A wszystko to nastąpiło w ciągu zaledwie kilku ostatnich miesięcy i godzin. Caleb był naprawdę przekonany, że nie należy teraz zostawiać jej samej.

– Zostanę tu jeszcze chwilę – powiedział. – Wezmę potem taksówkę.

Jane wyszła z wyraźną ulgą i za chwilę Caleb usłyszał silnik jej samochodu. Była już prawie pierwsza. Rzeczywiście nie można było wymagać od niej tak licznych nadgodzin pracy.

Kate, która dotychczas siedziała nieruchomo na kanapie, podniosła nagle głowę.

– Szesnaście lat temu – powiedziała. – Wie pan, co się wtedy działo? Wtedy u mojej matki wykryto raka piersi. Przeszła cały program leczenia – operacja, chemioterapia, naświetlanie. I naprawdę źle się wtedy czuła, fizycznie i psychicznie. Przyjeżdżałam z Londynu tak często, jak tylko mogłam, ale i tak miałam za mało czasu. Pocieszałam się tym, że mój ojciec dosłownie stawał na głowie, aby w każdej chwili móc jechać do niej do szpitala. Ale mimo to często do mnie dzwonił i mówił, że zrobiło się tak późno i po prostu nie dał rady wyrwać się z pracy. Z pracy! – roześmiała się głośno. – Musiał mieć sporo problemów logistycznych. Praca, chora żona, kochanka. Nic dziwnego, że właśnie w tym czasie sprawiał wrażenie wyjątkowo wyczerpanego.

Kate wstała z kanapy i sięgnęła po butelkę, która stała na kredensie, po czym otworzyła ją i wypila duży łyk. Caleb dostrzegł etykietkę.

– Chivas Regal. To mocny trunk, Kate. Niech pani będzie ostrożna.

– Sądzi pan, że to prawda? To, co mówił syn Melissy Cooper?

– Robił wrażenie wiarygodnego, choć to tylko jego punkt widzenia. Z pewnością nie jest obiektywny. Jak było naprawdę, nie dowiemy się prawdopodobnie nigdy, bo oni oboje, Melissa Cooper i pani ojciec, już nie żyją.

– Jak on mógł to zrobić? Moja matka walczyła ze śmiertelną chorobą, a on...

– Proszę go za bardzo nie potępiać. Dla pani ojca to był z pewnością trudny okres. Szukał jakiegoś rozwiązania i prawdopodobnie nie był to najlepszy wariant, ale...

Kate wypila kolejny łyk.

– Nie najlepszy wariant? Ale to typowo męski wariant, prawda? Życie jest smutne, praca męcząca, żona właśnie przechodzi chemioterapię... Czy może być wtedy coś lepszego, niż wskoczyć do łóżka z inną kobietą?

– Doskonale rozumiem pani ból, Kate – powiedział Caleb. – Ale w tej

chwili, atakując ojca, zadaje pani ból tylko sobie. Nic przecież na ten temat nie wiemy dokładnie. Może Melissa Cooper była jego wielką miłością i nie łączył ich tylko seks. Bądź co bądź ona też nie była wtedy głupiotką młodą dziewczyną, z którą on chciałby się tylko pokazywać. Była dorosłą kobietą, wdową, która wychowała samotnie dwóch synów. Przypuszczam, że on widział w niej coś więcej niż tylko partnerkę seksualną.

Kate wypła kolejny łyk.

– I to ma mnie pocieszyć!? – krzyknęła nagle.

Caleb podszedł do niej i spróbował wyjąć jej butelkę z rąk, ale ona trzymała ją tak kurczowo, że nie był w stanie tego zrobić.

– Kate! Proszę przestać pić! Obawiam się, że nie jest pani do tego przyzwyczajona.

– Za to pan jest przyzwyczajony aż zanadto – odparła zaskakująco ironicznie.

Caleb cofnął się gwałtownie. Sądził, że ona o niczym nie wiedziała. I jednocześnie sam sobie zadał pytanie, jak mógł być tak naiwny. Takich rzeczy nigdy nie dawało się ukryć. I plotki docierały wszędzie.

Zmusił się do spokoju.

– Tak – odpowiedział opanowanym głosem. – Jestem, że tak powiem, ekspertem w tej kwestii. Ale właśnie dlatego wiem, że to do niczego nie prowadzi. Proszę oddać mi tę butelkę, Kate.

Zamiast spełnić jego prośbę, zaczęła pić wielkimi łykami dalej. Ostra woń alkoholu uderzyła Caleba w nozdrza – niemal natychmiast poczuł smak, który alkohol zostawiał na języku, także pieczenie w przełyku i ciepło w żołądku. A także tę osobliwą lekkość, która zwykle zaraz potem pojawiała się w głowie i sprawiała, że znikaly wszystkie ostre linie rzeczywistego świata. Wszystkie problemy wydawały się wtedy łatwe do rozwiązania, a życie nabierało nieoczekiwanie łagodnych konturów. I trudno było zrozumieć, dlaczego dopiero co człowieka ogarniała jakaś rozpacz.

Cofnął się o krok. Na jego czole pojawił pot, a serce zaczęło dosłownie szaleć. Poczul lekkie mdłości.

Będzie pan alkoholikiem przez całe życie, Caleb. Zawsze. Niemal słyszał głos swego terapeuty z kliniki odwykowej. Nigdy nie może pan ulec iluzji, że już po wszystkim, że to już minęło. Pana ciało zawsze będzie reagowało na alkohol, jeśli tylko poczuje pan jego zapach.

Może powstrzymanie jej przed piciem było błędem. Nie była tak zagrożona jak on. Czasami naprawdę trzeba strzelić sobie parę głębszych i następnego dnia cierpieć męczarnie.

– Pani ojciec miał swoje życie, Kate – powiedział. – I patrząc na nie ze swojej perspektywy, nie jest pani w stanie ocenić tego obiektywnie. Także pani

matka miała swoje życie, a oni oboje razem mieli swoje małżeństwo, swoje bycie razem i może wie pani o tym mniej, niż się pani wydaje.

– Oni byli zawsze szczęśliwi!

– A przynajmniej w pani oczach – powiedział Caleb.

Spojrzała na niego z wściekłością.

– Ach, i akurat pan o tym wie? Że moi rodzice coś udawali przede mną?

– Nie. To jasne, że nie mam o tym pojęcia. Nie jestem tylko pewien, czy pani obraz rodziców odpowiada prawdzie. To, co próbuje pani oceniać, to życie innych ludzi, i nawet w przypadku własnych rodziców powinna być pani ostrożna.

– To także moje życie. Moje życie, które było ściśle związane z życiem mojego ojca, wiedzieliśmy o sobie wszystko.

– No, o Melissie Cooper na przykład nie wiedziała pani nic – zauważył Caleb. – A kiedy zastanawialiśmy się, czy Richardowi grożono przed śmiercią, powiedziała mi pani, że przypuszczalnie nigdy by się przed panią do tego nie przyznał, aby się nie ośmieszyć. A więc nie wiedzieliście o sobie wszystkiego.

Znów wypła kilka łyków i popatrzyła na niego zaczepnie.

– Aha. I teraz czuje się pan jak zwycięzca, tak? Bo udowodnił mi pan, że mój ojciec... że ja i mój ojciec... że my... – Miała już kłopoty z mówieniem, nie potrafiła dokończyć zaczętego zdania i najwyraźniej nagle nie wiedziała, co właściwie chciała powiedzieć.

– Jak sądzę, pani problem polegał na tym, że była pani związana z ojcem w niezdrowy sposób – powiedział Caleb. – I ten związek przetrwał nawet jego śmierć. Mam wrażenie, że pani nie ma własnego życia. Niczego, co teraz mogłoby stanowić dla pani jakieś oparcie.

Zachwiała się.

– Ja? Nie mam własnego życia? Co panu przychodzi do głowy? Jestem sierżantem śledczym w Metropolitan Police! Ja jestem... – Umilkła nagle.

– No dalej – powiedział Caleb. – Co jeszcze? Gdzie jest jakiś człowiek, który się o panią zatroszczy? Który szedł i podtrzymywał panią, kiedy odprowadzała pani ojca do grobu? Siedzi pani zupełnie sama w tym domu, zagrzebuje się w swojej samotności i we wspomnieniach. Zgodnie z moją wiedzą nie pojawiła się u pani żadna przyjaciółka. Ani też przyjaciel. Albo przynajmniej koledzy. Może sąsiedzi z Londynu. Do cholery, Kate, nazywa to pani życiem, kiedy nigdzie nie ma ani jednego człowieka, który się panią interesuje? I tym, co u pani w ogóle słyszać?

– Precz! – odezwała się nieoczekiwanie. I za chwilę powtórzyła to głośniejszym głosem i jeszcze ostrzej: – Precz!

Skinął głową.

– Idę. Przykro mi, że się pani tak nędznie czuje, Kate. Ale prawdopodobnie nie mogę pani pomóc.

Odwrócił się w stronę drzwi. W następnej chwili Kate znalazła się tuż za nim. Upuściła butelkę i złoty płyn powoli wsiąkał w dywan.

– Nie! Proszę! Niech pan zostanie, Caleb!

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

– Kate, powinna pani...

– Nie zostawiaj mnie samej. Nie mogę teraz być sama. Boję się. Tak strasznie się boję! – Zaczęła płakać. – Proszę, zostań ze mną. Weź mnie w ramiona, proszę. Potrzebuję kogoś, kto mnie... Potrzebuję kogoś, kto mnie mocno obejmie.

Uczepiła się go rozpaczliwie. Nie chciał stać ze zwieszonymi rękami, więc ją objął. Prawdopodobnie ta scena wyda jej się następnego dnia bardzo nieprzyjemna, ale dlaczego teraz nie miał jej dać tego, czego tak bardzo potrzebowała. Jemu ta sytuacja wydała się wręcz groteskowa: była głęboka noc, a on stał w domu dawnego przełożonego i trzymał w ramionach jego zrozpaczoną i kompletnie pijaną córkę.

„Byłoby rzeczywiście lepiej – pomyślał – gdyby Jane mogła zostać”.

– Wszystko będzie dobrze, Kate – powiedział. Mówił cicho jak do małego dziecka, które trzeba pocieszyć i uspokoić. – Zobacz pani, wszystko będzie w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Podniosła głowę. Jej oczy były szeroko otwarte i w wycieńczonej teraz twarzy wydawały się jeszcze większe niż zwykle.

– Chodź ze mną na górę, Caleb! Chodź!

Wypuścił ją z ramion tak gwałtownie, jak gdyby nagle coś go oparzyło, i cofnął się o krok. Ona natychmiast sięgnęła po jego rękę i spróbowała pociągnąć go do drzwi.

– Chodź ze mną, Caleb! Proszę!

Trzymała go kurczowo i tak silnie, że nie potrafił uwolnić swojej ręki. Była już kompletnie pijana i zauważył, że rzeczywiście źle znosi alkohol. Choć co prawda wypiła już prawie pół butelki whisky, przypuszczalnie na pusty żołądek – do tego w bardzo szybkim tempie.

– Kate, w tej chwili nie bardzo pani wie, co robi. Ma pani za sobą ciężki dzień, a whisky nie za bardzo pani służy. Pójdzie pani teraz do łóżka. Ma pani gdzieś w domu aspirynę, żebym mógł ją dla pani rozpuścić?

– Nie chcę być sama.

– Nie pójdę, okay? Obiecuję pani, że zostanę. Do rana.

– Chodź ze mną na górę.

Udało mu się w końcu uwolnić rękę.

– Przyniosę pani aspirynę.

Dostrzegł, że zaczęła nad czymś intensywnie rozmyślać.

– Aspirynę? – spytała.

– Najlepiej dwie albo trzy. Ból głowy, który i tak panią jutro czeka, będzie

nieco mniejszy.

– W łazience – powiedziała. – Na górze.

– A więc dobrze. Proszę iść. Poradzi pani sobie sama na schodach?

Chwiejąc się, ruszyła na górę. Szedł tuż za nią, ale jednak bez trudu uporała się ze stromymi schodami prowadzącymi do sypialni. Na górze zatrzymała się na korytarzu i czekała, podczas kiedy on wszedł do łazienki i na chybił trafił zaczął grzebać w szafce nad umywalką. Rzeczywiście były tam lekarstwa. Napełnił wodą kubek do mycia zębów, wrzucił trzy tabletki i czekał chwilę, aż się rozpuszczą, po czym podał kubek Kate, która ciągle stała w korytarzu przed łazienką.

– Proszę to wypić. Rano nie będzie tak źle.

Wypiła wodę bez słowa, po czym spytała:

– Dlaczego nie chcesz ze mną spać, Caleb?

Zastanawiał się przez chwilę, na ile zrozumie i prawidłowo oceni jego odpowiedź. W żadnym wypadku nie chciał jej zranić, dlatego uciekł w neutralną poprawność, której nie powinna była potraktować jako niskiej oceny jej osoby.

– Za dużo pani wypila, Kate. A ja nie zamierzam tego wykorzystać.

Odpowiedź zgodna z prawdą brzmiałaby inaczej: nie jest pani w moim typie. Ani pijana, ani trzeźwa. Jest pani najbardziej pozbawioną uroku kobietą, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać, i nigdy nie przyszłoby mi do głowy iść z panią do łóżka.

– Ale... ja nie byłabym... ja nie... – Miała już problem ze sformułowaniem zdania. – Ja nie czułabym się wykorzystana.

– Musi pani teraz iść spać. Jest pani wykończona. Ja będę na dole w salonie, okay?

Widział w jej oczach mieszaninę żalu, bólu i braku jakiegokolwiek nadziei, i nagle zrozumiał, że ona, choć była tak pijana i u kresu swoich sił, doskonale wiedziała, co on czuł. Dostrzegł, że pojęła, iż jego odmowa dotyczy nie tylko tej nocy i nie ma nic wspólnego z ilością alkoholu w jej krwi. Była to setna albo tysięczna odmowa tego rodzaju w jej życiu. Nie dała po sobie poznać, że taka sytuacja była jej aż nadto dobrze znana.

Skinęła głową, po czym odwróciła się i znikła w sypialni. Stanowczym ruchem zamknęła za sobą drzwi. Caleb czekał jeszcze przez chwilę, po czym zszedł na dół. Choć zwykle nie mógł wytrzymać u siebie w domu i źle znosił panującą tam pustkę i ciszę, to teraz oddałby wszystko, aby móc tam pojechać. Ale obiecał Kate, że tu zostanie, a w domu prawdopodobnie i tak cały czas odczuwałby niepokój. Kate była w takim stanie psychicznym, że zostawienie jej samej graniczyłoby wręcz z brakiem odpowiedzialności. Zastanawiał się, co będzie z nią dalej.

Na dole podniósł butelkę po whisky, która ciągle leżała na środku pokoju. Intensywna woń alkoholu, który wsiąkł w dywan, sprawiła, że znów poczuł

osobliwą miękkość w kolanach. Po wszystkim, co dzisiaj zaszło, dobrze byłoby wypić kilka solidnych łyków i każdy normalny człowiek tak właśnie by zrobił. Caleb od chwili, w której opuścił klinikę, nigdy jeszcze nie odczuwał tak przemożnego pragnienia. Z rozpaczą patrzył na butelkę – i jego rozpacz dotyczyła w pierwszym rzędzie jego samego. Czuł, że prawie nie miał już sił, aby się przed tym powstrzymać. Że nie istniała żadna blokada.

Oprócz tej, że butelka była pusta.

Zupełnie pusta.

3

Helen Jefferson siedziała przy śniadaniu w swoim małym mieszkaniu w Leeds, ale zupełnie zapomniała, że stoi przed nią talerz z płatkami zalanymi mlekiem i kubek kawy. Kawa tymczasem całkiem już wystygła, a płatki kukurydziane z mlekiem zamieniły się w nieapetyczną papkę. Nie zwracała na to uwagi. Przed nią leżała gazeta, ale Helen na razie zdążyła przeczytać tylko nagłówki na stronie tytułowej i nie do końca pojęła, co one właściwie oznaczały.

Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w ścianę. Myślała intensywnie o odwadze cywilnej i doszła do wniosku, że to bardzo trudny temat.

Ocknęła się, kiedy Peggy, towarzysza jej życia, weszła do kuchni. Peggy jak zwykle godzinami stroiła się i malowała w łazience i wyglądała teraz wręcz porywająco. Piękne długie loki w kolorze złoty blond. Gęste, długie jak firanki rzęsy. Peggy miała twarz anioła, ale nie była nim w żadnym wypadku. Potrafiła kłąć jak woźnica i dysponowała nieskończonym repertuarem świńskich dowcipów, niekiedy tak sprośnych, że słuchający ich mężczyźni czerwienili się z zażenowaniem.

– Ty nic nie jesz – powiedziała do Helen. – Coś cię dręczy?

Helen skinęła głową.

– Prawdopodobnie nic nie słyszałaś, prawda? Wczoraj w nocy, a raczej późnym wieczorem?

Peggy od dawna miała trudności z zasypianiem i w ogóle ze snem. Każdego wieczoru, idąc do łóżka, wkładała do uszu zatyczki, bo budził ją każdy najdelikatniejszy dźwięk i potem nie mogła zasnąć całymi godzinami. Zaletą zatyczek było to, że nie przeszkadzało jej chrapanie Helen, wadą, że nie słyszała niczego, co się działo w domu. A Helen była zdania, że nie należało zatykać uszu wobec wszystkiego i wszystkich.

– Znowu się pokłócili – powiedziała Helen. – Terry i Neil. I to bardzo głośno i bardzo gwałtownie. A to, jak ona potem krzyczała... Myślę, że on znowu ją pobił. A mówiąc dokładnie, jestem tego nawet pewna. I zastanawiam się cały czas...

– Tak? – dopytywała się Peggy, nalewając sobie kawy i wsadzając kromkę pieczywa do tosterka.

– To przecież nie pierwszy raz. I nie wiem, czy zawsze mamy nie zwracać na to uwagi. Taką strategię przyjęliśmy na początku, ale może nie jest ona najwłaściwsza.

– Hmm... – odpowiedziała Peggy. Ona i Helen ciągle nie знаły bliżej przyjaciela dziewczyny mieszkającej w tym samym domu, ale od początku zastanawiały się, dlaczego ta młoda kobieta zawsze przyciąga jakieś koszarne typy, a już zwłaszcza teraz wyszukała sobie wyjątkowo przerażający egzemplarz. Ów Neil sprawiał wrażenie aroganta, w dodatku niesłuchanie pewnego siebie, i Peggy zastanawiała się, skąd brała się jego tak wysoka samoocena. Obie uważały, że Neil bezczelnie wykorzystywał Terry, żyjąc po prostu na jej koszt. W każdym razie nie było widać, żeby chodził do jakiejś stałej pracy, nawet jeśli opuszczał dom i zniknął gdzieś na całe godziny. Neil miał bardzo zły wpływ na Terry: dawniej dziewczyna czasami przychodziła tu na górę i wespół z Helen i Peggy wypijały butelkę wina. Od czasu do czasu wychodziły gdzieś razem w trójkę i nawet bywało im dobrze razem, choć co prawda potem Peggy często powtarzała, że sama Terry jest nieco męcząca.

– Ona jest tak niesłuchanie naiwna. Doprawdy, mam chęć nią wtedy potrząsnąć. Kiedy mówi o polityce, to niemal wychodzę z siebie. Ona o niczym nie ma pojęcia!

Mimo wszystko obie kobiety dostrzegały samotność Terry i martwiły się o nią. Ta dziewczyna co jakiś czas znajdowała sobie kolejnego mężczyznę i za każdym razem była przekonana, że spotkała wielką miłość swojego życia, ale te związki kończyły się szybko i równie nagle, jak się zaczynały. Tylko znajomość z tym Neilem trwała zadziwiająco długo. Już ponad pół roku. I nie było to korzystne dla Terry.

Nie tylko dlatego, że zewnętrznie zmieniała się całkowicie.

– Jeśli nawet wynosi śmieci, to jest tak wystrojona, jak gdyby szła do teatru czy opery – powiedziała bez ogródek Peggy. – I najwyraźniej zaczęła unikać tych paru osób, które w ogóle istniały w jej życiu. Już nas całkiem nie odwiedza ani nigdzie razem nie wychodzimy.

Któregoś razu Helen zadzwoniła do niej, pytając, czy nie miałyby ochoty na kawę. Terry uchyliła drzwi tak, że przez wąską szparę ledwo było ją widać. Ale i tak sprawiała wrażenie mocno wystraszonej i skonsternowanej, a za chwilę Helen usłyszała dobiegający z wnętrza głos Neila:

– Kto to?

– Helen. To Helen i pyta, czy nie mam ochoty napić się z nią kawy.

– Nie masz czasu. Powiedz jej to!

Terry uśmiechnęła się nieporadnie.

– Niestety nie mogę. Może innym razem...

Ale oczywiście nie było *następnego* razu.

Helen i Peggy ustaliły, że Neil zastraszał Terry i ograniczał ją, a ona mimo wszystko go ubóstwiała, choć nie potrafiła ukryć tego, że się go po prostu boi. I najwyraźniej przybierało to już bardzo groźny obrót. Dwa razy dostrzegły, że Terry za pomocą grubej warstwy pudru i wielkich ciemnych okularów dość bezskutecznie usiłowała ukryć wyraźne ślady na twarzy, które świadczyły o tym, że Neil podniósł na nią rękę. Jednak Terry twardo upierała się przy tym, że potknęła się tak nieszczęśliwie, że upadła i boleśnie się potłukła. Peggy oświadczyła potem, że dla Terry nic nie można zrobić, bo wyperswadowanie jej tego związku jest po prostu niemożliwe. Można było tylko mieć nadzieję, że któregoś dnia wszystko ułoży się samo.

– Ona jest zdana na jego łaskę i niełaskę – powiedziała Helen. – Jest kompletnie od niego uzależniona. I sama nie znajdzie dość siły, aby się od niego uwolnić. A kiedy wczoraj wieczorem leżałam i chcąc nie chcąc, słuchałam tego dramatu pod nami, to wydało mi się w pewnej chwili, że należymy do tych ludzi, o których tak często się czyta i których nigdy się nie rozumie: mówię o sąsiadach, którzy trzymają się od wszystkiego z daleka i nie wtrącają się w niczyje sprawy. A potem ci sąsiedzi dowiadują się ze zdumieniem, że obok ktoś został ciężko ranny albo nawet zabity. Zawsze przecież pogardzałyśmy takimi ludźmi.

– Tak, ale mimo wszystko Terry też musi coś zrobić. Jak długo będzie się upierała, że między Neilem a nią jest wszystko w porządku, tak długo my nie możemy nic zrobić.

– Musimy z nią jeszcze porozmawiać. Nie możemy tego wszystkiego tak po prostu ignorować.

Postanowiły, że schodząc na dół, zapukają do Terry i całkiem niezobowiązująco zaproszą ją na kieliszek wina, aby „coś z nią omówić”.

– I potem będziemy mogły żywić nadzieję, że ten dupek nie obróci naszych zamiarów wniwecz – powiedziała Peggy. – Bo on nie jest głupi. Jeśli rzeczywiście ostatniej nocy miała miejsce ta... awantura, to on szybko skojarzy, o co nam chodzi.

Liczyły na to, że będą miały szczęście i zastaną Terry samą, bo o tej porze mniej więcej spotykały ją już idącą na zakupy, podczas kiedy jej przyjaciel najprawdopodobniej leżał w łóżku i spał, ale kiedy teraz zapukały lekko w nadziei, że usłyszy tylko Terry, drzwi otworzy się nagle na całą szerokość i na progu stanął Neil.

– Tak? – spytał. Był nieogolony, miał na sobie brudną, wyraźnie przepoconą koszulkę. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto w ogóle był w łóżku ostatniej nocy. Patrzył wyzywająco na obie kobiety. – Tak? – powtórzył.

– Eee... czy może Terry jest w domu? – spytała Peggy. Zawsze była odważniejsza, a mężczyźni tacy jak Neil nigdy jej nie onieśmielali.

– Nie ma jej – odpowiedział Neil.

– A gdzie ona jest?
– Czego wy od niej chcecie? – spytał Neil obcesowo, zamiast odpowiedzieć.
Peggy była zawsze dobra w wymyślaniu błyskawicznych wymówek.
– Helen i ja obchodzimy dziś naszą piątą rocznicę – skłamała. –
Chciałybyśmy otworzyć butelkę szampana i pomyślałyśmy, że byłoby miło, gdyby
Terry także przyszła.

Neil zmarszczył czoło, jak gdyby się czymś martwił.

– No, raczej nie będzie miała odpowiedniego nastroju. Dziś w nocy dostała
telefon. Jej matka jest ciężko chora.

– Jej matka? – Helen także odważyła się odezwać. – Ale ja myślałam...
przecież ona wcale nie utrzymuje kontaktów z matką.

– Nawiązały kontakt przed kilkoma tygodniami. A poza tym jest raczej
normalne, że w przypadku udaru czy czegoś podobnego zawiadamia się córkę bez
względu na wszystko.

– Na miłość boską! Udar?

– Jej matka leży w szpitalu w Scarborough – powiedział Neil. – Terry
strasznie się zdenerwowała. Płakała i krzyczała...

– Jak to w Scarborough? – spytała Peggy. – Przecież rodzina Terry mieszka
w Kornwalii.

– Właśnie na tym polega tragedia. Jej matka jest od wczoraj w Scarborough.
Dziś miały się obie spotkać w hotelu i wreszcie się pogodzić po tylu latach. No
i musiało się stać coś takiego!

Czy to była prawda czy nie? Historia wydawała się mocno naciągana. Helen
i Peggy spojrzały na siebie. W gruncie rzeczy w ogóle nie ufały Neilowi, ale czy
kłamałby w sytuacji, kiedy prawda może tak łatwo wyjść na jaw?

– I wobec tego Terry pojechała jeszcze dziś w nocy do matki. Nie można jej
było powstrzymać – dodał Neil.

„A ty pozwoliłeś jechać nocą samotnie zrozpaczonej i wstrząśniętej kobiecie
– pomyślała Peggy. – Przecież Bóg jeden wie, co mogło się stać po drodze”.

Jednak nie powiedziała ani słowa.

– Chciałbym do niej pojechać – odezwał się Neil. – Nie wiem tylko jak. Ona
wzięła samochód.

– Ja teraz jadę do Scarborough – oświadczyła Peggy. – Mogłabym cię
zabrać.

– Naprawdę? To byłoby miłe z twojej strony.

Helen spojrzała na nią skonsternowana. Peggy jej zdaniem posunęła się za
daleko. Zabierać tego typu samochodem... Helen nie zrobiłaby tego za żadną cenę.
W końcu nie wiadomo było przecież, czy on w ogóle mówi prawdę, a poza tym
obie wiedziały, że nie stronił od przemocy... W jej spojrzeniu było wyraźne
błaganie, które Peggy miała odczytać jako prośbę: proszę, nie rób tego!

Ale Peggy była najwyraźniej zdecydowana wyjaśnić bliżej wszystkie okoliczności ostatniej, bardzo zagadkowej nocy. Postanowiła zawieźć Neila w pobliże kliniki w Scarborough i przy okazji dowiedzieć się, czy matka Terry rzeczywiście przyjechała do Yorkshire i doznała udaru. Albo czy to Terry została tam zawieziona – w efekcie ciężkiego pobicia przez Neila.

Pomachała zachęcająco kluczykami od samochodu.

– Powinniśmy zaraz ruszać. Muszę jechać do pracy.

Neil skinął głową.

– Jasne. Jestem gotowy.

W trójkę zeszli po schodach na dół, gdzie Helen pożegnała się z obojgiem. Pracowała w dziale ogłoszeń w redakcji pewnej gazety w Leeds i jechała tam każdego ranka autobusem. Peggy po dłuższym okresie bezrobocia znalazła wreszcie pracę w domu seniora w Scarborough, co oznaczało, że musiała codziennie jechać półtorej godziny samochodem w jedną stronę, spędzała więc trzy godziny w drodze. Na dłuższą metę nie była to sytuacja możliwa do zaakceptowania, ale Peggy cieszyła się, że w ogóle ma pracę. Ona i Helen zastanawiały się już od dawna, czy ma sens przeprowadzka z Leeds do Yorku, bo wówczas mieszkałyby dokładnie pośrodku drogi do pracy. Ale dotychczas nie znalazły odpowiedniego mieszkania. York był znacznie droższy niż Leeds. Ciągłe nie można było znaleźć optymalnego rozwiązania, a Peggy tymczasem przyzwyczaiła się do swojego zajęcia i codziennych dojazdów.

Neil najwyraźniej był dobrej myśli, kiedy wyjechali z Leeds na drogę A64. Peggy odnosiła wrażenie, że nie wyglądał jak ktoś, kto ma coś do ukrycia. Może Helen jednak pomyliła się w ocenie jego osoby na podstawie wydarzeń z ostatniej nocy. Może Terry rzeczywiście załamała się nerwowo, kiedy dowiedziała się o chorobie swojej matki – płakała i krzyczała, a Helen zinterpretowała to jako gwałtowną kłótnię między nią a Neilem.

„Chyba stworzyliśmy sobie fałszywy wizerunek tego faceta – pomyślała Peggy. – Chociaż... on jednak nie jest zbyt sympatyczny...”

Chciała zerknąć na niego ukradkiem z boku, ale drgnęła wystraszona, kiedy spostrzegła, że on wpatrywał się w nią intensywnie, nawet się z tym nie kryjąc. Na jego twarzy pojawił lekki, nieco bezczelny uśmiech.

– Co takiego? – spytała. – Czemu tak na mnie patrzysz?

– Jesteś naprawdę śliczną kobietą – powiedział. – Dlaczego nie możesz sobie znaleźć faceta?

– Mężczyźni mnie nie interesują.

Machnął ręką lekceważąco.

– Bzdura. Wmówiłaś to sobie... Jesteś zbyt atrakcyjna, aby tracić czas na kobietę... w dodatku taką brzydką jak Helen.

– Widzisz, tu mamy różne zdania. Ja nie uważam związków z kobietami za

stratę czasu. I w ogóle nie uważam Helen za brzydką.

Wyszczerzył zęby w fałszywym uśmiechu.

– Ja osobiście też nie uważam związków z kobietami za stratę czasu. A Helen jest brzydka i ty o tym wiesz. Taka typowa lesba, to widać na kilometr. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

– Nie sądzę, abym miała ochotę kontynuować tę rozmowę – odparła Peggy chłodno.

– Miałaś w ogóle kiedyś jakiegoś faceta? Zawsze mnie interesowało, jak to jest u was, lesbijek. Przychodziecie na świat takie nienormalne czy kiedyś jakiś facet zrobił wam takie świństwo, że omijacie wielkim łukiem każdego kutasa i patrzycie tylko na dziewczyny?

– Uważaj, co mówisz – ostrzegła go Peggy. – To dla mnie żaden problem zatrzymać się tutaj przy drodze i wtedy będziesz musiał sam sobie radzić.

– Czyżbym trafił w jakiś czuły punkt?

– Nie mam czułych punktów.

– Każdy je ma.

– Ja nie mam. A teraz zamknij buzię. Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich obscenicznych złośliwości.

Znów się uśmiechnął, ale przynajmniej umilkł. Peggy złościła się teraz sama na siebie. Jak mogła być taka głupia i brać sobie na kark tego koszmarnego typu? Właściwie zrobiła to tylko dlatego, że Helen nagle doszła do wniosku, że należy pomóc Terry. Jak gdyby jej można było pomóc! Kto się zadaje z takim wstrętnym gnojkiem, ten prawdopodobnie będzie odporny na wszelką próbę pomocy z zewnątrz. Z takim mężczyzną może być tylko kobieta, która wlecze ze sobą jakieś problemy psychiczne. To tutaj jest przypadkiem dla terapeuty.

„Nie możemy nic zrobić – pomyślała Peggy. – Terry sama musi się wydobyć z tego bagna”.

Byli akurat na odcinku drogi, który prowadził przez pola i łąki, kiedy Neil powiedział nagle:

– Możesz się zatrzymać? Muszę się wysikać.

– Teraz?

Skręciła w boczną polną drogę prowadzącą gdzieś na łąki i zatrzymała się.

– Okay. Wysiadaj.

Ale Neil się nie ruszał. Zmarszczyła czoło.

– Mówiłeś, że to bardzo pilne. To idź. Nie chcę się spóźnić do pracy.

I dopiero w tym momencie dostrzegła w jego ręce broń. Pistolet. Którego lufa skierowana była w jej stronę.

Przez sekundę wstrzymała oddech, próbując zrozumieć, co się działo. Grożono jej bronią palną. Robił to mężczyzna, który miał twarz kryminalisty i o którym dotychczas słyszała same złe rzeczy.

Mimo wszystko nie mogła w to uwierzyć. Takie rzeczy zdarzają się w filmie. Ale nie w prawdziwym życiu.

Kiedy mogła już swobodnie odetchnąć, spróbowała działać zdecydowanie.

– A to co? Zwariowałaś?! Zabierz to!

– Potrzebny mi twój samochód – wyjaśnił Neil. – Przykro mi, ale to bardzo pilne.

– Chyba bredzisz. Nie sądzisz chyba, że ja...

Nie pozwolił jej dokończyć. Lewą ręką nagle chwycił ją za włosy i pociągnął tak brutalnie, że krzyknęła. Zbliżył swoją twarz do niej, a ona poczuła, jak pistolet wciska jej się między żebra.

– Ej, to nie są żarty, daruj więc sobie bezczelne uwagi! Zrobisz to, co ci powiem. Wsiądziemy teraz oboje i nie próbuj żadnych sztuczek, jasne?

Krzyknęła, bo znów szarpnął ją za włosy. Miała wrażenie, że wyrwie ich całą garść. Zrozumiała, że ma do czynienia z człowiekiem, który nie poprzestanie na pogroźkach. Jeśli zacznie stawiać opór, może się to dla niej skończyć naprawdę źle. Była na straconej pozycji: on miał broń. I nie wątpiła, że naładowaną. I że nie zawaha się jej użyć.

– Okay – wyszeptała. – Okay, wysiadam.

Powoli otworzyła drzwi od strony kierowcy. W twarz uderzyły ją ciepłe powietrze, zapach trawy i kwiatów. Tuż obok ciągnął się kwitnący żywopłot. Był piękny słoneczny dzień, jak podarowany po uporczywych deszczach trwających kilka tygodni. Nocą się przejaśniło i na niebie nie było już chmur. Wiał lekki wiatr.

Nagle do oczu napłynęły jej łzy. To nie był dobry dzień na umieranie. W dodatku z ręki szaleńca, gdzieś na skraju drogi między Leeds a Scarborough.

„Helen nie chciała, żebym go zabierała. I słusznie. Ona ma o wiele lepszy instynkt”.

Neil przesunął się za nią na siedzenie kierowcy i wysiadł tuż za nią. Tkwili teraz oboje między samochodem a żywopłotem. Peggy próbowała zerknąć w stronę ulicy, ale nic nie było widać. Za daleko pojechała drogą na łąki, teraz samochód stał na wąskiej drodze, dobrze schowany za głogiem. Jeśli nawet ktoś tu wszedł, to widział jedynie część żywopłotu oddzielającego szosę od pól. Nikt nie mógłby dostrzec, że tu jakiś mężczyzna groził bronią kobiecie.

Zanim Peggy zdążyła się obejrzeć, na jej rękach zatrzasnęły się kajdanki. Miała ramiona wykręcone do tyłu. Skąd on miał takie rzeczy? Choć co prawda nie był to żaden problem, takie utensylia można było kupić w każdym sex-shopie.

– Przykro mi – powtórzył Neil, ale nie brzmiało to tak, jak gdyby rzeczywiście czegoś żałował. – Ale nie mogę dopuścić do tego, że zaraz pobiegiesz na drogę, zatrzymasz pierwsze lepsze auto i wyślesz policję w pościg za mną. Zostaniesz przez chwilę tutaj. Siadaj!

– Nie możesz zostawić mnie tutaj związanej! Tu przecież nikt mnie nie

znajdzie!

– Kiedyś ktoś tu w końcu zajrzy. – Wskazał na kilka leżących w trawie zgniecionych papierowych torebek i puszkę po coca-coli. – Tu ludzie przychodzą sikać, coś wypić i się pieprzyć. Prawdopodobnie wcale nie potrwa to długo.

Ale Peggy widziała to inaczej. Miała przed oczami siebie tkwiącą godzinami przy żywopłocie, może przez cały dzień i całą noc. Było nieprawdopodobne, że ktoś zwróci uwagę na jej krzyki. Tą szosą nikt nie poruszał się pieszo, a ktoś przejeżdżający samochodem nic nie usłyszy. Gdyby na okolicznych polach zjawili się rolnicy, może miałyby jakąś szansę, ale w tej chwili nikogo nie było widać jak okiem sięgnąć.

– Proszę – powiedziała – nie rób tego. Obiecuję, że poczekam tutaj godzinę i...

Roześmiał się.

– Jasne. A ja wierzę jeszcze w wielkanocne zajęcie.

Pociągnął za kajdanki tak, że metal boleśnie wbił się jej w mięśnie.

– Na dół razem ze mną! – krzyknął nagle.

Usłyszała nadjeżdżający samochód ciężarowy. Przez cały czas było zupełnie cicho.

„Teraz” – pomyślała.

Wyrwała się i zaczęła uciekać. Rzeczywiście udało jej się to, bo Neil w ogóle nie liczył się z ewentualną obroną. Nigdy nie spodziewał się czegoś podobnego u kobiety, bo przez całe życie otaczały go takie, które były wobec niego potulne. Kobiety silne i pewne siebie, takie jak Peggy, budziły w nim odrazę.

Przecisnęła się błyskawicznie obok ciągle otwartych drzwi samochodu, ale zaczepiła o nie kurtką. Szarpnęła i usłyszała trzeszczenie dartego materiału. Nieważne za jaką cenę – musiała dotrzeć do szosy.

– Stój, ty dziwko! – ryczał Neil.

Biegła. Samochód ciężarowy był coraz bliżej, musiała więc znaleźć się na jezdni odpowiednio wcześniej. Musiała go zatrzymać. Kierowca musiał jej pomóc. Nie mógł przecież tak po prostu przejechać obok, kiedy zobaczy biegnącą kobietę z rękami skrępowanymi z tyłu. On wtedy...

Strzał przerwał jej myśli. Był tak głośny, że poczuła ból w uszach i w pierwszej chwili pomyślała, że ogłuchnie na zawsze. Nie czuła nic więcej, nie mógł więc jej trafić. I ku jej zaskoczeniu lewa noga zgięła się w jakiś osobliwy sposób, niemal złamała się pod ciężarem ciała. Peggy upadła w trawę. Spróbowała wstać, ale jej się nie udało. Nie mogła stanąć na nodze. Nie była też w stanie podeprzeć się rękoma, leżała więc na brzuchu twarzą do ziemi i czuła, że po wielu dniach deszczu ta ziemia była jeszcze wilgotna, chłodna i pachniała świeżo, wiosennie, nie tak jak w czasie dojrzałego lata.

W następnym momencie Neil szarpnął ją za włosy i brutalnie podciągnął jej

głowę.

– Ty przeklęta dziwko! Ty głupia, przeklęta dziwko!

Podniósł ją gwałtownym ruchem. Stała oparta o niego, z osobliwie zgiętą nogą. Spojrzała w dół. Jej dzinsy były już przesiąknięte krwią.

Bardzo powoli docierało do niej to, co się stało.

Trafił mnie. Postrzelił mnie w nogę.

Powyżej na drodze dudnił przejeżdżający samochód ciężarowy.

Kierowca niczego nie zauważył.

Neil zawlókł Peggy do samochodu, za gęsty żywopłot. Powoli zaczynała odczuwać ból w nodze, ale nie był jeszcze taki silny. Niepokojąca wydała jej się duża ilość krwi, która płynęła szybko i gwałtownie.

– Neil. Ja muszę szybko do lekarza.

Rzucił ją brutalnie na ziemię i przycisnął do trawy. Nylonowym sznurem przywiązał jej skrępowane ręce do jednego z grubszych pni żywopłotu.

– Sama jesteś sobie winna. Nie mogę nic dla ciebie zrobić. Myślisz, że sprowadzę ci lekarza i jeszcze zaczekam, aż on zadzwoni po gliny?

Patrzyła przerażona na swoją nogę. Materiał spodni był całkowicie przesiąknięty krwią. Ból był coraz silniejszy.

– Wykrwawię się, jeśli mnie tu zostawisz. Neil, nie możesz tego zrobić! Proszę! Zostaw mnie przynajmniej przy ulicy. Neil...

Ale on nie zwracał już na nią uwagi. Wsiadł do samochodu, zamknął drzwi. Z niedowierzaniem wręcz patrzyła, jak włączał silnik i wyjeżdżał na wstecznym biegu.

– Neil! – krzyczała tak głośno, jak tylko była w stanie. Na ile pozwalały jej na to siły. A te małały w zastraszającym wprost tempie. Zbyt szybko traciła krew.

– Neil!

Już jej nie mógł usłyszeć, a nawet gdyby mógł, to zapewne nie zwróciłby na to uwagi. Nie widziała go już, słyszała jednak, że dotarł do asfaltu i ruszył z głośnym piskiem opon i rykiem silnika.

Krzyczała ciągle, kompletnie bez sensu i bez cienia nadziei.

– Neil! Neil, wracaj! Proszę! Proszę!

Umilkła. Wokół panowała zupełna cisza. Słabnący hałas silnika jej własnego samochodu słyszała już tylko z oddali. Gdzieś wysoko przelatywał samolot. W głębi żywopłotu brzęczały pszczoły. Nigdzie ani śladu jakiegoś rolniczego pojazdu. Ani śladu człowieka.

Ból pochłonił ją teraz gwałtownie, z całą siłą, jak gdyby noga nagle znalazła się w płomieniach. Krew wsiąkała w trawę.

Miała wrażenie, że jej serce bije za mocno i pompuje krew za szybko. Wargi, usta i krtań wyschły niemal w okamgnieniu.

– Wody – wymamrotała.

Ostatnie chmury znikwały szybko, a słońce, tak bardzo wytęsknione po deszczach, teraz bezlitośnie paliło ziemię.

„Umrę tutaj” – pomyślała. Wiedziała już o tym dobrze. Miała nadzieję, że szybko straci przytomność.

4

Caleb Hale, funkcjonariuszka Scapin i sierżant śledczy Stewart siedzieli w biurze Caleba w Scarborough. Każde z nich miało przed sobą duży kubek kawy, wszyscy sprawiali wrażenie niewyspanych i przemęczonych. Najgorzej, zdaniem Jane Scapin, wyglądał Caleb. Był wprost szary na twarzy i miał głębokie cienie pod oczami, a to, że w dodatku nie był ogolony i miał na sobie pomięte ubrania z poprzedniego dnia, sprawiało, że wyglądał bardzo nieświeżo. Jane wydawało się jednak, że przyczyną jego kiepskiego stanu było nie tylko zmęczenie; Caleb wyglądał nie tylko jak ktoś, kto nocą nie zmrzył oka, lecz jakby był wręcz chory. Przyjechał do biura taksówką, co zauważyła, wyglądając przez okno. Czyli można było wyciągnąć stąd wniosek, że przyjechał wprost od Kate Linville i że rankiem nie zdążył zajrzeć do siebie do domu. Cały Caleb. Był po prostu taki także jako szef: troskliwy i opiekuńczy. Jego wyrozumiałość i troska nigdy nie kończyły się przed granicami, które wyznaczała działalność zawodowa. Nie zostawiał ludzi samym sobie tylko dlatego, że byłoby to zgodne z przepisami i że coś leżało poza jego kompetencjami. Zawsze robił więcej, niż musiał.

Jane zastanawiała się czasami, czy Caleb nie był po prostu zbyt wrażliwy na tego rodzaju pracę. I czy za bardzo nie brał sobie do serca tego, co widział i przeżywał. Także cierpienia ludzi, nie tylko ofiar. Widać było, że z trudem przychodziło mu zachowanie odpowiedniego dystansu i poprzez to ochrona samego siebie. Ale może był także po prostu samotny. Jane wydawało się często, że od kiedy opuściła go żona, Caleb niechętnie wracał do domu. Bo wykorzystywał każdą okazję, aby uciec od własnych czterech ścian, a jak trzeba było, to pilnował nocą zrozpaczonej córki zamordowanego byłego kolegi. Nawet wtedy, gdy to zadanie go przerastało.

Ale tak czy owak, Caleb był dziś rzeczowy i opanowany. Dawniej nader często czuć było w jego biurze, że nie był trzeźwy. Teraz wypijał niesłychane ilości kawy, ale nic więcej.

– Jak się czuje Kate, szefie? – spytała Jane.

Wzruszył ramionami.

– Dziś rano już jej nie widziałem. Co oznacza, mam nadzieję, że mogła w miarę dobrze spać. Ale jest w okropnym stanie psychicznym. Gdyby tak był ktoś, kto mógłby ją teraz wesprzeć. Ale najwyraźniej takiego kogoś nigdzie nie ma.

– Ojciec był rzeczywiście jedynym bliskim człowiekiem w jej życiu?

– Zdaje się, że tak. Ona jest bardzo, bardzo samotna, ale – Caleb przejechał

ręką po zmęczonych oczach, co spowodowało, że zaczerwieniły się mocno i w efekcie wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego – tu przypuszczalnie nie może pomóc nikt z nas. Ona sama musi uporządkować swoje życie od nowa i się pozbierać. Prawdopodobnie coś takiego można zrobić tylko o własnych siłach.

– Jakiś mężczyzna byłby teraz dla niej bardzo wskazany – stwierdził sierżant Stewart. – Podpowiedz jej, Jane, że mogłaby poszukać kogoś przez Internet. Przecież dzisiaj wszyscy tak robią.

– Żeby była szczęśliwa jak ty, tak?

Było publiczną tajemnicą w całej komendzie policji, że Robert Stewart od lat próbował znaleźć kobietę na najróżniejszych internetowych forach dla singli, ale jak dotychczas bez rezultatu.

Robert nie sprawiał wrażenia urażonego.

– Okay, ale jej szanse byłyby mimo wszystko większe. Przecież jest raczej wysoce nieprawdopodobne, że mężczyzna jej życia przyjdzie spacerkiem wprost do tego domu w Scalby i wyzna jej miłość.

– Takie sprawy powinniśmy pozostawić wyłącznie Kate – uciął rozmowę Caleb. – To jej życie i to ona musi wiedzieć, co z nim zrobić. My mamy co innego do roboty. Dzień co prawda dopiero się zaczął, ale może macie jakieś nowe ustalenia w sprawie Melissy Cooper?

Robert skinął głową.

– Najprawdopodobniej udało mi się ustalić, przy jakiej okazji poznali się nadkomisarz Linville i Melissa Cooper. Oczywiście nie wiem, czy to jest istotne dla sprawy, ale pomyślałem, że dobrze będzie sprawdzić takie łączące ich zdarzenia – bo przecież oni oboje z dużym prawdopodobieństwem padli ofiarą tego samego sprawcy.

Caleb skinął głową.

– Słusznie. I co udało się panu ustalić?

– Przyszedłem tu dziś dość wcześnie i sprawdziłem stare akta z 1998 roku, bo ich związek zaczął się właśnie wtedy.

– Takie założenie to dobry pomysł.

Robert był wyraźnie uszczęśliwiony, słysząc pochwałę Caleba.

– We wrześniu 1998 roku tu, w Scarborough, miał miejsce napad rabunkowy na jedną z hal z automatami do gry, tam na dole, w porcie. W biały dzień. Dwóch nastolatków uzbrojonych w pistolet wpadło do środka i po prostu zażądało wydania zawartości kasy. Właściciel bronił się dość energicznie i wtedy do niego strzelili. Mężczyzna zmarł, zanim zdążyli go dowieźć do szpitala. Chłopcy zwiali z dużą ilością pieniędzy i wsiedli do czekającego na nich samochodu, który prowadził trzeci sprawca. Świadcami napadu były osoby, które przypadkowo znalazły się w porcie – wśród nich Melissa Cooper, akurat umówiona z przyjaciółką w pubie. Była w stanie mniej więcej opisać sprawców, dlatego przesłuchano ją na

komendzie policji. Rozmawiał z nią sam Richard Linville. Przypuszczam, że to była chwila, w której się poznali. Można to oczywiście zweryfikować przez jej synów.

Caleb się zastanawiał.

– Czy w tym napadzie można się doszukiwać klucza do rozwiązania zagadki naszej zbrodni? A sprawcy zostali schwytani?

– Tak. Chociaż...

– Tak?

– Złapano ich dość szybko. Ale nie dzięki zeznaniom i opisom Melissy, i to nie sam Linville ich aresztował. Dwa dni po napadzie, w czasie którego doszło do morderstwa, jednemu ze sprawców puściły nerwy i zgłosił się dobrowolnie na policję. I wydał pozostałych. Czyli w zasadzie nie ma to nic wspólnego z Melissą Cooper, przypuszczam wręcz, że sprawcy nawet nie słyszeli jej nazwiska.

– Mimo to trzeba tę rzecz sprawdzić. Robercie, byłoby najlepiej, gdyby pan to kontynuował. Przypuszczam, że trzech sprawcy dostali karę więzienia, odsiedzieli ją i są już na wolności.

– Już to sprawdziłem, sir.

Robert musiał rzeczywiście być na nogach już od świtu.

– Wszyscy trzech są na wolności i nie popełnili od tego czasu żadnego przestępstwa. Dwóch z nich mieszka w Hull, jeden w Scarborough. Mam ich adresy.

Caleb dostrzegł, że tego ranka Robert i Jane zamienili się rolami. Zwykle właśnie Jane była osobą, która wykazywała znacznie więcej własnej inicjatywy, podczas kiedy zdolniejszy Robert należał do tych cichych i spokojnych. Dziś Jane najwyraźniej nie miała na nic siły. Była bardzo blada i sprawiała wrażenie tak wyczerpanej i umęczonej, że Caleb najchętniej dałby jej wolny dzień – gdyby tylko mógł sobie na to pozwolić. Wczoraj Jane dotarła do domu wyjątkowo późno. I z pewnością miała kłopoty z sąsiadką, która pilnowała Dylana.

– Okay, Robert, weźmie pan na spytki tych typów. A potem musimy koniecznie zająć się Denisem Shove'em. Co prawda nie wiem, czy i co łączy go ze sprawą Melissy Cooper, ale...

– Sir, Denis Shove został wprawdzie aresztowany dopiero w roku 2005, czyli trzy lata po rozstaniu Melissy Cooper i Linville'a – przynajmniej zgodnie ze słowami syna – powiedziała Jane. – Mimo to zastanawiam się, czy Shove w jakiś sposób nie ustalił, że Linville i Cooper byli parą. Może zemsta na Linville'u po prostu mu nie wystarczyła. Znamy przecież takie przypadki, że sprawcy mścili się także na otoczeniu ofiary.

– Hm... Skąd on miałby wiedzieć o tym ich romansie?

– Takie rzeczy często wychodzą na jaw – powiedziała Jane. – Myślę, że na przykład tu, na komendzie, sporo osób o tym wiedziało. A Linville sądził, że to

wielka tajemnica. Tymczasem wszyscy pewnie o tym plotkowali za jego plecami, nawet się z tym nie kryjąc.

Caleb westchnął. Jane z pewnością miała rację. Pomyślał o tym, jak bardzo przeraził się ostatniej nocy, kiedy Kate, wściekła jak zranione zwierzę, powiedziała mu, że wie o jego problemie z alkoholem. Naiwnością z jego strony było upieranie się przy wariancie z bajpasami. Każdy doskonale wiedział o wszystkim, wieść o tym dotarła nawet do Scotland Yardu. W efekcie raczej się ośmieszył.

– Nie wszystko tu pasuje do całości – powiedział. – Nawet jeśli koledzy o czymś wiedzieli, to jak miałyby się o tym dowiedzieć Denis Shove? A poza tym, gdyby tak było, to czy raczej nie zamordowałyby najpierw Melissy Cooper, a dopiero potem Richarda Linville’a? I czy śmierć Cooper rzeczywiście byłaby jakimś ostrzeżeniem dla Linville’a, aby tym bardziej go przerazić i napędzić mu porządnego stracha? Tymczasem faktyczny przebieg sprawy jest z tej perspektywy raczej bez sensu.

– Może Shove zaplanował inną kolejność? – zastanawiała się Jane. – A potem wszystko wyszło odwrotnie. Może coś poszło nie tak z Melissą Cooper i nieoczekiwanie pojawiła się okazja zamordowania Richarda Linville’a. Sprawca musiał być może postąpić inaczej, niż planował.

– Ale po co miałyby mordować Melissę Cooper? Mógł ją przecież zostawić przy życiu, bo mordując ją, nie mógł już zadać bólu Linville’owi.

– Ale miał taki zamiar – rzekła Jane – i nie chciał się zadowolić wykonaniem połowy planu.

Caleb bębnił długopisem w blat biurka. To wszystko wydawało mu się jakieś groteskowe.

– Melissę Cooper skrupowano i zakneblowano jej usta. Kiedy jeszcze była przytomna, zmiażdżono jej młotkiem rzepki w kolanach. I na koniec podcięto jej gardło w sposób, który graniczył wręcz ze ścięciem. Tyle nienawiści, tyle zdecydowania, aby nie tylko zabić tę kobietę, ale przedtem jeszcze zadać jej taki ból. A wszystko po to, aby zrealizować plan, który właściwie sam się zrealizował? To mnie nie przekonuje.

Oboje nie bardzo wiedzieli, co na to odpowiedzieć, aż w końcu sierżant Stewart spytał:

– A co z synami Melissy? Michael Cooper nienawidził Linville’a wręcz chorobliwie, to wczoraj było wyraźnie widać.

– Tak, ale nie nienawidził swojej matki – odparł Caleb – i po otrzymaniu wiadomości o jej śmierci był kompletnie wstrząśnięty. Musiałby być aktorem pierwszej wody, gdyby jego rozpacz i przerażenie nie były autentyczne. Mimo wszystko odwiedzę go. Może jego brat też już przyjechał. Porozmawiam z nimi. Muszą nam opowiedzieć wszystko o związku swej matki z Linville’em.

– Osoby, których ten związek naprawdę dotyczył, niestety nie wchodzą teraz

w grę jako sprawcy – stwierdziła Jane. – To znaczy małżonkowie. Mąż Melissy w tamtej chwili nie żył już od dawna. A żona Linville’a zmarła trzy lata temu.

– Nie, to względnie proste rozwiązanie w ogóle nie może być brane pod uwagę – odparł Caleb i wstał.

– Zrobimy teraz tak: pan, Robercie, sprawdzi ludzi, którzy byli sprawcami tamtego napadu przed laty. Jane, pani sprawdzi wszystkie akta i doniesienia w sprawie Shove’a. Chciałbym się dowiedzieć, czy znajdziemy tam jakąś wskazówkę co do Melissy Cooper. Choć nie bardzo w to wierzę, jednak musimy sprawdzić. Ja pojadę do Sheffield i porozmawiam z Michaeliem Cooperem. Oprócz tego wysłałem już ludzi do Hull. Przeszukują właśnie mieszkanie Melissy, rozmawiają z sąsiadami i z dozorcą szkoły, mają też rozejrzeć się dokładnie w okolicy tego domu weekendowego przy ujściu rzeki. W każdym razie chciałbym zintensyfikować ściganie Denisa Shove’a. Nawet jeśli on nie ma z tym nic wspólnego, możemy go skreślić z listy podejrzanych dopiero wtedy, kiedy go przesłuchamy i sprawdzimy jego możliwe alibi. Najlepiej...

– Sir, ja już to zrobiłam – powiedziała Jane. – Od wczoraj zdjęcie Shove’a ukazuje się we wszystkich okolicznych gazetach. Z dokładnym opisem i tak dalej.

To znów była ta Jane, którą znał. Caleb skinął głową z uznaniem.

– Bardzo dobrze. Dobra robota, Jane, naprawdę.

W zmęczonych oczach Jane dostrzegł jakiś ślad ożywienia.

Sierżant Stewart nieznacznie potrząsnął głową. Nie dlatego, że nie zgadzał się z szefem w kwestii oceny umiejętności Jane. Ale jego zdaniem oboje, Caleb i teraz także Jane, za bardzo koncentrowali się na osobie Denisa Shove’a. A według niego ta sprawa zupełnie tu nie pasowała.

5

Choć obudziła się już dawno, tkwiła w swoim pokoju jeszcze całe wieki, obawiając się spotkania z Calebem na dole. W tej chwili nie wyobrażała sobie, że będzie mogła kiedykolwiek stanąć naprzeciw niego i spojrzeć mu w twarz. Czuła skutki wypicia połowy butelki whisky w krótkim czasie na pusty żołądek: szalony ból głowy, suchość w ustach, piekące oczy, które nie znosiły słabego światła dziennego nawet przy zaciągniętych zasłonach. Ale było to niczym wobec wspomnienia wczorajszej nocy. Ona i Caleb Hale w salonie. Rzuciła mu się w ramiona, błagała go, aby ją objął. I on to zrobił, dzięki czemu poczuła się silniejsza i bardziej pewna siebie. Bezpieczna. Ale wówczas posunęła się jeszcze dalej, chciała go zaciągnąć do łóżka, i choć była tak pijana, nie mogła zapomnieć ani jednego, choćby najdrobniejszego szczegółu tej sceny. Pamiętała doskonale jego przerażenie, zakłopotanie i wycofywanie się. Dla niego ta sytuacja była straszna, i Kate zastanawiała się, jak mogła tak stracić wszelkie zahamowania i dlaczego w jej głowie nie pojawiły się żadne sygnały ostrzegawcze. Próbowwała

wymazać z pamięci choć część tych obrazów, ale ciągle miała je przed oczami i były one nawet bardziej wyraźne niż obrazy wcześniejszych potwornych wydarzeń tego dnia. Choć próbowała pamiętać tylko to, co dane jej było zobaczyć w szkole w Hull, bo widok zalanej krwią, skrępowanej i zmasakrowanej Melissy Cooper był łatwiejszy do zniesienia niż wspomnienie jej zachowania wobec Caleba. Jak on na nią patrzył, kiedy powiedział, że nie chce wykorzystać tej sytuacji... A przecież ona odczytała w jego oczach prawdę. Caleb uważał ją za kobietę nieatrakcyjną i zupełnie pozbawioną jakiegokolwiek uroku czy wdzięku. Sama Kate uważała się za kobietę, której w normalnych okolicznościach Caleb nigdy nawet by nie zauważył, ale o którą się troszczył, bo cenił jej ojca i czuł dla niej litość.

Znów ta stara piosenka i ta sama historia: kompletny brak zainteresowania albo współczucie, nigdy przecież nie doczekała się czegoś innego od mężczyzn. I akurat litość ze strony Caleba miała być czymś, co ją podtrzyma na duchu. Z pewnością widział ją jako tragiczny przypadek, a w dodatku jako osobę, której w przyszłości najlepiej będzie zejść z oczu.

W którymś momencie usłyszała, że pod dom podjechał samochód i chwilę potem trzasnęły drzwi wejściowe. Caleb prawdopodobnie zamówił taksówkę. Na wszelki wypadek odczekała jeszcze chwilę, po czym wstała i chwiejnym krokiem podeszła pod drzwi. Nasłuchiwała jakiś czas, po czym wyjrzała na dół. Cisza. Dzięki Bogu pojechał.

Trwało to długo, zanim wzięła prysznic i się ubrała. Ból głowy uniemożliwiał każdy szybszy ruch, a odbicie w lustrze mówiło, że wygląda strasznie – była blada i miała zapadnięte oczy, jak gdyby nagle postarzała się o całe lata. A przecież Kate nie miała jeszcze czterdziestki, teraz jednak wydało jej się, że wygląda, jakby miała pięćdziesiątkę. Chciało jej się płakać nad sobą wobec tylu odtrąceń, których dane jej było zakosztować w życiu, ale jakoś zdołała powstrzymać łzy. Ból głowy, podobnie jak ten gdzieś głęboko za oczami, tylko by się nasilił.

Zeszła w końcu na dół. W kuchni na płycie ekspresu zastała pełen dzbanek kawy. Ale żadnego listu ani wiadomości, jakiejś kartki z choćby krótkim pozdrowieniem.

A czego się spodziewałaś? – spytała samą siebie. – Caleb będzie teraz starał się zachowywać możliwie największy dystans. Nie robi niczego, co ty mogłabyś źle zrozumieć.

Stwierdziła, że nie będzie w stanie niczego zjeść, ale za to naląła sobie duży kubek kawy. Piła gorący płyn małymi łykami, stojąc przy oknie. Powoli wracały jej siły i nieco lepsze samopoczucie, jej oczy mogły już znieść jasne światło słonecznego dnia. Męczył ją natłok przeróżnych myśli, a obok palącego wstydu z powodu wczorajszego zachowania na pierwszy plan wysunęło się przerażenie

wobec tego, co zrobił jej ojciec.

On miał romans.

Coś tak wstrętne, podłego i pełnego zakłamania. Jej wspaniały, cudowny, ponad wszelką wątpliwość uczciwy ojciec. Oszukiwał Brendę w tym czasie, kiedy ona czuła się już naprawdę źle i była całkowicie bezradna. Nie tylko ją: poprzez to oszukiwał także Kate, i to tak, jak jeszcze nigdy nie oszukał jej żaden człowiek.

Co dla niego znaczyła owa Melissa Cooper? Czy on ją kochał? Czy zdecydowałby się być tylko z nią, gdyby Brenda, jego żona, nie była tak chora? Czy tylko rak kazał mu wracać do Church Close? Czy gdyby wówczas doszło do rozstania, to ten fakt zniszczyłby ciepło domowego ogniska i poczucie bezpieczeństwa, które Kate odczuwała ze strony rodziców nawet jako dorosła kobieta? Możliwe, że tylko przyzwoitość – *albo jedynie jej resztką*, jak myślała Kate – powstrzymywała Richarda Linville'a przed ostatecznym krokiem. Bo przecież Brendzie z początku udało się pokonać chorobę – jednak po roku doszło do jej nawrotu i wszystko zaczęło się od nowa. Ale Brenda raz jeszcze zwyciężyła kolejną bitwę, a po niej nastąpiło dziewięć niewiarygodnych lat, w czasie których za pomocą wszelkich możliwych alternatywnych środków medycznych udało jej się trzymać raka w szachu. Jednak jej mąż prawdopodobnie nigdy nie wierzył w ów pozorny pokój. I słusznie: w roku 2010 choroba wróciła i tym razem jej postępy były o wiele szybsze i bardziej gwałtowne niż poprzednio. Ciało Brendy dosłownie zalały przerzuty, i siły, jakich potrzebowała do obrony, któregoś dnia się skończyły. Brenda zmarła w styczniu 2011 roku. A potem... najwyraźniej nie wróciło to, co łączyło Richarda i Melissę. To uczucie zapewne się wypaliło – jak wszystko na tym świecie.

Kate postanowiła dowiedzieć się na ten temat więcej. Co się wtedy stało i dlaczego? Dlaczego Richard i Melissa zginęli dosłownie w wyniku egzekucji wykonanej przez kogoś, kto ich oboje musiał wyjątkowo i tak samo nienawidzić.

Kate odebrała poprzedniego dnia Michaela Coopera jako kogoś wyjątkowo niesympatycznego, ale teraz chyba nie miała innego wyboru i musiała nawiązać z nim kontakt. Przynajmniej w tej chwili nie знаła żadnego człowieka, który w tych okolicznościach mógłby jej dostarczyć choćby kilku informacji.

Usłyszała wczoraj, że mieszka w Sheffield. Ściągnęła z Internetu książkę adresową miasta i stwierdziła, że mieszkało tam dwóch mężczyzn o tym samym imieniu i nazwisku. Mogło być gorzej. Zanotowała oba adresy. Nie zamierzała dzwonić, bo obawiała się, że Michael nie będzie chciał z nią rozmawiać. Doskonale czuła jego awersję. On nienawidził jej ojca i to uczucie przenosił na córkę. Ale oczywiście był wtedy w szoku i teraz chyba zrozumiał, że Kate była kimś innym, osobą, która nie mogła być odpowiedzialna za to, co robił ojciec. Kiedy o tym rozmyślała, stwierdziła z zaskoczeniem, że jej samej taka myśl przyszła do głowy *po raz pierwszy* – mimo tego wszystkiego, co się stało, myśl taka wydała jej się

niemal czymś w rodzaju herezji: *jestem osobnym człowiekiem, który nie odpowiada za własnego ojca.*

Zawsze myślała zupełnie inaczej, inaczej też czuła. Ona i Richard – to była jedność. Całość połączona z sobą na zawsze. Każde z nich było częścią drugiego. I poprzez to oboje byli odpowiedzialni za siebie nawzajem, tak jak jest się odpowiedzialnym za siebie samego.

A teraz stwierdziła nagle, że Richard prowadził odrębne życie. Prowadził je na swój rachunek, z dala od swojej żony i córki.

Nigdy się od niego nie uwolniłam i zawsze myślałam, że on odczuwa to tak samo. A przecież chodził własnymi drogami. Z kobietą, której nie znałam. O której nigdy nie wspomniał ani słowem. Zdradził całą naszą rodzinę. Zdradził mnie. I uczucia, jakie żywiłam w stosunku do niego.

Czuła taki ból, że z ogromnym trudem powstrzymywane łzy jednak napłynęły jej do oczu. Ani się spostrzegła, kiedy nagle znalazła się na środku kuchni na podłodze i płakała tak gwałtownie, że cała zaczęła spazmatycznie dygotać.

Po dłuższym czasie udało jej się sięgnąć po rolkę papierowego ręcznika, z którego zaczęła odrywać kolejne kawałki i wycierać nos. Umilkła w końcu, siedząc na podłodze. Oddychała ciężko, czuła osobliwą pustkę i odrętwienie. Patrzyła nieruchomo z tej dość niezwykłej perspektywy na kuchenne meble, aż zauważyła w końcu, że zrobiło jej się zimno, bo od podłogi ciągnęło. Jednak nie miała siły wstać. Ogarnął ją ogromny smutek, ale i pewna ulga, bo łzy i płacz w dziwny sposób rozładowały najgorsze napięcie.

Pozbierała się jakoś, poszła do łazienki i umyła twarz zimną wodą, po czym wbrew swoim zwyczajom nałożyła na nią trochę pudru, chcąc w ten sposób zatuszować zaczerwienienia pod oczami i na policzkach. Rozsądniej było nie jechać teraz do Sheffield.

Jednak to zrobiła.

Była w drodze długo, bo przy ożywionym ruchu dotarła na miejsce dopiero po dwóch i pół godziny, a potem zabłądziła w trakcie szukania pierwszego adresu. I ostatecznie okazało się, że nie mieszkał tam ten Michael Cooper, którego szukała. Człowiek, który po długim czekaniu i trzykrotnym dzwonieniu otworzył jej drzwi, miał chyba około dziewięćdziesięciu lat, a kiedy Kate wyjaśniła mu, że się pomyliła i przeprosiła go, nic nie rozumiawszy, zaczął się tak natarczywie dopytywać, że Kate w końcu odwróciła się i zostawiła go przed drzwiami. Miała nadzieję, że drugi Michael Cooper okaże się tym właściwym. Mogło przecież być tak, że jego adresu nie było w książce. Wówczas odnalezienie go byłoby naprawdę trudne, choć nie niemożliwe. Miała jeszcze w odwodzie Scotland Yard. Jeśli poprosi o to w odpowiedni sposób, to Christy McMarrow jej pomoże.

Pół godziny później stała przed ślicznym domem jednorodzinny

w południowej części Sheffield i wszystko wskazywało na to, że mieszka tu młoda rodzina. Duży ogród, a w nim huśtawka, zjeżdżalnia i trampolina. Kate szła w stronę drzwi ścieżką prowadzącą między grządkami kwiatów. Drzwi otworzyły się natychmiast, kiedy tylko zadzwoniła. Stał w nich Michael Cooper. Ten właściwy.

Rozpoznał ją natychmiast.

– Mrs Linville – powiedział.

Nie sprawiał wrażenia człowieka tak agresywnego jak wczoraj. Był raczej wyczerpany i zbyt zmęczony, aby kogokolwiek atakować.

– Dzień dobry, Mr Cooper – powiedziała Kate. – Przykro mi, że odwiedzam pana, nie zapowiedziawszy się uprzednio, ale... Czy znajdzie pan dla mnie chwilę czasu?

Nie wydawało się, żeby był tym zachwycony.

– Mówiąc szczerze... mój brat przyjechał przed kilkoma godzinami i właśnie rozmawiamy na temat uroczystości żałobnych... ale... – Cofnął się o krok. – Proszę, niech pani wejdzie.

W przedpokoju leżało mnóstwo najróżniejszych dziecięcych zabawek, a z pierwszego piętra dobiegały dziecinne głosy.

Michael zaprowadził Kate do salonu. Na kanapie siedział mężczyzna bardzo podobny do Michaela – wysoki i ciemnowłosy. Także sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Mój brat Andrew Cooper – przedstawił go Michael.

– Andrew, to jest Kate Linville. Córka Richarda Linville'a. Opowiadałem ci, że ona...

Już na sam dźwięk tych słów Andrew Cooper drgnął. Najwyraźniej czuł do dawnego kochanka matki taką samą niechęć jak jego brat. Opanował się z wyraźnym trudem, wstał i wyciągnął rękę do Kate.

– Tak, wiem. To pani wczoraj... znalazła moją matkę.

– Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało – powiedziała Kate.

– Tak, to jest... – Andrew szukał właściwych słów, nie znalazł jednak takich, które mogłyby wyrazić to, co czuł. – To jest niepojęte – powiedział w końcu. – Po prostu niepojęte. Kiedy wczoraj zadzwonił do mnie brat... To było jak zły sen. To ciągle jest zły sen. Mieszkam tam, na północy, w Szkocji. Moja matka... – Wyraźnie starał się nie stracić panowania nad sobą.

Rozumiała go. Rozumiała go aż nadto dobrze.

– Chciałem ją odwiedzić na Wielkanoc – mówił dalej Andrew. – I byłem na to zbyt wygodny. Teraz myślę... mój Boże, nie mogę już niczego naprawić. Nigdy nie będę mógł już czegokolwiek zrobić.

– Andrew, zdręczanie się nic nie da – powiedział cicho Michael.

– Ostatnio odwiedziłem ją na urodziny – mówił Andrew. – Siódmego

stycznia. Myślałem, że w ten sposób spełniłem swój obowiązek. A przecież wiedziałem, że była samotna. Że tak naprawdę nie miała nikogo, z kim... mogłaby spędzać weekendy. Wieczory. Nasz ojciec zmarł, kiedy byliśmy dziećmi...

Kąciki jego ust drgnęły. Ten człowiek był u kresu wytrzymałości nerwowej i sił. Kate nagle poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna była tak znieczeka tu przychodzić.

– Przyniosę kawę – powiedział Michael. – Andrew, usiądź. I odetchnij głęboko.

Andrew osunął się na kanapę i na chwilę zamknął oczy. Miał niesamowicie bladą twarz bez choćby śladu koloru.

Kate usiadła w fotelu. Michael zniknął w kuchni i za chwilę dobiegło stamtąd dźwięczenie rozkładanych filiżanek i sztućców.

Andrew otworzył oczy. Panował już nad sobą całkowicie.

– A więc to pani jest Kate.

– Tak. I wiem, że pan i pański brat macie wiele żalu do mojego ojca. Ja... dowiedziałam się o wszystkim dopiero wczoraj. To znaczy o związku mojego ojca i pana matki. Nie miałam o tym najmniejszego pojęcia. I jestem zszokowana. Myślałam... Zawsze byłam pewna, że małżeństwo moich rodziców było bardzo szczęśliwe.

Andrew przyglądał jej się uważnie. Wydało jej się, że dostrzegła w jego oczach coś jakby cień współczucia.

– Tak, to musi być dla pani trudne. To prawda, mamy złe zdanie o pani ojcu, Mrs Linville. On zawsze obiecywał naszej matce, że opuści żonę i będzie tylko z nią. Ale ostatecznie nie zrobił tego kroku. Nasza matka bardzo cierpiała z tego powodu.

– Moja matka była bardzo chora. Wydawało się wtedy, że pokonała raka, ale prawdopodobnie ojciec był co do tego sceptyczny. Przypuszczam, że to był powód, dla którego on... ostatecznie z nią został.

„Biedna mummy – pomyślała z nagłym bólem. – Moja biedna mummy, nie chciałabyś, aby on był z tobą z tego powodu. Nie znosiłaś litości”.

Andrew skinął głową.

– Wiem. Tak też to uzasadnił, zgodnie z tym co mówiła moja matka. Mimo to... Nie powinien był do tego dopuścić. Nasza matka stała się zupełnie innym człowiekiem. Nigdy nie potrafiła się z tym uporać.

Tyle cierpienia. Richard był sprawcą takiego ogromu cierpienia.

Co on jeszcze zrobił? Co zrobili on i Melissa, że ktoś nienawidził ich aż tak bardzo? I to przez całe lata, kiedy ich związek dawno się skończył.

Ta myśl przypominała jej o tym, czego chciała się dowiedzieć.

– Czy wie pan, kiedy dokładnie zaczął się ten związek? I kiedy się zakończył? I czy rzeczywiście się zakończył? To znaczy, czy oni oboje nie

utrzymywali żadnych kontaktów?

Andrew zastanawiał się przez chwilę.

– Zgodnie z tym co pamiętam, wszystko zaczęło się jesienią 1998 roku. Latem skończyłem szkołę i zapisałem się na uniwersytet. Mojego brata nie było w domu już dwa lata. Richard i moja matka poznali się przy okazji pewnego napadu na halę z automatami do gry w Scarborough, którego świadkiem była matka. Richard przesłuchiwał ją w tym charakterze. – Roześmiał się gorzko, z wyraźnym udręczeniem. – Tak banalnie mogą się czasem zacząć historie miłosne.

Kate zmarszczyła czoło.

– Napad rabunkowy? Wie pan coś więcej na ten temat?

Andrew wzruszył ramionami.

– Nie. Było to krótko przed początkiem moich studiów, dorabiałem wtedy w meblowej firmie spedycyjnej w Liverpoolu i nie mieszkałem w domu. A poza tym minęło już sporo czasu.

Kate zrobiła w pamięci notatkę. Napad rabunkowy, Scarborough, 1998. Koniecznie sprawdzić.

– No i wszystko trwało aż do roku... myślę, że do 2002 – mówił dalej Andrew. – A potem rozstali się definitywnie, tego jestem pewien. Matka często o nim mówiła i była zrozpaczona, że Richard się nie odzywa, że nie daje znaku życia nawet na Gwiazdkę i na jej urodziny. To było tak, jak gdyby kompletnie wymazał ją ze swego życia, jak gdyby jej nigdy nie było. Tego nie mogła zrozumieć. I musiało to być dla niej naprawdę trudne.

Ale Kate wiedziała, jak konsekwentny był Richard, jeśli już podjął jakąś decyzję. Nie uznawał żadnych półśrodków. To, co mówił Andrew, odpowiadało obrazowi jej ojca.

– Czy pana matka wymieniła kiedykolwiek nazwisko Denisa Shove’a? – spytała Kate akurat w chwili, w której Michael wszedł do salonu, niosąc tacę z kawą i filiżankami.

– Ten policjant też mnie wczoraj o to spytał – odpowiedział zamiast brata. – Ten nadinspektor... Taki chyba miał stopień...

– Nadinspektor Caleb Hale – potwierdziła Kate.

– Właśnie. On, nawiasem mówiąc, też tu zaraz przyjedzie. Dzwonił już w tej sprawie.

Tego tylko brakowało. Caleb Hale był ostatnim człowiekiem, którego chciała spotkać Kate. Musiała się pośpieszyć i wyjść stąd, zanim on się tu zjawi.

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska – odpowiedział Andrew. – Denis Shove. A ty? – Spojrzał na brata.

Michael rozstawił filiżanki i nalał do nich kawy, po czym potrząsnął przecząco głową.

– Nie, nigdy. Ale dziś w gazecie ukazało się jego zdjęcie. Policja go ściga.

Czy jest podejrzany i ma coś wspólnego ze śmiercią naszej matki?

– Jest podejrzany w wysokim stopniu o to, że coś go łączy ze śmiercią mojego ojca – wyjaśniła Kate. – I miał motyw, aby to zrobić. Niejasne jest jednak, dlaczego miałby zabijać waszą matkę. Mój ojciec tropił Shove’a w 2005 roku, aresztował go i wsadził za kratki. Wówczas ojciec nie był już z waszą matką, nie mówiąc już o tym, że ona chyba nie mogła mieć z tym nic wspólnego. Ojciec zawsze bardzo starannie oddzielał pracę zawodową od życia prywatnego. Z drugiej strony trzeba założyć, że to był ten sam sprawca, na co wskazuje sposób, w jaki popełniono obie zbrodnie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Kate pracuje w Scotland Yardzie – wyjaśnił Michael. – Przypominam sobie, że mum też kilkakrotnie o tym wspomniała.

– Naprawdę? – Andrew spojrział na Kate zaskoczony. Jasne było, że zupełnie inaczej wyobrażał sobie kogoś ze Scotland Yardu. Tę reakcję Kate знаła. Rzadko spotykała kogoś, kto by się spodziewał, że ona jest dobrym śledczym, i do tego w najbardziej prominentnym urzędzie kraju. I może nie było w tym nic dziwnego. Kate sama w to nie wierzyła.

– Tak – odpowiedziała na pytanie Andrew. – I chciałabym konieczne ustalić, kto jest odpowiedzialny za śmierć mojego ojca. I za śmierć waszej matki.

– Wie pani, jest w tym coś dziwnego – odezwał się Michael. – Ale kiedy mum przeczytała w gazecie o śmierci Linville’a, zrobiła się niesłychanie nerwowa. Kilka razy mówiła mi o tym przez telefon. Niestety nabrałem wtedy przyzwyczajenia, że zawsze kiedy ona wymieniała jego imię, natychmiast zmieniałem temat i zbywałem ją jakimiś komunałami. Po prostu nie chciałem o nim rozmawiać. Nie chciałem, aby ona o nim mówiła... I kiedy go zamordowano, to pomyślałem, dobry Boże, ona teraz jest w żałobie po takim... – Urwał i nie dokończył tego, co chciał powiedzieć. Poprzedniego wieczoru był wręcz grubiański, ale teraz zrozumiał, że nie może obarczać Kate odpowiedzialnością za to, co zrobił jej ojciec. – A potem – mówił dalej – zrozumiałem, że ona wcale nie sprawiała wrażenia kogoś, kto jest w żałobie po stracie bliskiej osoby, lecz raczej kogoś, kto się boi. Wówczas tego nie dostrzegalem, bo blokowałem każdą rozmowę na ten temat. A później zaczęła opowiadać o tym... uczuciu, jakimś przeświadczeniu, że jest obserwowana i śledzona. Bała się, że może ją spotkać to samo co Linville’a. A ja traktowałem ją jak starą kobietę, która cierpi na jakieś manie prześladowcze.

– Ja też – dodał cicho Andrew. – Ja przecież też – powtórzył.

– Musi być coś, może jakieś wydarzenie z ich wspólnego czasu – powiedziała Kate. – Coś, co kazało waszej matce przypuszczać, że jest w niebezpieczeństwie. Zakładam, że chciała porozmawiać ze mną właśnie o tym. A ja zjawiłam się za późno. Gdybym...

Nie dokończyła. Nie powinna była mimo wszystko prezentować swojej osoby wobec tych obu mężczyzn jako kogoś niezbyt zdolnego. Ale zrobiła błąd, pozwalając Melissie przesunąć termin spotkania na popołudnie. Caleb miał rację: należało go natychmiast o tym zawiadomić, a on zaraz odwiedziłby Melisę – po prostu dlatego, że mogła złożyć zeznanie w sprawie dochodzenia, które utknęło w martwym punkcie. Przynajmniej byłaby taka możliwość. Caleb nie czekałby godzinami, dając tym samym sprawcy dość czasu, którego ten potrzebował po to, aby zabić kolejną ofiarę.

– Gdzie mieszkała i pracowała wasza matka w tym czasie, kiedy była razem z moim ojcem? – spytała. – Także w Hull?

Andrew potrząsnął przecząco głową.

– My pochodzimy z Whitby. Mieszkaliśmy tam, a mum pracowała w szkole w Newcastle. Dwa razy dziennie półtorej godziny jazdy samochodem, ale nie znalazła nic na miejscu. Czasami była kompletnie wykończona, ale nie pozostawało jej nic innego. Musiała wychować dwoje dzieci. Znacznie później, ponad dziesięć lat temu, przeprowadziła się do Hull. Dostała tam posadę i myślała, że dobrze będzie zacząć wszystko jeszcze raz od nowa. Po tej sprawie z Richardem.

– Ale w efekcie w Hull była całkiem samotna – dodał Michael. – W Whitby miała dwie naprawdę bliskie przyjaciółki, z którymi po przeprowadzce nie za bardzo mogła się spotykać, a w Hull nie udało jej się znaleźć nowych znajomych.

Whitby. Tak czy owak – jakiś punkt zaczepienia.

– Czy mogłabym dostać adresy i nazwiska tych przyjaciółek. Chciałabym...

Przerwał jej dźwięk dzwonka do drzwi. Domyśliła się, kto przyszedł.

– Porozmawiamy o tych adresach przez telefon – powiedziała szybko. Caleb wpadłby we wściekłość, gdyby zastał ją tutaj rozmawiającą z synami ofiary. Wstała pośpiesznie. Michael ruszył w stronę drzwi. I za chwilę usłyszała głos Caleba w przedpokoju.

– Muszę iść – powiedziała do Andrew. Najchętniej spytałaby go, czy nie ma tu tylnego wyjścia, ale w ten sposób skompromitowałyby się. Nie miała wyjścia, musiała minąć Caleba w korytarzu.

Caleb wytrzeszczył oczy ze zdumienia, kiedy ją zobaczył.

– Dzień dobry, Caleb – powiedziała uprzejmie. Tylko nie myśleć o ostatniej nocy. Czują, że jej twarz wprost płonie i że do tego wszystkiego jest czerwona jak burak.

– Przepraszam na chwilę – powiedział Caleb do Michaela, po czym zwrócił się do Kate: – Kate, chciałbym z panią zamienić kilka słów. Usiądźmy w moim samochodzie.

Była zdania, że raczej nie należało się sprzeciwiać. Poszła za nim posłusznie.

Terry wyszła ze swojego pokoju dopiero około dwunastej, co znaczyło, że najwyraźniej spała naprawdę głęboko. W świetle dziennym jej wygląd jeszcze bardziej rzucał się w oczy niż przedtem, w nocy. Przebarwienia i sińce na jej twarzy były niezwykle intensywne, a okolica lewego oka miała odcień głębokiego fioletu. Włosy dziewczyny sterczały we wszystkich kierunkach – wyglądała jak bezradne, skrzywdzone dziecko w wieku najwyżej piętnastu lat, które nie ma pojęcia, co je czeka w najbliższej przyszłości. Stella dała do zrozumienia Jonasowi, że byłoby lepiej, gdyby zostawił ją z Terry samą, co on przyjął z wielką ulgą. A ponieważ wreszcie był ciepły i słoneczny dzień, postanowił pojechać z synem na wybrzeże i poszukać miejsca, gdzie można było budować zamki z piasku i się kąpać. Mieli wrócić wczesnym popołudniem. Stella tymczasem sprzątała dom i traciła humor z każdą upływającą minutą. W poprzednich dniach bez przerwy padał deszcz, a teraz, kiedy wreszcie można było coś zrobić, musiała tutaj siedzieć, wobec tej nieoczekiwanej wizyty i w dodatku konieczności noclegu. Chciała jak najszybciej wyjaśnić Terry, że dziewczyna musi sama zrobić porządek ze swoim życiem i że jej związek z Neilem Courtneyem to wyłącznie jej sprawa. Kiedy więc Terry wreszcie zasiadła naprzeciwko niej z filiżanką kawy, Stella popatrzyła jej twardo w oczy i zapytała:

– Co pani zamierza teraz zrobić, Terry?

Dziewczyna bawiła się filiżanką i unikała spojrzenia Stelli.

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Nie wiem, dokąd mam pójść – wyznała w końcu.

– Powinna pani wrócić do swojego mieszkania w Leeds. To pani mieszkanie. Ma pani prawo się tam zatrzymać, a jeśli Neil będzie pani groził, może pani nawet poprosić policję, aby go stamtąd usunęła. A propos: jak już mówiłam w nocy, ja na pani miejscu i tak złożyłabym doniesienie. Widziała pani siebie samą w lustrze? Została pani ciężko pobita, Terry, i nie powinna pani pozwolić, aby uszło mu to na sucho.

Terry natychmiast była bliska łez.

– Ale ja nie mogę tego zrobić. Nie mogę złożyć doniesienia na Neila. Nie chcę, żeby on się ode mnie wyprowadził. Kocham go.

– Pani się tylko wydaje, że go kocha – poprawiła ją Stella. – A bycie z nim nie wychodzi pani na dobre.

– Nie zna go pani naprawdę. On potrafi być taki dobry i kochany. Naprawdę, nikt jeszcze nie był dla mnie taki czuły.

– Czułość akurat nie jest cechą, którą ktokolwiek przypisałby Neilowi po zobaczeniu pani twarzy – stwierdziła sarkastycznie Stella, po czym wstała i popatrzyła przenikliwie na dziewczynę.

– Dobry Boże, Terry! Nie jestem głupia i wiem, jak skomplikowane są tego

rodzaju historie. Jest pani mocno uwikłana w ten związek i niestety nie jest pani w stanie uniezależnić się od tego człowieka, nawet jeśli on co tydzień będzie panią traktował tak, jak zrobił to teraz. Wydaje się pani, że nie ma pani nikogo oprócz niego, ale...

– Nie wydaje mi się – przerwała Terry. – Tak rzeczywiście jest. Nie mam nikogo. Moja rodzina...

– Rodzina odwróciła się od pani, to prawda. Ale mówiła pani o przyjaciółach, których pani miała, zanim Courtney pojawił się w pani życiu. Z którymi zerwała pani kontakty, bo on tak chciał. Proszę wreszcie zrozumieć, że przekonanie, jakoby miała pani tylko jego na świecie, jest pani wymysłem, to nie jest jakieś zrządzenie losu. To Courtney zmusił panią, aby myślała pani w ten sposób, bo chce mieć władzę nad panią. To perfidne i podłe. Taki człowiek nie dąży do szczęścia.

– Moi przyjaciele byli raczej tylko znajomymi. Nie miałam nikogo, kto mnie kochał. Kogo ja mogłabym kochać. Gdybym wówczas zatrzymała Sammy'ego...

Stella poczuła, jak czubki jej palców nagle lodowacieją, czemu towarzyszył ostry skurcz żołądka. Najchętniej powiedziałyby kilka słów w rodzaju: *ręce precz od Sammy'ego, pozwalasz sobie na zbyt wiele!*

– Była pani na to za młoda. I miała pani słuszne podstawy ku temu, aby oddać go do adopcji. I uczciwie mówiąc, dla Sammy'ego tak też jest lepiej. Przynajmniej nie wpadnie w szpony takiego ojczyma jak Neil Courtney.

Terry zbladła, a Stella uświadomiła sobie, że użyła zbyt ostrych słów. Opanowała się szybko.

– Przepraszam. To było zbyt bezpośrednie.

– Już dobrze – wymamrotała Terry. Ciągle bawiła się filizanką, nie pijąc kawy. Wreszcie podniosła głowę i po raz pierwszy tego dnia spojrzała Stelli prosto w twarz.

– Czy mogę tu zostać jakiś czas? Proszę. Jesteście jedynymi ludźmi, których mam.

My nimi nie jesteśmy. To pomyłka.

Skurcze w brzuchu Stelli były coraz silniejsze.

– To niemożliwe, Terry.

– Dlaczego nie? Jakoś... W jakiś sposób jesteśmy rodziną. Z powodu Sammy'ego.

– Nie jesteśmy, Terry. Adoptowaliśmy Sammy'ego, ale nie panią. W normalnych okolicznościach nawet byśmy się nie poznali.

I tak byłoby doprawdy lepiej.

– Ale jednak się znamy! – W oczach Terry znów pojawiły się łzy. Była o krok od rozpaczliwego płaczu. – I już wtedy czułam, że coś mnie do was ciągnie. Jakbym zawsze was znała. I jak gdybyśmy mogli zostać przyjaciółmi.

Jeśli o nas chodzi, wygląda to zupełnie inaczej.

– Proszę, Stello. Dokąd mam iść?

– Terry, my nie jesteśmy rozwiązaniem pani problemu z Neilem. Nie może pani spędzić reszty życia z nami tylko dlatego, że nie ma pani odwagi wrócić do swojego mieszkania!

– Ale mogę tu zostać, jak długo wy tu jesteście?

– Co pani poprzez to zyska?

– Trochę czasu.

Stella miała przed oczami pozostałe dni ich wakacji tu, na farmie, razem z Terry i niemal poczuła mdłości. Ta młoda kobieta licząca dwadzieścia jeden lat, o mentalności trzynastolatki, okaże się szybko dzieckiem o wiele trudniejszym niż Sammy. Było oczywiste, że Terry potrzebowała pomocy, ale...

Nie jesteśmy za to odpowiedzialni. I do cholery, nie pozwolę, aby ktokolwiek zmusił mnie do wzięcia na siebie takiej odpowiedzialności. Bo ostatecznie będzie jeszcze chciała pojechać z nami do Kingston. W końcu jest bezrobotna i nie ma żadnej pracy czy też czegokolwiek, co trzymałoby ją w Leeds. Bo przecież wszystko jedno, gdzie poszuka sobie następnej pracy jako kelnerka.

Sama myśl o tym, że Terry chciałyby na bliżej nieokreślony czas zamieszkać w ich pokoju gościnnym w Kingston z zamiarem zostania czwartym członkiem rodziny, przesądziła o wszystkim. Teraz Stella postanowiła ostatecznie zakończyć tę historię. Był już najwyższy czas.

– Nie, Terry. Przykro mi, ale nie zgadzam się na to. To są nasze wakacje. Jonas wykonuje bardzo wyczerpujący zawód i nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu. A ten pobyt tutaj jest dla nas bardzo ważny i chcemy spędzić ze sobą trochę czasu.

W odpowiedzi Terry zaczęła płakać.

– Ale ja nie mam odwagi wracać!

– To proszę iść na policję.

– Nie chcę stracić Neila!

Stella miała ochotę zacząć wyrywać sobie włosy z głowy, ale się opanowała. Jej fryzura tego dnia i tak wyglądała okropnie.

– Drepczemy w miejscu – powiedziała wyczerpana.

Umilkły obie.

Terry szlochała, wycierając sobie twarz serwetką.

Przed dom podjechał jakiś samochód.

To nie mogli być Jonas i Sammy. Stella zrozumiała natychmiast, kto przyjechał.

– Cholera – zaklęła. Jedno spojrzenie z okna potwierdziło jej najgorsze obawy.

To był Neil Courtney.

Pierwszym, co poczuła, była ostra woń potu i jeszcze czegoś. Jak gdyby nie mył się od wielu dni ani też nie zmieniał odzieży. Pamiętała go z ostatniego i jedyne go spotkania w Kingston jako mężczyznę nieco nonszalanckiego, ale jednak zadbanego, który robił wrażenie kogoś, kto przywiązuje wagę do swojego wyglądu i nie zdaje się w tym względzie na przypadek. Teraz Neil najwyraźniej zmienił się zupełnie. Ale może przyczyną był gorący dzień w połączeniu z kłótnią ostatniej nocy. Neil przypuszczalnie wcale nie spał i zapomniał chyba także o prysznicu. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, ale nie mniej pewnego siebie i bezczelnego niż zwykle.

Stella wyszła na zewnątrz, a Terry została w kuchni.

– Dzień dobry, Neil – powiedziała chłodno.

W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko i rzekł:

– Halo, Stella.

– Słyszałam, że poświęcił pan sporo czasu i energii na to, aby ustalić miejsce naszego pobytu. Uważam to za co najmniej dziwne.

– Tak, pomyślałem sobie, że można by się znów spotkać. Miło było poznać was w Kingston. I myślę, że to uzasadnione, gdyby Terry chciała od czasu do czasu zobaczyć syna.

– O tym, czy takie odwiedziny będą miały miejsce, my będziemy decydować, Neil. Tu chodzi wyłącznie o Sammy’ego. A nie o Terry, a już na pewno nie o pana.

Znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie tak agresywnie. Nikt nie chce pani zabrać małego.

Starła się zachować spokój i opanowanie.

– To raczej nie byłoby możliwe.

Wreszcie przestał się uśmiechać i wskazał ręką na samochód Terry zaparkowany na podwórzu.

– Terry jest u pani, jak widzę. Tak jak myślałem.

– Przyjechała dzisiaj w nocy. I niezbyt szczególnie wyglądała.

– Niestety. Doszło do eskalacji pewnej dyskusji między nami.

– Poradziłam jej, aby zgłosiła pobicie na policji.

– Naprawdę? Ma pani ostry język, Stello, prawda? Od razu bojowy nastrój. A można takie sprawy rozwiązać inaczej.

– Obawiam się właśnie, że Terry chciałaby je rozwiązać inaczej – odpowiedziała Stella. – I raczej nie pójdzie na policję.

– Mądra decyzja. Ona wie, że należymy do siebie. Nawet jeśli czasami drzemy koty.

– Tak czy owak, wyjaśnijcie sobie wszystko, kłóćcie się albo i nie, ale bardzo proszę, nie tutaj. Róbcie, co chcecie. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Neil obronnym gestem podniósł obie ręce.

– Nie mówiłem jej, żeby tutaj jechała. Ale Terry nikogo nie ma. Dlatego ja jestem dla niej taki ważny.

– Zgodnie z tym co słyszałam, przyczynił się pan bardzo wydatnie do jej izolacji.

– Staralem się tylko chronić ją przed kilkoma fałszywymi przyjaciółmi. Uważałem to za swój obowiązek.

Oboje popatrzyli na siebie przez chwilę.

„On wie, że nie wierzę w ani jedno słowo z jego głupiej gadaniny, ale jest mu wszystko jedno” – pomyślała Stella.

Znów uświadomiła sobie położenie tej farmy, jej całkowite odcięcie od świata i własną samotność. W tej chwili oprócz niej i Terry nie było tu nikogo. Gdyby zrobiło się gorąco, nie mogłaby zadzwonić po pomoc, bo Neil raczej nie patrzyłby spokojnie, jak ona biegnie na wzgórze, aby złapać zasięg. Poczula, że na czoło wystąpił jej pot, i miała nadzieję, że nie było tego widać. Słońce wprost paliło, a powietrze nad rozciągającymi się wokół torfowiskami było wilgotne. Pachniało mokrą ziemią i trawą. Wiatr, który nocą i rankiem rozpędził chmury, teraz ucichł zupełnie. Stella marzyła o odrobinie świeżego powiewu, który ochłodziłby jej policzki i rozwiał stęchłe bagienne powietrze. „Wynoś się teraz – pomyślała. – Zabierz swoją Terry, znikaj i nigdy już nie pokazujcie się nam na oczy”.

Neil się uśmiechnął, a ona pomyślała, że odgaduje jej myśli i że sprawia mu to szyderczą radość, ale potem dostrzegła, że on patrzy ponad jej ramionami w jakiś punkt za nią. Odwróciła się. W drzwiach stała Terry i także się uśmiechała. Widać było, że każdy grymas twarzy sprawia jej ból, ale mimo to jej pełne nadziei oczy aż błyszczały z radości.

– Neil! – powiedziała.

– Halo, słodziutka – odrzekł.

Stella w tej chwili zaczęła rozumieć przemożny wpływ, jaki Neil miał na dziewczynę. Oczywiście tylko ktoś bardzo naiwny mógł się nabrać na takie przedstawienie, choć co prawda nie można było odmówić mu perfekcji. Bo Neilowi rzeczywiście udał się ciepły i pełen tkliwości uśmiech, a poza tym patrzył na dziewczynę w taki sposób, że mogła uwierzyć w szczerść jego uczuć. I kiedy podszedł kilka kroków i wyciągnął ramiona, Terry natychmiast podbiegła, przytuliła się do niego i ukryła twarz na jego piersi.

– Przykro mi, kochanie – wyszeptał.

Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Już dobrze – odpowiedziała.

Ostrożnie dotknął jej opuchniętego, otoczonego liliowym siniakiem oka i pogłaskał ją po twarzy. Terry wpatrywała się w niego z całkowitym oddaniem.

Stella z trudem opanowała westchnienie. Pstryknięcie palcami. Wystarczyło,

że ten typ pstryknał palcami, a Terry znów była gotowa jeść mu z ręki. Było jasne, że dziewczyna ani nie pójdzie na policję, ani też się z nim nie rozstanie. Sposób, w jaki patrzyła na Neila, pozwalał przypuszczać, że będzie nawet gotowa skoczyć w dół z najbliższej wieży kościelnej, jeśli tylko on tego zażąda. Stella czytała wprawdzie o bezwarunkowym posłuszeństwie, o całkowitej uległości, ale po raz pierwszy widziała coś takiego w rzeczywistości. Tym bardziej więc chciała, aby oni oboje zniknęli jak najszybciej i nigdy nie pokazywali się jej na oczy. Nie znosiła Neila, ale zachowanie Terry napełniało ją wstrętem. Przerząła ją myśl, że ci dwoje mogliby pojawić się kiedykolwiek, choćby na krótko, w jej życiu.

– A więc – powiedziała – kiedy już wszystko zakończyło się tak pięknym happy endem, możecie wracać do Leeds. Czy to nie jest dobry pomysł?

Terry dopiero teraz zauważyła czerwonego forda, którym przyjechał Neil.

– Skąd masz ten samochód? – spytała zaskoczona.

– Pożyczyłem od kumpla. Bez samochodu nie można przecież dojechać na to pustkowie.

– Chciałeś więc koniecznie zabrać mnie stąd do domu – stwierdziła ucieszona.

Pogładził ją po włosach.

– Oczywiście.

Stella wymownie przewróciła oczami.

Neil się rozejrzył.

– A gdzie jest Jonas? I Sammy? – spytał.

– Nad morzem – odpowiedziała Terry. – Pojechali nad morze, a Stella została ze mną.

– To rzeczywiście znakomity dzień na wycieczkę. Szczerze mówiąc, nie mam specjalnej ochoty spędzać go w naszym ciasnym i dusznym mieszkaniu. Może byśmy poszli trochę pospacerować po tym raj?u?

Stella nie do końca podzielała jego zachwyt wobec jednostajnego krajobrazu torfowisk.

– Są tutaj naprawdę ładniejsze miejsca. Dlaczego nie pojedziecie nad morze?

Gdzie właśnie teraz spędzałabym czas razem z moją rodziną, gdybyście potrafili uporać się sami ze swoimi problemami.

– Ja uważam, że tu jest pięknie – oświadczył Neil. – Ty też, prawda, Terry?

– Przepięknie – przytaknęła natychmiast Terry. Gdyby Neil zaproponował jej przechadzkę po napromieniowanej okolicy Fukushima, też pewnie byłaby zachwycona. Stella poczuła lekki niepokój na myśl o kodzie genetycznym Sammy'ego.

„Oby dobry Bóg sprawił, że on dostał więcej szarych komórek niż ta kobieta” – pomyślała.

– Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że zostawimy tu swoje

samochody? – spytał Neil. – Ma nas pani z głowy, Stello, niechże pani korzysta z tego dnia tak, jak pani lubi. Pójdziemy teraz na piękną długą wycieczkę i potem pojedziemy do Leeds. A poza tym dziękuję, że się pani zajęła Terry.

– Tak, dziękuję bardzo – dodała Terry. – Już wtedy wiedziałam, że jest pani wspaniałym człowiekiem!

Stella uśmiechnęła się z przymusem. Chciałaby, aby owego „wtedy” nigdy nie było. Ale wówczas nie byłoby dziś z nimi Sammy’ego, a tego Stella nie mogła sobie już wyobrazić. W tej chwili nie miała pojęcia, jak ma sobie poradzić z tak sprzecznymi uczuciami.

Siedzieli w samochodzie Caleba, a Kate nie wiedziała, czy jest miejsce, od którego chciałaby być równie daleko jak teraz od tego. Ale nie pamiętała też, czy jest człowiek, wobec którego zachowałaby się tak niemożliwie jak ubiegłej nocy wobec Caleba. Od wczorajszego dnia miała wrażenie, że w minutowych odstępach brnie z jednego koszmaru w drugi: najpierw znalazła zmasakrowaną Melissę, za chwilę dowiedziała się, że była ona dawną kochanką jej ojca, a potem wlewała w siebie whisky i wreszcie próbowała zaciągnąć do łóżka Caleba Hale’a. I o ile sobie przypominała, wytknęła mu też jego problem z alkoholem.

– Prawdopodobnie nie muszę pytać, co pani tu dziś robi – powiedział Caleb. – Tutaj, u synów ofiary morderstwa.

– Ofiara morderstwa była kochanką mojego ojca. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej historii – odparła.

– W ten sposób wtrąca się pani w prowadzone przez nas dochodzenie. I proszę nie udawać, że to nie to samo! – Caleb sprawiał wrażenie naprawdę wściekłego. – Nasi ludzie odwiedzili dziś rano Mr Acklama, sąsiada Melissy Cooper. I on był bardzo zdenerwowany, ponieważ dowiedział się, że śledztwo prowadzi Scotland Yard – a ta informacja z kolei bardzo zdziwiła moich kolegów. Zwłaszcza że tego samego dowiedzieli się od dozorczy szkoły, który dziś rano także został przesłuchany. Pokazała pani swoją legitymację służbową i dzięki temu otworzyła pani sobie drzwi, a to jest absolutnie niedopuszczalne, Kate!

Czuła jeszcze szum w głowie po wczorajszym pijaństwie i jego głos wydał jej się zimny i przenikliwy. W końcu odważyła się spojrzeć na niego – w jego oczach nie było śladu sympatii i życzliwości, którą jej dotychczas okazywał.

– Jestem bliski tego, aby złożyć na panią zażalenie do pani przełożonych! – oświadczył Caleb. – Czy dobrze mnie pani zrozumiała?

Skinęła głową, po czym dodała:

– Tak.

Sprawiał wrażenie nieco udobruchanego.

– Rozumiem doskonale, że chce się pani dowiedzieć, kto zamordował pani ojca. I że ta historia z Melissą podsunęła pani wiele dalszych, wstrząsających pytań. Ale rozwiązanie tej sprawy to nasze zadanie, moich ludzi i moje. A pani

i tak ma dość problemów ze sobą i własnym życiem.

Poczuła, że jej policzki w jednej chwili stały się gorące. Czy on robił aluzję do wczorajszej nocy? I do jej niemożliwego zachowania?

– Powinna pani jak najszybciej wrócić do Londynu – mówił dalej Caleb. – To tylko rada, ale z pewnością zarówno rozmyślanie, jak i pobyt w tym opuszczonym domu nie są dla pani korzystne. Ja też bym tego nie wytrzymał. Nikt by tego nie zniósł. Musi pani wrócić do swojej codzienności. Do swego normalnego życia.

Wiedziała, że on nie był właściwym partnerem do rozmowy na temat jej życiowych problemów, a już zwłaszcza teraz, a jednak wyrwało jej się tych kilka słów.

– Ja nie mam własnego życia. To właśnie jest najgorsze.

Dostrzegła, że Caleb zerknął na zegarek i potem spojrzał na dom Michaela Coopera. Czekąco go mnóstwo spraw i bardzo ciężki dzień pracy i trudno było oczekiwać, że znajdzie chwilę, aby dyskutować z nią na temat jej życiowych problemów. Mimo to powiedział:

– Ależ oczywiście, że ma pani własne życie. To prawda, stało się coś okropnego, ale pani życie płynie dalej, czy pani tego chce czy nie. Zauważyłem, że jest pani bardzo samotna. Powinna pani spróbować to zmienić. Przypuszczalnie czułaby się pani wtedy o wiele lepiej.

– Aha. Dziękuję. Od wielu lat próbuję to zmienić. Niestety, nie udaje mi się.

– Może tak naprawdę wcale nie próbuje pani tego zmienić – stwierdził Caleb. – I może tylko krzywdzi pani samą siebie.

Spojrzała na niego zszokowana i zdumiona. Ton jego głosu był całkowicie neutralny, wcale nie szorstki czy niesympatyczny, ale mimo to wydawało jej się, że jeszcze nigdy nie rozmawiał z nią tak otwarcie i okrutnie.

– Ja krzywdzę samą siebie?

– Sądzę, że drepcze pani w kółko, poruszając się w kręgu kolejnych sprzeczności swojego życia. Jak gdyby na całym świecie nie było innego i większego nieszczęścia niż to, którego doznaje pani. Ale, Kate, wie pani przecież, co się dzieje dookoła. Nawet teraz, kiedy tu siedzimy, zdarza się wiele okropnych rzeczy. Ludzie dowiadują o śmiertelnej diagnozie. Tracą swoich partnerów. Załamują się podstawy ich egzystencji ekonomicznej, nieraz tak gwałtownie, że nie wiedzą, co będzie dalej. Każdy zmaga się z losem, a dla niektórych kolejny dzień jest jedynie trudnym wyzwaniem, bo tak skomplikowały się okoliczności życiowe. Czasami wcale nie trzeba daleko chodzić, aby spotkać kogoś, czyj los zupełnie nie jest wesoły. Choćby śledcza Scapin, która od chwili swojego rozvodu jest zupełnie sama z... – Urwał nagle. Uświadomił sobie, że nie jest pewien, czy temat jego współpracownicy Jane Scapin był w tej chwili na miejscu. Ale Kate domyśliła się, co chciał powiedzieć. Choć ostatniej nocy była jak ogłuszona, to pamiętała, że

Jane wspomniała o tym, że musi koniecznie wracać do domu „z powodu Dylana”. Zapewne był to jej syn. Z którego ojcem była rozwiedziona. Śledcza Jane Scapin należała więc do wielu samotnych matek, które wprawdzie znakomicie radziły sobie z życiem swoim i dziecka, ale dla których każdy dzień oznaczał coś w rodzaju mentalnego szpagatu, bo właściwie musiały być jednocześnie w dwóch miejscach. Jeśli tak było, to życie Jane rzeczywiście nie należało do łatwych.

Ale przynajmniej nie była sama.

Kate doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego Caleb nie chciał się zagłębiać w ten temat, i odpowiedziała:

– Tak, rozumiem.

Wydawało jej się, że on chciał jeszcze coś dodać, ale zamiast tego otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

– To tyle. Muszę teraz porozmawiać z braćmi Cooperami. I muszę wyjaśnić dwa okrutne morderstwa, Kate, i obiecuję pani, że to zrobię.

„Cokolwiek ja zrobię teraz w tej sprawie – pomyślała Kate – muszę być bardzo ostrożna. Jeśli jeszcze raz wejdę mu w drogę, mogę mieć poważne problemy”. Zażalenie złożone do jej przełożonych było akurat tym, czego zupełnie nie potrzebowała w swojej niezbyt udanej karierze. O ile w ogóle w takim wypadku można by mówić o jakiegokolwiek karierze. Kate w gruncie rzeczy nie wiedziała nawet, jak ma w ogóle wyglądać dalej całe jej życie.

– Ach, Kate, jeszcze jedno. – Caleb zawahał się i po chwili spytał: – Skąd pani o tym wiedziała? To znaczy o moim problemie z alkoholem? I o kuracji odwykowej. Kto pani o tym powiedział?

– Przepraszam, że o tym wspomniałam – wymamrotała Kate z zakłopotaniem.

– Już dobrze, w porządku. Chciałbym tylko wiedzieć, skąd pani ma tę informację.

Zdziwiła się, że dorosły mężczyzna z takim doświadczeniem życiowym i takimi kwalifikacjami zawodowymi może być tak naiwny.

– Mój szef ze Scotland Yardu powiedział mi o tym. Często tam mówiono o dochodzeniu w sprawie morderstwa mojego ojca. I wszyscy wiedzieli, że prowadzący śledztwo... no, wszyscy o tym wiedzieli.

– A więc jednak sprawa wyszła na jaw – powiedział Caleb z rezygnacją. – To było głupie z mojej strony myśleć, że takie rzeczy da się zataić. Okay, a więc wie pani o wszystkim. Ale mam to już za sobą. I nic nie przeszkadza mi w pracy.

Miała ochotę spytać, jakie były powody jego problemów z alkoholem. I czy trudno było to pokonać. Ale nie odważyła się. I tak nie był to dobry moment na taką rozmowę. A poza tym czuła też, że coś się zmieniło: z początku rzeczywiście panowała między nimi pewna zażyłość. Przypomniała sobie tę niedzielę w maju, kiedy oboje wynosili z szopy ogrodowe meble jej ojca, potem jedli razem na tarasie

i rozmawiali. W jakiś dziwny, intuicyjny sposób zrozumiała, że taka sytuacja była już nie do pomyślenia. On już nigdy nie wpadnie do niej z curry w obawie, że może być głodna albo dlatego, że w ogóle przeżywa trudne chwile. Caleb będzie teraz za wszelką cenę unikał spotkań osobistych. I może rzeczywiście będzie miał nadzieję, że ona szybko wróci do Londynu i nie wejdzie mu w paradę ani na płaszczyźnie zawodowej, ani też jakiegokolwiek innej. Była zdziwiona, jak bardzo zasmuciło ją uświadomienie sobie tego.

8

Stella próbowała znaleźć sobie jakieś zajęcie, ale była tak zdenerwowana i rozkojarzona, że nic nie mogło odwrócić jej uwagi od ostatnich wydarzeń. Zdjęła jednak pościel z łóżka Terry, zabrała ręcznik, po czym włożyła wszystko do pralki – odczuła dzięki temu jakiś względny spokój, bo było to coś w rodzaju definitywnego zakończenia całej historii. I oznaczało, że nie będzie już ani jednej takiej nocy.

Odkurzyła salon i wytarła podłogę w kuchni. Wbiła do miseczki cztery jajka, zmieszała je z mąką, masłem, dodała kakao i zaczęła robić ciasto czekoladowe. Jonas i Sammy się ucieszą. Uwielbiali jej wypieki. A poza tym była to czynność, która zawsze ją uspokajała. Stella przy pieczeniu zawsze miała uczucie odnajdywania jakiejś własnej, wewnętrznej ciszy. Jednak tym razem jakoś jej się to nie udawało i cały czas prześladował ją dziwny niepokój. Co chwila podchodziła do okna i wyglądała przez nie w nadziei, że samochody Terry i Neila już znikły, choć zdawała sobie sprawę, że słyszałaby, jak odjeżdżają. Ale może jednak... kiedy była w pralni... albo kiedy hałasował jej blender... Neil powiedział przecież, że po powrocie ze spaceru po prostu pojedą do domu. „Ma pani nas z głowy, Stello”. Ale samochody ciągle stały na podwórzu i nigdzie nie było widać obojga młodych ludzi. Gdzie oni mogli być tak długo? Oczywiście po torfowiskach można się było włóczyć całymi dniami. Ale w tej chwili zrobił się niemożliwy wręcz upał, było duszno i Stella nie za bardzo mogła sobie wyobrazić wielogodzinną wędrówkę po bezdrzewnej wyżynie. Terry w dodatku była przecież ciężko pobita i fizycznie mogło to być dla niej zbyt duże wyzwanie. Ale z drugiej strony była gotowa zrobić wszystko, czego zażąda od niej Neil, nawet jeśli miałyby paść ze zmęczenia. Irytujące było jednak to, że tego rodzaju forma aktywności nie za bardzo pasowała do Neila. Stella nigdy w życiu by nie powiedziała, że jest on miłośnikiem przyrody, któremu odpowiadają spacerunki przez jakieś opustoszałe okolice i obserwowanie ptaków czy owiec. Gdzieś w jej podświadomości tkwiło podejrzenie, że to wszystko jest jedynie czymś w rodzaju gry na zwłokę. Jak długo samochody stały na podwórzu, Neil praktycznie miał jedną nogę za progiem domu.

Późnym popołudniem wrócili Jonas i Sammy, obaj zmęczeni, ale w doskonałych humorach po wielogodzinnym budowaniu zamków, pływaniu

i graniu we frisbee.

– Znaleźliśmy przepiękną zatokę – powiedział Jonas, kiedy tylko wszedł do kuchni. – Musisz koniecznie pojechać tam z nami jutro, jeśli pogoda będzie taka piękna jak dziś.

Postawił na stole dwie pełne torby.

– Kupiliśmy też parę fajnych rzeczy. Dziś wieczorem ja gotuję kolację – dodał.

– Doskonały pomysł – odparła Stella. Wyciągnęła właśnie ciasto z pieca i postawiła je na stole, aby wystygło. W kuchni po przyjeździe Jonasa i Sammy’ego pachniało morzem, piaskiem, wiatrem i olejkiem do opalania, a teraz wszystko zmieszało się z intensywnym zapachem czekolady. I po raz pierwszy w czasie swego pobytu tutaj Stella poczuła, że jest wreszcie na wakacjach – było tak jak za czasów jej dzieciństwa, kiedy każde lato spędzała nad morzem i każde było słoneczne i upalne. Przynajmniej takie je zapamiętała. Brakowało jedynie owego uczucia lekkości – tylko dlatego, że na dworze ciągle jeszcze stały te dwa samochody.

Jonas wskazał ruchem głowy okno.

– Terry jeszcze jest. A czyj jest ten drugi samochód?

– A jak myślisz, czyj? Oczywiście pojawił się tu także Neil. Terry w mgnieniu oka stopniała jak wosk i wszystko mu natychmiast przebaczyła.

– A gdzie oni teraz są?

– Postanowili udać się na spacer po torfowiskach. Ale od tej chwili minęło już wiele godzin.

– Dobry Boże, na dworze jest naprawdę duszno i parno. Nad wodą jeszcze da się wytrzymać, ale tutaj upał jest wręcz nieznośny. Komu chciałoby się wędrować w tych warunkach?

– Ja czuję się wręcz nieswojo, przede wszystkim dlatego, że stoją tu te samochody. Z tego powodu właśnie nie mam poczucia, że pozbyliśmy się tej parki. Choć Neil co prawda obiecał, że nie będą nam się już naprzykrzać i po powrocie natychmiast odjadą.

– Miejmy więc nadzieję, że dotrzymają obietnicy – wymamrotał Jonas z wyraźnym niezadowoleniem. Przeczesał ręką włosy, z których wysypała się garść delikatnego piasku. – Idę szybko pod prysznic. Wyciągniesz to jedzenie z toreb?

Skinęła głową. Jonas zniknął w łazience, a w kuchni pojawił się Sammy i zerknął łapczywie na czekoladowe ciasto. Stella wyjęła z toreb zakupy, poukładała je starannie w lodówce. Taki miły, cudowny dzień. To idiotyczne, że jej serce biło tak niespokojnie i szybko. Szybciej niż zwykle. Prawdopodobnie jej nerwowość była po prostu dziecinna.

W drugiej torbie znalazła też regionalną gazetę codzienną. Jonas kupił ją, zapewne nie mogąc się temu oprzeć, co było wyraźnym naruszeniem poprzednich

ustaleń. Na indeksie w czasie tych kilku tygodni znajdowały się także gazety, nie tylko audycje z wiadomościami. Stella zastanawiała się przez chwilę, po czym postanowiła być skrupulatna. Jonas rzeczywiście czuł się lepiej, był spokojniejszy, zrównoważony i wyraźnie odprężony. Nie sprawiał wrażenia kłębka nerwów, jak w czasie ostatnich miesięcy. Przesypiał noce, nie budząc się, co zdaniem Stelli graniczyło wręcz z cudem. Należało zatem unikać wszelkiego ryzyka.

Wręczyła więc gazetę Sammy'emu, mówiąc:

– Masz, weź to. Możesz jej używać jako podkładki do malowania. Albo zobacz, czy da się coś z niej wyciąć. Ale weź ją do swojego pokoju.

Chłopiec skinął głową i pobiegł do siebie. Stella sprzątnęła kuchnię i znów wyjrzała przez okno w nadziei, że samochodów już nie ma. Jednak było tak jak przedtem.

Obok w łazience szumiał prysznic.

Szybkie kroki na korytarzu i do kuchni wbiegł Sammy, wymachując gazetą. Chłopiec był bardzo podekscytowany.

– Mummy! Mummy, popatrz tylko! – zawołał, rzucając gazetę na stół i wymachując rękami. – Ten pan jest w gazecie!

– Jaki pan?

– Ten, który nas odwiedził. Neil! On się nazywa Neil!

– Neil jest w gazecie? – Stella podeszła do stołu. Sammy wskazywał na otwartą stronę. Fotografia mężczyzny zajmowała niemal jedną czwartą jej część. Stella rozpoznała Neila natychmiast, choć na zdjęciu nie wyglądał tak jak dziś – niechlujny, zaniedbany, z długimi włosami i źle ogolony. Ale bez wątplenia był to Neil.

– Dlaczego on tu...? – Przeczytała znajdujący się pod fotografią podpis: „Denis Shove”.

– Denis Shove? – powiedziała głośno.

– Ale to przecież jest Neil! – upierał się Sammy.

– Tak, to on. – W jednej chwili poczuła nieprzyjemną suchość w ustach, serce zaczęło bić jeszcze szybciej, a w uszach pojawił się jakiś śmieszny szum.

Czytała dalej: *Policja w Yorkshire poszukuje trzydziestodwuletniego Denisa Shove'a, który odbył ośmioletnią karę pozbawienia wolności po ciężkim zranieniu w afekcie swojej partnerki Angeli H. Angela H. zmarła później w wyniku odniesionych ran. Shove został zwolniony warunkowo w sierpniu 2013 roku i zniknął w lutym 2014 roku. Jest podejrzany o udział w morderstwie byłego policjanta w Scalby. Shove jest przestępcą bardzo niebezpiecznym i skłonny do przemocy. Wskazówki na temat miejsca jego pobytu należy przekazywać każdej komendzie policji lub pod numer...*

Stella wpatrywała się w gazetę i przez sekundę nie była w stanie się poruszyć. A jednocześnie w jej głowie niemal dudniło pytanie: Co ja teraz zrobię?

Co ja teraz zrobię?

Obok w łazience przestała już szumieć woda.

Thum myśli przelatywał przez głowę Stelli. W przeciwieństwie do ciała, które zastygło w osobliwym bezruchu, jej mózg pracował intensywnie na zwiększonych obrotach.

On jest mordercą. Możliwe, że seryjnym mordercą.

Dziś w gazecie pojawiło się jego zdjęcie. Przypuszczalnie nie tylko w tej, ale w wielu gazetach. Ziemia pali mu się pod stopami. Nie może siedzieć w mieszkaniu Terry w samym centrum Leeds. Musi znów się ukryć.

A potem Stella zaczęła uświadamiać sobie wszystko to, co się stało. I wyciągać wnioski.

To nie przypadek, że te samochody ciągle stoją na zewnątrz. On i Terry wcale nie wędrują sobie po torfowiskach. Są gdzieś w pobliżu. Czekali tylko, aż wrócą Jonas i Sammy. Chcą zawładnąć naszym domem. Bo on właśnie stanowi dla nich idealne schronienie. Ale co zamierzają zrobić z nami? Jakie zamiary mają wobec nas?

– Jonas! – krzyknęła przeraźliwie.

Z łazienki dobiegał hałas suszarki do włosów. Jonas jej nie słyszał.

Miała świadomość, że musi podjąć bardzo szybką decyzję. Od chwili powrotu Jonasa i Sammy'ego upłynęło zaledwie dwadzieścia minut. Jeśli Neil – czy też Denis – razem z Terry ukrywał się w pobliżu, to z pewnością zauważył, że rodzina jest już w komplecie. Nadszedł więc właściwy moment, aby zatrzaskać przygotowaną pułapkę. Choć co prawda Neil nie mógł wiedzieć, że Stella знаła już jego prawdziwą tożsamość. Tym samym zyskiwała przewagę czasową.

– Sammy, posłuchaj, będziemy musieli znów wyjechać – powiedziała. – Musimy...

– A dokąd?

– To będzie niespodzianka. Zaraz powiem o tym daddy'emu.

– Pojedziemy jeszcze raz nad morze?

– Zobaczysz.

Stella ostrożnie podeszła do okna. Chciała zobaczyć, jak wyglądała sytuacja, zanim mieli w trójkę wyjść z domu i wsiąść do samochodu. Wyrzała na zewnątrz. Nic. Podwórze tonęło w promieniach nisko stojącego słońca. Wyszły też wszystkie kałuże. Samochody Terry i Neila były zaparkowane koło szopy – bardzo korzystne miejsce, ponieważ nie było go widać z drogi biegnącej powyżej na wzgórzu. Przypadek czy też część opracowanego już wcześniej planu? Samochód Jonasa i Stelli stał pod jedynym drzewem w okolicy. Stella przypuszczała, że Jonas zaparkował go tam w nikłym cieniu, spodziewając się kolejnego upalnego dnia. W obecnej sytuacji oznaczało to niestety, że będą musieli iść dalej niż zwykle. Aby dotrzeć do auta, należało przejść przez całe podwórze i opuścić należącą do domu

działkę. Stella szybko oszacowała w myślach. Gdyby biegli, powinno to trwać mniej więcej pół minuty. Ale może byłoby lepiej, gdyby szli powoli. Bo jeśli byli obserwowani, to będzie wyglądało to tak, jak gdyby jedynie chcieli gdzieś pojechać, aby może zrobić zakupy. Ale jeśli będą gnać jak spłoszone kury, to będzie jasne, że wiedzą już o wszystkim.

Właśnie chciała się odwrócić od okna, kiedy zobaczyła Terry. Dziewczyna zjawiała się tam nie wiadomo skąd, otworzyła swój samochód po stronie pasażera i najwyraźniej zaczęła czegoś szukać.

Stella cofnęła się szybko. Za późno. Oboje byli więc nie tylko *w pobliżu*, lecz *na miejscu*. I nawet nie kryli się ze swą obecnością. Terry musiała wiedzieć, że ktoś mógł ją widzieć z okna.

Ale gdzie był Neil?

Stella w ciągu kilku sekund porzuciła plan ucieczki samochodem. Neil nie będzie się spokojnie przyglądać, jak cała rodzina Crane'ów spokojnie idzie przez podwórze, wsiada do auta i odjeżdża.

– Szybko! – Odsunęła Sammy'ego od stołu. – Szybko! Musimy zaryglować wszystkie drzwi! Pośpiesz się!

Chłopiec spojrzął na nią z rozczarowaniem.

– Mówiłaś, że mamy gdzieś pojechać?

Stella była już przy drzwiach prowadzących z kuchni na podwórze i zasunęła zasuwę. Ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Sammy pobiegł za nią.

– Mummy! Myślałem, że...

– Później, kochanie. Pomóż mi teraz!

Otworzyła drzwi łazienki, ale Jonasa już tam nie było. Prawdopodobnie poszedł do sypialni, aby się ubrać, i był teraz na pierwszym piętrze. Nie ważyła się wołać głośno, obawiając się, że to będzie można usłyszeć na zewnątrz. Jeśli Neil zauważy, że Stella o wszystkim wie, będą zgubieni.

Biegła do drzwi wejściowych. Przekręcić klucz, zasunąć zasuwę.

Szybko, dalej. Na zewnątrz prowadziło jeszcze tak dużo drzwi.

Jadalnia i salon. Jadalnia znajdowała się obok kuchni. Kiedy Stella tam weszła, stwierdziła, że drzwi były i tak zamknięte. Ze strony Sammy'ego nie należało oczekiwać pomocy. Dziecko dreptało tuż za nią i marudziło, skoro okazało się, że nic nie będzie z zapowiadanej wycieczki.

Stella biegła przez korytarz. Zdawała sobie sprawę, że będą po prostu uwięzieni, jeśli się tu zabarykadują. Bez telefonu, bez zasięgu, bez Internetu. Będą całkowicie odcięci na tej samotnej farmie, gdzieś na torfowiskach Yorkshire, z krążącym w pobliżu seryjnym mordercą poszukiwanym przez policję. Nie mają żadnych szans, aby ściągnąć pomoc. Będą musieli poczekać, aż z początkiem następnego tygodnia ktoś zauważy, że nie wrócili z wakacji – może sąsiadka, która podlewa kwiaty, a może ktoś, z kim Jonas był umówiony w sprawach służbowych.

Kolega, do którego należała ta farma, też z pewnością będzie chciał się dowiedzieć, jak udał się pobyt – czy zdziwi się, że do Jonasa nie można się dodzwonić? Teraz nie było to aż tak ważne, liczyła się każda chwila.

Stella wpadła do salonu i dosłownie zderzyła się z Neilem Courtneyem, który właśnie wszedł tu wprost z ogrodu.

– Och, Stello, ależ pani śpieszno!

Starła się uspokoić oddech. Nie mogła stanąć naprzeciwko niego błada jak ściana i dysząca jak po długim biegu, bo wówczas mógłby się domyślić, że ona o wszystkim wie. Jej nikła szansa kryła się w swobodnym i niewinnym zachowaniu. Tylko wówczas istniała jakaś możliwość ucieczki.

Jej pierwszym impulsem był rozbrajający uśmiech, ale przyszło jej do głowy, że w normalnych okolicznościach nie byłoby to normalne wobec człowieka, który wtargnął nieproszony do jej salonu, a którego uważała na bardzo niesympatycznego, o czym on doskonale wiedział.

– A co pan robi w naszym salonie? – spytała. – Czy nie zamierzaliście zabrać swoich samochodów i wyjechać?

Neil znów wyszczerzył zęby w znanym jej uśmiechu, którego nie znosiła.

– No tak. Ale nie musimy tego robić całkiem po cichu. Chciałem się jeszcze z panią pożegnać.

– To nie może pan w tym celu zapukać do drzwi frontowych? Tak jak to robią cywilizowani ludzie?

– Nie wiem dlaczego, ale... – Neil zmarszczył czoło. – Ale miałem jakieś przecucie, że mi pani nie otworzy.

– Mr Courtney, nie jesteśmy przyjaciółmi i pan o tym wie. Uważam za co najmniej wątpliwy sposób, w jaki traktuje pan Terry, ale jak długo ona sama nie zechce rozwiązać tego problemu, nie mogę nic zrobić. I nie chcę już żadnych dalszych kontaktów z panem.

– Zawsze jest pani taka bezpośrednia?

Starła się patrzeć mu prosto w oczy.

– Ogólnie mówiąc, tak.

Wpatrywał się w nią natarczywie, jak gdyby chcąc odgadnąć jej myśli.

Z zewnątrz dobiegło wołanie Terry:

– Neil! Neil, chodź już!

Zawahał się. Stella wskazała mu drzwi.

– Proszę. Terry pana woła.

Była to jedna sekunda. Tylko jedna sekunda, w której rzeczywiście rozważał wyjście na zewnątrz. Stelli udało się rozwiać jego podejrzenia. Neil sądził, że ona nie ma o niczym pojęcia, nie wiedział, że pozamykała już wszystkie drzwi i właśnie zamierzała zaryglować te ostatnie prowadzące na zewnątrz, jak tylko on znajdzie się poza nimi.

– Neil! – zawołała znów Terry.

Odwrócił się.

Idź – pomyślała Stella. Dziwiła się, że nie słyszał bicia jej serca. – *Idź. Teraz.*

Precz stąd.

Sammy, który stał za nią, zrobił krok, do przodu.

– Widzieliśmy cię w gazecie – powiedział.

Neil się zatrzymał. Jego oczy zaczęły dziwnie błyszczeć.

A potem nieoczekiwanie znów się uśmiechnął.

9

Nadkomisarz Caleb Hale siedział w holu wejściowym General Hospital w Scarborough naprzeciw kompletnie zapłakanej kobiety, o której wiedział tylko tyle, że nazywała się Helen Jefferson i że w jakiś sposób należało ją kojarzyć z osobą poszukiwanego Denisa Shove'a. Był to niewiarygodny i szczęśliwy przypadek, bo od kilku miesięcy wszystko wskazywało na to, że Denis Shove dosłownie zniknął z powierzchni ziemi, rozplynął się w powietrzu i nie zostawił po sobie żadnych śladów. Choć oczywiście nie należało brać dosłownie określenia „szczęśliwy przypadek” i tu Caleb przywołał się do porządku: ze sprawą łączyła się osoba ciężko rannej Peggy Wild, jak stwierdzono na podstawie dokumentów, która po operacji leżała w narkozie w szpitalnym pokoju do wybudzeń.

Tego dnia wydarzenia następowały jedno po drugim, choć właściwie początkowo nic nie wskazywało na ich związek ze sprawą Denisa Shove'a: późnym popołudniem na komendę policji w Leeds zadzwoniła niejaka Helen Jefferson i zgłosiła zaginięcie swojej życiowej partnerki Peggy Wild. Zgodnie z informacją policjanta, który przyjął zgłoszenie, Helen Jefferson była bardzo zdenerwowana i z trudem mogła w miarę zrozumiale powiedzieć, czego właściwie chciała. Zgodnie zaś ze słowami Helen jej towarzyszka życia, która pracowała w domu seniora w Scarborough, wyruszyła tam rankiem, zabierając z sobą pewnego mężczyznę. Miał się on spotkać ze swoją partnerką, której matkę przywieziono nocą do szpitala w Scarborough z objawami udaru. Helen wielokrotnie próbowała dodzwonić się do przyjaciółki, jednak za każdym razem zgłaszała się tylko poczta głosowa, na której Helen zostawiała rozpaczliwe prośby o kontakt. W końcu Helen zadzwoniła do domu seniora – był to ostateczny krok, bo wszelkie telefony prywatne były tam widziane bardzo niechętnie – i ku swemu przerażeniu dowiedziała się, że tego dnia Peggy bez usprawiedliwienia nie zjawiła się w pracy. I wtedy Helen zadzwoniła do szpitala.

– Dowiedziałam się tam, że on skłamał. Ten Neil Courtney. Nocą w ogóle nie przywieziono do szpitala Mrs Malyan.

Policjant, który przyjmował zgłoszenie, nie za bardzo mógł sobie poradzić z natłokiem informacji.

– Mrs Malyan? – spytał.

– No tak, matki Therese Malyan. To kobieta, która mieszka pod nami. I to z jej przyjaciółką Peggy wyruszyła do Scarborough. O mój Boże, na pewno coś się stało! Na pewno! Courtney to zły człowiek. Nie chciałam, żeby Peggy go zabierała, ale... – I w tym miejscu Helen załzała się łzami.

Policjant mógł ją przynajmniej zapewnić, że w okolicy nikt nie zgłaszał żadnego wypadku. Przyjął zgłoszenie, nie mógł jednak nic zrobić.

– Dorosła kobieta... I minęło dopiero kilka godzin. Skontaktuję się z panią, jak tylko będę coś wiedział, dobrze? Proszę się aż tak nie martwić, Miss Jefferson. Na pewno wszystko się wkrótce wyjaśni i okaże się, że nie stało się nic złego.

– Nie sądzę. Courtney nie jest niewinnym barankiem. Wiem, że Peggy na pewno przytrafiło się coś złego. Naprawdę nie może mi pan pomóc?

Policjant rzeczywiście nie mógł nic zrobić, ale w niecałą godzinę później otrzymał pilne zgłoszenie. Pewien mężczyzna, który jechał drogą z Leeds do Scarborough, zatrzymał się na poboczu, aby w spokoju wypalić papierosa i zadzwonić do przyjaciółki. Ku swemu przerażeniu natknął się tam na ciężko raną, nieprzytomną kobietę, która leżała w trawie przywiązana do żywopłotu. Mężczyzna sądził z początku, że kobieta nie żyje, i natychmiast zadzwonił na policję i pogotowie. Sanitariusze stwierdzili, że kobieta jeszcze żyła i otrzymała ciężką ranę postrzałową, i od dłuższego czasu była nieprzytomna z powodu dużego upływu krwi. Ranna nie miała przy sobie żadnej torebki, którą być może ukradziono, ale na szczęście w kieszeni jej dżinsów znaleziono zmięty wyciąg z banku. Na tej podstawie zidentyfikowano ją jako Peggy Wild, zamieszkałą w Leeds. A ponieważ zgłoszono już zaginięcie, można było natychmiast zawiadomić towarzyszkę jej życia. Jeden z policjantów pojechał do redakcji, w której pracowała Helen, i przywiózł ją na komendę, aby mogła złożyć dokładne zeznanie na temat przebiegu przedpołudnia oraz osoby samego Neila Courtneya, z którym Peggy wyruszyła do Scarborough. Helen weszła do budynku i zatrzymała się jak wryta na widok listu gończego, który wisiał już w całym rejonie.

– To przecież on! – powiedziała.

– Kto? – spytał z zaskoczeniem towarzyszący jej policjant.

– Neil. Neil Courtney.

Helen przeczytała tekst pod fotografią.

– Dlaczego on się nazywa Denis Shove?

Wobec tak nieoczekiwanego przebiegu wypadków zawiadomiono natychmiast policję w Scarborough oraz śledczego zajmującego się wraz ze swą grupą dochodzeniową wyjaśnianiem morderstwa Richarda Linville'a i Melissy Cooper oraz ściganiem Denisa Shove'a, mającego ponoć związek z tą sprawą.

Jane Scapin postarała się w szpitalu o jakiś w miarę zaciszny kąt, gdzie jej szef i Helen Jefferson mogli bez przeszkód porozmawiać. Helen była wstrząśnięta

i zrozpaczona, ale najwyraźniej zaczynała się powoli uspokajać. Rozmawiała już z lekarzem, który operował Peggy. Dowiedziała się, że Peggy przeżyje, choć miała wielkie szczęście, że została w porę znaleziona. Śledcza Scapin natychmiast wydała rozkaz ścigania czerwonego forda Peggy. Caleb w tej kwestii nie robił sobie zbyt wielkich nadziei: Shove był łotrem kutym na cztery nogi i kryminalistą z doświadczeniem. I z całą pewnością szybko się pozbędzie tego samochodu. Na pewno nie popełni tak kardynalnego błędu, żeby jeździć nim zbyt długo. Musiał się liczyć z tym, że ktoś znajdzie Peggy Wild i że w całej okolicy zostaną wprowadzone kontrole policyjne. Policja szukała również samochodu Therese Malyan, która także zniknęła – niestety nie był to zielony peugeot, co wyjaśniono dość szybko. Helen Jefferson zeznała, że prawdopodobnie Therese wyjechała swoim samochodem nocą w nieznanym kierunku.

– Mrs Jefferson, czy jest pani w stanie ze mną porozmawiać? – spytał Caleb. Od kolegów z Leeds otrzymał już dokładne informacje, dlatego Helen przed południem zwróciła się do policji. Mimo to jednak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi.

Helen skinęła głową i jeszcze raz wytarła sobie oczy chusteczką.

– Tak, oczywiście. Chcę panu pomóc. Może Terry jest w niebezpieczeństwie.

Caleb zerknął do swoich notatek.

– Therese Malyan? Partnerka życiowa Denisa Shove’a?

– Tak. Ona mieszka pod nami. To znaczy pod mieszkaniem Peggy i moim.

– Od kiedy?

Helen zastanawiała się przez chwilę.

– Od mniej więcej dwóch i pół roku.

– A Shove? On też mieszka tam tak długo?

– Nie. Ona z początku była sama. I dość samotna. Od czasu do czasu byli jacyś mężczyźni, ale żaden z nich nie zatrzymywał się zbyt długo. Dlatego Peggy i ja zawsze się o nią troszczyliśmy, chociaż...

– Tak? – dopytywał się Caleb, kiedy niespodziewanie urwała.

– Peggy niespecjalnie ją lubiła. Terry była taka naiwna, niedojrzała. Oderwana od spraw codziennego życia. Ale ja uważałam ją za całkiem miłą dziewczynę.

– A Shove?

– On wprowadził się do niej w tym roku. W... tak, to musiało być w lutym. Ale oboje znali się od października albo listopada poprzedniego roku.

– Czy wie pani, gdzie ona go poznała?

– Tak, w pubie, w którym wówczas pracowała. Orchads House w Leeds. Neil... to znaczy Denis, zjawił się tam jako gość.

Caleb zanotował sobie nazwę pubu. Dowiedział się też, że Terry tymczasem

straciła pracę i kilka miesięcy była bezrobotna. W końcu coś znalazła, ale nowe miejsce pracy nie podobało jej się zupełnie.

– The Dark Moon. To taka paskudna spelunka. Terry nienawidziła obsługiwania tamtejszych gości. Ale nie mogła znaleźć nic innego, a poza tym sądzę, że Neil upierał się, aby tam pracowała.

– A on sam nigdzie nie pracował?

Helen potrząsnęła głową.

– Nie. Terry opowiadała, że dostał jakiś spadek, ale nie mógł on być zbyt wielki. Widziałyśmy, że żył po prostu na koszt Terry.

Spadek. Zgodnie z wiedzą Caleba na temat osoby Denisa Shove'a, to jeśli w ogóle miał on pieniądze, pochodziły one raczej z dużym prawdopodobieństwem z jakiegoś rabunku. Mimo to należało sprawdzić, czy Shove miał krewnych, po których mógł dziedziczyć.

– Okay. Shove wprowadził się więc do Therese Malyan. Zgodnie z moją dotychczasową wiedzą pani też nie sądzi, że był to szczęśliwy związek, prawda?

– O nie. W ogóle nie. Peggy i ja już od pierwszej chwili uważałyśmy tego typa za wyjątkowo niesympatycznego. Na szczęście rzadko go widywałyśmy. Izolował się kompletnie od wszystkich.

„Nic dziwnego – pomyślał Caleb – był przecież już wtedy poszukiwany przez policję, ponieważ w efekcie swojego nagłego zniknięcia naruszył przepisy związane ze zwolnieniem warunkowym. A także ponieważ zamordowano człowieka, któremu kiedyś publicznie groził. Ukrycie się u naiwnej kobiety było w jego sytuacji z pewnością bardzo zręcznym posunięciem, ale prędzej czy później także tam ziemia mogła mu się zacząć palić pod stopami. Musiało mu więc bardzo zależeć na tym, aby jak najrzadziej kontaktować się z kimkolwiek z prywatnego otoczenia Terry. Zbyt wielkie było niebezpieczeństwo, że ktoś go rozpozna”.

Helen, jak gdyby czytając w myślach Caleba, dodała:

– Terry nie mogła się już praktycznie z nikim spotykać. Oboje całkiem zaszyli się w domu i odcięli od świata. Z początku myślałyśmy, że to normalne, bo tak czasem bywa z zakochanymi w pierwszych tygodniach bycia razem. Ale kiedyś w końcu przestało nam się to wydawać normalne. A potem zauważyłam...

– Tak? Co takiego?

– Myślę, że Neil od czasu do czasu bił Terry. Kilka razy spotkałam ją na klatce schodowej i widziałam wyraźne ślady na jej twarzy, po prostu zranienia. Ona oczywiście do niczego się nie przyznała. Ale i tak unikała nas już wtedy. Właściwie nie można było z nią spokojnie porozmawiać. Kilka tygodni temu spotkałam ją wieczorem, kiedy właśnie wychodziła do pracy. Była zapłakana i powiedziała mi, że praca w tej knajpie jest okropna. I w następnym momencie niemal zaklinała mnie, abym tylko nie opowiadała Neilowi, że na nią narzekała. Że te parę słów tylko jej się wymknęło i powinnam jak najszybciej o nich zapomnieć.

Ona się go po prostu bała. Ale jednocześnie w żadnym wypadku nie chciała go stracić.

– Proszę mi raz jeszcze dokładnie opowiedzieć o ostatniej nocy. I o dzisiejszym dniu – powiedział Caleb.

Helen powtórzyła całą historię i na koniec znów zalała się łzami.

– Mam ogromne wyrzuty sumienia – szlochała. – Dzisiaj rano powiedziałam Peggy, że musimy się zatroszczyć o Terry. I tylko dlatego zadzwoniłyśmy do niej do drzwi, i tylko dlatego Peggy zabrała Neila samochodem. Peggy chciała się koniecznie dowiedzieć, czy matka Terry rzeczywiście jest w szpitalu i czy z nią jest tam także Terry. To wszystko było dziwne, bo rodzice Terry mieszkają w Truro i nie utrzymują żadnych kontaktów z córką. Ja odegrałam rolę zmartwionej sąsiadki, ale Peggy wykazała się znacznie większą aktywnością. I teraz leży tutaj, i o mały włos, a byłaby... – Helen rozplakała się jeszcze gwałtowniej i nie była już w stanie mówić.

– Miałyście panie dobre intencje i doprawdy trudno było przewidzieć taki rozwój wypadków – pocieszył ją Caleb. – Proszę nie robić sobie takich wyrzutów. Tak czy owak, pani przyjaciółkę dało się na szczęście uratować. Ona wyzdrowieje. I tylko to się liczy.

Helen skinęła głową, ale nie wydawało się, że ją to uspokoiło.

– A Terry? Co z nią będzie?

Niestety, jeśli chodzi o Therese Malyan, to Caleb działał na razie po omacku. Pewne było tylko to, że zniknęła zarówno ona, jak i jej samochód. Policjanci byli tymczasem w jej mieszkaniu – chcąc uniknąć ryzyka z powodu zwłoki – i nikogo tam nie zastali. Nigdzie koło domu nie znaleźli też zaparkowanego samochodu. Wiele przemawiało za tym, że Therese nie było tutaj już wtedy, kiedy do jej drzwi zadzwoniły Helen i Peggy. A Denis Shove musiał jakoś zdobyć samochód, zapewne dlatego, że nie miał już dostępu do auta przyjaciółki. Co z kolei mogło oznaczać, że ona bez niego szukała jakiegoś schronienia – i że najprawdopodobniej Neil jej teraz bezpośrednio nie zagrażał.

Caleb był już przekonany, że jeśli chodzi o Shove'a, to musi ścigać i ująć człowieka mającego związek z obiema zbrodniami. Tym bardziej że prawdopodobnie nie był to przypadek, iż Shove dokładnie dzień przed morderstwem Melissy Cooper ponownie zmienił kryjówkę. I robił to w pośpiechu, niczego nie planując; nie mógł przecież liczyć na to, że Peggy zaproponuje mu podwózkę do Scarborough. Działał spontanicznie, wykorzystał nadarzącą się okazję i znów popełnił przy tym czyny zagrożone wysoką karą: pierwszym było to, że ukradł samochód. Drugim było postrzelenie kobiety i pozostawienie jej w ciężkim stanie przywiązanej do żywopłotu, gdzie mało kto mógł ją zobaczyć i gdzie miała niewielkie szanse ratunku. Peggy dosłownie uciekła grabarzowi spod łopaty. A Denis Shove ryzykował kolejne oskarżenie o morderstwo. Czy to

oznaczało, że było mu już wszystko jedno, ponieważ po morderstwie Linville'a i Cooper tak czy owak musiał się liczyć z najwyższym wymiarem kary w przypadku schwytania? A może oznaczało to panikę? Denis Shove mógł stracić kontrolę nad sobą, jeśli poczuł się sprowokowany, choć co prawda w normalnej sytuacji nie był osobą o słabych nerwach. Ale z drugiej strony tego dnia właśnie jego zdjęcie ukazało się we wszystkich miejscowych gazetach. Musiał się z tym liczyć po morderstwie Melissy Cooper. Dlaczego więc ta chaotyczna, pozbawiona jakichkolwiek planów uciezka? A przecież był to człowiek, który dotychczas zachowywał się bardzo rozważnie. Czy dlatego, że tak nagle uciekła Therese Malyan? Może oboje planowali już wcześniej opuścić Leeds, ale zaszło między nimi coś, co skłoniło Therese do natychmiastowej, panicznej uciezki. Jeśli podejrzenia Helen były słuszne i Denis używał przemocy wobec swojej przyjaciółki, to może właśnie przemoc była przyczyną jej zniknięcia. Therese uciekła, a Denis nagle został bez samochodu. Publiczne środki transportu w jego sytuacji nie wchodziły w grę. I sytuacja zrobiła się już dla niego niebezpieczna. Tu jednak pojawiały się także pytania dotyczące osoby samej Therese Malyan. Kim ona była – ofiarą czy też współsprawczynią? Czy jednocześnie jednym i drugim? – bo pierwsze nie wykluczało drugiego.

– Co pani wie o Therese Malyan? – spytał Caleb. – O jej rodzinie? O przyjaciółkach? O jej prywatnym otoczeniu?

Helen zastanawiała się przez chwilę.

– Ona zawsze sprawiała wrażenie zupełnie samotnej – stwierdziła. – Sądzę, że w ogóle nie miała prawdziwych przyjaciół ani też prywatnego otoczenia. Miała kilkoro znajomych poznanych w pubach czy knajpach, w których pracowała w ciągu ostatnich kilku lat. Neil – czy też Denis – miał wobec tego ułatwione zadanie: była samotna i poczuła się jak wybawiona, bo nagle w jej życiu pojawił się ktoś bliski. Miałam wrażenie, że ona będzie gotowa znieść wszystko, aby tylko znów nie była sama.

– Powiedziała pani, że nie utrzymywała już kontaktów z rodzicami?

– Tak, mówiła o tym kilka razy. Przerwała naukę w szkole, kiedy miała osiemnaście lat, i jak zrozumiałam, rodzice nie mogli jej tego wybaczyć. Nie miała też żadnego rodzeństwa.

– Co spowodowało, że z Truro przyjechała aż tutaj, na północ? Opowiadała o tym?

– To było związane z przerwaniem nauki. Chciała wyjechać jak najdalej od domu i zacząć nowe życie. I wyniosła się niemal na drugi koniec Anglii.

– I nie utrzymywała żadnych kontaktów ze swoją rodziną?

– Nie. Przynajmniej tak mówiła.

Mimo to należało odwiedzić jej rodziców. Nie można było wykluczyć, że Therese w sytuacji, kiedy jej świat znów groził zawaleniem, jednak wróciła do

rodziny. Bo przecież związała się z kryminalistą i z początku być może nie zdawała sobie z tego sprawy. Możliwe nawet, że dała się wciągnąć w jego sprawki i w końcu nerwy jej puściły. Nocą po morderstwie Melissy Cooper między Therese a Denisem Shove'em doszło do gwałtownej kłótni. Czy dlatego, że Therese nie chciała i nie była w stanie zaakceptować jego kolejnego aktu zemsty – czy też czegokolwiek innego?

Helen wpatrywała się w Caleba szeroko otwartymi oczami.

– Czy to prawda? – spytała po chwili. – To, co jest napisane na tym plakacie o ściganiu Neila? Że on zamordował policjanta?

– Ścigamy go w związku z tą sprawą – odpowiedział Caleb. – Ale czy on to rzeczywiście zrobił, tego nie wiem.

– Bardzo, bardzo martwię się o Terry – rzekła Helen i znów zaczęła płakać. Była rzeczywiście u kresu wytrzymałości nerwowej.

– Znajdziemy tego Shove'a – zapewnił ją Caleb. – I zapewnimy bezpieczeństwo Therese. O ile w ogóle coś jej zagraża. Może rzeczywiście gdzieś się ukryła i Shove nie zna miejsca jej pobytu, podobnie jak my.

Dzięki jego spokojnemu głosowi Helen powoli przestawała płakać. Choć Caleb, mimo wrażenia, jakie sprawiał, sam sobie nie wydawał się osobą tak godną zaufania. I też obawiał się o los Therese Malyan. A jego początkowa euforia, że Denis Shove, który zniknął bez śladu, teraz tak nagle się pojawił, zaczęła ustępować pola chłodnemu rozsądkowi. Bo przecież Denis znów wyprowadził policję w pole i zniknął. I nikt nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie teraz jest.

10

Nagle w jego rękę pojawił się pistolet – jak wyczarowany spod bluzy.

– Gdzie jest Jonas? – spytał.

Kłamstwo nie miało już sensu.

– W sypialni – odpowiedziała Stella.

Z podwórza znów dobiegło wołanie Terry.

– Neil?! Gdzież ty jesteś?!

Odwrócił lekko głowę, nie spuszczać jednak z oczu Stelli i Sammy'ego.

– Tu, w salonie! Chodź tutaj!

– Czego pan chce? – spytała Stella. Przyciągnęła do siebie Sammy'ego i objęła go ciasno ramieniem. Zastanawiała się, czy ten mężczyzna, który stał przed nią, będzie gotów zamordować całą rodzinę, łącznie z pięcioletnim dzieckiem.

– Przede wszystkim chcę, żebyście siedzieli teraz cicho – odparł.

„Może on chce zniknąć i oczekuje tylko tego, abyśmy nie poszli na policję” – pomyślała Stella. Poczowała nieśmiałą nadzieję, że chce ich wszystkich tu zamknąć, a potem ucieknie ich samochodem, razem z ich pieniędzmi i kartami kredytowymi. Ale nie było to zbyt prawdopodobne. Miał przecież wiele godzin, aby spokojnie

uciec, i nie zrobił tego. Stella obawiała się, że jej pierwsza myśl po przeczytaniu w gazecie wiadomości była słuszna: Neil Courtney – albo też Denis Shove – nie wiedział, dokąd ma uciekać. Ta położona na odludziu farma podsuwała mu idealne wprost rozwiązanie – przynajmniej na jakiś czas. Mógł tu siedzieć nie niepokoiony przez nikogo i snuć dalsze plany. Musiał mieć tylko pod kontrolą rodzinę Crane'ów.

Terry podeszła do drzwi salonu.

– Dziwne, wszystkie drzwi są pozamykane i... – zaczęła i wtedy spostrzegła, że jej przyjaciel ma broń wymierzoną w Stellę i Sammy'ego. Umilkła nagle.

– Co się dzieje? – spytała w końcu zaskoczona.

– Oni właśnie chcieli się tu zabarykadować – wyjaśnił Neil. – Pozamykać wszystkie drzwi i w spokoju wezwać gliny.

Terry miała taką minę, jak gdyby nie rozumiała ani słowa.

– Wezwać gliny?

– A kto panu powiedział, że już tego nie zrobiłam? – spytała Stella. – Może już zadzwoniłam na policję? Może powinien pan jak najszybciej stąd zniknąć?

Patrzył na nią wąskimi oczami.

– Terry, idź teraz i sprawdź cały dom. Zobacz, czy gdzieś nie ma telefonu. Albo komputera. Jakiegokolwiek połączenia ze światem zewnętrznym. Znam tę przeklętą okolicę i wiem, że jest tu parę takich farm, które są zupełnie odcięte od świata. Tu na dole w każdym razie nie ma zasięgu. Już sprawdziłem.

– Ależ, Neil, dlaczego... – zaczęła Terry, ale on przerwał jej natychmiast:

– Rób, co ci mówię. Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia.

Terry wyszła. Stella czuła, że ciasno przytulony do niej Sammy drży na całym ciele.

– Przestraszył go pan – powiedziała.

Neil wzruszył ramionami.

– No to ma pecha. Musi to jakoś przetrwać.

Neil zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał:

– Gdzie jest klucz do szopy?

– Nie mam pojęcia. To nie jest nasz dom.

Machnął bronią.

– Powinnaś być bardziej skłonna do kooperacji, Stello. Nie chcesz przecież, żeby ta cała historia skończyła się źle, prawda? Zarówno dla ciebie, jak i twojej rodzinki.

– Chcę, żeby pan stąd zniknął – odpowiedziała Stella.

– Na to będziesz musiała trochę poczekać.

Neil opadł na fotel i wyciągnął przed siebie obie nogi. Lufa pistoletu cały czas skierowana była na dwoje ludzi, którzy stali przed nim pośrodku pokoju.

– Są ludzie, którzy wiedzą, że tu jesteśmy. I którzy będą nas szukać.

– Tak, tak – odpowiedział Neil znudzonym głosem.

Do salonu weszła Terry.

– W każdym razie na parterze nie ma telefonu. Ani też komputera, o ile mogłam stwierdzić. Mam zobaczyć na górze?

Neil zaprzeczył.

– Poczekaj. Czy mam się założyć, że wiem, jaki rodzaj wakacji tu spędzacie? To są wakacje zgodnie z mottem: odcinamy się od świata. I to całkowicie. Zostawiamy za sobą wszystko. Nikt nie może się do nas dodzwonić. To akurat coś dla mnie. Czegoś takiego właśnie szukam. Miejsca, gdzie mnie nikt nie znajdzie.

– Nie ma takiego miejsca – odparła Stella. – A przynajmniej nie tutaj. Będą nas szukać. Jonas wynajął ten dom od kolegi. I z początkiem przyszłego tygodnia ten człowiek będzie chciał, abyśmy mu zwrócili klucz. Będzie chciał, abyśmy mu zapłacili. Będzie chciał usłyszeć, jak udał nam się pobyt. I będzie się dziwił, kiedy nagle znikniemy, jak gdyby nas ziemia pochłonęła.

– W następnym tygodniu! – roześmiał się Neil. – Mój Boże, czy ty myślisz, że ja łamię sobie głowę nad tym, co będzie w następnym tygodniu?

Ruchem głowy wskazał Terry kierunek i powiedział:

– Idź i poszukaj teraz klucza do tej szopy czy też stajni na podwórzu.

– Neil, co się dzieje? – spytała Terry. Najwyraźniej bała się tak samo jak Stella.

„Ona o niczym nie wie – pomyślała Stella. – Nie ma pojęcia o tym, że zadała się ze zbrodniarzem. Nie wie, że on jest poszukiwany przez policję. Ani też tego, że on jest kimś innym niż ten, za kogo się podaje”. I tu był cień nadziei. Może da się skłonić Terry, aby im pomogła. Ta dziewczyna, wprawdzie naiwna i dość ograniczona, z pewnością nie była jednak kryminalistką. Sam był jej biologicznym synem, a Terry zawsze lubiła rodzinę Crane’ów. I chyba nie pozwoli, aby komuś z nich spadł choćby włos z głowy. A może jednak? Terry była przecież całkowicie oddana Neilowi i obawiała się go tak, jak gdyby była jego niewolnicą. Czy w końcu zrozumie, że będąc z nim, niszczy samą siebie, i czy znajdzie w sobie siły konieczne do tego, aby się od niego uwolnić?

– Poszukaj teraz tego klucza! – warknął Neil. – Do cholery, idź i przestań wreszcie zadawać głupie pytania. Wyjaśnię ci wszystko później.

Terry bez słowa sprzeciwu wyszła z pokoju. Neil podniósł się z fotela.

– Pójdziecie teraz ładnie przede mną – rozkazał. – Na korytarz. I jeśli spróbujecie cokolwiek zrobić, to strzelam. Jasne?

– Jasne – potwierdziła Stella.

Neil znów wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Stella pomyślała, że nigdy nie znajdzie słów, aby powiedzieć, jak bardzo nienawidziła tego uśmiechu.

– Jesteś mądrą kobietą, Stello. I rozsądną. Jesteś też kochającą matką. Nie zrobisz niczego, żeby twój mały Sammy znalazł się w niebezpieczeństwie, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie zrobię.

– Mummy! – odezwał się Sammy drżącym głosem, bliski już łez.

– Nie bój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

– Zamknij się – nakazał Neil. – A teraz jazda. Idźcie przede mną.

Wyszli na korytarz. Nigdzie nie było widać ani słyszeć Terry. Przypuszczalnie znalazła jednak jakieś klucze i pośpiesznie próbowała otworzyć drzwi do szopy. Wydawało się, że nie pojmowała w ogóle, co się dzieje, ale jak zwykle najpierw robiła wszystko, aby nie rozdrażnić Neila.

– Dalej! – rozkazał Neil.

Szli przez korytarz. Sammy płakał teraz cicho, a Stella czuła, że jej serce bije jak oszałałe. W każdej chwili na schodach mógł się pojawić niczego nieprzeczuwający Jonas, który tym samym znalazłby się w samym środku szokującej sytuacji. Stella modliła się w duchu, aby jej mąż nie zrobił niczego, co doprowadziłoby do eskalacji i tak już groźnej sytuacji. Jonas nie był urodzonym bohaterem. Stella nie robiła sobie żadnych iluzji co do tego, że gdyby spróbował ratować swoją rodzinę, to jego działania tylko pogorszyłyby wszystko.

I rzeczywiście, Jonas, w dzinsach i koszulce, pachnący jeszcze żelem do kąpieli, był właśnie na pierwszych stopniach, kiedy cała trójka znalazła się w odległości kilku kroków od schodów. Wlepił zdumione oczy w Stellę, Sama i Neila.

– Och – powiedział zaskoczony.

– Jonas... – odezwała się Stella, ale Neil natychmiast przerwał jej słowami:

– Zamknij się!

– Jak pan rozmawia z moją... – zaczął Jonas, ale wtedy dostrzegł broń w ręku Neila. Nie dokończył, a jego oczy momentalnie się rozszerzyły.

– Co, na miłość boską...? – nie dokończył także tego zdania. Sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył w to, co widzi, i nie wiedział, co wobec tego należy powiedzieć. Tego rodzaju sceny opisywał po wielokroć w swoich scenariuszach. Był znany z ostrych i pełnych ironii dialogów. A w rzeczywistości po prostu nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Idziemy teraz wszyscy do szopy – powiedział Neil. – Jonas, pan pójdzie pierwszy. I żadnych sztuczek, bo wystrzelam was wszystkich jak kaczki.

– Rób to, co on mówi! – odezwała się błagalnym głosem Stella.

I w tym momencie Jonas Crane po raz pierwszy w życiu postanowił jednak być bohaterem. Doprawdy nie mógł sobie znaleźć bardziej nieodpowiedniej chwili.

Strzał padł niemal natychmiast. Dokładnie w tej samej sekundzie, w której Jonas zamierzał skoczyć na Neila, prawdopodobnie po to, aby w efekcie samego uderzenia przewrócić go i wytrącić mu broń z ręki. Był to plan absurdalny w jego przypadku, bo Jonas jeszcze nigdy w życiu nie wdał się żaden fizyczny konflikt,

z wyjątkiem dziecinnych bójek na szkolnym boisku, z których jak wyznał Stelli, zawsze i tak wychodził pobity. A fakt, że siedząc za biurkiem, opisywał sceny, w których silni mężczyźni dochodzili swoich racji, używając pięści, strzelając raz po raz bądź obezwładniając przeciwnika kilkoma chwytami którejs z azjatyckich szkół walki, wcale nie oznaczał, że Jonas wyszedł poza teoretyczne rozważania na ten temat. Już nie mówiąc o tym, że po prostu nie był zdolny do tego, aby wymierzyć komuś pięścią cios w twarz lub przynajmniej wbić kolano między czyjeś nogi. To głowa była silną stroną Jonasa, a nie mięśnie. Dlatego próba zmierzenia się z przeciwnikiem akurat takim jak Denis Shove była po prostu szaleństwem.

Kula trafiła go jeszcze w trakcie skoku. Jonas zatrzymał się nagle, patrząc wyraźnie skonsternowanym wzrokiem na przeciwnika, jak gdyby nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mierzący do niego z broni robi z niej także użytek. Jeszcze przez chwilę Jonas starał się zachować równowagę, po czym zachwiał się i wyglądał niemal jak tancerz na linie, który rozpaczliwie próbuje ratować się przed upadkiem. Zamachał gwałtownie ramionami, runął na ziemię i znieruchomiał. Stella chciała krzyczeć, nie była jednak w stanie wydobyć z krtani choćby jednego dźwięku. Upadła na kolana i obiema rękami objęła głowę Jonasa. Nie mogła stwierdzić, gdzie właściwie trafiła kula.

Odwróciła się w stronę Neila.

– Postrzelił go pan. Potrzebujemy natychmiast lekarza. On musi do szpitala.

On...

Neil zrobił jeden krok w stronę Stelli, chwycił ją za ramię i brutalnie poderwał.

– Dalej, jazda. Na podwórze.

– Ale on jest ranny. On...

Przysunął lufę pistoletu tuż do jej twarzy.

– Dalej. Ja się nim zajmę. A im dłużej będziesz tu stać i lamentować, tym dłużej będzie to trwało. Idź dalej!

– Daddy! – płakał głośno Sam.

Wzięła go za rączkę. Dziecinną rączkę, drżącą tak mocno jak ona sama. Kolana uginały się pod nią i przez chwilę sądziła, że znów osunie się na podłogę obok Jonasa.

– Neil, proszę mu pomóc. On przecież nie zrobił panu nic złego.

– On jest głupi – odparł Neil. – Okropnie głupi. A teraz idź wreszcie. Tylko pogarszasz sprawę tą paplaniną.

Za wszelką cenę starała się powstrzymać łzy, kiedy wychodziła na podwórze. Widocznie Terry otworzyła już drzwi szopy. Stella chciała płakać i krzyczeć, opanowała się jednak z powodu Sammy'ego. Mały chłopczyk był już i tak przerażony i gdyby jego matka straciła panowanie nad sobą, tylko

pogorszyłyoby to sytuację.

Podwórze było jeszcze częściowo oświetlone słonecznymi promieniami, choć cienie już się wydłużyły. Piękny letni wieczór. Mogli teraz siedzieć na tarasie z tyłu domu i jeść tam kolację. Następnego dnia wszyscy razem pojechaliby popływać. Dlaczego to wszystko tak niespodziewanie zawało się i zamieniło w koszmar?

„To nie stało się niespodziewanie” – pomyślała Stella. Oni oboje, Jonas i ona, zlekceważyli wszystkie ostrzeżenia. Oboje mieli niedobre przeczucia praktycznie już od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyli Neila Courtneya. Czy też Denisa Shove’a. A przecież to kryminalista z prawdziwego zdarzenia. Oboje nieufnie i podejrzliwie przyjęli fakt jego odwiedzin w Kingston. Oboje byli jeszcze bardziej zaniepokojeni, kiedy dowiedzieli się ostatniej nocy od Terry, że Neil jeździł po torfowiskach i ich szukał. Powinni byli najpóźniej następnego ranka zwać stąd jak najszybciej. Tymczasem zignorowali to, co podpowiadała im intuicja. I teraz płacili za to wysoką cenę.

Naprzeciw nich szła Terry, niosąc w ręku wielki pęk kluczy.

– Szopa jest otwarta – powiedziała. Wyglądała na wyraźnie wstrząśniętą i przerażoną. – Neil, słyszałam strzał. Co...

– Idź do domu. Zajmij się Jonasem. Zobacz, co możesz zrobić. A wy – Neil machnął bronią w kierunku Stelli i Sammy’ego – wy idźcie dalej!

Było jasne, że zamierza ich uwięzić w szopie. W tym wielkim kamiennym budynku bez okien, z którego nie było żadnej możliwości ucieczki. Żadnej nadziei na ściągnięcie pomocy. Na wezwanie lekarza do Jonasa. Bo przecież Neil nigdy w życiu nie zawiadomi jakichkolwiek służb ratowniczych. Jest poszukiwany w związku z morderstwem policjanta. Nie może się odważyć wyjść z ukrycia. Tylko dlaczego Jonas musiał zrobić coś tak szalonego? Rzucać się na uzbrojonego mężczyznę. Nie miał przecież żadnych szans i powinien był zdawać sobie z tego sprawę.

Potykając się, weszli do szopy. Stella spodziewała się całkowitej ciemności, ale stwierdziła, że panował tam półcień. Spojrzała w górę i zauważyła, że wbrew jej przypuszczeniom było tam okno. Przez jego brudną, zmętniałą szybę do środka przedostawało się światło dzienne. Ponieważ pomieszczenie miało dobre cztery metry wysokości, a okno znajdowało się tuż pod dachem, to aby się tam dostać, potrzebna była drabina. I nie wiadomo, czy okno w ogóle da się otworzyć. Było ono także zbyt małe, aby stąd wyjść; można było najwyżej wystawić przez nie głowę i wołać o pomoc. Ale kto mógłby to usłyszeć? W czasie ich pobytu tutaj Stella widziała tylko jednego turystę, który i tak przechodził w sporym oddaleniu od farmy. Choć co prawda pogoda była wówczas fatalna, może kiedy świeciło słońce, to w okolicy zjawiało się więcej ludzi. Ale i tak była to bardzo wątpliwa opcja, tym bardziej że nie było wiadomo, czy w szopie jest jakaś drabina

stanowiąca podstawę dalszego działania.

– Siedźcie na razie tutaj i zachowujcie się spokojnie, jasne? – rozkazał Neil.
– Im mniej kłopotów mi sprawicie, tym większa szansa, że wygrzebiecie się z tego.

– Co będzie z Jonasem? – spytała Stella.

– Zajmiemy się nim. Jego życiu nic nie grozi – stwierdził Neil.

Stella miała wrażenie, że kłamie. Zwłaszcza że nie miał pojęcia, gdzie trafiła Jonasa kula, czyli mówił o czymś, czego nie wiedział na pewno, a jedynie miał nadzieję, że tak jest. Prawdopodobnie nie zależało mu na tym, aby w jego rejestrze czynów kolidujących z prawem znalazło się kolejne morderstwo, ale pewnie będzie wolał, aby Jonas się wykrwawił, niż zaryzykuje wezwanie pomocy.

– Nie może go pan przenieść tutaj? Żebym mogła się nim zająć? – poprosiła.

– Zobaczmy. Usiądźcie gdzieś tutaj i trzymajcie buzie na kłódkę. Dostaniecie potem coś do jedzenia.

– Potrzebujemy przede wszystkim wody.

– Wodę też dostaniecie. A teraz spokój. Wróć tu później.

Ciężkie żelazne drzwi zatrzasnęły się z hałasem, w zamku zazgrzytał klucz. Od razu zrobiło się nieco ciemniej, ale jednak można było rozpoznać zarysy leżących i stojących przedmiotów: starych, zniszczonych mebli, ułożonego w stos drewna do kominka, garnków z terakoty, zwiniętych dywanów, kilku koszy do transportu kotów, także dwóch rowerów. Ten budynek służył za rupieciarnię i skład niepotrzebnych rzeczy. Mimo panującego na zewnątrz upału powietrze tutaj było zimne i wilgotne. Stella zadygotała. Miała wrażenie, że Sam także drżał bardziej niż poprzednio, nie tylko z powodu doznanego szoku.

– Sammy, nic a nic się nie bój, dobrze? Poszukamy teraz czegoś ciepłego, może jakiegoś koca, w który będziemy mogli się zawinąć. Inaczej przeziębimy się oboje.

Chłopczyk nie ruszał się z miejsca.

– On zastrzelił daddy’ego.

– Nie, nie zastrzelił, tylko postrzelił. Słyszałeś przecież, co powiedział. Daddy nie został ciężko ranny, to na pewno tylko draśnięcie. Oni zabandażują mu ranę i daddy poczuje się lepiej.

– Dlaczego daddy nie jest z nami?

– Bo Neil i Terry muszą go opatrzyć.

– I on potem przyjdzie do nas?

– Mam nadzieję, Sammy. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– Dlaczego Neil strzelił do daddy’ego?

– Neil nam groził i daddy chciał mu odebrać broń. Dlatego Neil strzelił.

Łatwo było przewidzieć, że do tego dojdzie.

– Dlaczego Neil nam groził?

– Neil jest złym człowiekiem. Ale on chce tylko odpocząć tutaj kilka dni,

a potem uciekać. I wtedy nas wypuści.

Mogła jedynie mieć nadzieję, że tak się stanie, ale najwyraźniej brzmiało to przekonująco, bo Sam przestał pytać. Choć co prawda nie był teraz zdolny do czegokolwiek. Stał bez ruchu i ciągle dygotał.

Stella po krótkim namyśle posadziła go na dwuosobowej sofie stojącej przy ścianie i wyglądającej tak, jak gdyby nie była używana od co najmniej stu lat, i udała się na poszukiwanie koca. Szperając po kątach, rozważała różne możliwe opcje: był czwartek. W niedzielę zamierzali wyruszyć w drogę do domu. W poniedziałek Sammy miał wrócić do swojej grupy przedszkolnej. Czy nauczycielki zaczną dociekać, co się stało, kiedy się nie pojawi? Może któraś zadzwoni do nas do domu i kiedy nikt nie odbierze telefonu, uzna, że zostaliśmy dłużej, niż planowaliśmy, pomyślała Stella. W końcu udział w zajęciach tej grupy był dobrowolny, nikt nie będzie poruszał nieba i ziemi tylko dlatego, że rodzina dziecka postanowiła przedłużyć urlop i zapomniała o tym zawiadomić. A ten kolega, który wynajął im farmę? Stella przechwalała się przed Neilem, że on będzie chciał otrzymać klucz oraz pieniądze już w poniedziałek, ale prawda była taka, że Jonas uiścił opłatę z góry, a jeśli chodziło o klucz, to Stella nie miała pojęcia, co ustalili obaj mężczyźni. Nie było też tak, że obaj pracowali w jednej firmie i chcąc nie chcąc, codziennie widzieli się w pracy. Obaj byli autorami pracującymi na własny rachunek. Było raczej nieprawdopodobne, że umówili się na spotkanie od razu w poniedziałek. Każdy z nich mógł tkwić po uszy w pracy wobec terminu jej oddania bądź też przebywać na planie filmowym. Mogli być umówieni na bliżej nieokreślony termin. Niejasne były też inne daty spotkań Jonasa. W pierwszych dniach po powrocie z wakacji mógł nie mieć żadnych konkretnych zadań. Oczywiście ktoś w końcu zauważy, że Jonas najzwyczajniej nie wrócił do domu z wakacji. Ale kiedy?

Okay, tego rodzaju rozmyślania do niczego nie prowadziły. A inne możliwości? Sąsiadka, która podlewała im kwiaty i odbierała pocztę. Ona przynajmniej zauważy natychmiast, że rodziny Crane'ów nie ma dłużej, niż było to zapowiadane. Stella zastanawiała się, co powiedziała jej na temat miejsca ich wakacyjnego pobytu. „Po prostu na jakiś czas znikniemy. I zamieszkamy gdzieś na odludziu w północnej Anglii”. Stella nie powiedziała nic konkretnego, co znaczyło, że nawet kiedy sąsiadka zacznie się niepokoić i zawiadomi policję, to i tak nie będzie w stanie powiedzieć nic dokładnego. Północna Anglia. To przecież olbrzymie terytorium. Należało się raczej zastanowić, jak daleko posunie się policja w razie ewentualnego dochodzenia. Jeśli zaczną sprawdzać w kręgach zawodowych Jonasa, to kiedyś w końcu trafią na kogoś, kto będzie coś wiedział na temat całej sprawy i udzieli dokładniejszej informacji. Stella nie miała jednak pojęcia, jak szybko i z jaką intensywnością policja będzie poszukiwać rodziny, która nie wróciła na czas z urlopu. Znowu pomyślała o sąsiadce – kobiecie starszej

i zawsze nieco roztrzępanej. Stella sama sądziłaby, że ktoś taki raczej się pomylił i w związku z tym nie ma powodów do obaw.

Tymczasem jej oczy przyzwyczyły się trochę do panującego mroku, ale niestety dzięki temu mogła jedynie stwierdzić, że nie było tu drabiny. A bez niej nie można się było dostać do okna.

Ale za to znalazła wełniany koc. Kiedy go wyciągnęła, uniosła się tak ogromna chmura kurzu, że Stella zaczęła kaszleć. Miała nadzieję, że oboje z Sammym nie zareagują alergicznie, kiedy się w niego zawiną. Wytrzeptała brudny koc najlepiej, jak tylko było to możliwe i wróciła do sofy, na której Sammy siedział bez ruchu, dokładnie tak, jak go tam posadziła. Chłopiec dygotał z zimna. Stella usiadła obok, objęła go ramionami i okryła siebie i dziecko kocem.

– Chodź do mnie, malutki. Ogrzeję cię. Nie musisz tak dygotać.

Pogładziła go łagodnie po włosach.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Gdzie jest daddy?

– Oni opatrują mu ranę. A potem przyniosą go tutaj.

– Mummy, czy ktoś przyjdzie i zabierze nas stąd?

Sammy najwyraźniej miał te same obawy co ona.

– Na pewno. Będą nas szukać.

– A czy ktoś wie, gdzie jesteśmy?

– No, na przykład ten kolega daddy'ego. Ten, do którego należy farma.

Niestety była to jedyna osoba.

– Czy on pójdzie na policję? – spytał Sam.

– Z pewnością!

– I oni nas wtedy uwolnią?

– Na pewno tak, mogę się założyć. To będzie wielka akcja. A ty będziesz mógł opowiedzieć kolegom, jak to wyglądało. Na pewno wszyscy będą pękać z zazdrości!

Perspektywa powrotu w glorii bohatera z filmowej opowieści zelektryzowała wręcz Sammy'ego. Chłopiec zaczął odmalowywać w barwnych kolorach akcję policji i w końcu przestał drzeć.

Stellę jednak ciągle prześladował niepokój. Jak czuł się Jonas? I co zamierzał Neil? Czy w ogóle będzie chciał się zająć swoimi więźniami? Wytrzymają jakiś czas bez żywności, ale nie bez wody. Na ile niebezpieczny, brutalny i pozbawiony skrupułów był ten człowiek? Czy Terry w decydującym momencie odważy mu się przeciwstawić?

Musiła bronić się przed myślami, które ją osaczały; jeśli nie zapanuje nad swoimi obawami i lękiem, nie będzie oparciem dla Sammy'ego ani też nie zdobędzie się na rozsądne działanie. Ale tak czy owak – Neil Courtney alias Denis Shove był poszukiwany przez policję. Nie zagrażał im więc jakiś nieobliczalny

szaleniec, o którym nikt nie miał pojęcia. Jego zdjęcie było już we wszystkich gazetach i policja poszukiwała go za pomocą wszelkich dostępnych środków. I może była już na jego tropie, o czym nikt, nawet on sam, nie miał pojęcia. Może perspektywa wielkiej akcji policji, tak barwnie odmalowana przez Sammy'ego, rzeczywiście nie była odległa.

Stella zauważyła nagle, że jej syn przestał mówić. Zasnął po prostu z głową przytuloną do jej ramienia i oddychał głęboko i równomiernie. Bogu dzięki nie cierpiał z powodu głodu ani pragnienia – jeszcze nie.

Zapadła noc i ciągle nikt się nie pokazywał. Oboje nie wiedzieli, co z Jonaszem. W ogóle nic nie wiedzieli.

Stella zaczęła cicho płakać.

Było to coś na kształt spóźnionych oględzin miejsca zbrodni. Znajdowali się zaledwie kilka kroków od niewielkiego parku rozrywki w porcie w Scarborough i patrzyli na salon gier komputerowych, na który szesnaście lat temu pewnego wiosennego dnia napadło trzech młodocianych chuliganów. Chłopcy chcieli tylko zrabować pieniądze, tymczasem efektem napadu była ofiara śmiertelna. I dzięki osobliwym zrządeniom losu, których czasem nie szczędzi życie, ta właśnie historia doprowadziła do spotkania pewnego inspektora policji w Yorkshire i kobiety, która była świadkiem. Wiele lat później oboje zostali zamordowani. Czy klucz do rozwiązania tej historii leżał właśnie tutaj? W ich pierwszym spotkaniu? Jedną z zasad pracy Caleba było dochodzenie po nitce do samego początku kłębka. I dokładne przyjrzenie się właśnie początkowi każdej historii, którą należało rozwikłać. Zgodnie z jego doświadczeniem śledzenie chronologicznego przebiegu wydarzeń często prowadziło do rozwiązania zagadki.

On, funkcjonariuszka Scapin i sierżant Stewart udali się do salonu gier nie tylko po to, aby wczuć się w scenerię ówczesnych wydarzeń, lecz także aby w porcie szybko coś zjeść. Było już po drugiej i wszyscy troje bardzo zgłodnieli. A koło parku rozrywki znajdowała się smażalnia ryb, gdzie można było dostać naprawdę znakomite, gorące i chrupiące frytki, wraz z dodatkiem okropnego czerwono-białego sosu majonezowego. Każde z nich zakupiło dużą porcję, choć Jane Scapin marudziła, że tego rodzaju dieta może na dłuższą metę prowadzić do poważnych chorób. Caleb, znacznie częściej niż jego współpracownicy korzystający z fast foodów, dawno już wypracował sobie na własny użytek pewną filozofię, zgodnie z którą do chorób prowadził nie tyle sposób odżywiania się, ile poczucie winy z tym związane oraz liczne ostrzeżenia, którymi człowiek był bez przerwy bombardowany w trakcie konsumpcji. Dlatego też konsekwentnie odrzucał wszelkie wątpliwości dotyczące własnego trybu życia.

Wszyscy troje stali więc na poboczu i drewnianymi widelczykami jedli gorące frytki, zapakowane w tłuste papierowe torebki. Tuż za nimi morskie fale miarowo uderzały o portowe nabrzeże, a czasami obijały się o nie także zardzewiałe burty zacumowanych statków. Był gorący dzień, niemal bez śladu wiatru i na przemian docierała do nich woń ryb, morskiego powietrza, alg, wodorostów oraz tłuszczu z okolicznych smażalni. W dodatku od czasu do czasu dołączał do tego zapach spalin przejeżdżających samochodów. Caleb rzadko odczuwał tuż nad wodą tyle poszczególnych zapachów. Przeważnie wiatr wiejący od morza raczej wszystkie je łączył.

– To się działo dokładnie tutaj, gdzie teraz stoimy – odezwał się Robert Stewart – jak wynika z akt dochodzenia i zeznania Melissy Cooper. Kiedy w środku padł strzał, sprawcy wybiegli i wskoczyli do czekającego samochodu. A samochód Mrs Cooper był zaparkowany kawałek dalej, bezpośrednio koło Marines Drive. Ona szła akurat z tamtego kierunku i chciała zjeść lunch ze znajomą w pubie kawałek dalej.

– Hm... – mruknął Caleb w odpowiedzi. Patrzył na budynek salonu gier z szeroko otwartymi szklanymi drzwiami od strony ulicy. Na stojących wewnątrz automatach obiecujących wielkie wygrane pulsowały czerwone, zielone i niebieskie światła. Oczywiście tylko w razie odpowiedniej inwestycji. W tej chwili nie było tam zbyt wielkiego ruchu. Koło automatów kręciło się zaledwie kilka osób, większość siedziała jednak przy barze. Także na ulicy było niewielu przechodniów. W mieście panował senny popołudniowy nastrój upalnego letniego dnia.

– Powinam była kupić sobie lody – powiedziała Jane. – A nie te tłuste, obrzydliwe frytki.

– W czasie upału organizm potrzebuje soli – odparł Caleb. Był tak głodny, że chętnie poprosiłby Jane o jej porcję, skoro ona nie chciała jeść, ale jakoś wydawało mu się to zbyt poufałe. Pracowali razem już od dłuższego czasu, lecz Jane była kobietą, która zachowywała odpowiedni dystans i nie tolerowała zbyt bliskości.

– Robert, odwiedził pan już sprawców tamtego napadu? – spytał Caleb.

Robert przytaknął gorliwie.

– Tak. Byłem u wszystkich trzech jeszcze wczoraj.

Robert był dumny, bo odwiedziny u trójki niegdysiejszych awanturujących się nastolatków nie były przyjemnym ani łatwym zadaniem. Tym bardziej że każdy z nich, dziś już dorośli, miał za sobą więzienne doświadczenia. Robert musiał się też przedrzeć przez górę akt dotyczących tej sprawy i siedział do późnej nocy w swoim biurze.

– Aby od razu zakończyć tę sprawę – mówił dalej – jestem prawie w stu procentach pewny, że żaden z nich nie ma nic wspólnego z morderstwem Linville’a i Mrs Cooper. Nazwisko Melissy Cooper w ogóle nic im nie mówiło i mam wrażenie, że nie udawali. Musieliby być znakomitymi aktorami, a tego w ogóle nie mogę sobie wyobrazić. Moim zdaniem oni nigdy nie poznali nazwisk ludzi, którzy byli świadkami napadu, ani też nie dowiedzieli się, co zeznawali świadkowie. Nie miało to też znaczenia dla ich dalszych losów, bo nie zostali skazani i uwięzieni na podstawie zeznań tylko jednego świadka, lecz dlatego że jeden z nich nie wytrzymał napięcia i sam się zgłosił na policję.

– A pana zdaniem: co to są za ludzie?

– Moim zdaniem oni byli wówczas trójką znudzonych chłopaków, którzy szukali jakiegoś małego skoku. A to, jak wiadomo, im nie wyszło i zamieniło się

w tragedię. Chłopcy nawet nie mieli za złe kompanowi, że poszedł na policję, bo dwóch pozostałych prędzej czy później zrobiłoby to samo. Wszystkich ich zszokowało i przeraziło to, co się stało. Dziś są całkowicie zresocjalizowani. Pobyt za kratkami był trudnym doświadczeniem i żaden z nich nie chce mieć nic do czynienia z policją czy wymiarem sprawiedliwości. Wszyscy trzej niemal wpadli w panikę, kiedy pokazałem moją legitymację służbową.

– Mają pracę?

– Jeden mieszka tutaj, w Scarborough, przejął ojcowską firmę zajmującą się meblowaniem kuchni. Z dwóch pozostałych jeden, z Hull, jest w tej chwili bezrobotny, a drugi usiłuje przetrwać, pracując jako pomocnik na budowach. Jest żonaty i ma rocznego syna. Kazałem sprowadzić akta wszystkich trzech i dokładnie je przejrzałem. W więzieniu cała trójka zachowywała się wzorowo. Po zwolnieniu warunkowym każdy starał się mieć kontrolę nad swoim życiem. Nie było z nimi żadnych problemów.

Caleb musiał przyznać, że nie rodziło to żadnych podstaw do przypuszczeń, że któryś z tych trzech mężczyzn bądź też wszyscy razem torturowali i potem zamordowali w okrutny sposób dwoje ludzi. Tak naprawdę dokładnie tego się spodziewał. I tym bardziej uważał Shove'a za sprawcę obu zbrodni.

– Okay – powiedział. – A więc ten napad zgodnie z usłyszaną historią był jedynie o tyle istotny, że w jego następstwie doszło do pierwszego spotkania Melissy Cooper i nadkomisarza Linville'a. Mimo to, Robercie, proszę sprawdzić jeszcze wszystkie możliwe powiązania. Przede wszystkim jeśli chodzi o Shove'a. Wszyscy czterej siedzieli w więzieniu w Hull. Mogli tam kogoś poznać i coś potem razem robić. Choć właściwie uważam to za mało prawdopodobne. Ale jedno da się zauważyć: w sprawie Shove'a decydującą rolę odegrał Linville. A w sprawie tej trójki młodocianych pewną rolę odegrali Linville i Melissa Cooper – choć co prawda była to rola podrzędna. Mimo to, gdyby się okazało, że ci czterej jednak się znają, musimy tych chłopców jeszcze raz dokładnie przesłuchać.

– Sir, jestem dziś po południu umówiony w więzieniu w Hull – odpowiedział Robert. – Wyjaśnię więc dokładnie i tę sprawę.

– I na wszelki wypadek proszę poszukać jeszcze pozostałych świadków tamtego napadu. Wszystkich, którzy zostali przesłuchani. Nie chciałbym, aby podzielili los Melissy Cooper. Musimy wiedzieć, czy w ich życiu też miały miejsce jakieś dziwne wydarzenia – wie pan, telefony, śledzenie, świadomość bycia obserwowanym i tak dalej.

– Wszystko jasne – odrzekł Robert.

– Sir, przejrzałam dokładnie akta Shove'a – zabrała głos Jane. Odeszła krok na bok i wyrzuciła do kosza torebkę wypełnioną w trzech czwartych frytkami. Caleb westchnął cicho.

– I?

– Niestety nie znalazłam niczego, co wskazywałoby na jakiś związek z Melissą Cooper. Nadkomisarz Linville ścigał Shove’a i w końcu go ujął. Denis Shove bezpośrednio po aresztowaniu, a także w sali sądowej głośno przysięgał, że zemści się na Linville’u. Nie wymienił oprócz niego nikogo, ale moim zdaniem nie musi to znaczyć, że nie zamierzał się mścić także na przyjaciółach i członkach rodziny Linville’a.

– To skąd mógł wiedzieć o Melissie Cooper? – spytał Robert.

– Shove siedział dość długo w więzieniu – stwierdził Caleb. – Mógł się dowiedzieć od kogoś zupełnie innego, że Linville miał romans z Melissą Cooper. Na przykład nie wiadomo, czy ta historia nie krążyła także wśród pracowników zakładu karnego w Hull.

Robert patrzył na niego z powątpiewaniem.

A Caleb myślał o tym, że nawet w Scotland Yardzie w Londynie wiadano o jego problemie z alkoholem. Toteż nie wykluczał niczego.

– Tylko ta dziwna kolejność – powiedział w zamyśleniu. – Ona ciągle się nie zgadza. Dlaczego Cooper nie została zamordowana najpierw? Przecież dzięki temu można było przerazić Linville’a i go podręczyć.

– Jeśli o to chodzi, to ciągle drepczemy w miejscu – stwierdził Robert.

„Czego ja tutaj nie widzę? – pytał sam siebie Caleb. – Coś tu się nie zgadza, a ja ciągle nie widzę co”.

Zaczął więc inaczej.

– Czy mówi nam coś nazwisko Neil Courtney? Czy w otoczeniu Shove’a jest ktoś, kto się tak nazywa albo kto takie nazwisko przyjął? A może Shove przyjął to nazwisko całkiem przypadkowo? – zastanawiał się głośno.

– Na ten temat nie mogłam w aktach znaleźć niczego – odpowiedziała Jane. – Ale będę jeszcze szukać.

– Sprawę tego nazwiska poruszę też dziś w więzieniu – rzekł Robert. – Może ten Neil Courtney to jakaś więzienna znajomość Shove’a. A poza tym w ten weekend wraca owa psycholog, która opiekowała się Shove’em. Musimy z nią koniecznie porozmawiać. W poniedziałek do niej zatelefonuję.

– Bardzo dobrze. Jane, a czy są jakieś wiadomości na temat przeszukania mieszkania w Leeds?

Jane z żalem potrząsnęła głową.

– Nic, co mogłoby nam pomóc. Oprócz paru ubrań należących do Shove’a nie znaleźliśmy niczego. Ani listów, ani też papierów albo czegoś podobnego. Specjaliści sprawdzają jeszcze komputer Therese Malyan, ale na razie wszystko wskazuje na to, że był używany tylko przez nią.

– Shove jest więc cieniem samego siebie – stwierdził Caleb.

– Musiał się nim stać – odpowiedział Robert. – Po morderstwie Linville’a zaczęliśmy go tropić i on wiedział, że tak będzie.

– Co wiemy na temat Therese Malyan? – spytał Caleb.

– W jakiś sposób ona też wydaje mi się trochę kimś w rodzaju cienia samej siebie – stwierdziła Jane. – Nie można o niej zbyt wiele powiedzieć na podstawie jej własnego mieszkania. Jak już mówiłam, komputer jest ciągle sprawdzany, ale pierwsze wiadomości z przeglądu jej maili oraz tego, jakie strony internetowe odwiedza, niczego o niej nie mówią. Jej kontakty ze światem nie są zbyt szerokie, to przypuszczalnie osoba rzeczywiście dość zagubiona. Na korkowej tablicy w kuchni, gdzie przypina różne kartki, wisi jedynie kilka widokówek, które przysłali jej znajomi z różnych wakacyjnych wyjazdów, ale sądząc po datach stempli pocztowych, te widokówki są sprzed ładnych kilku lat. W jednej szufladzie w sypialni znaleźliśmy fotografie dziecka.

– Fotografie dziecka?

– Tak. Przedstawiają mniej więcej rocznego chłopca. Nie mam pojęcia, o kogo chodzi, może to dziecko jednej z przyjaciółek? W mieszkaniu nie ma nic, co wskazywałoby, że ono mogłoby tam mieszkać, a poza tym coś takiego zauważyłyby jej obie znajome z mieszkania powyżej.

– Czy dzwoniła pani do jej rodziców?

– Tak. Zgodnie z ich słowami Therese u nich nie ma, a poza tym oni nie utrzymują z córką żadnych kontaktów od trzech lat. Nie wiedzieli nawet, że ona mieszka w Leeds. I oczywiście tego, że ma towarzysza życia. Nie słyszeli nigdy nazwiska Neil Courtney ani też Denis Shove.

– To dosyć radykalne posunięcie jak na rodzinę – stwierdził Caleb. – I wszystko tylko dlatego, że córka rzuciła szkołę?

Jane wzruszyła ramionami.

– Niektórzy rodzice czegoś takiego nie przebaczą.

– Kim tak naprawdę jest ta Therese Malyan? – spytał w zamyśleniu Caleb. – Czy ona jest tylko naiwną dziewczyną, tak jak ją opisała Helen Jefferson? Młoda, dość ograniczona kobieta, która pozwala, aby wykorzystywał ją kryminalista, i nie chce się dowiedzieć niczego bliższego o nim samym? A może ona doskonale zdaje sobie sprawę, z kim się zadaje? I została jego współniczką?

– Trudno powiedzieć – zastanawiała się Jane. – Wydaje się na to zbyt ograniczona właśnie. Ma w domu cały regał prostych, naiwnych romansów. Zeszyty typu Mills & Boone – bez końca. Wie pan, to takie czytała, gdzie na okładkach przedstawione są piękne młode kobiety w ramionach silnych mężczyzn, które właśnie zostały przez nich uratowane od strasznego niebezpieczeństwa.

– Brzmi to trochę tak, jak gdyby Therese chętnie uciekała ze smutnej rzeczywistości w świat iluzji, prawda?

– Bez wątplenia. Na tym polega urok tych zeszytów. Każda kobieta wie, że w rzeczywistości nigdy nie będzie tak piękna i pożądana jak dziewczyny z tych historii. I w świecie realnym równie rzadko można spotkać tak silnych, śmiałych

i rycerskich mężczyzn. Właściwie nigdy – dodała z żalem Jane.

– No, jeśli chodzi o Denisa Shove’a, to z pewnością pomyliła się całkowicie. O ile rzeczywiście uważała go z początku za księcia, a zdaje się, że tak właśnie było, zgodnie z tym, co mówili ludzie z jej otoczenia.

– Jeszcze jedno rzuciło mi się w oczy – oznajmiła Jane. – A mianowicie to, że ona albo nagle, w pośpiechu opuściła swoje mieszkanie, albo przynajmniej nie zamierzała wyjeżdżać na dłużej. W szafie nie było pustych wieszaków, szuflady z bielizną też były pełne. Mam wrażenie, że nie zapakowała nic do ubrania ani choćby czegoś na zmianę.

– To by się zgadzało z zeznaniem Helen Jefferson – stwierdził Caleb. – Bo Helen jest pewna, że w środku nocy doszło do jakiejś gwałtownej kłótni między Denisem Shove’em a Therese. I że on użył przemocy – co chyba miało miejsce nie po raz pierwszy. Tym razem jednak ona po prostu uciekła. I Denis w efekcie został bez samochodu, a przecież musiał się koniecznie ukryć. Czy dlatego, że poprzedniego dnia zabił Melissę Cooper?

– Albo dlatego, że rankiem zobaczył swoje zdjęcie w gazecie – przypomniał Robert.

– Sir, mogę coś zaproponować? – odezwała się znów Jane.

Caleb cały czas miał wrażenie, że coś ją dręczyło.

– Tak?

– Chciałabym osobiście porozmawiać z rodzicami Therese Malyan. W czasie rozmowy telefonicznej miałam uczucie, że... To dziwne, ale wydawało mi się, że oni nie mówią mi wszystkiego. Nie potrafię tego logicznie uzasadnić, ale czuję to intuicyjnie, i to bardzo wyraźnie. W tej rodzinie coś nie gra i możliwe, że to właśnie będzie nowy punkt zaczepienia w tej sprawie.

– Oni mieszkają aż w Truro!

– Wiem. Pojechałabym tam w czasie weekendu.

– I tak chciałem prosić kolegów z Kornwalii, aby sprawdzili tę rodzinę. To na wypadek gdyby wbrew temu, co mówią, jednak ukrywali Therese u siebie. Bo w takim razie oni też mogą być narażeni na niebezpieczeństwo.

– Ale koledzy na miejscu mogą się nie orientować, na czym polega problem z rodziną Malyanów. Mają na to po prostu zbyt mało wiedzy. Byłoby lepiej, gdybym ja to zrobiła – upierała się Jane.

– Może pani wyjechać na dwa dni? To znaczy, z powodu Dylana...

– Zorganizuję to. Może poproszę Seana – odpowiedziała Jane. Uśmiechała się, ale jej twarz sprawiała wrażenie pełnej napięcia. Dwa dni nieobecności w domu stanowiły dla niej duży problem, ale Caleb powstrzymał się od dalszych pytań. Jane była przecież dorosła i zapewne wiedziała, co robi.

– Okay – odpowiedział więc i spojrzał na zegarek. Przerwa obiadowa dobiegała końca i wszyscy musieli się zabrać do dalszej pracy.

– A więc, Robercie, pojedzie pan teraz do więzienia w Hull. Dokładne sprawozdanie dziś wieczór. Jane, proszę mi wyświadczyć przysługę i poszukać Kate Linville. Martwię się o nią.

– O jej psychikę, sir?

– Tak. Ale nie tylko. Jeśli plan zemsty Shove'a polega na tym, aby mordować wszystkich ludzi, którzy byli bliscy dla Linville'a, to bez wątpienia jego córka będzie także narażona na niebezpieczeństwo. Tym bardziej że kolejność, w jakiej on wyszukuje swoje ofiary, jest mu najwyraźniej zupełnie obojętna.

– Co powinna zrobić Kate Linville? – spytała Jane.

– Najbardziej chciałbym, aby wreszcie wróciła do Londynu – odparł Caleb – i do swojego dawnego życia i pracy. Wolałbym, aby siedziała w biurach Scotland Yardu, a nie tkwiła w domu ojca. Dla mordercy jest tu jak łakomy kąsek podany wprost na talerzu.

– Porozmawiam z nią – obiecała Jane. Choć właściwie nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei co do swojej misji, ale to zatrzymała dla siebie. A w dodatku miała wrażenie, że coś zaszło między szefem a Kate. I to przedostatniej nocy. To znów było coś takiego, czego nie potrafiła uzasadnić, ale intuicja mówiła jej to wyraźnie. I w normalnej sytuacji to Caleb sam odwiedziłby Kate, zamiast wysłać do niej swoją współpracowniczkę.

Teraz Robert spojrział na zegarek.

– Muszę jechać. Do Hull jest ładny kawałek drogi.

– A ja pojedę wprost do Scalby i porozmawiam z Kate – oświadczyła Jane. – Będę mieć potem czas, aby przygotować wszystko w domu i jutro wczesnym rankiem wyruszę do Truro. A pan, sir?

– Ja przez parę chwil spróbuję wczuć się w to miasto i zobaczę, jak ono na mnie działa – odparł Caleb. – I przemyślę parę spraw.

Patrzył za nimi, gdy oboje szli w kierunku swych samochodów, i zastanawiał się, czy uwierzyli w to, co mówił. W końcu wzruszył ramionami. Przecież to i tak wszystko jedno.

Potem podszedł do smażalni i zrobił to, na co czekał przez cały czas: kupił sobie kolejną porcję frytek.

2

Nazywała się Sue Burley, ciągle jeszcze mieszkała w Whitby i od razu przypomniała sobie Melissę Cooper. Zareagowała też natychmiast, słysząc nazwisko Linville'a.

– Mój Boże, cóż to był za dramat. Richard Linville. Taka straszna historia. Czy on nie został zamordowany? A pani jest może jego córką?

– Tak, jestem jego córką – odrzekła Kate. Nazwisko i adres Sue otrzymała od Michaela Coopera, do którego zadzwoniła zgodnie z umową, pytając

o przyjaciółki jego matki z dawnych czasów. Pamiętał tylko tę jedną, ale sądził, że Sue wymieni kolejną.

– I mam nadzieję, że ona ciągle jeszcze mieszka w Whitby – dodał. – Nie słyszałem o niej od bardzo dawna i o ile wiem, moja matka też już nie utrzymywała z nią żadnych kontaktów.

Kate znalazła w Internecie numer Sue i ku jej uldze kobieta od razu odebrała telefon. W dodatku okazała się osobą bardzo rozmowną i bardzo otwartą.

– Co słyhać u Melissy? – zapytała w końcu.

Liczne gazety donosiły o kolejnej zbrodni, ale tylko niektóre wymieniły pełne nazwisko ofiary. Sue Burley najwyraźniej nie wyciągnęła jeszcze właściwych wniosków.

Kate nienawidziła przekazywania złych wiadomości, zarówno jako policjantka na służbie, jak i w życiu prywatnym. Nie miała jednak wyjścia.

– Melissa Cooper także została zamordowana. Wczoraj. I przypuszczalnie przez tego samego sprawcę, który ma na sumieniu mojego ojca.

Po drugiej stronie zapadło pełne przerażenia milczenie. A potem Kate usłyszała szybki oddech.

– Co takiego? – spytała Sue.

– Mrs Burley, wiem, że teraz to wszystko panią przerasta. Ja także jestem... mocno rozkojarzona. Po pierwsze dlatego, że w związku z wczorajszą zbrodnią dowiedziałam się, że... że mój ojciec miał romans. Właśnie z Melissą Cooper. Nie miałam o tym wcześniej pojęcia ani też nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

– Zamordowana? – spytała Sue.

Kate rozumiała, że w tym momencie dokładniejsze wypytywanie nie miało sensu. Sue nie była zdolna do rozmowy.

– Mrs Burley, gdyby miała pani chwilę... Chętnie odwiedziłabym panią w Whitby. Zajęłoby to nam jedynie godzinę. Muszę dowiedzieć się więcej o tym wszystkim. Nie na temat zbrodni, to oczywiście zostawiam policji – pośpieszyła zapewnić, na wypadek gdyby Caleb Hale natknął się w swych dochodzeniach na przyjaciółkę ofiary morderstwa. Nie powinien był od razu się dowiedzieć, że tu też ktoś wcześniej był i prowadził dochodzenie. Kate wiedziała, że tym razem nie groziłby już złożeniem zażalenia do jej zwierzchników, lecz natychmiast by to zrobił.

– Jestem tak rozkojarzona z powodu tego... związku. Obraz mojego ojca, który zawsze miałam w pamięci, w jednej chwili zmienił się kompletnie. Muszę spróbować go zrozumieć.

– Ale kto mógł zamordować pani ojca i Melissę? Przecież to nie ma sensu.

– Czy miałyby pani czas jutro po południu? – spytała łagodnie Kate.

Po dłuższej chwili udało jej się w końcu ustalić ze wstrząśniętą Sue Burley termin wizyty na trzecią po południu, jak też skłonić ją, aby zaprosiła do siebie

kolejną przyjaciółkę swoją i Melissy. Wówczas Kate zakończyła rozmowę, a Sue musiała się teraz uporać ze swym szokiem.

Kate postanowiła właśnie usiąść na tarasie ze szklanką chłodnego napoju w ręce, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Przez chwilę poczuła nadzieję – i jednocześnie przerażenie – że to Caleb składa jej wizytę. Ale była to Jane Scapin. Caleb Hale jeszcze bardziej się wycofał.

– Pomyślałam po prostu, że zajrzę do pani – powiedziała Jane.

Kate zaprosiła ją na taras i podała wodę mineralną z lodem i cytryną, a Jane nie kryła zadowolenia. Był naprawdę gorący dzień bez śladu wiatru.

– Czy to Caleb panią przysłał? – spytała Kate.

Jane wahala się przez chwilę, lecz przytaknęła.

– Tak. Martwi się o panią.

– Ależ nie musi.

– Ale jednak się martwi. I tak jest pani w trudnym okresie, a jeszcze ta historia z odkryciem... tego romansu z życia pani ojca... To niczego nie ułatwia. Jest pani jeszcze trudniej.

– Nie. Ale jeśli Caleb o tym wie i to rozumie, to wie też z pewnością, że nie mogę siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić. Nie chcę się mieszać do dochodzenia, które on prowadzi, Jane. Muszę się jednak dowiedzieć, co łączyło mojego ojca z Melissą Cooper. Muszę spróbować prześledzić to wszystko sama, zobaczyć na własne oczy. Po to, abym znów mogła zawrzeć z nim pokój.

– Rozumiem to – odrzekła Jane. – Caleb także. Ale nie da się tego oddzielić od dochodzeń policyjnych, i to jest właśnie problem. Caleb nie chciałby przede wszystkim, aby naraziła się pani na niebezpieczeństwo.

– Co mogłoby mi się stać?

– Caleb obawia się Denisa Shove'a. Jeśli to on jest sprawcą, to miał motyw, aby zamordować pani ojca, ale nie miał powodu, aby mordować Melissę Cooper. A przynajmniej jeszcze go nie znamy i dlatego musimy założyć, że on w swojej nienawiści do pani ojca będzie chciał mordować także bliskie mu osoby.

– A ja bez wątplenia do nich należę – podsumowała Kate.

Kate skinęła głową.

– To prawda.

– Tak, ale to nie zmieni się dlatego, że nic nie będę robić. Nawet jeśli wrócę do Londynu...

Jane oparła się w fotelu. Londyn. Jej hasło.

– Byłaby pani bezpieczniejsza. Mam na myśli to, że tam spędza pani większość czasu w budynku Scotland Yardu. W pani sytuacji to nie jest złe miejsce.

– Nie sypiam tam przecież. Nie spędzam tam też weekendów. Jane, niechże pani pomyśli! Jeśli Shove będzie chciał mnie zabić, może to zrobić równie dobrze

w Londynie, jak i tu.

– Ale on ciągle jeszcze jest w Yorkshire. I w tej chwili nie za bardzo może się poruszać.

Zaintrygowana Kate wyprostowała się natychmiast.

– Czy są jakieś nowe wiadomości na jego temat? Dotychczas wydawało się, że zniknął tak skutecznie, jakby go ziemia pochłonęła.

Jane wahala się i w końcu postanowiła opowiedzieć tę historię przynajmniej częściowo. Bo przecież z powodu pościgu i tak coś niecoś na ten temat pojawi się w gazetach. Nie wymieniła więc nazwisk żadnych osób i powiedziała tylko, że Shove napadł pewną kobietę z Leeds i ukradł jej samochód i że z powodu intensywnych poszukiwań policyjnych nie za bardzo może ryzykować podróż tym samochodem aż do Londynu.

– Mógł jedynie uciec do jakiejś kryjówki w pobliżu. Jakikolwiek inne działania w jego wypadku byłyby szaleństwem. Tym bardziej że mamy jego aktualny rysopis. Podjął pewne środki, aby zmienić wygląd, ale właśnie z tym wpadł. Musi teraz zachować spokój. Shove jest zbyt przebiegły na to, aby podjąć ryzyko, którego nie da się skalkulować.

– A więc nie zjawi się także tutaj, aby rozwalić mi czaszkę – stwierdziła Kate.

Jane potrząsnęła głową.

– Prawdopodobieństwo, że miejsce, w którym przebywa, leży w pobliżu Scalby, jest jednak o wiele większe. Londyn jest bezpieczniejszy.

Ale Kate myślała już o czym innym.

– Napada kobietę i kradnie samochód. Bezpośrednio po morderstwie Melissy Cooper. To powinno potwierdzać teorię Caleba, że to właśnie Shove jest sprawcą.

– Tak. Ale także zdaniem moim i moich kolegów ten fakt potwierdza taką teorię.

Przez chwilę obie milczały, pijąc wodę i oddając się rozmyśleniom. Gdzieś daleko warczał samolot, ale poza tym tego upalnego popołudnia panowała zupełna cisza.

W końcu Jane powiedziała:

– Okay, Kate, wie pani teraz o wszystkim. Nikt nie może pani zmusić, aby opuściła pani Scalby, ale jeśli pani zostanie, to proszę być przynajmniej bardzo ostrożną. Niechże pani za bardzo nie nadstawia głowy.

– Obiecuję – rzekła Kate.

Jane odstawiła pustą szklanke.

– Muszę już iść. Wyjeżdżam służbowo w czasie weekendu i muszę załatwić przedtem mnóstwo spraw.

To przypuszczalnie w związku z Dylanem musi załatwić mnóstwo spraw. Kate zdobyła się na odwagę. Wiedziała, że okazanie choćby odrobiny ciepła innym

przychodzi jej z takim trudem, ponieważ nigdy nie ma odwagi zadawać osobistych pytań.

– Pani jest... rozwiedziona?

Jane skinęła głową.

– Od kilku lat. To było małżeństwo zawarte w młodości i niestety szybko zakończone.

– Bardzo mi przykro.

– No tak, ale kto dziś nie jest rozwiedziony? Całkiem dobrze sobie z tym radzę.

Kate pomyślała jednak, że musi to być bardzo trudne, kiedy przed każdym wyjazdem trzeba szukać opieki do dziecka, choć co prawda oznaczało to też, że się było potrzebnym. I nie samotnym. Ona sama mogła wyjeżdżać i wychodzić, kiedy tylko chciała. Nie było nikogo, dla kogo jej obecność byłaby niezbędna i ważna.

Odprowdziła swego gościa do drzwi. Kiedy szły przez korytarz, przyszło jej do głowy, że dawno już nie siedziała tak po prostu z inną kobietą, pijąc coś i rozmawiając na prywatne tematy. I nawet jeśli to Caleb przysłał Jane, to Kate miała wrażenie, że ona także naprawdę się o nią martwiła. Jane obawiała się o nią, o Kate. Nikt inny oprócz jej rodziców nie żywił wobec niej takich uczuć. Kate poczuła jakieś dziwne ciepło na myśl o niemal przyjaznym zachowaniu Jane. Tym bardziej że nie była przyzwyczajona do tego, aby któraś z jej koleżanek traktowała ją z szacunkiem, jak równą sobie. Ludzie, z którymi pracowała w Scotland Yardzie, przeważnie wymownie przewracali oczami, kiedy coś mówiła, marszczyli czoła albo głośno wzdychali. I poprzez to dawali jej do zrozumienia, że mówiła rzeczy dziwne i że wszystko, co robiła, w jakiś sposób było niewłaściwe – a jeśli nawet nie niewłaściwe, to w każdym razie co najmniej osobliwe. Jane natomiast słuchała jej uważnie i wydawało się, że ją rozumie.

Przy drzwiach Kate raz jeszcze zdobyła się na odwagę i spytała:

– A co u Caleba? Kiedy widziałam go po raz ostatni, był na mnie bardzo zły. Jane się uśmiechnęła.

– Gdyby był tylko zły, nie martwiłby się tak o panią. Dla niego ta sprawa jest powodem ogromnego stresu, przede wszystkim dlatego, że jeśli chodzi o pierwszą ofiarę, to był to jego kolega. A fakt, że córka tego kolegi jest także policjantką i również patrzy na sprawę przez zawodowe okulary oraz próbuje działać zgodnie ze swym zawodem, niczego nie ułatwia. Myślę, że on się obawia, iż sam już za dużo miesza. Musi trzymać panią z dala od dochodzenia, ale z drugiej strony ma wiele zrozumienia dla tego, że chce pani brać w tym udział.

– To zrozumienie nie za bardzo mogłam dostrzec – odparła Kate, choć w gruncie rzeczy wiedziała, że Jane miała rację: Caleb rzeczywiście wykazywał bardzo wiele zrozumienia. I od samego początku włączał ją do śledztwa o wiele bardziej, niż musiał.

– Nadkomisarz Hale jest w porządku – powiedziała Jane. – Także jako szef.

– Wiem, że miał wiele problemów – odpowiedziała ostrożnie Kate.

Jane spojrzała na nią ostro.

– A więc to dotarło aż do Scotland Yardu?

– Chyba w związku z morderstwem mojego ojca. Mój szef zasięgnął informacji na temat śledczego prowadzącego sprawę i potem... jakoś dowiedzieli się o tym wszyscy.

– To wszystko jest bardzo trudne dla Hale'a. I rzeczywiście o takich rzeczach prędzej czy później dowiadują się wszyscy. I o tym oczywiście on też wie.

– Czy jego żona odeszła właśnie dlatego? Z powodu... jego problemu?

– Mówią, że tak. Ale on nigdy o tym nie mówi, dlatego znam tylko plotki.

Kate chciała dowiedzieć się czegoś jeszcze.

– Jaka ona była? To znaczy jego żona?

Jane zastanawiała się przez chwilę.

– Sympatyczna – stwierdziła. – I bardzo atrakcyjna.

Kate poczuła, jak jej ramiona dosłownie opadły. Czegóż się spodziewała? Że Caleb ożenił się z taką niepozorną istotą jak ona?

„A w ogóle dlaczego mnie to interesuje?” – spytała niemal natychmiast samą siebie.

Jane przyglądała jej się uważnie, a Kate doznała nagle wrażenia, że ta młoda kobieta miała doskonałą intuicję i wyczucie innych ludzi.

– Jane – powiedziała szybko, głównie po to, aby zmienić temat i nie mówić już dłużej na temat Caleba – czy mogę panią o coś prosić?

– O co chodzi?

– W żadnym wypadku nie chcę, aby miała pani problemy, ale czy może mi pani dać znać, kiedy dowie się pani o Melissie Cooper czegoś, co rzuciłoby światło na jej związek z moim ojcem? Nie mówię o czymś, co dotyczy sprawy, to oczywiste. Ale gdyby natknęła się pani na sprawę czysto prywatną i może...

– Tutaj trudno będzie oddzielić płaszczyznę prywatną od samego dochodzenia – stwierdziła Jane. – Ale rozumiem panią, Kate. Jeśli tylko będę mogła coś powiedzieć i nie przekraczać przy tym pewnych granic, to na pewno skontaktuję się z panią.

– Dziękuję – odrzekła Kate. Wiedziała, że Jane robi dla niej wielkie ustępstwo.

Obie kobiety się pożegnały. Kate patrzyła, jak Jane wsiada do swojego starego samochodu i natychmiast z powodu upału opuszcza wszystkie szyby.

Poczuła jakiś nieokreślony żal, kiedy odjechała; chciałyby porozmawiać z nią dłużej. Jeśli w jej życiu nie było mężczyzny, to dobra przyjaciółka nie byłaby najgorszą alternatywą. Choć oczywiście Kate nie miała pojęcia, czy mogłaby się

zaprzyjaźnić z Jane Scapin. O ile w ogóle zostałyby w Yorkshire. W tej chwili w jej życiu wszystko było otwartą kwestią.

3

Ogromne pragnienie oraz przeświadczenie, że nikt w ogóle nie myśli o więźniach, skłaniało Stellę do działania bardziej niż troska i niepokój o Jonasa. Nie za bardzo się tego wstydziła – po prostu brakowało jej już energii. Miała za sobą koszmarną noc, bo choć w końcu kiedyś wreszcie zasnęła na niewygodnej sofie, to obudziła się już wczesnym rankiem, zmarznięta mimo drapiącego koca i jak zwykle po nocy – z wysuszonym gardłem; z tego też powodu koło jej łóżka zawsze stała butelka z wodą. Tu wody nie było, co uświadomiła sobie natychmiast, bo nie budziła się powoli, jak zwykle, lecz w jednej sekundzie zdała sobie od razu sprawę ze swojej sytuacji. Obok niej leżał Sammy, który nocą zsunął się z jej ramienia i spał w kącie sofy zwinięty w kłębek jak kot. Miała nadzieję, że jego sen jeszcze chwilę potrwa.

Ujrawszy jaśniejsze już okno, stwierdziła, że nadszedł dzień. Promienie wpadały do mrocznego wnętrza, a w ich świetle wirowały drobinki kurzu. O ile mogła ocenić, był to kolejny cudowny letni dzień. Myślała o tym, że dziś chcieli wszyscy razem jechać nad morze i się kąpać. Ich ostatni dzień. W sobotę mieli się pakować i sprzątać dom, a w niedzielę – ruszać w drogę do domu.

I wszystko miało się dobrze zakończyć.

Wstała ostrożnie, aby nie budzić Sama, i znów zaczęła się rozglądać po szopie, tym razem nie w poszukiwaniu koca, lecz czegoś, za pomocą czego można by się dostać do okna. Wybicie szyby i wołanie o pomoc wydawało jej się w tej chwili jedyną nikłą szansą ratunku. I już poprzedniego dnia stwierdziła, że nie było tu drabiny. Ale teraz pomyślała, że może znajdzie coś, co da się wykorzystać, aby się wspiąć do okna.

Wynik poszukiwań był dość przygnębiający: nie pozostawało jej nic innego jak zbudowanie chwiejnej wieży ze starych mebli i skrzyń. I było bardzo wątpliwe, czy taka wieża utrzyma ciężar jej ciała. A upadek z wysokości okna zakończyłby się z pewnością połamaniem kości. Czy rozsądny był stosunek takiego ryzyka do nieśmiałej nadziei, że jej wołanie usłyszy jakiś przechodzący w pobliżu turysta?

Jeszcze kiedy się nad tym zastanawiała, obudził się Sammy i natychmiast zaczął się skarżyć na pragnienie. W końcu wybuchnął płaczem.

– Chcę coś do picia – szlochał. – Mummy, tak strasznie chce mi się pić!

– Kochanie, jestem pewna, że oni wkrótce nam coś przyniosą – pocieszała go Stella. – Prawdopodobnie już przygotowują dla nas wspaniałe śniadanie. Ale przecież jest jeszcze bardzo wcześnie.

Tak naprawdę było już dość późno. A potem była godzina jedenasta, dwunasta. Minęła w końcu także pierwsza i druga. Nikt się nie pokazywał, choć

Stella nie słyszała nic, co pozwoliłoby przypuszczać, że Neil i Terry opuścili farmę. Inaczej niż samochodem nie można było tego zrobić, najwyżej rowerem, a wszystkie stały tu, w szopie. Do tej pory jednak nie było słyhać dźwięku silnika.

„Prawdopodobnie leżą całymi godzinami w łóżku – myślała Stella z wściekłością – podczas gdy my musimy cierpieć”.

W czasie długich popołudniowych godzin musiała znów wyteńczyć całą swą energię, aby zwalczać w sobie uczucie narastającej paniki. Utrata panowania nad sobą tylko pogorszyłaby sytuację. Stella musiała być silna – z powodu Sammy’ego. Chłopczyk na szczęście znów zasnął, kiedy wysiusiał się w końcu gdzieś w kącie szopy. Teraz leżał na sofie w pozycji embrionalnej i spał. Jego potargane jasne włosy sterczały zabawnie we wszystkich kierunkach, a na zaczerwienionej buzi ciągle widać było ślady łez. Powieki malca były spuchnięte, a wargi spękane.

„Przecież nie mogą dopuścić do tego, aby to dziecko umarło z pragnienia – myślała Stella – tym bardziej że to jest syn Terry!”

Skuliła się na sofie obok syna, poddając się przemożnemu poczuciu bezradności i apatii.

Sammy obudził się w końcu i jego pierwsze słowa brzmiały:

– Pić mi się chce!

Pogładziła go po włosach.

– Mnie też, Sammy, mnie też – odpowiedziała.

O piątej wreszcie usłyszeli, że ktoś zaczął coś majstrować przy zamku. Stella się zerwała. Drzwi otwarły się po dłuższej chwili i na progu stanęła Terry. Stella dostrzegła, że dziewczyna trzymała w ręce wiklinowy koszyk, który zawsze stał w kącie kuchni na ławce. Przez otwarte drzwi można było zobaczyć fragment błękitnego nieba.

– Halo – powiedziała Terry. – Przyniosłam wam coś do jedzenia i picia.

Stella miała już na końcu języka ostrą odpowiedź, a raczej ironiczne pytanie, czy Terry nie mogła pojawić się później, ale się powstrzymała. Terry była w tej chwili jedyną osobą, z którą wiązał się choć cień nadziei. Stella musiała ją za wszelką cenę skłonić, aby stała się jej sojusznikiem, a nie od razu zmywać jej głowę.

– Jesteśmy strasznie spragnieni – powiedziała więc.

– Wyobrażam sobie – odparła Terry i Stelli wydało się, że słyszy w jej głosie współczucie. – Jest bardzo gorący dzień. Choć co prawda – ramiona Terry zadygotały – tutaj mimo wszystko jest całkiem chłodno.

– Co z Jonasem? – spytała Stella. – Zajęła się nim pani?

– Och, on czuje się całkiem dobrze – stwierdziła Terry.

Stella nie potrafiła tego uzasadnić, ale miała wrażenie, że nie brzmiało to szczerze. I że Terry po prostu kłamała.

– Jest pani pewna, że on żyje? – dopytywała się.

– Oczywiście, że jestem pewna. Jasne, że żyje.

– I nie trzeba go było zawieźć do szpitala? Przecież zapewne stracił sporo krwi.

– Neil ma nad wszystkim kontrolę – odparła Terry. – Proszę się nie obawiać.

Jej gotowość, aby uważać Neila za boga, była najwyraźniej ciągle niezachwiana. Stelli deprymujący wydał się także fakt, że Terry zachowywała się całkiem inaczej niż ona sama i ludzie, których знаła. Jak gdyby była wręcz nienormalna. Zawdzięczała Neilowi to, że miała potwornie pobitą twarz, potem była świadkiem, jak on bez najmniejszych skrupułów strzelił do człowieka, którego żonę i dziecko po prostu uwięził w szopie. Całkiem możliwe było też to, że Terry wiedziała już, że Neil Courtney podawał się za kogoś innego i był poszukiwany w związku ze sprawą morderstwa policjanta. Mimo swego ptasiego mózdzku Terry powinna była wreszcie zrozumieć, że jej towarzysz życia jest niebezpiecznym kryminalistą. A jednak najwyraźniej była zdecydowana być mu dalej wierną i całkowicie oddaną. W głowie Stelli zakiełkowała myśl, że łatwo byłoby odepchnąć dziewczynę i wybiec za drzwi. Chciała zobaczyć Jonasa, jakoś mu pomóc, a najlepiej wsadzić go natychmiast do samochodu i zawieźć do najbliższego szpitala. Ale zdała sobie sprawę, jak beznadziejna byłaby taka próba. Miałaby do czynienia nie tylko z Terry, bo na zewnątrz czyhał gdzieś Neil, który przypuszczalnie wpatrywał się w drzwi stodoły, trzymając w ręku odbezpieczoną broń. Stelli nie wolno było ryzykować, że w efekcie także zostanie ciężko ranna. Wówczas nie byłoby już żadnej szansy ratunku ani dla niej, ani dla Jonasa, ani przede wszystkim dla Sammy'ego.

Terry postawiła kosz na skrzyni.

– Tu są dwie butelki wody, paczka pieczywa tostowego i trochę owoców. I czekolada. Może Sammy będzie miał ochotę.

Uśmiechnęła się do chłopca, ale ten milczał nieufnie.

– Terry – odezwała się Stella. – Jak zakończy się ta sprawa? Co zamierza Neil? Przecież nie może nas na zawsze zamknąć w tej stodole.

– Neil potrzebuje przede wszystkim czasu, aby cokolwiek zaplanować – wyjaśniła Terry. – Jest w tej chwili w bardzo trudnej sytuacji.

– Istotnie, jest przecież poszukiwany przez policję w całym kraju. Terry, on zamordował policjanta. A teraz staje się pani współniczką ciężkiego zbrodniarza.

– On nie zamordował tego policjanta. Jest niewinny, mimo że go podejrzewają.

– On tak mówi!

– Ja mu wierzę.

– Terry, skoro mu pani wierzy, to na miłość boską, proszę go przekonać, aby się zgłosił na policję. Wówczas jego niewinność się potwierdzi i niczego nie będzie się musiał obawiać. Ale jeśli będzie dalej w to brnął... Jeśli teraz Jonas umrze

z powodu zranienia, to Neil rzeczywiście będzie miał na sumieniu morderstwo.

– Neil mówi, że policja mu nie uwierzy. Oni po prostu potrzebują winnego i nieważne, kto to będzie. Zwalą wszystko na niego, aby móc się chwalić, że są wspaniałymi śledczymi.

Było jasne, że Terry powtarzała dokładnie te słowa, które usłyszała od Neila. *Ja jestem niewinnym jagniątkiem i mam robić za kozła ofiarnego!* Takiej kobiecie jak ona rzeczywiście mógł opowiadać historyjki o zawziętych śledczych i ich bezwzględnym zachowaniu wobec obywateli o nieposzlakowanej opinii. Terry nawet nie niepokoił fakt posiadania przez Neila broni ani to, że bez namysłu strzelił do Jonasa. Nie zadawała sobie też pytania, jak mogło dojść do tego, że w ogóle znalazł się na radarze policyjnych poszukiwań, bo przecież zwykle był po temu jakiś powód.

– W gazecie pisali, że on siedział osiem lat w więzieniu – dodała Stella. – I że w kłótni zabił swoją poprzednią dziewczynę.

– Rozmawialiśmy o tym. On nie miał zamiaru jej zamordować – wyjaśniła Terry.

– On nie miał zamiaru jej zamordować? Terry, czy uważa pani za normalne, że ktoś rani drugiego człowieka tak ciężko, że ten wskutek tego umiera? Nawet jeśli on tego nie chciał?

– Ona go sprowokowała.

Stella czuła, że opadają jej ręce. Tu nie pomagały żadne argumenty.

– Neil podał pani fałszywe nazwisko – spróbowała raz jeszcze. – On naprawdę nazywa się Denis Shove.

– Tak, musiał przybrać fałszywe nazwisko – odparła Terry. – Właśnie dlatego, że go ścigają, a on się boi, że mu nie uwierzą, kiedy go złapią.

– A nie zastanawia to pani, że on nawet pani nie ufa?

– W jego położeniu mogę to zrozumieć – odrzekła Terry.

Stella miała ochotę nią potrząsnąć.

– Terry, proszę nam pomóc. Cokolwiek się stało, Jonas, ja, a przede wszystkim Sammy jesteśmy zupełnie niewinni. Nie mamy z tym wszystkim nic wspólnego. Jonas jest ojcem Sammy’ego. Jeśli teraz umrze...

– On nie jest ojcem Sammy’ego – powiedziała Terry. Jej głos stał się nagle zimny. – A pani nie jest jego matką, Stello. Zauważyłam już, że nie chce pani, abym się pojawiała w pani życiu. Uważa mnie pani za małą dziwkę, która była na tyle głupia, aby zająć w ciążę jako nastolatka, i której dlatego można było wyrwać dziecko, bo nie była w stanie go utrzymać.

– Nie wyrwaliśmy pani dziecka! To pani dobrowolnie zwróciła się do Urzędu do spraw Młodzieży z prośbą o adopcję. Dopiero potem nas o tym zawiadomiono, bo byliśmy na liście oczekujących.

– Nie chciałam adopcji, to rodzice mnie do tego zmuszali. Dla nich Sammy

był hańbą.

– Nawet jeśli tak było, to my nic na to nie możemy poradzić. Nie mamy z tym nic wspólnego. I oddaliśmy pani Sammy’ego, kiedy pani o to poprosiła. – Stella mówiła już niemal szeptem i miała nadzieję, że Sammy, który cały czas pił łąpczywie wodę, nic nie rozumiał z tej rozmowy, mającej wszelkie cechy groteski.

– Musiała go pani oddać. Inaczej przysłaby do pani policja.

– Ale potem zdecydowała się pani znów go oddać. Terry, dlaczego odwraca pani fakty? Chciała przecież pani...

– Neil otworzył mi oczy – odparła. – On mi wytłumaczył, że wówczas byłam tylko czymś w rodzaju piłeczki do gry w interesach innych ludzi. Także moich rodziców. I Urzędu do spraw Młodzieży. I pani, i Jonasa.

Stella miała ochotę krzyknąć: „Przecież on robi pani pranie mózgu! Manipuluje panią, aby panią wykorzystać. Czy pani tego nie widzi?”

Ale to też pogorszyłoby sprawę. Musiała być spokojna i rzeczowa.

– Terry, czy już nie pamięta pani naszej pierwszej rozmowy? Tej, którą prowadziłyśmy po oddaniu przez panią Sammy’ego, kiedy jednak stwierdziła pani, że sobie z nim nie radzi? Miałam wrażenie, że była pani wtedy szczerą i że rozmawiam z bardzo młodą dziewczyną, którą ta sytuacja całkowicie przerosła. Która mimo wszystko chce jak najlepiej dla swojego dziecka. I w tamtej chwili nie wydawało mi się, że ktokolwiek próbuje wywrzeć na panią jakiś wpływ.

– Tak – odpowiedziała Terry. – Jednak tak było. Wywierano na mnie wpływ. Moi rodzice zrobili mi w domu piekło. A potem także ta baba z Urzędu do spraw Młodzieży. Każdy mi mówił, co jest najlepsze dla Sammy’ego. A nikogo nie interesowało, co mogłoby być najlepsze dla mnie.

– Jonas i ja na pewno nie próbowaliśmy wywierać na panią żadnego nacisku – oświadczyła Stella.

Terry wzruszyła ramionami. Nie sprawiała wrażenia kogoś, do kogo dotrą jakiegokolwiek rozsądne argumenty. Stelli trudno było ocenić, jak wyglądała jej sytuacja przed pięcioma laty, teraz jednak dziewczyna znajdowała się z pewnością pod silnym wpływem Neila, od którego z niewiadomych powodów była całkowicie uzależniona.

– A to, co byłoby najlepsze dla pani w tej chwili, to rozstanie z Neilem. Czy naprawdę nie zdaje sobie pani sprawy, w jaką koszmarną historię daje się pani wciągnąć? Przecież może pani w efekcie tego wszystkiego wylądować w więzieniu.

Ale Terry tylko znów wzruszyła ramionami. Stella była bezsilna.

– A czy przynajmniej Jonas nie mógłby tu z nami być? – poprosiła.

– Porozmawiam o tym z Neilem – odpowiedziała Terry i odwróciła się, aby odejść.

– Potrzebna nam jest toaleta – dodała Stella. – Jakieś wiadro czy coś.

– O tym także porozmawiam z Neilem – powtórzyła Terry, po czym drzwi się zamknęły.

Stella i Sammy znów byli sami.

Sobota, 7 czerwca

1

Choć minął dzień od rozmowy telefonicznej z Kate, Sue Burley ciągle jeszcze nie mogła się pozbierać po usłyszeniu wiadomości o śmierci przyjaciółki. Miała zapłakane oczy, niezdrową i bladą cerę. Przyjęła Kate w swoim domku na skraju Whitby. Był to rodzaj wiejskiej chaty z pomalowanymi na biało ścianami, co stanowiło miłą dla oka różnicę w zestawieniu z ciągnącymi się dalej szeregowcami z czerwonej cegły klinkierowej. Sue Burley musiała być namiętną ogrodniczką, bo w przydomowym ogródku aż się mieniło od najróżniejszych kolorów. Między perfekcyjnie przyciętymi krzewami i drzewkami oraz wielkimi donicami z gliny, w których kwitły kolorowe kwiaty, stały całe gromady białych amorków ze skrzydełkami na plecach i napiętymi łukami w rączkach. Kate aż się otrząsnęła z niechęcią na ten widok.

Wnętrze domu było tak samo przeładowane jak ogródek. Wszędzie na ścianach wisiały obrazy, a obok nich ręcznie malowane talerzyki i kilimki, na których widniały mniej lub bardziej budujące sentencje. Obrazki w ramkach, doniczki z kwiatami, porcelanowe miseczki, małe laleczki i pluszowe zwierzątka zgromadzone były też na gzymsie nad kominkiem i na każdym parapecie. Wszystko robiło dość przytłaczające wrażenie. Sue Burley kochała poza tym grube puszyste dywany w ostrych kolorach i fotele ozdobione w każdym mniej lub bardziej niemożliwym miejscu pomponami i frędzlami.

Kate natychmiast pomyślała, że ona sama w takim domu pewnie odczuwałaby niepokój.

Sue Burley podała kawę na ślicznie nakrytym stole, przy którym siedziała jeszcze jedna dama. Sprawiała wrażenie podobnie poruszonej i wstrząśniętej jak Sue. Na widok Kate wstała i wyciągnęła rękę, mówiąc:

– Doreen Holland. Też jestem przyjaciółką Melissy. Chyba trzeba teraz mówić byłam, prawda? Dobry Boże, nie mogłam uwierzyć, kiedy Sue zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. To okropne. Przerazające.

Kate podczas pracy w policji nauczyła się szybko oceniać ludzi, przede wszystkim pod względem zgodności ich wizerunku zewnętrznego z tym, co odczuwali i czy byli skłonni się tym podzielić. I natychmiast dostrzegła różnicę między kobietami. Obie były wstrząśnięte wiadomością, ale podczas kiedy Sue była przerażona i pełna żalu, to ból Doreen był pełen źle ukrywanej żądzy sensacji. Z pewnością rozpaczła z powodu tego, co spotkało jej przyjaciółkę, ale z drugiej strony to wydarzenie wniosło w jej życie nieco ożywienia. Kate była przekonana, że ta kobieta nie darowałaby sobie, gdyby nie wzięła udziału w tym spotkaniu.

– Pani pracuje w Scotland Yardzie, prawda? – spytała Doreen.

Kate tym razem nawet o tym nie wspomniała, aby uniknąć ewentualnych kłopotów, ale nie mogła nic poradzić na to, że obie kobiety już o tym wiedziały.

– Tak – odpowiedziała. – Ale nie jestem tutaj w charakterze śledczego. Jestem tu tylko jako córka Richarda Linville’a.

– Melissa wspomniała kilka razy o tym, że Richard ma córkę, która pracuje w Scotland Yardzie. Uważała to za coś bardzo imponującego – powiedziała Sue, stawiając na stole wielki tort truskawkowy.

Wobec przeładowanego kiczem wnętrza Kate wyszła z założenia, że tort będzie niemożliwie słodki, ale tu spotkała ją miła niespodzianka: ciasto smakowało wspaniale.

Jeszcze poprzedniego dnia próbowała ustalić wszystkie szczegóły na temat napadu rabunkowego, przy okazji którego jej ojciec i Melissa się poznali, ale oprócz małej notatki w gazecie nie znalazła w Internecie nic na ten temat. Z notatki wynikało, że sprawcy – trzech nastolatków – bardzo szybko dobrowolnie oddali się w ręce policji. Kate zakładała, że Caleb i jego ludzie sprawdzili już wszystkie związane z tym fakty. Można to było wywnioskować z wczorajszych słów Jane, ale ponieważ za głównego podejrzanego ciągle uchodził Denis Shove, to chyba wynikało z tego, że nie należało tu szukać związku z tymi morderstwami. Mimo to Kate raz jeszcze poruszyła to w rozmowie z Doreen i Sue, lecz obie kobiety nie wiedziały o tamtym napadzie nic konkretnego. Richard i Melissa poznali się przy jego okazji, i to było wszystko, co wiedziały na ten temat.

– Jak gdyby uderzył w nich piorun – mówiła Sue. – Tak to zawsze opisywała Melissa, prawda? Uderzenie pioruna. On spojrzał jej w oczy, ona jemu i przepadli oboje.

Kate myślała o zawsze rzeczowym, doskonale panującym nad sobą ojcu. Takimi słowami z pewnością by tego nie opisał. To jak on by to wyraził? *Zobaczyłem ją i spodobała mi się. Atrakcyjna, pełna życia, interesująca kobieta. Ona poruszyła jakąś strunę we mnie. A ja czułem się w tym czasie przepracowany, pełen jakiejś wewnętrznej pustki.*

To nie była sprzeczność. Kate miała już za sobą okresy zawodowego przeciążenia i wyczerpania nerwowego i wiedziała, że zawsze było to przyczyną wewnętrznej pustki, choć każdy dzień był pełen kolejnych wydarzeń i zajęć. Wszyscy czuli wtedy pustkę w efekcie wyczerpania, bo praca przypominała kręcenie się w kółku, po jakim biegają chomiki w klatkach, i nie było okazji, aby mówiąc kolokwialnie, naładować baterie.

Mój zawód. Moja praca. A potem moja żona. Rak. Wszystko groziło zaważeniem i nic nie było takie jak przedtem.

Ojciec był zawsze przesadnie poprawny. Rozpad małżeństwa nie pasował do jego obrazu świata. A już zwłaszcza wtedy, kiedy jego żona walczyła o życie.

I znów pojawiało się to samo pytanie: jak dobrze Kate go znała? Tego mężczyznę, który zawsze był dla niej oparciem. Jej opoką pośród burz. Jediną podporą i kimś, do kogo zawsze wracała?

Zauważyła, że nagle zrobiło się cicho i że obie kobiety patrzą na nią wyczekująco.

Oderwała się od swoich myśli. Rozmyślać mogła dziś w nocy w łóżku.

– Mówiłam właśnie, że oni oboje byli jak stworzeni dla siebie – powiedziała Doreen. – A w każdym razie takie było przekonanie Melissy.

– Ona bardzo długo była sama – dodała Sue. – Jej mąż umarł dawno i ona żyła właściwie tylko dla chłopców. To było trudne życie. Znalazła pracę w szkole, tam na górze, w Newcastle, co oznaczało, że każdego dnia była mniej więcej trzy godziny w drodze. Ale jakoś sobie radziła i mimo wszystko była dobrą, troskliwą matką. Jednak kiedy dzieci wyprowadziły się z domu... Tak się cieszyłam, gdy Mel opowiedziała mi o Richardzie. Chociaż oczywiście miałam wiele zastrzeżeń. Żonaty mężczyzna... – Doreen urwała i się zaczerwieniła. – Przepraszam – powiedziała. Najwyraźniej uświadomiła sobie, że Kate w końcu była córką kobiety, którą Richard oszukiwał z Melissą.

– W porządku – powiedziała Kate. – Wiem o wszystkim.

Ale nie było w porządku, choć w tym momencie jej uczucia nie miały znaczenia. Zgodnie z tym, co opowiedziały kobiety, Richard i Melissa spotykali się przeważnie w mieszkaniu Melissy. Kradzione chwile, po kryjomu, czas wymierzony co do minuty. Richard po pracy musiał jechać ze Scarborough do Whitby, co kosztowało go przynajmniej pół godziny, nie licząc drogi powrotnej. I ten czas, który spędzali razem. Z pewnością często robiło się późno. Ale Kate wiedziała, że jej matka była przyzwyczajona do ciągłej troski. Nadgodziny Richarda, które często przeciągały się do późnego wieczoru, nie były rzadkością. Brenda Linville przypuszczalnie przez cały czas nie miała o niczym pojęcia.

– Oczywiście Melissa w końcu chciała czegoś więcej – powiedziała Doreen. – Chętnie spędziłaby z nim także cały weekend. Pojechałaby z nim na wakacje. A do tego dochodziły dni takie jak Boże Narodzenie, Wielkanoc. Myślę, że Mel, choć była zakochana jak szalona, mimo tego romansu dużo czasu spędzała sama. Była przeszczęśliwa, mogąc być z Richardem, ale cierpiała, kiedy nie mógł przyjechać. Często musiał odwoływać spotkanie w ostatniej chwili. Albo z powodu swojej pracy, albo... – Doreen szukała słów.

– Albo dlatego, że moja matka była chora – dokończyła Kate. – I czasami było z nią tak źle, że on musiał jechać do niej, zamiast zabawiać się ze swoją ukochaną.

– Doskonale rozumiem pani rozgoryczenie – stwierdziła Sue. – To wszystko... to jest bardzo trudna sytuacja.

Kate się opanowała. Jeśli nie będzie ukrywać swych emocji, to obie kobiety

będą coraz bardziej ostrożne i niezbyt skłonne do zwierzeń.

– Chcę mieć jasny obraz całej sytuacji – powiedziała. – To jest dla mnie ważniejsze niż ochrona moich uczuć.

Doreen i Sue spojrzały na siebie.

– Takie historie ostatecznie zawsze są przyczyną wielu nieszczęść tych wszystkich, którzy się w nie angażują.

– Czy mój ojciec kiedykolwiek obiecywał Melissie, że zdecyduje się z nią być? – spytała Kate.

Sue skinęła głową.

– Tak. Ale chciał poczekać, aż jego żona wyzdrowieje. Mel zawsze rozumiała, że nie chciał opuścić żony wtedy, kiedy walczyła z tą chorobą. Ale obiecał, że rozstanie się z nią, kiedy stan jej zdrowia będzie w miarę stabilny.

Kate się zastanawiała.

– Nie rozumiem wszystkiego do końca. Syn Melissy powiedział mi, że rozstanie nastąpiło w 2002 roku. W tym czasie moja matka była od ponad roku zdrowa. O ile po takiej chorobie można w ogóle uchodzić za zdrową. Ale wyniki jej badań nie wykazywały już raka i wiem, że lekarze byli pełni ostrożnego optymizmu. Wszyscy byliśmy pełni nadziei i z każdym mijającym dniem nasza nadzieja wydawała się coraz bardziej uzasadniona.

– Tak – rzekła Sue. – Zgodnie z naszymi informacjami rzeczywiście tak było w tym okresie. Mel mówiła nam o wszystkim. Potrzebowała kogoś, aby się wygadać, a z nami przyjaźniła się najdłużej.

– Dlaczego to wszystko, co było między nimi, się rozpadło? I to w tym czasie, kiedy byli już właściwie u celu swoich marzeń?

Doreen i Sue znów popatrzyły na siebie. Kate zrozumiała, że one obie często już o tym właśnie rozmawiały.

– Próbowaliśmy to odgadnąć – powiedziała Doreen – i porozmawiać z Mel na ten temat. Sądziłam, że Richard zachował się tak, jak często zachowują się żonaci mężczyźni. Mają kochankę całymi latami – bo dzieci najpierw muszą skończyć szkołę, dom trzeba spłacić i tak dalej – a w końcu oświadczają, że z jakichś powodów to będzie niemożliwe, chociaż że tak powiem, wszystkie warunki są spełnione. I byłam przekonana, że Richard, choć ciągle wysuwał na plan pierwszy chorobę swojej żony, to tak naprawdę nie zamierzał niczego w swoim życiu zmieniać. Jednak Mel się z tym nie zgadzała i twierdziła, że tak absolutnie nie jest.

– A co mówiła na ten temat? – spytała Kate. – I jak tłumaczyła rozstanie?

– Jakoś wymijająco – stwierdziła Sue. – W każdym razie takie było moje odczucie. Ciągle powoływała się na chorobę jego żony, a gdy ja miałam zastrzeżenia i mówiłam, że przecież ona jest już zdrowa, to Mel z kolei twierdziła, że po takiej chorobie wyzdrowienie jest pojęciem względnym. Ale mnie to nie

przekonywało, bo przecież oni oboje musieli sobie z tego zdawać sprawę. I zgodnie z tym w ogóle nie wolno im było snuć żadnych planów na przyszłość.

– A czy miała pani wrażenie, że Melissa nie mówiła pani prawdy? – spytała Kate.

– Wydawało mi się, że nagle przestała grać w otwarte karty – odrzekła Doreen. – Że coś zatrzymywała dla siebie. Zmieniła się. Jakoś tak zamknęła się w sobie. Nie dzwoniła już do nas i widywałyśmy się coraz rzadziej, a jeśli już, to zawsze z naszej inicjatywy. Nie była tą samą Mel, którą znałyśmy.

– Kiedy to dokładnie było? Mniej więcej wtedy, kiedy się rozstali? A może wcześniej?

Sue zastanawiała się przez chwilę.

– Trzeba trochę pomyśleć, kiedy mogłyśmy to zauważyć. Ale powiedziałabym, że to zaczęło się dobre trzy czwarte roku przed rozstaniem. W marcu 2002 roku dowiedziałyśmy się o ostatecznym zakończeniu tej historii. Ale ów osobliwy dystans – to pojawiło się na jesieni i wtedy można to było już wyraźnie dostrzec. Jakoś tak w październiku. A może nawet we wrześniu 2001 roku.

– Czy mówiłyście z nią o tym?

– Jasne – odpowiedziała Doreen. – Ale ciągle słyszałyśmy wymijające odpowiedzi. Ona wówczas czasami miewała depresyjne nastroje. Przedtem – nigdy. A wtedy mówiła, że to stres w pracy. Ale stale? I to kiedy w jej pracy nic się nie zmieniło? Wie pani, Mel zawsze przychodziła do nas, kiedy miała problemy. Nie była człowiekiem, który sam potrafi się z nimi uporać. Byłyśmy naprawdę bliskimi przyjaciółkami i kiedy ona miała jakieś kłopoty, to my byłyśmy osobami, którym się zwierzała. Przez trzy lata brałyśmy udział we wszystkich fazach jej romansu z Richardem. Ale nagle także o nim przestała mówić. Trzeba było wszystko od niej wyciągać, a i tak miało się wrażenie, że niczego się od niej nie można dowiedzieć. Powiedziała nam potem tylko o rozstaniu. O niczym więcej.

– Czy nie sądzą panie, że coś między nimi zaszło? Właśnie gdzieś w okolicy września, października 2001 roku?

– Tak – odparła Doreen. – Coś takiego przypuszczaliśmy. Ale niczego na ten temat nie można było od niej wyciągnąć.

Kate spróbowała przypomnieć sobie jesień 2001 roku. Ciągle miała w pamięci jasny obraz tamtego roku, ponieważ jej matka po raz pierwszy od długiego czasu zaczęła czuć się wyraźnie lepiej. I to był dobry rok, bo wydawało się, że udało się pokonać chorobę i wszystko będzie szło ku lepszemu. Kate miała w październiku urlop i jak zawsze spędziła go u rodziców. Brenda gotowała dla niej obiady, razem piły herbatę i prowadziły długie rozmowy. Czy Richard był wtedy inny, czy coś się w nim zmieniło? Kate starała się przypomnieć sobie wszystko, co zachowała w zakamarkach pamięci. Ojciec był zmęczony,

przepracowany. Ale to nie było niczym niezwykłym. Czy rozmyślał więcej niż zwykle? Czy był zgnębiony, zamknięty w sobie, pogrążony w rozważaniach? Niczego takiego nie zauważyła. Mimo swego szczególnego i bardzo bliskiego związku z ojcem w tych latach więcej uwagi zwracała na matkę. Właściwie nie było nic niezwykłego ani też tajemniczego w tym, że między Richardem a Melissą zaszło coś, co w efekcie doprowadziło do zerwania ich związku. A może nie zaszło nic szczególnego, może po prostu ich uczucia nie wytrzymały presji tylu przeciwności i problemów? Gdyby nie to, że dwanaście lat później oboje zostali w okrutny sposób zamordowani, nikt nie analizowałby dokładnie ich relacji i rozstania.

– Czy Melissa kiedykolwiek wymieniła nazwisko Denis Shove? – spytała Kate.

– Nie – odparła Sue. – Kto to jest?

Doreen zacisnęła oczy, jak gdyby sobie coś przypominając.

– Pisali o nim w gazetach. Jest poszukiwany w związku z morderstwem policjanta i... – Uderzyła się ręką w czoło. – Oczywiście. To pani ojciec. I ten Shove jest podejrzany o to, że go zamordował, prawda?

– Tak. Mój ojciec przed wieloma laty wsadził go za kratki, a on w sądzie poprzysiął mu zemstę.

– Ale dlaczego Mel? – spytała skonsternowana Sue. – O ile to był ten sam sprawca.

– I na tym właśnie polega zagadka – odparła Kate.

– Mel nigdy nie wymieniła tego nazwiska – rzekła Sue.

– Oni rozstali się trzy lata wcześniej, jeszcze zanim mój ojciec aresztował Shove'a – wyjaśniła Kate. – Myślałam tylko... – Nie dokończyła. Bo o czym mogła myśleć? Tu nic do siebie nie pasowało. Shove nie pasował. Cała sprawa była bardziej złożona. – Kiedy Melissa przeprowadziła się do Hull? – spytała.

– Mniej więcej rok po rozstaniu – odpowiedziała Doreen. – Wiosną 2003 roku, tak myślę. Powiedziała, że potrzebuje nabrać dystansu do swojego dotychczasowego życia. Nie uważaliśmy tego za specjalnie mądre. Nikogo tam nie znała i do nas było za daleko, aby się często spotykać. Ale... kiedy ona właśnie wcale nie chciała się już z nami spotykać.

– I w końcu straciłyśmy się z oczu – dokończyła Sue z wyraźnym smutkiem.

Kate w czasie wielu lat pracy nauczyła się, że ludzie często mają wyostrzoną intuicję, kiedy chodzi o przyjaciół i krewnych, o ich zachowanie i wydarzenia z ich życia. Wiedziała jednak, że nie ważą się mówić szczerze właśnie o bliskich, i to tylko z obawy, by nie wydać się śmiesznym z powodu jakiejś absurdalnie brzmiącej wypowiedzi. Dlatego postanowiła spytać wprost.

– A mówiąc szczerze, czy sądzą panie, że przyjaciółka zmieniła się tylko z powodu rozstania? Że po prostu uczucia między nimi wygasły i dlatego się

rozstali, a Melissa postanowiła spróbować zacząć nowe życie? A może uważacie, że zaszło coś innego? Właśnie tego późnego lata 2001 roku? Coś, co właściwie zniszczyło ich związek? Co poruszyło Melissę? Mówię teraz o prawdziwym dramacie. Tak ważnym i trudnym, że Melissa nie mogła o nim mówić nawet z paniami, najbliższymi i najlepszymi przyjaciółkami? Może było to coś, co w zasadniczy sposób naruszyło też zasady życia Melissy? Może jednak przychodzi paniom do głowy, że tak mogło być, ale wolicie odpędzić tę myśl, bo wydaje się wam niedorzeczna?

Tym razem kobiety nie popatrzyły na siebie. Każda z nich wpatrywała się w podłogę, i to przez dłuższy czas. Doreen pierwsza podniosła głowę.

– Tak – odpowiedziała krótko.

– Tak – powtórzyła Sue. I dodała po kilku sekundach: – Ale, Miss Linville, mówiąc także szczerze: my naprawdę nie mamy pojęcia, co to mogło być. Zastanawiamy się nad tym, rozmawiamy, ale błądzimy po omacku.

2

Śledcza Jane Scapin wyszła z domu państwa Malyanów w Truro około trzeciej po południu i była jeszcze bardziej ciekawa, jakim człowiekiem mogła być Therese Malyan, zwana Terry. Z wielkim prawdopodobieństwem Terry musiała być po prostu duchowym wrakiem. Jane nabrała przekonania, że każdy, kto zaznał losu bycia dzieckiem takich rodziców, musiał mieć zniszczoną osobowość. Ona sama bardzo szybko poczuła, że musi coś zrobić, aby czegoś zaznać i się uwolnić – wziąć prysznic, pobiegać co najmniej godzinę czy też postawić sobie duże ciemne piwo. Ostatecznie jednak nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Jechała powoli ulicami Truro, aż wypatrzyła sklep, gdzie sprzedawano też kawę, zaparkowała w pobliżu i weszła do środka. Państwo Malyan nie zaproponowali jej niczego do picia ani do jedzenia, choć wiedzieli, że tego dnia jechała aż ze Scarborough i miała za sobą siedem godzin drogi. Jane wyruszyła rano o siódmej i była na miejscu około drugiej. Na szczęście miała w samochodzie dwie butelki wody i piła po drodze, inaczej po prostu by zasłała.

W sklepie kupiła sobie duży kubek kawy i dwie kanapki z jajkiem, usiadła przy jednym z okrągłych stołów i odetchnęła głęboko.

Ludzie, których dane było jej spotykać, bywali czasami dziwni. Choć co prawda poznanie Malyanów było interesującym doświadczeniem, nawet mimo tego, że było wątpliwe, czy wniesie to cokolwiek nowego do poszukiwań Denisa Shove'a. Jane postarała się uporządkować swoje wrażenia i zapamiętać je: wysprzątane wprost do niemożliwości, wręcz sterylne mieszkanie na skraju miasta Truro. Parter w dwurodzinnym domu. Malutki ogródek z króciutko przyciętą trawą i starannie wygrabionymi grządkami, na których nie było ani jednego zbędnego źdźbła. Mrs Malyan mogła mieć około pięćdziesięciu lat, miała mocno

wylakierowaną fryzurę typu Margaret Thatcher, była ubrana w jasne spodnie i ciemnobrązowy sweter z krótkimi rękawami. Była kobietą bardzo szczupłą, wręcz chudą. Prawdopodobnie narzuciła sobie surową dyscyplinę przy jedzeniu i przestrzegala jej z żelazną konsekwencją. Jej mąż najwyraźniej nie dysponował taką siłą woli: jego tłusty brzuch, będący efektem picia piwa, wisiał nad paskiem od spodni, a zaczerwieniona, błyszcząca od potu twarz świadczyła o tym, że miał problemy z ciśnieniem i prawdopodobnie zbyt dużo pił, a za mało się ruszał. To raczej nie on sprzątał mieszkanie do połysku i nie on maltretował ogródek środkami chwastobójczymi. Nie był typem człowieka, który sprzeciwiałby się czemukolwiek, co powiedziała czy też postanowiła jego żona. Był jej całkowicie podporządkowany – już choćby ze względu na swój święty spokój. Jane szybko nabrała przekonania, że państwo Malyanowie faktycznie od lat nie mieli pojęcia, gdzie przebywa ich córka ani z czego czy też z kim żyje. Jane wymieniła, podobnie jak uprzednio w czasie rozmowy telefonicznej, nazwisko Denisa Shove'a i obserwowała uważnie tę parę, ale najwyraźniej oboje rzeczywiście nic nie wiedzieli na jego temat. A ponieważ w miejscowych gazetach nie było wydanego przez policję listu gończego z fotografią Denisa, nie słyszeli o nim nic także z tej strony. Osobliwe było jednak, że ani razu nie zapytali, dlaczego w ogóle policja chciała dowiedzieć się czegoś na temat ich córki. Już w czasie rozmowy telefonicznej można było wywnioskować, że jest im to zupełnie obojętne, i teraz też nic się nie zmieniło. Policjantka z Yorkshire Police poświęciła weekend, aby odwiedzić ich osobiście w Kornwalii w celu zadania wielu drobiazgowych pytań na temat Therese. W głowach większości rodziców w takiej sytuacji rozdzwoniłyby się wszystkie dzwonki alarmowe – matka i ojciec z lękiem i troską dopytywaliby się, o co chodzi. A Malyanowie z niewzruszonymi twarzami spokojnie mówili o wszystkim, czego chciała się dowiedzieć Jane, i były to przeważnie odpowiedzi typu: „Tego nie wiemy”. Jane w którymś momencie nie wytrzymała i zapytała:

– Czy nie interesuje państwa, dlaczego zadajemy takie pytania? W końcu chodzi przecież o waszą córkę!

– W gruncie rzeczy nie mamy już córki – odpowiedziała Mrs Malyan z kamienną twarzą.

– Tylko dlatego, że Therese rzuciła szkołę?

– Tak.

– Ale... – Jane musiała zadać sobie sporo trudu, aby zapanować nad sobą. To wszystko było wręcz absurdalne. Ta para cierpiała na jakieś zaburzenia emocjonalne, a już zwłaszcza Mrs Malyan. Wykreślić córkę ze swojego życia tylko dlatego, że należała do tysięcy nastolatków, którzy corocznie w Wielkiej Brytanii rzucają wszystko w poszukiwaniu wolności? Przecież wielu z tych młodych ludzi jednak do szkół wracało, kończyło je i kiedyś zdobywało wreszcie cenione i szanowane zawody. A działo się tak dlatego, że zawodziły ich rodziny i te niemal

jeszcze dzieci szukały emocjonalnego wsparcia u nieodpowiednich ludzi. Przykładowo u mężczyzn takich jak Denis Shove. – Therese jest państwa jedynym dzieckiem? – spytała Jane.

– Tak – odpowiedziała jej matka.

– Mrs Malyan, to bardzo ważne, abyśmy znaleźli pani córkę. Prawdopodobnie jest w związku z groźnym kryminalistą, człowiekiem naprawdę niebezpiecznym, poszukiwanym przez policję. I to z powodu podejrzenia o podwójne morderstwo.

– No tak, to cała Therese – oświadczyła Mrs Malyan. – Ona niczego nam nie oszczędza. Niczego.

– Czy zna pani przypuszczalne miejsce jej pobytu, gdzie być może uciekła? A może kogoś, do kogo w trudnej sytuacji mogłaby się zwrócić i u niego przebywać? Starzy przyjaciele, dawna nauczycielka? Ktokolwiek?

– Nie. Wszystko, co wiem, to tyle, że ona od lat nie kontaktuje się z nikim z dawnych czasów.

To zgadzało się z opinią, jaką przekazała nadkomisarzowi Hale'owi Helen Jefferson. W życiu Terry nie było żadnych przyjaciół. Kilkoro znajomych z ostatnich lat, powierzchowne, płytkie związki zapoczątkowane podczas pracy w różnych pubach. A ostatnio i tak tylko Shove.

– Czyli w takim razie pani córka właściwie nie ma nikogo bliskiego? – zapytała raz jeszcze Jane.

– Nie – odparła Mrs Malyan, po czym dodała: – A przynajmniej ja o tym nic nie wiem.

Jej mąż poruszył się niespokojnie w swoim fotelu. Jane zwróciła się do niego. Z pewnością łatwiej byłoby dowiedzieć się czegoś od niego, gdyby nie siedział aż tak bardzo pod pantoflem swojej żony.

– Pańska córka może mieć w tej chwili ogromne kłopoty. I mogę powiedzieć, że według naszej oceny całkiem nieświadomie się w to wszystko wplątała, bo najwyraźniej po prostu nie miała pojęcia, z kim się zadaje. Ale teraz jest w niebezpieczeństwie, bo wydało się, co zrobił jej przyjaciel. Byłoby naprawdę dobrze, gdybyście mogli nam pomóc.

Ojciec Therese westchnął ciężko.

– Same nieszczęścia z tą Terry. Zawsze wszystko kończyło się aferami.

„Wiedziałam – pomyślała nagle zelektryzowana Jane – wiedziałam. A więc jest coś jeszcze, jakaś inna sprawa”.

– Jakimi aferami? Co i jakimi aferami się u niej kończyło?

– Nic się nie kończyło aferami – odparła ostro Mrs Malyan.

– Ale przecież pani mąż powiedział właśnie, że wszystko kończyło się u niej aferami.

Mr Malyan chrząknął, po czym, nie patrząc na żonę, odpowiedział:

– Ona zaszła w ciążę, kiedy miała szesnaście lat. Raptem tylko szesnaście lat!

Jane przyniosła sobie jeszcze jedną kawę. Musiała teraz dobrze rozplanować kolejne kroki i niezbyt sensowne wydawało jej się szukanie śladów dziecka Terry. Mrs Malyan nie odezwała się już ani słowem, lecz z zaciśniętymi wargami patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Ojciec Terry udzielił wszystkich dalszych informacji na temat narodzin małego chłopca, oddania go do adopcji i kolejnych prób Terry odnalezienia się w szkolnej rzeczywistości. Prób zakończonych niepowodzeniem.

– Myślę, że ta historia ciągle nad nią wisiała i po prostu ją jak gdyby blokowała.

„Nic dziwnego” – pomyślała Jane. Nietrudno było sobie wyobrazić, że Mrs Malyan zrobiła wszystko, aby Terry nigdy nie mogła się pozbierać po emocjonalnym chaosie, w jakim bez wątpienia znalazła się w efekcie niechcianej ciąży. Matka zapewne albo stale wypominała jej błąd, albo zabroniła w ogóle poruszać ten temat. To ostatnie Jane uważała za bardziej prawdopodobne. Terry nie miała więc nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o tym, co się stało. Jej matka zachowywała się tak, jak gdyby żyła w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, uważała niechcianą ciążę za jakąś niezmywalną hańbę, za wręcz osobisty afront i najwyraźniej nie mogła tego wybaczyć Terry aż do dziś. Jane zapytała jeszcze o ojca dziecka i dowiedziała się, że on już od dwóch lat studiuje w USA.

– Żyje swoim życiem, jak gdyby nic się nie stało – odpowiedział Mr Malyan z przygnębieniem.

– Ale Therese też mogłaby to robić – stwierdziła Jane. – Przecież dziecko zostało od razu adoptowane...

– No tak... – Mr Malyan wzruszył z rezygnacją ramionami. Chciał zapewne powiedzieć, że ogólna sytuacja rodzinna nie poprawiła się wówczas, mimo adopcji.

– A może Terry kontaktuje się z ojcem dziecka? – spytała Jane.

– Nie sądzę – odparł Mr Malyan. – Wtedy w każdym razie zerwała z nim zupełnie. Czy potem nawiązała z nim kontakt... Nie mam pojęcia. Ale nie bardzo mogę to sobie wyobrazić.

Czyli teraz ten młody człowiek mieszkał w USA. Jeśli nawet Terry w ogóle o tym wiedziała, to i tak było nieprawdopodobne, że uciekła właśnie do niego. Był jeszcze jeden kontakt, o którym w tym momencie wiedziała Jane: syn Terry i jego nowa rodzina. Dowiedziała się, że Terry poznała to małżeństwo, bo jeszcze w trakcie adopcji próbowała się z niej wycofać.

– Terry najpierw chciała oddać dziecko, potem nie, a potem jednak tak. Urząd do spraw Młodzieży skontaktował ją więc z tą rodziną, żeby ona pomogła jej się uporać z lękami i wątpiwościami.

Na ile była to więc swobodna decyzja Terry? Jane zastanawiała się, czy ona

rzeczywiście podejmowała ją samodzielnie czy też pod naciskiem. Coraz lepiej rozumiała, co czuła wtedy ta młoda dziewczyna, której przede wszystkim własna matka uświadamiała co rusz, że „czegoś takiego” należy się jak najszybciej pozbyć, aby świat nie widział jej hańby. Czy Terry mogła wtedy choć raz pomyśleć i zastanowić się, czego tak naprawdę chciała?

Mr Malyan nie miał pojęcia, czy Terry utrzymywała jakieś kontakty z rodziną adopcyjną, ale w końcu wygrzebał z szuflady biurka jej adres i nazwisko. Jane pomyślała o fotografiach, które znalazła w mieszkaniu Terry; najprawdopodobniej był to jej syn w wieku około roku. A więc miała z nim jakiś kontakt po zakończeniu procesu adopcji.

Jane w końcu się pożegnała, schowawszy do torby adres i nazwisko rodziny, która w swoim czasie adoptowała małego Samuela.

– Czy ten adres jest jeszcze aktualny, tego nie wiem – dodał Mr Malyan.

Jane pomyślała, że były to słowa, które w ciągu ostatniej półtorej godziny słyszała najczęściej: „tego nie wiem”. Małżeństwo Malyanów znalazło w jakiś sposób własną drogę, aby żyć dalej z sytuacją, która zwłaszcza Mrs Malyan wydawała się nie do zniesienia. Ten sposób to po prostu o niczym nie wiedzieć. Albo przynajmniej tak mało, jak to tylko możliwe.

Jane obejrzała kartkę, która była namacalnym sukcesem dzisiejszego dnia. Stella i Jonas Crane, Kingston-upon-Thames. Poniżej widniała nazwa ulicy i numer domu. I numer telefonu.

Jane wybrała ten numer dwukrotnie, siedząc w sklepie z kawą, ale dwa razy zgłosiła się jedynie poczta głosowa i żeński głos informował, że niestety w tym momencie nikogo nie ma w domu.

Jane niezbyt chętnie telefonowała. Rozmowa z kimś, kogo jednocześnie nie widziała i wobec tego nie mogła ocenić jego cech, osobistego stosunku do sprawy, chwilowego nastroju i odpowiednio na to zareagować, nie była jej mocną stroną. Jane miała bardzo delikatne mentalne sejsmografy, które funkcjonowały przede wszystkim poprzez kontakt wizualny z rozmówcą. Dysponowała też zdolnością szybkiej oceny pozyskanych wiadomości i wypracowania sobie od razu właściwej strategii. Dlatego Caleb Hale chętnie powierzał jej prowadzenie przesłuchań. Przeważnie udawało jej się wyciągnąć konieczne informacje nawet z najbardziej upartego i zaciętego rozmówcy. I dziś także sprawdziły się jej zdolności. Jane była przekonana, że telefonicznie nigdy nie dowiedziałyby się o istnieniu małego chłopczyka i jego dalszych losach. Jednak cały czas nadal bez odpowiedzi pozostawało pytanie: czy ten fakt miał jakieś znaczenie dla prowadzonej sprawy?

Być może żadnego, ale w tym momencie był to też jedyny punkt zaczepienia. Jane postanowiła pójść tym tropem.

Pierwotnie miała zamiar poszukać w okolicy Truro jakiegoś taniego noclegu i następnego dnia ruszyć w drogę powrotną do Scarborough. Teraz zmieniła plan.

Londyn nie leżał wprawdzie na najkrótszej i najsensowniejszej trasie jej podróży do domu, ale jednak można było tam zboczyć, nie nakładając zbyt drogi. Gdzieś w okolicy miasta z pewnością będzie można znaleźć jakiś tani hotel i dopiero następnego dnia ruszyć do Yorkshire.

Spojrzała na zegarek. Była prawie czwarta. Jazda do Londynu powinna zająć około pięciu godzin, była jednak sobota, nie należało się więc spodziewać problemów z korkami związanymi z dojazdem do pracy i ciężkim transportem.

Uda jej się dotrzeć do stolicy zaledwie w cztery godziny, tak około ósmej, i choć nie będzie to stosowna pora do niezapowiedzianych odwiedzin, to w tym momencie etykieta i uprzejmości schodziły na dalszy plan. Chodziło jedynie o odnalezienie Therese Malyan.

Jane wstała, zapłaciła za swoją kawę i kanapki i wyszła na parking. Cały czas było ciepło, prawie gorąco. Wyjechała z Truro, kierując się wprost na północ.

3

Stella zbudowała wieżę. Na samym dole znajdował się stół, na nim ustawiła skrzynie, stare walizki, szuflady ze starych komód i nawet jakiś kaloryfer. Całość była bardzo chwiejna i bardzo niestabilna, ale Stella musiała coś zrobić, bo beczynne siedzenie w mrocznym wnętrzu niemal doprowadzało ją do szaleństwa. W którymś momencie miała wrażenie, że wspinaaczka do okna i ryzyko upadku na betonową podłogę były mniej niebezpieczne niż czekanie na to, co się wydarzy. Nie wiedziała, jakie były zamiary dwójki szaleńców, ale z pewnością nie miało z nich wynikać nic dobrego. A upływ czasu nie był korzystny przede wszystkim dla Jonasa.

Rankiem Terry przyniosła im coś do jedzenia i picia, a także kolorowe kredki, papier oraz kilka dziecinnych książeczek dla Sammy'ego. Była milcząca i nie zareagowała w ogóle na próbę nawiązania rozmowy ze strony Stelli. Przypuszczalnie Neil zakazał jej jakichkolwiek kontaktów. Zdawał sobie sprawę, że Stella będzie się starała przeciwną dziewczynę na swoją stronę. Kontrola, jaką miał nad nią, funkcjonowała znakomicie, pomyślała gorzko Stella. Ale przynajmniej Sammy miał wystarczająco dużo jedzenia i picia i można było liczyć, że dzięki dostarczonym zabawkom będzie spokojniejszy. Choć co prawda mimo wszystko ciągle dopytywał się o ojca, a Stella nie ustawała w zapewnieniach, że z Jonasem wszystko w porządku i że wkrótce będzie z nimi. Stella z trudem przełknęła kawałek chleba i wypłała pół butelki wody. Wiedziała, że potem znów będzie musiała gdzieś w kącie oddać mocz. Ciągle nie mieli żadnego wiadra, którego także nie można było znaleźć tutaj, mimo rozlicznych otaczających ich rupieci.

Po południu wieża była gotowa i Stella zaczęła się wspinać. Sammy przyglądał się temu wyraźnie wystraszony. Budowla zachwiała się kilka razy

gwałtownie i Stella była pewna, że za chwilę wyląduje na betonowej podłodze. Ale jednak udało jej się dotrzeć do brudnego, pokrytego warstwą kurzu okienka znajdującego się tuż pod dachem. Oparła się o ścianę i próbowała zignorować coś, co przypominało ruch fal i rzeczywiście kazało myśleć o statku tańczącym na wodach rozszalałego morza. Wyjrzała na zewnątrz, ale szyba była tak brudna, że nie mogła dostrzec niczego. Przetarła ją rękawem swojej bluzy, ale efekt był praktycznie żaden, bez wody trudno było usunąć warstwę brudu. Wydrapała paznokciem małą dziurkę. Widziała przez nią róg domu i fragment ogrodu. Także oba samochody, które należały do Terry i Neila. Ich samochód zaparkowany był w miejscu niewidocznym z okna. Na niebieskim niebie świeciło słońce. Na koniec wakacji i początek ich koszmaru pogoda rzeczywiście się ustabilizowała.

Neila i Terry nie było widać, co oczywiście o niczym nie świadczyło. Prawdopodobnie przebywali w domu. Niestety Stella nie mogła też dostrzec nikogo, kto przechodziłby w pobliżu, choć co prawda jej pole widzenia było mocno ograniczone. Będzie musiała raz jeszcze wspiąć się z butelką wody i umyć okno. Pytanie tylko, czy mogła sobie pozwolić na poświęcenie w tym celu cennego napoju. Neil i Terry wydawali jej się ludźmi kompletnie nieobliczalnymi i po prostu nie było wiadomo, jak dalej będzie wyglądała sprawa dostarczania więźniom wody i żywności.

Stella zaczęła powoli schodzić na dół i odetchnęła, kiedy wreszcie znalazła się na betonowej podłodze. Jednocześnie poczuła się nagle całkowicie wyczerpana i zgnębiona. Wynik tej akcji był praktycznie żaden i prawdopodobnie potem też nic to nie da. Nie można było tkwić tam na górze przez cały dzień w nadziei, że w końcu pojawi się jakiś pieszy i uda się zwrócić jego uwagę na kamienną stodołę. Przypuszczalnie i tak nikt się tu nie pojawi, a jeśli nawet, to ona go nie zauważy.

Łzy popłynęły jej z oczu. Jak mogli wpaść w tak paskudne, koszarne tarapaty?

– Mummy, ty płaczesz? – spytał Sammy.

Szybko przetarła oczy.

– Nie, tylko coś w mi wpadło do oka, pewnie kurz. Chodź, rozmontujemy tę wieżę.

– Dlaczego?

– Bo Terry albo Neil mogą tu wejść, a nie powinni zobaczyć, że znaleźliśmy możliwość dotarcia do okna.

Znów musiała się wspiąć, by mozolnie rozebrać górę skrzyń i szuflad. Starła się zapamiętać kolejność przedmiotów ustawianych jeden na drugim; gdyby miała raz jeszcze skorzystać z tej prowizorycznej drabiny, następnym razem pójdzie to szybciej. W tej chwili jednak czuła taką bezradność i brak odwagi, że nie za bardzo mogła sobie wyobrazić ponowne jej budowanie. Właściwie chciała tylko usiąść na sofie i płakać, ale wiedziała, że ze względu na Sammy'ego musi być

silna. Albo przynajmniej udawać, że jest.

– Mummy – spytał Sam. – Czy my umrzemy?

Objęła go ciasno ramionami.

– Nie, nie bój się, kochanie. Wydostanę nas stąd. W ogóle się nie martw.

Wieczorem pojawiła się Terry i znów przyniosła parę kanapek, ciastka i czekoladę oraz cały koszyk butelek z wodą. Stella poczuła na ten widok irytację – przedtem musieli się obawiać o każdą kroplę, a teraz nagle dostali jej tak dużo, że wystarczyłoby zapasu na dobre kilka dni. Czy Terry chciała oszczędzić sobie w ten sposób konieczności składania im wizyt? A może planowali z Neilem opuszczenie farmy? Stella nie wiedziała, czy ta perspektywa niosła z sobą nadzieję, czy też należało się obawiać wszystkiego jeszcze bardziej. Bo wówczas naokoło nie będzie nikogo, kto się o nich zatroszczy, a zapasy też się kiedyś skończą. Z drugiej strony jednak wówczas pojawi się więcej możliwości prób ucieczki bez ciągłej obawy, że nagle stanie tu Neil z bronią w ręku. Tylko czy rzeczywiście była jakaś możliwość ucieczki?

– Terry, co pani zamierza? Czy pani i Neil chcecie wyjechać?

– Tu jest jedzenie i picie – odpowiedziała dziewczyna, ignorując pytanie Stelli. – Proszę obchodzić się z tym oszczędnie.

– Przecież nie możecie stąd uciec i zostawić nas zamkniętych w tej szopie!

– Proszę usiąść na sofie! – rozkazała nagle Terry. – Razem z Samem.

– Dlaczego...?

– Proszę usiąść!

Stella zrobiła to, co kazała Terry. Dziewczyna odwróciła się w kierunku drzwi.

– Możecie teraz wejść do środka – powiedziała.

Zaraz potem w drzwiach ukazał się Neil. Obok niego szedł Jonas, ale nie był w stanie zrobić samodzielnie ani jednego kroku. Neil trzymał jego ramię i podpierał go, a właściwie raczej niósł. Jonas miał zamknięte oczy i był całkowicie apatyczny. Głowę miał przechyloną do przodu, choć wydawało się, że jest przytomny. Nie można było jednak rozpoznać, czy pojmuje cokolwiek z sytuacji, w jakiej się znalazł.

Stella skoczyła w jego stronę, krzycząc:

– Jonas!

– Siadać! – syknęła Terry.

– Daddy! – zawołał Sammy.

Neil puścił ramię Jonasa, który osunął się na podłogę.

Stella zignorowała rozkaz Terry, pobiegła do męża i przykucnęła koło niego. Dotknęła jego twarzy – skóra Jonasa była gorąca i sucha. Miał bardzo wysoką gorączkę. Zupełnie jakby płonął od środka.

Stella popatrzyła na Neila z przerażeniem.

– On musi natychmiast do lekarza. Ma wysoką gorączkę!
Neil pogrzebał w kieszeni i rzucił w stronę Stelli małe pudełeczko.
– Masz, to paracetamol. Był tam w domowej apteczce.
– To nie wystarczy. On musi się znaleźć pod opieką lekarza!
– Macie wodę i lekarstwa. Krwawienie ustało. Wyzdrowieje raz-dwa.
To stwierdzenie było tak absurdalne, że Stella omal się nie roześmiała.
– Neil, on ma bardzo wysoką gorączkę. To znaczy, że w ranie pojawił się stan zapalny. Proszę! Ja tu nic nie mogę zrobić. Proszę nas zawieźć do lekarza!
– Podziękuj glinom za to wszystko – odparł Neil. – To one ponoszą odpowiedzialność za to całe gówno.

– O tym nic nie wiem i jest mi to obojętne. Widzę tylko, że Jonasowi potrzebny jest lekarz. Neil!

Neil wzruszył ramionami.

Ten ruch był kroplą, która przelała czarę goryczy. Stella i tak była wściekła z powodu tego wszystkiego – uwięzienia, postrzelenia Jonasa, bezczelności i braku skrupułó, z jakimi ta złodziejska parka wtargnęła w ich życie. Poderwała się i rzuciła się z pięściami na Neila Courtneya.

– Ma pan natychmiast sprowadzić lekarza! Natychmiast! Jonas umrze, jeśli...

Neil chwycił ją za nadgarstki i ściągnął obie jej ręce w dół. Próbowwała kopnąć go w piszczel, ale zwinnie cofnął nogę, ciągle trzymając ją za ręce.

– Nie wariuj, Stella. Niczego przez to nie zmienisz.

Zawzięcie walczyła z jego chwytem.

– Proszę mnie puścić!

– A przestaniesz zachowywać się jak szalona?

Kto tu jest szalony – odpowiedziałaby najchętniej, ale gniew, który doprowadził ją do białej gorączki, zamienił się teraz w zimną wściekłość, a ta z kolei nakazywała jej ostrożność i rozwagę. Wiedziała, że w pojedynku nie będzie mogła go obezwładnić i tylko pogorszy swoją sytuację. Także sytuację Jonasa.

– W porządku – odpowiedziała.

Puścił ją. Skóra na jej nadgarstkach piekła jak ogień.

– Uważaj teraz – rzekł Neil. – Znikamy stąd z Terry. Kiedy będziemy odpowiednio daleko, zawiadomimy anonimowo gliny. One was stąd wyciągną. Do tego czasu wystarczy wam pożywienia, a Jonas też wytrzyma.

Popatrzyła na niego uważnie, próbując odgadnąć, czy rzeczywiście zamierza zrobić to, co mówił. Nie ufała mu. Przypuszczała, że do ucieczki wykorzysta samochód jej i Jonasa i dzięki temu będzie w miarę bezpieczny tylko tak długo, jak długo nikt nie będzie szukał samochodu o tym numerze rejestracyjnym. Ale w momencie kiedy policja uwolni Stellę i Jonasa, nie będzie mógł już używać ich samochodu. Jak więc daleko będzie musiał zajechać, aby mógł sobie pozwolić na

to, że Stella poda policji numery auta?

– Boję się – oświadczyła. – Boję się o Jonasa.

– Nie dam wam tu zdechnąć, spokojnie – odparł Neil.

Zauważyła, że się zmienił. Nie był już tak pewny siebie i przekonany, że wszystko mu się uda. Sprawiał wrażenie nieco zestresowanego, znów silnie się pocił, jak przed dwoma dniami, kiedy zjawił się na farmie. Wszystko najwyraźniej wymykało mu się z rąk, nie był już w stanie planować biegu wydarzeń, lecz musiał się im poddawać. Nie planował zranienia Jonasa, strzelił odruchowo, kiedy ten mężczyzna, po którym nigdy by się tego nie spodziewał, nagle go zaatakował. Gorączkujący, niezdolny do żadnego ruchu Jonas, teraz leżący u jego stóp, stanowił duży problem. Neil mógł mieć tylko nadzieję, że Jonas to wszystko przeżyje, ale mimo wszystko ciężkie zranienie i tak będzie podstawą do skazania go jako recydywisty na kilka ładnych lat więzienia.

– Słuchaj, temu wszystkiemu winna jest policja – powiedział. – To nie byłem ja, rozumiesz? To nie ja zabiłem tego glinę w lutym w Scalby.

Stella nie знаła szczegółów tej zbrodni, bo w okolicy Londynu nie znalazła się ona na pierwszych stronach gazet, jak w Yorkshire.

– To dlaczego policja sądzi, że to był pan?

– Bo to był ten typ, który dziewięć lat temu wsadził mnie za kratki. Zastawił na mnie pułapkę... I byłem wtedy na tyle głupi, aby wszędzie rozgłaszać, że mu za to zapłacę. Że go zatłukę, jak tylko wyjdę na wolność.

– To... może nie było zbyt mądre.

– Nie. Ale nie będę już taki głupi – oświadczył Neil. – Siedziałem osiem lat i wystarczy. Nie ryzykowałbym znalezienia się za kratkami za ukatrupienie jakiegoś starego gliny! Ten typ pracował w policji kryminalnej ponad czterdzieści lat. Z pewnością narobił sobie wielu wrogów oprócz mnie. Ale ich uwaga skupiła się właśnie na mnie. Co za cholerne świństwo!

– Jeśli to nie był pan – odrzekła Stella – to przecież nie mają w ręku żadnego dowodu przeciwko panu. Niczego nie mogą panu przypisać.

Neil roześmiał się kpiąco.

– Nie masz o niczym pojęcia. Żadnego!

Stella sama nie wiedziała, czy byłaby skłonna mu uwierzyć czy też nie. Tak naprawdę przypisałyby mu wszystko. Zastanawiała się jednak, czy on nie był dostatecznie zuchwały i przebiegły, aby spodziewać się, że w przypadku takiej zbrodni jak ta opisywana przez niego działałby w bardziej wyrafinowany sposób, gdyby był jej sprawcą. Aby nie musiał uciekać natychmiast potem z jednej kryjówki do drugiej i przy okazji wpadać w coraz większe tarapaty. I pociągać za sobą kolejne nieszczęścia. Bo gdyby chciał rzeczywiście popełnić tę zbrodnię, to czy nie zaplanowałby od razu, bezpośrednio po tym ucieczki za granicę? Musiał przecież wiedzieć, że znajdzie się na samej górze ewentualnej listy podejrzanych.

Stella uważała Neila za człowieka wstrętnego i odstręczającego, ale jednego była pewna: nie był głupi.

– Pogarsza pan tylko swoją sytuację, zamykając nas tutaj – powiedziała. – Jeśli to się jeszcze źle skończy dla Jonasa...

– Nic mu nie będzie. Mówię przecież, że zadzwonimy.

Znów miał gęste krople potu na czole. Ta sytuacja nerwowo po prostu całkowicie go przerastała. Stella przypuszczała, że wolałby zatrzymać się na dłuższy czas na farmie, ale było całkiem możliwe, że połknął przynętę i zakładał, że od poniedziałku rozpoczną się intensywne poszukiwania rodziny Crane'ów. I zamiast wykorzystać farmę jako dobrą kryjówkę na dłużej, co prawdopodobnie pierwotnie planował, potraktował ją jedynie jako krótki przystanek w dalszej ucieczce. Za to był teraz w posiadaniu samochodu, którego nikt nie poszukiwał, mógł zaopatrzyć się w zapasy i większą gotówkę. Bądź co bądź było to lepsze niż nic. Ale jednak za mało.

– Może mi pan pomóc zanieść Jonasa na sofę? – spytała.

Neil pochylił się, chwycił Jonasa pod ramiona i przeciągnął go na sofę. Sammy patrzył na to wszystko z rosnącym przerażeniem.

– Daddy żyje – powiedziała Stella uspokajającym głosem.

Jonas leżał nieruchomo na sofie. Jego pierś poruszała się nieznacznie w oddechu, a koszula była pokryta zakrzepłą krwią. Terry i Neil rzeczywiście zrobili mu w miarę porządną opatrunek, bo nawet teraz, po transporcie, Jonas już nie krwawił.

– Potrzebne mi będą środki opatrunkowe – powiedziała Stella. – I więcej wody. Muszę oczyścić ranę. Najlepszy byłby jakiś środek do dezynfekcji.

– Popatrzę, czy coś takiego jest – obiecał Neil.

Nie będzie przecież ryzykować jazdy do apteki.

– W naszym samochodzie jest apteczka – odrzekła Stella.

Neil wykonał lekki ruch dłonią i Terry zrozumiała to jako rozkaz: znikła natychmiast.

– Jesteś świetną kobietą, Stello – oświadczył Neil, kiedy zostali sami. – Szkoda...

– Szkoda, że co?

– Że jesteś razem z takim nieudacznikiem. – Wskazał ruchem głowy Jonasa.

– On do ciebie nie pasuje. I to, jak żyjesz, też do ciebie nie pasuje. Jako troskliwa mamusia i żonka na londyńskim przedmieściu. Wielkie nieba!

– Lepsze to niż takie życie jak pana. Tak w każdym razie uważam.

Skinął powoli głową, chcąc najwyraźniej coś jeszcze powiedzieć, ale jednak zrezygnował. Terry wróciła, niosąc samochodową apteczkę, i postawiła ją obok sofy.

Żadne z nich nie odezwało się już ani słowem. Neil i Terry wyszli z szopy.

Stella została w środku: z małym dzieckiem i ciężko rannym mężem, który był prawie nieprzytomny.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezradna.

4

Jane dotarła do Kingston-upon-Thames jeszcze przed ósmą. Udało jej się uniknąć wszelkich korków, a czasami jechała nawet szybciej, niż było to dozwolone. W którymś momencie chodziło jej już nie o to, aby o jakiejś cywilizowanej porze pojawić się u małżeństwa Crane'ów, lecz jedynie o to, aby po prostu mieć ten dzień za sobą, znaleźć jakiś nocleg, położyć się do łóżka, popatrzeć przez chwilę na telewizję i zasnąć. Była już śmiertelnie wprost zmęczona i nie pomogła jej nawet kawa, którą piła w drodze już dwa razy. Żałowała teraz swego pomysłu; rozsądniej byłoby jednak przenocować w Truro i ruszyć w drogę do domu następnego dnia z nowymi siłami. Zwłaszcza że rozmowa z Crane'ami na pewno nic nowego nie wniesie i będzie to tylko strata czasu.

Był jeszcze jasny i ciepły wieczór, kiedy skręciła w ulicę, przy której mieszkało małżeństwo Crane'ów. Wszędzie w ogródkach ludzie podlewali grządki, rozmawiali przez płot z sąsiadami albo siedzieli na tarasach przy kolacji. Grupa dzieci namalowała na asfalcie kredą figurę do gry i każde po kolei skakało po jej polach. Kiedy Jane zatrzymała się i wysiadła, natychmiast poczuła woń grillowanego mięsa. Po długim okresie uporczywych deszczów był to pierwszy pogodny i ciepły weekend, więc niemal każdy, kto tylko był w domu, wykorzystywał ten czas na spędzenie go z rodziną i przyjaciółmi przy grillu. „Jakie przytulne i miłe osiedle” – pomyślała Jane. Piękne duże domy, rozległe, wypielęgnowane ogrody. Nie jakieś przesadne bogactwo, ale przeciętnie zamożna klasa średnia. Zastanawiała się, czy małżeństwo Crane'ów będzie odpowiadać stereotypowi, który od razu sobie przypomniała: dobrze wykształceni, dobrze zarabiający, ale też zapracowani ludzie, którzy stworzyli sobie solidne i przyjemne podstawy życia i przy tym ciągle odsuwali na później planowanie rodziny. Aż nagle okazało się, że kiedy wreszcie zapragnęli dziecka, to pojawiły się trudności i trzeba było zwrócić się w tej kwestii do Urzędu do spraw Młodzieży, ponieważ adopcja była jedyną możliwością. Ale może po prostu jakąś rolę odegrały też względy medyczne, niezależne od wieku potencjalnych rodziców.

Przed wejściem do domu Crane'ów trawa była zdecydowanie wyższa niż u sąsiadów – tu od dłuższego czasu nikt jej nie kosił. I w porównaniu z ożywionym ruchem w innych ogródkach ten dom sprawiał wrażenie nieco opuszczonego.

Tego tylko brakowało. Mieszkańców najwyraźniej nie było w domu. „Ale to było do przewidzenia – myślała Jane – kiedy moje próby połączenia lądowały w poczcie głosowej”.

Ponieważ ogródki graniczyły ze sobą, Jane nie mogła okrążyć działki.

Minęła jednak ogrodzony trawnik przed wejściem, podeszła do drzwi i zadzwoniła – raczej nie sądząc, że ktoś otworzy. Zajrzała przez okno i zobaczyła wykafelkowaną podłogę w korytarzu, garderobę i poręcz schodów. Poszła wzdłuż ściany domu, aż dotarła do bramy ogrodu znajdującego się za domem. Brama była zamknięta. Jane wychyliła się przez nią. O ile mogła dostrzec, w ogrodzie też nikogo nie było. Zobaczyła piaskownicę i zjeżdżalnię z czerwonego plastiku, otoczoną wysoką trawą, co rzuciło jej się w oczy już przed domem.

Małżeństwa Crane'ów nie było tej soboty w domu. Wyjechali gdzieś na dłuższy czas. Prawdopodobnie na urlop. Ich dziecko nie chodziło jeszcze do szkoły, zrozumiałe więc było, że wyjechali przed sezonem wakacyjnym.

Jane poczuła się bardziej zmęczona i sfrustrowana niż przedtem.

Wszystko było daremne.

Nagle usłyszała dobiegający z tyłu kobiecy głos:

– Halo? Chce pani odwiedzić Crane'ów?

Odwróciła się. W ogrodzie przed wejściem stała starsza kobieta, trzymając w ręku klucz, i patrzyła na nią nieufnie.

Jane uśmiechnęła się do niej pojednawczo.

– Tak. Czy nie ma ich w domu?

– A kim pani jest? – spytała kobieta.

Jane wyjęła swoją legitymację służbową.

– Funkcjonariuszka śledcza Scapin. Yorkshire Police.

– Yorkshire Police!?

– Nie, nic się nie stało, proszę się nie obawiać. Potrzebuję tylko kilku informacji od Mrs bądź Mr Crane'a.

– Oni wyjechali. I to już dwa tygodnie temu.

– Rozumiem.

– Idę właśnie do nich, aby podlać kwiaty. Kiedy ich nie ma, to odbieram pocztę i tak dalej.

– A kiedy wracają?

– Jutro. Jutro wieczorem.

„Minę się z nimi o dwadzieścia cztery godziny” – pomyślała Jane. Nie mogła czekać do następnego wieczora, już choćby z powodu Dylana. Ale pomijając nawet to, i tak byłaby to strata czasu posunięta do ostateczności. Crane'owie wyjechali gdzieś na urlop, i to aż dwa tygodnie temu. Dlatego było jeszcze bardziej nieprawdopodobne, że Terry Malyan zwróciła się do nich.

– A czy wie pani, dokąd pojechali? – spytała.

– Dokładnie nie wiem. Są gdzieś w północnej Anglii.

Jane zmarszczyła czoło. To z kolei było osobliwe. Spodziewała się usłyszeć, że pojechali do Hiszpanii czy Grecji. Albo na Bahamy. Wówczas rzeczywiście mogłaby wykreślić ten trop ze swego dochodzenia.

– Północna Anglia? A nie wie pani nic dokładniejszego?

– Niestety nie. Mrs Crane powiedziała tylko, że potrzebne im jakieś totalne odosobnienie, bo Mr Crane jest bardzo przepracowany i potrzebuje całkowitego spokoju. I proszę sobie wyobrazić, że tam nawet nie ma telefonu!

– Ale chyba ma pani numery ich telefonów komórkowych?

Kobieta skinęła głową.

– Tak, mam numer Mrs Crane. Ale tam z kolei nie ma zasięgu. Ustaliliśmy, że zostawię jej wiadomość na poczcie głosowej, gdyby był jakiś problem, a ona każdego dnia albo przynajmniej co drugi dzień pojedzie gdzieś, gdzie będzie zasięg, i wszystko odsłucha. Ale to na razie nie było konieczne. Tu wszystko jest w najlepszym porządku. Tylko – kobieta rozejrzała się dookoła – będą mieli problem z tą trawą. Tak długo padało, że wszystko szybko urosło i trudno będzie to skosić.

– Mogłaby mi pani dać numer jej telefonu komórkowego? Też zostawię jej wiadomość na poczcie głosowej.

– Oni jutro i tak wracają i będzie już można bez problemów się do nich dodzwonić.

– Mimo wszystko. Tak byłoby jednak lepiej. Dla bezpieczeństwa. – Jane znów przywołała na twarz swój słynny stalowy uśmiech. – I chciałabym też dostać pani numer, jeśli można.

Kobieta westchnęła.

– To muszę iść po to do siebie. Nie pamiętam tego numeru. To znaczy numeru Stelli.

– Byłabym pani bardzo wdzięczna.

Kobieta poszła w stronę swojego domu, mrużąc coś do siebie. Kiedy wróciła, oprócz klucza miała w ręku kartkę.

– Proszę, zapisałam pani. To numer komórki Stelli i mojego telefonu stacjonarnego. A poza tym nazywam się Celia Hedger.

– Dziękuję bardzo, Mrs Hedger.

Jane schowała kartkę do torby i podała kobiecie swoją wizytówkę.

– Proszę. Kiedy Crane'owie jutro wrócą, czy mogłaby pani ich poprosić, aby w poniedziałek zadzwonili do mnie? Tylko na wypadek gdybym jednak nie mogła się do nich dodzwonić.

– Przekażę im – obiecała sąsiadka.

Jane spróbowała poruszyć jeszcze jeden temat.

– Crane'owie mają małego synka. Czy zna go pani bliżej?

– Sammy. To bardzo miły chłopiec, tak. Dziecko adoptowane. I mieli tutaj prawdziwe szczęście. Bo jeśli chodzi o adoptowane dzieci, to nigdy nie wiadomo, co się dostanie, prawda?

„Jeśli chodzi o biologiczne, także nie” – pomyślała Jane.

– To prawda – odpowiedziała jednak, bo zgodnie z jej doświadczeniem łatwiej było podtrzymać rozmowę, kiedy rozmówcy przyznawało się rację. Jane nie wspominałaby o adopcji z własnej inicjatywy, bo nie wiedziała, jak do tego faktu podchodzili Crane'owie, ale skoro wiedziała o tym sąsiadka, to mogła zaryzykować dalsze pytania.

– A może wie pani, czy Crane'owie utrzymują kontakty z biologiczną matką Sammy'ego?

Mrs Hedger zastanawiała się przez chwilę.

– Nic o tym nie wiem. Stella nigdy o tym nie mówiła. Ale tak dokładnie nie wiem.

– Okay.

Więcej już nie można było się dowiedzieć. Jane musiała poczekać, aż będzie mogła porozmawiać ze Stellą Crane.

– Dziękuję za wszystkie wiadomości – powiedziała i odwróciła się, chcąc odejść.

– Chwileczkę – odezwała się Mrs Hedger. Nagle zaczęła sprawiać wrażenie zdenerwowanej. – Byłabym zapomniała. Czy jest pani tutaj... z powodu tego dziwnego mężczyzny?

Jane zatrzymała się gwałtownie.

– Dziwny mężczyzna?

– Tak, był tutaj wczoraj. Skradał się wokół domu tak jak pani... – Kobieta uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Zaczepiłam go w końcu. Śmieszny typ. Z wyglądu miał w sobie coś... arabskiego, tak bym to określiła. Ale mówił dobrze po angielsku.

Arabskiego... To raczej nie wskazywało na to, że mógłby to być Denis Shove.

– Czego chciał?

– Chciał koniecznie rozmawiać z Jonasem Crane'em i dopytywał się, dokąd pojechali, ale tego to ja sama nie wiem. A pomijając to, i tak nie powiedziałabym mu nic. W końcu był przecież więcej niż dziwny.

– Dlaczego dziwny?

– Tak osobliwie mrugał oczami. I stale się rozglądał... nie sądzi pani, że to mógł być terrorysta? Taki... samobójca zamachowiec czy coś takiego?

Jane nie sądziła, że spokojna uliczka w porządnej dzielnicy mieszkaniowej z kwitnącymi ogrodami dookoła mogłaby być klasycznym celem Al-Kaidy, ale mimo wszystko uznała tę wiadomość za niepokojącą.

– Czy powiedział, dlaczego chce rozmawiać z Mr Crane'em? W jakiej sprawie? – spytała.

– Mówił, że chodzi o coś, co jest związane z jego pracą.

– Hm... A nie powiedział, jak się nazywa?

– Nie. Nie zostawił też ani adresu, ani numeru telefonu. W ogóle nic. Powiedziałam mu, że Crane'owie wracają jutro i z pewnością będzie mógł się spotkać z Jonaszem w poniedziałek. A on w odpowiedzi odwrócił się i po prostu odszedł. Bez pożegnania czy coś...

– A co robi zawodowo Mr Crane?

– Jest autorem scenariuszy. Pisze je dla wielu telewizji. Myślałam, że ten typ jest może aktorem, który chce koniecznie dostać jakąś rolę. Przecież ostatecznie wiele zależy od autora scenariusza i może dlatego on był taki nerwowy?

– To całkiem możliwe.

Jane nie powiedziała tego tylko z grzeczności, aby zakończyć rozmowę. Nic w życiu rodziny Crane'ów nie musiało mieć związku z Therese Malyan, z wyjątkiem faktu, że adoptowali jej syna. Nic nie musiało mieć też związku z Denisem Shove'em. Ale mogło. Pozostawało tylko czekać na telefon od Stelli Crane.

– Proszę się nie martwić – dodała. – A jeśli o mnie chodzi, to mam tylko krótkie pytanie. Nie ma powodu, aby obawiać się czegokolwiek.

– To dobrze – odpowiedziała Mrs Hedger. W jej głosie słychać było rozczarowanie.

Jane pożegnała się wreszcie i poszła do swojego samochodu. Wszystko, czego teraz chciała, to jakiś pokój i nocleg. Coś do jedzenia i kieliszek wina, aby móc o wszystkim zapomnieć. A potem do łóżka. I spać, spać, spać. Ale jednak znalazła w sobie jeszcze tyle energii, aby wybrać numer telefonu komórkowego Stelli Crane. I zgodnie z oczekiwaniami zgłosiła się tylko poczta głosowa. Jane przedstawiła się krótko, wyjaśniła celem uspokojenia, że chodzi tylko o rutynową sprawę, po czym podała swój numer i poprosiła o oddzwonienie.

I zrobiwszy to, uznała, że tego dnia pracowała naprawdę długo.

Poniedziałek, 9 czerwca

Kate robiła porządki przez całą niedzielę. Zgromadziła w workach wszystkie ubrania ojca i zawiozła je do firmy prowadzącej zbiórkę odzieży używanej. Wyrzuciła to, co znalazła w szufladach, a były to całe góry różnych papierów, notatek i starych listów. W ciągu całego życia człowiek gromadzi naprawdę wiele, a Richard należał do ludzi, którzy we wszystkim utrzymywali porządek i nie mieli skłonności do przechowywania wszystkiego, co kiedykolwiek znalazło się w ich posiadaniu.

Kate w ramach swojej akcji poświęciła wiele uwagi przede wszystkim przeróżnym papierom. Zastanawiała się, czy może w domu znajdzie jednak jakąś wskazówkę związaną z Melissą Cooper – jakiś list, który napisała do Richarda, notatkę o spotkaniu, może fotografię... cokolwiek. Nie była pewna, czy będzie czuła się dobrze, kiedy coś takiego wpadnie jej w ręce, ale jednocześnie za wszelką cenę pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej. Jakie znaczenie dla jej ojca miała Melissa?

Nie znalazła niczego, dosłownie niczego. Richard Linville nie darmo przez całe dorosłe życie pracował w policji kryminalnej. Dobrze wiedział, że ludziom nieraz udowodniono coś dlatego właśnie, że przeoczyli jakiś pozostawiony ślad, zapomnieli zniszczyć jakiś drobiazg, który mógł stanowić wskazówkę, bo byli nieuważni i nie pomyśleli o tym, że wszystko może być użyte przeciwko nim. Dlatego Richard z wielką rozważą i starannością ukrywał swoje własne cudzołóstwo. Kate rozumiała coraz lepiej, że nigdy nie miałyby szansy wdrzeć się do tajemnicy Richarda, gdyby nie to, że sama Melissa próbowała nawiązać z nią kontakt, i gdyby jej syn sam jej o tym nie poinformował. Chętnie pogrzebałaby w komputerze ojca, ale ten w swoim czasie zajęła policja w nadziei, że po sprawdzeniu wszystkich programów znajdą tam jakieś wskazówki dotyczące mordercy Richarda. Kate dotychczas nie pamiętała o tym, by poprosić o jego zwrot. Ale była zdania, że tam z pewnością także nie było nic ciekawego. Specjaliści go przebadali i gdyby natknęli się na nazwisko Melissy Cooper czy też w ogóle na ślad egzystencji jakiejś nieznannej osoby, to zapytano by o to Kate. A Caleb też był całkowicie zaskoczony, kiedy dowiedział się o Melissie. W końcu lat dziewięćdziesiątych przesyłanie listów pocztą elektroniczną między osobami prywatnymi było raczej rzadkie, Richard i Melissa nie komunikowali się zapewne za pomocą tego medium. Ale Richard i tak był dostatecznie sprytny i ostrożny. Zbyt często spotykał ludzi, którzy sądzili, że wszystko, co mogłoby mieć związek z jakąś zbrodnią, zostało usunięte z komputera, a potem pojawiali się eksperci potrafiący wydobyć na światło dzienne nader dziwne i zaskakujące informacje. Richard był jednak bardzo przebiegły i roztropny.

Ta myśl pomagała Kate w czasie pakowania jego odzieży. Obok żalu i bólu po stracie ojca coraz częściej ogarniał ją gniew. Gniew wobec tego, co ojciec zrobił jej matce. Ale także wobec tego, co zrobił swojej córce.

Pakowała, sprzątała i zastanawiała się jednocześnie, co ma zrobić z informacjami, do których dotarła poprzez przyjaciółki Melissy. Stwierdziła, że w jakiś sposób pomagały jej one wrócić do równowagi. Bo zgodnie z nimi Richard nie wrócił do swojej chorej żony niechętnie, jedynie z czystego poczucia obowiązku. Coś zaszło między nim i Melissą, i to coś wszystko zmieniło. Ten związek w efekcie nie był już nigdy taki jak przedtem. I bardzo dobrze. Kate z perspektywy czasu nie było ani trochę żal obojga.

Ale czy to się jakoś łączyło z dwoma morderstwami wiele lat później?

„Powinam powiedzieć o tym przynajmniej Calebowi Hale’owi” – pomyślała i poczuła się nieswojo.

Nie byłby zachwycony jej wycieczką do Whitby, gdyby się o niej dowiedział. A ona nie miała ochoty wysłuchiwać jego zarzutów.

Ale tak czy owak, tego późnego niedzielnego popołudnia wpadło jej w ręce coś, co przynajmniej mogła wykorzystać przy swoim kolejnym małym kroku – dokądkolwiek by prowadził. Właściwie przekopała i sprzątnęła już wszystko, co mogłoby zawierać choćby ślad jakiejś tajemnicy, ale kiedy w kuchni szukała otwieracza do butelek – postanowiła pozwolić sobie na wypicie paru kieliszków wina z zapasów Richarda – natknęła się na widokówkę, którą ktoś przechowywał właśnie tam z zupełnie niezrozumiałych powodów. Była to kartka z okazji Bożego Narodzenia; przedstawiała wiszący nad drzwiami wieniec z jemioly ozdobiony czerwonymi owocami głogu. Dookoła wirowały płatki śniegu spadające z ciemnoniebieskiego nieba. Po przekątnej tej kiczowatej kompozycji umieszczono ozdobny złoty napis „Merry Christmas”.

Kate odwróciła kartkę. Była zaadresowana do jej ojca i zgodnie ze stemplem pocztowym pochodziła z roku 2004. „Tobie i Twoim bliskim życzenia spokojnego Bożego Narodzenia” – napisane było obok niebieskim atramentem, i: „oraz szczęśliwego Nowego Roku 2005”. Kartka była podpisana „Norman”. Norman Dowrick. Sierżant śledczy i długoletni bliski współpracownik ojca. Richard sam określał ich obu jako niezrównany team. A w dodatku byli dobrymi przyjaciółmi.

Kate zapomniała o winie, usiadła z kartką na tarasie i zaczęła rozmyślać. Był pogodny czerwcowy wieczór, a kamienna podłoga zachowała jeszcze ciepło upalnego dnia. Tuż przed letnim przesileniem bardzo długo było też jasno. Dobrze było tu siedzieć i patrzeć na kwitnący ogród. W ciągu wielu lat nie było chyba człowieka, z którym Richard spędzałby tak wiele czasu jak z Normanem. Po prostu dlatego, że razem pracowali i że ich zawód wymagał tak dużego zaangażowania. Matka Kate zwykła czasem mawiać: „Chciałabym być Normanem! Bo wtedy mogłabym od czasu do czasu zamienić z tobą więcej niż trzy słowa, zanim

dostaniesz wezwanie do kolejnej akcji!” Latem 2004 roku wszystko się skończyło. Norman brał udział w ujęciu narkotykowego dealera – bez Richarda, który akurat był na urlopie i rzeczywiście pojechał z Brendą na krótkie wakacje. W czasie akcji doszło do strzelaniny; Norman został trafiony, przez dwa następne dni walczył o życie. W efekcie postrzału musiał się poddać kilku operacjom i po długiej kuracji lekarze doszli do wniosku, że ze swej strony zrobili wszystko co możliwe i że sparaliżowany od pasa w dół Norman już do końca życia będzie siedział na wózku. Mimo wszystko w policji znalazłaby się dla niego praca, choć oczywiście tylko zza biurka, byłoby to więc zupełnie inne zajęcie niż to, do którego przywykł. Kate pamiętała, że Richard przekonywał go do tej pracy i rozmawiał z nim całymi godzinami. Ojciec opowiadał o tym z rosnącą rozpaczą.

– On chce wszystko rzucić i żyć z niewielkiej renty inwalidzkiej. I od rana do wieczora gapić się w ściany pokoju. Chyba oszalał. To, co chce zrobić, to ogromny błąd.

I w końcu Richardowi jednak nie udało się namówić Normana do zmiany decyzji. Sierżant Dowrick miał nie tylko złamany kręgosłup, lecz przede wszystkim pustkę w duszy. Poddał się sam, mając zaledwie czterdzieści lat, rezygnując tym samym ze swojej przyszłości, swojego zawodu i swojego życia. Stopniowo rezygnował też ze wszystkich przyjaźni. Ta kartka z życzeniami była pewnie jednym z ostatnich gestów, które wykonał w stronę dawnego partnera. Bo był to jedynie gest. W końcu 2004 roku Norman Dowrick był głęboko zgorzkniałym człowiekiem, który nie chciał znać nikogo. Przestał kontaktować się z kimkolwiek, nie reagował na maile, telefony, często też nie otwierał drzwi, przed którymi stał Richard. I Richard któregoś dnia też zrezygnował. Uszanował to, że jego dawny przyjaciel postanowił zerwać wszystkie związki z dawnym życiem. Dla Kate ten dawny kolega ojca był w tej chwili kimś bardzo interesującym. Bo w tych decydujących latach, kiedy w życiu Richarda istniała Melissa, obaj mężczyźni pracowali razem. Kate zastanawiała się, czy Richardowi rzeczywiście mogłoby się udać utrzymać ten romans w tajemnicy przed Normanem. Do tego rodzaju konspiracyjnej konstrukcji, jaką wówczas zbudował Richard, z reguły potrzebny jest współnik, ktoś, kto mógł w razie konieczności zastąpić Richarda, kto byłby gotów kryć go przed przełożonymi i znał wymówki pełniące funkcję alibi. Ale nawet jeśli Richard rzeczywiście chciał utrzymywać wszystko w tajemnicy – to Norman i tak musiałby coś zauważyć. I miałby po temu więcej danych niż ktokolwiek inny. Ale może rzeczywiście był on osobą, której Richard zaufał i której powierzył swój sekret.

Caleb powiedział, że osoba Normana nie ma żadnego znaczenia, ponieważ wszystkie sprawy, którymi zajmowali się obaj mężczyźni, i tak zostały udokumentowane. To była prawda, jeśli chodziło o ich zawód, a nie o życie prywatne. Może Norman Dowrick wiedział, co było przyczyną rozpadu związku

Melissy i Richarda.

Kate siedziała godzinę na tarasie i zastanawiała się nad tym, po czym udała się na poszukiwanie numeru Normana Dowricka. W domu były stare książki adresowe Richarda, których świadomie nie wyrzuciła, lecz zachowała jako być może przydatne dokumenty. Zgodnie z tym, co mówił Caleb, Norman wprawdzie nie mieszkał już w Scarborough, ale jego żonę można tam było z pewnością zastać i być może ona mogłaby tu pomóc.

Kate znalazła w końcu numer telefonu Dowricka, ale kiedy zadzwoniła, nikt się nie zgłaszał. Ten adres знаła jeszcze z dawnych czasów. Postanowiła pojechać tam następnego dnia.

I tego poniedziałkowego ranka stała już o ósmej rano przed wąskim szeregowcem, który znajdował się w mało atrakcyjnej dzielnicy miasta. Mieszkali tu ludzie, którzy mieli mało pieniędzy i nie mogli sobie pozwolić na inwestowanie w swoje domy. Ze zniszczonych ram okien odpadała farba, ogródki przed wejściami były zarośnięte, pleśniała się w nich trawa i dziko rosnący mniszek. Z tyłu na podwórkach po przekątnej i w poprzek rozwieszane były linki do bielizny. Tanie plecione płoty stanowiły wątpliwą osłonę przed spojrzeciami wścibskich sąsiadów, bo było tu tak ciasno, że kiedy wieczorem ktoś chciał coś zjeść albo napić się piwa w ogródku, to i tak praktycznie siedział sąsiadowi niemal na kolanach.

Kate wiedziała od ojca, że Norman marzył o własnym domu i że nie mógł sobie pozwolić na nic innego niż szeregowka w takiej dzielnicy. Ale tego nie zdążył już zmienić.

Kiedy tylko zegar na niedalekiej wieży wybił ósmą, Kate zadzwoniła do drzwi. Miała nadzieję, że o tej porze mieszkańcy domu nie będą już w łóżku.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, a kobieta, która pojawiła się na progu, mimo upływu wielu lat wydała się Kate znajoma.

– Mrs Dowrick? – spytała, uśmiechając się.

Kobieta patrzyła na nią z niedowierzaniem, choć także ją rozpoznała.

– Kate? Kate Linville?

– Wiem, że to nieodpowiednia pora na składanie wizyt – odpowiedziała Kate. – Ale muszę się koniecznie dowiedzieć, gdzie mogę znaleźć pani męża.

– Tak, on nie mieszka tu już od dawna. A od dobrych czterech lat nie kontaktowaliśmy się w ogóle – odparła Susannah. Zaprosiła Kate do kuchni, gdzie stojąc, pośpiesznie piła kawę. Oświadczyła, że za kwadrans musi koniecznie wyjść. Pracowała w sklepie drogowym i właściwie powinna była tam być już godzinę przed otwarciem.

– Czyli dokładnie teraz – dodała, zerkając na zegarek. – Ale nic się nie stanie, nie będą mieć mi tego za złe, o ile nie będę się spóźniać zbyt często.

Kate usiadła na kuchennym krześle i z wdzięcznością przyjęła filiżankę

kawy. Susannah wolała stać, trzymając w ręku swój kubek.

– Rano zawsze jestem dziwnie niespokojna – oświadczyła.

Była niesamowicie, chorobliwie wręcz chuda, miała wynędzniałą twarz i ciemne cienie pod oczami. Sprawiała wrażenie kogoś, kto był stale w stresie, mimo że właściwie nie istniał ku temu żaden powód. Susannah Dowrick pracowała kiedyś na najwyższych obrotach i teraz nie potrafiła zwolnić i prowadzić spokojnego trybu życia. Tak odbierała ją w tej chwili Kate. Z pewnością nie była to osoba szczęśliwa, raczej ktoś, kto za wszelką cenę usiłuje uciec przed dręczącymi myślami i własnym niepokojem.

– Już od dawna jesteśmy rozwiedzeni – mówiła dalej. – Norman tego chciał. Nie, proszę nie myśleć, że to ja go opuściłam, kiedy musiał sięść w wózku inwalidzkim. Dla mnie było oczywiste, że będziemy próbowali razem uporać się z losem. Choć nie była to piękna bajka. Norman złorzeczył losowi od rana do wieczora, obwiniał Boga i w ogóle cały świat o to, co go spotkało, był stale w złym humorze, wręcz agresywny i ciągle szukał powodu do kłótni.

Susannah na chwilę zamknęła oczy.

– Nie – dodała, potwierdzając swoje słowa – to było nie do zniesienia. Ale rozumiałam go. Jego rozpacz i poczucie bezradności. Ciągły bunt przeciwko temu, co zgotowało mu życie. Bo to wszystko przecież niczego nie rozwiązywało. W końcu przecież trzeba kiedyś pogodzić się z losem, prawda? Inaczej człowiek szybko się rozchoruje.

– Tak – odparła Kate – trzeba się z tym pogodzić i żyć dalej.

Zastanawiała się, czy ma spytać Susannah o swojego ojca, ale ona już mówiła dalej.

– Chce pani porozmawiać z Normanem? No to będzie pani musiała pojechać do Liverpoolu.

– Dlaczego wyprowadził się akurat do Liverpoolu?

– Oboje pochodzimy stamtąd. Choć co prawda nikt z jego rodziny już nie żyje, dlatego nie całkiem rozumiałam jego decyzję. Ale on chyba chciał po prostu wrócić do krainy swego dzieciństwa. Do czegoś, co jest znane i bliskie... Czy ja wiem zresztą...

– I mówi pani... Nie ma pani z nim kontaktu już od czterech lat?

– On sam tego chciał. I tak też powiedziałam wszystkim ludziom. Bo co jakiś czas pojawiali się tu jego dawni koledzy i pytali o niego. I mówiłam, że mogę dać im jego adres, ale prawdopodobnie nie będzie chciał ich w ogóle widzieć. Większość z nich pewnie była zadowolona, że dzięki temu nie będą musieli jechać do Liverpoolu, aby zatroszczyć się o zgorzkniałego, zamkniętego w sobie człowieka.

– A pani mimo wszystko chciała pozostać w tym domu? – spytała Kate i w następnej chwili pomyślała, że akurat jej nie powinno to dziwić. Sama tkwiła

uparcie w domu ojca, mimo że wszystko przemawiało za tym, aby go nie zatrzymać i opuścić jak najprędzej.

– Tak, trudno to zrozumieć, wiem – odparła Susannah z westchnieniem. – Ale tak jakoś... Ten domek, mimo że taki nędzny, z malutkim ogródkiem, i to uczucie, że to do nas należy ten kawałek ziemi... To było marzenie Normana i moje. Nas obojga jako całości nie ma już od dawna, ale dla mnie to jest... czymś jedynym, co mi jeszcze pozostało.

Potrząsnęła głową, jak gdyby dziwiąc się samej sobie.

– Moi rodzicie mi pomagają, bo sama nie byłabym w stanie tego spłacać. Ciągłe myślę, że powinnam go wreszcie sprzedać, ale nie potrafię. To wszystko, co mi pozostało ze szczęśliwej przeszłości. Ale może poprzez to sama się blokuję?

Ostatnie pytanie skierowane było bardziej do niej samej niż do Kate, dlatego też Kate pominęła je milczeniem. Ale aż za dobrze знаła uczucia i myśli, które nurtowały Susannah.

A Susannah wróciła do rzeczywistości, bo poranny gość raczej nie przyszedł po to, aby rozmawiać o jej niewesołym nastroju.

– Do dziś nie mogę tego pojąć. Tej wiadomości o morderstwie Richarda – zmieniła nagle temat. – Kto mógł coś takiego zrobić? Czytałam, że szukają tego Shove’a. Są jakieś podstawy, aby sądzić, że to był on?

– On przynajmniej groził przedtem, że to zrobi – odpowiedziała Kate. – To znaczy, że zabije mojego ojca. Dlatego jest zrozumiałe, że policja widzi w nim głównego podejrzanego.

– Nawiasem mówiąc, u mnie też był jeden ze śledczych – powiedziała Susannah. – Zaraz, jak on się nazywał? A, sierżant Stewart, tak mi się zdaje.

– Sierżant śledczy Robert Stewart – potwierdziła Kate.

– Tak, właśnie on. Przecież Norman i Richard długo pracowali razem i on chciał się dowiedzieć, czy wtedy właśnie miało miejsce jakieś zdarzenie, które mogłoby być związane z morderstwem Richarda. Ale niestety nie mogłam mu pomóc. Norman rzeczywiście często rozmawiał ze mną o swojej pracy, ale nie było w jego słowach niczego, co mogłoby stanowić jakiś punkt zaczepienia. To znaczy, wrogów oczywiście sobie narobił, to jasne. Ale nie widziałam wśród nich nikogo, kogo mogłabym uważać za szczególnie podejrzanego. Właściwie mógł to być każdy z nich. Albo żaden.

– Mogę się tylko modlić, aby policja jak najszybciej wyjaśniła to morderstwo mojego ojca – powiedziała Kate.

Susannah obserwowała ją z zainteresowaniem.

– Ale z pewnością pomaga im pani, prawda? Tak, przypominam już sobie – pracuje pani przecież w Metropolitan Police?

– Zgadza się, ale to oznacza też, że tutaj nie mam żadnych kompetencji. W tych sprawach trzeba przestrzegać przepisów – odpowiedziała Kate i wydała się

sobie uczennicą, która wygłasza wyuczony na pamięć tekst. – Ale przy okazji natknęłam się na inną sprawę, która mnie bardzo zaintrygowała, i pomyślałam, że może Norman będzie mógł mi pomóc...

– A może ja będę mogła pani pomóc?

Norman przecież dużo jej opowiadał. Kate postanowiła skoczyć na głęboką wodę.

– Czy mówi coś pani nazwisko Melissa Cooper? – spytała.

Susannah drgnęła nagle, nie ukrywając poruszenia.

– O dobry Boże – westchnęła.

– To chyba znaczy, że tak, prawda? – zauważyła Kate.

– Tak – potwierdziła Susannah.

2

Jane prowadziła samochód, a Caleb siedział obok i telefonował. Jane słyszała tylko: „tak” i „hm”, a potem: „Tego można się było spodziewać. A więc miała rację, kiedy czuła się obserwowana i śledzona”. Caleb zakończył wreszcie rozmowę i spojrział na nią.

– Dzwonili ludzie z ekipy zabezpieczenia śladów. Są teraz pewni, że ktoś próbował się włamać do letniego domku Melissy Cooper. Są ślady na drzwiach prowadzących do domu z tarasu, ale nie od razu wiadomo było, jak należy je zakwalifikować. Teraz okazało się najwyraźniej, że ktoś chciał wyłamać drzwi, ale zrezygnował ze swojego zamiaru. Ten kolega mówi, że nie dlatego, iż nie mógł sobie z tym poradzić. Najwyraźniej coś przeszkodziło sprawcy – lub też sprawcom.

– Zapewne przyjazd jej syna tego wieczoru – podsumowała Jane.

– To bardzo prawdopodobne. Gdyby nie to, Melissa Cooper zostałaby napadnięta jeszcze tamtej nocy w łóżku. Na nieszczęście przyjazd syna spowodował jedynie zwłokę w działaniach mordercy.

Umilkli oboje. Caleb z przygnębieniem myślał o starszej kobiecie w tym domu położonym na kompletnym odludziu. Melissa byłaby tam łatwym celem. Los w ostatniej sekundzie okazał się dla niej łaskawy. Ale jej prześladowca działał potem tym bardziej zdecydowanie. Napaść na Melissę w biały dzień w szkole była czynem śmiałym i ryzykownym.

– Dojeżdżamy do Newcastle – powiedziała Jane. – Od tej chwili będzie trudno. Ta farma też leży gdzieś na całkowitym odludziu.

– To zapewne nawet pani znajomość okolicy niewiele nam pomoże – odparł Caleb. Wiedział, że Jane pochodziła z Newcastle i że spędziła tam całe dzieciństwo.

– Nie – zgodziła się Jane. – Niestety nie. Miasto znam dobrze, ale jego okolica nigdy mnie nie pociągała.

Ona i Caleb byli w drodze do Neila Courtneya. Prawdziwego Neila

Courtneya, o ile dopisze im szczęście. To odkrycie zawdzięczali Robertowi Stewartowi. Choć z początku wszystko wskazywało na to, że jego rozmowy prowadzone w piątek w więzieniu w Hull nie wniosą niczego nowego do sprawy. Między trójką dawnych nastolatków, którzy swego czasu napadli na salę gier w Scarborough, a Denisem nie było żadnych kontaktów, przynajmniej nic na to nie wskazywało. Shove nie powtórzył wobec nikogo swej pogróżki, że zemści się na nadkomisarzu Linville'u. Zdaniem dyrektora więzienia nikt nie miał wrażenia, że Shove dzień i noc myśli tylko o tym, kiedy i jak okrutnie zabije Richarda Linville'a. Nie można też było ustalić, czy Shove wiedział o związku Richarda i Melissy. W każdym razie nie wiedział o tym dyrektor więzienia i przyjął tę wiadomość z zaskoczeniem.

– Linville miał romans z kobietą, która została zamordowana tutaj w szkole w ostatnim tygodniu? Coś takiego! Ale to tylko utrudnia całą sprawę, prawda?

Stewart zgodził się z nim całkowicie. Jego rozmowy z pozostałymi świadkami napadu na halę gier także nic nie dały. Żaden z nich nie zauważył w ostatnich tygodniach i miesiącach nic szczególnego, żaden też nie miał wrażenia, że jest śledzony, obserwowany czy też w jakikolwiek sposób nagabywany. Dobrze było wiedzieć, że przynajmniej tym ludziom najprawdopodobniej nie groziło niebezpieczeństwo, ale oznaczało to także, że ów napad sprzed lat rzeczywiście nie miał wcale związku z dzisiejszą sprawą i należało zrezygnować z dochodzenia w tym kierunku. Ale potem, zgodnie z umową, do Stewarta zadzwoniła w poniedziałkowy rano tak bardzo wyczekiwana więzienna psycholog, która swego czasu opiekowała się Denisem Shove'em. I wbrew oczekiwaniom Roberta upierała się przy pozytywnych socjalnych prognozach dotyczących Shove'a, które zostały opracowane jeszcze przed jego zwolnieniem z więzienia.

– Nie sądzę, żeby to on zamordował tego policjanta – oświadczyła. – Zgodnie ze wszystkim, co teraz na ten temat przeczytałam, była to zaplanowana na zimno i starannie wykonana zbrodnia. A to zupełnie nietypowe dla Shove'a. Jego problem polegał na tym, że w stresujących sytuacjach nie potrafił się kontrolować. Oburzał się, kiedy słyszał najłżejszą krytykę albo kiedy podważano jego zdanie, działał emocjonalnie, kiedy był pod presją czy kiedy czuł się zapędzony w kozi róg. Albo kiedy po prostu wszystko szło nie tak, jak chciał. I tak się zachował wobec swojej dawnej towarzyszki życia, był to raczej tragiczny wypadek, że ona w wyniku ran odniesionych w kłótni zmarła. Denis nie zamierzał zabić.

Stewart zastanawiał się, dlaczego psychologowie więzienni przy opisie sprawcy stosującego przemoc tak często gotowi byli wpajać swoim rozmówcom przekonanie, że to właściwie ofiara wszystko robiła nie tak jak trzeba i że sprawca wyłącznie z powodu niekorzystnych okoliczności znalazł się w sytuacji, której nie można było rozwiązać inaczej niż przez eskalację przemocy.

– Czy on nigdy wobec pani nie zdradził swych zamiarów zemsty, jakie miał

wobec Richarda Linville'a? – spytał.

– Nie.

Stewart skierował więc rozmowę na osobę Melissy Cooper, ale psycholog nigdy nie słyszała tego nazwiska.

– Kim ona była? Miała romans z zamordowanym policjantem? Nie, Denis nie wspomniał o niej ani razu. Nie sądzę, żeby on cokolwiek o tym wiedział. A w ogóle dlaczego miałby ją mordować? To przecież nie ma związku z domniemanym motywem zemsty.

„I to jest właśnie problem” – pomyślał Stewart.

Ale przynajmniej odniósł niemal sukces, jeśli chodziło o pseudonim Shove'a: „Neil Courtney”.

– To jego daleki krewny i Denis wspominał go częściej. Jedyne żyjące krewny, o ile wiem – powiedziała psycholog.

Stewart zareagował natychmiast. Wreszcie jakiś punkt zaczepienia.

– Jest pani pewna?

– Tak, absolutnie. Często wracaliśmy w rozmowach do jego osoby. To był trzeci mąż kuzynki jego matki – coś w tym rodzaju, czyli rzeczywiście dziesiąta woda po kisielu, ale jednak. Lepsze to niż nic. Musi być już mocno starszym człowiekiem i mieszka na farmie gdzieś koło Newcastle. Denis nie kontaktował się z nim zbyt często, ale zachęcałam go, aby koniecznie odnowił tę znajomość po wyjściu z więzienia. Ktoś taki jak Denis, kto latami siedział, powinien mieć jakieś wsparcie na zewnątrz. Wolność może być obciążeniem, jeśli nie jest się do niej przyzwyczajonym.

– Pewnie tak – zgodził się z nią Stewart. – A nie wie pani, czy on rzeczywiście kontaktował się potem z tym Neilem Courtneyem?

– Po opuszczeniu przez niego więzienia nie miałam żadnych wieści na temat Denisa Shove'a. Akurat byłam w Australii, kiedy wychodził na wolność. Ale nawet gdybym tutaj była, to też unikałabym wszelkich kontaktów. Nie mogę opiekować się ludźmi po zakończeniu ich pobytu w zakładzie karnym, to nie byłoby dla nich dobre. Oni muszą nauczyć się żyć beze mnie. Muszą się stać samodzielni.

„No, tego akurat Shove nauczył się dobrze – pomyślał ironicznie Stewart. – Całkiem możliwe, że popełnił dwa morderstwa, a w każdym razie na pewno postrzelił młodą kobietę, aby ukraść jej samochód. W takim wypadku można chyba mówić o nader silnie wykształconym poczuciu samodzielności”.

Znaleźli więc adres starego Neila Courtneya; rzeczywiście musiało to być jakieś samotne domostwo w okolicy Newcastle. Ale Caleb nie zakładał, że tam właśnie ukrył się Denis Shove. Ten człowiek był naprawdę przebiegły i na pewno liczył się z tym, że policja prędzej czy później ustali fakt jego pokrewieństwa z sędziwym farmerem. „Choć co prawda trwało to długo, stanowczo za długo” – myślał sfrustrowany Caleb. To prawdziwy pech, że więzienna psycholog spędziła

tylę miesięcy w Australii, ale może należało jednak szybciej nawiązać z nią kontakt, mimo takiej odległości. Caleb był skłonny wybaczyć sobie fakt, że oni sami nie wytropili wżenionego w rodzinę wuja: pokrewieństwo było rzeczywiście bardzo dalekie i bez wskazówek nie można było na nie natrafić. W dodatku pseudonim Shove'a – Neil Courtney – był im znany dopiero od tygodnia.

Robert Stewart – bądź co bądź odkrywca nowego punktu zaczepienia – pojechał na farmę pierwszy, gwoli ostrożności z dwoma policjantami. Także on nie wierzył, że będzie można tam zastać Denisa Shove'a, ale nie chciał ryzykować. Wszyscy wiedzieli już, że Shove był uzbrojony i że w razie zagrożenia zrobi z broni użytek. Mieli też nadzieję, że stary Neil Courtney udzieli im jakichś cennych wskazówek, dzięki którym wreszcie uda się dotrzeć do miejsca pobytu Denisa Shove'a.

Jane wpisała adres farmy do nawigacji samochodowej, ale mimo to zabłądzili kilka razy w plątaninie wąskich i wyboistych polnych dróg, a na koniec omal nie przeoczyli prawie całkowicie zarośniętego krzewami wjazdu na farmę. Choć Stewart z dwoma policjantami wjechali tu całkiem niedawno i musieli w tym celu przebić się jakoś przez gęste chaszczę i je odsunąć, to teraz brama oraz prowadząca do niej droga znów były ledwie widoczne. Prawie całkowicie zasłaniały je paprocie, zarośla i kłujące osty o prawie metrowej wysokości.

– Nic nie wskazuje na to, że tętni tu życie – stwierdził Caleb.

Trudno było jechać zarośniętą drogą, bo w wysokiej trawie ledwo było ją widać. Z prawej i z lewej strony kiedyś zapewne ciągnęły się ogrodzone łąki, o czym świadczyły resztki murów i zmurszałych słupów. Na tej farmie ostatni raz pracowano zapewne wiele lat temu. Teraz najwyraźniej przyroda obejmowała tu w posiadanie wszystko – włącznie z budynkiem i dziedzińcem.

Dom, do którego w końcu dotarli, na pierwszy rzut oka przypominał raczej grożącą zawaleniem chatę niż obiekt nadający się do zamieszkania. Ze ścian opadał tynk, szyby pokryte były grubą warstwą brudu, także dach, na którym brakowało wielu dachówek, nie był naprawiany od lat i niszczał w efekcie licznych burz. Wybrukowany dziedziniec zarastały pokrzywy i było ich znacznie więcej niż pokrywających powierzchnię kamiennych płyt. Te widać było tylko w niektórych miejscach. Na samym środku stał policyjny samochód. Robert Stewart wyszedł na spotkanie Jane i Caleba, kiedy ci wysiedli z samochodu.

– Całkiem miła, domowa atmosfera – stwierdził ironicznie. – I wszystko wskazuje na to, że nikogo nie ma w domu.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie sądzę, żeby tu w ogóle ktoś mieszkał – zauważyła Jane. Rozejrzała się dookoła, nie kryjąc dreszczu przerażenia. – Wszystko sprawia wrażenie, jak gdyby było się pogrzebanym za życia. Moim zdaniem nikt tutaj od dawna nie kiwnął palcem, żeby coś zrobić.

– Stary człowiek prawdopodobnie nie dałby temu wszystkiemu rady – dodał

Caleb.

– Myślę, że on jest od dawna w jakimś domu starców – stwierdziła Jane. – O ile w ogóle jeszcze żyje.

– Oficjalnie ciągle tu mieszka – odparł Stewart i pomachał paczką listów, które trzymał w dłoni. – Wyciągnąłem to ze skrzynki na listy.

– To tu jest coś takiego jak skrzynka na listy? – spytał Caleb. – Gdzie?

– Na dole, przy wjeździe. Całkiem schowana w zaroślach. Przejeżdżając obok, zupełnie przypadkowo zobaczyłem, że tam coś jest, i sprawdziłem.

Caleb wziął listy i obejrzał je, marszcząc czoło.

– Co to jest?

– Myślę, że to odcinki renty. Czyli Courtney najwyraźniej żyje i jest tu zameldowany.

Jane oglądała dom, który wymagał pilnej renowacji i wyglądał tak, jak gdyby miał lada chwila runąć.

– Słynne i dosłowne ubóstwo starych ludzi. Ono nas nie czeka, ono już od dawna jest faktem. I nie jest to radosna wizytówka naszego społeczeństwa.

– Nikt nie powinien tak żyć – zgodził się z nią Stewart. – A już zwłaszcza u schyłku swoich dni.

– Musimy wejść do domu – postanowił Caleb. – Podejrzewam, że ten stary człowiek dawno pożegnał się z doczesnym światem i nikt tego nie zauważył. Możliwe, że od miesięcy leży martwy w łóżku.

– Drzwi są zamknięte na głucho – odparł Stewart.

– A gdzie ci dwaj policjanci?

Jeden z nich pojawił się obok domu akurat w tym samym momencie, w którym Caleb zadał to pytanie. Powiedział, że obszedł już cały budynek i o ile to było możliwe, próbował zajrzeć do środka przez okna. Jego zdaniem nikogo tam nie było.

– Miejsce z tyłu domu przypomina w każdym razie wysypisko śmieci – dodał. – Są to przeważnie kartonowe pudełka pełne pustych butelek. Ale butelki leżą też dookoła. Głównie po taniej whisky najgorszego gatunku. Ten typ, który tu mieszka, pewnie pije bez przerwy.

Przez sekundę panowało kłopotliwe milczenie. Caleb potrzebował dłuższej chwili, aby zrozumieć, że to z jego powodu Jane i Robert z zakłopotaniem patrzyli w ziemię.

Mimo trudnej kuracji odwykowej, którą już miał za sobą, miano alkoholika ciągle się za nim wlokło. Prawdopodobnie będzie tak zawsze.

Robert chrząknął.

– Gdzie jest Patrick? – spytał o drugiego policjanta.

– Właśnie przeczesuje podwórze. Ale nie sądzę, że coś tam znajdzie. Jeśli o mnie chodzi, myślę, że tu od miesięcy nie było nikogo.

– Wejźmy do środka – zdecydował Caleb.

Pół minuty zajęło policjantowi wyłamanie zmurszałego zamka. Wszyscy wstrzymali oddech, aby za chwilę odetchnąć z ulgą: przy wejściu uderzyło w ich twarze stęchłe powietrze dawno niewietrzonego wnętrza. Także nieapetyczna woń czegoś, o czym lepiej było nie wiedzieć, co to było i w jakim stanie. Ale zdecydowanie nie był to odór rozkładających się zwłok, czyli stary Neil Courtney nie leżał martwy w jednym z pokoi.

Przez bardzo brudne okna do wnętrza docierało niewiele światła, ale po krótkiej chwili wszyscy przywykli do panującego mroku. Było jasne, że od dłuższego czasu rzeczywiście nikt tu nie wchodził, bo zarówno podłoga, jak i wszystkie meble pokryte były grubą, nietkniętą warstwą kurzu. Wokół panował niewyobrażalny wręcz bałagan: wszystkie szuflady komód były wyciągnięte i porzucone na środku, a ich zawartość leżała dookoła, podobnie jak zawartość wszystkich regałów. Ktoś wcisnął do kątów dywany, przewracał doniczki z kwiatami, zerwał nawet lampę z sufitu. Wyglądało to tak, jak gdyby we wnętrzu uderzyła bomba. A przynajmniej w dwa pokoje znajdujące się na parterze i w kuchnię, gdzie na podłodze leżały wszystkie naczynia i sprzęty. Na staroświeckim piecu w garnkach znajdowały się zepsute resztki jedzenia, a na stole – talerz z trudną do zdefiniowania zawartością, na której urosła niebieskawobiała warstwa pleśni. Także tutaj wszędzie leżały butelki po whisky. Jaskrawy kontrast z tym wszystkim stanowiły stojące na oknie gliniane doniczki z dawno uschniętymi ziołami. Choć z ziół zostały tylko brązowe badyły, ich widok miał w sobie coś wzruszającego, przede wszystkim dlatego, że obok stała mała plastikowa konewka, jakiej zwykle używają do zabawy dzieci. Bo jak można było wywnioskować, Courtney, który wskutek nadużywania alkoholu zamienił się w chodzący wrak, mimo doprowadzenia do ruiny własnego domu i siebie samego znajdował jednak siły, aby walczyć o życie.

– Albo ten Neil Courtney jest niesłychanym bałaganiarzem – powiedział Stewart – albo ktoś tu czegoś bardzo pilnie szukał.

– Zakładam, że raczej to drugie – odparł Caleb. – Ktoś – całkiem możliwe, że był to nasz przyjaciel Shove – przewrócił tu wszystko do góry nogami. Zasadnicze pytanie brzmi: co się stało ze starym Neilem Courtneyem?

Podczas kiedy mężczyźni przeszukiwali parter, wypatrując zejścia do piwnicy, Jane poszła na górę po stromych drewnianych schodach prowadzących na pierwsze piętro. Znajdowała się tu łazienka, wbudowana pod skośnym dachem w taki sposób, że dorosły człowiek w żadnym miejscu nie mógł stać prosto. Toaletę oklejał kamień po urynie o grubości niemal centymetra. Nigdzie nie było żadnych łazienkowych utensyliów, nawet szczoteczki do zębów. Jane przypuszczała, że stary Neil Courtney nie za bardzo przykładał się do pielęgnacji ciała.

Poza tym pod dachem były jeszcze dwa pokoje, równie niskie, tak że Jane

wchodząc tam, musiała pochylić głowę. Najwyraźniej nikt ich nie używał, bo nie było tu żadnego mebla. Życie Courtneya ograniczało się zapewne do dwóch pokoi na dole i kuchni.

Jane zeszła na dół.

– Nie ma tu piwnicy – powiedział Caleb i spojrzał w stronę Jane. – Jest coś na górze? – zapytał.

– Nic, dosłownie nic. Oprócz toalety na górze niczego nie używano.

Usłyszeli kroki i odwrócili się. Patrick, drugi policjant, wszedł do domu. Skinął krótko głową, witając Jane i Caleba.

– Panie nadkomisarzu, znalazłem coś w ogrodzie. Z tyłu domu.

– Co takiego? – spytał Caleb niecierpliwie.

– Coś, co wygląda jak grób. Nie całkiem świeży, ale jeszcze nie zapadnięty. Oczywiście może tam leżeć tylko pies, ale... Musiałby być bardzo duży...

Wszyscy podążyli zelektryzowani za Patrickiem do ogrodu na tyłach domu. Jane zadygotała na widok niezliczonych pudełek z pustymi butelkami po whisky, które leżały przy ścianie domu.

Także w ogrodzie, położonym poniżej niewielkiego wzgórza, nikt nic nie robił. Choć co prawda tu miało się wrażenie nieco idyllicznego pustkowia. Stare, pokrzywione drzewa owocowe, a obok rozłożyste buki. Krzewy nieprzycinanych malin, kwitnące dzwonki i konwalie. Paprocie i mech. Wszystko nienaruszone i zdziczałe. Raj dla ptaków, insektów, padalców i innych zwierząt. Skądś dobiegał szum strumyka. I między tym miałyby znajdować się grób?

Patrick zaprowadził ich w dół po zboczach aż do granicy działki, oznaczonej kilkoma resztkami murów, mocno porośniętych mchem. Tuż przed sobą zobaczyli wzgórek świeżej ziemi, prawie całkowicie ukryty pod krzewami janowca. Wzgórek nie pochodził raczej z tego lata, bo był już porośnięty trawą i koniczyną, ale Patrick miał rację: to mógł być niezapadnięty jeszcze grób, a z bliska można też było dostrzec okruchy świeżej ziemi, z całą pewnością wyrzucone na powierzchnię za pomocą szpadla.

– Dość długi – stwierdziła Jane. – I rzeczywiście za długi jak na psa.

– Powiedziałbym, że ten obiekt pochodzi z ostatniej jesieni – stwierdził sierżant Stewart, a Jane pomyślała, że słowo, którego użył, zabrzmiało co najmniej dziwnie.

Caleb wyglądał teraz tak, jak gdyby był kompletnie wyczerpany, ale i pełen ulgi.

– Chyba mógłbym się założyć – powiedział – że znaleźliśmy starego Neila Courtneya.

3

W poniedziałek Stella była prawie pewna, że Terry i Denis wyjechali, a ona

została na farmie z rodziną kompletnie sama – uwięziona w tej mrocznej kamiennej szopie i dysponująca niewielkimi zapasami wody i żywności: przy oszczędnym używaniu mogły one wystarczyć na najwyżej trzy dni. Nie słyszała hałasu włączanego silnika, ale tej nocy była już u kresu sił i spała tak mocno i głęboko, że fakt wyjazdu parki mógł do niej nie dotrzeć. W niedzielę wieczorem znów ustawiła wieżę i wspięła się do okna, aby wyrzucić na zewnątrz. Dostrzegła oba samochody młodych ludzi, ale to o niczym nie świadczyło, bo oni z pewnością postanowili zabrać samochód Crane'ów.

Stella zabrała na górę trochę starych ubrań, których leżało w szopie mnóstwo, po czym stojąc na górze, owinęła sobie nimi rękę i zbiła szybę w oknie, co udało jej się dopiero za szóstym czy siódmym razem. Prymitywna konstrukcja była tak chwiejna, że nie była w stanie zamachnąć się z odpowiednią siłą. W końcu jednak odłamki szyby poleciały na dół, a Stella, ciągle owiniętą ręką, wyłamała z ramy to, co w niej pozostało. To było cudowne uczucie, móc wychylić głowę na zewnątrz i odetchnąć świeżym, czystym powietrzem. Rozejrzała się dokładnie, ale dookoła nigdzie nie dostrzegła ani turysty, ani też rowerzysty, nikogo. Kilka ptaków wystraszonych dźwiękiem rozbijania szyby latało dookoła z głośnym świergotem, lecz były to jedyne żyjące istoty, które dostrzegła. Opinia o farmie jako idealnym miejscu odosobnienia była doprawdy bardzo uzasadniona: tu rzadko kiedy mógł się przybliżyć jakiś człowiek.

Stella znów zeszła na dół, ale na ostatnim fragmencie wieży zachwiała się i spadła na podłogę. Na szczęście skończyło się na kilku zadrapaniach i obtarciach na nogach, ale było to ostrzeżenie: gdyby stała wyżej, z pewnością odniosłaby poważne obrażenia. Nie należało wspinać się tylko po to, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, bez względu na to, jak było to przyjemne. Im rzadziej będzie używać tej „drabiny”, tym lepiej. Ale może o określonej godzinie powinna jednak zajmować swoją pozycję na górze i wypatrywać pomocy. Pytanie tylko, czy stosunek ryzyka z tym związanego był w miarę rozsądny do szans, jakie to przedsięwzięcie ze sobą niosło.

A były one bliskie zeru i to właśnie była gorzka prawda, jak myślała zgnębiona Stella.

W niedzielę zajmowała się głównie Jonaszem, który cały czas miał silną gorączkę i przeważnie spał. W końcu odważyła się obejrzyć jego ranę na brzuchu, choć z początku przerażała ją nawet myśl o tym. Było jednak oczywiste, że prędzej czy później trzeba będzie zmienić opatrunek. Na szczęście dzięki samochodowej apteczce dysponowała odpowiednią ilością bandażu. Jonas stękał głośno, kiedy ściągала nasączoną zaschniętą krwią gazę, użyła więc wody, aby ułatwić całą procedurę i nieco złagodzić jego ból. Była to jednak raczej bezsensowna strata tak cennej w ich sytuacji wody. Stella właściwie zamierzała jej używać jedynie do picia, ale kiedy zobaczyła stan podbrzusza męża, wiedziała, że będzie jej

potrzebowała także do oczyszczania rany. Na dobrą sprawę nie miała pojęcia o medycynie, ale obawiała się, że dojdzie do powstania stanu zapalnego, jeśli okolica rany nie będzie utrzymywana w czystości. O ile gorączka nie świadczyła o tym, że to już nastąpiło. Szopa była niesłychanie brudna i pełna kurzu i tak czy owak, było to fatalne miejsce dla ciężko rannego człowieka. Stella nie miała niczego, czym mogłaby zdezynfekować miejsce wlotu pocisku. Jedyne, co jej pozostawało, to moczyć kawałek waty w wodzie i ostrożnie wycierać okolicę rany. Nie miała pojęcia, czy to wystarczy, aby nie dopuścić do sepsy. Próbowła sobie przypomnieć wszystkie opisy leczenia rannych żołnierzy w lazaretach polowych w czasie drugiej wojny światowej, o których czytała. Wiedziała, że nawet w najgorszych okolicznościach, także wobec braku lekarstw i środków opatrunkowych, wielu żołnierzy mimo wszystko przeżywało. Miała nadzieję, że jej mąż jest na tyle silny i zdrowy, aby przetrwać stan krytyczny.

Jonas przez całą niedzielę nie powiedział prawie słowa, wydawało się, że chce jedynie spać, spać i spać. Stella musiała powstrzymać rozczarowanego Sammy'ego, który chciał rozmawiać z ojcem, bawić się z nim i nie rozumiał, dlaczego on nie zwraca uwagi na swoją rodzinę. Stella starała się skierować uwagę syna na coś innego. W koszyku z jedzeniem znalazła karty do gry i dzięki temu Sammy miał trochę zajęcia. Chłopiec dostał część jedzenia Jonasa, bo jego nie można było skłonić, aby cokolwiek przełknął. Stella dała mu za to więcej wody. Jonas ciągle miał wysoką gorączkę, jego wargi były spękane i wysuszone.

Ale teraz, w poniedziałek, wszystko wskazywało na to, że czuł się trochę lepiej. Zjadł na śniadanie kilka ciastek, a jego czoło nie było już tak gorące. Wyraz oczu też miał nieco bardziej przytomny. Wczesnym rankiem Stella zmieniła mu opatrunek, znów używając do tego wody. Starała się ukrywać swój lęk i niepokój zarówno przed Jonasem, jak i przed Sammym, ale przeraziła się, kiedy zobaczyła, jak szybko kończy się zapas wody. Denis Shove powinien naprawdę jak najprędzej dotrzymać swej obietnicy i zawiadomić telefonicznie policję albo służby ratownicze. W przeciwnym wypadku życie wszystkich trojga będzie zagrożone.

Jonas dotychczas właściwie prosił tylko o wodę i o lekarstwa. Ale teraz najwyraźniej zaczął odczuwać coś więcej niż ból w swoim ciele i zdawać sobie sprawę z ich położenia.

– Co za świństwo – powiedział. – Przykro mi, Stello. Tak mi przykro.

– W ogóle nie musi ci być przykro. Nie zrobiłeś nic złego.

Potrząsnął głową.

– Owszem – odparł. – Nie chciałaś tutaj jechać, bo miałaś jakieś złe przeczucia związane z Neilem Courtneyem. A ja ci to wyperswadowałem, chociaż też odczuwałem niepokój. Ale nie chciałem się do tego przyznać.

– On właściwie nie nazywa się Neil Courtney, tylko Denis Shove.

Szybko opowiedziała o tym, czego zdążyła się dowiedzieć.

Oczy Jonasa się rozszerzyły.

– On zamordował policjanta?

– Twierdzi, że tego nie zrobił, ale policja nigdy mu nie uwierzy. I dlatego musi się ukrywać.

– A dlaczego policja jest przekonana, że to on jest sprawcą?

– Ten zamordowany policjant wiele lat temu wsadził Shove'a do więzienia, kiedy ten w kłótni tak pobił swoją dziewczynę, że zmarła. I Shove groził, że się za to zemści.

– O Boże. A Terry o tym wie?

– Teraz już tak. Ale i tak jest mu wierna i oddana.

– A gdzie oni są teraz?

– Wyjechali. Naszym samochodem.

Jonas spróbował usiąść, wykrzywiając przy tym twarz w grymasie bólu. Rozejrzał się po wnętrzu szopy.

– Będziemy mogli się stąd wydostać?

Stella wzruszyła ramionami.

– Dotychczas nic mi się nie udało. Ta budowla jest jak bunkier odporny na bombardowanie. Nieraz waliłam w drzwi, próbowałam wyłamać zamek – wszystko na nic. W tej cholernej szopie jest całe mnóstwo wszelakich gratów, ale nie ma tu nic, czego dałoby się użyć jako narzędzia.

– A ja nie mogę ci pomóc.

Jonas zacisnął pięść. Nawet ten wysiłek spowodował, że jego twarz natychmiast zbladła.

– Jakież ze mnie idiota. Tępy idiota. Rzucić się na Neila – czy też Denisa – z gołymi rękami i odgrywać bohatera. Ja, urodzony nieudacznik.

– Nie jesteś urodzonym nieudacznikiem. Nie mogłeś pokonać człowieka z bronią.

– Nie pokonałbym go nawet wtedy, gdyby nie miał broni. Wiemy o tym oboje.

Osunął się na sofę, a na jego czole pojawił się pot.

– Nie wiem, co myślałem. Prawdopodobnie nic. Ja...

– Widziałeś, że on grozi twojej rodzinie, i zareagowałeś instynktownie.

A teraz przestań robić sobie wyrzuty – odparła Stella. Nie powiedziała, jak w głębi ducha mu wymyślała z powodu jego nieprzemyślanych działań. Nie miało teraz najmniejszego sensu drażnić ten temat. Oboje potrzebowali energii do ważniejszych rzeczy.

– Jak wyglądają nasze zapasy jedzenia? – spytał Jonas.

Stella zastanawiała się przez chwilę, czy ma przedstawić sytuację w lepszym świetle, ale Jonas i tak szybko by zauważył, jaka jest prawda.

– Niezbyt dobrze. Oceniam, że dzięki tej ilości wody i jedzenia przetrwamy

jeszcze ze trzy dni.

– Trzy dni?

– Denis Shove obiecał, że wyśle tu policję, którą chce zawiadomić anonimowo, jak tylko Terry i on będą bezpieczni.

– Wierzysz mu?

Spojrzała na Sammy'ego, ale chłopiec był zajęty budowaniem ze staniolu małego samolotu i nie słuchał.

– Nie wiem – powiedziała uczciwie. – Myślę, że on rzeczywiście ma taki zamiar. Ale nie wiem, czy nagle nie przyjdzie mu do głowy, z jakim ryzykiem to będzie związane. Ten człowiek jest kryminalistą. Na ile można w ogóle ufać kryminaliście?

– Psiakrew! – zaklął Jonas. Znów spróbował się podnieść, ale natychmiast opadł z powrotem na sofę.

– Musimy się stąd wydostać, Stello. Ten typ w życiu nikomu o nas nie powie, ani policji, ani też nikomu innemu. On myśli tylko o tym, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, a nasz los nic go nie obchodzi.

Przekręcił głowę, aby w leżącej pozycji lepiej zobaczyć wewnątrz.

– Zbudowałaś tę wieżę. A to okno... Ono jest otwarte, prawda?

– Tak, ale to niewiele daje. Myślałam, że może ktoś będzie przechodził tu w pobliżu i uda mi się zwrócić jego uwagę, ale jak na razie nikt się nie pokazał. Potem znów wejść na górę i jakiś czas tam zostać, ale... No tak. Nie mam zbyt wielkiej nadziei.

– Sammy – powiedział Jonas stłumionym głosem. – Myślę, że Sammy zmieści się w tym oknie.

– Tak, ale wiesz, jak to jest wysoko? Nie zeskoczy z takiej wysokości. Połamie sobie wszystkie kości, o ile w ogóle to przeżyje. To wykluczone, Jonas.

– To nasza jedyna szansa. Innej nie widzę.

– To niemożliwe.

– Lina...

– Nie ma tu liny.

– Ale są ubrania, które moglibyśmy powiązać. Nawet można użyć naszych. Możemy zrobić coś, na czym będzie go można opuścić w dół.

– Pięcioletni chłopiec! Z takiej wysokości! Nie możemy ryzykować, Jonas.

– Ryzykujemy więcej, jeśli będziemy siedzieć beczynnienie.

– A poza tym co on będzie tam na zewnątrz robił?

– Może dom nie jest zamknięty. Mógłby wziąć twój telefon, pójść na wzgórze i zadzwonić na policję. Możesz nim pokierować z okna.

– Nie sądzę, by Denis Shove nie zabrał naszego telefonu.

– To wtedy Sammy mógłby pójść na drogę. Kiedyś w końcu nadjedzie jakiś samochód. Stella, alternatywą jest tylko to, że tu umrzemy z głodu i pragnienia.

Stella oparła głowę na rękach. Miała przed oczami Sammy'ego – leżącego na dole z połamanymi rękami czy nogami i płaczącego z bólu. Niemal słyszała, jak ją woła. A ona nie będzie mogła mu pomóc.

– A co z twoim kolegą? Tym, do którego należy ta farma? Co ustaliliście?

– Nic konkretnego. Że będziemy do siebie dzwonić, kiedy wrócimy. I że wtedy coś ustalimy w sprawie zwrotu klucza.

– A nie sądzisz, że będzie miał jakieś podejrzenia, jeśli nie zadzwonisz do niego jeszcze dziś?

– Nie sądzę. Pomyśli, że przez ten czas dostałem mnóstwo poczty, nie mówiąc już o mailach, i teraz tonę w tym po uszy.

– Ale za kilka dni będzie pewnie zaintrygowany, jeśli nie dostanie od ciebie żadnej wiadomości.

– Kilka dni to za długo, Stello.

– A nie masz jakiegoś terminu związanego z pracą? Jakiegoś spotkania czy coś?

– Tak, w następnym tygodniu. W tym tygodniu chciałem skończyć dwa konspekty filmowe. I właśnie w następnym tygodniu w środę mieliśmy je omawiać.

– A kiedy miałeś wysłać te konspekty?

– W piątek. Stello, przedtem nikt nawet nie zauważył, że mnie nie ma.

– Nie wiesz o tym na pewno. Mogłeś też dostać maile z prośbą o natychmiastową odpowiedź.

– Tak. Ale jak myślisz, kiedy ktoś zawiadomi policję tylko dlatego, że jednak tej odpowiedzi nie dostał?

To rzeczywiście było zasadnicze pytanie. Od którego momentu ludzie będą zaniepokojeni z powodu zniknięcia całej rodziny? Kiedy przestaną się obawiać, że się ośmieszą, jeśli podejmą jakieś działania wobec takiego faktu?

– A nasza sąsiadka? – spytała Stella. – Ona z pewnością dziwi się już od wczoraj wieczorem.

– Ona prędzej pomyśli, że pomyliła daty, a nie że jakiś morderca uwięził nas na opuszczonej farmie i sam z niej uciekł.

– Będzie próbowała się dodzwonić na mój telefon. I na pewno będzie się dziwić i niepokoić, dlaczego nie oddzwania.

Jonas podniósł rękę w geście bezradności i wytarł pot z czoła. Stella dostrzegła z niepokojem, że ta rozmowa kosztowała go zbyt wiele sił.

– Jonas... – powiedziała uspokajająco.

Ale on potrząsnął głową.

– Ach, Stello, to wszystko trwa już za długo. Oprócz tego kolegi nikt nie wie, gdzie jesteśmy. I z kolei tylko jedna sekretarka u tylko jednego z tuzina producentów filmowych, z którymi współpracuję, wie, że z tym kolegą ustalałem

coś na temat wakacji. Jeśli więc ktoś zacznie nas poszukiwać, co będzie długo trwało, to jeszcze musi mu się udać trafić na te osoby i wypytać je o nasze ustalenia, aby dotrzeć do miejsca naszego pobytu. I coś takiego ma potrwać tylko trzy dni? Bo tylko na trzy dni mamy trochę żywności – a przede wszystkim wody.

Stella milczała. Co można było na to odpowiedzieć?

– Ten pomysł z Sammym w ogóle mi się nie podoba – powiedziała po chwili.

– A masz lepszy? – spytał Jonas, wyraźnie już wyczerpany.

– Poczekajmy. Wytrzymamy przecież parę dni.

Sammy podszedł do nich, najwyraźniej straciwszy już ochotę na budowanie samolotów.

– Daddy, kiedy pojedziemy do domu?

– Niedługo – zapewnił go Jonas.

– Czy policja nas stąd uwolni? – Sammy ciągle marzył o wielkiej przygodzie swojego życia.

– To już na pewno nie będzie długo trwało – dodała Stella.

– Mummy, ale ja jestem głodny!

– Poczekaj jeszcze troszkę, dobrze? Za parę godzin będziemy jeść.

Chłopiec westchnął, wrócił do swojego kąta i tam gniewnymi ruchami zniszczył swoje wszystkie samoloty.

– Stello, jest jedna sprawa. – Jonas mówił teraz przytłumionym głosem. – Nie jest ze mną dobrze. Czuję się wręcz bardzo źle. I potrzebny mi lekarz.

– Ale dziś przecież czujesz się lepiej!

– Czuję, że to nie jest stabilny stan. Uwierz mi. Potrzebny mi jest lekarz.

Stella zerknęła w stronę okna. Jonas miał rację. Sammy zmieściłby się w nim.

To mogłaby być jakaś szansa.

Albo ostateczna zguba.

4

W końcu przecież i tak nie miała nic innego do roboty, niż siedzieć w domu swojego ojca i rozmyślać, mogła więc pojechać do Liverpoolu. Nie miała pojęcia, czy rozmowa z Normanem Dowrickiem w ogóle coś wniesie do sprawy, ale z drugiej strony nie miała nic do stracenia. A już zwłaszcza czasu. W ostatnich tygodniach czas i tak miał dla niej inne znaczenie niż kiedykolwiek przedtem. Próbowwała uporządkować jakoś swoje życie.

Susannah tego ranka z pewnością przysłała do pracy o wiele za późno. Bo w końcu usiadła przy stole naprzeciwko Kate i naląła kawy i jej, i sobie. I zaczęła opowiadać.

– Tak, wiedziałam o Melissie. Od Normana. Richard zaufał mu od samego

początku tej historii. Głównie po to, aby móc się komuś wygadać, ale także po to, aby mieć jakieś wsparcie. Te jego potajemne spotkania w Whitby... Potrzebował kogoś, kto mógłby go kryć. Kto mu w pewnym sensie dawał alibi.

Susannah powiedziała, że Norman cierpiał wskutek tej sytuacji. A ona sama także.

– Lubiliśmy przecież Brendę. Norman czasem mówił, że fakt, iż on o tym wszystkim wie, jest nie do zniesienia.

– Utrzymywała pani w tym czasie jakiś kontakt z moją matką?

Susannah potrząsnęła głową.

– Ona była wtedy tak chora. Czasami wysyłałam jej kartki z jakimiś budującymi hasłkami, także książki, kwiaty... I to ją bardzo cieszyło. Zawsze natychmiast mi odpisywała. Ale jednocześnie dawała wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych spotkań. Pisała, że zobaczymy się wtedy, kiedy poczuje się lepiej, a teraz nie ma w ogóle włosów i jest stale zmęczona. Było jasne, że nie chce, aby ją ktokolwiek zobaczył w takim stanie. Pisała też, że przeważnie brakuje jej siły na rozmowy. I odczuwałam niemal ulgę, czytając to. Nie chciałam kłamać jej w żywe oczy, to było dla mnie nie do pomyślenia. A przez kłamstwo rozumiałam także i to, że wiedziałam o zdradzie Richarda i musiałam o tym milczeć. To byłoby dla mnie potworne, wręcz nie do pomyślenia: wieczory jak dawniej we czworo, Richard, Norman, Brenda i ja. Dawniej czasami chodziliśmy razem na pizzę i spotykaliśmy się przedtem przed domem. A w takim wypadku siedzielibyśmy razem i troje z nas wiedziałyby, że czwarta osoba jest oszukiwana przez męża i że to jest naprawdę trwały związek. A ona nie miałaby o niczym pojęcia. Nie zniosłabym tego. Norman także nie. I dlatego... nie upieraliśmy się oboje przy spotkaniach. Ta sytuacja i tak była dostatecznie trudna.

– Nigdy pani nie myślała o tym, aby powiedzieć mojej matce prawdę? – spytała Kate.

Susannah westchnęła.

– Oczywiście, że myślałam, i to bardzo często. Norman także. Ale to było tak: przyjaźń istniała między Normanem a Richardem. I od tego wszystko się zaczęło. Brenda i ja bardzo się polubiłyśmy, ale nie poznałybyśmy się nigdy, gdyby nie nasi mężowie, i prawdopodobnie też nie zaprzyjaźniłybyśmy się – już choćby z powodu różnicy wieku. Norman też za nic w świecie nie chciałby narobić kłopotów swojemu przyjacielowi, w dodatku przełożonemu. Nie chciałby nadużyć jego zaufania. Ja w dodatku obawiałam się konsekwencji, także służbowych, jakie musiałby wtedy ponieść mój mąż. To wszystko było tak skomplikowane. Odczuliśmy ogromną ulgę, kiedy ten związek w końcu się rozleciał i Richard, że tak powiem, wrócił na drogę cnoty.

I to były najważniejsze słowa. Kate wyprostowała się nagle na swoim krześle.

– Czy wie pani coś na ten temat? To znaczy o końcu ich związku? Dlaczego Melissa i mój ojciec rozstali się tak nagle?

– Tak, to rzeczywiście było dziwne – przyznała Susannah. Nalała sobie znów kawy, wsypała cukier i w zamyśleniu mieszała płyn łyżeczką.

– Wtedy ciągle próbowałam wydobyć coś na ten temat z Normana. Ale on nie powiedział nic. Nic, co mogłoby mnie przekonać i wyjaśnić tę sprawę.

– Sądzi pani, że znał prawdziwy powód ich rozstania? I nie chciał nic na ten temat mówić?

Susannah wahała się wyraźnie.

– Trudno powiedzieć. Twierdził, że nie wie więcej niż ja. A mimo to mam takie przeczucie... Nie potrafię tego wyjaśnić... Miałam po prostu wrażenie, że on jednak wiedział więcej. I że z jakiegoś powodu nie chciał o tym mówić. Przypuszczam, że obiecał to Richardowi. Nie rozumiałam tylko dlaczego. Bo co złego mogłoby się stać, gdyby o tym powiedział?

– Oficjalnie rozstali się przez wzgląd na chorobę mojej matki – powiedziała Kate, przypominając sobie słowa Doreen.

– Tak – potwierdziła Susannah. – Tak też przedstawiał to Richard. Ale dla mnie było to jakieś dziwne. Przecież Brenda była już zdrowa. Norman powiedział tylko, że Melissa zażądała do Richarda podjęcia ostatecznej decyzji i że Richard obawiał się nawrotu choroby Brendy, kiedy ją opuści.

– To nie brzmi nielogicznie – stwierdziła Kate.

– Nie. I dlatego mówię też jedynie o swoim odczuciu. Wie pani, ja w tamtym czasie byłam żoną Normana już od dwunastu lat. Parą byliśmy od siedemnastego roku życia. Znam tego mężczyznę na wylot. I czułam, że on coś przede mną ukrywa. Że wykręca się od odpowiedzi na moje pytania. Nie chciał w ogóle rozmawiać na temat Richarda i Melissy, był niemal wściekły, kiedy ja zaczynałam o tym mówić. A przedtem rozmawialiśmy o tym stale. I wtedy kiedy wszystko się skończyło, ten temat nagle stał się całkowitym tabu. A poza tym...

– Tak? – dopytywała się zaintrygowana Kate, kiedy Susannah nagle się zawahała.

– Poza tym miałam wrażenie, że coś zmieniło się także w przyjaźni między Richardem a Normanem. Oczywiście widywali się codziennie w pracy, ale poza tym już wcale. A przecież zwykle przynajmniej raz w tygodniu chodzili razem na piwo i czasami umawiali się na niedzielne wędrowki po torfowiskach. I nagle to wszystko się urwało. Nie doszło też do naszego spotkania we czwórkę, mimo że Brenda czuła się już lepiej. Ja ciągle nie miałabym odwagi spojrzeć jej w oczy.

– A potem... – Kate wróciła do poprzedniej myśli, a Susannah wiedziała od razu, o co jej chodziło.

– A potem zdarzyło się to nieszczęście. Norman w efekcie postrzału został kaleką. I od tej chwili... Wszystko i tak się zmieniło.

Kate wahala się, ale w końcu zadała pytanie, które ją tak dręczyło. Było to co prawda tylko przypuszczenie, może nawet tylko jego cień.

– Czy nie sądzi pani, że Norman zarzucał w jakiejś formie mojemu ojcu, że doszło do tego wypadku, czy też nieszczęścia, jak pani mówi?

Susannah sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Nie. Pani ojca przecież przy tym nie było. Był na urlopie, kiedy to się stało.

– Tak, ale Norman to właśnie mógł mu zarzucać. Że go przy nim nie było.

– Nie sądzę – odparła Susannah. – Nie. Czegoś takiego nigdy nie powiedział. Potem co prawda widział wrogów we wszystkich i w całym świecie, w Bogu i w każdym człowieku, któremu wiodło się lepiej pod jakimkolwiek względem, także w pani ojcu. Nie od razu oczywiście, stopniowo. Kiedy okazało się w końcu, że jego stan się nie poprawi, to zaczął wręcz nienawidzić wszystkich, którzy byli zdrowi.

Kate myślała o bożonarodzeniowej kartce, którą znalazła w kuchni. Napisano ją cztery miesiące po wypadku. Najwyraźniej istniała wtedy jakaś nadzieja na poprawę stanu zdrowia Normana Dowricka. Ta nadzieja nikła coraz bardziej, a w końcu rozviała się zupełnie. Zgodnie z tym, co mówiła Susannah, Norman stawał się człowiekiem zgorzkniałym, pełnym nienawiści, który nie znosił już innych ludzi. Kate wiedziała, że w końcu ustały też wszelkie kontakty między nim a jej ojcem. Ale najwyraźniej zaszło coś jeszcze przedtem, jakiś rozłam czy też zmiana, co w efekcie doprowadziło do powstania ogromnego dystansu między oboma mężczyznami. Norman potępiał związek Richarda z inną kobietą, ale mimo wszystko z początku nie miało to wpływu na ich przyjaźń. Pierwsze głębokie rysy pojawiły się na niej wtedy, kiedy Richard rozstał się z Melissą.

Coś wydarzyło się tuż przed rozstaniem, coś, co zatoczyło szerokie kręgi.

Kate wiedziała już, że musi porozmawiać z Normanem.

Dotarła na przedmieścia Liverpoolu wczesnym popołudniem. Susannah dała jej adres Normana, ale zaznaczyła, że nie wie dokładnie, czy on tam nadal mieszka.

– Tak naprawdę nie wiem nawet, czy on jeszcze żyje – dodała.

Liverpool ma swoje piękne strony, należy do nich przede wszystkim widok od strony rzeki na wspaniałe wieżowce, które powstały w ciągu ostatnich kilku lat i są złudnym obrazem gospodarczego wzrostu i dobrobytu mieszkańców. Bo tak naprawdę Liverpool zalicza się ciągle do miast o najwyższym wskaźniku bezrobocia w całej Wielkiej Brytanii, toteż uważany jest za tykającą bombę zegarową, jeśli chodzi o możliwość wybuchu niepokojów społecznych czy zamieszek. Liczne dzielnice miasta wymagają gruntownej renowacji, ale ponieważ ciągle brakuje na to pieniędzy, powoli ulegają coraz większemu zniszczeniu. Istnieją nawet takie, gdzie ludzie żyją w niezwyklej wprost nędzy, jak na zachodnioeuropejskie stosunki, i nie mają żadnej nadziei na niewielką choćby poprawę swych warunków.

Kate dowiedziała się od Susannah, że renta inwalidzka Normana właściwie ledwo starcza na przeżycie, przygotowała się więc na obraz nędzy i skrajnego ubóstwa, a jednak mimo to była wstrząśnięta. Znalazła się w części miasta, która mogła być kiedyś dzielnicą przemysłową czy też fabryczną, ale teraz życie najwyraźniej w niej zamarło. Był to rozległy, zapewne dawno temu opuszczony teren jakiegoś zakładu, którego wszystkie ocalałe ceglane mury pokryte były graffiti o bardzo agresywnej treści, a równie rozległe wewnętrzne dziedzińce porastały pokrzywy i osty. Przy skraju ulicy znajdował się przystanek autobusowy; szyby metalowej konstrukcji były strzaskane, a z rozkładu jazdy pozostały jedynie strzępki. Nikt nie zadawał sobie trudu, aby cokolwiek tu naprawić, przypuszczalnie nie miało to sensu, bo wkrótce w efekcie ludzkiego wandalizmu przystanek wyglądałby pewnie tak samo. Naprzeciwko fabryki i przystanku wznosiło się kilka małych domów wielorodzinnych, których okna wychodziły albo na ulicę, albo na znajdujące się z tyłu podwórka. Na rogu jednego z domów wisiał szyld z napisem „Café”, ale żaluzje we wszystkich oknach były opuszczone, więc raczej nie należało liczyć na to, że będzie można tam dostać kawę. W pewnej odległości znajdowała się też stacja benzynowa, najwyraźniej czynna.

Kate zaparkowała w podziemnym przejeździe, aby samochód stał w cieniu. Wysiadła i ruszyła drogą wzdłuż pierwszego rzędu domów. Musiała naprawdę zebrać całą odwagę, aby to zrobić. Obawiała się spotkania z Normanem Dowrickiem. Zetknięcia z jego nędzą i nienawiścią do ludzi. A przede wszystkim tego, co on powie jej o ojcu.

Trudno było znaleźć dom, w którym mieszkał, bo niemal wszędzie numery były tak wyblakłe, że nie można ich było odczytać. Kate postanowiła w końcu wejść do pierwszego domu, którego dzwonki nie działały, dlatego drzwi wejściowe można było otworzyć bez problemu. Znalazła się w mrocznej klatce schodowej o nieprzyjemnej woni i ścianach z kruszącym się tynkiem. Na parterze znajdowały się dwa mieszkania, na pierwszym i drugim piętrze przypuszczalnie także, ale ponieważ Norman siedział na wózku, musiał zapewne mieszkać na dole.

Kate zapukała na chybił trafił do drzwi mieszkania po lewej stronie. Niemal natychmiast usłyszała kroki, drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich kobieta.

– Tak? – spytała. Zabrzmiało to nieufnie. Prawdopodobnie nikt tu nie składał wizyt, a jeśli już, to gość przynosił raczej nieprzyjemne wiadomości.

Kate się uśmiechnęła.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam Mr Normana Dowricka. Norman Dowrick.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie znam – odpowiedziała krótko.

– On musi mieszkać na dole. Tak jak pani. Wie pani, on jest sparaliżowany. Jeździ na wózku inwalidzkim.

Kobieta zastanawiała się, a Kate dostrzegła, że z trudem przychodziło jej nie tylko zrozumienie najprostszycy wiadomości, ale sformułowanie własnych myśli. Wyraźnie czuć było od niej wódkę, a zaczerwieniona i napuchnięta twarz świadczyła o chorobie. Ta kobieta była bliska zapicia się. Była pijana także teraz. I przypuszczalnie również w każdej minucie dnia i nocy.

Nie była w stanie znieść swego życia w inny sposób.

Ale przynajmniej udało jej się skoncentrować na słowach Kate.

– Ach, to o nim pani mówi. On tu nie mieszka.

– A gdzie?

Kobieta zrobiła ręką ruch, który mógł oznaczać wszystkie strony świata.

– Tam dalej.

– Ma pani na myśli jeden z tych domów w drugim rzędzie?

– Tak. Ale... – Kate wydało się, że kobieta zastanawia się nad czymś z wyraźnym wysiłkiem. Chciała coś dodać, lecz nie za bardzo potrafiła znaleźć właściwe słowa.

Kate czekała cierpliwie.

– Ale już dawno go nie widziałam – powiedziała w końcu kobieta. – Dawniej jechał czasami swoim wózkiem ulicą. Ale to było dawno temu.

– Jak dawno temu?

– Nie wiem. Może rok?

„Miejmy nadzieję, że on żyje” – pomyślała Kate.

Pożegnała się i wyszła, pełna wątpliwości, czy uda jej się odnaleźć Normana w którymś z pozostałych domów. Wszystko zależało też od skłonności do kooperacji jego sąsiadów, a Kate nie była pewna, ilu z nich będzie trzeźwych.

Jeśli chodzi o to ostatnie, to jednak widziała to zbyt czarno. Większość mieszkańców wcale nie była pijana – ale za to nie miała pojęcia o miejscu zamieszkania Dowricka. Niektórzy w ogóle go nie znali ani też nie przypominali sobie mężczyzny jeżdżącego wózkiem inwalidzkim po osiedlu. Inni znów wiedzieli, o kim mówi Kate, ale nie mieli pojęcia, gdzie może mieszkać Norman. Jedna informacja powtarzała się często i nie była optymistyczna: nikt nie przypominał sobie, żeby ostatnio widział Normana. I dopiero teraz, kiedy ktoś zaczął o niego wypytywać, ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że zniknął dobre kilka miesięcy temu.

– Ależ z niego było biedaczysko – powiedział młody, niezwykle chudy mężczyzna, najwyraźniej pochodzący z Indii, który siedział na betonowym murku między domami i patrzył bezmyślnie przed siebie, zanim Kate go zagadnęła. – Był bardzo, bardzo biedny. Na pewno się wyprowadził. Kiedy i tak ma się takie zaszranie życie, to tutaj ono jest jeszcze gorsze.

– A dokąd mógł się wyprowadzić?

– Tego nie wiem.

– A wie pan, w którym domu mieszkał ostatnio?

– Myślę, że w jednym z tych. – Mężczyzna wskazał w kierunku rzędu domów położonych nieco dalej i się uśmiechnął. – A poza tym nazywam się Kadir Roshan.

– Dziękuję panu za tę informację, Mr Roshan.

Kate na wszelki wypadek zadzwoniła do mieszkań w ostatnich domach. W dwóch z nich znajdujących się na parterze najwyraźniej nikogo nie było, a jakaś kobieta mieszkająca dwa domy dalej stwierdziła, że być może tu właśnie mieszka mężczyzna na wózku inwalidzkim.

– Ale nie widziałam go już całe wieki. Jest pani pewna, że on tu gdzieś jeszcze mieszka?

– Nie, niestety nie – odparła Kate.

Wszystkie jej poszukiwania najwyraźniej prowadziły donikąd.

Zadzwoniła do Susannah, która dała jej numer swojego telefonu, i zapytała, czy to możliwe, że Norman się wyprowadził, a jeśli tak, to dokąd.

Ale Susannah nie miała o tym pojęcia.

– Jak mówiłam, on już dawno zerwał ze mną wszelkie kontakty. Oczywiście mógł się stamtąd wyprowadzić. To chyba bardzo przygnębiająca okolica, prawda? Odwiedziłam go kiedyś i byłam zdania, że tam jest po prostu okropnie. Co prawda nie znam powodu, dla którego miałby się wyprowadzić, bo z pewnością nie może sobie pozwolić na lepsze mieszkanie. Znów wylądowałyby w podobnej okolicy, po co więc miałby to robić?

A może poznał jakąś kobietę? Kate uważała to jednak za mało prawdopodobne. Norman stał się człowiekiem zgorzkniałym, nienawidzącym ludzi, a te skąpe informacje, które zdołała na jego temat zdobyć, wskazywały na to, że w tym względzie nic się nie zmieniło. Jaka kobieta mogłaby się nim zainteresować i czy Norman w ogóle pozwoliłby na to, aby jakaś kobieta stała mu się bliska?

Kate postanowiła tego dnia zrezygnować z poszukiwań, przyjechać tu jutro przed południem i spróbować po raz ostatni. Jak zwykle w takich sytuacjach wątpiła przede wszystkim w siebie: czy uparła się, aby znaleźć Normana Dowricka tylko dlatego, że po prostu w tej chwili nie widziała niczego, co niosłoby z sobą jakąś obietnicę sukcesu? A może rzeczywiście było to jej przeczucie, intuicja, która nagle dała o sobie znać? Intuicja, rodzaj jakiejś wrażliwości, o której ze zniechęceniem myślała, że w ogóle jej nie posiada. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej jednak, że Norman może być kluczem do rozwiązania zagadki. Ale wróg, który dawno temu zagnieździł się w mózgu Kate i był po prostu brakiem wiary w siebie, przeczył wszystkiemu: „Ty nic nie potrafisz. Marnujesz tylko swój czas. W swojej pracy śledczego nigdy nie odróżniałaś tego, co istotne, od tego, co można pominąć. A to, że tu jesteś, w najlepszym wypadku zaprowadzi cię donikąd. W najgorszym

zaś – znów spowodujesz jakieś nieszczęście”.

Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku centrum miasta. Postanowiła poszukać jakiegoś lokum na noc i zdecydować następnego ranka, co robić.

Znalazła mały hotel, który z zewnątrz wyglądał całkiem sympatycznie, ale w środku okazał się bardzo nieprzytulny. Długie, ciemne i wąskie korytarze, zbyt gruba, pluszowa, niezbyt czysta wykładzina na podłogach. Małe mroczne pokoje, tanie meble. Toaleta na korytarzu, ale przynajmniej w pokoju były umywalka i lustro. I mały telewizor.

Wszystko jedno. Na jedną noc to wystarczy.

A ponieważ było ciepło i słonecznie, Kate poszła na spacer. Znajdowała się w pobliżu rzeki, dlatego powędrowała ulicami, wzdłuż których ciągnęły się domy mieszkalne, aż dotarła do małego parku. Położone na jego skraju schody prowadziły w dół, na parking, skąd można było dotrzeć wprost nad rzekę. Jej wysokim brzegiem ciągnęła się wyasfaltowana ścieżka, odgradzona od rzeki żelaznym płotem, stanowiącym ochronę przed ewentualnym upadkiem do wody. Kate usiadła na przewróconym pniu, który miał pełnić funkcję ławki. Było tu zupełnie cicho, a na parkingu stało tylko jedno auto. Od czasu do czasu niedaleko pojawiali się biegacze albo właściciele psów ze swoimi czworonogami. Tego poniedziałku działo się tu niewiele, większość ludzi była zapewne w pracy.

Rzeka płynęła powoli, prąd był niemal niezauważalny, a od wody na ląd docierała przyjemna chłodna bryza. Spokojne, bezwietrzne popołudnie.

Kate pograżyła się w rozmyślaniach i jak zawsze miała wrażenie, że nie przyniesie to jakiegoś konkretnego rezultatu. Zostać w Scotland Yardzie czy zrezygnować z tej pracy? Co z kolei pociągało za sobą następne pytanie: wrócić do Londynu, do swojego mieszkania, którego tak nienawidziła? A może przeprowadzić się do Scalby, do domu rodziców, który tak kochała. Przy czym nie była już taka pewna, czy rzeczywiście ten dom aż tak kochała. Wprawdzie było to miejsce, gdzie mieszkała jej rodzina i gdzie ona sama spędziła bezpieczne i szczęśliwe dzieciństwo. Ale także miejsce wielkiego kłamstwa.

Nagle przyszedł jej na myśl Caleb i to, co do niej powiedział: *Zauważyłem, że jest pani bardzo samotna. Może powinna pani spróbować to zmienić.*

Jej odpowiedź była wtedy pełna sarkazmu i także teraz na samo wspomnienie o tym mimowolnie wykrzywiła kpiąco twarz. To, co wydawało się takie proste, dla niej było niewyobrażalnie wprost trudne. Nieosiągalne. Jedyne dobry Bóg wiedział, jak bardzo od lat tęskniła za tym, aby u jej boku był człowiek, który należałby do niej. Który dzieliłby z nią życie. Który wieczorem zapytałby, jak jej minął dzień, który siedziałby naprzeciwko niej przy śniadaniu i który czytałby jej program kin na nadchodzący weekend. Z którym mogłaby snuć plany, wyjeżdżać, spędzać święta. Z którym siedziałaby w zimowe wieczory przy kominku. Z którym czułaby się bezpiecznie. W domu.

Jak w jakimś porcie po długiej i trudnej podróży.

Może jej ojciec wiedział coś o jej tęsknocie. Większość osób z otoczenia Kate uważała ją prawdopodobnie za osobę szorstką, zamkniętą w sobie, dla której związek nic nie znaczył. Która była na tyle zdziwaczała, że nie pragnęła towarzystwa innego człowieka. Docierały do niej szept i plotki niektórych koleżanek. Wszyscy mieli przed oczami jej obraz, który w jej odczuciu zupełnie nie odpowiadał temu, jakim człowiekiem naprawdę była.

Caleb Hale. Może musiała pojechać do Liverpoolu ze Scarborough, gdzie mogła go spotkać, byle dalej od miejsca, gdzie on mieszkał, aby przyznać się sama przed sobą, jak bardzo on ją fascynował i pociągał. Właściwie nie wiedziała, jak to się stało, to nie było nagle niczym jakieś olśnienie. To rozwijało się powoli. Uważała go za inteligentnego i sympatycznego. I atrakcyjnego. Odpowiadał dokładnie typowi mężczyzn, którzy pociągali ją przez ostatnie dwadzieścia lat. Wszyscy świetnie wyglądali i już choćby dlatego nie mogło się to dobrze skończyć. Ci mężczyźni byli z innej ligi. Nie musieli i nie chcieli zwracać uwagi na szarą mysz, która usychała z tęsknoty za nimi i równie rozpaczliwie jak nieudolnie próbowała zwrócić na siebie ich uwagę. Oni zadawali się z kobietami podobnymi do siebie, pięknymi, pewnymi siebie i odnoszącymi sukcesy.

Ale nie z Kate. Nigdy z Kate.

Caleb jednak... On nie tylko był przystojny i nie tylko odnosił sukcesy. On nie zawsze był zwycięzcą. Caleb miał za sobą trudne chwile. Nikt nie staje się alkohikiem, jeśli ma wszystko pod kontrolą i panuje nad swoim życiem. Błyskotliwa kariera w policji, liczne sukcesy, do tego znakomity wygląd – tak to się przedstawiało na zewnątrz. Ale w tym pięknym wizerunku musiały być jakieś rysy. Caleb Hale pił tak, że uciekła od niego żona. I tylko dzięki terapii nie był zmuszony do rezygnacji z zawodu.

A więc był też inny Caleb Hale – ten, który przegrywał.

Może tu była szansa dla niej, dla Kate. Bo mieli z sobą coś wspólnego. Coś, co ich łączyło. Oboje znali życie od jego ciemnej strony. I często sobie z nim nie radzili. Trudne chwile Kate były przyczyną jej kompletnej izolacji. Caleb zaś uciekał przed nimi w alkohol.

Popatrzyła na drugi brzeg rzeki. W upalnym powietrzu gorącego letniego dnia zarysy budynków rozplywały się przed jej oczyma. Nie próbowała niczego dostrzegać, w tym momencie odsunęła od siebie każdą myśl, nawet tę o Normanie Dowricku, także wszystkie związane z tym problemy i pytania. Poddała się zupełnie nastrojowi tej chwili, czuła ciepło drewnianego pnia, na którym siedziała, z przyjemnością wystawiła twarz na działanie słonecznych promieni, czuła też zapach wody i alg zmieszany z zapachem trawy, świeżo skoszonej gdzieś w pobliżu. Po raz pierwszy od chwili śmierci ojca poczuła się odprężona i pogodzona ze sobą. A przynajmniej pogodzona z nastrojem tej chwili. Zdawała

sobie sprawę, że wkrótce wróci stan lęku, żaloby i napięcia, ale wiedziała też, że wielkim sukcesem było móc spędzić te pół godziny na brzegu River Mersey w Liverpoolu. Był to pierwszy krok, maleńka szczelina, która otworzyła się na chwilę. Kate zastanawiała się, czy przyczyną były jej uczucia związane z Calebem, a może długa droga do innej części kraju. A może sprawił to po prostu ten ciepły letni dzień. Doszła do wniosku, że zbędne jest rozmyślanie nad tym. Bo może przyczyną jej stanu było po prostu wszystko razem.

W końcu wstała, spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej. Dostatecznie dużo czasu, aby zrobić coś niezwykłego. Nie chciała wracać do ciemnego hotelowego pokoju, za to miała wrażenie, że dobrze będzie, jeśli teraz wyjątkowo zainwestuje trochę czasu i pieniędzy w siebie samą. Bo wobec siebie nigdy nie była zbyt wielkoduszna. Miał to być początek, kiedy zacznie być miła w stosunku do siebie samej – początek wielkich zmian.

Postanowiła pójść do fryzjera i naprawdę ładnie ściąć włosy. Może nawet zrobić sobie kilka pasemek – blond i miedzianych. Ta inwestycja była może związana z Calebem, ale w tym momencie Kate się do tego nie przyznawała.

5

Pracownicy Northumbria Police zgodnie ze swymi kompetencjami ekshumowali z grobu położonego w rogu ogrodu doczesne szczątki ludzkie i przekazali je do zakładu medycyny sądowej. Prawdopodobieństwo, że chodziło tu o Neila Courtneya, właściciela farmy, było bardzo wysokie, ale na razie brakowało jednoznacznego potwierdzenia tego domniemania. Nie było też jasne, co było przyczyną śmierci.

Caleb i Jane wrócili do Scarborough, podczas kiedy Robert Stewart był obecny przy badaniu prowadzonym przez lekarza sądowego, aby jak najprędzej uzyskać ważne informacje z tym związane. Jane tymczasem przejrzała dokładnie wszystkie listy, które wyciągnęli z zarośniętej krzewami skrzynki Neila Courtneya, i dokonała ciekawego odkrycia.

– Miał konto w jednym z banków w Newcastle. I jeszcze w początku czerwca przekazano na nie jego rentę. To znaczy, że Neil Courtney oficjalnie wciąż żyje – nawet jeśli się okaże, że zmarły z grobu w ogrodzie to właśnie on. O czym wszyscy jesteśmy niemal przekonani.

Jane siedziała w biurze Caleba. Był już wieczór, ale na dworze ciągle jeszcze było jasno, niebo miało odcień bladego błękitu, a powietrze było ciepłe. W taki wieczór należało iść na spacer albo usiąść na drewnianej ławce przed pubem i wypić piwo. Oni oboje czekali jednak na telefon od Roberta. Byli zbyt podekscytowani, żeby iść teraz do domu.

– Ktoś pogrzebał Courtneya w ogrodzie i nigdzie nie zgłosił faktu jego śmierci – powiedział Caleb, bawiąc się złamanym ołówkiem, który wyciągnął

z kubka pełnego takich samych ołówków. Caleb nie potrafił ich ostrzyć, co Jane zauważyła już dawniej. – Czy to ktoś, kto go zamordował? – dokończył pytaniem.

Jane zakłosała głową w geście niewiedzy.

– Tego nie wiemy. Co jednak jest interesujące: cały czas ktoś regularnie odbierał rentę z konta Courtney, ostatni raz przed dwoma tygodniami. Nie jestem ekspertem, ale zwłoki, które znaleźliśmy, najwyraźniej leżały w tym grobie już od dobrych kilku miesięcy. To znaczy, że ktokolwiek obsługiwał jego konto – z pewnością nie mógł to być Courtney.

– W grę wchodzi właściwie tylko jedna osoba – powiedział Caleb. – Człowiek, który przyjął nazwisko Courtney. Denis Shove. Jego wżeniony w rodzinę bratanek żony, czy jakoś tak. To tłumaczyłoby też fakt, dlaczego opowiadał Therese Malyan o spadku, który rzekomo dostał. Nie pracował, dysponował jednak regularnymi przychodami, które musiał jakoś uzasadnić. Na zbyt wiele nie mógł sobie oczywiście pozwolić, dysponując tak małą rentą, ale ponieważ żył głównie z pieniędzy Therese, o czym mówiła mi Helen Jefferson, to finansowo radził sobie nieźle.

Jane skinęła głową.

– To wszystko zaczyna teraz do siebie pasować. Zakładam też, że wiemy, czego szukał w domu Courtney. Musiał mieć kartę Neila do bankomatu. Oczywiście także PIN, ale ten być może był gdzieś zanotowany. Pogrzebał starego wuja w ogrodzie, żeby nikt, kto będzie przypadkowo przechodził w pobliżu, niczego nie zauważył. I z tą kartą szybko uciekł. Była szansa, że wszystko nieprędko się wyda, bo ten biedny staruszek najwyraźniej żył samotnie, całkiem zapomniany przez Boga i ludzi. Mogłoby upłynąć wiele lat, zanim ktokolwiek by coś zauważył.

– Jediną osobą, która regularnie tam zaglądała, był listonosz – powiedział Caleb. – A on, jak się zdaje, wcale się nie dziwił, że nikt nie opróżnia skrzynki pocztowej.

Caleb mówił przygnębionym głosem i tak też się czuł. Takie historie przytłaczały go zawsze. Jak obojętni byli ludzie w stosunku do siebie... Czy to naprawdę tak dużo oczekiwać od listonosza, że od czasu do czasu zainteresuje się i sprawdzi, czy wszystko w porządku u starego, żyjącego zupełnie samotnie człowieka? Oczywiście nie wynika to z jakiegoś przepisu, to co najwyżej obowiązek moralny. A do tego można było się jedynie poczuwać – albo nie. Caleb miał wrażenie, że działo się to coraz rzadziej.

Jane wzięła w obronę nieznanego listonosza.

– Ale w takim razie skrzynka pocztowa musiałaby być bardziej wypełniona. Jeśli założymy, jako laicy, że Courtney nie żyje od ostatniej jesieni, to w skrzynce musiałyby się znajdować odcinki renty z września albo października. A znaleźliśmy tam pocztę, poczynając od kwietnia tego roku. Zakładam więc, że

Shove – o ile to on jest autorem tego oszustwa – był na tyle przebiegły, aby od czasu do czasu pojawiać się na farmie w Newcastle i opróżniać skrzynkę. Dlatego listonosz mógł zakładać, że Courtney żyje i jedynie dość rzadko zagląda do skrzynki. Nie może pan zapominać, sir, że Courtney przez większą część czasu... – Urwała i zaczerwieniła się nagle.

Caleb miał dość. Tego mamrotania i jąkania się, kiedy tylko poruszano ten właśnie temat.

– On był przez większą część dnia pijany w sztok, tak, to jasne. I wiedział o tym także listonosz – dokończył. – Pani zdaniem to właśnie tłumaczy fakt, że skrzynka była tak rzadko opróżniana? To możliwe. Ja... – Przerwał mu dzwonek telefonu. Caleb odebrał, skinął głową w stronę Jane i przełączył aparat na tryb głośnomówiący. W pomieszczeniu zabrzmiał głos Roberta.

– ...jeszcze nic ostatecznego, ale są już pierwsze dane. Zdecydowanie chodzi tu o zwłoki mężczyzny, i to dość starego, mającego w chwili śmierci około siedemdziesięciu, osiemdziesięciu lat. Jego tożsamość jest jeszcze nieustalona, ale wiek w każdym razie pasuje do Neila Courtneya.

– Uznałbym, że możemy na ponad dziewięćdziesiąt procent założyć, że to on – oświadczył Caleb.

– Zgodziłbym się z panem, sir. Jako czas śmierci przyjęto jesień ubiegłego roku. Może początek listopada. Ale może to być także druga połowa października, wcześniej jednak w żadnym wypadku.

– I co?

Robert wiedział, o co chciał zapytać szef.

– Wygląda na to, że przyczyną śmierci nie było działanie osób trzecich. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Neil Courtney – o ile to jest on – nie został zamordowany.

Caleb wydawał się wręcz rozczarowany.

– To pewne?

– Jak mówiłem, badania nie są jeszcze zakończone. Ale wszystko wskazuje na śmierć naturalną. Lekarz sądowy mówi o zaawansowanej marskości wątroby, ale to na razie bardziej przypuszczenia. Po tak długim czasie badania są mocno utrudnione. Jednak właściwie nie można tego wykluczyć – sądząc choćby po liczbie pustych butelek po alkoholu, które znaleźliśmy.

Caleb był niemal wdzięczny, że Robert tym razem nie uciekał się do dyskretnych opisów, lecz nazwał fakty po imieniu. Wszystko wskazywało na to, że Neil Courtney po prostu zapił się na śmierć. Poszedł dokładnie tą samą drogą, którą lekarze przewidywali dla Caleba, gdyby szybko nie skończył z nałogiem.

– Ale z całą pewnością Neil Courtney nie pogrzebał się sam w ogrodzie – powiedział.

– Zakładałbym, że któregoś dnia późną jesienią po prostu się przewrócił albo

któregoś ranka już się nie obudził – powiedział Robert. – I że Denis Shove, który zajrzał na farmę, ponieważ przypomniał sobie o starym wuju jako możliwym źródle pieniędzy, znalazł go martwego. Może rzeczywiście nie miał złych zamiarów i chciał tylko wyciągnąć od starego parę funtów. Ale potem przyszedł mu do głowy pomysł, aby wykorzystać tę sytuację wobec tego, co zastał.

Jane skinęła głową.

– Też to tak widzę. Pogrzebał go, aby nie natknął się na niego nikt inny – na przykład nasz listonosz. Nie ma zwłok, to nie ma zmarłego. A potem przewrócił w domu wszystko do góry nogami, może znalazł trochę gotówki, ale przede wszystkim kartę do bankomatu i PIN. Dzięki wyciągom z konta wiedział, ile Courtney dostaje miesięcznie. Nie było tego wiele, ale zawsze to lepsze niż nic, a w jego położeniu – kiedy dopiero co wyszedł z więzienia i nie zamierzał szukać pracy – każdy pens się liczył. I postanowił jak najdłużej czerpać korzyści z tej sytuacji. Kiedyś prawdopodobnie ktoś by zauważył, że nie ma już starego Courtneya, ale wobec tego, jak on żył na tym pustkowiu, mogło to nastąpić nieprędko.

– I mniej więcej w tym czasie – kontynuował Caleb – Denis poznał Therese Malyan. Dlaczego podał jej fałszywe imię i nazwisko? Nie miał przecież nic na sumieniu – choć co prawda właśnie zaczynał oszukiwać zakład ubezpieczeniowy. Ale o tym nikt na razie nie wiedział. To po co przyjął nazwisko zmarłego?

– On ma coś na sumieniu – zabrzmiał głos Roberta – a mianowicie zabójstwo, za które ukarano go ośmioma latami więzienia. Pobił ze skutkiem śmiertelnym swoją towarzyszkę życia. Może po prostu nie chciał, aby dowiedziała się o tym Therese. Pisano o tym w gazetach, w Internecie też być może dałoby się coś znaleźć na ten temat. Chciał uniknąć tego, że kolejna kobieta, która wówczas znalazła się u jego boku, dowie się przez głupi przypadek, co się stało z poprzednią. Coś takiego mogłoby ją wyprowadzić z równowagi, i to bardzo.

– Czy Therese Malyan jest dla niego tak ważna, że zastosował aż takie środki ostrożności?

Stewart wiedział oczywiście, dokąd zmierzał Caleb.

– Sądzi pan, że przyjął fałszywe nazwisko z ostrożności? Bo już wtedy planował morderstwo Richarda Linville’a? I Melissy Cooper? Także dlatego, że doskonale wiedział, iż znajdzie się na samej górze naszej listy podejrzanych?

– On wiedział, że będziemy szukać Denisa Shove’a. A jako Neil Courtney był względnie bezpieczny, o ile oczywiście udałoby mu się zmienić swój wygląd zewnętrzny. Po prostu przyjął tożsamość zmarłego człowieka, o którym nikt jeszcze nie wiedział, że nie żyje. To dość dobry kamuflaż.

– Niezbyt dobry – zaprzeczył Robert. – Bo nawet jeśli zabrał paszport Courtneya, to w razie jakichkolwiek wątpliwości nie będzie mógł się nim posłużyć. Courtney musiał się urodzić w latach trzydziestych, może czterdziestych ubiegłego

wieku. Shove jest młodszy od niego o jakieś pięćdziesiąt lat. Coś takiego nie przejdzie. A poza tym jego terapeutka z czasów pobytu w więzieniu wie o tym dość dalekim pokrewieństwie. Można więc ustalić związek pomiędzy Denitem Shove'em a nazwiskiem Neil Courtney.

– Ale on wiedział także i o tym, że ta terapeutka cały rok przebywała w Australii – przypomniała Jane. – I że my właśnie dlatego nie tak szybko dowiemy się czegoś na temat jego pokrewieństwa z kimś z Newcastle. W każdym razie zyskiwał sporą przewagę dzięki tej zmianie nazwiska.

– A poza tym odkryliśmy jego fałszywą tożsamość dzięki przypadkowi, którego nie mógł przewidzieć i wkalkulować w swoje plany – dodał Caleb. – Bo jeśli chodzi o jego towarzyszkę życia, to coś wymknęło mu się spod kontroli, w rezultacie ona uciekła, a jemu potrzebny był samochód. Napadł więc na Peggy Wild, aby ukraść jej auto. I tylko dlatego wpadliśmy na trop nazwiska Neil Courtney i dowiedzieliśmy się, gdzie przez cały czas przebywał Denis i że jest w związku z dziewczyną nazwiskiem Therese Malyan. Bo z samego tylko faktu odnalezienia jego zmarłego wuja nie wyciągnęlibyśmy wniosku, że Denis przyjął jego nazwisko.

Mówiąc te słowa, Caleb mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy nie przesadza. I czy nie szuka zbyt intensywnie dowodów na potwierdzenie swojej teorii, zgodnie z którą w przypadku Shove'a rzeczywiście ma do czynienia z mordercą Linville'a. Ale przecież z którejkolwiek strony by na to spojrzeć, to Shove sam potwierdzał słuszność takiego założenia. Nawet jeśli rzeczywiście nie zamordował starego Courtneya. Bo Caleb zrozumiał, dlaczego ta właśnie okoliczność go irytowała: kolejne morderstwo, którym tym razem bez żadnych wątpliwości można byłoby obciążyć Shove'a, utwierdzałoby Caleba w przekonaniu o słuszności własnych działań. Usprawiedliwiałoby nakład środków i sił oraz zaangażowanie, z jakim poszukiwał Shove'a. A przede wszystkim tłumaczyłoby, dlaczego szukał tylko i wyłącznie Denisa Shove'a. Bo czasami Caleba ogarniał niepokój, czy aby nie ma na oczach osobliwych kłapek, które przeszkadzają mu wziąć pod uwagę zupełnie inne możliwości. Przecież jego bezwzględną zasadą była otwartość na wszystko, na najdziwniejsze, wręcz niemożliwe uwikłania i powiązania. Był przecież ceniony za zdolność trzymania w ręce kilku wątków jednocześnie i śledzenia ich oddzielnie. Prowadził swoje dochodzenia w dziesięciu kierunkach w tym samym czasie i potrafił z takim samym zaangażowaniem podążać każdym tropem śledztwa. A tym razem to nie działało. Czuł, że osoba Denisa Shove'a pochłonęła go całkowicie i niepodzielnie, i to pomimo faktu, że jego team już kilkakrotnie go ostrzegał. Po prostu tym razem nie miał nic ani nikogo innego, kim mógłby się zająć. Żadnych wariantów, żadnych możliwości, żadnej alternatywy. Nic. I nagle zadał sobie pytanie: dlaczego tak jest? Bo tym razem rzeczywiście nie ma nic innego? Bo domniemana wina Shove'a jest na tyle

oczywista, że Caleb sam sobie wręcz zabrania pójść inną drogą albo choćby o niej pomyśleć? A może to ja sam stanowią problem? Czy ten nowy Caleb nie funkcjonuje już tak fantastycznie jak ten stary?

Nowy Caleb – który musiał się rozstać ze swoim najlepszym przyjacielem, tak wspianale go dotychczas wspierającym. Z alkoholem. Dzięki któremu tamten Caleb był silny i zdolny do rozwiązywania najbardziej zawitych i śmiałych myślowych splotów. Formułowania najbardziej zaskakujących i nieoczekiwanych wizji. Dzięki któremu mógł tak dobrze słyszeć i rozumieć swoją intuicję. Przecież tak często kierowało nim coś, czego nikomu nie był nawet w stanie wyjaśnić. Jakiś osobliwy instynkt, który przeważnie okazywał się niezwykle trafny. Którego teraz już nie było. Albo przynajmniej Caleb już go nie odczuwał. Jego zdaniem zaskakujące było to, jak trwale tkwią w ludzkiej świadomości najgłępsze czasem stereotypy, nawet jeśli w wyniku licznych, wieloletnich obserwacji i doświadczeń każdy musi dostrzec, że niektóre procesy i zjawiska są o wiele bardziej zróżnicowane, skomplikowane i wielowariantowe, niż się powszechnie sądzi. Ludzie zawsze mieli przed oczami fizyczny wrak człowieka, kiedy myśleli o alkoholiku, widzieli uzależnionego nałogowca, który z trudnością funkcjonował w codzienności, któremu coraz trudniej przychodziło ukrywanie okresów znikania z życia i który powoli, ale nieuchronnie staczał się na zawodowy, prywatny i socjalny margines. A Caleb wiedział, że była to tylko częściowa prawda. Miewał okresy całkowitego załamania i wręcz upadków, i przypuszczalnie byłoby ich coraz więcej, gdyby pił dalej. Ale przez większość czasu dzięki alkoholowi funkcjonował wyjątkowo dobrze, czuł się silny i pewny siebie i odnosił kolejne sukcesy zawodowe. Alkohol tłumił jego wątpliwości wobec własnej osoby i dzięki temu znikało wszystko, czym Caleb mógł samego siebie blokować. Czy kiedyś w końcu popadłby w stan despotyzmu i samouwielbienia, co z kolei prowadziłoby do podejmowania całkowicie błędnych decyzji, tego nie wiedział; uważał to jednak za możliwe, choć do tego punktu jeszcze nie dotarł. A od kiedy już nie pił, czuł się w jakiś sposób zredukowany i niepewny siebie. Miał świadomość, że musi zaangażować całą swą energię w maskowanie tej niepewności, aby nie dostrzegł jej żaden z jego współpracowników. Ironią losu było to, że kosztowało go to więcej siły niż ukrywanie dawniej przed światem codziennej konsumpcji alkoholu. Nieprawdą też było, że człowiek czuł się wolny, kiedy uciekł od tego demona. Było się wówczas jedynie poddanym innym przymusom. I jeśli chodzi o Caleba, to te wydawały mu się o wiele gorsze niż poprzednie.

Zauważył, że nikt już nic nie mówił, ani Robert po drugiej stronie linii, ani też Kate siedząca w jego biurze. Wydawało się, że w tym momencie powiedziane zostało wszystko i czekali jedynie, aby on zakończył tę małą konferencję.

– Okay – powiedział więc. – Chyba dziś nie będziemy już mogli nic więcej zrobić. Sierżancie Stewart, czy wraca pan teraz do Scarborough?

– Tak. Ale pozostanę w kontakcie z lekarzem sądowym, który będzie mi na bieżąco dostarczał kolejnych wiadomości na temat wyników obdukcji, to już jest uzgodnione.

Zakończyli rozmowę. Caleb włożył złamany ołówek do kubka i wstał.

– Pójdę teraz coś zjeść – powiedział. – Ma pani ochotę pójść ze mną?

Jane podniosła się także i potrzęsnęła z żalem głową.

– Muszę wracać do domu. Będzie dobrze, jeśli choć raz nie przyjdę tak późno.

– Rozumiem. A więc do jutra.

Wyszli z biura Caleba. Jane poszła do swojego, aby wyłączyć komputer i spakować torbę. Od kilku minut miała wrażenie, że coś ją gnębi, ale nie mogła ustalić, co to właściwie było. Słowo „gnębić” nie było może właściwe. To była raczej irytacja, jakiś rodzaj niepokoju...

Szukała właśnie kluczyków do samochodu na swoim biurku, gdzie zawsze panował bałagan, kiedy to sobie uświadomiła. I już wiedziała.

Oni nie zadzwonili. Małżeństwo Crane’ów. Powinni byli wczoraj wieczór wrócić do Kingston i dziś oddzwonić.

Aby się upewnić, obejrzała ponownie ekran swojego telefonu i sprawdziła pocztę głosową. Nie było tam jednak żadnej wiadomości.

Wahała się. Czy powinna spróbować raz jeszcze zadzwonić na komórkę Stelli Crane? A może na telefon stacjonarny w Kingston? Czy też do sąsiadki?

Może Crane’owie po prostu zapomnieli o telefonie do niej. Poprzedniego dnia wrócili przecież z dłuższego urlopu. W czasie ich nieobecności mogło pojawić się wiele spraw, które musieli załatwić najpierw. Jednak było dość niezwykle, że sprawa oddzwonienia do policjantki z Yorkshire Police nie znalazła się na pierwszym miejscu – zwykle ludzie reagowali natychmiast na cokolwiek, co było związane z policją, podnosili alarm i za wszelką cenę próbowali upewnić się jak najszybciej, czy wszystko w porządku.

W końcu Jane zadzwoniła jeszcze raz, najpierw do Stelli, a potem na telefon stacjonarny w Kingston. I tu, i tu zgłosiła się jedynie automatyczna sekretarka.

Zdenerwowało ją to. Crane’owie stanowili w tej chwili jedyną, choć co prawda niewielką możliwość nawiązania kontaktu z Shove’em. Tym Shove’em, przy którym tak bardzo upierał się szef. Czy wspieranie go w tym uprze cokolwiek da? Czy też jedynie odwlecze to, co nieuchronne – uświadomienie sobie całkowicie fałszywego tropu?

I co wtedy?

Poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Na razie były to pierwsze delikatne ukłucia w skroniach.

Znalazła w końcu kluczyki i wyszła z biura.

Wtorek, 10 czerwca

1

Stella spała tak głęboko, że z trudem i niechętnie wracała do rzeczywistości. Tym bardziej że miała taki piękny sen: była w domu, w Kingston i stwierdziła, że nocą w jej ogrodzie urosły setki najwspanialszych egzotycznych roślin i kwiatów. Wszystko kwitło, pachniało i tworzyło tak cudowną różnorodność kolorów, że od samego patrzenia mogło się zakręcić w głowie. Stella nie potrafiła wytłumaczyć sobie tego cudu. Nie miała w ogóle żadnych talentów do przydomowego ogrodnictwa i z trudem udawało jej się wyhodować petunie, które ustawiała latem w glinianych doniczkach na tarasie w takich miejscach, aby mogły w miarę nieuszkodzone dotrzeć do jesieni. Sen trwał i zobaczyła, że z kilku zraszaczy na kwitnące kwiaty spadała woda, tworząc lśniące srebrzyste łuki, i pomyślała, że mogłaby tam podbiec i napić się tej wody. Czuła ogromne pragnienie, a woda była tak przejrzysta i wyglądała tak cudownie świeżo. Tylko coś osobliwie trzeszczało w wężykach doprowadzających wodę do zraszaczy i brzmiało to niemal tak, jak gdyby gdzieś w pobliżu pracowało całkiem zardzewiałe i stare ramię pompy wodnej. Stella się rozejrzała, bo chciała koniecznie zobaczyć, skąd dobiega ten dźwięk, ale wtedy poczuła, że coś się zmieniło.

Obudziła się.

Nie było kwiatów ani łuków wody połyskujących w świetle słonecznych promieni. Ze snu pozostało ogromne pragnienie, które właśnie chciała ugasić. I ten osobliwy dźwięk.

Usiadła z trudem. Leżała na podłodze na zniszczonym dywanie, który przyciągnęła do sofy, pod wełnianym kocem znalezionym w kącie. Koc pokryty był sierścią, bo zapewne dawniej sypiał na nim pies. Ale nie był to stosowny czas, by skarżyć się na tak nieprzyjemne drobiazgi, bo bez koca było zimno, a innego Stella nie miała.

Obok niej leżał Sammy. Chłopiec spał jeszcze. Pięć dni tego więzienia wystarczyło, aby zbladł, i sprawiał teraz wrażenie jeszcze bardziej drobnego niż przedtem. Jego nastroszone włosy sterczały zabawnie we wszystkich kierunkach. Stella dostrzegła też, że Sammy miał suche i spękane wargi. Dostawał za mało wody. Jak oni wszyscy.

„Będę musiała dać mu coś ze swojej racji” – pomyślała Stella.

Oblizwała językiem usta. Też były suche i spękane.

Przez pozbawione szyby okno do wnętrza przedostawało się światło słońca. Był znów kolejny piękny i ciepły dzień. A oni ciągle siedzieli w tym przeklętym kamiennym więzieniu. Denis i Terry najwyraźniej nie wykonali jeszcze obiecanego

telefonu. O ile Denis w ogóle miał zamiar to zrobić.

Stellę ogarnęły kompletne zniechęcenie i apatia. Jej jedynym życzeniem było teraz zasnąć choćby na pół godziny i wrócić do kwitnącego ogrodu z płynącą dookoła wodą. Ale wtedy znów usłyszała ten dziwny dźwięk i odwróciła głowę.

Dostrzegła, że te odgłosy pochodziły od Jonasa. Jej mąż leżał na sofie, najwyraźniej jeszcze spał, oddychając szybko i chrapliwie. Wyglądało to tak, jak gdyby nie mógł zaczerpnąć dość powietrza. W mdłym świetle wnętrza szopy Stella dostrzegła też niezdrowe, popielate zabarwienie jego twarzy. Jonas sprawiał wrażenie wręcz przezroczyściego i nie był to efekt siwiejącego zarostu. Poprzedniego dnia Stella miała wrażenie, że wraca do zdrowia. A teraz z kolei widziała, że było z nim znacznie gorzej.

Podniosła się ostrożnie, aby nie obudzić Sammy'ego, i jak najciszej podeszła do Jonasa. Kiedy przykucnęła koło sofie, odczuła wyraźnie gorąco, które biło od jego ciała. Położyła mu rękę na czole i się przeraziła. Jonas znów miał bardzo wysoką gorączkę. A poza tym poczuła nieprzyjemną woń, której przyczyną był nie tylko pot i brak możliwości umycia się. Tego przecież nie robiło w tych warunkach żadne z nich trojga. To była woń przypominająca... gnicie. Rana na brzuchu Jonasa się nie goiła. Mogły mu teraz pomóc tylko duże dawki antybiotyków. On musiał się znaleźć pod opieką lekarza, był już najwyższy czas.

Stella poszła do kąta, gdzie trzymała skąpe zapasy żywności i wody. Napelniła kubek wodą, z trudem powstrzymując się przed wypiciem choćby jednego łyku. Czuła, jakby miała w ustach trociny, ale zmusiła się, aby o tym nie myśleć. Musiała wydłużyć odstępy między posiłkami, w czasie których podawała coś do picia. Przynajmniej jeśli chodziło o nią samą. Pierwszeństwo miał teraz Jonas. Nie było już wątpliwości, że w jego wypadku to kwestia życia i śmierci.

Uklękła znów koło sofie, zwilżyła wargi Jonasa wodą, skropiła jego rozpalone czoło. Chciałaby móc robić mu co godzinę mokre, zimne kompresy, aby obniżyć gorączkę, ale wówczas pod koniec dnia nie mieliby już wcale wody. A nic nie wskazywało na to, że ratunek jest bliski.

Jonas poruszył się niespokojnie, a potem podniósł powieki. Miał szkliste, nieprzytomne oczy.

– Wody – powiedział cicho.

Podniosła jedną ręką jego głowę, a drugą przytknęła mu kubek do ust. Jonas pił łapczywie, a po chwili osunął się na sofę.

– Nie mogę... złapać... powietrza. Tak nagle – powiedział z trudem.

– Masz wysoką gorączkę. Jak myślisz, będziesz w stanie połknąć tabletkę?

– Tak – wymamrotał, ale sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego, kiedy z pomocą Stelli raz jeszcze podniósł głowę i popił wodą dwie tabletki paracetamolu. Przynajmniej nic nie wskazywało na to, żeby cierpiał z powodu silnego bólu, a w każdym razie nic o tym nie mówił, ale Stella zastanawiała się, czy

brak powietrza nie świadczył o czymś jeszcze gorszym.

Usłyszała za sobą jakiś szelest. Sammy obudził się, wstał i podszedł do nich.

– Tak mi się chce pić – powiedział.

Stella wstała i poszła razem z nim do kąta z zapasami. Napełniła kubek wodą i podała mu. Chłopiec pił tak łapczywie jak poprzednio jego ojciec.

– Mogę dostać jeszcze? – spytał.

Potrząsnęła głową niemal z bólem serca.

– Nie mógłbyś jeszcze troszkę poczekać? Musimy oszczędzać wodę, wiesz?

– A kiedy przyjedzie policja?

– Z pewnością niedługo. Może nawet już dzisiaj.

Ale jeśli o to chodziło, to Stella stopniowo traciła wszelką nadzieję. Denis Shove zawiadomi policję dopiero wtedy, kiedy oni oboje będą absolutnie bezpieczni, a mogło upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim to nastąpi. Jonas miał całkowitą rację, oceniając ich położenie tak pesymistycznie: pomoc, jeśli w ogóle nadejdzie, to za późno. Za późno, jeśli chodzi o jego stan. Za późno dla nich wszystkich, bo wkrótce nie będą mieć już wody.

Stella spojrzała w stronę okna. Zobaczyła skrawek błękitnego nieba.

Także i tu Jonas miał rację: jedyną osobą, której mogło się udać wydostać z tego wręcz hermetycznie zamkniętego budynku, był Sammy. Stella wczoraj aż się zjeżyła na samą myśl o tym i jeszcze przed zaśnięciem odrzuciła w myślach ten plan jako całkowicie absurdalny. Ale teraz zrozumiała, że tak naprawdę nigdy nie zadała sobie pytania, czy w ogóle spróbują tej drogi. A przecież po prostu nie mieli wyboru.

2

Kate obudziła się następnego dnia około ósmej i postanowiła nie rezygnować ze swojego zamiaru odnalezienia Normana Dowricka. Znów zamierzała pojechać na to osiedle i miała nadzieję, że być może tym razem zdoła wreszcie znaleźć kogoś, kto będzie coś wiedział o miejscu jego pobytu. Jeśli to się nie uda, to spróbuje dotrzeć do Normana przez urząd meldunkowy. Dowrick żył z renty inwalidzkiej, nie mógł więc całkiem zniknąć, bo wówczas byłby odcięty od jedyne go źródła utrzymania. Chyba że siedział gdzieś na chodniku w jakiejś strefie dla pieszych i zebrał. Wówczas rzeczywiście zniknąłby z pola widzenia każdego radaru.

Kate umyła się w małej umywalce w pokoju i przyjrzała się sobie uważnie w lustrze – jeśli o nią chodziło, była to czynność wręcz niezwykła. Zwykle tego unikała. Ale musiała przyznać, że fryzjer, którego odwiedziła wczoraj wieczorem, wykonał dobrą robotę. Zamiast postrzępionych kosmyków sięgających jej ramion miała teraz na głowie lekko ścienioną, sięgającą podbródka fryzurę, dzięki której jej twarz nie była tak pociągła, za to nabrała wyrazu łagodności. Kate

sprawiła też wrażenie znacznie młodszej. Nieładne przedtem matowobrazowe włosy teraz błyszcząły, a ich kolor rozjaśniały jasne i miedziane pasemka. Nigdy nie miała skłonności do prawienia sobie komplementów, ale po raz pierwszy od lat nie ogarnęły jej smutek i niechęć na widok swojego odbicia w lustrze. Podobała się sobie. Wiedziała, że nigdy nie będzie piękną, ale bez wątpienia mogła zrobić dla siebie więcej, niż robiła w przeszłości.

Po śniadaniu, na które składały się zanurzone w tłuszczu tosty i jajecznica, co miało z pewnością ciążyć w jej żołądku przez resztę dnia, ruszyła w drogę na osiedle. Znow zaparkowała w podziemnym przejeździe znajdującym się pomiędzy domami a opuszczonym terenem fabrycznym i wysiadła z samochodu. Kiedy szła w stronę rzędu domów, zauważyła młodego chudego Hindusa, który już znowu – a może jeszcze? – siedział na kamiennym murku. Rozmawiała z nim poprzedniego dnia i jak sobie przypominała, nazywał się Kadir Roshan.

– Ciągłe go pani jeszcze szuka? Tego mężczyzny na wózku inwalidzkim? – zapytał.

– Tak. To dla mnie naprawdę ważne, żeby go odnaleźć.

– Wie pani, coś mi przyszło do głowy... – Hindus umilkł i lekko poruszył ramionami w tył i w przód. Ciemnobrazowymi rękami obejmował górną część tułowia. Kate zaczęła się już zastanawiać, czy ta przerwa w jego słowach miała znaczyć, że czekał na jakąś propozycję z jej strony w zamian za informacje, i już-już miała zamiar wetknąć mu w rękę pięćofuntowy banknot, kiedy zaczął mówić znowu.

– Jest tu taka dziewczynka... I ona czasami się chwali, że ma wózek inwalidzki. Taki prawdziwy.

– Jest niepełnosprawna?

Uśmiechnął się.

– Tak, ale nie w taki sposób, jak pani myśli – powiedział, po czym wskazał na swoją głowę. – Ona ma nie po kolei w głowie. Ale potrafi chodzić. Nie potrzebuje wózka.

– Ma pan myśli to, że w jakiś sposób weszła w posiadanie wózka Normana Dowricka? – spytała.

– Tak mogłoby być, prawda?

– To może także wie, co się stało z Normanem Dowrickiem.

Hindus wzruszył ramionami.

– Trzeba ją o to zapytać – odparł.

– A jak ona się nazywa? Gdzie mogę ją znaleźć?

– Nazywa się Grace. Grace Henwood. – Uśmiechnął się. Coś było z nim nie w porządku, ale mówił znakomitym, dobrze wyuczonym angielskim. Kate miała nadzieję, że nie wymyślił sobie po prostu tej historii.

– To gdzie mieszka ta Grace? – dopytywała się.

Wskazał na jeden z domów – był tak samo nędzny i zaniedbany jak wszystkie pozostałe. Obok drzwi wejściowych, do których prowadziło kilka schodów, leżała stara zardzewiała pralka.

– Tam. Myślę, że ona i jej rodzina to jedyne osoby, które tam mieszkają. Może jest jeszcze jedna stara kobieta na piętrze, ale tego to już nie wiem dokładnie.

– Grace Henwood – powtórzyła Kate.

– Niech pani będzie ostrożna – poradził jej mężczyzna. – Jej ojciec to sadysta. Prawdziwy sadysta.

Podziękowała i poszła w stronę domu, który jej wskazał. Na klatce schodowej za drzwiami jednego z mieszkań usłyszała czyjeś głosy, zapukała więc.

Mężczyzna, który jej otworzył, musiał być tym sadystą, przed którym ostrzegał ją Kadir. Miał ogromny, gruby brzuch, choć ogólnie był wręcz wątki. Miał na sobie w niebieskie spodnie do joggingu i biały podkoszulek. Jego nogi tkwiły w domowych pantoflach w kratkę.

– Tak? – spytał.

– Dzień dobry – powiedziała Kate. – Czy jest w domu pańska córka Grace?

Mężczyzna popatrzył na nią nieufnie.

– Pani jest z Urzędu do spraw Młodzieży?

– Nie. W ogóle nie jestem z żadnego urzędu.

Tym razem o Scotland Yardzie nie mogło być mowy. Wówczas nie mogłaby oczekiwać od tego typu nawet najmniejszej chęci współpracy.

– Ja tylko kogoś szukam – mówiła dalej Kate. – Starego znajomego. I powiedziano mi, że może pańska córka wie, gdzie go mogę znaleźć.

– A kto to jest?

– To Norman Dowrick. A może pan go zna? Ponoć gdzieś tu mieszka.

– Zna pani kogoś, kto tu mieszka? – spytał mężczyzna i popatrzył na nią kpiąco. Kate miała na sobie dzinsy i T-shirt, ale i tak była znacznie lepiej ubrana niż większość mieszkańców tego osiedla. A poza tym jej fryzura zdradzała drogiego fryzjera.

– To stary przyjaciel mojego ojca. Siedzi na wózku inwalidzkim.

– A, ten! Nie mam pojęcia, gdzie on dokładnie mieszka. Czasami jechał tu między domami, ale to było już dawno temu. Nie sądzę, że jeszcze w ogóle żyje.

– Pana córka...

– Moja córka jest niespełna rozumu. Ona na pewno nie będzie mogła pani pomóc.

– Mimo to chciałabym z nią jednak porozmawiać – upierała się Kate.

Mężczyzna popatrzył na nią podejrzliwie.

– Pani jest jednak z Urzędu do spraw Młodzieży?

„A ty się tego cholernie boisz” – pomyślała Kate. Zakładała, że ta rodzina, a zwłaszcza jej ojciec, warta była, aby dokładniej wziąć ją pod lupę, i to także ze

strony policji, ale ona ani nie miała do tego uprawnień, ani też nie był to stosowny moment, aby to zrobić.

– Nie. Mówię przecież, chcę tylko odnaleźć Mr Dowricka.

– Nie znam. I Grace też go nie zna. A teraz proszę się stąd zabierać!

Humor mężczyzny zmienił się gwałtownie. Kate była w stanie wyobrazić sobie, że ten człowiek może się stać bardzo nieprzyjemny. Z początku starał się zachowywać w miarę przyzwoicie, ale teraz nie widział już ku temu powodu i prawdopodobnie nigdy zbyt długo nie było go na to stać.

– Bo wezwę policję – dodał.

Dla Kate jasne było, że akurat tego nie zrobi z pewnością, ale wiedziała, że i tak tu już nic nie wskóra. Ten człowiek trzymał córkę pod kluczem i przypuszczalnie uważał, że ma po temu swoje powody. Kate dostrzegła w jego oczach jakiś chłód i wyraźną skłonność do przemocy.

Odwróciła się, chcąc odejść, i usłyszała głośne trzaśnięcie drzwiami.

Co teraz?

Powoli wyszła z domu, pogrążona w niewesołych myślach. Zastanawiała się na jakimiś sensownymi krokami. Nagle usłyszała nad sobą jakiś nikły szelest, coś jakby szept.

Spojrzała do góry.

Ponieważ mieszkanie rodziny Grace znajdowało się na wysokim parterze, Kate miała jego okna nieco powyżej swojej głowy. Zobaczyła kobietę, która wychyliła się nieznacznie, co chwila oglądając się z lękiem, jak gdyby nie chciała zostać zaskoczona. Jej twarz miała przerażającą, chorobliwie żółtą barwę.

– Szuka pani Grace, jak słyszałam.

Kate zatrzymała się i także zniżyła na wszelki wypadek głos.

– Tak. Jest pani jej matką?

– Tak. Musi pani iść przejściem podziemnym. Do starej fabryki. Włóczy się tam często.

Właściwie był to moment, w którym należało zapytać, dlaczego Grace nie jest w szkole i woli teren opuszczonej fabryki, zamiast się uczyć.

– Dziękuję, zaraz tam zajrzę.

– Proszę jej pomóc – powiedziała jeszcze kobieta i szybko zamknęła okno.

Kate znalazła Grace za fabryką. Za stosami starych opon i olbrzymimi beczkami, co do których można było mieć nadzieję, że nie były wypełnione jakąś trującą substancją czy też szkodliwymi odpadkami, na wózku inwalidzkim jeździła dziewczynka. To miejsce leżało już w cieniu równie wysokiego co długiego ceglanego budynku dawnej fabryki, który – co było widać aż nadto wyraźnie – groził zawaleniem. Kate pomyślała, że to wszystko, co widziała, było jednym wielkim draństwem. Ten teren dawno należało ogrodzić, zabezpieczyć i powiesić tablice ostrzegawcze.

Podeszła do dziewczynki.

– Grace? – spytała.

Grace zatrzymała wózek, który wprawiała w ruch rękami.

Kate nie mogła dostrzec, czy miał funkcję, dzięki której można było go napędzać elektrycznie.

– Nazywam się Kate Linville i jestem znajomą Normana Dowricka.

– Dzień dobry – odpowiedziała Grace.

Kate miała przed sobą łagodną, okrągłą twarz o jasnoniebieskich oczach, twarz niemal przypominającą obrazy Madonny. Lekko rude włosy dziewczynki były założone za uszy i opadały jej prawie do talii. Musiała mieć przynajmniej trzynaście albo czternaście lat, na co wskazywały jej już dość dobrze rozwinięte kobiece kształty. Jednak nie pasował do tego wyraz jej twarzy. Grace najwyraźniej nie osiągnęła jeszcze dojrzałości nastolatki. Jej ojciec powiedział, że jest niespełna rozumu. Kadir Roshan mówił, że ma nie po kolei w głowie.

– Ty jesteś Grace? – upewniła się Kate.

– Tak.

– Twoja matka powiedziała mi, gdzie cię mogę znaleźć.

W dziecińczych oczach Grace pojawił się wyraz wysiłku.

– Moja matka? A mój ojciec o tym wie?

– Nie. On nie ma pojęcia o tym, że tu jestem.

Dziewczynka odgarnęła z czoła kosmyk włosów, sprawiała wrażenie uspokojonej. Kate zastanawiała się, czy ona przebywała tu cały dzień. Tu, na tym dziedzińcu opuszczonej fabryki, między starymi oponami a metalowymi beczkami – czy jeździła tu cały dzień wózkiem? Od rana do wieczora? Odwlekając jak najdłużej moment, w którym musiała już wracać do domu. Do mieszkania, które było prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie, bardziej niż ten walący się budynek, który wyglądał tak, jak gdyby miał za chwilę runąć i pograżyć w gruzach każdego, kto akurat znajdzie się w pobliżu.

– Ładny ten wózek. Czy należy do ciebie?

– Tak.

– Ale ty właściwie go nie potrzebujesz, prawda? Możesz przecież chodzić?

– Tak.

– To pewnie sprawia ci przyjemność, że możesz sobie nim pojeździć?

– Tak.

Kate uśmiechnęła się pojednawczo.

– Ja też ci go nie chcę zabrać, Grace, ale wiesz chyba, że on należy do kogoś innego, prawda? Do Normana Dowricka?

Kate wymieniła imię i nazwisko jeszcze raz, ale nie dostrzegła na twarzy Grace żadnej reakcji. Nic nie wskazywało na to, że zna Normana pod tym imieniem.

– Grace. Skąd masz ten wózek?

Dziewczynka odpowiedziała teraz uśmiechem.

– On należy do mnie.

– A skąd go masz? Czy ktoś ci go podarował?

– Nie. Ja go zabrałam.

Kate miała nadzieję, że to słowo nie było innym określeniem kradzieży.

– Zabrałaś?

Grace sprawiała teraz wrażenie nieco zaniepokojonej.

– On go już nie potrzebuje. To go sobie zabrałam.

– On go już nie potrzebuje? Mężczyzna, do którego należał ten wózek? Czy o nim mówisz?

– Tak.

– Czy on się stąd wyprowadził? Bez swojego wózka? Gdzie on jest?

Grace wstała tanecznym, lekkim ruchem. Wózek potoczył się kawałek do tyłu i stanął.

Kate dostrzegła teraz, że Grace była chudziutka i dawno wyrosła z ubrań, które miała na sobie. Jej dżinsy były za krótkie, podobnie jak rękawy sweterka. Dopiero teraz Kate zauważyła niebieskoczerwone przebarwienia na nadgarstkach dziewczynki.

Proszę jej pomóc – tak powiedziała jej matka.

Grace podeszła do jednej z beczek, położyła rękę na pokrywie, po czym odwróciła się do Kate i uśmiechnęła się zaskakująco przyjaźnie.

– On jest tutaj, w środku – powiedziała.

3

Caleb Hale stał przed ojcem Grace i z trudem udawało mu się ukryć niechęć, jaką czuł do tego człowieka. Jeden z kolegów z policji w Liverpoolu spisał już jego dane osobowe, stąd Caleb wiedział, że mężczyzna, z którym rozmawia, to Mr Darren Henwood, czterdzieści dwa lata, z wykształcenia mechanik okrętowy, od pięciu lat bezrobotny. Ten człowiek miał tak wstrętną gębę zbrodniarza, że nawet Caleb, który widział w życiu wiele zła, był zaskoczony. Z tyłu za nim stała Julie Henwood, jego żona. Wyglądała jak ktoś, kto poddał się zupełnie i nie miał już żadnej nadziei na jakąkolwiek poprawę w swoim życiu.

– Jest teraz prawie dziewiąta godzina wieczór – rzekł Caleb – a pan nie ma pojęcia, gdzie może przebywać pańska trzynastoletnia córka?

Policja ustaliła tymczasem wiek Grace i także to, że była ona jedyną córką małżeństwa Henwoodów.

Darren w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Czasem wraca wcześniej, czasem późno.

– I dalej pana to nie niepokoi?

Darren znów wzruszył ramionami.

– Ona jest nastolatką. Wiadomo, jacy oni są.

– A jacy są? – spytał Caleb.

Darren wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu.

– Nieobliczalni. Robią, co chcą. Jak im się coś mówi, to nic nie daje. A Grace... Ona i tak ma swój cień!

– Mówiąc o cieniu, ma pan na myśli to, że pańska córka jest opóźniona w rozwoju umysłowym?

– Jak mówię, że cień, to cień. Ma nie po kolei w głowie. Od początku taka była. Nie wiadomo dlaczego. Moja żona była z nią u lekarza. On też nie umiał tego wyjaśnić. Zdarzają się takie rzeczy. Dzieciak przychodzi na świat, rośnie i jest coraz większy, tylko mózg nie rośnie.

Caleb zwrócił się wprost do Julie Henwood:

– Mrs Henwood, czy domyśla się pani, gdzie może przebywać teraz pani córka?

Julie spojrzała ze strachem na swojego męża. Caleb miał wrażenie, że najchętniej zapytałaby go, co ma odpowiedzieć.

– Nie – wymamrotała po chwili. – Ja też nie wiem.

– Czy ma przyjaciół, u których mogłaby teraz być?

– Ona nie ma żadnych przyjaciół – odpowiedział Darren zamiast żony. – Kto chciałby się z taką zadawać? Ledwo otworzy usta, to mówi tylko głupoty.

– Mimo to istnieją z pewnością ludzie, którym ufa?

– Ona ma nas – odparł Darren, a Caleb pomyślał, że ojciec jest ostatnim człowiekiem na świecie, któremu ufałaby Grace. Matce chyba prędeż, ale ona była tak dalece podporządkowana mężowi, że także nie mogła być wsparciem dla córki. Wszystko to było bardzo zawile. Grace mogła być wszędzie – i nigdzie. – A czy to prawda, co tu gadają? – spytał Darren. – Że tam, w fabryce, jest tyle policji, bo znaleziono trupa?

– Zgadza się. I wszystko wskazuje na to, że chodzi tu o Normana Dowricka, który także mieszkał tu w jednym z domów.

– To ten, co jeździł na wózku inwalidzkim? O niego przecież pytała dziś rano ta kobieta. Chciała go koniecznie odnaleźć.

– Tak, to ten, co jeździł na wózku inwalidzkim – potwierdził Caleb. Ze złością spytał w duchu sam siebie, czy w ogóle jest jeszcze coś, co może zrobić, aby przeszkodzić Kate w prowadzeniu własnego śledztwa w sprawie śmierci ojca. Nawet groźba złożenia zażalenia do jej przełożonych nic nie dała. Kate niestrudzenie robiła swoje, a najgorsze było to, że ciągle wyprzedzała jego, Caleba z ekipą. Znajdowała jednego zamordowanego po drugim, po czym dzwoniła do śledczych i spokojnie prezentowała im zawilości i tak już skomplikowanej sprawy. A jeśli chodziło o Normana Dowricka, to ta sprawa denerwowała Caleba

szczególnie. Zgodnie z poleceniem Caleba sierżant śledczy Robert Stewart odwiedził Mrs Dowrick po zamordowaniu Linville'a i wypytał ją o męża; ale kiedy okazało się, że małżeństwo rozwiodło się tymczasem i od dawna nie utrzymywało z sobą kontaktów oraz że Norman mieszkał gdzieś w Liverpoolu i żył z renty inwalidzkiej, odciawszy się zupełnie od świata i od dawnego przyjaciela i kolegi Richarda Linville'a, zaniechano prowadzenia śledztwa w tym kierunku. A teraz znalazła go Kate, martwego, w beczce wypełnionej wodą i hermetycznie zamkniętej, na terenie należącym do nieczynnej fabryki. I to Kate zawiadomiła policjantów w Liverpoolu, którzy otworzyli beczkę i zobaczyli tam nieżyjącego mężczyznę. Caleb wyobrażał sobie ich początkowy sceptycyzm, jako że zasadnicza wiadomość pochodziła od trzynastoletniej, opóźnionej umysłowo dziewczynki. Prawdopodobnie kpili albo nie kryli niechęci, walcząc z zamknięciem beczki. Ale potem dosłownie odebrało im mowę. Caleb, zawiadomiony przez Kate, przybył do Liverpoolu późnym popołudniem i rozmawiał z dwoma policjantami, którzy pierwsi znaleźli się na terenie fabryki, a byli to mężczyźni z bogatym doświadczeniem zawodowym i życiowym. Obaj ciągle mieli niezdrową barwę twarzy, jeden z nich co chwila wycierał sobie chusteczką czoło, bo najwyraźniej pot dosłownie je zalewał. Nie było jeszcze wyników sekcji zwłok, także tożsamość zmarłego nie została ustalona, ale zgodnie z tym co Grace powiedziała do Kate, trudno było wątpić w to, że chodziło o niewidzianego od miesiący Normana Dowricka. Wydawało się, że Kate była bliska odkrycia całej serii morderstw i jak na razie wszystkie ofiary były w jakiś sposób powiązane z Richardem Linville'em. Jego kochanka. Jego przyjaciel i kolega. Natomiast coraz trudniej było dopatrzeć się jakiegoś związku między ofiarami a Denisem Shove'em. Jedyne zmarły, którego dotychczas odnalazł Caleb, zidentyfikowany tymczasem jako Neil Courtney, zakończył życie w sposób naturalny i nie było co do tego żadnych wątpliwości. Robert Stewart w południe otrzymał ostateczny wynik sekcji zwłok. Wobec tego Denis Shove był wprawdzie podejrzany o to, że znalazł starego wuja martwego, pogrzebał go w ogrodzie, przemilczał jego śmierć przed władzami i radośnie kasował jego rentę, ale poza tym nie można mu było nic zarzucić, a w każdym razie na pewno nie morderstwo sędziwego krewnego. A ze zbrodnią popełnioną na Richardzie Linville'u ta historia z Newcastle nie wydawała się mieć cokolwiek wspólnego.

Ale Dowrick raczej nie mógł utopić się sam w wielkiej beczce, nie mówiąc już o zakręceniu potem pokrywy. Kate była tego samego zdania.

– On został zamordowany w okrutny sposób – powiedziała przez telefon – dokładnie tak samo jak mój ojciec. I jak Melissa Cooper. Powinien pan tu przyjechać, Caleb. W przeciwnym razie miejscowa policja zacznie dochodzenie w zupełnie niewłaściwym kierunku. A ja nie dam rady przekonać jej o tym, że ta zbrodnia ma związek z dwiema innymi popełnionymi w Yorkshire. Oni sądzą, że

ten biedny, bezbronny kaleka jeżdżący na wózku został napadnięty przez naćpanych małoletnich. Ja natomiast uważam to za wysoce nieprawdopodobne.

Caleb w czasie drogi do Liverpoolu kłął praktycznie bez przerwy. Kiedy dotarł na teren opuszczonej fabryki, zwłoki zostały już zabrane, a dookoła aż się roiło od policjantów i pojazdów w akcji. Caleb odczuł natychmiast nerwową atmosferę niemal na granicy eksplozji, która jego zdaniem wykraczała poza dopuszczalne ramy tego, co zwykle działo się na miejscu przestępstwa. Szybko dowiedział się, co było tego przyczyną: w ogólnym chaosie zniknęła trzynastoletnia dziewczynka, która była świadkiem zbrodni, wskazała miejsce ukrycia zwłok i swego czasu weszła w posiadanie wózka ofiary. Po prostu nagle zniknęła. Policjanci byli już u jej rodziców, ci nie mieli jednak pojęcia, gdzie może przebywać ich córka, teraz więc policja przeczesywała całą okolicę.

– Ta dziewczynka dokładnie wiedziała, gdzie znajdują się zwłoki – wyjaśniła policjantka kierująca akcją, kiedy już była skłonna uwierzyć nieznanemu nadkomisarzowi ze Scarborough, który tłumaczył, że to morderstwo może mieć bezpośredni związek z dwiema zbrodniami w Yorkshire. – Tam z tyłu stoją setki takich beczek, a ona wiedziała dokładnie, którą należy wskazać. Nie mogła znaleźć zmarłego przypadkowo, bo niewykonalne byłoby otwarcie pokrywy i zamknięcie jej potem w taki sposób, jak zrobili to moi ludzie.

– Sądzi pani, że widziała, jak dokonano tej zbrodni? – wywnioskował Caleb.
– Albo przynajmniej fakt ukrycia zwłok, o ile miejsce przestępstwa i odnalezienia zwłok nie okażą się identyczne?

– Albo może nawet brała w tym udział. Tu włączą się młodzieżowe bandy, typy, które nie zawahają się skrzywdzić nawet bezbronного człowieka na wózku. Wręcz przeciwnie.

Caleb był w stanie zamienić tylko kilka słów z Kate, która właśnie tłumaczyła się przed funkcjonariuszem Liverpool Police.

– Grace z całą pewnością nie jest sprawczynią – oświadczyła. – To niedorozwinięte umysłowo, łagodne stworzenie, które moim zdaniem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ucieka przed własnym ojcem.

– Dlaczego oddaliła się z miejsca przestępstwa?

– Sama siebie mam ochotę spoliczkować za to, że nie zwracałam na nią dostatecznej uwagi – odparła Kate.

Caleb zauważył, że była bardzo blada, ale bardziej opanowana i pewna siebie niż w czasie poprzedniej porównywalnej sytuacji, kiedy znalazła Melissę Cooper.

– Caleb, ona nie uciekła dlatego, że ma coś wspólnego z tą zbrodnią. Bo wówczas nie pokazałaby mi, gdzie znajduje się martwy Norman Dowrick. Żaden człowiek nigdy nie odnalazłby go w tej potwornej beczce. Przypuszczam, że się przestraszyła i powodem tego był ten wózek inwalidzki. Wówczas po prostu go sobie wzięła, a teraz nagle zjawily się tu całe chmary policjantów. I pomyślała, że

to z jej powodu. To uciekła i teraz prawdopodobnie siedzi gdzieś w jakiejś kryjówce i trzęsie się ze strachu.

Caleb udał się więc do Henwoodów, aby wyrobić sobie jakiś obraz panujących tam stosunków rodzinnych. Mr Henwood wydał mu się człowiekiem wręcz odrażającym, a Mrs Henwood prawie nie ważyła się oddychać bez zezwolenia męża. Caleb miał jednak wrażenie, że oboje rzeczywiście nie wiedzieli, gdzie mogła być Grace. Nie wiedzieli też o wózku, nie mówiąc już o zmarłym.

– Potrzebujemy nazwisk i adresów osób, z którymi kontaktowała się Grace – powiedział. – Do jakiej szkoły chodzi?

Mrs Henwood cichym głosem wymieniła nazwę szkoły i dodała:

– To jest szkoła dla dzieci... z problemami. Ale ona nie chodzi tam codziennie.

„I nikt się tym za bardzo nie przejmuje” – pomyślał Caleb z przygnębieniem.

Koledzy z policji w Liverpoolu mieli się rozejrzeć w szkole i porozmawiać z nauczycielami, uczniami z klasy Grace i ich rodzicami. Może tam ktoś będzie mógł udzielić wskazówek, jeśli chodzi o miejsce pobytu Grace.

Caleb wyciągnął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i wcisnął ją Darrenowi do ręki.

– Proszę. Jak się panu przypomni coś, co mogłoby pomóc w odnalezieniu pańskiej córki, to proszę do mnie zadzwonić. Albo do kolegów, którzy rozmawiali z panem poprzednio. Albo po prostu na komendę policji. To bardzo ważne.

– Zadzwonię – obiecał Darren.

Caleb miał nadzieję, że rzeczywiście to zrobi.

Wyszedł z mieszkania. Policja zdążyła już odjechać z terenu opuszczonej fabryki, ale Calebowi powiedziano, że następnego dnia poszukiwania Grace będą kontynuowane. Na murku między domami siedział wychudzony mężczyzna o bardzo ciemnej skórze i kołysał się w przód i w tył. Zagadnął Caleba niespodziewanie, kiedy ten przechodził obok:

– Czy to prawda, że mężczyzna jeżdżący na wózku nie żyje?

– Z dużym prawdopodobieństwem tak – odparł Caleb.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz bólu.

– Czy to ta kobieta go znalazła? Ta, która go tu wszędzie szukała?

Caleb założył, że chodziło o Kate.

– Tak – odpowiedział.

– Dlatego że Grace coś wiedziała, prawda? To ja powiedziałem tej kobiecie, że Grace ma wózek.

– Zna pan Grace bliżej?

– Nie aż tak blisko. Tylko trochę. Biedna dziewczynka. Jej ojciec to sadysta.

– Tak, Mr...?

– Roshan. Kadir Roshan.

– Mr Roshan, czy domyśla się pan, gdzie mogła się ukryć Grace? To dla nas niesłychanie ważne, aby z nią porozmawiać. Ona prawdopodobnie ukrywa się ze strachu i myśli, że będzie miała kłopoty z powodu tego wózka. Ale nikt nie będzie miał jej za złe, że go wzięła. Musimy z nią tylko porozmawiać.

– Nie wiem, gdzie ona jest – odparł Kadir. Na chwilę przestał się kołysać, ale teraz znów zaczął. Caleb nie potrafił tego uzasadnić, ale miał wrażenie, że ten człowiek wiedział więcej, niż mówił. Albo że przynajmniej coś przeczuwał, lecz nie zamierzał nic powiedzieć.

Wrócił do swojego samochodu i po drodze zadzwonił do Jane w biurze w Scarborough. Przez całe popołudnie przekazywał jej na bieżąco wszystkie wiadomości, a w czasie ostatniej rozmowy poprosił ją, aby zabukowała dla niego pokój w Liverpoolu. Chciał zostać do następnego dnia. Poza tym polecił Jane, aby skontaktowała się z Kate i przekazała jej, że musi z nią jak najszybciej porozmawiać.

Jane odebrała telefon natychmiast. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej. Caleb nie miał jej tego za złe, sam też nie czuł się inaczej. Ta sprawa stawała się dla wszystkich coraz trudniejsza i bardziej bolesna. Znowu kolejny zmarły – i znowu dawny kolega.

Jane przekazała mu, że zadzwoniła do Kate i zapytała ją, w którym hotelu w Liverpoolu zamieszkała, i zarezerwowała tam pokój dla Caleba.

– Ona może więc tam już być i czeka na pana – powiedziała Jane i od razu zapytała: – Czy jest coś nowego?

– W gruncie rzeczy ten sam koszmar. Jest świadek, który być może widział tę zbrodnię. Trzynastoletnia dziewczynka opóźniona w rozwoju umysłowym, która wiedziała dokładnie, gdzie znajdują się zwłoki Dowricka – o ile rzeczywiście chodzi o Dowricka, ale to raczej pewne. I ta dziewczynka nagle zniknęła bez śladu.

– Jak to się mogło stać?

Caleb westchnął.

– Wykorzystała chyba okoliczność, że na miejscu znalezienia zwłok wszyscy byli zajęci czym innym. Zanim policjanci zauważyli, jak ważna jest ta dziewczynka, ona po cichutku gdzieś zniknęła. A teraz – jak gdyby się pod ziemię zapadła. Nie ma jej po prostu.

– To rzeczywiście koszmar – odpowiedziała Jane. – To wszystko jest... – Urwała.

Caleb wiedział, co miała na myśli. Z każdym krokiem było coraz trudniej. Wydawało się, że nie tylko nie byli bliżsi rozwiązania, lecz wręcz było ono coraz dalej. Norman Dowrick. Gdzie należało go umieścić w dotychczasowej wersji przebiegu wszystkich wydarzeń tej sprawy?

Pożegnali się w niewesołym nastroju i Caleb ruszył w drogę do Kate.

Jane miała już w ręku torebkę i chciała właśnie wyjść ze swojego biura, kiedy jej wzrok padł na kartkę znajdującą się na samej górze przeróżnych papierów leżących na jej biurku. Były to numery telefonu Stelli Crane i jej sąsiadki w Kingston. Pytanie tylko, czy w ogóle należało iść nadal tym tropem. Ale Shove'a trzeba było mimo wszystko aresztować. Postrzelił Peggy Wild. Był winny ciężkiego zranienia.

„I lepiej robić cokolwiek niż nic” – pomyślała zmęczona.

Spróbowała najpierw zadzwonić do Stelli Crane, ale znowu usłyszała pocztę głosową. Potem zadzwoniła pod numer telefonu stacjonarnego w Kingston. Także sekretarka.

W końcu zatelefonowała do sąsiadki, Mrs Hedger.

Mrs Hedger odebrała po trzecim sygnale i najwyraźniej odetchnęła z ulgą, kiedy Jane wymieniła swoje nazwisko.

– Ach, śledcza Scapin, cieszę się, że pani dzwoni. Cały czas się zastanawiam, czy tego nie zrobić, ale pomyślałam, że... No, nie byłam pewna, czy nie popełniłam jakiegoś błędu i czy się teraz nie ośmieszę. Jestem bardzo niespokojna, ale właściwie byłam pewna. Że oni wymienili datę ósmego czerwca, ale...

Mrs Hedger odetchnęła głęboko, a Jane wykorzystała okazję, aby przerwać potok jej słów.

– Mrs Hedger, co się stało? Cały czas czekam na telefon od państwa Crane'ów.

– Tak, no właśnie o to chodzi – odpowiedziała Mrs Hedger. – Nie ma ich. Nie przyjechali w niedzielę wieczorem. A wczoraj także nie. W ich domu jest zupełnie cicho. Zasłony zaciągnięte. Byłam tam dziś jeszcze raz, żeby odebrać pocztę i podlać kwiaty. Nikogo nie ma.

– Ach... – powiedziała Jane.

– W niedzielę wieczór myślałam jeszcze, że oni po prostu późno się wybrali i prawdopodobnie przyjadą w nocy. I byłam pewna, że w poniedziałek rano zobaczę ich auto na podjeździe. Ale nie. Nie ma ich.

– Powiedziała pani, że właściwie jest pani pewna, iż Crane'owie chcieli wrócić ósmego czerwca, tak?

– Tak, wiem, że oni tak mówili. Ale powoli zaczynają mnie ogarniać wątpliwości. Może jednak chcieli zostać tydzień dłużej?

– Zostawiłam wiadomość w poczcie głosowej Mrs Crane – powiedziała Jane. – Ale nie odpowiedziała także na to. A przecież było ustalone, że będzie regularnie odsłuchiwać wszystkie wiadomości, prawda?

– Tak, i to mnie też dziwi. Od wczoraj prosiłam ją dwa razy, aby do mnie koniecznie zadzwoniła, bo nie jestem pewna daty ich powrotu. Ale ona po prostu

milczy.

Jane zastanawiała się przez chwilę.

– Czy to jest aż tak bardzo nietypowe? To znaczy, czy zna ich pani jako ludzi niezawodnych, którzy dotrzymują słowa?

– Jako absolutnie niezawodnych – odpowiedziała natychmiast z pełnym przekonaniem Mrs Hedger. – Kiedy Mrs Crane mówi mi, że co drugi dzień będzie odsłuchiwać wiadomości i w razie czego zadzwoni, to na pewno to zrobi. Dałabym sobie za to rękę uciąć.

To rzeczywiście zabrzmiało dziwnie. Przede wszystkim w związku z osobą Therese Malyan, biologicznej matki adopcyjnego syna Crane'ów. Która była razem ze zbiegłym przestępcą.

Jednak mimo że Mrs Hedger nie miała pojęcia o tych związkach, to przychodziły jej do głowy podobne myśli.

– Czy coś im się przytrafiło? Całej rodzinie?

– O tak poważnym wypadku samochodowym wiedziałabym – stwierdziła Jane. – Mrs Hedger, proszę się dobrze zastanowić. Czy domyśla się pani, gdzie oni mogli pojechać na urlop? Wymienili północną Anglię. A może jest coś, co pozwoli to uściślić? Czy Mrs Crane mówiła o jakiejś miejscowości? Może o wsi? Może padła nazwa jakiegoś jeziora w pobliżu, zamku czy w ogóle jakiegoś zabytku?

Przez telefon można było niemal usłyszeć, jak intensywnie zastanawia się Mrs Hedger.

– Nie – odpowiedziała w końcu. – O tym prawie nie rozmawiałyśmy. Wiem tylko, że to jest miejsce położone gdzieś na uboczu. I że nie ma tam telefonu, Internetu ani zasięgu.

„W gruncie rzeczy świetne miejsce dla zbrodniarza, który musi się ukrywać przed policją” – pomyślała Jane.

Ale: skąd Denis Shove miałby znać to miejsce? A może stosunki między Therese Malyan a Crane'ami były tak zażyłe, że powiedzieli jej o tym? Nie wiedząc, na co się wówczas narażają.

– Mrs Hedger, proszę mi wyświadczyć przysługę – powiedziała Jane. – Ma pani klucz do ich domu. Proszę tam pójść i rozejrzeć się za czymś, co mogłoby być dla nas wskazówką. Może adres zanotowany na jakiejś kartce, która leży na biurku. Otwarty prospekt. Numer telefonu pośrednictwa wynajmu domów na wakacje. Cokolwiek. Bez względu na to, jak bardzo mało znaczące może się to pani wydać.

Mrs Hedger miała skrupuły.

– Ale czy nie będę miała potem kłopotów? Jeśli tak po prostu zacznę sobie grzebać w czyimś domu?

– Biorę to na siebie – uspokoiła ją Jane. Zastanawiała się jeszcze, czy może należałoby poszukać czegoś w komputerze Crane'ów, ale ponieważ ten z pewnością był zabezpieczony hasłem, wymagałoby to interwencji eksperta.

A stan sprawy nie pozwalał od strony prawnej na jego zajęcie, zwłaszcza teraz, późnym wieczorem. Na razie Jane musiała się umówić z sąsiadką i zdać się na jej przypuszczalnie niewielkie zdolności tropiciela.

– A poza tym – dodała Mrs Hedger – był tu znowu ten obcokrajowiec. Ten Arab.

– Ten, który chciał koniecznie rozmawiać z Mr Crane’em?

– Tak. Czekał całe niedzielne popołudnie przed domem. I w poniedziałek też tu był. I dziś przed południem. Zapytałam go w końcu, co jest aż tak pilne, że tak czeka.

– I co?

– Jak zwykle. Powiedział, że musi porozmawiać z Mr Crane’em. Mam wrażenie, że rzeczywiście jest to niesłychanie ważne, bo z tym człowiekiem jest naprawdę źle.

– A może wie pani przypadkowo, jak mogłabym się z nim skontaktować? – spytała Jane, nie mając nadziei na pozytywną odpowiedź. Ale Mrs Hedger zaskoczyła ją przyjemnie.

– Mam jego numer telefonu – powiedziała z triumfem. – On po prostu wcisnął mi do ręki kartkę, na której był zanotowany. Mam ją natychmiast oddać Mr Crane’owi, kiedy tylko go zobaczę, w razie gdyby tego numeru już nie miał.

Jane zanotowała numer i nazwisko, które przeliterowała jej Mrs Hedger. H-a-m-z-a-h C-h-a-l-i-d. Uzgodniły, że Mrs Hedger zadzwoni, kiedy tylko natknie się w domu Crane’ów na jakąś wskazówkę. Jane doszła zaś do wniosku, że teraz i tak już wszystko jedno, kiedy wróci do domu, i wybrała numer Mr Chalida.

Odebrał telefon natychmiast – mówił tak cichym i nieśmiałym głosem i tak niewyraźnie wymienił swoje nazwisko, że Jane musiała poprosić o powtórzenie.

– Mr Chalid? Hamzah Chalid?

– Kto mówi?

– Funkcjonariuszka śledcza Scapin z Yorkshire Police.

Aby Chalid nie wpadł w przerażenie na słowo „policja” i nie zakończył natychmiast rozmowy, Jane dodała szybko:

– Chodzi o rodzinę Crane’ów.

– Czy coś im się stało? – spytał Mr Chalid wyraźnie zaalarmowany.

– Nic na to nie wskazuje. Ale musimy natychmiast skontaktować się z Mr albo Mrs Crane i od ich sąsiadki w Kingston dowiedzieliśmy się, że pan także czeka na nich oboje.

– Na Jonasa Crane’a. Muszę koniecznie porozmawiać z Jonasem Crane’em.

– A o co chodzi? – dopytywała się Jane.

– Chodzi o pewien film. On pisze scenariusz filmu. O mnie. Ja byłem... – Hamzah Chalid urwał, po czym zniżył głos tak bardzo, że Jane musiała mocno przycisnąć do ucha słuchawkę, aby go zrozumieć. – Ja siedziałem w więzieniu.

W Iraku. Byłem więźniem Saddama Husajna.

– Rozumiem – odpowiedziała Jane. – I Mr Crane chciał o tym nakręcić film? O pańskim losie?

– On ma napisać scenariusz. A film chciała nakręcić firma producencka. TV Adventure.

Jane nie знаła tej firmy, ale to o niczym nie świadczyło. Bardzo rzadko znajdowała czas, aby móc coś obejrzeć w telewizji, a jeśli już to robiła, nigdy nie zwracała uwagi na to, kto wyprodukował dany film.

Uderzyło ją to, że Chalid użył czasu przeszłego. A ponieważ mówił bardzo dobrze po angielsku, nie sądziła, że to był tylko przypadek.

– *Chciała?* Mówi pan, że ta firma *chciała* nakręcić film? Czy coś się tymczasem zmieniło?

W głosie Chalida brzmiała rozpacz.

– Dowiedziałem się o tym w ostatnim tygodniu. Oni teraz nie chcą już kręcić tego filmu. Twierdzą, że temat nie jest interesujący!

Saddam Husajn nie żył już od ośmiu lat. Należał do historii. Czy ktokolwiek interesował się jeszcze jego ofiarami?

– I o tym chce pan porozmawiać z Mr Crane'em?

– On mi obiecał. On mi obiecał, że ten film powstanie! Wie pani, spotkało mnie wiele strasznych rzeczy. Innych ludzi też. Byliśmy torturowani. Grożono nam śmiercią. Co jakiś czas stawiano nas pod murem i przeprowadzano pozorowane egzekucje. Może pani sobie wyobrazić, jak się człowiek wówczas czuje? Co przeżywa?

Jane sądziła, że nawet nie będzie w stanie sobie tego wyobrazić, ale już na samą myśl o tym poczuła dreszcz przerażenia. Hamzah Chalid bez wątpienia przeżył rzeczy straszne i nawet w czasie rozmowy telefonicznej słysząc było, jak bardzo cierpi z powodu swej traumy. Ale ta sprawa chyba nie miała nic wspólnego ze zniknięciem rodziny Crane'ów.

– Oni zwiążali mi ręce z tyłu i powiesili mnie za nadgarstki – mówił Chalid. – Wisiałem tak całymi godzinami. W końcu ramiona wyskoczyły mi ze stawów.

Jane zrozumiała, że Mr Chalid próbuje się uwolnić od swej traumy, rozmawiając o tym z każdym, kto chciał tego słyszeć. Nawet z zupełnie obcą, nieznaną mu policjantką, która całkiem przypadkowo do niego zadzwoniła. Musiał w jakikolwiek sposób uwolnić się od ciężaru wspomnień i obrazów, które go prześladowały, i szukał solidarności społeczeństwa, które go otaczało. To ono miało zobaczyć to wszystko choćby na filmie, zrozumieć i mu współczuć. Bo jeśli Hamzah zostanie z tym sam, to oszaleje. Ale nikt nie chciał wysłuchiwać jego opowieści. Nikt nie chciał nic wiedzieć o koszmarze, który cały czas mu ciążył. Jane domyślała się, że ludzie z otoczenia Chalida zaczęli się od niego odsuwać. Jego niekończące się monologi i ciągle powtarzane opisy tortur przerażały

wszystkich. W rezultacie Chalid był zupełnie osamotniony w konfrontacji z horrorem swojej przeszłości, co wpędzało go coraz bardziej w spiralę ponurych myśli. Prawdopodobnie przeżywał wszystko od nowa każdego dnia i każdej nocy.

I widział w tym filmie nadzieję i szansę dla siebie.

– Prawdopodobnie Mr Crane nie może decydować o tym, czy ten film będzie kręcony czy nie – powiedziała Jane.

– Wiem, wiem, ale... Tu coś się nie zgadza, wie pani? W TV Adventure powiedziano mi, że on dowiedział się jeszcze przed swoim urlopem, że nic z tego nie będzie. A ja go poznałem i on mnie rozumiał. Był poruszony moją historią. Bardzo poruszony.

„Kto nie byłby poruszony” – pomyślała Jane.

Chalid, jak gdyby czytając w jej myślach, mówił dalej:

– On był niesłychanie poruszony. I chciał mi pomóc. Byłem dla niego kimś ważnym. Czulem to.

– Mr Chalid, ja...

– Mieliliśmy się spotkać zaraz po jego urlopie. Miał napisać konspekt scenariusza i mieliśmy o tym porozmawiać. Jestem pewien, że zadzwoniłby od razu. Aby mi powiedzieć, że... że z tego wszystkiego nic nie będzie.

Głos Chalida zadrżał.

– On nie zniknąłby tak po prostu.

Tego Jane nie była taka pewna. Nikt nie lubił przekazywać złych wiadomości, a już zwłaszcza takiemu człowiekowi jak Hamzah Chalid, który doznał tyle zła, że każdy z całego serca życzyłby mu jakiejś odmiany losu na dobre. Jane doskonale rozumiałaby fakt, że Jonas nie chciał mu przekazywać niepomyślnych wieści.

– Sąsiadka nie jest całkiem pewna, że to rzeczywiście miał być ósmy czerwca, kiedy Crane'owie planowali wrócić do domu – powiedziała.

– Ale ja jestem tego pewien – oświadczył Chalid. – Absolutnie pewien. Wtedy natychmiast to zanotowałem. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Jane mu wierzyła. Przy takim zaangażowaniu na pewno nie mógłby się pomylić. Chalid czekał od tygodni na ósмого czerwca, a przynajmniej na kolejne dni, od kiedy zaś otrzymał odmowę, robił to z rozpaczliwą wręcz intensywnością.

– Dlaczego właściwie pani go szuka? – spytał nagle Chalid.

Jane uznała, że nie ma potrzeby podawać mu wszystkich szczegółów.

– Mam do niego tylko jedno pytanie – powiedziała wymijająco. – I jest to związane z innym dochodzeniem.

– Rozumiem – odpowiedział Hamzah Chalid, choć nie za bardzo było to coś, co można było zrozumieć.

– Widział pan Mr Crane'a tuż przed jego urlopem?

– Widziałem go ostatnio dwudziestego ósmego kwietnia. To było

jednocześnie nasze pierwsze osobiste spotkanie. Później mieliśmy jeszcze tylko jedną rozmowę telefoniczną. I on powiedział, że nie będzie go do ósmego czerwca i że potem się spotkamy.

– A czy wspomniał coś na temat celu swojego wyjazdu?

– Nie, niestety nie. Mówił o swoim stresie i że lekarz doradził mu na jakiś czas oderwać się od wszystkiego.

– Może zna pan przypadkowo nazwisko tego lekarza?

– Nie, nie wymienił go, a ja nie pytałem. Nie sądziłem, że to może okazać się ważne.

– Ten lekarz wcale nie musiał wiedzieć, dokąd oni pojechali – uspokoiła go Jane, bo głos Chalida znów zaczął się niebezpiecznie załamywać. – Mr Chalid, dam panu swój numer telefonu. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy przypomni pan sobie cokolwiek. Nieważne, czy będzie się to panu wydawało istotne czy nie. Proszę po prostu dać mi znać.

Chalid obiecał, że to zrobi, i zanotował numer, który podyktowała mu Jane.

– Gdyby go pani znalazła, to proszę mu powiedzieć, że proszę, aby do mnie natychmiast zadzwonił – poprosił. – To bardzo, bardzo ważne dla mnie.

– Na pewno będę o tym pamiętać – obiecała Jane.

Pożegnali się, ale zanim zakończyli rozmowę, Hamzah dodał nieoczekiwanie:

– Funkcjonariuszko Scapin, jestem pewien, że coś się stało. Wiem o tym. Myślę, że Mr Crane jest w niebezpieczeństwie. Musi go pani koniecznie odnaleźć. Tu się coś nie zgadza. Nie zadzwonił do mnie, a zrobiłby to bez względu na okoliczności. Coś mu przeszkadza to zrobić, i musi to być coś bardzo złego.

5

Po przybyciu do hotelu Caleb Hale zgłosił się w recepcji, ale nie poszedł od razu do swojego pokoju, lecz dowiedział się, gdzie mieszka Kate Linville. Jej pokój znajdował się na tym samym piętrze, lecz w drugim końcu korytarza. Caleb zapukał do drzwi i za pół minuty stanęła w nich Kate. Caleb dostrzegł, że w jakiś sposób się zmieniła, co stwierdził już po południu, kiedy spotkali się na chwilę na terenie opuszczonej fabryki. Tylko początkowo nie wiedział, na czym ta zmiana polegała. Teraz widział, że stało się to za sprawą jej włosów. Były modnie przycięte i lekko rozjaśnione i ku jego zdumieniu było to przyczyną wyraźnej różnicy. Kate wyglądała na młodszą, rysy jej twarzy nie były tak ostre i pełne smutku.

Ale jednocześnie sprawiała wrażenie wściekłej. A to zaskoczyło Caleba bardziej niż fakt, że najwyraźniej odwiedziła fryzjera i zainwestowała w swój wygląd kilka ładnych funtów. Caleb spodziewał się, że Kate będzie wstrząśnięta i pełna poczucia winy, bo przecież znów wtrąciła się do prowadzonego śledztwa.

Ale z drugiej strony stwierdził, że już po południu w żadnym wypadku nie sprawiała wrażenia zbitej z tropu, lecz raczej rzeczowej.

I tym razem Kate od razu przeszła do ofensywy.

– Ja muszę wiedzieć, dlaczego mój ojciec był z tą kobietą – powiedziała ostro bez żadnych wstępów. – I muszę też wiedzieć, dlaczego się z nią rozstał. Muszę wiedzieć, ile ona dla niego znaczyła. Dlatego chciałam się zobaczyć z Normanem Dowrickiem – bo on coś na ten temat wiedział. Był wtajemniczony w ich romans. Zebrałam na ten temat sporo informacji. To moje prawo, aby prześledzić tę historię, bo tu chodzi o mojego ojca, który nie żyje i z którym nie mogę już niczego wyjaśnić. Nie mogę zrezygnować z ustalenia prawdy o nim i o Melissie Cooper tylko dlatego, że pan za każdym razem czuje, jakobym wchodziła w pańskie kompetencje, jeśli tylko podejmę jakiegokolwiek kroki w tym kierunku.

Caleb stał ciągle w korytarzu przed drzwiami i czuł się nieprzyjemnie. Najprawdopodobniej oni oboje nie byli jedynymi gośćmi w tym hotelu.

– Czy mogę wejść? – zapytał, kiedy Kate przerwała i odetchnęła głęboko, najwyraźniej zamierzając kontynuować. – Nie powinniśmy omawiać tych spraw, stojąc na progu.

Cofnęła się, a on wszedł za nią do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Stali naprzeciw siebie w spartańsko urządzonej sypialni.

– Problemem jest to... – zaczął Caleb, ale ona mu przerwała.

– Problemem jest to, że za każdym razem kiedy zaczynam grzebać w prywatnym życiu mojego ojca, to mam do czynienia z morderstwem. Ale zamiast ciągle denerwować się z tego powodu, powinien pan wreszcie wyciągnąć z tego właściwe wnioski.

– A co to za wnioski, pani zdaniem?

– Że zarówno śmierć mojego ojca, jak i śmierć Melissy Cooper, a także Normana Dowricka ma coś wspólnego z prywatnym życiem mojego ojca. Pan zaś próbuje rozpaczliwie poprzez coraz śmielsze konstrukcje myślowe uczynić zasadniczym punktem całej sprawy zawód mojego ojca i osobę Denisa Shove'a, mającą z tym ponoć jakiś związek. A przecież w gruncie rzeczy nie może pan dowieść związku Denisa Shove'a ani z Melissą Cooper, ani też z Normanem Dowrickiem, który dawno już nie pracował, kiedy mój ojciec schwytał Shove'a i postawił go przed sądem.

– To moja sprawa, aby to oceniać.

– Ciekawa więc jestem, jak teraz będzie pan próbował nagiąć sprawę do rzeczywistości. Czy naprawdę nie wydaje się to panu dziwne? Mój ojciec miał romans z kobietą i dwanaście lat po zakończeniu całej historii oboje nie żyją. Zamordowani w okrutny sposób. A teraz znaleźliśmy jedyne go człowieka z otoczenia mojego ojca, który wiedział o tej sprawie – również martwego.

– Zapomina pani o paru innych punktach widzenia – powiedział Caleb. – A także o znajomych i rodzinie Melissy Cooper. W tę sprawę było wtajemniczonych więcej osób. Jej obaj synowie. I przyjaciółki, o których powiedział mi starszy syn. Dowrick nie był jedynym, który wiedział o wszystkim. Tu przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba, od której mogła pani otrzymać wszystkie informacje na temat Dowricka. To jego była żona, Susannah Dowrick. Ona także była zorientowana.

– Myślę jednak, że Norman wiedział więcej – odparła Kate. Była teraz nieco spokojniejsza. – Ma pan rację, sporo osób było poinformowanych o tym romansie. Ale zgodnie z wiedzą Susannah Dowrick oraz przyjaciółek Melissy z Whitby...

Caleb spojrział na nią ostro, ale ona wytrzymała to spojrzenie, nawet nie mrugnawszy okiem, i spokojnie mówiła dalej:

– Zgodnie z tym rozstanie mojego ojca z Melissą wydaje się dość tajemnicze i nikt nie wie, dlaczego właściwie do niego doszło. Musiało wydarzyć się coś, co oboje utrzymywali potem w wielkiej tajemnicy. Jednak Susannah Dowrick przypuszcza, że jej mąż wiedział, co to było. Jako jedyny. Ale nie chciał z nią o tym mówić. I odsunął się też od mojego ojca. Coś bezpowrotnie naruszyło tę przyjaźń. I osobliwe jest to, że według słów Susannah Norman miał mojemu ojcu za złe, że ten wiele lat oszukiwał moją matkę, lecz wówczas mimo wszystko byli sobie bliscy. Ciągłe byli przyjaciółmi. A potem mój ojciec rozstał się z Melissą, grzecznie wrócił do żony i nagle wtedy właśnie Norman wypowiedział mu swą przyjaźń. W momencie kiedy wszystko wreszcie było znów w porządku. Dlaczego? Co się stało, co poprzedziło to rozstanie? Tu tkwi sedno problemu, Caleb. Jeżeli się tego dowiemy, to będziemy wiedzieć, kto i dlaczego zamordował tych troje.

– Hm... – mruknął Caleb z wahaniem. Wszystko brzmiało tak, że nie mógłby temu od razu zaprzeczyć, ale czuł się dziwnie zakłopotany i nie bardzo wiedział dlaczego. Jeśli jednak miał być wobec siebie szczerzy, to przyczyną był fakt, że nagle wydał się sobie kimś w rodzaju początkującego praktykanta, który właśnie otrzymał wsparcie w pracy dochodzeniowej – i to w dodatku od kobiety, która była młodsza od niego i miała niższy stopień służbowy. O której wiedział, że wśród kolegów w żadnym wypadku nie uchodziła za orła w swoim fachu. Nie mówiąc już o tym, że nie potrafiła się uporać nawet ze swoim życiem.

– Trochę się pan zagalopował, upierając się przy osobie Denisa Shove’a, Caleb – dodała Kate.

Jeszcze i to. Poczul dzieciinną chęć dokuczenia jej w ramach odwetu.

– Nie powinna pani ciągle doszukiwać się błędów u innych, Kate. I byłoby lepiej, gdyby uważała pani na tę dziewczynkę, która mogłaby być naszym świadkiem. To doprawdy majstersztyk, żeby tak po prostu pozwolić jej uciec.

Kate aż drgnęła, a Caleb natychmiast pożałował swoich słów. Ta uwaga nie

była ani słuszna, ani sprawiedliwa. Za przebieg wszystkich wydarzeń na terenie opuszczonej fabryki odpowiedzialni byli koledzy z Liverpool Police.

– Przepraszam – powiedział szybko – to było głupie z mojej strony. Niczego nie zrobiła pani źle, Kate.

Dostrzegł jednak, że ona sama i tak robiła sobie wiele wyrzutów.

– Byłam tak oszołomiona. Pokładałam wiele nadziei w rozmowie z Normanem Dowrickiem. Szukałam go przez dwa dni... I znaleźć go tak... Nie potrafiłam od razu myśleć trzeźwo. Nie myślałam o tym, że Grace mogłaby uciec. Kiedy jakoś przyszałam do siebie... było za późno. Zniknęła, jakby ją ziemia pochłonęła.

– Mnie też mogłoby się to zdarzyć – przyznał uczciwie Caleb. – Prawdopodobnie rzeczywiście się bała, że będzie miała kłopoty z powodu tego wózka. Absurdalny pomysł, nikt nie mógł przewidzieć, że ma aż tak nierówno pod sufitem.

Kate przytaknęła, nie sprawiała jednak wrażenia przekonanej.

– Są jakieś ustalenia? – spytała. – Na temat, gdzie i jak został zamordowany Dowrick?

Caleb rozmawiał już z pracownikami ekipy zabezpieczenia śladów, przy czym pierwsze wnioski przekazano mu z dużym zastrzeżeniem.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa zmarł w wyniku utopienia. I przypuszczalnie miejsce odnalezienia to jednocześnie miejsce zbrodni – powiedział.

Kate zadygotała z przerażenia.

– Utopiono go w tej beczce? Na tym opuszczonym terenie fabrycznym?

– Wygląda na to, że tak. I miało to miejsce dość dawno temu, według pierwszych ocen w styczniu lub lutym tego roku. To będzie można uściślić.

– Czyli mniej więcej w tym czasie, kiedy zamordowano mojego ojca.

– Tak. Może niedługo przed tym.

– Bezbronny człowiek. Który siedział na wózku i był sparaliżowany. Kto mógł coś takiego zrobić?

– Koledzy z Liverpool Police podejrzewają pewien gang młodzieżowy. Ponoć jest tam kilka band, po których można się spodziewać, że nie zawahają się przed taką zbrodnią. Nie możemy zapominać o tym aspekcie. Oczywiście byłby to niesłychany przypadek, ale nie jest całkiem wykluczone, że morderstwo Normana Dowricka nie ma nic wspólnego z tymi zbrodniami w Yorkshire.

– Naprawdę uważa pan to za możliwe, Caleb?

– Mówię tylko, że nie możemy wykluczać żadnego z wariantów.

Caleb uśmiechnął się po raz pierwszy, od kiedy wszedł do tego pokoju.

– To pani słowa, Kate. Wygłaszała je pani nieraz, mając na myśli mnie.

Nie mogła temu zaprzeczyć.

– To prawda.

Spojrzał na zegarek.

– Już po dziewiątej. Nie jadłem niczego od śniadania. Zaraz obok hotelu jest pub, może dostaniemy tam coś jeszcze? Pójdzie pani ze mną?

– Nie jestem głodna.

– Pani na pewno też nie jadła niczego od wielu godzin.

– Podobnie jak pan. Od śniadania.

– A więc chodźmy razem coś zjeść. Niechże pani choć raz będzie dla siebie miła, nie tak surowa. Bardziej troskliwa po prostu.

Niemal widział, że gorączkowo szukała w myślach jakiejś wymówki. Jak gdyby czymś najgorszym na świecie było pójście z nim na godzinę do pubu po to, aby coś zjeść i wypić piwo.

Nie. Jeśli chodzi o niego – tylko wodę.

– Zawrzyjmy pokój, dobrze? – powiedział. – Jeżeli to właśnie jest powodem pani wahania.

– Pokój? A jesteśmy w stanie wojny?

– Może nie całkiem w stanie wojny. Ale jak na razie cały czas próbowaliśmy schodzić sobie z drogi. Ja widziałem w pani kogoś, kto wtrąca się do śledztwa i narusza pewne granice i zasady. Przepraszam, jeśli byłem szorstki wobec pani. Rozumiem teraz, jak głęboko i jak bardzo osobiście jest pani zaangażowana w tę sprawę, jak ważne jest dla pani ustalenie prawdy o ojcu. Nie może pani przecież nic poradzić na to, że wszystko, czego próbuje się pani o nim dowiedzieć, tak często pokrywa się z moim dochodzeniem. To nie pani wina.

– Miło, że pan to mówi, Caleb. Mimo to... wołałabym zostać tutaj. Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym po prostu tylko spać.

Zastanawiał się, dlaczego nagle stała się dawną Kate. Zamkniętą w sobie, odizolowaną od świata. Nieobecną. Zupełnie inną niż przed kilkoma minutami, kiedy nie wahała się otwarcie okazać mu swego gniewu. Podobała mu się ta jej strona, której w tym momencie nie ukrywała. A ona sama wydała mu się nagle pewna siebie, świadoma swojej wartości, nieprzebierająca w słowach, a wściekłość pozwoliła jej przewyciężyć wszystkie bariery i opory. Przynajmniej na chwilę. Teraz znów stała przed nim tamta Kate, zamknięta szczelnie w swoim pancerzu, z którego niemal nie wysuwała głowy – jak jakiś nieufny, przygnieciony ciężarem złych doświadczeń zółw.

Może miało to związek z jego osobą. Wspólna kolacja w pubie kryła niebezpieczeństwo opuszczenia w rozmowach tematów czysto zawodowych. Przypomniał sobie noc, kiedy była kompletnie pijana i bez ogródek zażądała, aby poszedł z nią do łóżka. Może to wspomnienie ciągle było dla niej nieprzyjemne. Dla niego było całkowicie zamkniętym epizodem, efektem zbyt dużej ilości alkoholu. Chciałby powiedzieć Kate, że ani nie miał do niej żalu, ani też nie myślał

o niej źle. Ale założył, że poczułaby się jeszcze bardziej niemiło, gdyby zaczął o tym mówić.

Powiedział więc tylko:

– W porządku. Pójdę więc sam coś zjeść. Niech pani śpi dobrze, Kate.

Kiedy już wychodził z pokoju, dodała nieoczekiwanie:

– Musimy ją koniecznie znaleźć. Jak najszybciej.

Odwrócił się.

– Kogo?

– Grace. Ona jest w niebezpieczeństwie.

– Myśli pani, że...

– Myślę, że być może ona rzeczywiście za dużo widziała. I wie, kto jest sprawcą. I ma naprawdę dużo do stracenia, przede wszystkim jeśli się okaże, że sprawca ma na sumieniu także mojego ojca i Melissę Cooper. Trzynastoletnia dziewczynka może spowodować, że morderca dostanie dożywocie. Kiedy to do niego dotrze, zrobi wszystko, aby znaleźć Grace przed nami.

– Porozmawiam z policjantką prowadzącą śledztwo tu na miejscu – odparł Caleb. – Wiadomość o Grace nie może się przedostać do prasy.

– Tak, ale musimy liczyć się z tym, że coś jednak wyjdzie na jaw. Na osiedlu Grace wie o tym już zbyt wielu ludzi.

Przytaknął. Kate miała rację.

– Co pani proponuje? – spytał.

– Musimy wyjaśnić miejscowej policji, o co tu chodzi. A oni muszą zaangażować wszystkie siły, aby ją odnaleźć.

– Jak mówiłem, porozmawiam o tym jutro.

Zawahał się, stojąc w drzwiach.

– Może jednak pójdzie pani coś zjeść? Tak nie lubię siedzieć samemu w pubie.

Potrząsnęła głową.

– Nie.

„Ona sama jest dla siebie przeszkodą – pomyślał Caleb. – Ona sama, nikt inny. Nic dziwnego, że nie może się wydostać z tego zakłętego kręgu samotności”.

Ale była – musiał to przyznać niemal niechętnie – znakomitym śledczym. Dziwne, że w Scotland Yardzie nikt tego nie zauważył. Miała jasny umysł, znakomicie funkcjonującą intuicję i dobrą znajomość ludzi.

I w tej chwili miała zupełną rację: teraz chodziło przede wszystkim o to, aby odnaleźć Grace Henwood.

Środa, 11 czerwca

1

Tego środowego ranka Stella wiedziała już, że Jonas umrze, jeśli ona nie podejmie energicznych działań, aby jak najszybciej zabrać go z tego więzienia i zawieźć do lekarza. Prędzej czy później umrą wszyscy troje, bo zapasy żywności, a przede wszystkim wody zmniejszyły się drastycznie. Przy oszczędnym gospodarowaniu mogli z trudem przetrwać ten dzień i z ledwością następny. Oszczędne gospodarowanie oznaczało jednak, że przede wszystkim Stella rezygnowała ze swoich racji i że musiała je jeszcze bardziej ograniczać Sammy'ego. Jonas, który aż płonął z gorączki, potrzebował każdej kropli wody, którą byli w stanie odjąć sobie od ust. Ale w tej chwili nawet to nie mogło go uratować. Bez lekarza nie przeżyje do końca tygodnia.

Stella czuwała przy nim całą noc, zwilżała jego wysuszone wargi i co godzinę wlewała mu do ust trochę wody. Ale Jonas najwyraźniej nawet tego nie zauważał. Nie rozumiał już, co się do niego mówiło, a kiedy oddychał, z jego piersi wydobywało się głośne charczenie. Stella przypuszczała, że dostał zapalenia płuc. W dodatku rana na jego brzuchu śmierdziała coraz intensywniej zgnilizną i rozkładem.

Z rosnącym przerażeniem zmieniała mu co dwie do trzech godzin opatrunek i w czasie tej procedury Jonas wił się z bólu mimo tego, że był prawie nieprzytomny. Stella zaprzestała czyszczenia rany, bo bardziej potrzebowali wody do picia, ale tymczasem pojawił się rozległy stan zapalny, a mięśnie wokół rany, które dotychczas były zdrowe, teraz nabrały niebieskoczarnego zabarwienia. W każdym usuwanym opatrunku pojawiała się coraz więcej ropy. A materiały opatrunkowe także się kończyły – szybciej, niż spodziewała się Stella. I na tym froncie poniesie wkrótce klęskę...

I nawet w tych zimnych, stęchłych i wilgotnych murach powoli robiło się coraz cieplej. Na dworze znów zaczął się kolejny słoneczny dzień, co Stella stwierdziła rankiem po mozolnej wspinaczce do okna. Akurat teraz właśnie zaczął się okres upałów, który miał potrwać dłużej, co w tej części kraju nie było zjawiskiem zbyt częstym. W kamiennej, dawno niewietrzanej szopie powietrze było wręcz ciężkie, a ponieważ promienie słońca od rana do wieczora padały na jej dach, wewnątrz zrobiło się też nieznośnie gorąco. Wybite okno było zbyt małe, aby docierała tu odpowiednia ilość świeżego powietrza, i to nawet w czasie godzin nocnych, gdy na zewnątrz robiło się nieco chłodniej i bardziej znośnie. Stella miała wrażenie, że kiedy oddycha, do jej płuc i oskrzeli przedostaje się jedynie drapiący i mocno drażniący kurz. Poza tym wiele razy w życiu zdarzało jej się mieć

pragnienie, na przykład podczas uprawiania sportu albo kiedy zjadła coś ostrego. Zwykle szybko udawało się je ugasić, ale nawet jeśli musiała dłużej poczekać, to nigdy nie dotarła do takiego momentu, kiedy stałoby się ono męczarnią. Dawniej tylko sądziła, że kiedykolwiek zdarzyło jej się cierpieć z powodu pragnienia. Teraz zrozumiała, co to naprawdę znaczyło. Myśl o wodzie stawała się coraz bardziej obsesyjna i chwilami pochłaniała jej umysł bardziej niż troska o Jonasa i o Sammy'ego. A przecież od czasu do czasu piła po kilka kropel wody. Męczarnia miała się dopiero zacząć, kiedy ostatnia butelka będzie pusta. Stella czytała w książkach opisy scen, kiedy ludzie pod wpływem pragnienia porzucali wszystkie zasady i normy cywilizowanego zachowania, a w końcu opanowywało ich szaleństwo. Ogarniało ją przerażenie na myśl o tej chwili, kiedy straci nad sobą panowanie na tyle, że wypije sama tę resztkę wody, która im pozostanie, nie oddając ani kropli Jonasowi i Sammy'emu. A przecież to ona była w tej chwili najsilniejszą osobą w tej przeklętej szopie. Życie ciężko rannego mężczyzny i małego chłopca zależało teraz całkowicie od jej gotowości do pomocy i poświęceń. Ciągle jeszcze była w stanie zrezygnować ze swoich potrzeb, aby wesprzeć ich obu, bo byli od niej słabsi. Ale w którymś momencie przyłapała się na tym, że wzięła do ręki jedną z ostatnich butelek z wodą poza ściśle wyznaczoną porą, w której wydzielala skąpe porcje jedzenia i picia, po czym rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że przecież Jonas w gorączce i tak niczego nie zauważy, a Sammy właśnie zasnął, leżąc z książką na kocu. Pokusa wypicia choćby jednego łyku była niesłychana. Stella otworzyła już butelkę, kiedy Jonas zaczął głośno jęczeć z bólu, dzięki czemu zmusiła się do opanowania. Przeraziło ją to, co chciała zrobić, wstydziła się sama przed sobą, ale jednocześnie wiedziała, że wstyd jest luksusem, na który wkrótce nie będzie mogła sobie pozwolić. Fizyczne cierpienie pociągało za sobą rezygnację z wszelkich zasad moralnych.

Tego ranka musiała też uświadomić sobie fakt, że Denis Shove nie zamierza dotrzymać swojej obietnicy. Dotychczas stale próbowała sobie wmawiać, że wprawdzie był on przestępcą, ale na pewno nie człowiekiem złym i pozbawionym wszelkich skrupułów. I nie skaże na pewną śmierć całej rodziny, nie jest przecież kimś aż tak dalece pozbawionym resztek sumienia. A teraz Stella zrozumiała, jak bardzo się łudziła: Denis był w sytuacji równie dramatycznej jak ona i działał według tych samych zasad. A im większą presję odczuwał, tym mniejsza była jego gotowość do brania pod uwagę czyjegoś położenia, bez względu na to, jak było trudne. Shove uciekał przed policją, jego zdjęcie znalazło się we wszystkich okolicznych gazetach, był ścigany i przypuszczalnie ciągle jeszcze nie znalazł miejsca, w którym mógłby się ukrywać przez dłuższy czas. I zapewnienie sobie bezpieczeństwa było teraz jedynym motorem jego działań. Może więc wobec tego w ogóle wykreślił rodzinę Crane'ów ze swoich myśli. Potrzebował swojej energii na coś zupełnie innego.

„Musimy pomóc sobie sami – myślała Stella. – Inaczej będziemy zgubieni”.

Jonas rzeczywiście wskazał jej jedyną drogę, jeszcze zanim dostał tak wysokiej gorączki, że w ogóle nie mógł myśleć, nie mówiąc już o działaniu. Stella łamała sobie głowę, próbując wymyślić jakąś alternatywę, i doszła w końcu do wniosku, że jej nie było.

I że ma coraz mniej czasu do stracenia.

Przedpołudnie spędziła, plotąc linę, na której zamierzała opuścić Sammy’ego z okna. Znalazła w szopie kilka starych łańcuchów, których można było do tego użyć, ale przekonała się, że jest ich za mało. Bez żalu zdjęła więc własne dżinsy, bo było dostatecznie ciepło, by mogła chodzić z gołymi nogami. Wykorzystała też dżinsy Jonasa. Na szczęście materiał był na tyle miękki, że pozwalał się dobrze wiązać, a odcinek o długości czterech nogawek na tyle długi, że lina była prawie gotowa.

– Co ty robisz, mummy? – spytał Sam, który przez dłuższy czas w milczeniu przyglądał się matce. Dawniej nigdy nie czekał tak długo, aby zadać pytanie. Teraz jednak był apatyczny i o wiele słabszy. Zanim Stella zdążyła odpowiedzieć, dodał zmęczonym głosem: – Tak bardzo chce mi się pić.

– Dostaniesz pić – i to zanim wyruszysz na swoją wielką przygodę.

– Jaką przygodę?

– Jesteś tu teraz najważniejszą osobą. Kimś, kto może nas wszystkich uratować.

– To policja już nie przyjedzie? – spytał rozczarowany.

Wizja przybycia oddziałów specjalnych i helikopterów w akcji szturmujących szopę ciągle jeszcze pobudzała jego wyobraźnię i podtrzymywała go na duchu.

Stella sprawdziła węzły. Użyła wszystkich sił, aby zaciągnąć je naprawdę mocno.

– Wiesz, policja może przyjechać za późno. A daddy bardzo źle się czuje. Nie możemy już dłużej czekać.

Sammy spojrzał na ojca.

– Czy daddy umrze?

Stella starała się, aby w jej głosie i słowach słychać było optymizm.

– Nie, on wyzdrowieje. Ale musi się znaleźć u lekarza i... musimy coś zrobić, aby nastąpiło to szybko.

Sammy skinął głową.

– To co mam robić?

– To będzie dla ciebie naprawdę interesująca i ciekawa przygoda – zapewniła go Stella. – Jesteś jedyną osobą, która zmieści się w tym okienku. Widzisz je?

Sammy spojrzał do góry. Także dla niego było jasne, że ani jego ojciec, ani

też matka nie precyzyjnie się przez tak mały otwór.

– Widzę.

– Myślisz, że uda ci się przez to prześlizgnąć? A potem opuściłabym cię na linie.

Sammy natychmiast zapalał entuzjazmem do tego pomysłu.

– Często robimy w naszej grupie ćwiczenia we wspinaniu się po linie. Ja zawsze jestem najlepszy!

– No to wszystko powinno pójść gładko. Przewiążę cię końcem liny w pasie i powoli opuszczę.

Ta metoda była zdaniem Sammy'ego poniżej jego godności.

– Mogę sam zejść po linie w dół! Umiem się wspinać!

– To jest zbyt niebezpieczne, bo okienko jest dość wysoko. A poza tym nie mamy takiej liny, jaką znasz, szorstkiej i dającej się dobrze uchwycić. Zrobiłam ją z miękkich materiałów i mogłaby wyslizgnąć ci się z rąk.

Sammy sarknął coś z niechęcią, ale był zbyt podekscytowany czekającym go zadaniem i możliwością zostania bohaterem całej sytuacji, aby teraz klócić się z matką.

– To co mam robić, kiedy już będę na dole? – spytał.

– Po pierwsze, musisz sprawdzić, czy w jakiś sposób będziesz mógł się dostać do domu. Może Therese i Neil zostawili gdzieś otwarte drzwi albo okno. A może w ogóle niczego nie zamykali, co byłoby najlepsze.

– Okay.

– A potem spróbujesz znaleźć klucze do tej szopy i sprawdzisz, czy dasz radę otworzyć drzwi. Byłoby dobrze, gdybyś mógł nas wypuścić.

– A jeśli nie będę mógł?

– To może poszukasz mojego telefonu i spróbujesz wezwać pomoc. Z góry powiedziałabym ci, na jakie liczby masz kliknąć.

– A jak nie znajdę telefonu?

– To będziemy musieli zrobić wszystko, abyś znalazł wodę. To będzie szczególnie ważne.

– To możemy zaczynać? – spytał podekscytowany Sammy.

Stella pogładziła go po włosach.

– Jesteś bardzo dzielnym chłopcem. Teraz wypijesz jeszcze jeden duży łyk wody i zjesz kawałek chleba. A potem ruszasz w drogę.

Spojrzała na Jonasa. Z trudem oddychał, walcząc o każdy haust powietrza.

Nie. Nie miała wyboru.

Niecałe trzydzieści minut później Sammy był na dole i ściągał z siebie linę, którą Stella przewiązała go w pasie. Trwało to dłuższą chwilę, zanim zdołał się z niej uwolnić. Stella stała na górze w oknie i ocierała sobie pot z czoła. Wszystko poszło dobrze, ale była wykończona. Musiała się uporać z panicznym wprost

lękiem i obawą, że Sammy spadnie, a cała akcja kosztowała ją resztki sił. Dziwiło ją, jak ciężkie może być tak małe ciało, które wisiało na drugim końcu liny, a wszystkie działania utrudniało dodatkowo to, że stała na chwiejnej wieży i nie miała się czego chwycić. Musiała nie tylko trzymać z całej siły linę, ale też przez cały czas utrzymywać równowagę. Gdyby upadła, Sammy poleciałby w dół jak kamień.

Ale teraz chłopiec odwiązał w końcu linę i popatrzył do góry.

– A teraz co? – spytał.

– Teraz pobiegiesz do domu. Spróbuj najpierw otworzyć drzwi wejściowe. Potem drzwi prowadzące do domu od strony ogrodu. Zobacz, czy gdzieś nie ma otwartego okna. Zobacz, czy w ogóle będzie można jakoś dostać się do środka!

Sammy skinął głową i ruszył w stronę domu. Stella ze swego miejsca mogła dojrzeć tylko jego szczyt. Nie widziała już syna, który próbował otwierać poszczególne drzwi, ale spostrzegła, że ciągle jeszcze kurczowo zaciska w dłoniach drugi koniec liny. Uspokoiła się nieco. Nie sprawdziła się jej najgorsza obawa, że Sammy spadnie. Od tej chwili mieli naprawdę realne szanse ratunku.

Trwało to dość długo, zanim Sammy znów pojawił się w polu jej widzenia. Sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– Tam jest wszystko pozamykane, mummy!

Jasna cholera.

– Jesteś pewien?

– Tak, wszystko zamknięte, nawet okiennice.

Nadzieja, że wolność jest tak blisko, znikła nagle jak zdmuchnięta świeczka. Skoro Sammy nie wszedł do środka, nie było dostępu do telefonu. Ani też do klucza od szopy. Dopiero teraz dotarło do niej, że także okiennice były zamknięte.

– Okiennice? Zamknęli nawet okiennice?

– Tak.

No tak, czyli kolejny punkt skreślony. Sammy być może mógłby zbić szybę w oknie jakimś ciężkim przedmiotem. Ale z okiennicami sobie nie poradzi. Stellę ogarnęła rozpacz, ale i wściekłość na myśl o tym, że Neil zrobił to, aby nie mogli wezwać pomocy, gdyby jednak zdołali się uwolnić z tej szopy.

– Co mam teraz robić, mummy? – spytał Sam.

Stella popatrzyła na samochody, którymi Therese i Neil przyjechali tutaj zaledwie przed kilkoma dniami. Teraz wydawało jej się, że było to całe wieki temu.

– Zobacz, czy samochody są otwarte i czy coś znajdziesz w środku. Może telefon albo klucz.

Należało spróbować wszystkiego, choć nadzieja była bardzo niewielka, bo Neil działał zadziwiająco rozważnie. Mało prawdopodobne, że popełnił jakiś błąd.

Tym razem mogła obserwować poczynania Sammy'ego. Poczula

wzruszenie, widząc, z jakim zapałem chłopiec wykonywał kolejne zadania. Dopiero co skończył przecież zaledwie pięć lat i Stella była zdania, że zachowuje się wspaniale jak na swój wiek. Nie był niegrzeczny, nie marudził. Robił to, co mu polecała, bez słowa sprzeciwu. Może fakt, że był tak dziecinny, trochę go chronił przed koszmarem, który ich spotkał. Nie rozumiał jeszcze powagi ich sytuacji. Jeśli mummy mówiła, że wszystko będzie dobrze, to on temu wierzył.

Widziała, jak Sammy próbował otwierać kolejne drzwi oraz klapę bagażnika samochodu Neila, ale auto było zamknięte. Więcej szczęścia chłopiec miał przy samochodzie Therese: drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Chłopiec wydał okrzyk triumfu.

– Mummy! Są otwarte!

– Wspaniale! Świetnie! – okazywała więcej euforii, niż rzeczywiście odczuwała. Otwarte auto niewiele mogło im pomóc. – Teraz przeszukaj je dokładnie. Wszystkie schowki w drzwiach. Przed siedzeniem pasażera. I bagażnik też. Sprawdź pod wykładzinami. Wszystko.

Sammy od razu zabrał się do pracy. Stella w tym czasie próbowała zredukować swoje oczekiwania do zera. Bo nawet gdyby w stacyjce tkwił kluczyk, co było wysoce nieprawdopodobne, to Sammy przecież nigdzie tym autem nie pojedzie. Nie należało się też spodziewać, że Terry zostawiła w środku telefon. A klucz do domu? Niby dlaczego miałyby go zdeponować w samochodzie?

Jedyne, co w końcu znalazł Sammy, to było pół butelki oranżady oraz batonik Milky Way. Zawsze coś. Przybiegł z tym po szopę i ustawił się pod oknem.

– Mummy! Spójrz!

– No popatrz, to jednak coś znalazłeś – powiedziała Stella, starając się, aby zabrzmiało to radośnie, co nie przyszło jej łatwo. Miała nadzieję, że Sammy nie dostrzeże jej bezradności i rozpaczy. Jedno i drugie łatwo się udzielało, a Sammy potrzebował teraz swojej dziecinnej ufności. Bardziej niż kiedykolwiek.

– Mogę to zjeść? – spytał.

– Oczywiście. Wypij wszystko, co jest w butelce, i zjedz czekoladę. To daje siły.

Sammy nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Skrzywił się wprawdzie, kiedy zaczął pić oranżadę – nietrudno było sobie wyobrazić, że była zleżała, ciepła i wstrętna w smaku, ale chłopiec był zbyt spragniony, aby wybrzydzać. Na wpół roztopionego milky waya pochłonął dwoma kęsami. Przy okazji wysmarował sobie czekoladą całą buzię i przez chwilę wyglądał jak zwykły szczęśliwy chłopiec, który cieszy się słońcem i pięknym dniem. Stella kazała mu poczekać i zeszła na dół, aby zajrzeć do Jonasa. Stwierdziła, że było nadal tak samo źle. Wlała mu do ust kilka kropel wody i przez chwilę trzymała w rękach jego suchą, rozpaloną gorączką rękę. Rana śmierdziała wprost strasznie, ale o wiele gorszy wydał się Stelli charczący oddech. Miała nadzieję, że Jonas nie za bardzo był świadomy swego cierpienia.

Znów wspięła się po swej prowizorycznej drabinie do okna. Podjęła już decyzję.

Najpierw poprosiła Sammy'ego, aby raz jeszcze obszedł dom oraz szopę dookoła i sprawdził, czy gdzieś na ścianach obu budynków nie ma zewnętrznego kranu. Mogłaby wówczas opuścić w dół puste butelki i Sammy by je napełnił. Ale także i tu nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei. W czasie dwóch tygodni pobytu na farmie nie dostrzegła nigdzie takiego kranu. Choć z drugiej strony nie bardzo zwracała na to uwagę. Może gdyby jednak chciała podlać rosnące na zewnątrz rośliny... Ale ponieważ przez większość czasu padał deszcz, taki problem w ogóle nie zaistniał.

Trwało to dość długo, zanim Sammy znów pojawił się pod oknem. Najwyraźniej szukał bardzo dokładnie i sprawiał wrażenie mocno rozczarowanego.

– Nigdzie nie ma kranu.

– W porządku, to nie problem. – Stelli wydało się to wręcz katastrofą, ale narzekanie nie miałooby sensu. I tak straciła sporo czasu i teraz nie mogła już sobie pozwolić ani na chwilę zwłoki.

– Uważaj, Sammy, musisz być teraz naprawdę dużym, dzielnym chłopcem, dobrze? Musisz sprowadzić dla nas pomoc. Ktoś musi zawiadomić policję, aby nas stąd wydostali.

– Tak?

– Pamiętasz przecież drogę, którą jechaliśmy na zakupy albo na wycieczkę, prawda? Wiesz, że trzeba wejść na wzgórze i potem dojść do wąskiej polnej drogi, tak?

– Tak, wiem.

– A wiesz, w którą stronę musisz nią pójść, żeby dotrzeć do tej dużej drogi, którą częściej jeżdżą samochody?

– Wiem.

– Odważysz się tam pójść i spróbować zatrzymać samochód?

– Obcy samochód?

Sammy, jak większość dzieci, wiedział od rodziców, że obce samochody i ich kierowców należy omijać szerokim łukiem i natychmiast uciekać, gdyby ktoś zatrzymał się tuż koło niego i chciał z nim porozmawiać.

– Tak, obcy samochód. Wiem, normalnie nie powinieneś robić tego pod żadnym pozorem, ale w tym momencie nie mamy wyboru.

Stella wiedziała, że to też było ryzyko, ale miała nadzieję, że los nie zgotuje im kolejnej katastrofy pod postacią pedofila jeżdżącego po torfowiskach. Musiała jakoś umocnić się w przekonaniu, że choć według bulwarowej prasy dookoła aż się roiło od wszelkiej maści zбочeńców, to jednak większość ludzi nie podnosiła ręki na małe dzieci.

– Musisz poprosić kierowcę, aby zawiadomił policję. I musisz pokazać mu

drogę na farmę. Myślisz, że dasz sobie radę?

Sam po raz pierwszy od chwili, w której znalazł się na dole pod oknem, zdradzał objawy lęku i niepokoju. Zjeżdżanie na linie na podwórze przed szopą, próby otwarcia kolejnych drzwi i okna, przeszukiwanie samochodu, szukanie wody – to przerażało go mniej. Wszystko działo się przecież w bezpośredniej bliskości rodziców. Jednak oddalać się coraz bardziej od farmy i rodziców, iść pustą drogą i walczyć z uczuciem osamotnienia – to było coś zupełnie innego.

– A jak przyjdzie zły człowiek?

– Żaden zły człowiek nie przyjdzie. Na pewno natkniesz się na sympatycznych ludzi, którzy nam pomogą.

– A jeśli nie?

Stella dostrzegła, że Sammy zamierzał się wdać w niekończący się dialog, co robił zawsze wtedy, kiedy chciał zyskać trochę czasu i wymigać się od jakiegoś niemiłego zadania. Należało do nich sprzątanie swojego pokoju lub nakrywanie do stołu. W takich wypadkach potrafił zadać tysiące pytań, z których większość zaczynała się słowami: *A jeśli tak? A jeśli nie?*

Teraz musiała stłumić to w zarodku.

– Obiecuję ci, że tak nie będzie. Jesteś przecież mądrym i dużym chłopcem. I chciałbyś przecież, aby daddy otrzymał pomoc, prawda?

– Tak, ale...

– Sammy, musisz się pośpieszyć. Nie możemy teraz długo rozmawiać. Daddy czuje się naprawdę źle. Poradzisz sobie. Nie wysyłałabym cię nigdzie, gdybym wiedziała, że sobie z tym nie poradzisz.

To oczywiście nie było prawdą. Nie wysyłałaby go nigdzie, gdyby miała jakikolwiek wybór. Odczuwała lęk i wręcz przerażenie na myśl o tym, że coś mogłoby pójść nie tak. Taki mały chłopczyk sam w drodze na tych pustych torfowiskach... Tu błędzili nawet doświadczeni turyści i znajdowano ich po długich poszukiwaniach. Sammy'ego nikt nawet by nie szukał.

– Musisz tylko iść ciągle szosą – nakazała mu surowo. – Nie wchodź na żadne łąki ani polne drogi. Tylko szosą. Wówczas nic się nie może stać i z całą pewnością prędzej czy później nadjedzie jakieś auto.

W jego wpatrzonych w nią oczach widziała wyraźny lęk i poczuła ukłucie w sercu, że musi wywierać na niego aż taką presję.

– Sammy, proszę, idź już.

– Mummy...

– Idź już! – powiedziała surowym głosem, czego Sammy nie znał zupełnie. Bolało ją, kiedy zobaczyła, jak drgnął przestraszony.

– Proszę, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Chciałaby mu dać choć trochę wody, ale ostatnią butelkę, napełnioną w trzech czwartych, potrzebowała dla Jonasa. Miała nadzieję, że oranżada dodała

niecو sił dziecku i choć trochę zaspokoila pragnienie. I że Sammy w miarę szybko napotka ludzi.

A Sammy najwyraźniej zaczynał pojmować, że w tej chwili żadne negocjacje nie pomogą. Machnął więc ręką na pożegnanie – Stelli napłynęły łzy do oczu – i zniknął za rogiem szopy. Dzielny mały mężczyzna który, mimo że tak okropnie się bał, to jednak chciał wykonać powierzone mu zadanie. Stella niczego tak nie pragnęła w tej chwili, jak tego, aby okno szopy wychodziło na drugą stronę, bo wówczas widziałyby drogę prowadzącą aż do szosy. Teraz dziecko zniknęło jej z oczu natychmiast. Wpatrywała się w upalne niebo bez żadnej chmurki i usilnie walczyła ze łzami.

Sammy nie płakał. Ona też tego nie chciała.

Zeszła mozolnie w dół, w półmrok panujący w szopie, napełniła kubek wodą i powoli wlała ją Jonasowi do ust. Z trudem przelykał, a część cennego płynu wyciekała mu z kącików ust. Oddychał ciężko, miał oczy głęboko zapadnięte w ciemnych i zaczerwienionych oczodołach.

Powtórzyła mu słowa, które przed chwilą powiedziała do Sammy'ego:

– Wszystko będzie dobrze.

Prawdopodobnie nie usłyszał, i może tak było lepiej.

Mógłby zauważyć, że ona sama w to nie wierzyła.

2

„W pochmurne, brzydkie dni musi tu być okropnie” – pomyślała Terry.

Siedziała na brzegu i wpatrywała się bezmyślnie w lekko pomarszczoną wodę Loch Ryan, morskiej zatoki wciętej mocno w głąb zachodniego wybrzeża Szkocji. Górzysty krajobraz przechodził w łagodną wyżynę, im bliżej wody tym coraz bardziej płaską. Terry uważała, że tę okolicę cechowało jedynie przygnębiające wprost osamotnienie. Ona i Denis – z trudem przyzwyczajala się do jego nowego imienia, dla niej to wciąż był Neil – jeździli po Szkocji wzdłuż i w poprzek pozornie bez celu, i jedyne, co Terry odczuwała w czasie tej podróży, to było osamotnienie. Jednak otaczający ich wspaniały, dziki i jej zdaniem bardzo romantyczny krajobraz nie zasługiwał na miano przygnębiającego. Za to tu, w Cairnryan, Terry czuła nieznośny wręcz ciężar w sercu. Wprawdzie świeciło słońce, ale było wietrznie, a okoliczne domy wydawały jej się wyjątkowo nędzne i opuszczone. Wszystko sprawiało wrażenie jakiejś końcowej stacji, za którą jest tylko pustka. Przejechali z jednego końca kraju na drugi. Znów byli nad morzem i tym razem był to koniec podróży po Szkocji.

Może to właśnie tak ją smuciło: że miała opuścić swój kraj.

Miasto Cairnryan posiadało port, a Terry nie lubiła portów. W czasie całej podróży odnosiła wrażenie, że Denis nie ma żadnego planu i chce jedynie mieć za sobą jak najwięcej mil dzielących go od farmy w Yorkshire, gdzie zostawili ciężko

rannego mężczyznę, jego żonę i małe dziecko.

Moje małe dziecko – mówiła do siebie co rusz Terry, ale też próbowała za wszelką cenę odepchnąć od siebie tę myśl. Wiedziała, że Sammy i jego rodzice nie będą w stanie przetrwać zbyt długo w tej szopie oraz że woda i jedzenie szybko się skończą. Czy gdyby nie była kochającą matką, to też czułaby odpowiedzialność? Czy wówczas nie zastanawiałaby się bez przerwy, gdzie i jak będzie mogła znaleźć okazję, aby zawiadomić o wszystkim policję? Czy nie byłoby to normalne?

Zamiast tego pozwoliła, aby Denis jeszcze w Yorkshire pozbawił ją telefonu, wyrzucając go po prostu w trawę za ogrodzenie wielkiego pastwiska dla krów, aby uniemożliwić jego zlokalizowanie przez policję. Nie odważyła mu się przeciwstawić. W ogóle nie miała odwagi zrobić czegokolwiek dla Crane'ów. Straciłaby Denisa, gdyby to zrobiła. Już sama myśl o tym napęłniała ją takim przerażeniem, że natychmiast porzucała wszelkie rozważania o planie ratunkowym dla rodziny Crane'ów.

„Już niedługo zawiadomimy policję” – uspokajała się ciągle, bo Denis przecież jej to przyrzekł. A do tego czasu oni jakoś przetrwają.

Raz czy dwa w czasie tej szaleńczej podróży po Szkocji zapytała Denisa o dalsze plany, ale on za każdym razem jedynie beształ ją opryskliwie.

– Zamknij gębę, dobrze? Do szalu mnie doprowadzasz tym wypytywaniem! Zobaczysz, co chcę zrobić.

Terry nie odważyła się więc pytać dalej, ale tym bardziej miała nadzieję, że Denis wkrótce wyjaśni jej, co zamierza. Zostawili przecież Crane'ów w naprawdę trudnej sytuacji i nie mogli zwlekać zbyt długo.

Od wczorajszego wieczoru mieszkali w malutkim *bed & breakfast* na odcinku wybrzeża między Cairnryan a Stranraer. Zameldowali się tam jako Mrs i Mr Crane. Zabrali paszporty Stelli i Jonasa oraz całą gotówkę, jaką znaleźli na farmie. Denis na widok paszportów wpadł niemal w euforię, ale Terry cały czas myślała o tym, aby nie znaleźć się w sytuacji, w której będą musieli się wylegitymować. Oboje w ogóle nie przypominali osób, których fotografie znajdowały się w paszportach.

Tego ranka przy śniadaniu Denis zawiadomił ją, że następnego dnia opuszczają Anglię.

– Z Cairnryan sześć razy dziennie wychodzą promy do Belfastu. Popłyniemy jednym z nich. Może najlepiej będzie w południe. Im mniej ludzi na promie, tym bardziej będziemy niezauważalni.

– Do Belfastu?

– A potem dalej w głąb Republiki Irlandii. Tam nikt nas nie będzie szukał.

– A z czego będziemy tam żyć?

– Kelnerką możesz być tak samo tam jak tu. A ja na pewno też znajdę jakąś pracę.

W jego głosie znów słyhać było rozdrażnienie, bo zadała mu aż dwa pytania. Milczała więc przez resztę czasu, kiedy jedli śniadanie. Potem Denis poszedł do portu, aby zabukować przejazd promem, a ona usiadła na brzegu i po prostu pogрузyła się w rozmyślaniach. Ponurych rozmyślaniach. Żeby dostać jakąkolwiek pracę, należało się wylegitymować. Za Denisem rozesłano list gończy, za nią, Terry, przypuszczalnie też. Oznaczało to, że właściwie nie mogli się podawać za Denisa Shove'a i Therese Malyan ani tu, ani w Irlandii. Gdyby jednak dalej podawali się za Stellę i Jonasa Crane'ów, to co się stanie z prawdziwymi Crane'ami? W momencie kiedy Denis zawiadomi anonimowo policję i wyśle ją na farmę, ich paszporty i samochód staną się bezużyteczne. Oboje będą po prostu spaleni.

I co potem?

Podniosła głowę, bo nagle wydało jej się, że jakiś cień przesłonił słońce. Nad nią stał Denis. Właśnie wrócił z portu.

– Jutro tuż przed dwunastą – powiedział. – Mam już bilety.

– Jak długo trwa przeprawa?

– Trochę ponad dwie godziny. A więc niezbyt długo.

Denis wpatrzył się nieruchomym wzrokiem w wodę.

– Ależ będę się cieszył, kiedy znajdziemy się na promie.

Trochę ponad dwie godziny... Będą w Belfaście około drugiej. Pięć dni minęło od chwili, w której po raz ostatni zaopatrzyli rodzinę Crane'ów w wodę i trochę żywności.

Terry zebrała całą odwagę, choć wiedziała, że natychmiast popsuje Denisowi w miarę niezły nastrój.

– Neil... Denis, kiedy już będziemy po tamtej stronie, w Irlandii... to zrobimy coś, żeby pomóc Jonasowi i Stelli?

Jego twarz zachmurzyła się natychmiast.

– Na razie potrzebny nam jest samochód. A jak chcesz dojechać do Dublina z Belfastu?

– Pociągiem.

– Pociągiem, pociągiem... Samochód jest w każdym razie bardziej sensowny – stwierdził Denis, nie uzasadniając bliżej swojego zdania. – Nie rób teraz żadnych numerów, Terry. W tej chwili potrzebny nam jest samochód. A także paszporty. Za wcześniej, aby zawiadamiać policję.

– Ale Jonas jest ciężko ranny. Właściwie powinien być od razu trafić do lekarza. A Stella i Sammy... Denis, oni wkrótce nie będą mieli nic do jedzenia. A przede wszystkim do picia.

– Zostawiliśmy im dość zapasów. Wystarczy im jeszcze na jakiś czas.

Terry zastanawiała się, czy on wierzy w to, co mówi. Może sobie po prostu wmawiał.

– Myślę, że to im nie wystarczy. To jest...

Zrobił nagły krok w jej stronę i wykonał ruch, jak gdyby chciał ją uderzyć. Skuliła się instynktownie i osłoniła twarz rękami.

– Skończ już, do cholery, z tym gównem! – ofuknął ją. – Mamy zupełnie inne problemy. Nie mogę się nimi teraz zajmować i nie mogę też znieść twojego marudzenia. Albo będziesz cicho, albo dostaniesz w gębę, jasne?

Skinęła głową wystraszona. Wiedziała, że z jego strony nie były to tylko czcze pogrożki. Chciałaby mieć tyle odwagi, aby powiedzieć mu, co ona o tym myśli: że przez swoją ucieczkę tylko pogorszył sprawę i sam siebie wpakował w poważne tarapaty. Ją, Terry, zapewniał wielokrotnie, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem policjanta w Scalby w lutym, a ona mu wierzyła. I była przekonana, że mogłby wyjaśnić sprawę, aby to podejrzenie już na nim nie ciążyło. Terry żyła w niezachwianej pewności, że w państwie prawa nie można być pociągniętym do odpowiedzialności za coś, czego się nie zrobiło – to przekonanie Denis skwitował szyderczym śmiechem, kiedy ośmieliła się je wyrazić. Dlatego teraz nie ważyła się mówić niczego w tym rodzaju. Choć oczywiście sytuacja była zupełnie inna: Denis tymczasem napadł rodzinę, postrzelił człowieka, uwięził troje ludzi w szopie, pozostawiając ich własnemu losowi. W trakcie ucieczki przed karą za coś, czego nie zrobił, popełniał przestępstwa. I teraz bez wątpienia groził mu pobyt w więzieniu.

– No, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze – powiedział pojednawczo.

Skinęła głową niezbyt przekonana. Sytuacja rodziny Crane'ów przypuszczalnie nie wyglądała dobrze, ale Terry nie odważyła się już o tym wspomnieć. Nastrój był wystarczająco niepewny.

– Ale ja wcale nie wyglądam tak jak Stella na zdjęciu w paszporcie – zdobyła się na uwagę.

Denis popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

– Rzeczywiście. Głównie z powodu koloru włosów. Stella jest blondynką, a ty masz czarne włosy. Potrzebujemy dla ciebie peruki.

– Peruki? A nie mogę po prostu zafarbować sobie włosów?

– To też jest jakieś wyjście. Pojedziemy więc do Stranraer i się rozejrzemy. Mogłabyś zafarbować włosy wieczorem w naszym pokoju, ale musisz darować sobie śniadanie. Gospodyni nie może cię zobaczyć, bo kolor twoich włosów rzuciłby jej się w oczy.

Terry skinęła głową, po czym wstała, strzepnęła kilka źdźbeł trawy ze spodni i poszła za Denisem do samochodu. Jechali wąską drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża, woda migotała w słońcu z prawej strony, z lewej widzieli od czasu do czasu owce wędrujące po wzgórzach. Denis był w dość dobrym nastroju, nastawił radio na cały regulator i nawet zaśpiewał kilka piosenek. Kiedy dotarli do Stranraer, znalazł od razu w samym centrum miejsce na parkingu. W miasteczku

niewiele się działo. Denis rozejrzył się uważnie.

– Patrz, tam jest drogeria Boots. Możesz zerknąć, czy mają farbę do włosów.

– A ty?

– Ja muszę iść do banku. Chcę wziąć pieniądze. Spotkamy się przy samochodzie.

Od chwili wydarzeń na farmie Denis po raz pierwszy zostawił Terry samą w mieście. Przez cały czas miał ją ciągle na oku. Terry czuła, że Denis jej nie ufał, obawiał się, że będzie próbowała wykaraskać się jakoś z tej sytuacji. Niezwykle było już to, że zostawił ją w hotelu, kiedy poszedł kupować bilety, a jeszcze bardziej niezwykle, że zostawiał ją teraz w mieście bez żadnego nadzoru. Terry zadawała sobie pytanie, czy jego zaufanie do niej rosło. A może on po prostu wystawiał ją na próbę?

A teraz zabrał kluczyki do samochodu i zniknął w poszukiwaniu oddziału banku. Terry nie mogła więc uciec – w każdym razie nie samochodem.

Weszła do drogerii. Czuła się niepewnie, miała jakieś nieokreślone obawy i chciałyby, aby Denis był z nią. Może jej zdjęcie z listu gończego było już w gazetach? Prawie nie ważyła się podnieść głowy i spojrzeć innym klientom w oczy. Ciągle się spodziewała, że za chwilę ktoś chwyci ją za ramię i zacznie wołać policję. Poczowała ulgę, mogąc się schronić między regałami z różnymi produktami do włosów. Odetchnęła głęboko. Była przecież w Szkocji. Może poszukiwano jej, ale w Anglii, może nawet tylko w Yorkshire. Ale najprawdopodobniej nie na zachodnim wybrzeżu Szkocji.

A może jednak?

Była naiwna? Czyż dziś ukrycie się w jakimkolwiek zakątku nie było wręcz niemożliwe? W świecie oplecionym gęstą siecią wszelkich mediów? Czy Denis sobie czegoś nie wmawiał, sądząc, że w Irlandii będzie mógł gdzieś zniknąć, tak że nikt go nigdy nie znajdzie?

A wszystkie te wątpliwości stopiły się w jedno zasadnicze pytanie: czy ich ucieczka kiedykolwiek się skończy?

Terry walczyła z depresyjnym nastrojem, który ją ogarnął. W swoim obecnym położeniu nie powinna za wiele rozmyślać, bo to prowadziło po prostu do rozpacz. Ucieczka przed policją u boku nieobliczalnego mężczyzny, który z dnia na dzień coraz bardziej pograżał się w kryminalnych tarapatkach i pociągał za sobą kobietę. Terry niemal słyszała słowa Stelli: „Niechże się pani z nim rozstanie, bo on zniszczy pani życie”.

Łatwo powiedzieć. Ona nie była tak silna jak Stella. Nie miała innego wsparcia niż Denis.

Wzięła opakowanie farby do włosów – napis obiecywał, że po zastosowaniu uzyska się kolor złoty blond – i z nisko opuszczoną głową poszła w stronę kasy. Denis wcisnął jej do ręki kilka banknotów jednofuntowych. Pieniądzy akurat

wystarczyło, nawet dostała kilka monet reszty i wyszła z drogerii.

Pierwszym, co zobaczyła po wyjściu, była budka telefoniczna po drugiej stronie ulicy.

Od kiedy wszyscy, nawet dzieci w szkole podstawowej, posiadali telefony komórkowe, budka telefoniczna, niegdyś nieodłączny element angielskiej ulicy, stanowiła nader rzadki widok. Ale jednak były. Tutaj, w samym centrum Stranraer, znajdował się właśnie jeden z ostatnich wspaniałych egzemplarzy.

Prawa ręka Terry zacisnęła się na kilku monetach reszty. Był to wyjątkowo korzystny moment: była sama, tuż przed jej nosem stała budka telefoniczna i miała w ręku kilka monet.

Mogła zatelefonować.

Denis najwyraźniej potrzebował więcej czasu, aby pobrać pieniądze z banku, albo bank był dalej od parkingu, niż sądził. Prawdopodobnie zdążyłaby zadzwonić. Tylko mała wskazówka na temat położenia farmy i parę słów o ludziach, którzy są tam uwięzieni i potrzebują pomocy.

Policja będzie wtedy miała numer rejestracyjny samochodu. Nie będziemy mogli jutro wjechać na prom. A nasze paszporty też zrobią się bezużyteczne.

Ale czy to nie byłoby w rezultacie najlepsze rozwiązanie? Może w tych okolicznościach udałoby się jej przekonać Denisa, aby sam zgłosił się na policję.

To już nie ma sensu, Denis. Może nie miało go od początku. Nie możemy przecież wiecznie żyć pod fałszywym nazwiskiem. Idź dobrowolnie na policję. Tak, prawda, strzeliłeś do Jonasa. Ale miejmy nadzieję, że on żyje. A więc nie będzie to potraktowane jak morderstwo. Będziesz musiał wprawdzie iść do więzienia, ale to też szybko minie. Potem będziemy mogli zacząć nowe życie.

Rozejrzała się dookoła. Nigdzie nie było widać Denisa.

Przeszła na drugą stronę ulicy. Ręka była teraz tak mokra od potu, że monety mało nie wyślizgnęły jej się z palców. Miała zupełnie miękkie kolana ze strachu.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę zdradzić Denisa.

Mimo tego dudniącego w głowie głosu podeszła do budki telefonicznej, jak gdyby przyciągała ją tam jakaś magiczna siła.

Uratuje trzy ludzkie życia. Życie Jonasa, Stelli i Sammy'ego. Sammy był jej dzieckiem. Denis musi to zrozumieć.

Tylko że on tego nie zrozumie, i tak naprawdę Terry o tym doskonale wiedziała. Denisowi we wszystkich sprawach chodziło tylko o własną korzyść. I w ogóle nie można było u niego dostrzec choćby śladu gotowości do zrozumienia innych ludzi.

Otworzyła drzwi budki. Miała niemal nadzieję, że jakaś siła wyższa ułatwi jej decyzję. Aparat mógł być na przykład zepsuty. Zniszczony przez bandy chuliganów, których bawiło niszczenie dobra publicznego.

Jednak nic na to nie wskazywało. Wszystko wydawało się być w najlepszym

porządku.

Powoli wyciągnęła rękę po słuchawkę.

„Mogę w taki sposób opisać położenie farmy, że będą musieli długo szukać – pomyślała – i wtedy jednak zdążymy przedostać się autem do Belfastu”.

W tym momencie na jej ramieniu zacisnęła się ręka – twarda jak stal. Nie słyszała, żeby ktoś wchodził do środka, nie poczuła choćby najlżejszego ciągu powietrza. Denis brutalnie wyciągnął ją tyłem z budki telefonicznej i obrócił tak, że mimowolnie wydała okrzyk bólu.

Miała przed sobą jego wykrzywioną z wściekłości twarz.

– Tak myślałem – powiedział cicho, z trudem hamując wybuch gniewu. – Tak przypuszczałem, że lepiej nie spuszczać cię z oka.

– Denis...

– I co – do kogo chciałaś zadzwonić? Do glin, tak? I wszystko byś im opowiedziała, żeby mogli nas wyłowić z tego promu, kiedy już się na nim znajdziemy?

– Nie, nie chciałam im wszystkiego mówić, naprawdę. Chciałam tylko, żeby ktoś pojechał na farmę i uratował Jonasa i jego rodzinę. Naprawdę, Denis, chciałam...

– Jesteś aż tak głupia? – spytał ciągle tym niebezpiecznie stłumionym głosem. I nagle dosłownie ryknął: – Czy ty nie masz mózgu?! Naprawdę nie masz ani odrobiny mózgu w tej swojej parszywej małej głowie?! Tysiąc razy ci to już tłumaczyłem, prawda? Tysiąc razy ci mówiłem, że oni złapią nas natychmiast, kiedy tylko się dowiedzą, że jedziemy samochodem Crane’ów! Że my...

Kilku przechodniów przerażonych jego głośnymi wrzaskami zatrzymało się i zaczęło uważnie patrzeć w ich stronę. Denis zniżył głos.

– Jesteś głupią małą zdrajczynią, wiesz?

Widziała, z jakim trudem się opanowywał. Gdyby byli sami, pięść Denisa już dawno pokiereszowałaby jej twarz. Na szczęście nie mógł sobie pozwolić na to, aby jeszcze bardziej zwrócić na siebie uwagę przechodniów, wiedział też, że jutro na promie podbite oko Terry albo pęknięta warga czy też posiniaczona twarz przyciągnęłyby ciekawskie spojrzenia.

– Przepraszam – powiedziała Terry i zaczęła płakać.

– Przepraszam, przepraszam. Gdybym nie pojawił się w porę, już mielibyśmy na karku policję. Ale to, że wylądowałbym w więzieniu, najwyraźniej w ogóle cię nie obchodzi, co?

– Obchodzi, ale chciałam tylko pomóc Jonasowi i Stelli. Proszę, Denis. Nasz problem to tylko to auto. Odstaw je gdzieś po prostu, a potem spróbujemy jakieś inne...

Przerwał jej szorstko.

– Jesteś tak naiwna, że można zwątpić. Inne auto... A skąd je wziąć, ukraść?

Kupić? I na jakie nazwisko zarejestrować? A poza tym... – Urwał nagle.

– Co takiego? – dopytywała się Terry.

– Mam inny cholerny problem. Nie mogę wydobyć pieniędzy z banku.

– Dlaczego?

– Konto zablokowane. Czyli już zauważyli.

Terry była kompletnie zaskoczona i nic nie rozumiała.

– Co takiego? Co zauważyli?

– Nieważne, zapomnij. Teraz naprawdę nie mam nerwów do twoich eskapad.

Tkwimy po uszy w gównie, bo w dodatku nie mamy żadnej kasy, nie zamierzam więc martwić się jeszcze o Crane'ów. Niech sami wymyślą, jak sobie poradzić w tej sytuacji. Ja też muszę to robić.

– A twój spadek...? – odważyła się odezwać Terry, ale on fuknął natychmiast:

– Zapomnij o spadku! Zapomnij, rozumiesz?

Puścił ją wreszcie, odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Terry dreptała tuż za nim.

– Kupiłam farbę do włosów – powiedziała, starając się pozyskać jego względy.

– Ciesz się, że to zrobiłaś, zanim zauważyłem blokadę konta. Wówczas nie moglibyśmy sobie na to pozwolić.

– Ale wtedy...

– Wtedy po prostu zawiązałaś sobie chustkę na głowie, czy ja wiem co. Nie możesz choć przez chwilę trzymać gęby na kłódkę?

W czasie drogi powrotnej do Cairnryan Terry nie ważyła się odezwać ani słowem. Denis był w ponurym nastroju. Kiedy przyjechali pod *bed & breakfast*, zaparkował samochód na podwórzu, wyłączył silnik i przez chwilę wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w jakiś punkt przed sobą. W końcu odwrócił głowę i popatrzył na Terry. Jego oczy były przerażająco zimne i pozbawione wszelkiego wyrazu.

– Nie pójdę znów za kratki. Nigdy. A jeśli przez ciebie będę narażony na niebezpieczeństwo, jeśli jeszcze jeden jedyny raz spróbujesz mnie oszukać czy wykiwać, to cię zabiję. Jasne?

Przełknęła ślinę w zupełnie suchych ustach i skinęła głową.

– Tak. Jasne.

– I nie chcę więcej słyszeć nazwiska tej rodziny. Czy to też jasne?

Znów skinęła głową.

– To idź teraz na górę i zafarbuj te swoje przeklęte włosy – powiedział, po czym wysiadł z samochodu i ruszył, zostawiając ją samą.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ona posłusznie pobiegnie za nim.

Jane jeszcze nigdy nie widziała, aby szef miał tak szarą, zapadniętą twarz. Nigdy nie widziała, aby kiedykolwiek był tak zmęczony.

I tak bardzo przybity.

Caleb wrócił z Liverpoolu wczesnym popołudniem. Musiało się tam wydarzyć coś ważnego, co stało się powodem jego złego samopoczucia.

Jane dowiedziała się o tym, kiedy poprosił ją i Stewarta do swojego biura.

– Musimy się pożegnać z Shove'em – oświadczył krótko Caleb. Miał dziwnie matowy i zgaszony głos. – Prawdopodobieństwo, że to on stoi za morderstwem Richarda Linville'a i Melissy Cooper, należy ocenić jako bardzo niewielkie.

– Sir? – powiedział pytającym głosem Stewart. Zaskoczył go ten nagły zwrot, bo Caleb Hale miesiącami upierał się przy osobie swego ulubionego podejrzanego.

Jane za to spodziewała się tego. Wiedziała, że scena dokładnie taka jak ta dzisiejsza prędzej czy później się rozegra. I mogłoby się to wydarzyć wcześniej. Tymczasem trwało zadziwiająco długo.

Caleb wyglądał tak, jak gdyby nie spał ubiegłej nocy ani minuty.

– Wszystko wskazuje na to, że morderstwo byłego sierżanta śledczego Normana Dowricka należy łączyć bezpośrednio ze zbrodniami popełnionymi na Linville'u i Cooper. Zgodnie z dotychczasowymi ustaleniami lekarza sądowego został on nawet zamordowany jako pierwszy, jeszcze przed Linville'em. Dowrick przez wiele lat był najbliższym współpracownikiem i przyjacielem Linville'a, ale już od ponad roku nie pracował w policji, kiedy wydarzyła się ta historia z Shove'em. W tamtej chwili nie był już nawet przyjacielem Linville'a. Obaj wówczas nie kontaktowali się już z sobą. Według mnie nie ma żadnego powodu, dla którego Shove miałby jechać do Liverpoolu i topić Dowricka w beczce z wodą.

Stewart zbladł nagle.

– On rzeczywiście został utopiony?

– Tak. Są ślady, które wskazują na to, że się rozpaczliwie bronił. Ale nie miał żadnych szans.

– Czy do czegoś takiego nie potrzeba kilku sprawców?

– Niekoniecznie. Dowrick był od pasa w dół całkowicie sparaliżowany. Jeden napastnik z pewnością mógł się z nim uporać.

Po tych słowach na krótko zapadło ciężkie milczenie. W końcu Jane zapytała rzeczowo:

– A na jakiej podstawie wnioskuje pan, że zbrodnię popełnioną na Dowricku należy łączyć z pozostałymi dwiema?

Caleb podsumował krótko: dwoje ludzi, oboje z różnych względów bliscy Linville'owi, zostało, podobnie jak on sam, zamordowanych w okrutny sposób.

Wszystkich trzech zbrodni dokonano w ciągu pół roku.

– Oczywiście przypadki zdarzają się zawsze – dodał. – Istnieje więc jakieś niewielkie prawdopodobieństwo, że to ów złowrogi młodzieżowy gang odpowiada za śmierć Dowricka, zgodnie z ulubioną teorią naszej koleżanki z Liverpoolu. Ja jednak uważam, że o wiele większe jest prawdopodobieństwo związku między tymi trzema zbrodniami.

– Sądziłeś swego czasu, że jeśli sprawcą miałby być Shove, to dlatego że satysfakcję sprawiało mu mordowanie osób, które były bliskie dla Linville'a – powiedziała Jane. – Ta myśl moim zdaniem jest raczej potwierdzona poprzez śmierć Dowricka, a nie wyeliminowana.

– Ale jeśli chodzi o Melissę Cooper, to mieliśmy problem już z faktem, że została zamordowana w kilka miesięcy po śmierci Linville'a. Czyli śmierć Melissy nie mogła być ciosem dla Linville'a. A jeśli chodzi o Dowricka: czy to by coś dało, gdyby dowiedział się o tym Linville? Prawdopodobieństwo, że zwłoki Dowricka w ogóle zostaną kiedykolwiek znalezione w jednej z tych hermetycznie zamkniętych beczek na terenie opuszczonej fabryki, było praktycznie od początku równe zeru. Czyli celem tej zbrodni nie było pogwałcenie czy też przerażenie Linville'a.

– Jeśli więc porzucimy osobę Shove'a jako głównego podejrzanego – odezwał się milczący dotychczas Stewart – to praktycznie rezygnujemy też z zamiaru szukania sprawcy wśród ludzi, których Linville ujął jako przestępców w ciągu swej pracy zawodowej. Bo te osoby wobec tego nie wchodzi już w grę, tak samo jak Shove.

– To znaczy, że ograniczamy nasze poszukiwania do tych przypadków, w których Dowrick i Linville razem udowodnili winę sprawcom wykrytych przez nich przestępstw – dorzuciła Jane.

Caleb potrząsnął głową.

– To nie pomoże nam rozwiązać sprawy Melissy – oświadczył.

Na to nikt nie potrafił już nic odpowiedzieć. W końcu Stewart zapytał po dłuższej chwili:

– Sir, dokąd więc pan zmierza? Co pan zamyśla?

Caleb potarł oczy zmęczonym ruchem.

– Wczoraj rozmawiałem z Kate Linville. Postanowiła udać się na poszukiwanie Normana Dowricka, bo spodziewała się zdobyć od niego informacje na temat romansu jej ojca i Melissy Cooper. My, niestety, nie widzieliśmy w nim ważnego dla nas informatora.

Stewart spuścił oczy, wyraźnie zawstydzony. Caleb to zauważył.

– Proszę sobie nie robić wyrzutów, Robercie. Ja też wtedy zdecydowałem, że osoba Dowricka i jego wiadomości do niczego nam się nie przydadzą. I skoncentrowałem się wyłącznie na Denisie Shovie. W efekcie tego myślałem

i działałem tylko w jednym kierunku.

Wyjaśnił krótko, na co zwróciła mu uwagę Kate.

– Ona przypuszcza, że przyczyną tych zbrodni było jakieś wydarzenie w prywatnym życiu jej ojca, a nie w zawodowym. I jest przekonana, że związek z Melissą Cooper ma tu zasadnicze znaczenie. Norman Dowrick należał do niewielu osób, które były dobrze poinformowane i wtajemniczone w kulisy tego romansu – pod pewnymi względami Dowrick był jedynym, który o tym wiedział.

– Pod jakimi względami? – spytał Stewart.

– Okoliczności rozstania Linville’a i Melissy są dość tajemnicze. Tak powiedziała mi Kate i potwierdziła to także Susannah Dowrick w czasie ich spotkania. Wydarzyło się coś ważnego i w wyniku tego Cooper i Linville się rozstali – akurat w takiej chwili, kiedy mieli szansę na to, aby nie ukrywać już swojego związku. A jednocześnie nagle zakończyła się przyjaźń między Linville’em a Dowrickiem. Zupełnie zmieniło się też całe zachowanie Dowricka, jednak on zawsze wykręcał się od odpowiedzi, kiedy pytała go o to żona.

– I Kate Linville jest zdania, że wówczas wydarzyło się coś, co w związku z ich rozstaniem doprowadziło do tego, że tych troje ludzi zostało zamordowanych? – spytał Stewart, marszcząc czoło.

– Tak.

– Dobry Boże. To od czego mamy zacząć, sir?

Caleb potrząsnął głową z rezygnacją.

– Nie wiem. Rozmyślałem o tym całą noc, ale w końcu stwierdziłem, że kręcę się w kółko. A w tej chwili jestem tylko... zmęczony. I zgnębiony.

– A jest jakiś ślad tej zaginionej dziewczynki? Natrafiono na coś? – chciała wiedzieć Jane. – Tej dziewczynki, która mogłaby być świadkiem?

– Nie. A ona jest w tej chwili jedynym nikłym cieniem nadziei. Jeśli widziała tę zbrodnię i może opisać sprawcę, to moglibyśmy ruszyć sprawę z miejsca. Ale w tym celu musimy ją najpierw odnaleźć – odpowiedział Caleb.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – odezwała się znów Jane. – Mimo wszystko musimy kontynuować poszukiwania Denisa Shove’a. To nie jest znowu tak, że ścigamy niewinne jagniątko. Pomyślmy o jego trwającym całe miesiące oszustwie, kiedy spokojnie pobierał sobie rentę wuja.

– W dodatku postrzelił kobietę – dodał Stewart. – I przywłaszczył sobie jej samochód, zostawiając ją ciężko ranną na polnej drodze. Miała wielkie szczęście, że ktoś ją znalazł, dzięki czemu przeżyła.

– Wiem – odparł Caleb. – Tylko pytanie, czy...

Dwie pary oczu wpatrywały się w niego wyczekująco.

– Oczywiście z punktu widzenia prawa karnego nie podlega to dyskusji – powiedział. – Ale coraz bardziej się obawiam, że organizując tak szeroko zakrojony pościg za nim, tylko pogorszyliśmy sprawę. Oszustwo dotyczące tej

renty to jedna rzecz, dość typowa dla Denisa Shove'a. Ale inne sprawy, jak ta z Peggy Wild i jej samochodem... Całkiem możliwe, że nie doszłoby do tego, gdybyśmy nie zapędzili go w kozi róg. Jego zdjęcie nagle ukazało się we wszystkich gazetach, ziemia zaczęła mu się palić pod stopami i w tym momencie wszystko eskalowało. Shove wpadł w panikę i naraził przez to życie kilkorga ludzi.

– Ale to niczego nie usprawiedliwia – odparła Jane. – Nie można strzelać do kogoś i zabierać mu samochód tylko dlatego, że nagle ma się ścianę za plecami.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Caleb. Wszyscy doskonale wiedzieli, o czym myślał: „Nie powinniśmy byli dopuścić do tego, aby ta sprawa zaszła tak daleko”.

W tym momencie niewiele już mogli zrobić. Susannah Dowrick poinformowano już poprzedniego dnia, że znaleziono jej byłego męża martwego, ale Stewart mimo to postanowił raz jeszcze ją odwiedzić. Dręczyła go myśl, że tak łatwo zadowolili się tym, co usłyszał w czasie pierwszej rozmowy.

Caleb postanowił przynieść sobie jeszcze jedną mocną kawę, a Jane poszła do swojego biura. Niezdecydowana co do dalszych działań. A psychicznie po prostu wykończona.

Dziewczynka z Liverpoolu. Trzynastoletnie, opóźnione w rozwoju umysłowym dziecko, na którym spoczywały teraz wszystkie oczekiwania.

Czy było cokolwiek, co ona, Jane, mogłaby w tej chwili zrobić? Coraz bardziej czuła się tak, jak gdyby była bezradnym widzem.

Shove niejako odpadł z gry. I Caleb na to pozwolił. Jedyne ona sama mogła go ścigać, bo z całą pewnością należało go schwytać. Caleb Hale i Robert Stewart będą teraz skrupulatnie badać całą sprawę jeszcze raz od początku. I szukać nowych możliwości.

Odczuła niemal ulgę, kiedy zadzwonił jej telefon. Może ktoś choć na kilka chwil odwróci jej uwagę od dręczących myśli.

Po drugiej stronie usłyszała kobietę, której głos sprawiał takie wrażenie, jak gdyby była całkowicie wykończona fizycznie.

– Śledcza Scapin? – spytała. – Yorkshire Police?

– Tak. Kto mówi?

– Moje nazwisko Amelie Bromley. Pracuję w dziale prasowym TV Adventure.

Była to nazwa wytwórni telewizyjnej, która współpracowała także z Jonasem Crane'em.

– Słucham? – powiedziała Jane, już wyraźnie zaintrygowana.

– Mr Chalid dał mi pani numer i... No, można tak powiedzieć, on niemal mnie zmusił, abym do pani zadzwoniła. – Amelie Bromley westchnęła cicho. – Ten człowiek doprawdy doprowadza mnie do szaleństwa. Od wczorajszego ranka zjawia się tu praktycznie co godzina i chce, abym pomogła mu odnaleźć Jonasa

Crane'a.

– Mr Chalid? Ma pani na myśli...

– Tak, to Hamzah Chalid. To Irakijczyk czy Irańczyk, już nie wiem. On wie, że nie będziemy robili tego filmu o jego życiu, i już niemal stracił głowę z tego powodu.

– Rozmawiałam z nim – powiedziała Jane. – I znam ten problem.

– Ja nie mogę dla niego nic zrobić. Jonas Crane też nie, bo to nie on decyduje o tym, jakie filmy produkujemy. Ale wydaje mi się, że Chalid jest przekonany o tym, że Jonas mu pomoże, i zachowuje się tak, jak gdyby jego życie zależało od tego, czy go znajdziemy.

– A pani wie, gdzie przebywa teraz Jonas Crane ze swoją rodziną? – spytała Jane.

– Myślałam, że od dawna są w domu. W czwartek mamy dostać od Jonasa dwa konspekty filmów, a na następną środę wyznaczony jest termin rozmowy. A Chalid twierdzi teraz, że Jonas zniknął bez śladu.

– Crane'owie rzeczywiście nie wrócili w ubiegłą niedzielę do domu, tak jak zapowiadali – potwierdziła Jane.

– A dlaczego właściwie interesuje się tym policja? – spytała Amelie nieufnie.

– Mamy do niego tylko jedno pytanie w związku z inną sprawą – odpowiedziała Jane wymijająco. – I nawet nie wiemy, czy Jonas Crane jest właściwą osobą.

– Rozumiem. Ale musiało się coś stać, bo Chalid nie daje mi spokoju.

– A dlaczego zwrócił się właśnie do pani?

– Przepytał całą firmę, szukając mnie. I ktoś wreszcie skierował go do mnie, bo niby ja coś wiem. A tak naprawdę ja jedynie przypuszczam, kto mógłby Jonasowi wynająć dom na urlop.

– To już byłoby coś, od czego można by zacząć – odpowiedziała Jane. Może Crane'owie rzeczywiście zaprowadzą ją do Denisa Shove'a. Albo może ona, Jane, mogłaby coś zrobić, żeby pomóc temu biednemu Chalidowi. A przynajmniej dzięki tej historii będzie mogła w ogóle coś robić.

– Tak, Jonas pytał tutaj kilku kolegów o wskazówki, gdzie mogłby wyjechać, i dosłownie zniknąć na jakiś czas. Ponoć jego lekarz mu to doradził. Wie pani, to taki wyjazd, żeby uciec od świata: bez Internetu, bez telewizora, w ogóle bez dostępu do informacji. Odnalezienie siebie, powrót do równowagi psychicznej, coś w tym rodzaju.

Coś podobnego mówiła sąsiadka w Kingston.

– To rzeczywiście pokrywa się z moimi dotychczasowymi informacjami – odpowiedziała Jane.

– Mamy tutaj jednego autora, który również regularnie z nami współpracuje,

i przyszło mi do głowy, że on właśnie ma taki dom. Mówi, że potrzebuje go do pracy. To chyba jakaś dawna farma położona na kompletnym odludziu. W North York Moors.

Gdzieś w północnej Anglii...

– Zna pani adres? Albo może dokładne położenie tej farmy? – spytała Jane.

– Niestety nie. Nie wiem też, czy Jonas wziął pod uwagę to, co mu powiedziałam. Nie mam o tym pojęcia. Ale za to mogłabym pani podać nazwisko i numer telefonu tego autora.

Jane chwyciła długopis.

– To byłoby bardzo miłe z pani strony.

– Hamzah Chalid chciał się tego koniecznie dowiedzieć, ale nie mogę wysłać do kogoś tak zwariowanego psychotyka jak on – wyjaśniła Amelie. – Odmówiłam i dlatego poprosił, abym panią o tym zawiadomiła. Naprawdę jest pani z policji? – spytała z nagłą nieufnością Amelie.

– Może pani zapytać informację o numer naszej centrali tu, w Scarborough, i poprosić o przełączenie do mnie – zaproponowała Jane.

Taka propozycja najwyraźniej rozwiała wszelkie wątpliwości Amelie.

– Już dobrze, w porządku. A więc ten autor nazywa się Benjamin Wilson. Nie wiem jednak, gdzie teraz przebywa, ale mogę pani dać jego numer telefonu.

Amelie podyktowała numer, a Jane poprosiła ją, aby przekazała Mr Chalidowi, aby się nie niepokoił, bo ona, Jane, wszystkim się zajmie.

– Niech idzie do domu i o nic się nie martwi – powiedziała.

– Mogę się jedynie modlić, aby tak zrobił! – odpowiedziała Amelie i odłożyła słuchawkę.

Jane natychmiast wybrała numer Mr Wilsona, ale zgłosiła się jedynie poczta głosowa. Przedstawiła się, wyjaśniła, że chodzi jedynie o rutynową sprawę, i poprosiła o oddzwonienie.

Nie wiedziała, czy los rodziny Crane'ów powinien ją niepokoić czy nie. Jonas Crane był autorem pracującym na własny rachunek. Mógł rozplanować sobie czas tak, jak tego chciał, jeśli tylko nie przekraczał terminów oddania swojej pracy. Przypuszczalnie Crane'owie wobec wyjątkowo ładnej pogody po prostu przedłużyli sobie wakacje.

Choć nieco dziwne było to, że Stella Crane nie odsłuchiwała wiadomości zostawianych na jej poczcie i nic nie powiedziała o zmianie planów sąsiadce, która zajmowała się ich domem.

Jane pomyślała, że nie powinna z tego powodu wpadać w panikę. Miała dość innych zmartwień.

Kiedyś ten Mr Wilson oddzwoni i wówczas wszystko szybko się wyjaśni.

Wieczorem Jonas prawie nie mógł już oddychać. Przeważnie był nieprzytomny, tylko od czasu do czasu otwierał oczy. Jednak wówczas i tak nie sprawiał wrażenia, że wie, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Nie rozpoznawał też Stelli. Przez chwilę patrzył nieprzytomnym wzrokiem dookoła, a potem znów tracił świadomość. Raz udało mu się wypowiedzieć jedno słowo: „Wody”.

Stella podparła głowę Jonasa i wlała mu do ust kilka łyków. Usiłując zwalczyć jego gorączkę, dała mu tego popołudnia więcej wody, niż planowała, i tym samym jej obliczenia na następny dzień po prostu wzięły w łeb. W butelce była jedynie resztką wody. I koniec. Stella nie miała też już paracetamolu ani materiałów opatrunkowych. Nie miała praktycznie niczego i jednocześnie zdawała sobie sprawę, że Jonas chyba nie przetrwa tej nocy bez pomocy lekarskiej. Ona sama nic już nie piła tego dnia, chcąc zostawić wszystko dla Jonasa i czuła, jak gwałtownie opuszczają ją siły. Tak bardzo chciało jej się pić, że stale miała wizje tryskających wodą źródeł i szklanych butelek pełnych wody, pokrytych parą po wyjęciu z lodówki. Starła się odepchnąć od siebie takie myśli i obrazy, bo były po prostu męczące. Z rosnącą rozpaczą patrzyła piekącymi oczami na ostatnich kilka łyków i czuła, że ma spuchnięte powieki. Ta odrobina wody niewiele pomoże Jonasowi, ale może przywróci jej tak konieczną do przetrwania nocy energię. O śnie i tak nie było co myśleć, bo Jonas czuł się zbyt źle, aby mogła sobie na to pozwolić. Ale może ta śmieszna resztką wody może decyduje teraz o śmierci i życiu, a potem wreszcie nadejdzie ratunek, a do tej chwili Stella dzięki tym paru kroplom przetrwa.

Ratunek...

Tylko że ów ratunek powinien być nadejść już dawno. Sammy był już od sześciu godzin w drodze. Ale to mały chłopiec, któremu chciało się pić, zwłaszcza w tym palącym słońcu, czyli musiał z pewnością robić przerwy w wędrówce. Lecz mimo to powinien już dawno dotrzeć do głównej drogi, a tam od czasu do czasu jeździły samochody, chociaż nie był to zbyt duży ruch. To niemożliwe, że nikt się nie zatrzyma na widok błakającego się dziecka, w pobliżu którego nie było żadnego dorosłego.

Ale czy nie powinna zjawić się tu już policja?

Co to mogło znaczyć, że jej ciągle nie było?

Gdzie był Sammy?

Nie powinna go była wysłać. Zdecydowała się po prostu na zbyt duże ryzyko. Sammy sześć tygodni temu skończył pięć lat. Był wprawdzie dzieckiem inteligentnym, ale też bardzo chronionym i dlatego niezbyt samodzielny. Stella nie pozwalała mu nigdzie chodzić samemu, z wyjątkiem dzieci sąsiadów na tej samej ulicy. A teraz wysłała go samego na torfowiska.

Jonas zamruczał coś nieprzytomnie i natychmiast była przy nim. Przez sekundę miała nadzieję, że nie tylko się ocknął, ale na moment jakimś cudem

odzyskał świadomość.

Dostrzegła jednak, że nic się nie zmieniło. Cały czas był pogrążony w gorączkowym śnie i nie miał pojęcia, gdzie był ani też gdzie jest teraz. I mimo że się starała, nie była w stanie go zrozumieć. Były to jedynie fragmenty słów niemające żadnego sensu.

– Jonas! – powiedziała głosem pełnym łez. Była zrozpaczona. – Jonas, zrobiłam tak, jak mówiłeś. Sammy wyszedł przez okno. Udało mi się opuścić go na dół. I sprowadzi pomoc. To nie będzie długo trwało. Musisz wytrzymać jeszcze trochę. Jonas? Słyszysz? Nie możesz się teraz poddać!

Otworzył na chwilę oczy, ale patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

– Jonas!

Jego oczy znów się zamknęły, a głowa osunęła się na bok. Oddychał z trudem, charcząc głośno. Stella miała wrażenie, że jego oddech przypomina gorącą parę wodną.

Wpatrywała się w męża i myślała, czy to są jej ostatnie obrazy: ta brudna, zakurzona szopa i nadchodzący zmrok w oknie. Wąska, zniszczona sofa. A na niej jej mąż, z którym chciała spędzić resztę życia...

Jej mąż, który umrze, jeśli wkrótce...

W tym momencie usłyszała głos. Tu wydało jej się, że to szept, ale dobiegał z zewnątrz.

– Mummy...

Poderwała się nieostrożnie, szybko zaczęła się wspinać po prowizorycznej drabinie, aż cała konstrukcja zaczęła się chwiać i niebezpiecznie przechylać. Na górze wychyliła głowę z okna.

– Sammy?

– Mummy!

Chłopiec niemal kleił się do ściany budynku, dlatego nie mogła go od razu dostrzec. Sammy przycisnął obie ręce do muru i patrzył do góry. Słońce wprawdzie zaszło, ale ciągle jeszcze było jasno. Stella dostrzegła jego twarz. Był wyraźnie zmęczony i niesamowicie brudny. Sprawiał wrażenie, jakby najchętniej przeszedł przez ścianę, aby tylko móc się znaleźć koło matki.

A gdzie byli inni? Policja? Sanitariusze? Dlaczego było tak cicho?

– Sammy! Tak długo cię nie było!

Na jego brudnej buzi wyraźnie widać było ślady łez.

– Mummy, tak strasznie chce mi się pić!

– Gdzie byłeś?

– Szukałem wody.

– Co robiłeś...? Sammy, miałeś iść do głównej drogi. *Miałeś sprowadzić pomoc!*

– Ale tak strasznie chciało mi się pić! Chciałem dojść do stawu.

– Jakiego stawu!?

Dobry Boże, on w ogóle nie był na głównej drodze. Błąkał się po okolicy, szukając wody, i teraz Stella mogła mówić o szczęściu, że w ogóle trafił tu z powrotem.

– Tu niedaleko jest staw! – upierał się Sammy.

Stella nie miała pojęcia, o czym on mówi. Może rzeczywiście w ciągu ostatnich dwóch tygodni w czasie zabawy albo spaceru z Jonaszem odkryli jakąś kałużę.

Jęknęła cicho. Wszystko na nic. Czekanie, nadzieja, lęk.

– A potem nie znalazłem już tej ścieżki, która prowadzi do głównej drogi – mówił Sammy.

Stella patrzyła na jego buzię i widziała, jak bardzo musiał być zrozpaczony. Miała już na końcu języka kolejne wyrzuty, ale umilkła. Sammy był przecież taki mały. To zadanie całkowicie go przerosło.

– Już dobrze, Sammy, już dobrze.

– Nie znalazłem tej drogi. I potem nie mogłem znaleźć domu. I było tak gorąco! I tak się bałem. – Chłopiec znów zaczął płakać.

– Już wszystko dobrze, synku, najważniejsze, że jesteś. Nic się nie stało.

Jesteśmy zgubieni.

– Tak strasznie chce mi się pić!

– Poczekaj chwilę.

Stella podjęła błyskawiczną decyzję. Zeszła na dół, chwyciła ostatnią butelkę z resztką wody, po czym obwiązała ją prowizoryczną liną, na której kilka godzin temu opuściła Sammy'ego. I wspięła się znów na górę.

– Opuszczę ci wodę na dół! – zawołała. – Bądź ostrożny!

Butelka powoli zjeżdżała wzdłuż ściany budynku. Sammy wyciągnął ręce, chcąc ją złapać jak najszybciej.

– Ostrożnie! – powtórzyła Stella.

Butelka była już na dole. Sammy chwycił ją, otworzył i zaczął łapczywie pić. A potem spojrzał do góry.

– Mummy, ciągle jeszcze chce mi się pić!

– To było wszystko, co mieliśmy. Sammy, rozejrzyj się jeszcze raz w aucie Terry. A potem obejdź dom dookoła, może jednak nie dostrzegłeś jakiegoś kranu.

Stella żywiła co do tego niewielką nadzieję i rzeczywiście Sam wrócił po chwili z pustą butelką.

– Nie ma nigdzie kranu.

– Okay.

Ale teraz nie mieli już nic, dosłownie nic. Przez kilka sekund Stella myślała o wodzie z chłodnicy w samochodzie Terry i o spryskiwaczu do szyb. Ale spryskiwacz mógł zawierać resztki środka odrdzewiającego, a woda z chłodnicy...

z pewnością nie była czysta. A biegunka czy wymioty były ostatnim, czego potrzebowali.

– Uważaj, Sammy, musisz teraz iść spać. Może jutro rano znów spróbujesz pójść do tej dużej drogi, co? Ale do tego potrzebujesz dużo siły.

Sammy patrzył na z przerażeniem.

– Ja nie chcę tam iść, mummy. Tak strasznie się bałem. Chcę być z tobą i z daddym!

Nie było sensu dyskutować teraz na ten temat. Stella mogła jedynie mieć nadzieję, że rankiem Sammy będzie znów tak przedsiębiorczy i żądny przygód jak zawsze.

– W porządku. Ale tak czy owak musisz teraz iść spać.

– A mogę przyjść do was?

– Kochanie, to niemożliwe. I zbyt niebezpieczne.

– Mogę wspiąć się po linie!

– To nie jest przecież prawdziwa lina i gdyby rozwiązał się któryś węzeł, to skończyłoby się katastrofą.

– To zawiążę ją sobie na brzuchu, a ty mnie wciągniesz!

Byłoby lekkomyślnością zdać się na to, że Sammy sam potrafi zawiązać sobie linę w pasie.

– Nie, Sammy. Pójdiesz po prostu do samochodu Terry, podoba ci się to? Położysz się na tylnym siedzeniu, tam jest miękko i wygodnie i będziesz naprawdę smacznie spał.

Sammy zaczął płakać.

– Nie! Ja chcę do was!

Stella nie mogła ustąpić, mimo że czuła ból w sercu.

– Hej, a co ja słyszę? Płacz? Łzy? Czy to ten sam młody człowiek, który tygodniami mnie prosił, aby mógł przenocować w namiocie w ogrodzie?

Ale Sammy'emu było w tej chwili obojętne, czego sobie kiedyś życzył.

– Mummy, proszę! Ja chcę do was!

– Pójdiesz teraz do samochodu Terry – powiedziała Stella stanowczo. Nie chciała w tej chwili dłużej dyskutować z Sammym, brakowało jej na to po prostu energii, a poza tym mówienie sprawiało jej trudność. Kurz unoszący się w tej przeklętej szopie nieznośnie drażnił jej gardło. I było znacznie gorzej, kiedy mówiła.

– Mummy! – płakał Sam.

– Zrobisz teraz to, co ci powiedziałam. Idź i połóż się spać. Daddy i ja jesteśmy tutaj, całkiem blisko ciebie.

Sam najwyraźniej pojął, że nie uda mu się niczego wytargować. Mamrotał coś jeszcze o tym, jaki jest głodny i jak mu się chce pić – tak, z nami jest podobnie, pomyślała Stella – i wreszcie podreptał w kierunku samochodu. Stella widziała

jeszcze, jak otworzył jedne z tylnych drzwi i wślizgnął się do środka.

Dobrze. Był bezpieczny. Jako tako, ale jednak.

Zeszła na dół na chwiejnych nogach, przytrzymując się drżącymi rękami. Miała wrażenie, że z jej mięśni stopniowo odpływają wszystkie siły. Schudła bardzo i dziwiła się, że stało się to tak szybko. Stella zawsze zwracała uwagę na swoje odżywianie, codziennie biegała i tak często jak tylko mogła chodziła też na basen. Była dumna ze swego zdrowego, dobrze wytrenowanego ciała. A wystarczyło zaledwie parę dni więzienia, głodowania i pragnienia, aby zniszczyć jej fizyczną stabilność i odporność.

Nie mówiąc już o odporności psychicznej.

Sprawdziła stan Jonasa. Ciągle tak samo źle. Ale przynajmniej nie *gorzej*, na pierwszy rzut oka. Ale i nie lepiej, bo jak?

Zwinęła się w kłębek na dywanie obok jego sofy. Do twardego podłoża zdążyła się prawie przyzwyczaić. Marzyła o jednej, dwóch godzinach zapomnienia. Zapaść w niebyt, nie czuć dręczącego ucisku w żołądku i tej tęsknoty za wodą. Nie słyszeć chrapliwego oddechu Jonasa. Nie myśleć o tym, że Sammy w samochodzie Terry płakał przez sen.

Odrobina spokoju. Przez chwilę.

Niemal nie ważyła się mieć takiej nadziei, ale była tak wyczerpana, że rzeczywiście udało jej się zasnąć.

Czwartek, 12 czerwca

1

Jane nienawidziła prosić o przysługę swoją sąsiadkę Mrs Pollard, bo ta nawet nie zadawała sobie trudu, aby ukrywać swoją niechęć, kiedy miała choćby na chwilę zastąpić Jane.

„To zdarza się po prostu za często” – narzekała ostatnio. Bo co się dzieje? Jakoś dawniej Jane lepiej potrafiła godzić swoją pracę z opieką nad Dylanem.

– Mam ostatnio dużo stresów w pracy – odpowiedziała Jane, ale Mrs Pollard skwitowała to krótko, mówiąc, że Jane powinna była zastanowić się w swoim czasie, czy zawód policjantki jest dla niej odpowiedni.

– Przecież co chwila mówią o tym w telewizji! Ciągłe macie nadgodziny. I żadnego stałego czasu pracy. Rodziny sobie z tym nie radzą, małżeństwa się rozlatują...

Jane odrzekłaby chętnie, że telewizja bije światowe rekordy w tworzeniu i utrwalaniu stereotypów wśród swoich widzów, ale jeśli chodziło o jej zawód, to niewiele mogła powiedzieć. A że brała udział w pracach komisji do spraw zabójstw i uczestniczyła w mocno kontrowersyjnym dochodzeniu, to rzeczywiście mogła mieć problem ze stałymi godzinami pracy i co za tym idzie – z organizacją życia rodzinnego. Choć co prawda w przypadku Jane trudno było mówić o rodzinie we właściwym znaczeniu tego słowa. Określenie „resztki rodziny” było bardziej trafne. Ale to nie ułatwiało sprawy, wręcz przeciwnie, tylko ją komplikowało.

– Dlaczego on nie pójdzie dziś do tej... placówki? – spytała Mrs Pollard nieprzychylnie. Stała na progu swojego mieszkania w szlafroku i boso, na głowie miała nylonowy czepek. Widocznie wyszła właśnie z łazienki. Jane spytała, czy mogłaby dziś, no, nie tylko dziś, raz jeszcze popilnować Dylana.

– Oni wczoraj mieli tam piąty przypadek szkarlatyny – odpowiedziała Jane. – I wobec tego wprowadzili kwarantannę, i...

Tę iście katastrofalną wiadomość Jane znalazła dopiero poprzedniego wieczoru na swojej automatycznej sekretarce.

„Cholera – pomyślała po jej odsłuchaniu, po czym usiadła w fotelu i podparła głowę obiema rękami. – Cholera, jasna cholera!”

– A może Dylan też ma już szkarlatynę? – spytała Mrs Pollard z przerażeniem.

– Na pewno nie. Już ją miał w dzieciństwie – zapewniła Jane.

– No, ja na szczęście też – odetchnęła Mrs Pollard i westchnęła z głośną ostentacją. – Ale w ciągu najbliższych dni tak być nie może, Jane. Doprawdy musi to pani inaczej zorganizować. Na pani miejscu i tak byłabym wściekła. Przecież nie

tylko pani jest odpowiedzialna za Dylana! Sean mógłby...

– To prawda – odparła Jane. – Ale sama pani wie, jacy są mężczyźni...

Uogólnienia tego rodzaju uważała za głupie, ale wiedziała, że w przypadku Mrs Pollard padały one na podatny grunt. Bo niejaki Mr Pollard kilkanaście lat temu ni stąd, ni zowąd porzucił żonę i po prostu dał drapak. Od tamtej chwili Mrs Pollard była skłonna przypisywać mężczyznom każdą możliwą niegodziwość.

– Istotnie – odpowiedziała natychmiast. – Oni są nieodpowiedzialni, samolubni i myślą tylko o sobie. No dobrze. Dziś popilnuję Dylana. Ale tylko dziś! I proszę być w domu punktualnie o wpół do szóstej!

– Będę na pewno – zapewniła ją Jane i w duchu wysłała modlitwę dziękczynną do niebios, prosząc jednocześnie, aby była w stanie dotrzymać obietnicy.

– A więc...

– Przyjdę do pani za dziesięć minut – wymamrotała Mrs Pollard. – Mam nadzieję, że będę mogła przedtem jeszcze wziąć prysznic? – spytała złośliwie.

– Oczywiście. Dziękuję bardzo. Nie wiem doprawdy, co bym bez pani zrobiła...

– Na pewno znalazłaby pani kogoś równie głupiego jak ja! – warknęła Mrs Pollard, po czym trzasnęła głośno drzwiami.

Kwadrans później Jane siedziała już w samochodzie, trzymała jedną ręką kierownicę, a w drugiej miała tosta. Nie zdążyła zjeść porządnego śniadania. Ta cholerna epidemia szkarlatyny zupełnie zakłóciła jej początek dnia. Jane akurat stała na skrzyżowaniu ze światłami, kiedy zadzwonił telefon. Włączyła system głośnomówiący i odebrała.

Był to Benjamin Wilson, autor scenariuszy filmowych. W jego głosie słyhać było nieufność. Najwyraźniej nie był pewien, czy prośba o oddzwonienie w jego poczcie głosowej nie była jakimś głupim żartem.

– Funkcjonariuszka śledcza Scapin? – spytał, nie kryjąc sceptycyzmu. – Yorkshire Police?

– Tak, tak. Mr Wilson?

– Tak. Prosiła pani o oddzwonienie.

– Mamy tylko krótkie pytanie, Mr Wilson. Chodzi o pańskiego kolegę Jonasa Crane'a.

– Czy coś się stało?

– Musimy z nim porozmawiać w pewnej sprawie, ale nie możemy go znaleźć. Miał wrócić w ubiegłą niedzielę z urlopu, ale...

– Nie wrócił z urlopu? Ze mną w każdym razie ustalił, że wróci ósmego czerwca, w niedzielę.

„Strzał w dziesiątkę” – pomyślała Jane.

– Czyli on wynajął ten dom od pana, prawda? – spytała.

– Tak, moją farmę na torfowiskach. Skąd pani o tym wie?

– W TV Adventure przypuszczali, że tak mogło być. Jak mówiłam, już od dłuższego czasu usiłujemy się skontaktować z Mr Crane'em.

– Jego lekarz doradził mu coś takiego. Całkowite wycofanie się z życia. Crane miał objawy wypalenia zawodowego, przynajmniej tak mówił. Osobiście nie wierzę, że dwa tygodnie całkowitego odosobnienia coś pomogą, zwłaszcza że zabrał ze sobą rodzinę... Ale to jego wybór. Wie, co robi.

– I pańska farma jest odpowiednim miejscem do tego?

– Tak. To było dokładnie to, czego szukał. Jest położona na takim odludziu, że wprost trudno sobie to wyobrazić. Nie ma tam ani telewizji, ani radia, ani Internetu. Na samym dnie doliny nie ma nawet zasięgu. Supermocarstwa mogłyby rozpętać wielką wojnę, a tam nawet nikt się o tym nie dowie.

– A kontaktował się pan z Jonasem właśnie w tym czasie?

– Nie, ale było ustalone, że ma nie mieć kontaktu ze światem zewnętrznym. O to przecież w tym wszystkim chodziło. Pewnie zadzwoniłby, gdyby pojawił się jakiś problem, ale chyba wszystko było w porządku.

– A mogłoby tak być, że przedłużył sobie tam pobyt i nie zawiadomił pana o tym?

– Na pewno nie – odpowiedział Wilson z przekonaniem. – Nie sądzę. Zapłacił mi z góry czynsz za dwa tygodnie – niewiele, właściwie tylko koszty prądu, wody i tak dalej. Znam Jonasa i absolutnie nie mógłbym się spodziewać, że zostanie na dłużej, niż zapłacił. To znaczy, mógłby wtedy chcieć rozliczyć się ze mną dodatkowo po powrocie, ale mimo wszystko... tak bez uprzedzenia... to do niego nie pasuje.

– Mr Wilson – spytała Jane. – Czy mógłby mnie pan zawieźć na tę farmę?
Wilson się roześmiał.

– Nie ma mnie w Anglii, droga pani. Dzwonię do pani z Teneryfy. Piszę scenariusz do dwuczęściowego filmu, którego akcja rozgrywa się właśnie tutaj, i próbuję wczuć się w atmosferę.

„Dlaczego właściwie zostałam policjantką? – pomyślała Jane. – Autor scenariusza, to przecież tak dobrze brzmi”.

Ale wobec faktu istnienia Dylana i zawsze gotowej do pomocy Mrs Pollard byłoby to dla niej niemożliwe: dziś Teneryfa, jutro samotna farma na torfowiskach... A pojutrze może Nowy Jork...

No ale przecież można było pomarzyć.

– Rozumiem – odpowiedziała. – A czy nie będzie miał pan nic przeciwko temu, gdybym rozejrzała się tam w okolicy? Byłoby naprawdę dobrze, gdybym wreszcie mogła się spotkać z rodziną Crane'ów.

Wilson zawahał się przez chwilę. Jane domyśliła się, o co mu chodzi: chciał z pewnością uniknąć tego, że Jonas będzie miał wrażenie, jakoby jego kolega

nasłał na niego policję tylko dlatego, że on nie zapłacił czynszu, bo spontanicznie postanowił zostać dłużej, niż było to ustalone.

– Należałoby dać znać Jonasowi, że... – zaczął, ale Jane mu przerwała.

– Oczywiście Mr Crane dowie się natychmiast, że nie przyjeżdżam tam z pańskiego polecenia. Naprawdę mamy do niego tylko jedno pytanie, i to nie ma nic wspólnego z panem. A pomijając już to wszystko, zaczynam się trochę martwić. Crane'owie nawet nie zawiadomili swojej sąsiadki o przedłużeniu pobytu, a to ona troszczy się o ich dom, pocztę, kwiaty i tak dalej w czasie ich nieobecności. Sądzę, że coś tu nie gra, i z pewnością nie zaszkodzi, jeśli ktoś do nich zajrzy.

Przed wszystkim ostatnie słowa najwyraźniej przekonały Benjamina Wilsona. Dokładnie opisał Jane drogę, którą musiała zapamiętać, bo nie mogła niczego zapisywać, siedząc w aucie w szczycie ruchu. Miała nadzieję, że niczego nie pomyli.

– A mogłaby mi pani dać znać, kiedy już pani stamtąd wróci? – poprosił na koniec Wilson. – Bez względu na to, czy kogoś tam pani zastanie czy nie.

– Oczywiście. Zadzwońię do pana na pewno – obiecała Jane. Zakończyła rozmowę i zaczęła się zastanawiać nad dalszymi krokami. Czy miała najpierw jechać do biura? Zgodnie z przepisami powinna była zabrać ze sobą któregoś z kolegów, ale zorganizowanie kogoś na szybko wydało jej się tak kłopotliwe, że porzuciła tę myśl. W dodatku prowadzenie dochodzenia w sprawie rodziny Crane'ów od początku należało do niej. Gdyby się teraz zblamowała, bo okaże się, że tam jest wszystko w najlepszym porządku, to nikt nie musi o tym wiedzieć.

Podjęła szybką decyzję i skręciła na najbliższym skrzyżowaniu w lewo. Miejscowością położoną najbliżej farmy było Egmont. Postanowiła tam dotrzeć, a potem poszukać gospodarstwa. Do biura mogłaby potem dojechać w godzinę, a gdyby wszystko okazało się fałszywym alarmem, to opowie coś o Dylanie i kłopotach z jego placówką opiekuńczą.

Owa jedna godzina potrzebna na to, aby dotrzeć na farmę, rozejrzeć się i wrócić do Scarborough, okazała się kompletną iluzją czasową. Jane potrzebowała aż pięćdziesięciu minut, aby w ogóle znaleźć farmę. Dwa razy na skrzyżowaniu pojechała źle i wylądowała na jakiejś ziemi niczyjej – szosy zamieniały się powoli w szutrowe drogi, po których z trudnością mogła w ogóle jechać, w końcu stawały się drogami polnymi, a dookoła rozciągała się tylko pusta rozległa wyżyna porośnięta krzewami, gdzie pod nielicznymi powykrzywianymi drzewami przechadzało się kilka owiec. Słońce wprost paliło, a samochód nie miał klimatyzacji. Jane zaklęła i zawróciła z trudem. Pamiętała tylko fragmenty opisu Wilsona. Dobry Boże, że też w ogóle były na tym świecie takie opuszczone miejsca! Ta cholerna farma nie miała nawet adresu i nawigacja była wobec tego bezużyteczna.

„Doprawdy nie dałabym się przepędzić na takie zadupie, bez względu na to, czy groziłoby mi wypalenie zawodowe czy nie” – pomyślała Jane.

Ale w końcu wydawało jej się, że wreszcie znalazła właściwą drogę. Bardzo wąską i dość krętą.

Zobaczy pani farmę zaraz za zakrętem – tłumaczył jej Wilson. – Leży w dolinie, dokładnie poniżej miejsca, w którym pani stoi. Dwa budynki, jeden mieszkalny i duża kamienna szopa. A dokoła – kompletna pustka!

Opis był dobry i Jane natychmiast rozpoznała farmę. Dostrzegła też jeszcze jedno: farma sprawiała wrażenie całkowicie opuszczonej.

Wszystkie okiennice były zamknięte, nigdzie nie było widać, żeby ktokolwiek tu przebywał.

Czyli Crane'ów tutaj nie było. To gdzie mogli być?

Jane postanowiła mimo wszystko zjechać na dół. Może zobaczy coś, co będzie jakąś wskazówką co do miejsca pobytu tej rodziny. Choć sama w to nie wierzyła.

„Prawdopodobnie niepotrzebnie aż tak się niepokoiłam – pomyślała. – Jonas i jego rodzina po prostu nie mogli tu już wytrzymać i doskonale to rozumiem. Pewnie przenieśli się do jakiegoś miłego hotelu tuż nad morzem i całkiem zapomnieli kogokolwiek o tym zawiadomić”.

Ale dlaczego Stella Crane nie odbierała telefonu?

Powoli zjeżdżała na samo dno doliny po kamienistej drodze. Niezłe wyzwanie dla resorów. Jane nie była już taka pewna, czy zawód autora scenariuszy rzeczywiście mógłby być szczytem jej marzeń. Trzeba było być wariatem, żeby wydawać pieniądze na coś takiego jak ta nieruchomość na dole, i jeszcze regularnie tam wracać po to tylko, żeby móc tu pracować. Jane wiedziała, że już po dwóch dniach spędzonych tutaj wpadłaby w depresję i nie byłaby zdolna do żadnej rozsądnej myśli.

Skręciła na podwórze i natychmiast zobaczyła dwa samochody zaparkowane z tyłu za domem. Stały tak, że nie można ich było dostrzec ani ze wzgórza, ani też z drogi prowadzącej w dół doliny.

Niebieski renault i czerwony ford.

Jane nie pamiętała numerów rejestracyjnych, ale jedno przypomniała sobie natychmiast: że poszukiwano niebieskiego renault Therese Malyan i czerwonego forda, który został ukradziony Peggy Wild.

Denis Shove i Therese byli tutaj, na farmie. Jane odruchowo sięgnęła po telefon. Musiała natychmiast wezwać posiłki. Szczelnie zamknięte okiennice domu ją przerażały. Wszystko wskazywało na to, że Denis i jego przyjaciółka zabarykadowali się tutaj. Z rodziną Crane'ów jako zakładnikami? A Shove był uzbrojony. I pozbawiony wszelkich skrupułów. Nie zawahał się ani chwili, strzelając do Peggy Wild.

Nie było widać żadnego innego samochodu, ale to niekoniecznie musiało coś znaczyć. Auto Crane'ów mogło stać w szopie.

Jedno spojrzenie na ekran telefonu wystarczyło, aby Jane skonstatowała, że tu nie ma zasięgu. Musiała wrócić do drogi. Być może tam złapie zasięg. Tu stanowiła jedynie łatwy cel, gdyby ktoś chciał strzelać.

Boże, ależ była głupia! Zjechała tak po prostu na dół, wszyscy mogli ją widzieć, zupełnie jak naiwna dziewczynka. Już samo podejrzenie, że u Crane'ów dzieje się coś złego, nakazywałoby o wiele bardziej ostrożny sposób działania.

Początkująca! Zachowujesz się rzeczywiście jak początkująca.

Wrzuciła wsteczny bieg, nie spuszczać z oczu domu i zachowując gotowość do natychmiastowego ukrycia się, gdyby koło jej głowy zaczęły świsnąć kule. Była pewna, że dawno ją zauważono. Shove też się pewnie zorientował, że zobaczyła samochody i wobec tego o wszystkim wiedziała. A ponieważ mógł też założyć, że jak na razie nie wezwwała posiłków, byłoby zrozumiałe, gdyby usiłował przeszkodzić jej teraz w opuszczeniu farmy. Jane była zdziwiona, że nikt do niej jeszcze nie strzelał.

Jednak Shove dotychczas nie mógł zidentyfikować jej jako policjantki, to było dla niej jasne od początku. Równie dobrze mogła być turystką, która tu zabłądziła przypadkiem. A wówczas byłoby najlepiej, aby opuściła podwórze przez nikogo nie niepokojona.

Już prawie zawróciła, kiedy zobaczyła, że tylne drzwi niebieskiego renault otworzyły się gwałtownie. Z samochodu wyskoczył mały chłopiec, po czym zaczął biec w jej kierunku, gwałtownie wymachując rękami. Mógł mieć najwyżej pięć lat, a Jane pomyślała natychmiast, że to musi być adoptowany syn Crane'ów. Sammy, jak mówiła ich sąsiadka z Kingston. Dziecko Therese Malyan.

Jej pierwszym impulsem było wyskoczyć z samochodu i podbiec do niego, ale mogła to być pułapka. Podjechała autem za róg domu i zatrzymała się dopiero tam. Po tej stronie budynek nie miał okien, dlatego niebezpieczeństwo kuli wystrzelonej z ukrycia było mniejsze. Wysiadła, rozglądając się i kryjąc między samochodem a domem.

Mały chłopiec przybiegł za róg domu. Biegł tak szybko, że teraz dyszał głośno i najwyraźniej niemal wpadł w panikę, że obca kobieta może odjechać. Był niesamowicie brudny i spocony, a jasne, dawno niemyte włosy sterczały mu na głowie we wszystkich kierunkach. W jego szeroko otwartych oczach Jane dostrzegła strach i rozpacz.

Co tu się stało?

– Sammy? – spytała. Chłopiec był już tak blisko, że chwyciła go za ramię i pociągnęła za samochód. Chłopiec bronił się, choć bardzo słabo. Sprawiał wrażenie wycieńczonego.

– Hej, spokojnie. Jestem Jane. Jane Scapin. Jestem z policji.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

Położyła palec na ustach, nakazując mu milczenie.

– Cicho. Zostań tutaj, nie uciekaj. Mogę cię puścić?

Skinął głową.

Ostrożnie puściła jego ramię.

– Musimy być ostrożni z powodu Denisa Shove’a.

Patrzył na nią kompletnie skonsternowany, a Jane przypomniała sobie, że Shove występował pod innym nazwiskiem.

– To znaczy Neila. Neila Courtneya.

Chłopiec wreszcie otworzył usta, a Jane dostrzegła, że miał wysuszone i mocno spękane wargi.

– Neila tu nie ma. On i Terry wyjechali – powiedział.

– Jesteś pewien? Tam z tyłu stoją ich samochody.

– Mummy mówi, że oni wzięli nasze auto.

– A gdzie jest twoja mummy?

Zrobił głową ruch w kierunku szopy.

– Tam w środku. Z moim daddy. Neil nas tam uwięził. Mój dad jest bardzo chory. Neil strzelił do niego. A ja wyszedłem po linie przez okno. Ale mum i dad już się w nim nie zmieścili, bo ono jest bardzo małe. Miałem sprowadzić pomoc.

Wydawało się, że chłopiec niemal nie jest w stanie przestać mówić.

– Ale ja chciałem poszukać wody. Tu w pobliżu jest staw. Wiesz, gdzie on jest? – Spojrzał na nią z nadzieją.

– Nie, niestety nie. Ale poczekaj... – Jane weszła do samochodu i wyciągnęła stamtąd butelkę wody, która była prawie pełna.

– Tobie bardzo chce się pić, prawda?

Chłopiec chwycił butelkę i zaczął pić tak łapczywie, jak gdyby od tego zależało jego życie. Przypuszczalnie rzeczywiście tak było. Jane była już przekonana, że może mu wierzyć. To nie była żadna ukartowana gra. Na to ten chłopiec wyglądał zbyt źle, był zbyt wynędzniały i za bardzo zrozpaczony. To, co mówił, brzmiało wiarygodnie. Denis Shove wykorzystał kontakty Terry z adopcyjnymi rodzicami jej dziecka, aby po napadzie na Peggy Wild zrabować kolejne auto. Musiał się liczyć z tym, że Peggy zostanie odnaleziona i że wówczas jej samochód przestanie być bezpieczny. Uwięził więc całą rodzinę Crane’ów, aby nie mogli mu przeszkodzić w ucieczce.

Szef nie musiał robić sobie aż takich wyrzutów, że z tak dużym nakładem energii i zaangażowania szukał Shove’a. Ten człowiek był przestępcą pozbawionym wszelkich skrupułów.

Pobiegła do szopy i sprawdziła zamek u drzwi. Był podwójnie zabezpieczony zasuwą, która z kolei zamknięta była na kłódkę.

Shove nie chciał żadnych nieprzyjemnych niespodzianek.

Sammy dreptał tuż za nią.

– Musi pani uratować mummy. I daddy’ego.

Jane szarpnęła drzwiami. Szybko się zorientowała, że ich nie otworzy. Teraz rzeczywiście potrzebowała pilnie posiłków.

Z wnętrza dobiegł słaby głos.

– Sammy?

– Funkcjonariuszka śledcza Scapin z Yorkshire Police. Mrs Crane?

Przez sekundę po drugiej stronie panowało pełne niedowierzania milczenie. A potem Jane usłyszała gwałtownie, niemal bez tchu wypowiedziane pytanie:

– Policja?

– Tak. Wydobędziemy was stąd, Mrs Crane. Czy z panią wszystko w porządku?

– Tak. Ale mój mąż... Z nim jest bardzo źle. Obawiam się, że nie przetrwa. Czy ma pani wodę? A Sammy jest z panią?

– Tak, jest ze mną. I mam wodę.

Mimo ogromnego pragnienia Sam wypił tylko połowę zawartości butelki.

– Sammy mówił o jakimś oknie...

– Po drugiej stronie. Tam wisi lina. Proszę, niechże pani tam idzie... Na drugą stronę.

Stella Crane twierdziła, że czuje się dobrze, ale jej głos zdradzał ogromne osłabienie.

„On nawet nie zostawił im dostatecznej ilości wody, co za podły łotr” – pomyślała Jane, idąc na drugą stronę szopy.

Dostrzegła okno wysoko pod stromym dachem szopy. Do diabła, to stamtąd Stella Crane opuściła swojego syna. Odważny czyn. Ale to była jedyna szansa, którą w ogóle widziała.

W oknie ukazała się twarz. Jane dostrzegła ogromne oczy w wychudzonej twarzy, a nad nimi dawno nieczesane włosy. I wynędzniałe rysy. Stella Crane była u kresu sił.

– Widzi pani tę linę? – spytała zachrypniętym głosem.

Jane dostrzegła zwisającą z okna linę, której koniec znajdował się tuż koło jej stóp. Lina wykonana była z różnych części odzieży i jakichś szmat oraz cienkiego koca.

„Dzielna osoba, ta Stella Crane” – pomyślała Jane.

Podniosła koniec liny, oplotła nią butelkę z wodą i zabezpieczyła całą konstrukcję tak dobrze, jak umiała.

– Może pani ciągnąć. Tylko ostrożnie!

Butelka sunęła w górę niesłychanie wolno.

– Sprowadzę pomoc! – zawołała Jane. – Gdzie tu jest zasięg telefonu?

– Zaraz powyżej, na wzgórzu. Słaby, ale jest.

Jane upewniła się, że butelka dotarła do celu, i pobiegła do swojego samochodu. Trzymała mocno Sammy'ego za rękę. Nigdy nic nie wiadomo. Nie pozwoli, aby miał tu teraz błądzić.

– Posłuchaj, usiądziesz teraz w moim samochodzie. Pojedziemy na wzgórze i zadzwonimy po pomoc. Wezwiemy policję, karetkę pogotowia. To będzie bardzo ekscytujące, wiesz? Przyjadą samochody na sygnałach...

Sammy skinął głową, ale miał już za sobą tę fazę, kiedy marzył o wyjących syrenach, błyskających światłach i uzbrojonych mężczyznach. Jane miała wrażenie, że cierpi z powodu traumy, której dane mu było doświadczyć. Pogładziła go po głowie.

– Wszystko będzie dobrze – obiecała.

Nie sprawiał wrażenia, że jej uwierzył.

2

Nocą znad Atlantyku nadciągnęły chmury i od rana w Liverpoolu padał deszcz. Jednostajny, uporczywy, i wszystko wskazywało na to, że będzie padać przez cały dzień, a już teraz zmywał z ulic kurz ostatniego upalnego tygodnia. Do wieczora wszystkie tereny zielone w mieście, które powoli zaczynały żółknąć, będą wyglądać bardziej świeżo i bardziej zielono. Gwałtownie spadła też temperatura. Kate, która nie miała ze sobą niczego oprócz dżinsów i podkoszulka z krótkimi rękawami, zadygotała po wyjściu z hotelu. Potrzebna jej była świeża odzież, a zwłaszcza bielizna. Był czas, aby wracać do Scalby.

Caleb wyruszył tam już poprzedniego dnia rano. Zostawił dla niej w recepcji tylko krótką wiadomość: *Muszę teraz wracać. Zadzwońię. Pozdrowienia. Caleb.*

Nic więcej.

Chciał z nią pójść zjeść kolację. Dlaczego była na tyle głupia, aby odmówić? Bo ciągle wstydziła się z powodu tamtego „występu” nocą po zamordowaniu Melissy? A może po prostu dlatego, że obdarzona była niesłychanym talentem zaprzeczania każdej szansy, która się pojawiała?

Lubiła Caleba. Podziwiała go. Rozumiała. Uważała go za mężczyznę pociągającego. Bardzo atrakcyjnego. Bardzo interesującego. Była sama i tęskniła za jakimś człowiekiem, który pojawiłby się w jej życiu.

A potem ten mężczyzna, wokół którego od tygodni krążyły jej myśli, spytał, czy ona wybierze się z nim do pubu, aby coś zjeść. A ona odmówiła. Sama była po prostu wszystkiemu winna. Była winna temu, że jej życie było tak poplątane i nędzne.

Została jeszcze przez cały wczorajszy dzień w Liverpoolu. Nie mogła zapomnieć Grace. Podobnie jak tego zdania, które zdążyła wyszeptać jej matka: „Proszę jej pomóc”.

Myślała ciągle o niebieskich plamach, które dostrzegła na nadgarstkach

Grace. O jej za ciasnych, spranych i zniszczonych ubraniach. O jej rozmarzonym uśmiechu w upalnym słońcu, kiedy jeździła wózkiem Normana Dowricka po terenie opuszczonej fabryki. Grace sprawiała wrażenie tak niewiarygodnie delikatnej i bezbronnej. Kate przerażała już sama myśl o tym, że teraz ukrywa się gdzieś i jest zupełnie sama, a w dodatku być może narażona na niebezpieczeństwo. Poprzedniego dnia Kate długo chodziła po osiedlu, a potem objechała samochodem całą okolicę. Wypatrywała czegoś, co dla Grace mogłoby stanowić kryjówkę – puste hale magazynowe, niezamieszkałe domy, zarośnięte parki, gdzie gęste krzewy skutecznie chroniły przed ewentualnymi prześladowcami. W końcu Kate skapitulowała wobec ogromnej liczby takich możliwości. Grace mogła być wszędzie. Kate musiała zdać się na działania miejscowej policji.

Miała jednak wrażenie, że ta robiła niewiele. Tylko gdzieś tam pojawiły się grupy poszukiwawcze. I jeden patrol z psami. Ale z drugiej strony policja, szukając nastolatki, chciała za wszelką cenę uniknąć zbytniego rozgłosu. Media jeszcze się na szczęście nie zwiędziały, że tu gdzieś jest młoda dziewczyna, która prawdopodobnie była świadkiem morderstwa i jest z tego względu narażona na niebezpieczeństwo. Kate zakładała, że Caleb dotrzymał obietnicy i porozmawiał z policjantką dowodzącą grupą śledczych z Liverpoolu. Kupiła więc kilka gazet i ku swojej uldze rzeczywiście nie znalazła tam żadnej wiadomości na temat poszukiwań Grace. Choć było to związane także z tym, że ta sprawa i tak nie wzbudziła zbyt wielkiego zainteresowania. Fakt, że znaleziono człowieka utopionego w beczce z wodą w kilka miesięcy po jego zniknięciu, przejmował grozą, ale... kogo obchodził sparaliżowany, zgorzkniały mężczyzna żyjący zupełnie samotnie na dość nędznym osiedlu? W dwóch gazetach nazwano go nawet „starcem”, choć Dowrick dopiero skończył pięćdziesiąt lat. Norman Dowrick był człowiekiem tak dalece zapomnianym i opuszczonym przez wszystkich, że nawet straszna śmierć nie spotkała się z większym zainteresowaniem. Gazeta „Liverpool Chronicle” przytoczyła teorię miejscowej policji i spekulowała obszernie na temat podejrzanych gangów młodzieżowych. Osobę Normana wymieniono tylko na marginesie. Szeroko rozpisywano się za to o ogólnie rosnącej skłonności do przemocy wśród młodzieży w Wielkiej Brytanii i rozważano, czy przyczyną nie były ekstremalne różnice socjalne w społeczeństwie.

Kate zrobiło się żal Normana, któremu teraz było już wszystko jedno, ale ona z przykrością zrozumiała, że światu był on obojętny tak samo za życia, jak i po śmierci. Natomiast jeśli chodziło o Grace, to brak zainteresowania opinii publicznej jej osobą stanowił dla niej prawdziwą szansę. Mogła ją znaleźć policja – jeszcze zanim znajdzie ją morderca Dowricka. Bo on jak na razie według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miał pojęcia, że istniał ktoś, kto był świadkiem popełnionej przez niego zbrodni.

Kate wymeldowała się z hotelu i ruszyła w drogę do Scalby, ale zajrzała raz

jeszcze na osiedle, gdzie mieszkała Grace. W deszczu wszystko wyglądało tu jeszcze bardziej przygnębiająco. Na dziedzińcu opuszczonej fabryki już potworzyły się ogromne kałuże. Policyjne taśmy, które wczoraj łopotały na wietrze, teraz wisiały jak mokre ścierki.

Kate zaparkowała samochód i wysiadła. Zadrżała w chłodnym powietrzu. Wszystko jedno. W domu weźmie kąpiel i ubierze się ciepło.

Osiedle było opustoszałe i sprawiało wrażenie wręcz wymarłego. „Tu zdecydowanie nikt jej nie szuka” – pomyślała Kate. Tylko Kadir siedział jak zwykle na swoim murku i kołysał się w przód i w tył. Był już zupełnie przemoczony, ale najwyraźniej nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

– Dzień dobry, Kadir – przywitała go Kate.

Uśmiechnął się do niej tak przyjaźnie i radośnie, jak gdyby była jego starą przyjaciółką.

– Hi! – odpowiedział.

– Bardzo dziś mokro – stwierdziła Kate. – Ma pan jakieś mieszkanie, prawda?

Kadir skinął głową.

– Mam piękne mieszkanie. Tam, na górze. – Wskazał na stojący za nim dom.
– Pod samym dachem!

– To nie byłoby lepiej posiedzieć w środku w taki dzień jak ten? – spytała Kate, pocierając ramiona. – Moim zdaniem jest dość zimno.

Kadir, który podobnie jak ona miał na sobie tylko T-shirt, potrząsnął głową.

– Jestem przyzwyczajony. Nie mogę siedzieć w środku.

– Nie? Nigdy?

– Czasami zimą. Wtedy idę tam na krótko, żeby się ogrzać. Ale nie na długo. Ściany się na mnie wałają, rozumie pani?

– Ja... jestem w stanie sobie to wyobrazić. Kadir, zakładam, że o Grace nic pan nie słyszał?

– Policja tu była. Wczoraj. I rozmawiali ze mną. Ale nie potrafiłem im nic powiedzieć. Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wiem, czy... coś widziała.

– Coś widziała?

– O to przecież chodzi, prawda? Dlatego tak jej poszukują. Może widziała, kto zamordował mężczyznę jeżdżącego wózkiem.

Kate zrozumiała, że nie było mądrze tak nisko oceniać Kadira Roshana. I pojęła jeszcze jedno: że wszyscy siedzieli dosłownie na beczce prochu, jeśli chodziło o utrzymanie w tajemnicy roli Grace w tej sprawie. Wystarczyło, że któryś dziennikarz wpadnie na to, aby zapytać jednego czy dwóch mieszkańców osiedla. Z całą pewnością nie tylko Kadir odgadł, jak ważna była jej osoba i dlaczego należało ją jak najszybciej odnaleźć.

Policja prowadziła teraz wyścig z czasem.

– Wczoraj wieczorem był tu jeden mężczyzna – powiedział Kadir. – I pytał o nią.

– Mężczyzna? Z policji?

– Nie! – Kadir potrząsnął głową. – On nie był z policji. Coś mamrotał na temat dochodzenia, abym pomyślał, że jest z policji. Ale ja się nie dam nabrać. Rozpoznaję policjantów, wie pani?

Kate знаła to powiedzenie. Wiele osób twierdziło, że potrafi „wyczuć” policjanta, lecz Kate uważała to za czcze przechwałki. A w dodatku jej prawie nikt nie potrafił rozpoznać jako policjantki, wręcz przeciwnie, przeważnie patrzono ze zdumieniem i niedowierzaniem, kiedy przedstawiała się jako policjantka ze Scotland Yardu. Więc zdaniem Kate było to tylko głupie gadanie.

Ale Kadir, zupełnie jak gdyby czytając w jej myślach, oświadczył:

– Na przykład jestem pewien, że pani pracuje w policji. Nawet jeśli z jakiegoś powodu nie przyznaje się pani do tego. Ale to jest rodzaj... jakiejś charyzmy czy aury. Trudno to opisać.

Kate była pod wrażeniem, nie skomentowała jednak tej tezy. Zastanawiała się za to, co spowodowało takie załamanie w jego życiu. Język Kadira zdradzał wykształcenie i z pewnością nie był on człowiekiem ograniczonym. Jaką krzywdę wyrządził mu los, że wyładował na tym murku wychudzony do niemożliwości i siedział tu bez względu na pogodę?

„Ściany walą się na mnie” – tak powiedział.

Przypomniały jej się słowa Caleba Hale’a wtedy w samochodzie przed domem syna Melissy Cooper. Powiedział jej coś w stylu, że powinna wziąć się w garść, bo świat jest pełen tragedii i los, jaki przypadł jej w udziale, wcale nie jest najgorszy.

– A więc ten mężczyzna... Czy on się jakoś wylegitymował? – spytała.

– Nie. Podszedł do mnie i zaczął mówić. Ale zniżonym głosem. A policjanci rozmawiali ze mną głośno, wyraźnie. On był jakiś... inny. Nie podobał mi się.

– Zgłosił pan to policji?

– Nie. Oni się z tego śmieją. A to przecież tylko przeczucie.

– A co dokładnie mówił?

Kadir zastanawiał się przez chwilę.

– Chciał wiedzieć, czy znam Grace. Nie, tak się nie wyraził. Spytał: „Zna pan tę dziewczynkę, której wszyscy szukają? Która obserwowwała morderstwo policjanta?”.

Kate drgnęła. Fakt, że Norman Dowrick był policjantem, trzymano dotychczas w tajemnicy.

– Jest pan pewien, że on powiedział „policjanta”?

– Zupełnie pewien. Sam byłem zaskoczony. Bo nawet ja nie zauważyłem, że ten stary na wózku był gliną. Myślę, że tutaj nikt o tym nie wiedział.

– I co pan mu odpowiedział?

– Nie jestem głupi – odparł Kadir. – Powiedziałem tak: „Nie wiem, czy ona widziała to morderstwo. Wiem tylko, że znalazła zwłoki”. I on wtedy zrobił się bardzo niecierpliwy. I chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka Grace. Powiedziałem mu, bo nie było sensu robić z tego tajemnicy.

– I on tam wtedy poszedł?

– Tak. Ale bez obaw, tam Grace nie ma. Mieszkanie jej rodziców jest ostatnim miejscem, w którym szukałaby schronienia. Nigdzie nie jest tak narażona na niebezpieczeństwo jak tam.

– A jak wyglądał ten mężczyzna?

– Wysoki, potężnie zbudowany. Blondyn. Nie wyglądał źle. Ale jakoś... sprawiał wrażenie fanatyka. Nie podobał mi się.

Kate pomyślała, że Kadir był wprawdzie mądrym człowiekiem, ale nie mógł wszystkiego wiedzieć i prawidłowo oceniać. Bardzo prawdopodobne było, że ten *potężnie zbudowany mężczyzna, blondyn sprawiający wrażenie fanatyka* był jednym z policjantów Liverpool Police. A tam wiadano, że Dowrick był ich dawnym kolegą. Pozostałe kwestie nie bardzo można było wyjaśnić – i pociągały one za sobą kolejne pytania.

Wyciągnęła z torby wizytówkę, zapisała na niej swój prywatny numer domu w Scalby oraz numer swojego telefonu komórkowego, po czym podała ją Kadirowi.

– Proszę. Jeśli wydarzy się cokolwiek, co się panu wyda dziwne czy podejrzane, proszę do mnie zadzwonić. Albo jeśli przypomni pan sobie coś, o czym nie chce pan z jakiegoś powodu rozmawiać z policją.

Wziął wizytówkę.

– A więc jednak jest pani z policji. Wiedziałem. Metropolitan Police. Scotland Yard. No, no...

– Ale ja nie jestem na służbie – wyjaśniła Kate. – Mogę liczyć na to, że pan zadzwoni?

– Zadzwonię – obiecał.

Pożegnała się i poszła w kierunku mieszkania rodziców Grace.

Ojciec Grace potwierdził wizytę mężczyzny poprzedniego dnia, a także to, że nie wylegitymował się jako policjant i wypytywał o miejsce pobytu Grace. I Darren Henwood odpowiedział mu zgodnie z prawdą, że nie ma pojęcia, gdzie może teraz przebywać córka.

– I ten mężczyzna nie przedstawił się panu? – spytała Kate. – Nie wymienił nazwiska, nie pokazał dowodu? Nic?

– Nie. Myślałem... Myślałem, że ma swoje powody – jękał się Darren.

Jego zachowanie było tak dalece odmienne od poprzedniego, jak gdyby wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Całkowicie porzucił bezczelną pozę

typu: „Jeszcze zobaczysz, kim jestem!”. Tego szarego, deszczowego poranka wyglądał wręcz żałośnie, był wyraźnie wystraszony i zdenerwowany. W mieszkaniu było jeszcze ciepło po upalnym tygodniu i Darren miał na sobie biały przepocony podkoszulek oraz stare bokserki. Był boso. Sprawiał wrażenie niewyspanego, ale Kate przypuszczała, że przyczyną tego była nie tyle troska o Grace, ile o siebie samego. Wystraszyła go ta sytuacja: jego córka nagle okazała się głównym świadkiem w sprawie morderstwa i była pilnie poszukiwana przez policję, a przy okazji mogło wydać się też to, że od lat była nie tylko dręczona, ale i zanedbywana w takim stopniu, że stanowiło to już naruszenie prawa. Dotychczas żadna ludzka istota nie interesowała się Grace Henwood. Teraz jednak... Darren nie był głupi. Inspektor z Yorkshire Police, który także był tu przedwczoraj, dostrzegł natychmiast, co tu się działo – że Darren znęcał się nad córką, o ile nie robił jej czegoś gorszego. I wcale nie ukrywał swego oburzenia. A ta kobieta, która zjawiała się w jego mieszkaniu po raz drugi, także szybko wszystkiego się domyśliła. Nic więc dziwnego, że Darren pocił się jak mysz, miał wyraźne problemy z krążeniem i najchętniej rozpląnąłby się w powietrzu.

– Rozmawia pan z jakimś mężczyzną o swojej córce i nie próbuje pan się dowiedzieć, kto to jest i jakim prawem się o nią dopytuje? – spytała Kate.

Darren wytarł pot z czoła.

– Tyle ludzi o nią pytało. Ciągle tu była policja... Myślałem... Sam nie mogę się w tym połapać...

Było jasne, że chciał, aby wszystko uszło mu na sucho i całą nadzieję pokładał w tym, że będzie się zachowywał uniżenie i deklarował chęć współpracy. I nie miał zamiaru nikogo legitymować, za to każdemu, kto zapyta o Grace, będzie się wyczerpująco tłumaczył – ze strachu, że się narazi i wówczas ten ktoś nie będzie się wahał przed ujawnieniem tego, co dane mu było tu zobaczyć.

A poza tym, że mężczyzna pytający go o Grace był rzeczywiście silnie zbudowanym blondynem, Kate nie dowiedziała się niczego więcej. Choć co prawda opis Darrena nie zawierał słowa *fanatyczny*. Postanowiła więc zadzwonić do Caleba i poinformować go o wszystkim. Wówczas on mógłby spróbować wyjaśnić, czy rzeczywiście chodziło tu o któregoś ze śledczych Liverpool Police. Kate była o tym coraz bardziej przekonana. Pożegnała się chłodno z Darrenem Henwoodem i wyszła z domu. Idąc do samochodu, zobaczyła Kadira kiwającego się na murku. Był zupełnie przemoczony.

Front pogody niosący deszcz i ochłodzenie nie przesunął się jeszcze w głąb kraju. Kate opuściła obszar, do którego dotarł, a w Scalby ciągle panował nieznosny skwar. Po przyjeździe zobaczyła, że ogród wprost domagał się podlewania, ale darowała to sobie, zakładając, że wieczorem i tak będzie padało. Weszła do domu i poczuła, że jej ciało odpręża się powoli w chłodnym powietrzu. Odetchnęła głęboko i poczuła, że ten dom nadal jest dla niej ostoją spokoju.

Bezpiecznym portem. Wnętrza pachniały tak dobrze i znajomo, a jej tak bardzo brakowało tego zapachu w ciągu ostatnich dwóch dni. Zapach domu dzieciństwa.

Nie, nie będę mogła się go pozbyć. Nigdy.

Przeszła przez korytarz, weszła do kuchni i otworzyła drzwi prowadzące na taras. Do środka natychmiast wpłynęło gorące powietrze upalnego dnia. Wyjęła z lodówki butelkę wody, wyszła i usiadła na jednym z ogrodowych krzeseł. Jej ubranie zdążyło już wyschnąć, a myśl o kąpieli wobec takiej pogody zeszła na dalszy plan. Wypiła kilka łyków wody i się rozejrzała. Kwiaty w ogrodzie kwitły we wszystkich możliwych kolorach, ale wszystko nie było już takie świeże i wypielęgowane jak dawniej. Brakowało Richarda. Kate zupełnie nie odziedziczyła jego ręki do kwiatów, nie lubiła pracy w ogrodzie i nigdy nie wiedziała, co właściwie należało tam robić o określonej porze roku. Może poza koszeniem trawy i podlewaniem roślin.

Ale z drugiej strony mogła przecież tu mieszkać i pozwolić, aby ogród nieco zdziczał. To w końcu nikomu by nie przeszkadzało.

Nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy nie czepiała się tego wszystkiego w jakiś rozpaczliwy, niezdrowy sposób. Czy jej niezdolność do przeprowadzenia generalnej zmiany w swoim życiu nie powinna budzić obaw? Ale może do tego potrzebna była najpierw jakaś alternatywa. A ona nie miała żadnej.

Czy to dlatego, że miała niemal manię na punkcie ojca? A może było tak, ponieważ poza ojcem nie istniał w jej życiu nikt inny? I właśnie ojciec był po prostu najłatwiejszym rozwiązaniem? Był przecież jedynym człowiekiem, w obecności którego nie czuła się mała, nic nieznacząca i jakoś całkiem podrzędna. To z nim mogła się śmiać, jemu opowiadała o wszystkich swoich klęskach i o związanych z nimi obawach. Także o odważnych pomysłach, o których nie odważyłaby się opowiedzieć nikomu innemu, a już zwłaszcza kolegom. A on nigdy nie dał jej odczuć, że to, co mówi, jest jakieś dziwne. Niewłaściwe. Zawsze słuchał uważnie. Dla niego Kate była takim samym wartościowym człowiekiem jak inni. I traktował poważnie ją i to, co mówiła, i już choćby dlatego, dla tego uczucia, że za każdym razem wtedy wewnątrz niemal rozkwitała, jeździła do Yorkshire tak często, jak tylko mogła.

Wobec wszystkich pozostałych ludzi czuła za to paralizującą ją niepewność. I to zakorzenione gdzieś głęboko przekonanie: jestem nic niewarta. A przynajmniej nie tyle warta co wy wszyscy. Nie jestem ani taka piękna, ani taka mądra, dowcipna, interesująca i wrażliwa. Nie mam dobrych pomysłów, a jeśli nawet, to nie umiem ich przekazać. Nie mam w sobie niczego, dzięki czemu mogłabym się wydać interesująca. Niczym nie emanuję, nie mam ani odrobiny charyzmy, niczego. A jeśli nie widać tego wszystkiego na pierwszy rzut oka, to na pewno można to dostrzec chwilę później, po dokładniejszym przyjrzeniu się.

W końcu to właśnie było powodem, dla którego odrzuciła prośbę Caleba,

aby towarzyszyła mu do pubu w Liverpoolu. Ta obawa, że on zauważy, jak niewiele mogła komukolwiek zaoferować. Ze swoich nielicznych spotkań z mężczyznami знаła to koszmarne uczucie, kiedy zauważała, że mężczyzna żałował, iż się z nią umówił, i zastanawiał się nerwowo, jak możliwie szybko wszystko zakończyć. Była to świadomość niedoskonałości pod każdym względem, która szybko zamieniała się w rozpacz i poczucie beznadziei. Większość mężczyzn nie chciała być nieuprzejma, nikt też nie zamierzał jej urazić, ale wszyscy z trudem potrafili ukryć chęć ucieczki. Kate zaczęła się w końcu tak bardzo obawiać podobnej sytuacji, że w ogóle nie dopuszczała do możliwości jej zaistnienia. Odmawiała nawet temu czy innemu koledze z pracy, który zapraszał ją na kawę w czasie przerwy obiadowej. Była przekonana, że przecież oni robili to jedynie z litości. *Nie, dziękuję, wolę popracować.*

W końcu nikt już jej nie zapraszał.

I pierwszym od dawna mężczyzną, który to zrobił, był Caleb. Caleb, który zjawił się u niej z potrawą curry i którego nie odstraszał jej szorstki sposób bycia. Caleb, który zapytał ją, czy poszłaby z nim coś zjeść.

A ona znów się ukryła. Wolała siedzieć głodna w hotelowym pokoju i przeglądać programy telewizyjne, bo to wydawało jej się bezpieczniejsze. Zamiast pójść do pubu z mężczyzną, który ją pociągał i fascynował.

Dotychczas mogła sobie na takie zachowanie pozwolić, bo na świecie był jeszcze jej ojciec. Mniej lub bardziej nieszczęśliwa wytrzymywała bez przyjaciół, bez bliskiego człowieka, który należałby do niej i brałby udział w jej życiu. Bo przecież był daddy. O wiele za daleko co prawda, ale był. Mogła do niego zadzwonić, odwiedzić go. To do niego należały wszystkie jej długie weekendy, urlopy, święta takie jak Wielkanoc i Boże Narodzenie. On był jej jedyną opoką, oparciem w życiu.

Musi coś zmienić, bo pograży się w całkowitej samotności. Nie może pozwolić sobie dłużej na luksus ukrywania się przed światem i jego niebezpieczeństwami. Unikania wszystkiego, czego się obawiała. W czasie swojej pracy w policji nieraz była zmuszona do konfrontacji z niebezpiecznymi typami, ale ani w połowie nie obawiała się tego tak, jak poczucia odrzucenia w codziennym życiu. Także poczucia braku zainteresowania z czyjejs strony, jakiegoś niedostrzegania i obojętności. Mniej lęku odczuwała w czasie pościgu za opryszkiem, kiedy można było dostać kulę w głowę, niż przed tym, że kiedy ucieknie do domu w pozorne poczucie bezpieczeństwa tylko z powodu kolejnej odmowy, to znów będzie się nudzić wieczorem.

Wstała, weszła do kuchni, wyjęła telefon z torebki. Jeszcze będąc w drodze, dwa razy próbowała się dodzwonić do Caleba, ale ten ciągle był na jakiejś naradzie. Musiała mu opowiedzieć o tym dziwnym mężczyźnie, który dopytywał się w Liverpoolu o Grace Henwood. Chciała też zapytać Caleba, czy ma jakieś

plany na dzisiejszy wieczór. Jeśli tylko starczy jej na to odwagi.

Zgłosiła się jakaś współpracowniczka, której nazwiska Kate nigdy nie słyszała, mówiąc, że Caleb bierze udział w konferencji telefonicznej, i spytała, czy ma coś przekazać.

– Nie, dziękuję bardzo. A czy mogę rozmawiać ze śledczą Scapin?

Wprawdzie nie zamierzała umawiać się z Jane na wieczór, ale jej także mogła opowiedzieć o tym człowieku. Ktoś powinien się o tym dowiedzieć i wyjaśnić to z kolegami z Liverpoolu.

Ale Jane także była na konferencji. Kate powtórzyła więc prośbę, by Caleb oddzwonił.

A potem poszła na górę.

Prysznic, świeża bielizna – to nie był zły pomysł.

3

Byli już w Irlandii Północnej. Jak na razie wszystko szło dobrze i zły humor Denisa nieznacznie się poprawił.

Jeszcze rano był tak przykry i niemiły, że Terry nawet nie odważyła się poprosić go o przyniesienie na górę choćby jednego tostu czy ciastka z przysługującego im śniadania. Nie mówiąc już o tym, że marzyła o filiżance kawy. Nie mogła przecież zejść do jadalni, bo całkowita zmiana koloru jej włosów stałaby się przyczyną większego zainteresowania. W dodatku nie był to prawdziwy blond, jak się okazało, lecz raczej jasny brąz z wyraźnym zielonkawym odcieniem. Terry była przerażona, kiedy zobaczyła się w lustrze. Już poprzedniego wieczoru wynik nie był zadowalający, ale miała nadzieję, że w ciągu nocy kolor się poprawi. A tymczasem rano wszystko wyglądało jeszcze gorzej.

– Wyglądasz naprawdę paskudnie. – Tak brzmiał mało szarmancki komentarz Denisa, który wygłosił, zobaczywszy ją. – Twój widok to wręcz obraza dla prawdziwej Stelli Crane.

Terry od razu zaczęła płakać, opanowała się jednak szybko, kiedy Denis popatrzył na nią groźnie i oświadczył, że becząca kobieta to ostatnie, co będzie w stanie znieść. Ciągle jeszcze nie wyjaśnił jej, o co właściwie chodzi, ale jego zły humor związany był z tym, że nie mógł pobrać pieniędzy z konta. Coś się stało, ale Terry nie ważyła się go o to pytać z obawy przed tym, że wyładuje na niej swoją wściekłość. Powiedział tylko, że praktycznie nie mają pieniędzy i żadnych perspektyw na ich zdobycie w najbliższym czasie.

– Nasze ostatnie banknoty poszły na bilety na prom – powiedział, zanim zszedł na śniadanie. – To znaczy, że nie będziemy mogli zapłacić za ten wielce szacowny hotel, kiedy będziemy wyjeżdżać. Kiedy będę na dole, zniesiesz nasze rzeczy na dół, do samochodu, ale tak, żeby cię nikt nie widział, jasne? Punktualnie o dziewiątej spotkamy się tam.

– Ale przecież nie możemy tak po prostu...

– Dobry Boże, jesteś jeszcze głupsza, niż na to wyglądasz, wiesz? Jak nie mam kasy, to nie mam. A więc rób, co ci mówię. I po prostu trzymaj gębę na kłódkę!

Mieli bardzo niewiele bagażu, wyjechali z farmy w Yorkshire z jedną dużą torbą, która należała do Crane'ów. Zaopatrzyli się po prostu w bieliznę, podkoszulki i swetry Jonasa i Stelli, także w przedmioty codziennego użytku: szampony, żele pod prysznic, pastę do zębów. Szczoteczki kupili sobie w drogerii. To wystarczyło na najbliższy czas i na to, aby nie zwracać niczyjej uwagi w hostelach, w których nocowali.

– Jeśli nie będziemy mieć ze sobą torby – oświadczył Denis – to od razu pomyślą, że coś tu nie gra. Będziemy więc sympatyczną parą małżeńską na cudownych wakacjach.

Nic z tego nie było prawdą. Ani nie byli małżeństwem, ani też nie było trafne określenie „sympatyczny”, nie mówiąc już o cudownych wakacjach. Nic, absolutnie nic z tego, co mówił Denis, nie wydawało się choćby w najmniejszym stopniu uczciwe. Poczynając od fałszywego nazwiska, pod którym występował, poprzez fakt, że przemilczał swój pobyt w więzieniu, a kończąc na pełnej przygodzie podróży, w której byli już od dobrych kilku dni, tym razem oboje pod fałszywymi nazwiskami. Terry zdążyła zmienić kolor włosów, w torbie zaś miała paszport należący do kobiety, którą uwięzili i pozostawili samą i zupełnie bezradną na całkowitym pustkowiu. Kiedy Terry o tym myślała, robiło jej się wręcz niedobrze. Ciągle czuła się jak podczas coraz szybszej jazdy gdzieś w dół, jazdy, która zakończy się w bagnie przestępstw, przemocy i kłamstw. A Denis też ani trochę nie przypominał tamtego Denisa, którym kiedyś był. Oczywiście dawniej też czasami traktował ją szorstko i komenderował ją jak służącą, i nieraz ją pobił. Ale poza tym stać go było na czułość i ciepło; często też powtarzał, że jest piękną, wspaniałą kobietą. Miała wrażenie, że on ją doskonale rozumie i stoi całkowicie po jej stronie. To on potępił jej rodziców, bo zmusili ją, by oddała dziecko do adopcji, i to on wielokrotnie upewniał ją w przeświadczeniu, że wyrządzono jej wiele zła, w czym mieli swój udział także Crane'owie. Zanim swego czasu odwiedzili rodzinę Crane'ów w Kingston, Denis oświadczył Terry, że chce koniecznie poznać małego, bo przecież „on jest częścią ciebie, słodziutka”. Ale jeśli Terry miała być wobec siebie szczerą, to dziwiła się, gdy Denis całe popołudnie nie przejawiał najmniejszego zainteresowania Sammym, ale za to interesował się warunkami życia i zwyczajami Stelli i Jonasa. A potem, kiedy całymi dniami krążyli po torfowiskach, bo Denisa opętała wprost obsesja odnalezienia domu, w którym spędzali wakacje Crane'owie, Terry usłyszała następujące oświadczenie: „Terry, robię to przede wszystkim dla ciebie. Oni mają twoje dziecko. I za wszelką cenę będą się starali trzymać cię od niego z daleka. A tobie wolno było jedynie wydać

na świat małego Sammy'ego, za to teraz masz się zmyć i zostawić w spokoju szczęśliwą rodzinę. Hej, pozwolisz sobie na to? Masz prawo widzieć, jak dorasta twój syn. A ja zadbam o to, abyś mogła skorzystać z tego prawa”.

Wtedy Terry poczuła przede wszystkim, że jej to bardzo pochlebiało. Od dawna nie miała poczucia tak dużego udziału innego człowieka w swoim życiu. Nie pamiętała, aby ktoś tak się o nią troszczył. Walczył o jej prawa. To brzmiało wspaniale.

A teraz... Po jego czułościach i tkliwości nie było już ani śladu, podobnie jak po komplementach. Denis nie wspominał też ani słowem o Sammym ani o tym, że Terry ma prawo do syna. Do Terry docierało coraz bardziej, że Crane'owie interesowali go przede wszystkim z jednego względu: że można było coś od nich uzyskać.

A ostatecznie Denis ukradł także ich tożsamość.

Ale jak zwykle także tego ranka nie odważyła się bronić. Kiedy Denis zniknął w jadalni, spakowała wszystkie rzeczy, po czym się rozejrzała. Łazienka po bardzo dyletancko wykonanym zabiegu farbowania włosów wyglądała wręcz strasznie: farba była praktycznie wszędzie – w umywalce, na armaturze, lustrze, na wyłożonej białymi kafelkami podłodze i na białych dawniej ręcznikach hotelowych. Gorączkowo czyściła wszystko, co się dało, a wilgotne, zabrudzone ręczniki wepchnęła do plastikowego worka i ukryła je na samym spodzie torby, aby nikt nie nabrał żadnych podejrzeń. Poza tym zabrała dwa duże czyste ręczniki kąpielowe. Wiedziała, że nie należało tego robić, ale miała nadzieję, że usłyszy za to pochwałę od Denisa. W końcu nie mieli przecież pieniędzy i przyda im się wszystko, czego nie będą musieli kupować. Zresztą to i tak nie grało już żadnej roli, bo nie mieli zamiaru zapłacić rachunku.

Z torbą w ręku szła po cichu na dół, zatrzymując się na każdym podejściu schodów i nasłuchując, czy ktoś nie idzie do góry. Słyszała głosy w jadalni, brzęczenie sztućców i talerzy w kuchni. Kawa pachniała smakowicie, także jajecznica na boczku i pączki w syropie. Terry pociekła ślinka. Może na promie będzie można coś zjeść? Na razie ważne było tylko to, że zarówno małżeństwo, do którego należało *bed & breakfast*, jak i dziewczyna, która pomagała przy sprzątnięciu i gotowaniu, byli całkowicie zajęci w kuchni.

Terry przemknęła niepostrzeżenie na dziedziniec i poszła do samochodu. Była dokładnie dziewiąta, tak jak się umawiali. Denis oczywiście jej nie ufał i miał ze sobą kluczyki od samochodu.

I właśnie przyszedł. Sprawiał wrażenie trochę zdenerwowanego.

– Wszystko w porządku? Zabrałaś rzeczy?

Otworzył samochód, błyskawicznie wrzucili torbę na tylne siedzenie i wsiedli do środka.

– Jestem wprost genialny – chwalił się Denis, uruchamiając silnik. –

Powiedziałem, że się źle czujesz. Mdłości, biegunka i cały program tego rodzaju. I że z tego powodu nie zeszłaś na śniadanie, i bardzo potrzebujemy lekarza. Więc oni dali mi adres pewnego doktora w Stranraer i myślą, że cię tam teraz wiozę. W życiu nie wpadną na to, że uciekamy.

Wyjechał z dziedzińca na ulicę.

– Byli bardzo zmartwieni i zatroskani. Mam ci przekazać życzenia powrotu do zdrowia.

– Dziękuję – wymamrotała Terry. W przeciwieństwie do Denisa nie odbierała ostatniego wyczynu jako udanego i bardzo zręcznego manewru na szachownicy. Pomyślała, że jednak nie należało zabierać ręczników.

Do odejścia promu pozostały całe trzy godziny. Terry obawiała się, że w pensjonacie przedwcześnie odkryją ich ucieczkę, ale Denis zlekceważył jej obawy.

– Oni mi nawet powiedzieli, że u tego lekarza trzeba czasem długo czekać, bo jest bardzo lubiany. Nie będą zwracali uwagi na to, że nas tak długo nie ma. W końcu mają co innego do roboty.

Jednak mimo wszystko był niespokojny. Podjechali na opustoszały parking położony daleko na północ od portu, po czym Denis oświadczył, że tu będą czekać. Terry pogodziła się więc z tym, że w najbliższym czasie nie dostanie ani kawy, ani choćby kawałka chleba. Wczesnym rankiem świeciło słońce, ale teraz znad morza znów nadciągały ciemne chmury. Zaczął padać deszcz.

Terry chyba nigdy nie czuła się równie beznadziejnie.

Kiedy przyszedł czas, aby jechać do portu, Denis był już tak zdenerwowany, że Terry zaczęła się obawiać, czy nie zwrócą czyjeś uwagi właśnie z tego powodu. Denis wyglądał dokładnie jak przestępca w trakcie ucieczki, i to musiało się rzucić w oczy każdemu. Poza nimi na promie było niewielu podróżnych. Coraz silniejszy deszcz i błyskawicznie spadająca temperatura nie zachęcały do podróży.

Ale przynajmniej na pokładzie Terry dostała kawę. Grzała zeszywniałe z zimna palce o styropianowy kubek i czuła, że z każdym łykiem wracają jej siły.

Może kiedyś jednak wszystko będzie dobrze. Ona i Denis gdzieś koło Dublina, biały wiejski domek na ciemnozielonych irlandzkich łąkach, niski kamienny murek otaczający ogród, rozbawione dzieci...

Kiedy w Irlandii zjechali z pokładu promu, humor Denisa wyraźnie się poprawił. Wprawdzie nie opuścili jeszcze Wielkiej Brytanii, ale byli o całe mile bliżej Republiki Irlandii, i to najwyraźniej dobrze go nastrajało. Wbrew uprzednim planom, aby pojechać do Belfastu i poszukać jakiegoś schronienia, a dopiero jutro wybrać się na południe, postanowił od razu ruszyć w stronę Dublina.

– Prawie nie mamy pieniędzy. Jeden nocleg w Belfaście i jesteśmy goli. A poza tym czuję się bezpieczny dopiero wtedy, kiedy opuścimy Irlandię Północną. Jedziemy jeszcze dziś.

Zatankowali samochód do pełna, co znów naruszyło topniejące zapasy gotówki. Była prawie trzecia po południu i ciągle padał ulewny deszcz. Terry słyszała, że w Irlandii w ogóle często pada. Jej nieco lepszy nastrój znów się pogorszył. Perspektywa wiejskiego domku stała się nagle bardzo odległa, podobnie jak bawiących się dzieci. To, co zostało, to była wiejska droga wokół Belfastu, na której prawie nie było ruchu, i przynębiająca okolica, której w gęstych strugach deszczu niemal nie było widać. Terry dostrzegała niekiedy jakieś łąki, kamienne murki, od czasu do czasu jakieś przytulone do zbocza doliny domostwo, którego okna w deszczu sprawiały wrażenie kompletnego opustoszenia. Nagle przypomniała sobie swoje małe mieszkanie w Leeds i niektóre wieczory, które spędzała z mieszkającymi piętro wyżej wesołymi sąsiadkami, Peggy i Helen. Wówczas nie czuła się szczęśliwa, ale teraz przyszło jej do głowy, że to przecież nie był zły czas. Miała przyjaciół, miała pracę i małe, ale bardzo przytulne mieszkanie. Często spotykała się z Peggy i Helen, i były to miłe chwile. W zimowe wieczory Terry gotowała czekoladę z rumem, po czym wszystkie siedziały przy kominku i rozmawiały, patrząc na padający za oknem śnieg. Ale Terry stale narzekała, bo ciągle czekała, że w jej życiu wydarzy się coś nadzwyczajnego, coś, co wszystko zmieni.

No i się wydarzyło. I rzeczywiście wszystko się zmieniło. Teraz Terry siedziała w skradzionym samochodzie, była głodna i zmarznięta, i jechała w deszczu Irlandii Północnej wraz z poszukiwanym przez policję przestępcą.

Jechali już dobre pół godziny przez opustoszałe tereny rolnicze, kiedy Denis nagle skręcił w polną drogę i się zatrzymał.

– Daj tę torbę tutaj. Potrzebuję któregoś z tych ciepłych swetrów Jonasa, zrobiło się zimno jak diabli.

Nie włączali ogrzewania z obawy, że to podwyższy poziom spalania, i Terry marzła już od dawna w swoim T-shircie. Przełożyła torbę na przednie siedzenie. Denis otworzył ją i znieruchomiał.

– Co *to* jest?

– Co takiego? – spytała Terry.

Trzymał w ręce jeden z białych frotowych ręczników, które Terry zabrała z pensjonatu.

– To przecież ręczniki z naszego pokoju.

– Tak. Ja...

– Cooo?!

Patrzył na nią z nieukrywaną wściekłością.

– Co? – powtórzył.

Sądziła, że ją za to pochwali, ale teraz nic na to nie wskazywało. Zupełnie nic.

– Myślałam...

– Co myślałaś?!

– Myślałam... że będą nam potrzebne. To znaczy... bo mówiłeś, że jest krucho z pieniędzmi... a teraz przynajmniej nie musimy kupować ręczników.

Denis pogrzebał w torbie i natknął się na brudne ręczniki w plastikowym worku.

– To wprost niepojęte! Ukradłaś wszystkie ręczniki?

Nie odpowiedziała, ale gdyby miała odwagę, to spytałaby go, dlaczego się tak denerwuje. Z powodu małego złodziejstwa? On przecież zabił w afekcie swą poprzednią towarzyszkę życia, siedział osiem lat w więzieniu, teraz ukradł pewnej rodzinie samochód i przywłaszczył sobie jej paszporty.

A w tej chwili denerwował się z powodu paru ukradzionych ręczników?

Miała jednak szybko pojąć, że tu wcale nie chodziło o kwestie moralne czy też logiczne.

– Ty jesteś jednak niesłychanie głupia – powiedział. – Tak potwornie głupia, że to aż przerażające. Powinienem cię teraz wyrzucić z samochodu i modlić się, żeby udało mi się uciec samemu, bo ty wszystko potrafisz zepsuć!

Chciała coś powiedzieć, ale wydobyła z siebie jedynie jęk i ciche: „Denis...”.

Popatrzył przez przednią szybę na padający deszcz, jak gdyby rozmyślał, dlaczego zadaje się z osobą aż tak dalece pozbawioną choćby odrobiny rozumu, po czym nagle odwrócił się i bez żadnego ostrzeżenia uderzył ją dwa razy w twarz tak mocno, że jej głowa odskoczyła jak piłka.

– Ty nawet nie umiesz policzyć do trzech, ty kurwo! – wrzasnął. – Zgadnij, co pomyślała dziś rankiem ta głupia dziwka, która sprząta pokoje w pensjonacie w Cairnryan, kiedy zobaczyła, że znikły wszystkie ręczniki? *Och, ci Crane'owie zabrali je pewnie do lekarza? Jak myślisz?!*

Terry nie ważyła się zwrócić mu uwagi, że ręczniki ze śladami farby do włosów mogą się wydać tym bardziej podejrzane, oraz że nie było głupie z jej strony, że te najbardziej zabrudzone zapakowała. Kiedy nie odpowiedziała, uderzył ją znowu. Terry nagle poczuła smak krwi w ustach.

– Ona się pewne rozejrzała i zobaczyła, że nie ma też naszego bagażu. I wtedy ci durnie z tego zasranego *bed & breakfast* od razu pojęli, że zwialiśmy. Bo to nietrudno odgadnąć, o ile ma się w głowie choćby odrobinę inteligencji więcej niż ty, a większość ludzi zwykle tyle ma! – krzyczał Denis.

– Ale... – Terry mogła mówić tylko z trudem, bo jej wargę zaczęła błyskawicznie puchnąć. – Ale... oni i tak by to zauważyli – mówiła już bardzo niewyraźnie. – A teraz jesteśmy już tutaj.

– Bo mieliśmy cholerne szczęście! Ale niewiele brakowało, a ty byś wszystko spieprzyła! Oni mogliby zawiadomić policję i wtedy złapaliby nas na tym cholernym promie! Mam ci coś powiedzieć? Gdyby głupota śmierdziała, to

w pobliżu ciebie nie można byłoby wytrzymać!

Wcisnęła się jak najgłębiej w siedzenie. Przecież wszystko poszło tak dobrze. Przyjechali promem bez przeszkód. Opuścili statek nie niepokojeni przez nikogo.

Byli w Irlandii.

Ale w Denisie rozładowało się teraz napięcie wszystkich poprzednich dni, a przede wszystkim godzin. Odczuwał niemal ulgę, że wreszcie znalazł jakiś wentyl. Terry widziała to w jego oczach. Jeszcze z nią nie skończył.

On zamordował swoją poprzednią towarzyszkę życia.

Terry gwałtownie otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz, od razu padając w wysoką mokrą trawę. Poczula zimno, wilgoć i wiatr, ale pozbierała się szybko. Mimo że w głowie dudniło jej nieznośnie i bolała ją cała twarz. W jej ustach zebrało się tyle krwi, że musiała ją wypluć. Miała niejasne wrażenie, że wraz z krwią wypluła jeden ząb.

Jej instynkt przetrwania wreszcie dał o sobie znać. Późno, bardzo późno.

Ale miała nadzieję, że mimo wszystko nie za późno.

Zaczęła biec tak szybko, jak tylko była w stanie. Biegła wprost w gęsty deszcz. I w swoją samotność.

Słyszała, że on biegnie za nią.

Wiedziała, że ją dogoni.

Lecz mimo to biegła.

Jak najdalej od Denisa Shove'a.

Precz od niego na zawsze.

4

Do wieczora nie oddzwonili ani Caleb, ani Jane i Kate nie odważyła się dzwonić raz jeszcze, żeby nie wydać się natrętną. Domyślała się, że po znalezieniu martwego Normana Dowricka w grupie dochodzeniowej zapanowało coś w rodzaju małego zawirowania. Sprawa nabrała nieoczekiwane nowych wymiarów: troje zamordowanych i jeden główny podejrzany, który właśnie przestał być głównym podejrzanym. Caleb musiał mieć znów uczucie, że los z nim igra.

Kate w końcu nabrała animuszu i jeszcze raz wybrała numer biura Caleba w komendzie, ale nikt tam nie podchodził do aparatu. Spróbowała wobec tego zadzwonić na komórkę Caleba, gdzie z kolei zgłosiła się jedynie poczta głosowa. Poczula irytację, ale pomyślała, że może wcześniej wyszedł. Całkiem możliwe, że prawie nie spał przez dwie ostatnie noce i po prostu potrzebował chwili wytchnienia.

W jej głowie dojrzywał śmiały plan, ale trwało to pół godziny, w czasie której chodziła bez celu po domu i ogrodzie, próbując zebrać całą odwagę. Wreszcie zdecydowała się: postanowiła odwiedzić Caleba w jego domu. Mogła

przecież powiedzieć, że i tak przejeżdżała w pobliżu.

Pomyślałam, że wpadnę do pana.

Ostatecznie dopiero co doszła do wniosku, że musi być bardziej ofensywna, jeśli chce coś zmienić w swoim życiu.

A ponieważ Caleb dał jej swoją prywatną wizytówkę, kiedy w swoim czasie był u niej w ogrodzie i ostrzegał ją przed różnymi niebezpieczeństwami, Kate wiedziała, gdzie mieszka. Było to dość daleko, w South Cliff, w Scarborough. Należało przejechać w górę esplanadą obok licznych ozdobionych stiukami hoteli, które na pierwszy rzut oka robiły wrażenie bardzo wielkopańskich, ale po bliższym przyjrzeniu się za piękną fasadą można było dostrzec łuszczący się tynk i ogólne zniszczenie. Kate jeździła tam czasem ze swoim ojcem. Zostawiali gdzieś samochód i szli na spacer ścieżką ponad klifami, które zaczynały się zaraz za ostatnimi domami miasta. Oboje uwielbiali ostatnie promienie słońca w długie letnie wieczory. Dziś jednak nie było pięknego zachodu słońca. Z zachodu nadciągały ciemne chmury i wkrótce zaczął padać deszcz.

Caleb mieszkał na bardzo eleganckiej Wheatcroft Avenue. Z domów położonych na jej końcu rozciągał się wspaniały widok na morze. Dom Caleba znajdował się mniej więcej w połowie ulicy, nie mógł więc widzieć stamtąd morza, najwyżej jego mały fragment z okna na samej górze. Mimo to ta okolica, piękne ogrody otaczające eleganckie domy, wszystko to było raczej poza finansowym zasięgiem policjanta, nawet jeśli był to nadkomisarz. A może to żona Caleba miała dużo pieniędzy. Albo Caleb to odziedziczył.

Jego samochód stał na podjeździe, czyli Caleb był w domu. Kate miała nadzieję, że nie położył się spać, bo z pewnością nie zareagowałby radośnie, gdyby ona wyrwała go z sennych marzeń. Stała przed drzwiami i zawahała się przez chwilę, próbując znaleźć jakąś wskazówkę, która świadczyłaby o tym, że Caleb nie śpi. W którymś momencie wydało jej się, że słyszy monotony gwar dobiegający z wnętrza domu; brzmiało to, jakby był włączony telewizor albo radio. Ale zorientowała się szybko, że te odgłosy pochodziły z ogrodu sąsiada, gdzie rozmawiało dwóch mężczyzn.

Okay. Mimo wszystko. Nigdy niczego nie uzyska, jeśli się na nic nie odważy.

Przycisnęła dzwonek i czekała.

Caleb otworzył, kiedy już prawie zrezygnowała i chciała odejść. Dostrzegła od razu, że nie wyciągnęła go z łóżka: był całkowicie ubrany i nie sprawiał wrażenia zaspanego. Ale też najwyraźniej nie był wcale ucieszony jej widokiem. Jego wahanie, zanim otworzył, spowodowane było przypuszczalnie tym, że absolutnie nie miał ochoty oglądać żadnego gościa i musiał przewyciężyć tę niechęć, zanim zdecydował się otworzyć drzwi.

Źle, wszystko źle, oczywiście znów popełniłam błąd. On jest wykończony po

ostatnich dniach i chciał raz mieć spokojny wieczór. A ja pakuję się tu nieproszona.

– Ach, Kate, to pani. Co się stało?

– Ja... przypadkowo byłam w pobliżu... – To jąkanie jej samej wydało się żalodne. – Kilka razy próbowałam się do pana dodzwonić...

Przejechał ręką po włosach i Kate dostrzegła, jak bardzo był zmęczony. Ale wydał jej się nie tylko wyczerpany. Sprawiał wrażenie udręczonego. Nieszczęśliwego. Najwyraźniej fatalnie się czuł i było to związane nie tylko z tym, że był przepracowany.

– Tak, dzisiaj był fatalny dzień. Praktycznie nie byłem w stanie usiąść za biurkiem. Tyle się działo. – Cofnął się o krok. – Czy wejdzie pani do środka?

Miała nadzieję, że nie powiedział tego tylko przez uprzejmość.

– Jeśli nie przeszkadzam...

– Nie przeszkadza pani. Jak pani widzi, poszedłem dziś do domu trochę wcześniej. Jestem wykończony i potrzebuję nabrać nieco dystansu.

– To może jednak wpadnę kiedy indziej...

– Nie, nie, w porządku. Proszę wejść.

Kate spodziewała się, że zaprowadzi ją na taras, ale on otworzył przed nią drzwi kuchni.

– Proszę.

Kiedy przeszła tuż obok niego, poczuła to. Właściwie przez cały czas się domyślała, że coś się stało... Coś, czego nie umiała ocenić i co do niego zupełnie nie pasowało. Ale teraz zrozumiała: alkohol w jego oddechu.

Caleb pił.

Nie potrafiła ukryć przerażenia i on to dostrzegł. Roześmiał się.

– Tak. Po raz pierwszy dopiero od pół roku, bądź co bądź. Niektórzy wracają do tego prędkiej.

Co się stało – chciała zapytać. – *Co się stało, na miłość boską?*

Ale zamiast tego milczała zakłopotana. Rozejrzała się. Duże pomieszczenie składało się dawniej z dwóch pokoiów, ale usunięto dzielącą je ścianę, a sufit podparto grubą drewnianą belką, pomalowaną ciemną bejcą. Była to otwarta kuchnia z długim blatem z błyszczącej stali i obszerną jadalnią, gdzie na środku ustawiono drewniany stół i takie same krzesła, przy ścianach zaś białe regały. Całe pomieszczenie dzieliła od ogrodu jedynie frontowa ściana ze szkła, dzięki czemu miało się wrażenie przebywania na zadaszonej werandzie.

Kate była pod wrażeniem.

– To jest... Ma pan piękny dom, Caleb – powiedziała.

– Moja była żona miała dobry gust. I dużo pieniędzy. Ten dom należy do niej, ale po naszym rozstaniu nie chciała tu mieszkać. Płacę jej czynsz, ale... Właściwie też chciałbym się stąd wyprowadzić. Tylko na razie nie miałem po prostu czasu, aby czegoś poszukać i zorganizować przeprowadzkę. Wie pani,

praca. A potem byłem całymi miesiącami w klinice... – Roześmiał się, ale w tym śmiechu słycać było smutek. – Mogłem sobie darować.

Dostrzegła butelkę stojącą na blacie. I szklankę obok.

– To moja kolacja – powiedział Caleb. – Czy też się pani napije?

– Nie, dziękuję.

– Miałem nieraz wrażenie, że łyk dobrej whisky dobrze by pani zrobił.

– Caleb...

– Już dobrze, przepraszam. Nie jestem miły, kiedy piję. Dlatego moja żona miała mnie dość, rozumie pani? Mówiła, że staję się wtedy cyniczny i złośliwy. I miała rację. Ale to nie wszystko. I to jest właśnie problem.

Sięgnął po butelkę, nalał sobie do szklanki i wypił płyn jednym haustem.

– Sęk w tym, że staję się wówczas nie tylko wredny. Jestem wtedy cholernie dobrym policjantem. Im więcej piję, tym lepiej myślę. Myślę wręcz genialnie. Największe sukcesy odniosłem w tym czasie, kiedy najwięcej piłem. Mój mózg potrzebuje tego świństwa, aby móc się rozpedzić. I to jest ta gorzka prawda.

Jego głos brzmiał inaczej niż zwykle. Był bardziej twardy i głośny. Gdzieś w tle słycać było agresję. Wypił już dużo, zanim niespodziewanie pojawiła się Kate.

„Całe szczęście – pomyślała Kate. – Całe szczęście, że to byłem ja, a nie ktoś inny”.

– Wie pani, co jeszcze należy do tej gorzkiej prawdy? – mówił dalej Caleb. – Słynna druga strona medalu. Bez tego materiału jestem niczym. Kompletne zero. Nieudacznik. Katastrofa.

– To przecież wcale nie jest prawda.

– Nie jest, mówi pani? Czy wie pani, co się dzisiaj stało?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie.

– Shove – odpowiedział, wsłuchując się w dźwięk tego słowa. – Denis Shove.

– Czy odnalazł go pan? – spytała Kate. – Został aresztowany?

– Nie. Ale to tylko kwestia czasu. Wiemy, że popłynął promem z Cairnryan do Belfastu. Najprawdopodobniej próbuje się dostać do Republiki Irlandii. Jedzie kradzionym samochodem i znamy numery tego auta. Nie ma żadnych szans.

– Ale... to są przecież dobre wiadomości!

– Napadł pewną rodzinę – dodał Caleb. – Tam, na torfowiskach, na samotnej farmie. Postrzelił mężczyznę i uwięził go razem z jego żoną i dzieckiem w szopie. Byli bliscy śmierci z pragnienia. I to Jane znalazła ich w samą porę.

– Jane?

Skinął głową.

– Tak, Jane. Poprowadziła śledztwo bocznym tropem, bardzo starannie i na

własną rękę. To jest naprawdę wspaniała kobieta! To ona powinna prowadzić dochodzenia, a nie ja. Bo ja, nie dość, że ścigałem uparcie Shove'a jako zupełnie niewłaściwą osobę, to nawet nie udało mi się znaleźć w jego pobliżu. Ale Jane... Ona ma zadatki na świetną policjantkę. I wielki talent.

Znów sięgnął po butelkę. Ale Kate, zanim posłuchała głosu własnej nieśmiałości, zrobiła krok w jego stronę i położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie, Caleb. Niech pan przestanie. Ma pan dość na dziś.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– I pani chce o tym decydować?

– To tylko rada.

Ale rzeczywiście odstawił butelkę.

– Ojciec tej rodziny... Nie wiadomo, czy przeżyje. Leży w szpitalu i jest w stanie krytycznym.

Ciągle jeszcze trzymała rękę na jego ramieniu.

– Co się dzieje, Caleb? Co pana w tym tak dotknęło? Co pan sobie przypisuje?

– Co sobie przypisuję? Wie pani przecież. Popeliłem w tym dochodzeniu najgłupszy błąd, jaki można zrobić. Działałem tylko w jednym kierunku. Uczepiłem się jednego wątku, i to praktycznie od pierwszej minuty. W moim trzeźwym umyśle nie było miejsca dla innego nazwiska niż Denis Shove. Nawet wtedy kiedy stałem nad zarzniętą Melissą Cooper i nijak nie mogłem tego morderstwa połączyć z osobą Shove'a, to się przy nim upierałem. Dawniej nigdy by mi się to nie zdarzyło, Kate. Nigdy.

– Shove z całą pewnością jest niebezpiecznym przestępcą. Nie ścigał pan niewinnego człowieka.

– Czy wie pani, jakie przestępstwo miał na sumieniu, zanim się go uczepiłem? Oszustwo w sprawie renty. Śmieszne małe oszustwo w sprawie renty, w którym w dodatku chodziło o niewielkie sumy. Oczywiście to też trzeba karać. Ale nie tak! Powołując komisję specjalną i tropiąc go dzień i noc, jak ja to zrobiłem.

– Ale to, co on zrobił poza tym...

– To, co on zrobił poza tym, nie wydarzyłoby się, gdybym go tak nie osaczył. Shove był i jest dupkiem i oczywiście sam doprowadził do tego, że stał się głównym podejrzanym, kiedy po morderstwie Linville'a zaczął występować pod fałszywym nazwiskiem, ale spanikował dopiero wtedy, kiedy we wszystkich gazetach ukazało się jego zdjęcie i praktycznie nie było już miejsca, w którym mógłby się poczuć bezpieczny. Najpierw napadł Peggy Wild i ukradł jej samochód. Potem zabarykadował się z tą rodziną na torfowiskach. Postrzelił Jonasa Crane'a. I wyruszył w pełną przygód podróż do Irlandii, co tak naprawdę było tylko ucieczką. Jeśli będziemy mieli pecha, to w czasie aresztowania będzie strzelał

naokoło jak szalony i będą kolejni zabici i ranni.

Mimo ostrzegawczego spojrzenia Kate Caleb sięgnął po butelkę i nalał sobie tak gwałtownym ruchem, że część whisky wylała się na blat. Wypił wszystko jednym haustem.

– Mam pani przedstawić swój bilans, Kate? Bilans nadkomisarza Caleba Hale’a po jego pierwszym odwyku. A więc, co my tu mamy?

Zaczął liczyć na palcach.

– Mamy Peggy Wild, ciężko ranną młodą kobietę, która ciągle jeszcze leży w szpitalu. Mamy półżywego mężczyznę, ojca rodziny, o którym lekarze mówią, że nie wiadomo, czy przeżyje dzisiejszą noc. Mamy jego żonę i dziecko, oboje w głębokiej traumie po ostatnich przeżyciach. Sprawcy tego wszystkiego, który w dodatku jest uzbrojony, ciągle jeszcze nie możemy schwytąć. Jest w drodze, bo ucieka wraz ze swoją towarzyszką życia, o której nie wiemy dokładnie, czy jest jego zakładniczką czy współpracowniczką. Ach, byłbym zapomniat: ciągle jeszcze nie wiemy, kto zamordował pani ojca, Kate. Od lutego nie posunęliśmy się ani o krok. Chyba że moje idiotyczne opętanie, jeśli chodzi o Shove’a, potraktujemy jako pierwszy krok na drodze poszukiwania sprawcy poprzez wykluczenie kolejnych osób. Tak, to całkiem nieźle brzmi, prawda? Teraz już wreszcie wiemy, że możemy Shove’a skreślić z listy podejrzanych. Czyż to nie jest postęp?

– Caleb, niech pan przestanie. Nic nie jest warte tego, żeby...

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Czego nie jest warte?

– Żeby pan znów zaczął pić. Cokolwiek poszło źle, to nie jest warte tego, żeby znalazł się pan tam, gdzie pan był.

– A gdzie ja byłem?

– Zgodnie z tym, co słyszałam, był pan na prostej drodze do zapicia się. Teraz pan sądzi, że jednocześnie był pan świetnym śledczym, ale wmawia pan to sobie. To, co pan robił, to było po prostu samobójstwo na raty.

W zamyśleniu popatrzył na swoją szklankę.

– Kiedy wyszedłem z kliniki, mój terapeuta powiedział mi, że pierwsza próba nastąpi wtedy, kiedy pojawią się prawdziwe problemy. Kiedy doznam prawdziwego wstrząsu i to zachwieje podstawami mojego bytu, i kiedy zacznę myśleć, że oprócz alkoholu nie ma już innego wyjścia... Ale to nieprawda. Bo to się zaczęło o wiele wcześniej. Ta próba zaczęła się już pierwszego dnia. Wróciłem do swojego biura i dygotałem ze strachu. Miałem na biurku sprawę pani ojca i wszystko, co odczuwałem, to była potworna rozpacz. Czulem, że to mnie przerasta. Czulem się bezradny i słaby. To właśnie jest sedno sprawy: bez alkoholu brakuje mi pewności siebie. Nie wierzę, że jestem w stanie cokolwiek zrobić, coś osiągnąć. Mam jakieś pomysły, ale za chwilę wydaje mi się, że są one głupie, że prowadzą donikąd. I opadają mi ręce. Nie jestem w stanie nikomu powiedzieć, co

ma robić, nie potrafię podjąć żadnej decyzji. Siedzę i mam nadzieję, że wydarzy się coś, co wskaże mi drogę.

– Ale przecież podejmował pan decyzje, Caleb. Widziałam. Sprawia pan wrażenie przekonującego. I bardzo niezależnego.

– Upierałem się przy Denisie Shovie. On po prostu był i po prostu się go uczepliłem. Był jak światło w ciemnej nocy.

Potrząsnął głową.

– Że też ja coś takiego mówię akurat o Shovie.

Chciałaby mu powiedzieć, że go dobrze rozumie. Kiedy mówił o braku pewności siebie, miała zamiar wręcz wejść mu w słowo. *To jestem ja! Opisuje pan właśnie mnie. Doskonale wiem, co pan czuje. Nie jest pan sam.*

Ale on mówił już dalej.

– Moja była żona ciągle próbowała analizować, co było tego przyczyną. To znaczy, moje wątpliwości co do samego siebie, nieumiejętność uwierzenia w siebie i własne zdolności. Ciągle grzebała w moim dzieciństwie i młodości. Gdzie jest problem? Albo gdzie został popełniony błąd? I mogę pani powiedzieć, Kate, że nie było żadnego błędu. Nie ma w moim życiu niczego, co wyjaśniałoby i tłumaczyło, dlaczego nie uważam się za nieudacznika tylko wtedy, kiedy piję. Nie miałem trudnego dzieciństwa. Miałem troskliwych i kochających rodziców. Sympatyczne rodzeństwo. Dobrych nauczycieli. Wszystko było dobrze. Niezłe, prawda? Gdziekolwiek by zajrzeć, nigdzie nie ma niczego, co mogłoby mnie usprawiedliwić.

Znów wyciągnęła rękę i położyła mu ją na ramieniu. Tym razem nie po to, aby powstrzymać go przed sięgnięciem po butelkę. Tym razem był to gest ciepła i zrozumienia. Udziału w jego uczuciach.

– Może tak czasami po prostu jest, że nie można znaleźć żadnej przyczyny ani wyjaśnienia. Dlaczego ja jestem samotna? Dlaczego z takim trudem otwieram się na ludzi? Dlaczego nie potrafię uwierzyć w siebie? Tak często szukałam odpowiedzi na te pytania. Ale ich nie ma i nie będzie. Zarówno u mnie, jak i u pana. Są gdzieś ukryte, tak głęboko, że nie możemy ich znaleźć. Prawdopodobnie będzie tak zawsze. I trzeba mimo to z tym żyć.

Nie wiedziała, czy jej słuchał, bo znów zmienił temat.

– Miałem wrażenie, że Jane nie była przekonana co do Shove'a jako sprawcy. Ale ona postępowała zgodnie z moimi wytycznymi i mimo to zrobiła w tej sytuacji to, co najlepsze. Uratowała tę rodzinę, i to w ostatniej sekundzie. Ona i ten uchodźca z Iraku. On też czuł, że coś tu nie gra. A Jane mu uwierzyła.

Kate, która nie wiedziała wszystkiego, miała wrażenie, że nie było sensu dopytywać się teraz o szczegóły. Przytaknęła więc tylko, dodając:

– Tak. Okay.

– Dzięki temu, że Jane uwolniła tę rodzinę, wiemy, jakim samochodem

podróżują Shove i Malyan. Therese Malyan jest biologiczną matką adopcyjnego syna Crane'ów, wie pani?

Kate wirowało w głowie od nadmiaru wiadomości.

– Tak mniej więcej – odparła.

– I oni aż do dzisiejszego ranka byli jeszcze w Cairnryan, w Szkocji. Tam wsiedli na prom do Belfastu. A przedtem nie zapłacili rachunku w hotelu i w dodatku wzięli parę rzeczy z inwentarza. Dlatego na miejscową policję było zgłoszenie. I jeszcze byli na tyle głupi, aby występować pod nazwiskiem Crane. Stella i Jonas Crane'owie. Kiedy dziś po południu nasz list gończy pojawił się we wszystkich komputerach, łatwo było ustalić wszystkie powiązania. Koledzy ze Szkocji poinformowali nas od razu. Dlatego wiemy dość dokładnie, gdzie teraz mogą być.

– Ale to przecież jest sukces, Caleb!

– Sukces Jane, nie mój.

– Jesteście zespołem.

– Tak, tak – wymamrotał. Ale przynajmniej nie nalewał sobie już whisky. Wyglądał na zrozpaczonego i przybitego.

Kate cofnęła rękę. Nie mogła przecież trzymać jej stale na jego ramieniu. Wiedziała, że on jej nie obejmie. Dziś nie ani też prawdopodobnie nigdy.

– Powinien pan iść spać, Caleb. Jutro być może wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej.

– Jutro – odpowiedział Caleb – muszę się zastanowić, co robić z tym dalej. – Ruchem głowy wskazał butelkę whisky.

– Powinien pan to wylać.

– Być może.

Nie sprawiał wrażenia zbyt zdecydowanego.

– Czy mam zostać?

– Nie. Proszę iść. Chciałbym zostać sam.

– Boję się, że pan...

– Co takiego?

– Że będzie pan dalej pił.

– Pójdę spać.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Kate nie odważyła się zdradzić swych myśli: że albo był to jednorazowy incydent, albo Caleb wrócił do nałogu, i to z daleko idącymi konsekwencjami. Wszystko było możliwe. W tej chwili była to sprawa otwarta.

Wzięła swoją torebkę, ale wtedy coś sobie przypomniała. Właściwy powód, dla którego tu przyszła.

– Ach, Caleb, właściwie chciałam panu coś przekazać: rozmawiałam dziś rano z Kadirem Roshanem. To ten dziwak, który stale siedzi na murku przed

domem Grace Henwood. Dziwak, ale dobrze zaobserwował wszystko, co się dzieje.

Dostrzegła, że Caleb zadawał sobie dużo trudu, aby skoncentrować się na jej słowach. On sam także to zauważył.

– To jest wszystko, co dał mi ten cholerny odwyk. Źle znoszę alkohol. Właściwie wcale go nie znoszę. Dawniej po wypiciu połowy butelki byłem błyskotliwy i miałem jasny umysł. A teraz mam wrażenie, że wszystko w mojej głowie się rozplywa. Jak ja mówię? Czy słyhać, że jestem pijany?

– Trochę. Może lepiej niech pan dziś już z nikim nie rozmawia. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Tak, jasne. Tak będzie najrozsądniej, prawda? A co chciała pani powiedzieć o tym człowieku na murku?

– On mi powiedział...

Ale Caleb podniósł rękę i jej przerwał.

– Wie pani, Kate, sądzę, że dziś wieczór nie nadaję się do poważnej rozmowy. Powinna się pani zwrócić do Jane. To ona jest bohaterką dnia. Musi być koniecznie awansowana.

Kate miała na końcu języka uwagę, że Jane jest o kilka lat za młoda na stopień sierżanta śledczego, który chcąc nie chcąc, otrzymałaby w wyniku awansu, ale się powstrzymała. W końcu niewiele ją to obchodziło.

– Mam zadzwonić do Jane?

– Tak, to byłoby najlepsze. Albo niech pani do niej pojedzie. Burniston. Limestone Grove. Numer... Dobry Boże, moja pamięć. – Caleb chwycił się za głowę, jak gdyby chcąc w ten sposób zmusić myśli do koncentracji. – Wydaje mi się, że piętnaście. Albo pięć. Albo dwadzieścia pięć.

– Sądzi pan, że mogę ją tak po prostu napaść?

Roześmiał się i nie zabrzmiało to przyjemnie.

– Mnie przecież też pani po prostu napadła.

Kiedy jednak zobaczył wyraz jej twarzy, dodał pojednawczo:

– Nie mówiłem tego poważnie. Nie, naprawdę, myślę, że ona się ucieszy. Jane jest dość samotna, wie pani? Z powodu Dylana. Tu tkwi cały problem.

5

Nazwa ulicy się zgadzała. Na tyle Caleb panował jeszcze nad swoim umysłem. Kate rozpoznała dom po samochodzie Jane, który stał na podjeździe. Ale jeśli chodzi o liczbę pięć, i to w dowolnej kombinacji, to Caleb pomylił się całkowicie.

Osiedle w Burniston, przedmieściu Scarborough, sprawiało wrażenie względnie nowego, było czyste, uporządkowane i bardzo sympatyczne. Małe domy zbudowane z czerwonej cegły klinkierowej, z polakierowanymi na biało oknami

i takimi samymi drzwiami. Porządnie skoszony trawnik przed wejściem. Cała bardzo solidna okolica nie pasowała jakoś do Jane, przynajmniej takiej Jane, jaką знаła Kate i na ile była w stanie ją ocenić. Ale przypuszczalnie nie było to miejsce, które Jane wyszukałaby sobie zgodnie ze swoją wolą. Niewielka liczba metrów kwadratowych każdego z domów zdradzała przede wszystkim jedno: niepotrzebny był ogromny majątek, żeby tu mieszkać. Jane jako młoda policjantka nie zarabiała wiele, ale może mimo wszystko marzyła o jakimś małym ogrodzie, a nie tylko o mieszkaniu na piętrze gdzieś w centrum Scarborough. Już choćby z powodu dziecka. Gdzieś jednak trzeba było porobić ograniczenia i to zadbane osiedle było dla Jane jakimś kompromisem.

Ciągle jeszcze nie padało, ale na niebie piętrzyły się już ciemne chmury. Nie wróżyły one dobrej pogody.

Po raz drugi tego wieczoru Kate stała przed obcymi drzwiami, dzwoniła i z zakłopotaniem pytała samą siebie, czy postępuje słusznie. Może tylko denerwowała wszystkich. Caleb też nie za bardzo się cieszył, kiedy ją zobaczył. Powinna była zadzwonić do Jane. Ale w głębi duszy Kate wiedziała, czemu tego nie zrobiła: spędziwszy zupełnie samotnie kilka miesięcy w domu ojca, poczuła nagle, że dłużej tego nie znieśie. Nie chciała już dłużej być sama. Chciała się spotykać z innymi ludźmi. Chciała żyć.

Usłyszała szybkie kroki, a po chwili w drzwiach stanęła Jane i popatrzyła na Kate ze zdumieniem. Kate w każdym razie miała nadzieję, że było to zdziwienie, a nie przerażenie.

– Kate? A to niespodzianka. – Nie cofnęła się w głąb mieszkania. – Czy coś się stało?

– Nie, nic się nie stało. A przynajmniej mam taką nadzieję. Wie pani, mogłam zadzwonić... – zająknęła się Kate. To jednak *jest przerażenie*, pomyślała i poczuła się nieswojo. Nie powinna była przychodzić.

– Tak?

Z wnętrza mieszkania dobiegł głośny brzęk tłuczonego szkła.

– Dobry Boże! – krzyknęła Jane, odwróciła się i pobiegła do środka.

Kate przez dobrych kilka minut stała niezdecydowana przed domem. Niemal czuła, że jest ostatnią osobą, którą Jane chciałaby zobaczyć tego wieczoru. Przeszkadzała. Ale może ktoś inny też by przeszkadzał. Jane wyglądała na bardzo zestresowaną i zmęczoną. Jak gdyby w domu zrzuciła maskę pewnej siebie, zaangażowanej i samodzielnej policjantki i zza niej ukazała się kobieta, która musiała zużyć całą energię, aby sprostać własnemu życiu. Która była wręcz przytłoczona obowiązkami codziennego dnia.

Kiedy Jane ciągle nie wracała, Kate pomyślała, że powinna iść. Po prostu cicho zamknąć drzwi i zniknąć.

Ale nagle zdecydowała się postąpić inaczej. Weszła do środka, przeszła

przez korytarz i znalazła się w kuchni. Zaskoczona zatrzymała się na widok tego, co zobaczyła.

Jane siedziała w kucki na podłodze zasłanej równo skorupami potłuczonych talerzy. Musiało się ich potłuc bardzo dużo, bo skorupy leżały we wszystkich kątach. Jane ostrożnie zbierała większe kawałki i wrzucała je do pojemnika ze śmieciami, który postawiła obok.

Podniosła głowę.

– Ach, Kate, proszę wybaczyć. Małe nieszczęście.

Przy kuchennym stole siedział młody mężczyzna. W każdym razie, sądząc po wzroście i budowie, mógł mieć osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Jednak twarz chłopaka miała wyraz jak u małego dziecka. Była nalana, wręcz zapuchnięta, niemal bez konturów, z błakającym się po niej debilnym uśmiechem. Rzadkie jasne włosy spadały mu na płaskie czoło i kleiły się do okrągłej dużej głowy. Młody mężczyzna ubrany był w ciemnoniebieski dres, który prawdopodobnie był jedynym ubiorem, w jaki dawało się wtłoczyć masę jego ciała. Był niewyobrażalnie wręcz gruby. Miał mięsiste, wielkie ręce, galaretowate, jakby nadmuchane ramiona. Ciało, które z trudem mieściło się w drzwiach o normalnych wymiarach. I które z trudem mieściło się na krześle. Na szczęście tu była ławka. Jego ciało przelewało się na boki nawet na niej.

Mężczyzna wydał z siebie bulgoczący dźwięk i sięgnął po jedzenie, które teraz stanowiło bliżej nieokreśloną masę zmieszaną ze skorupami porcelany.

– Głodny! – powiedział niewyraźnie. – Głodny!

Jane poderwała się natychmiast. Chwyciła go za rękę.

– Nie! To są skorupy. To jest niebezpieczne!

Wytrzeszczył na nią oczy i powtórzył:

– Głodny!

– Poczekaj chwilę. Dostaniesz coś zaraz. Najpierw muszę tu zrobić porządek. Nic nie wkładaj do ust, słyszysz?

Twarz mężczyzny przybrała nadąsany wyraz, jak u dziecka. Ale posłusznie cofnął rękę i nie sięgał już po to, co było na stole.

Kate stała nieruchomo i obserwowała tę scenę.

Żałowała, że przyszła. Wiedziała już, dlaczego Jane nie zaprosiła jej do środka

Jane odwróciła się do niej i odgarnęła ze spoconego czoła potargane włosy.

– No tak – powiedziała. – To jest właśnie Dylan.

Był tylko jeden niezawodny środek, aby go uspokoić: ciastka z bitą śmietaną i dżemem brzoskwiniowym.

– To nie jest słuszna metoda – powiedziała Jane. – Właśnie z powodu jego rozmiarów. Ale inaczej nie daję rady. Potrzebuję kilku chwil dla siebie. A co to znaczy dla siebie? Chodzi o to, aby od czasu do czasu skosić trawnik, wziąć

prysznic, skoncentrować się na czytaniu akt, których nie zdążyłam przejrzeć w biurze. A wtedy on musi być cicho. I dlatego zapycham go jego ulubionym jedzeniem i jest spokojny jak jagnię.

Dylan siedział w kuchni i zajadał ciastka, na które nałożył sobie ogromną porcję bitej śmietany. Jane i Kate razem doprowadziły kuchnię do porządku, wrzuciły skorupy pobitych naczyń do śmieci i wytarły resztki jedzenia. Mniejsze kawałki porcelany Jane zebrała odkurzaczem. Dylan i Jane akurat siedzieli przy kolacji i on rozrzucił wszystko, co było na stole, po całej kuchni.

– Bo ja zadzwoniłam – powiedziała Kate. – O Boże, tak mi przykro.

– Nie wiem, czy to dlatego – odparł Jane. – Coś było nie tak, jak chciał. On wtedy łatwo wpada w panikę. Takie sceny mam w domu dość często.

Siedziały obie w salonie. Drzwi były otwarte, podobnie jak drzwi do kuchni. Jane miała Dylana na oku.

– Chcesz się czegoś napić? – spytała. Od kiedy razem uporały się z bałaganem w kuchni, stały się sobie bliższe. Kate ciągle się martwiła, że to ona była przyczyną nagłego szaleństwa Dylana, ale jednego była pewna: Caleb miał rację, Jane była bardzo samotna. I wcale nie chciała, aby Kate szybko poszła do domu. „Nie musi przecież niczego ukrywać” – myślała Kate.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Posiedź przez chwilę w spokoju i odpocznij.

Jane skinęła głową i usiadła wygodnie w swoim fotelu

– W ciągu tygodnia za dnia Dylan przebywa w zakładzie dla niepełnosprawnych. Jest tam zajęty i to mu dobrze robi. Składa jakieś proste rzeczy, klamerki do bielizny, plecione podstawki i tym podobne. Rano zabiera go autobus i przywozi późnym popołudniem. Wraca tutaj o wpół do szóstej. Niestety nie zawsze udaje mi się być o tej porze w domu. Nadkomisarz Hale zna mój problem i zawsze próbuje umożliwić mi wcześniejszy powrót do domu. On jest naprawdę dobrym i wyrozumiałym przełożonym. Zawsze postępuje fair. Ale stale... nie może tego robić. Czasami muszę zostać dłużej.

– I co wtedy?

Jane wzruszyła ramionami.

– Mam sąsiadkę. Do tej pory zawsze była skłonna do pomocy. Złoszcząc się i zrzedząc co prawda, ale dotychczas mogłam na nią liczyć. Mam szczęście, że jest samotna i znudzona. I że lubi mieć władzę nad innymi ludźmi. Ona uwielbia to, że jestem od niej zależna. A ja puszczam mimo uszu jej złośliwe uwagi i kilka razy w tygodniu błagam ją pokornie, aby mi pomogła. Oczywiście też nie może go inaczej uspokoić, niż podając mu w kółko jedzenie. Każdy widząc go, myśli, że on wkrótce pęknie, ale on rzeczywiście jest w stanie wrzucić w siebie niesłychane ilości jedzenia. I wtedy robi się potulny jak baranek. Co mam więc robić? Nie mogę przecież żądać od sąsiadki, aby zaoferowała mu jakiś interesujący program

spędzania czasu. Muszę się cieszyć, że go pilnuje.

Kate ciągle czuła się tak, jak gdyby ktoś uderzył ją w głowę. Sądziła, że Jane jest samotną matką, wprawdzie zestresowaną i zmęczoną jak większość kobiet w tej sytuacji, ale jednocześnie szczęśliwą z powodu jasnych stron macierzyństwa. Którymi było to, że jest na świecie mały kochający ją chłopiec. Który jej potrzebuje i ją kocha.

A zamiast tego... ten straszny, tłusty kolos. Całkowicie zależny od niej, z zaburzeniami psychicznymi. To jak ciężkie kajdany u stóp tej delikatnej młodej kobiety. Ktoś, kto jedynie wysysa z niej wszystkie siły. I przypuszczalnie nie oddaje ani odrobiny tego, co dostaje.

– Ile lat ma Dylan?

– Za cztery tygodnie będzie miał osiemnaście.

– On jest...

– Moim bratem. Moim *małym* bratem. – Jane roześmiała się, bo jednocześnie dostrzegła absurdalność tego stwierdzenia.

– Że tak powiem, odziedziczyłam go po rodzicach. Razem ze zobowiązaniem, że zawsze z nim będę.

Kate mniej więcej zdawała sobie sprawę, jak trudne było takie zobowiązanie.

– Oni tego od ciebie żądali...?

– Moja matka – uściśliła Jane. – Mój ojciec po prostu dał drapaką, kiedy Dylan był jeszcze mały. Matka wówczas całkowicie poświęciła swoje życie temu dziecku. Na łożu śmierci wymogła na mnie obietnicę, że nigdy nie oddam go do zakładu.

– To bardzo wielkie zobowiązanie – powiedziała Kate cicho.

– Tak. I w ogóle nie wiem, czy rzeczywiście będę mogła go dotrzymać.

Jane wstała, wyjęła z szafy szklankę i nalala sobie dzinu. Spojrzała pytająco na Kate, ale ona potrząsnęła głową.

– Jest z nim coraz trudniej. Staje się silniejszy. Bardziej agresywny. Dostaje niesłychaną ilość tabletek. Po części to one są przyczyną tego, że się tak roztył. Ale oczywiście także i to, że stale uspokaja się go jedzeniem. Błędne koło, ale nie mam pojęcia, jak je przerwać.

– Jesteś zupełnie sama z tym problemem?

– Jeśli nie liczyć mojej uroczej sąsiadki, tak – odpowiedziała Jane.

– Czy on przyszedł na świat w takim stanie?

– Błąd w czasie porodu.

Umilkły obie. W kuchni słychać było dźwięczenie talerza, z którego jadł Dylan. Jane patrzyła nieruchomym wzrokiem przed siebie. Kate wyobrażała sobie wieczory tej kobiety: jak biegła z pracy do domu. Po drodze jeszcze szybkie zakupy. I pewnie rzadko kiedy udawało jej się załatwić wszystko do wpół do szóstej. I jeszcze na dodatek czekało ją wymyślanie sąsiadki, bo znów musiała

zająć się Dylanem. A Jane musiała zdusić w sobie każdą odpowiedź, bo przecież nie mogła ryzykować, że sąsiadka odmówi swej pomocy. I potem Jane skazana była na siedzenie w domu i pilnowanie nieobliczalnego brata. Mowy nie było o spacerze nad morzem. Ani o sporcie. Także o spotkaniu z przyjaciółmi gdzieś w pizzerii. Czy też o kinie. Nie mówiąc już o randce z mężczyzną. Zwłaszcza że o bliższych stosunkach z mężczyzną Jane mogła zapomnieć – każdy będzie dążył do zachowania większego dystansu, jeśli tylko się dowie o jej szczególnym posagu. Kate przypuszczała, że Dylan był też powodem wczesnego rozvodu Jane.

– Ach, Jane – powiedziała cicho.

Jane spojrzała na nią uważnie.

– Twoje włosy wyglądają dobrze. Nowa fryzura, prawda? Świetna. Masz młodszą i bardziej mięką twarz.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– Dlaczego właściwie przysłaś? – spytała Jane. – To znaczy, oczywiście się cieszę. Naprawdę. Jak się zapewne domyślasz, bardzo rzadko ktoś mnie odwiedza. Ale miałaś chyba jakiś określony powód, prawda?

– Tak.

Kate szybko opowiedziała o tym, czego się dowiedziała od Kadira Roshana. O dziwnym mężczyźnie, który kręcił się po osiedlu w Liverpoolu i wypytywał ludzi o Grace.

– Chciałam wyjaśnić, czy to ktoś z policji. Wtedy mogłabym o nim zapomnieć. I byłam u Caleba, ale... – Urwała i zagryzła wargi. Nie chciała mówić o tym spotkaniu.

Jane zauważyła to natychmiast.

– Byłaś u Caleba? Dziś wieczór?

– Tak.

– I on przysłał cię do mnie?

– Sądził, że ty mogłabyś to wyjaśnić. Dzwoniąc do policjantki prowadzącej śledztwo w Liverpoolu.

– Dlaczego sam tego nie zrobił? Przecież kosztowałoby go to dwie minuty czasu.

– On... – Kate się zawahała, ale pomyślała o słowach Jane sprzed kilku minut: „on jest naprawdę wyrozumiałym przełożonym”. Jej głos brzmiał tak ciepło, a wyraz jej twarzy świadczył o tym, że bardzo ceniła Caleba. Nigdy nie chciałaby mu zaszkodzić. Może jednak mogłaby pomóc. – On był pijany, Jane. Stał w swojej eleganckiej kuchni i wlewał w siebie whisky jak wodę. Ale był jeszcze na tyle przytomny, aby rozumieć, że lepiej będzie do nikogo nie dzwonić dziś wieczór. To można poznać po jego głosie. I po sposobie, w jaki się wyraża.

– Do cholery – powiedziała Jane. – Do cholery! – Odstawiła szklanekę, nie wypiwszy dzinu. – Już dziś po południu miałam jakieś przecucia. Z powodu tej

sprawy z Shove'em. To go całkowicie... dobiło.

– Słyszałam, że uratowałaś tę rodzinę?

– Tak. I Caleb teraz sądzi, że im nic by się nie stało, gdybyśmy nie zapędzili Shove'a w kozi róg. Wiesz, Kate, coś w tym jest. Ale mimo to faktem jest, że Shove to niebezpieczny kryminalista. I dobrze, że go teraz dopadną w Irlandii. To jest sukces naszego zespołu. Chciałabym, aby Caleb też tak na to patrzył.

– Ale ciągle jeszcze nie złapał mordercy mojego ojca. I Melissy Cooper. I Normana Dowricka.

– Wcale nie uważam, że Shove był fałszywym tropem. To człowiek skłonny do przemocy. I tak prędzej czy później znalazłby się w sytuacji, w której zacząłby do kogoś strzelać. Albo zakłułby kogoś czy pobił ze skutkiem śmiertelnym. To taki typ człowieka. Wieczny przestępca. I on się nie zmieni.

– Jane, nikt nie może się dowiedzieć, co właśnie powiedziałam o Calebie – powiedziała Kate.

– Na pewno będę milczeć. Pytanie tylko, czy Caleb będzie w stanie jutro się kontrolować? I czy wyjdzie z tego zakrętu?

Obie kobiety spojrzały na siebie. Caleb stał nad przepaścią.

– Głodny – powiedział Dylan. Niezauważony wszedł do pokoju. Wydawało się, że jego ogromne ciało wypełnia całe pomieszczenie. Miał twarz wymazaną śmietaną, która kleiła się też do jego dresu. Coś innego kleiło się też do jego spodni. Kate zastanawiała się, jak Jane udaje się utrzymywać go we względnej czystości.

Jane ujęła brata za ramię.

– Na dziś dość jedzenia, Dylan. A może chciałbyś pooglądać telewizję?

– Telewizję – powtórzył Dylan. Pozwolił się zaprowadzić do kanapy i osunął się na nią. Mebel ugiął się niemal do samej podłogi.

– W jego warsztacie wybuchła epidemia szkarlatyny – powiedziała Jane. – I zamknęli wszystko na kilka dni. Zobaczę, czy znów uda mi się namówić sąsiadkę.

– Telewizję! – powtórzył Dylan, tym razem żądającym głosem, z lekką agresją. Kate mogła sobie wyobrazić, że łatwo wpadał we wściekłość. – Telewizję!

Jego siostra wyjęła płytę DVD i włączyła odtwarzacz. Była to bajka *Thomas i mała lokomotywa*. Dylan roześmiał się, głośno przy tym bulgocząc, i natychmiast zaczął naśladować dźwięki wydawane przez lokomotywę. W tym momencie Kate usłyszała dzwoniącą komórkę, wstała więc i szybko wyszła z pokoju, bo dźwięki z telewizora razem z hałasem jadącego pociągu, które głośno naśladował Dylan, skutecznie uniemożliwiały rozmowę.

– Tak? Kate Linville.

Szept. Nic nie rozumiała.

– Halo? Kto mówi? Tu Kate Linville.

– Kadir. Mówi Kadir – usłyszała wyraźny szept i weszła dalej do kuchni.

W efekcie dźwięków wydawanych przez Dylana miała wrażenie, że bezpośrednio pod oknami domu przejeżdża pociąg ekspresowy.

- Kadir? Co się dzieje? Nie może pan mówić głośniej?
- On jest tutaj – wyszeptał Kadir. – Ten mężczyzna. I szuka Grace.
- On jest u pana?
- On nie może mnie usłyszeć. Jest niebezpieczny.
- Kadir, musi pan...
- Wiem, gdzie jest Grace.
- Na pewno?
- Przypuszczam, że ona tam jest. I mam prawie pewność...
- Nie może pan zadzwonić na policję w Liverpoolu?
- Pieniądze mi się zaraz skończą...

Kate usłyszała brzęk wrzucanych monet. Oczywiście Kadir nie miał komórki. Mogła mówić o szczęściu, że gdzieś na tym opuszczonym osiedlu w ogóle znalazł niezniszczoną jeszcze budkę telefoniczną. I że miał przy sobie kilka pensów.

– Okay, Kadir. Proszę zostać tam, gdzie pan jest. Zajmę się tym. Gdzie jest Grace?

Znów terkot wrzucanych monet. A Kadir mówił tak cicho. Niemal wyczuwała przez telefon jego strach. Był wprost ogarnięty paniką.

- ...dawniej... pod Kanadyjskim Dokiem... z biegiem rzeki...

Tylko te fragmenty była w stanie usłyszeć. A potem połączenie zostało przerwane.

6

Sierżant śledczy Robert Stewart znów miał za sobą nieudaną randkę i nie czuł najmniejszej chęci, aby pójść do domu. Tak właśnie wyglądał ciągły problem z internetowymi znajomościami. Tygodniami wymieniało się z kimś maile, sądząc, że wyniknie z tego coś poważnego, ale kiedy przychodził czas na to, aby zamienić wirtualną znajomość na realny świat, zaczynały się problemy. Jego dotychczasowy związek – o ile w ogóle można było to tak nazwać – ciągnął się ślamazarnie, od kiedy zaproponował spotkanie. W końcu ona wreszcie zgodziła się na spotkanie dzisiejszego wieczoru – aby w ostatniej chwili przysłać maila, w którym odmówiła, zasłaniając się przeróżnymi pretekstami. Miał wrażenie, że obawiała się realnego świata, i były ponoć po temu ważne powody: złe doświadczenia oraz fakt, że była niepoprawną romantyczką i jednak przeczuwała, że czar wymienianych przez komputer myśli pierzchnie, kiedy tylko zasiądą naprzeciw siebie nad makaronem z sosem pomidorowym i winem. Jednak najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jej odmowy był chyba fakt, że to, co pisała o sobie, po prostu nie odpowiadało prawdzie i że najbardziej obawiała się chwili, w której to wyjdzie na

jaw.

Robert w drodze do domu i tak musiał przejeżdżać koło General Hospital w Scarborough, a ponieważ nie miał ochoty na samotny wieczór przed telewizorem, postanowił zajrzeć do Stelli Crane, aby dowiedzieć się o zdrowie jej i jej syna, a przede wszystkim męża. Była godzina ósma, czyli pora w miarę stosowna jego zdaniem na odwiedziny. Gdyby Mrs Crane spała albo po prostu nie życzyła sobie rozmowy z nim, mógł zniknąć bez żadnego problemu.

Robert musiał przyznać, że to, co zrobiła dziś Jane Scapin, to była naprawdę wspaniała rzecz. W ogóle biorąc pod uwagę fakt, jakim trudnościom musiała codziennie stawiać czoło, Jane radziła sobie z pracą znakomicie. I to właśnie było dla niej typowe: cicho, bez rozgłosu sama poprowadziła dochodzenie bocznym tropem i odniosła pełny sukces. Co w efekcie doprowadziło też do zatrzymania Denisa Shove'a: czterdzieści minut temu Robert otrzymał wiadomość, że koledzy z Irlandii ujęli już Shove'a wraz z partnerką. Oboje wpadli dzięki szeroko zakrojonej obławie policyjnej koło Belfastu. Na szczęście nikt nie został ranny. Wykończony nerwowo Shove nawet nie próbował zrobić użytku z broni palnej, lecz poddał się od razu. Jego towarzyszka, płacząc, załamała się. Oboje nie byli kolejnym wcieleniem słynnej pary Bonnie i Clyde.

Robert od chwili otrzymania tej wiadomości próbował się skontaktować z nadkomisarzem Calebem Hale'em, ale ku jego zdumieniu szef nie odbierał telefonu. Wprawdzie poszedł wcześniej do domu, lecz zwykle można się było do niego dodzwonić. A już zwłaszcza w takim dniu jak dzisiejszy, kiedy wszyscy liczyli na ujęcie człowieka, który był przez nich od wielu miesięcy ścigany. A Caleb robił to z największym zaangażowaniem. Nie pasowało do niego, że akurat teraz gdzieś zniknął. Z drugiej strony jednak tego dnia właśnie Hale miał wyjątkowo podły nastrój. Robert, który nie był przesadnie wrażliwy, jeśli chodzi o uczucia innych ludzi, zupełnie tego nie rozumiał. W końcu przecież go złapali, złapali Denisa Shove'a! Okay, najprawdopodobniej nie on był mordercą. Jeśli o to chodzi, to rzeczywiście niewiele udało się im zrobić. Ale to mogło się naprawdę szybko zmienić, jeśli uda się odnaleźć tę dziewczynkę z Liverpoolu, która była świadkiem morderstwa. Wszystko było na pewno tylko kwestią czasu. A Shove to obrzydliwy typ i będzie dobrze, kiedy znów wyląduje za kratkami. To był naprawdę duży sukces. Podobnie jak fakt odnalezienia martwego Normana Dowricka, choć było to makabryczne. Dwa sukcesy, z których jeden szedł na konto Jane Scapin, a drugi na konto tej małej szarej myszy. Kate Linville.

Czy to właśnie było problemem Hale'a? Że dwie *kobiety* okazały się lepsze od niego?

Tak małostkowy i drobnomieszczański szef przecież nie był.

Deszcz zaczął padać właśnie wtedy, kiedy Robert parkował samochód przed szpitalem. Robert nie miał żadnego okrycia, pobiegł więc szybko wybrukowanym

chodnikiem, który prowadził wprost do kompleksu szpitalnych budynków. Jeszcze zanim wjechał na parking, ponownie spróbował się dodzwonić do szefa, i znów bezskutecznie. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma zawiadomić o tym Jane, postanowił jednak dać jej tego wieczora spokój. W ostatnim czasie naprawdę żałośnie wyglądała. Była przeciążona i bardzo zmęczona wszystkimi obowiązkami, jakim musiała sprostać w życiu.

Robert sądził, że będzie musiał wypytywać o pokój Stelli, ale ku swemu zdziwieniu spotkał ją już w holu wejściowym. Rozpoznał ją natychmiast, bo przed południem był jednym z tych kolegów, do których Jane zadzwoniła najpierw. Zjawił się natychmiast i był świadkiem, jak sanitariusze wynosili półżywego Jonasa Crane'a z gorącej, śmierdzącej ludzkimi ekskrementami szopy. I to on zadał wycieńczonej Stelli kilka pierwszych pytań. Jej synowi podarował naklejkę Manchester United, którą całkiem przypadkiem znalazł w swoim samochodzie. I wyczarował dzięki temu uśmiech na twarzy dziecka, a Stella, widząc to, powiedziała cicho:

– Dziękuję bardzo!

Teraz znów stała przed nim, w dżinsach, sportowych butach i T-shircie z długimi rękawami. Była bardzo blada, a jej twarz ciągle jeszcze miała wyostrome rysy, dzięki czemu oczy wydawały się jeszcze większe, ale w porównaniu z tym, co Robert widział przed południem, Stella doszła do siebie zdumiewająco szybko. Jej długie jasne włosy były umyte i zaplecione w warkocz, zdążyła się nawet trochę umalować.

– Ach, sierżancie! – powiedziała na jego widok. – Właśnie chciałam iść na mały spacer. I widzę, że zaczęło padać.

– Tak, na dworze nie jest przyjemnie – odparł Robert i się otrząsnął. Krople deszczu spadły mu z włosów na czoło. – I w dodatku zrobiło się wyraźnie chłodniej. Na pani miejscu nigdzie bym nie szedł. Jeszcze pani nie wróciła całkiem do siebie i natychmiast się pani przeziębi.

– Z pewnością ma pan rację – zgodziła się z nim. Mówiła niezwykle powoli i Robert przypuszczał, że była pod wpływem silnych środków uspokajających.

– Chciałem pani powiedzieć, że już go mamy. To znaczy Denisa Shove'a. Został schwytyany w północnej Irlandii.

Nie zareagowała euforycznie, choć miał wrażenie, że była to dla niej dobra wiadomość. Ale nagle przypomniała coś sobie i w jej dużych oczach pojawił się lęk.

– Czy on...?

Robert wiedział, o co chciała zapytać.

– Nie, nie stawiał oporu. Nie padł ani jeden strzał. Denis będzie miał teraz proces i sądzę, że pewnie na długi czas wyląduje w więzieniu.

– A co z Terry? Therese Malyan, która była jego towarzyszką?

Zawahał się.

– Nie wyjdzie z tego całkiem bez szwanku. Będzie oskarżona o współudział.

– Ona jest mu po prostu posłuszna. Denis panował nad nią całkowicie.

– Jej rola będzie dokładnie zbadana. W sprawie zostanie też powołany psycholog. Częściowo z pewnością była ofiarą, i to będzie uwzględnione. Koledzy z Irlandii mówią, że ona wygląda bardzo źle. Zgodnie z jej słowami postanowiła uciec, ale Shove dopadł ją i strasznie pobił. Mimo to proszę się o nią za bardzo nie martwić. Jest młoda, ale to jednak dorosła kobieta. Nie można jej uwolnić od odpowiedzialności za własne czyny.

Stella skinęła głową.

„Ona jest nadal roztrzęsiona – pomyślał Robert. – Ta trauma jeszcze nie ustąpiła”.

Spytał ostrożnie:

– A jak się czuje pani syn? A przede wszystkim pani mąż?

– Mojego syna zabrała jedna z pielęgniarek i poszli razem malować obrazki. Wszyscy są tu dla mnie bardzo mili. A mój mąż... – Podniosła obie ręce. – Źle z nim. Lekarze mają nadzieję, że przeżyje noc.

– Na pewno przeżyje – powiedział Robert, chcąc dodać choć trochę nadziei tej bladej, wystraszonej kobiecie. – I wszystko skończy się dobrze.

– To był koszmar. Potworny koszmar. – Stella zadygotała. – Chcieliśmy odzyskać spokój, Jonas przede wszystkim. Był strasznie przepracowany i stale się martwił... Jego lekarz doradził mu coś takiego, wie pan? Żeby znaleźć jakieś miejsce na całkowitym odludziu, daleko od świata. Bez telefonu, bez Internetu. Żeby była tam możliwość skupienia się na sobie i odnalezienia w ten sposób siebie samego. No i wszystko poszło zupełnie nie tak, jak trzeba. – Umilkła, patrząc gdzieś obok Roberta w okno, na deszcz padający na dworze.

– Ale sam pomysł był dobry – powiedział Robert. – Skąd mogła pani wiedzieć, że dojdzie do czegoś takiego? Nikt nie mógł tego przewidzieć. Na świecie jest niestety wiele zła.

„Że też przychodzą mi do głowy takie banały” – pomyślał od razu, zaledwie to powiedział.

Ale ona poważnie skinęła głową.

– Tak, jest. Wiemy o tym. Codziennie czytamy o tym w gazetach. I mimo wszystko nigdy nie wierzymy, że ono spotka właśnie nas. To zupełnie jak z ciężkimi chorobami i wypadkami samochodowymi. Zawsze dotyczą kogoś innego. Aż... No tak, aż któregoś dnia to my padamy ich ofiarami.

– Ale to już minęło.

Nagle przyszło jej coś do głowy.

– Muszę koniecznie porozmawiać z pana koleżanką. Z tą wspaniałą kobietą, która nas znalazła. Sądzi pan, że to będzie możliwe?

– Funkcjonariuszka Jane Scapin. Oczywiście, że to możliwe. I tak musimy poprosić panią do naszego biura. Potrzebne jest nam pani dokładne zeznanie na temat tego, co się stało. Jeśli pani chce, to Jane poprowadzi tę rozmowę.

– To byłoby miłe. Jestem jej bardzo wdzięczna. I chciałabym jej to powiedzieć.

– Jane jest fantastyczna – powiedział. – I z tą sprawą także poradziła sobie znakomicie.

Przez chwilę każde z nich pograżyło się we własnych myślach. Wreszcie Robert chrząknął.

– A więc... na razie.

Uśmiechnęła się do niego. W tym uśmiechu widać było zmęczenie i to, że kosztował ją wiele sił.

– Pójdę się więc położyć. Lepiej zrezygnuję z tego spaceru.

– Chciałem właściwie powiedzieć pani tylko, że go już mamy – rzekł Robert.

– Denisa Shove’a. Nie możemy niczego odwrócić, ale on przynajmniej będzie musiał zapłacić za wszystko.

– Dziękuję, że pan tutaj wpadł. – Ucisnęła mu rękę i się odwróciła.

Patrzył za nią przez chwilę. Szła powoli i z wyraźnym trudem.

„Boże, spraw, aby jej mąż przeżył” – pomyślał.

Wyszedł ze szpitala, pobiegł w ulewnym deszczu do swojego samochodu. Tam raz jeszcze spróbował się dodzwonić do Caleba Hale’a.

Znów bezskutecznie.

Było to tak niepodobne do szefa, że Robert przez chwilę poczuł obawy. Ale pomyślał, że może Hale po prostu chciał mieć trochę spokoju. W ostatnim czasie niewiele sypiał.

Może więc po prostu poszedł wcześniej do łóżka.

7

– Kanadyjski Dok – powiedziała Kate. – Trochę poniżej. To jedyne, co zrozumiałam. On sądzi, że Grace tam się ukryła. I boi się, że to można wytropić. Ten podejrzany typ znów się tam włóczy. Ten mężczyzna, którego dotychczas nie mogliśmy zidentyfikować.

– Musimy zawiadomić kolegów z Liverpoolu – powiedziała zdenerwowana Jane. – Ów Kadir Roshan powinien pokazać im tę kryjówkę.

– Powiedziałam mu, żeby nie wychodził i został tam, gdzie jest. Mam nadzieję, że mnie posłucha.

– Bądź co bądź mamy już podane miejsce. Poniżej Kanadyjskiego Doku. Oni będą wiedzieć, gdzie to jest.

– Masz numer tej policjantki prowadzącej śledztwo? – spytała Kate.

Jane skinęła głową.

– Zadzwoń do niej natychmiast. – Wskazała na schody. – Moja komórka jest na górze. Muszę zawsze chować ją w bezpieczne miejsce przed Dylanem.

Dylan ciągle naśladował pociąg i kołysał się jak szalony na kanapie.

Kiedy Jane poszła do góry, aby zawiadomić policję w Liverpoolu, Kate przyszedł do głowy pewien pomysł. Poszła z powrotem do kuchni i wybrała numer Susannah Dowrick. Susannah odebrała po drugim sygnale.

– Mówi Kate Linville. Susannah, przykro mi z powodu tego, co się stało.

W głosie Susannah słychać było opanowanie.

– Dziękuję, Kate. Tak, wstrząsnęło mną to. Ale my od lat nie mieliśmy już ze sobą kontaktu. Dlatego... – Nie dokończyła zdania. Było jasne, że śmierć Normana niczego nie zmieniła w życiu Susannah. I że po tylu latach nie czuła już żadnego żalu.

– Susannah, mam do pani pytanie. Mówiła pani, że dawni koledzy czasami pytali o Normana. Także tacy, których pani w ogóle nie знаła. Czy pamięta pani, kiedy ktoś przyszedł po raz ostatni? To znaczy, zanim sierżant Stewart zjawił się u pani w związku ze śmiercią mojego ojca?

– Proszę poczekać – odpowiedziała Susannah. – To było... to było niedługo przedtem. Na początku stycznia, tak mi się wydaje. Tak, myślę, że jeszcze w styczniu ktoś tu był u mnie.

– Ktoś, kogo pani znała?

– Nie, nie znałam go. Powiedział, że pracował krótko z Normanem jako bardzo młody policjant i dużo mu zawdzięcza. To nie był starszy człowiek, miał tak pod trzydziestkę.

Kate wstrzymała oddech.

– Jak wyglądał?

– Potężnie zbudowany, wysoki – odpowiedziała Susannah. – Blondyn.

– Czy wymienił swoje nazwisko?

– Tak, przedstawił się. Ale mówiąc szczerze, nie pamiętam już, jak się nazywał. Nawet nie zwróciłam wtedy na to uwagi.

Prawdopodobnie nie było to ważne. Jeśli ten człowiek chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka Norman, aby go zamordować, to z pewnością podał Susannah fałszywe nazwisko.

– I pani podała mu adres Normana?

– Tak, ja... – W głosie Susannah nagle pojawił się niepokój. – Sądzi pani, że... że to był ten typ, który potem Normana...

– Tego nie wiem. Proszę się nie martwić, Susannah. Nawet jeśli to był on, to i tak znalazłby sposób, aby dopiąć swego. Proszę mi wierzyć.

W głosie Susannah słychać było prawdziwą rozpacz, kiedy się żegnała. Za to Kate była prawie pewna, że tu nie chodziło o któregoś z policjantów Liverpool Police. Sprawca powrócił. Szukał Grace Henwood, która stanowiła dla niego

ogromne niebezpieczeństwo.

„Skąd on o tym wie? – zastanawiała się Kate. – W jaki sposób dowiedział się tak szybko, że jest świadek, i kto nim jest?”

Prasa o tym nie pisała. I nawet jeśli na tym osiedlu kilka osób wiedziało bądź domyśliło się roli, jaką Grace odegrała w tej historii i dlaczego tak pilnie szukała jej policja – to jednak było zadziwiające, jak szybko wieść o tym dotarła do sprawcy.

„On kogoś tam zna – pomyślała Kate. – Tam na miejscu jest ktoś, kto z nim współpracuje”.

Ta myśl wystraszyła ją nawet mimo tego, że wydała jej się absurdalna. Ale tak właśnie musiało być. Istniało coś, co łączyło sprawcę z tym osiedlem.

Jane zeszła po schodach z telefonem w ręce.

– Natychmiast wyślą kogoś do Mr Roshana. Wyślą też ludzi do Kanadyjskiego Doku. Nie są zachwyceni, że ta wskazówka pochodzi od nas, ale nie będą robić przeszkód. A poza tym nie mogli tak szybko powiedzieć, o kogo chodziło, jeśli mowa o tym nieznanym mężczyźnie. Jest u nich wielu wysokich blondynów i nie mogli wykluczyć, że to był ktoś z policji. Ale na pewno dziś wieczór się to wyjaśni.

Kate opowiedziała o rozmowie z Susannah Dowrick i na koniec stwierdziła:

– Jestem prawie pewna, że to właśnie jest sprawca. W styczniu dopytywał się o Dowricka, po czym pojechał do Liverpoolu i go zamordował. A potem mojego ojca, którego adres mógł łatwo znaleźć w książce telefonicznej. A na koniec Melisę Cooper. I kolejność odgrywa tu ważną rolę, Jane.

– Mogło tak być – zgodziła się z nią Jane. – Tylko w tej chwili...

– I w ciągu dwudziestu czterech godzin dowiedział się o Grace – dodała Kate. – Ma dobrego informatora, nie sądzisz?

– Przecież nie wiesz jeszcze tego, Kate. Ten mężczyzna w Liverpoolu mógł rzeczywiście być policjantem. A z kolei ten, który był u Susannah, mógł być dawnym kolegą Normana. Nie wariuj teraz. Liverpool Police właśnie to sprawdza. Więcej nie możemy zrobić.

Kate spojrzała w okno. Zaczęło właśnie padać. Wielkie krople deszczu spadały na ciągle jeszcze rozgrzaną ziemię. Wieczór pod ciemnymi wysokimi chmurami był znacznie ciemniejszy niż poprzednie letnie pogodne wieczory.

Myślała o głosie Kadira, w którym słyhać było lęk. Myślała o Grace. Ciągle miała przed oczami delikatną postać dziewczynki – jej bladą twarz i zamyślony, jakby trochę nieobecny uśmiech. Widziała jej za ciasne i za krótkie ubrania, z których dawno wyrosła. Niebieskoczerwone plamy na jej nadgarstkach. I słyszała głos jej matki: *Proszę jej pomóc!*

I znów poczuła ową dziwną, intuicyjną pewność, dzięki której wiedziała, co ma robić, choć nikomu nie potrafiła tego logicznie uzasadnić. To uczucie, które tak

długo przytłaczały lęki i wątpliwości wobec siebie samej, a które jednak nieśmiało dawało o sobie znać, od kiedy w Scalby próbowała ustalić, kim naprawdę był jej ojciec.

Chciała tam jechać. Do Liverpoolu. Grace była w niebezpieczeństwie i to ona sama, Kate, spowodowała, że to dziecko znalazło się w tej sytuacji.

I z jakiegoś powodu podejrzewała, że policja w Liverpoolu mogłaby tylko wszystko zepsuć. Że nie traktowała sytuacji z należytą powagą. Od samego początku nieufnie przyjęto fakt, że na miejscu pojawiła się Yorkshire Police, która była zainteresowana tą sprawą i ustaliła, że ma ona związek z dwoma morderstwami w regionie Scarborough. A teraz ponownie z tej strony przyszło polecenie. Jak to powiedziała Jane: *Nie są zachwyceni, że ta wskazówka pochodzi od nas...*

Kate uważała za możliwe, że miejscowa policja wyśle najbliższy znajdujący się patrol do Kanadyjskiego Doku, a funkcjonariusze, o ile nie zobaczą od razu czegoś, co wzbudzi ich podejrzenia, po prostu zawrócą i odjadą.

Wahała się przez chwilę, ale zdecydowała się nie mówić o niczym Jane. Jane mogła nie zaakceptować tego, co ona zamierzała, już choćby z tego powodu, że później musiałyby powiedzieć o tym nadkomisarzowi Hale'owi. A dlaczego miałyby ściągać na swoją głowę jego gniew?

W dodatku dała do zrozumienia, że ma zastrzeżenia wobec przypuszczeń Kate, że ten dziwny mężczyzna może być sprawcą.

– No tak – powiedziała bez namysłu. – To wszystko mamy ustalone. Będziesz informować mnie na bieżąco, jeśli pojawi się coś nowego?

– Oczywiście – obiecała Jane.

– Mogę zostawić cię samą?

– Jasne. Panuję nad wszystkim.

Rzeczywiście Dylan tymczasem umilkł i jak urzeczony śledził przygody małej lokomotywy na ekranie telewizora. Jane patrzyła na niego w skupieniu i z troską. Kate chciałyby powiedzieć coś budującego, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co w zestawieniu ze specyficznymi warunkami życia Jane nie zabrzmiałoby głupio.

Powiedziała więc tylko:

– Pójdę już w takim razie. Dobranoc, Jane.

Jane nie próbowała jej zatrzymać. Była bardzo samotna, jak stwierdził Caleb, ale także śmiertelnie zmęczona i przeciążona obowiązkami. I tak było każdego wieczoru.

Z pewnością nie pragnęła odwiedzin.

Kate jechała tak szybko w ten deszczowy wieczór, że to, iż nikt jej nie zatrzymał, graniczyło wprost z cudem. Wyszła od Jane tuż po ósmej, wpadła szybko do domu i wsunęła broń ojca do torebki. Powiedziała sobie, że to tylko dla

bezpieczeństwa. I choć nie jadła niczego od śniadania, nie czuła głodu. Jednak wsypała do miseczki trochę płatków, zalała je mlekiem i szybko zjadła. Nie miała pojęcia, co przyniesie noc, a chciała być w pełni sił.

Była prawie dziewiąta, kiedy ruszyła w drogę.

Mogła zdążyć do jedenastej.

To jednak okazało się zbyt optymistycznym założeniem. Chociaż naruszyła wszystkie ograniczenia prędkości i na szczęście po drodze nie było zbyt wielkiego ruchu, dotarła do pierwszych przedmieść Liverpoolu około wpół do dwunastej. Ciągłe jeszcze padał deszcz. Kate zatrzymała się po drodze tylko raz, aby pójść do toalety i napić się kawy. Nie czuła się zmęczona. Miała niezwykle jasny umysł i była wręcz zelektryzowana. Przypuszczalnie działała już adrenalina.

Do chwili przybycia w ogóle nie była pewna, czy to, co robiła, miało jakiś sens. Ponad trzy godziny temu Jane zawiadomiła policję. Cokolwiek się potem zdarzyło, od tej chwili upłynęło wiele czasu. Bieg wydarzeń nie został zatrzymany, kiedy ona jechała ze wschodniego wybrzeża Anglii na zachodnie – tylko dlatego, że sądziła, iż bez niej wszystko pójdzie źle.

Na ulicy, przy której mieszkała Grace, było zupełnie cicho. W żadnym domu nie paliło się światło. Dwie latarnie uliczne były zepsute. Kate zaparkowała i wysiadła. Pamiętała, który dom pokazał jej Kadir. *Mieszkam całkiem na górze, pod dachem...*

W drzwiach wejściowych nie było zamka, można je było otworzyć z łatwością. Kate weszła i spróbowała włączyć światło na klatce schodowej. Jak przypuszczała, światła nie było. Namacała w ciemnościach schody i weszła na górę. Zatrzymała się na klatce schodowej i zawoła cicho:

– Kadir? To ja, Kate. Jest pan w domu?

Nikt nie odpowiedział. Podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Jej oczy przyzwyczyły się tymczasem do ciemności. Dostrzegła, że znalazła się w niewielkim pomieszczeniu ze skośnym sufitem. W okno bębnił deszcz. Pokój był pedantycznie wysprzątny. Materac w rogu przykryty wełnianym kocem. Stół, jedno krzesło. Mała kuchenka gazowa. Na desce przy ścianie jeden talerz i jedna filiżanka. Obraz całkowitego wyzbycia się wszelkich potrzeb – albo ekstremalnej biedy. Kolejne drzwi prowadziły do maleńkiej, nędznej łazienki. Tam także nikogo nie było, jak stwierdziła Kate.

Wyszła z mieszkania. Kadira w każdym razie nie było w domu. Co niczego nie musiało oznaczać: i tak rzadko tu bywał. „Ściany się na mnie wałają” – tak powiedział. Kate uznała to za objaw zaburzeń psychicznych, ale teraz zrozumiała, co miał na myśli. W takiej ciasnocie, w dodatku pod skośnym sufitem, ona też nie mogłaby wytrzymać.

Ostrożnie szukała w ciemnościach drogi na dół i odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła się na ulicy. Poszła kawałek dalej w stronę murku, na którym zwykle

siedział Kadir. Murek był pusty.

Spojrzała na dom, w którym mieszkała Grace ze swoimi rodzicami. Okna były zupełnie ciemne. Jeśli policja znalazła Grace, to oczywiście można było przypuszczać, że oddała ją pod opiekę rodziców. Kate jednak nie miała odwagi tam zapukać.

„Rozejrzę się najpierw koło Kanadyjskiego Doku – pomyślała. – Jeśli nikogo tam nie spotkam, wrócę i wyciągnę tego jej wstrętnego ojca z łóżka”.

Nawigacja pokazała jej drogę i podała czas: sześć minut jazdy. Najwyraźniej nie było to daleko stąd i zarówno Kadir, jak i Grace mogli dojść tam pieszo.

Włączyła silnik i ruszyła.

Z początku mijała dzielnice mieszkalne miasta. Oczywiście niewiele się tam działo, bo wszystkie sklepy o tej porze były pozamykane i tylko w niektórych mieszkaniach świeciło się światło. Od czasu do czasu na ulicy pojawiał się samochód. Deszcz na szczęście nie był już taki intensywny. Ale i tak ta noc zupełnie nie nadawała się do tego, aby wałęsać się nad rzeką. Kate, jadąc w górę Regent Road, zerknęła co chwila na lewo i widziała ciemne, nieprzeniknione wody River Mersey. Na jej brzegach stały latarnie i nawet mimo deszczu można było dostrzec w niektórych miejscach ich światła na drugim brzegu. Dzięki temu Kate nie miała uczucia zupełnego osamotnienia. Bo stopniowo okolica stawała się coraz bardziej opustoszała. Nigdzie nie było już sklepów, knajpek ani domów mieszkalnych. Zamiast tego pojawiły się ogromne hale magazynowe, dźwigi, których ramiona odbijały się na pochmurnym niebie, i liczne budowle z czerwonej cegły, w których zapewne mieściły się biura, o tej porze zupełnie puste. Także wysokie druczane ogrodzenia otaczające rozległe tereny przemysłowe. W tym miejscu powstawał osprzęt statków i portów, a przed kolejnym rankiem na pewno nikt nie miał tu się pojawić. Kate powoli jechała dalej. Po jej lewej ręce prawie nie było już żadnych budynków, zamiast nich ciągnęły się tu rozległe powierzchnie porośnięte trawą i odgródzone od rzeki niewysokim murem. Od czasu do czasu widać było także kontenery, szopy i barakowozy.

Dotarłaś do celu – zagadkała nawigacja.

Kate zahamowała, zawróciła i cofnęła się kawałek. Poniżej Kanadyjskiego Doku, tak powiedział Kadir. W świetle swoich reflektorów widziała krople deszczu tańczące na szybie. Po lewej stronie miała długą opuszczoną halę magazynową. Po prawej ciągnął się mur. Które miejsce miał na myśli Kadir? Trudno było znaleźć jakiś punkt, tym bardziej że Kate nie wiedziała, czego właściwie ma szukać. Powoli podjechała jeszcze dalej i się rozejrzała. I wtedy nagle dostrzegła zaparkowane auto, którego przedtem nie widziała. Był to peugeot.

Zjechała na bok i się zatrzymała. Poczwała nagle szybkie bicie serca. Rzeczywiście, to peugeot. Wysiadła i na chwilę zacisnęła oczy. W deszczu i ciemności nie mogła rozróżnić koloru, ale miała ze sobą latarkę. Szybko poszła

wzdłuż ulicy, tuż przy murze, aby nie było jej od razu widać, gdyby ktoś siedział w samochodzie. Czowała już charakterystyczny zapach rzeki. Z powodu deszczu woń gnijących wodorostów była silniejsza niż zwykle.

Cała przemokła, nim dotarła do samochodu. Od razu dostrzegła, że był pusty. Oświetliła go i zaskoczona znieruchomiała: był zielony.

Zielony peugeot.

Przypomniała sobie zeznanie przyjaciółki Roberta Spencera. Zielony peugeot, który wtedy kilkakrotnie przejeżdżał przez Church Close. Wówczas nikt nie był pewien, czy ten fakt w ogóle miał jakieś znaczenie. Teraz jednak wyglądało to inaczej.

To nie mógł być przypadek.

Szybko zanotowała numer rejestracyjny, a potem się odwróciła. W murze, koło którego zaparkowano samochód, było przejście, dość prowizorycznie zamknięte deskami i kolczastym drutem. Na ile mogła to rozpoznać, jedyne przejście w pobliżu. Ale gdzie, do cholery, była policja? A może akcja została już zakończona? Ale jeśli tak, to dlaczego stał tu ten samochód? Czy policja znalazła Grace i zapewniła jej bezpieczeństwo, ale nie schwytała jej prześladowcy? Albo może było tak, jak podejrzewała Jane: patrol policji zajrzał tu, niezbyt chętnie oczywiście, a stwierdziwszy, że wszędzie panuje spokój, po prostu odjechał.

Stała przed wejściem i próbowała poruszyć barykadę, którą ktoś zbudował, musiała jednak szybko zrezygnować. Może gdzieś było jakieś inne wejście, Kate nie chciała jednak tracić czasu na poszukiwanie. Szybko wspięła się na płot. Przy zeskakiwaniu na drugą stronę zaczęła nogawką spodni o drut, usłyszała zgrzyt rozdieranego materiału, jednocześnie poczuła piekący ból i krew ciekącą po kostce.

Zakłęła cicho. Ale przynajmniej była już po drugiej stronie. Miała chęć oświetlić latarką budowlę przed sobą, lecz się nie odważyła. Dostrzegła obok rozległą, porośniętą trawą płaszczyznę, opadającą łagodnie w stronę rzeki. Na jej środku znajdował się mały asfaltowy plac, a obok niego jakiś budynek. W lekkim wietrze słychać było kołatanie otwartych drzwi albo okna. Nic nie wskazywało na to, że ten budynek jest do czegokolwiek używany. Świadczyło o tym zabarykadowane wejście w murze.

Kate wiedziała, że była to chwila, w której należało zadzwonić po wsparcie. Miała podstawy, aby podejrzewać, że gdzieś tu ukrywa się morderca, i była zupełnie sama. W razie bezpośredniego spotkania mogło być niebezpiecznie. Na wszelki wypadek wyciągnęła z torebki pistolet i odbezpieczyła go. Problem wyglądał tak samo jak w czasie ostatnich miesięcy: nie była na służbie. Wobec tego nie miała właściwie upoważnienia, aby wezwać posiłki. Mogła jedynie zadzwonić pod numer alarmowy, jak każdy obywatel.

Okay. Będzie przestrzegać zasad gry, ale przedstawi to jako sprawę tak

pilną, że miejscowa policja zacznie wreszcie naprawdę działać.

Nie usłyszała go, jak nadchodził. Była zajęta szukaniem telefonu w torebce. Uderzenie w tył głowy było tak nagłe, że nawet nie zdążyła się wystraszyć. Przechyliła się do przodu i natychmiast straciła przytomność.

8

Kadir wiedział, że jeszcze nigdy nie było mu dane znaleźć się w takich kłopotach. A przeżył naprawdę sporo – i rzadko było to coś miłego. Od kiedy pamiętał, zawsze wstydził się swojego koloru skóry i często był obiektem kpin bliźnich, czasami były to dobrotliwe uszczypliwości, ale były także takie, które świadczyły o nieukrywanej nienawiści rasowej. W szkole dzieci nazywały go „Curry”. W domu płakał i mówił matce, że tego nie wytrzyma, ale ona odpowiadała, żeby się cieszył, bo może być gorzej.

I było gorzej.

Z przerażeniem myślał o tamtym wieczorze przed ośmioma laty, kiedy odwiedził znajomego i późno w nocy czekał samotnie na pociąg na opustoszałym dworcu na jednym z przedmieść Liverpoolu. Oni pojawili się znikąd: skinheadzi, pięciu potężnie zbudowanych typów z ogolonymi czaszkami, ubranych w skóry i buty martensy. Kadir wiedział od razu, że go nie zignorują – samotnego wychudzonego Hindusa, który próbował niezauważalnie przemknąć w kierunku schodów i udawał, że ich nie widzi.

Otoczyli go. Najpierw popychali go w koło jak piłkę, aż stracił równowagę i upadł. Wtedy zaczęli go kopać. Złamali mu nos i kilka żeber. I w końcu zabrali go z sobą i zawlekli do podziemnego przejścia znajdującego się w pobliżu dworca. W ostatnim przebłysku świadomości zapamiętał białe ściany i kolorowe graffiti. Ciemną noc na zewnątrz krótkiego tunelu. Oślepiające światła latarek. Wyjaśnili mu, że nie ma prawa przebywać w ich kraju i że zobaczy, co dzieje się z takimi typami jak on. I że będzie jeszcze żałował tego, że przyjechał do Anglii.

Torturowali go. Całymi godzinami. Bez cienia łaski i litości. Zostawili go dopiero wtedy, kiedy sądzili, że już nie żyje. Odzyskał przytomność wiele godzin później, następnego ranka. Zostawiając za sobą krwawy ślad, dowlókł się jakoś do dworca. Tam akurat było mnóstwo ludzi, którzy o tej porze jechali do pracy. Pamiętał, że niektórzy na jego widok krzyczeli z przerażeniem. A potem zjawiono się pogotowie i lekarz. Także policja. W szpitalu pozszywali go i poskładali, a lekarz powiedział, że nigdy jeszcze nie widział tak strasznie pokiereszowanego człowieka. Ale fizycznie odzyskał zdrowie.

Psychicznie już nie.

Ale jednak przeżył. I nie był już pewien, czy tym razem znów mu się uda.

Stopy i ręce miał skrępowane za rurą, co zmuszało go do przyjęcia bardzo niewygodnej pozycji, która z minuty na minutę stawała się coraz bardziej bolesna.

Znajdował się w kwadratowym pomieszczeniu o ścianach z nieotynkowanymi cegiel. Niczego nie widział, bo wokół panowała kompletna ciemność. Ale ten typ, który go tu wepchnął, miał z sobą latarkę i w jej świetle Kadir dostrzegł miejsce, w którym go uwięziono. A potem ciężkie drzwi zamknęły się z hukiem i usłyszał odgłos oddalających się kroków. To było... przed wieloma godzinami? Nie miał pojęcia. Może to nie były godziny. Nieprzenikniona ciemność wokół niego nie tylko odebrała mu zdolność orientacji, lecz także poczucie czasu. Rozumiał teraz, dlaczego ludzie w kompletnych ciemnościach wpadali w szaleństwo.

Najgorsza była całkowita bezczynność, na którą był skazany. Bo Kadir jednocześnie wiedział, że ten typ szuka teraz Grace, i miał nadzieję, że on sam się pomylił. I że Grace tutaj nie było, bo ukryła się daleko, w zupełnie innym miejscu. Kadir jej nie widział i może jego przypuszczenia były całkowicie błędne. Zastanawiał się, jak temu typowi udało się iść za nim. Jeśli Kadir się czegoś nauczył, to z pewnością była to sztuka bezszelestnego i niezauważalnego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Przemknął jak cień do nieczynnej fabryki poniżej Kanadyjskiego Doku. Wykorzystywał skróty, których przypuszczalnie nie znał nikt oprócz niego. A mimo to temu typowi udało się deptać mu po piętach przez całe pół godziny, których on potrzebował na przejście tej drogi. Udało mu się go obezwładnić i skępować. Co w gruncie rzeczy nie było trudne: Kadir nie stawiał najmniejszego oporu. Wstydział się tego, ale ze strachu po prostu całkowicie znieruchomiał. Pozwolił zrobić ze sobą wszystko. I teraz siedział tutaj. I nie miał żadnej możliwości, aby pomóc Grace.

Czuł się nieswojo, słysząc bulgotanie i szum, a były to jedyne dźwięki, które docierały do niego w tych ciemnościach. Wiedział, że to Mersey, głęboka i szeroka rzeka, na brzegu której znajdowały się ten teren i budynek. Jednak ta piwnica najwyraźniej ukryta była pod korytem rzeki. Na samą myśl o tym Kadir poczuł ucisk w krtani. Pot wystąpił mu na czoło, kiedy zdał sobie sprawę z niesłychanej ilości ton wody ponad nim. Ale powiedział sobie, że ta piwnica istnieje przecież od dawna. I nigdy się nie zapadła pod naciskiem wody. Dlaczego miałoby to nastąpić akurat teraz?

Kiedy znów usłyszał kroki, napiął wszystkie mięśnie. Ten typ wracał. Raczej nie po to, aby wypuścić Kadira na wolność. Kadir widział jego twarz. Został przez niego obezwładniony, skępowany i uwięziony.

Ten człowiek nigdy nie pozwoli mu stąd wyjść.

Zasuwa odsunęła się ze zgrzytem i drzwi się otworzyły. Kadirowi wydało się, że dźwięk był taki, jak gdyby zasufa była poluzowana: wyraźnie zagrzechotała w czasie ruchu. Może więc dałoby się otworzyć drzwi od środka, gdyby uderzyć w nie z całych sił. Ta opcja była jednak bardzo odległa wobec tego, że był przywiązany do rury.

Latarka rozświetliła nieco ciemności. Oślepiony Kadir zamrugał powiekami.

Dostrzegł, że mężczyzna przyciągnął jakiś przedmiot, i rozpoznał, że był to człowiek. Kobieta. Grace? Człowiek leżał na wilgotnej kamiennej podłodze jak worek. Nie była to Grace, co teraz wyraźnie widział Kadir. To była ta policjantka, Kate.

Jego ostatnia nadzieja znikła. Przez cały czas podtrzymywała go na duchu myśl o Kate. Powiedział jej, że ten podejrzany mężczyzna znów się pojawił. I że on, Kadir, przypuszcza, że Grace jest gdzieś w pobliżu Kanadyjskiego Doku. I Kate przyjechała. Ale także ona wpadła w pułapkę. Miał nadzieję, że przynajmniej zawiadomiła o wszystkim swoich kolegów.

Mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Odstawił latarkę i zaczął krępować Kate, która była chyba nieprzytomna, bo nie reagowała. Mężczyzna nie przywiązał Kate do rury, bo prawdopodobnie obawiał się, że Kadir wespół z Kate będą wówczas próbowali wzajemnie się uwolnić. Związał ją w brutalny sposób, ściągnawszy ramiona i nogi do tyłu, po czym skrępował je razem. Kate leżała wygięta w łuk do tyłu, co szybko miało stać się przyczyną ogromnego bólu.

Kadir wykorzystał tę chwilę, kiedy świeciła latarka, aby rozejrzeć się pośpiesznie po pomieszczeniu. Może uda mu się odkryć coś, przez co będzie wiodła droga ucieczki. To, co zobaczył, nie nastroiło go zbyt pozytywnie: w suficie znajdował się rodzaj klapy, z której brzegów przedostawała się do środka woda i spływała po murach. O ile Kadir się nie mylił i piwnica rzeczywiście znajdowała się pod korytem rzeki, było to urządzenie, dzięki któremu można było zalać piwnicę. Bez względu na to, co miałyby to na celu – w położeniu jego i Kate oznaczałoby to kompletną katastrofę.

Poniżej klapy w suficie znajdowała się zacementowana krata. W razie otwarcia klapy woda przedostałaby się do piwnicy. Ale kraty nie można było pokonać, nawet gdyby udało im się uwolnić z pęt. Kadir przełknął ślinę. Milczał.

Ale wiedział jedno: muszą się stąd wydostać. Tak szybko, jak tylko to możliwe.

Piątek, 13 czerwca

1

Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Północ minęła z pewnością dawno, kiedy nagle usłyszał jej głos. Zabrzmiał w ciemności tak nieoczekiwanie, że się przeraził.

– Halo? Jest tu ktoś? – spytała.

Jej głos brzmiał czysto, nawet energicznie. Dzięki Bogu – ten typ najwyraźniej nie zranił jej poważnie, kiedy ją uderzył.

– Ja tu jestem – odpowiedział. – Kadir.

– Słyszałam czyjs oddech – powiedziała. – A więc to pan.

– Jestem związany i wiszę na tej przeklętej rurze. Nie wyjdę stąd.

Nagle rozbłysło światło i znów się przeraził. W pierwszej chwili pomyślał, że wróg powrócił. Oślepiony zamrugał, ale dostrzegł tylko Kate, która ciągle leżała wygięta w łuk na kamiennej podłodze. Obok niej leżała latarka.

– Była w mojej kieszeni – powiedziała Kate. – Na szczęście jej nie zauważył. Teraz mamy przynajmniej trochę światła.

Wprawdzie nie był to jeszcze ratunek, ale Kadir poczuł, że cień nadziei powrócił. Kate była policjantką, przyzwyczajoną do niebezpiecznych sytuacji i niebezpiecznych ludzi. I przynajmniej udawało jej się zachowywać spokój. To dobra podstawa, aby wydostać się z tych tarapatów.

– Czy pani koledzy wiedzą o wszystkim? – spytał. – Czy wiedzą, że tu jesteśmy?

– Tak. Przynajmniej jedna koleżanka jest dobrze poinformowana i będzie coś robić. Proszę się nie obawiać, Kadir. Nie jesteśmy zgubieni.

– To był właśnie ten typ, który wszędzie pytał o Grace. To on mnie obezwładnił i skrupował. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, że jestem tu, przy Kanadyjskim Doku.

– Pewnie szedł za panem. Ten człowiek zamordował troje ludzi. Jest pozbawiony wszelkich skrupułów i bardzo przebiegły. A w tej chwili ogarnięty paniką.

Kate, mówiąc to, próbowała się wyciągnąć i choć trochę wyprostować, przez co rozluźniłyby się jej więzy, ale Kadir nie miał wrażeń, że jej się to udało. Napastnik związał ją bardzo mocno.

– Widziałem dobrze jego twarz – powiedział Kadir. – Kate, on mnie zamorduje!

– Policja wkrótce tu będzie – odpowiedziała Kate zduszonym głosem. Kadir przypuszczał, że w tej pozycji oddychanie przychodziło jej z trudem.

– Jak wpadł pan na pomysł, że Grace może być w tej opuszczonej okolicy?

– Przypomniało mi się, że jej ojciec tutaj pracował. Ktoś na osiedlu mi o tym powiedział. Tu była firma vyrabiająca różne sprzęty dla statków, ale pięć lat temu splajtowała. Od tamtej chwili teren jest opuszczony, a Darren Henwood bezrobotny. Pomyślałem więc, że Kate zna ten teren, bo ojciec na pewno zabierał ją tu czasem. Darren był bardziej przystępny, kiedy miał pracę. To czy nie mogło być tak, że ona ukryła się właśnie tu?

– Mądrze pomyślane. Ale nigdzie jej pan nie widział?

– Nie. Może zupełnie się myłę. To w końcu tylko przypuszczenie.

– Jeśli pan ma rację, to przynajmniej mam nadzieję, że Grace tymczasem znikła. Morderca przeszukuje tu każdy kąt, aby ją znaleźć.

– Tu najwyraźniej zbudowano jakiś system podziemnych tuneli, i to mocno rozgałęziony – wyjaśnił Kadir. – Korytarze, pomieszczenia... Wszystko pod korytem rzeki. Słyszysz pani ten szum? To Mersey. Jest ponad nami.

Oboje umilkli zgnębieni i nasłuchiwali bulgotania wody.

– I jeszcze jedno – powiedział Kadir. – Nad nami w suficie znajduje się stalowa płyta. Przecieka przez nią trochę wody przy brzegach. Myślę, że można ją otworzyć. I zalać cały system tuneli.

Kate nie odpowiedziała, ale dostrzegł, że patrzyła do góry na klapę i fatalną konstrukcję krat, po czym znów z całej siły próbowała rozluźnić więzy. Bezskutecznie. Sama nie będzie w stanie się uwolnić.

Przez chwilę najwyraźniej się zastanawiała, a potem powiedziała:

– Proszę posłuchać, Kadir, nie będziemy tu tkwić bezczynnie. Musimy spróbować się jakoś uwolnić. Podpełzną teraz do pana. A pan spróbuje jakoś przesunąć się wzdłuż tej rury na dół. Prawdopodobnie będzie to bolesna pozycja, podobnie jak moja, ale na to nie ma rady. Musimy znaleźć się w takim ustawieniu, w którym pan spróbuje rozwiązać więzy na moich rękach. Odwrotnie będzie to o wiele trudniejsze, bo mam ręce związane na plecach i nie widziałabym, co robię. Ale może uda się panu uwolnić mnie. Wtedy rozwiążę pana, a to już będzie jakiś postęp.

– Niewielki – odparł Kadir. – Drzwi są zamknięte na zasuwę. Choć co prawda przy zamykaniu wydawała taki dźwięk, jak gdyby była obluzowana.

– Może to będzie jakaś szansa. Tylko trzeba działać. Nie mamy czasu do stracenia.

„Ona jest dobra – pomyślał – jest naprawdę dobra. Panuje nad nerwami i obmyśla inteligentny plan. No tak, Scotland Yard. Tam są najlepsi ludzie”.

Milimetr po milimetrze, ignorując kolejne obtarcia na skórze, Kadir powoli zsuwał się na dół. Nie mamy czasu, myślał, nie mamy czasu, nie mamy czasu...

Ale mamy szansę.

Caleb miał uczucie, że patrząc na niego, każdy wie, co się stało. Jak gdyby miał na czole wielki, mrugający na czerwono napis: *Znów wpadłem w nałóg!*

Właściwie powinien był zadzwonić teraz do swojego terapeuty. Tak było ustalone. Że zgłosi się natychmiast, kiedy stanie się to, co właśnie się stało. Po to, aby jak najszybciej omówić odpowiednie kroki, które należało przedsięwziąć i pomyśleć o środkach zabezpieczających.

„Proszę nie próbować radzić sobie z tym samemu – ostrzegał go terapeuta. – Bo wówczas podejmuje pan ogromne ryzyko. Proszę przyznać się przed sobą, że potrzebuje pan pomocy i skorzystać z niej”.

*Proszę przyznać się przed sobą, że potrzebuje pan pomocy... Łatwo powiedzieć. O ile nie miało się samego siebie za nieudacznika, który zawałił na całej linii... I jeszcze teraz spowiadać się terapeucie, że dosłownie wpadł po uszy i pił tak, że potem tylko bełkotał i chwiał się na nogach... Że w ogóle miał w domu alkohol, co było samooszukiwaniem się i co należało omówić. Bo nie zniszczył wszystkich zapasów, jakie miał w domu... Rejestr jego grzechów był bardzo szeroki. Caleb nie miał ochoty na rolę ich głosiciela i na bicie się w pierś. W czasie terapii dostatecznie często musiał głośno powtarzać: *Nazywam się Caleb Hale i jestem alkoholikiem!**

Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

W jego głowie wprost huczało, było mu niedobrze, a usta miał tak wysuszone, jak gdyby organizm w ogóle zaprzestał produkcji śliny. Mimo to udało mu się wsiąść do samochodu, pojechać na komendę i wejść do swojego biura. Wiedział, że był blady jak kreda i że się strasznie pocił, i nie mógł nic poradzić na to, że mimowolnie mrużył oczy, choć dzień był szary i deszczowy. Cierpiał z powodu potwornego kaca i wydawało mu się nieprawdopodobne, że nikt tego nie widział.

Przyniósł sobie z automatu duży kubek kawy, osunął się na fotel przed biurkiem i zastanawiał się, jak przetrwać dzień. Wydawało mu się, że za chwilę pęknie mu głowa.

„Czy jest na świecie większy idiota niż ja?” – pytał w duchu sam siebie.

Sierżant Robert Stewart zajrzał do niego, uchylając drzwi.

– Ach, szefie, już pan jest! Właśnie rozmawiałem z Mrs Crane. Jej mąż przeżył noc i wszystko wskazuje na to, że czuje się o wiele lepiej.

Caleb potrzebował jednej sekundy, aby to do niego dotarło. Prawda, Crane’owie. Ta rodzina, którą Denis uwięził w szopie i potem uciekł ich samochodem.

– Och – odpowiedział i wydusił z siebie tylko: – Dzięki Bogu.

– Próbowałem wczoraj kilka razy się do pana dodzwonić, sir. Koledzy z Irlandii ujęli Shove’a. I Malyan też.

– Są jacyś ranni?

– Nie, Shove był u kresu wytrzymałości nerwowej. Poddał się natychmiast.

– To są... dobre wiadomości – powiedział Caleb z trudem.

Robert popatrzył na niego przenikliwie.

– Wszystko okay? Nie wygląda pan dobrze.

– Migrena. Już od wczoraj wieczór. Dlatego nie odbierałem telefonu.

– Może powinien się pan położyć do łóżka, sir. Naprawdę wygląda pan na chorego.

Caleb nie chciał tego dłużej roztrząsać.

– Jakoś wytrwam. Są jakieś inne wiadomości?

Robert skinął głową.

– Mrs Crane przyjdzie potem na komendę, aby złożyć szczegółowe zeznanie.

Poza tym chciałyby podziękować Jane. Wie pan, gdzie ona jest?

– Jeszcze jej nie widziałem. Ale też dopiero tu przyszedłem.

Caleb marzył, aby Robert wreszcie poszedł sobie z jego pokoju. Obawiał się, że ciągle jeszcze czuć było od niego alkohol. Zauważył, że Robert znów przyglądał mu się uważnie. Może przypomniał sobie, że szef dawniej często mówił coś o migrenie i kiedyś wszyscy wreszcie zrozumieli, jak wyglądała prawda.

Na szczęście w tym momencie zadzwonił telefon.

Była to telefonistka z centrali.

– Niejaka Mrs Pollard, sir. Mówi, że musi koniecznie rozmawiać z funkcjonariuszką Scapin i że nie może jej nigdzie znaleźć. Jest bardzo zdenerwowana, bo to ponoć bardzo ważne. Czy mam...?

– Proszę przełączyć – odpowiedział Caleb. Odpowiadało mu wszystko, byle tylko zakończyć rozmowę z Robertem.

Po chwili usłyszał głos wyraźnie zdenerwowanej i rozłoszczonej Mrs Pollard.

– Tak dalej być nie może! Naprawdę nie. Zawsze byłam chętna do pomocy i zastępowałam Jane, jak tylko mogłam. Ale coraz częściej wydaje mi się, że jestem po prostu wykorzystywana i że wymaga się ode mnie zbyt wiele. Nie jestem już tak młoda, aby zostawiano mnie z tą całą sytuacją sam na sam!

– Chwileczkę – przerwał jej Caleb. Ostry głos powodował, że ból głowy jeszcze się wzmógł. Wziął już rankiem kilka tabletek, ale chyba będzie potrzebować ich znacznie więcej. – Kim pani jest?

– Margaret Pollard. Jestem sąsiadką Jane Scapin.

Z rozmów z Jane Caleb wiedział, że rola sąsiadki w opiece nad Dylanem była bardzo ważna.

– Ach, Mrs Pollard. Już wiem. Co więc się stało?

– Co się stało? Wiele już przeżyłam, ale... Dziś rano obudziłam się, bo zza ściany dobiegał potworny hałas. Ktoś szalał i myślałam, że za chwilę rozwali cały dom. Pomyślałam: „Dobry Boże, biedna Jane, Dylan znowu zwariował i ona

prawdopodobnie nie może sobie z nim poradzić”. No to się ubrałam i pobiegłam tam w dobrej wierze, jak to ja. To znaczy, mogłam przecież powiedzieć: co mnie to w końcu obchodzi?

Caleb miał wrażenie, że Mrs Pollard oczekiwała odpowiedzi na to pytanie. Powiedział tylko:

– Hm...

– Mam własny klucz, dlatego weszłam, kiedy nikt nie otwierał. I co zastałam? Jane nie było w domu. Dopiero potem zauważyłam, że jej auto nie stoi na podjeździe. Nie było jej. A on szalał. Przypuszczam, że uśpiła go tabletkami, czasami tak robi. Ale najgorsze, że on wariuje, kiedy ich działanie się kończy. Trzeba wtedy koniecznie wrócić i być z nim o tej porze, ale czy ona kiedykolwiek jest w stanie to zrobić?

Caleb z nagłym przerażeniem pomyślał, że życie Jane Scapin niosło ze sobą tyle problemów, że pojedynczy człowiek właściwie nie byłby w stanie się z nimi uporać. Zawsze ją podziwiał za to, że radziła sobie z każdym kolejnym dniem, kiedy musiała pogodzić trudny zawód z pracą przy wymagającym ciągłej opieki bratem, w dodatku rzadko kiedy się skarżyła i ciągle dokonywała rzeczy niemożliwych. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że to, co robiła, przypominało ciągle chodzenie nad skrajem przepaści i przypuszczalnie tylko szczęściu Jane zawdzięczała fakt, iż dotychczas nie doszło do katastrofy. Trzymając jedną ręką telefon, syknął do Roberta, który ciągle stał w pokoju:

– Proszę szybko spróbować odnaleźć Jane Scapin. To bardzo pilne!

Robert skinął głową i zniknął.

– Dałam mu teraz tabletki – mówiła dalej Mrs Pollard. – I w końcu zasnął. Ale znów będzie szalał, kiedy się obudzi, i myślę, że nie można mu dać więcej tych tabletek. Zwłaszcza że nie wiem, ile ona mu tego dała i kiedy to było. To co mam teraz robić?

Caleb uważał zarówno głos, jak i zachowanie Mrs Pollard za niezbyt sympatyczne, ale bądź co bądź to ona teraz przejęła odpowiedzialność za Dylana i nie zostawiła go samego.

– Mrs Pollard... – zaczął, ale ona przerwała mu natychmiast.

– A teraz nie mogę się do niej dodzwonić. Nie odbiera komórki, a kiedy dzwonię pod bezpośredni numer do jej biura, to też nie odbiera. Ta sytuacja jest na dłuższą metę nie do zniesienia. I to już od dawna.

– Mrs Pollard, zrobimy teraz wszystko, aby znaleźć jak najszybciej funkcjonariuszkę Scapin czy też skontaktować się z nią – powiedział. – Czy może pani do tego czasu popilnować jej brata?

– A jak jej pan nie znajdzie?

– Ona ma teraz służbę. Powinna być dostępna.

Było to wyrażone bardzo ostrożnie: Jane *musiała* być dostępna, a nie

powinna. Jeśli nie było jej w biurze, to Caleb jako jej szef musiał być poinformowany, gdzie wobec tego przebywała. To, że nie odbierała telefonu, było więcej niż dziwne. Caleb zapragnął nagle, aby nie miał tak strasznej migreny i żeby nie czuł się tak nędznie. Bo wtedy przyszłoby mu do głowy, gdzie mogła być Jane. Może nawet ona mu coś na ten temat mówiła, a on tego już nie pamiętał. Caleb zwykle myślał genialnie, kiedy pił, ale wczorajszego wieczoru przesadził stanowczo. Albo nie był już przyzwyczajony do takich ilości. W każdym razie o genialności nie mogło być w ogóle mowy.

Robert Stewart znów wszedł do jego pokoju.

– Tu jej nigdzie nie ma. I nikt nie ma pojęcia, gdzie może być – powiedział.

Usłyszała to także Mrs Pollard.

– To niesłychane! Jesteście przecież jej kolegami! Musicie wiedzieć, gdzie ona jest!

– Znajdziemy ją – uspokajał kobietę Caleb. – Z całą pewnością. Przecież musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie tej sytuacji.

– Życie Jane Scapin od dawna już nie ma nic wspólnego z rozsądkiem – odparła Mrs Pollard. – Ciągłe zadaję sobie pytanie, dlaczego ona pozwala się tak wykorzystywać. W końcu nie tylko ona odpowiada za Dylana. Dlaczego od tej odpowiedzialności uchyla się Sean?

Głowa Caleba w dzisiejszym dniu definitywnie pracowała ze znacznym opóźnieniem.

Sean. Jane wymieniła to imię kilka razy. Caleb przypuszczał, że to jej były mąż. Ale dlaczego on miałby ponosić odpowiedzialność za Dylana?

– Były mąż Jane Scapin, prawda? – upewnił się.

– Nie. Jeśli mnie pan pyta, to ten zwiął tak daleko, jak to tylko jest możliwe. Nie, to drugi brat Jane. Rzadko kiedy się tu pokazuje.

– Jane ma jeszcze jednego brata?

– Tak, ale to nicpoń i nierób. Myślę, że on nawet nie ma żadnej stałej pracy. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy tu zajrzał w ciągu tylu lat. Tak często mówiłam Jane, że przecież nie tylko ona jest odpowiedzialna za Dylana, ale ona jakoś nie potrafi postawić na swoim. Jeśli więc teraz nie będziecie mogli znaleźć Jane, to może uda wam się dopaść jej brata. I jeśli wy z nim porozmawiacie, to może w końcu ruszy go sumienie w tych okolicznościach. Sean Holgate. Mieszka w Newcastle. Więcej nie wiem. I będę na razie pilnować Dylana. Ale to jest ostatni raz!

Z tymi słowami Mrs Pollard z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Caleb spojrzął na Roberta.

– Czy wiedział pan, że Sean nie jest byłym mężem Jane, lecz jej drugim bratem?

Robert był tak samo zdumiony jak jego szef.

– Nie. Myślałem...

– Proszę spróbować go odnaleźć. Sean Holgate. Newcastle.

Porządkowanie skomplikowanego życia rodzinnego Jane Scapin nie należało do ich obowiązków, ale zdaniem Caleba w ramach koleżeńskiej pomocy nie wolno było zostawiać tej sprawy w takim stanie. Caleb był zdenerwowany i czuł niepokój: pozostawienie brata pod działaniem medykamentów i zniknięcie bez śladu – to nie było typowe dla Jane.

„Coś tu nie gra” – pomyślał.

Marzył o tym, aby móc wreszcie myśleć nieco jaśniej.

3

Jej ręce były wreszcie wolne, ale nastąpiło to dopiero wtedy, kiedy już prawie przestała wierzyć, że to w ogóle się uda. Pozycja, w której skrępował ją napastnik, nie tylko sprawiała jej coraz więcej bólu, wręcz nieznośnego pod koniec, ale Kate miała też wrażenie, że cyrkulacja krwi nie funkcjonowała już prawidłowo. Kilka razy z oczu pociekły jej łzy i niewiele mogła na to poradzić.

„No szybciej, szybciej – mówiła do siebie w duchu, niemal błagając. – Szybciej, proszę, szybciej...”

Kadir zdołał zsunąć się na dół i przykucnąć, ale mimo to z trudem sięgał do rąk Kate. Ponieważ także był skrępowany, mógł wykonywać palcami tylko bardzo niewielkie, mocno ograniczone ruchy. Kilka razy doznał tak silnych skurczów łydek z powodu niewygodnej pozycji, że musiał przerwać rozwiązywanie Kate, mozolnie przesunąć się do góry i nieco rozluźnić mięśnie nóg.

– Przykro mi – powiedział głosem drżącym z bólu. – Przykro mi bardzo, ale...

Kate sama dygotała z bólu, dręczyła ją też świadomość, że cenny czas mija. Jednak zdawała sobie sprawę, że to, co robił Kadir, to naprawdę ciężka i mozolna praca i nie należało wywierać na niego dodatkowej presji. Jednak godziny upływały, a sprawcy na pewno nie chodziło o to, aby zostawić ich tu oboje żywych w piwnicy. Wszystkie doki w tej okolicy wydawały się opuszczone, ale oczywiście istniało ryzyko, że ktoś mógł jednak odnaleźć więźniów. A ten typ nie wahał się przed brutalnymi morderstwami. I z pewnością będzie chciał się pozbyć dwójki ludzi, którzy mogli go zidentyfikować. Kate nie miała tu żadnych złudzeń.

Kiedy wreszcie puścił ostatni węzeł, najchętniej zajęłaby się od razu więzami na kostkach nóg, ale stwierdziła, że ani ramiona, ani ręce, ani też w ogóle mięśnie nie były jej posłuszne. Osunęła się na bok, jak gdyby ją ktoś postrzelił. Nie była już wygięta do tyłu w łuk, co sprawiało ból wprost niesłychany, ale na razie ten ból nie ustąpił. Wręcz przeciwnie. Powolny powrót cyrkulacji krwi do niemal martwych części ciała był niesłychanie bolesny. Cicho jęcząc, przycisnęła twarz do zimnej i wilgotnej podłogi z kamienia: traciła czas, ale nie była w stanie nic zrobić.

Wreszcie mogła usiąść i przechylić się do przodu na tyle, aby się zająć rozwiązywaniem więzów na nogach. Szło to bardzo powoli, ale w końcu jej stopy też były wolne. Wtedy przyszedł jej do głowy pomysł, aby zerknąć na zegarek. Była prawie siódma rano. Uwolnienie tylko jednej osoby zajęło im więc wiele godzin.

Kate sprawdziła, co zostało jej z posiadanych przedmiotów, i przekonała się, że rzeczywiście została tylko latarka – bądź co bądź była to rzecz bardzo cenna. Jej torebka zniknęła, podobnie jak telefon, który trzymała w ręku, kiedy została zaatakowana. Nie było także pistoletu ojca. Napastnik odebrał jej wszystko, ale najwyraźniej nie zauważył latarki.

Jedyną nadzieją była teraz Jane.

Ale kiedy ona się zorientuje, że coś nie gra?

Kate powiedziała Kadirowi, że jedna koleżanka jest dokładnie o wszystkim poinformowana, ale mówiła tak raczej po to, aby go uspokoić, i nie całkiem odpowiadało to prawdzie. Teraz miała ochotę spoliczkować sama siebie za to, że nie wspomniała Jane ani słowem o planowanej podróży do Liverpoolu. Jane wiedziała, że Grace jest w ogromnym niebezpieczeństwie i że Kadir przypuszczał, iż ukryła się gdzieś w pobliżu Kanadyjskiego Doku. Przypuszczalnie jednak zakładała, że zawiadomiona przez nią policja z Liverpoolu wszystkim się zajmie. Oczywiście następnego dnia na pewno będzie wszystko sprawdzać i dowie się, że koledzy nie stwierdzili niczego podejrzanego w pobliżu doków.

Ale Jane z pewnością to nie uspokoi. Będzie próbowała za wszelką cenę skontaktować się z Kate. I prędzej czy później zacznie się dziwić, że Kate jest niedostępna.

W każdym wypadku mogło to być za późno. Nie miało sensu tylko czekać na pomoc. Musieli spróbować sobie pomóc.

Uniosła latarkę, której światło wydało jej się nieco słabsze. Baterie wysiądą prędzej czy później.

Wstała, kulejąc, podeszła do drzwi i przycisnęła klamkę w dół. Drzwi ustąpiły zaledwie na milimetr – z zewnątrz trzymała je zasuwa. Kate zaczęła nimi gwałtownie szarpać. Kadir chyba miał rację, ta zasuwa była mocno nadszarpnięta zębem czasu.

– Kate – odezwał się Kadir. – Proszę mnie odwiązać. Może razem otworzymy te drzwi, jeśli rzucimy się na nie oboje.

Usiłowała mimo wszystko zrobić to sama, ale musiała zrezygnować po kilku próbach. Jej zamysł był taki, aby wyjść na zewnątrz, jeśli trzeba będzie, nawet zostawić tu Kadira na jakiś czas samego, jak najszybciej wezwać pomoc i wrócić do niego. Przekonała się jednak, że sama sobie nie poradzi. Być może ta zasuwa miała już za sobą czasy świetności, ale nie była tak zniszczona, aby można było się z nią szybko uporać.

Kate potrzebowała pomocy. Pomocy Kadira.

Westchnęła, ustawiła latarkę tak, aby móc pracować w jej świetle, i zabrała się do rozwiązywania więzów Kadira. Była ósma, kiedy on osunął się na ziemię. Uklękła obok niego i zaczęła masować mu mięśnie.

– Musi pan wstać – powtarzała. – Kadir, proszę spróbować wstać. Musimy spróbować się stąd wydostać!

Pozbierał się z trudem i na czworakach popęzł w stronę drzwi.

Godzinę później siedzieli oboje na podłodze oparci o ścianę piwnicy – kompletnie wyczerpani. Przedsięwzięcie okazało się beznadziejne: zasuwą trzymała i drzwi nie ustąpiły. Mimo że uwolnili się ze swoich więzów, ciągle nie byli wolni.

4

Caleba wciąż dręczyło uczucie, że coś nie gra. Że dzieje się coś złego. Już kilka razy spróbował dodzwonić się ponownie na komórkę Jane, ale ciągle odzywała się poczta głosowa. Dwukrotnie zostawił wiadomość z prośbą o niezwłoczny kontakt.

Ale Jane zniknęła, jak gdyby pochłonęła ją ziemia.

Wiedział, że czuła się odpowiedzialna za Dylana i że podchodziła do tego poważnie. I że za wszelką cenę starała się temu sprostać. Toteż fakt, że zostawiła go tak po prostu samego, bez wcześniejszego uzgodnienia i prośby o pomoc teraz już bardzo rozzłoszczonej sąsiadki, zupełnie nie pasował do Jane. Dlatego nawet w obolałej głowie Caleba rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe.

Wziął kolejne dwie tabletki, wypił jeszcze jedną mocną kawę i stopniowo poczuł się nieco lepiej. Dotychczas wypierał to ze swojej świadomości, ale teraz nagle przypomniał sobie wieczorną wizytę Kate. Zupełnie niespodziewanie pojawiła się przed jego drzwiami i dość zszokowana patrzyła na butelkę whisky. Caleb zastanawiał się, czy Kate porozmawia z kimś na ten temat. Raczej nie sądził, żeby była plotkarą.

Ale... mówiła coś o tej historii w Liverpoolu... Chodziło o owego dziwnego Hindusa, który mieszkał na tym samym osiedlu i stale siedział na murku... I który udzielił jej istotnych wskazówek dotyczących miejsca pobytu Grace Henwood...

Niestety Caleb nie słuchał jej zbyt uważnie, był akurat w nastroju rozczulania się nad sobą po wypiciu tej ilości alkoholu i po prostu nie chciał o niczym wiedzieć. I odesłał ją do Jane. Tej Jane, która zdobyła miano superśledczej.

Znów sięgnął po telefon, wybrał numer Kate w Scalby. Sygnał rozbrzmiewał przez całą wieczność – ale nikt nie odbierał. Potem spróbował zadzwonić na jej komórkę. Poczta głosowa.

„Kate, to ja, Caleb. Muszę z panią koniecznie porozmawiać, to bardzo pilne.

Chodzi o wczorajszy wieczór, a przede wszystkim o pani wizytę u śledczej Scapin. Proszę oddzwonić tak szybko, jak to tylko będzie możliwe”.

Zakończył i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się przez chwilę w telefon. To doprawdy dziwne, że Kate była niedostępna. Stopniowo przypominał sobie kolejne obrazy i słowa z poprzedniego wieczoru. Kate wspomniała, że próbowała dodzwonić się do niego kilkakrotnie. I w końcu zjawiała się u niego we własnej osobie – ta nieśmiała Kate, która przeżyła niemal poważny kryzys, kiedy on ją zaprosił, aby poszła z nim do pubu. Musiało zapewne chodzić o jakąś ważną informację, którą koniecznie chciała omówić właśnie z nim. A zamiast tego pojechała z tą informacją do Jane.

A teraz obie kobiety zniknęły.

To nie wyglądało dobrze.

Liverpool. Czy Jane uspokoiła brata za pomocą medykamentów i wyruszyła razem z Kate do Liverpoolu? Czy szukały tam na własną rękę Grace Henwood? Ale dlaczego nie odbierały telefonu?

Jane Scapin naruszyła w ten sposób wszystkie możliwe przepisy.

Także to do niej nie pasowało.

Caleb zadzwonił na policję w Liverpoolu, poprosił o połączenie z koleżanką, która prowadziła dochodzenie w sprawie Normana Dowricka, i zapytał, czy miały miejsce jakieś szczególne zajścia. Dowiedział się, że nic takiego się nie zdarzyło, podobnie jak nie było żadnej wyraźnej wskazówki co do innego kierunku dochodzenia.

– Czy zgłosił się do pani Kadir Roshan? – spytał.

– Kto taki? – zdziwiła się policjantka.

Nie miała pojęcia, kto to był. Ale Kate powiedziała, że rozmawiała z Mr Roshanem. Czyli otrzymała od niego jakieś informacje...

Caleb po prostu odłożył słuchawkę. I znów spróbował się dodzwonić do Jane. Bezskutecznie. Spróbował do Kate. Także bezskutecznie.

Do pokoju wszedł Robert Stewart. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Albo zmieszanego. Albo jedno i drugie.

– Sir, to osobliwa historia. Ustaliłem adres i telefon Seana Holgate’a. Ale tam także nikt nie odbiera telefonu.

– Proszę zarządzić, aby zajrzał tam patrol policji. Może Holgate jest mimo wszystko w domu. A może sąsiad będzie mógł powiedzieć, gdzie on pracuje. Holgate musi się niezwłocznie zająć bratem. A co miał pan na myśli, mówiąc, że to osobliwa historia?

– Ja już się skontaktowałem z policją w Newcastle, sir. Patrol będzie wysłany. Ale dowiedziałem się przy okazji, że cała rodzina Holgate’ów, czyli ta, z której pochodzi Jane Scapin, jest notowana w policyjnych aktach. Czy wiedział pan o tym?

– Nie. Notowana w aktach? Dlaczego? To jakaś poważna sprawa?

– No tak. – Robert spojrział na niego z wyraźną troską. – Jest notowana w związku z wykroczeniem drogowym. Ucieczka z miejsca wypadku.

– Dobry Boże – powiedział Caleb. Miał wrażenie, że z Roberta Stewarta tego ranka wyjątkowo trudno jest coś wyciągnąć.

– Sean Holgate? Czy to on zbiegł z miejsca wypadku?

Robert potrząsnął głową. „Jeśli on się nie nauczy działać rano szybciej, to nigdy nie zrobi wielkiej kariery” – pomyślał Caleb.

– Było odwrotnie – powiedział Robert powoli. – Oni nie byli sprawcami, tylko ofiarami wypadku. Niepełnosprawność Dylana to nie efekt błędu przy porodzie, jak ciągle mówiła śledcza Scapin. Dylan w wieku pięciu lat został przejechany przez samochód i miesiącami leżał w śpiączce. I nigdy nie udało się ustalić sprawcy.

Caleb zastanawiał się, czy ta historia ma jakieś znaczenie dla ich aktualnej sprawy. Jane Scapin i Kate Linville zniknęły w niejasnych okolicznościach. Po Grace Henwood zaginął wszelki ślad. Nikt nie miał pojęcia, kto ani co kryło się za morderstwami Normana Dowricka, Richarda Linville’a i Melissy Cooper.

Czy to ma jakieś znaczenie, że Jane Scapin ma brata, o którym dotychczas nikt z jej kolegów nie wiedział?

A co za tym idzie: czy nieznanne bliżej do dziś okoliczności i przyczyny upośledzenia jej najmłodszego brata odgrywały jakąś rolę?

Pierwsze ustalenia Roberta Stewarta wykazały, że mały Dylan Holgate w czasie jazdy na rowerze został wtedy przejechany przez samochód za miastem Newcastle, na pustej wiejskiej drodze. Spadł z roweru i najprawdopodobniej był nawet wleczony przez samochód. Kierowca uciekł, świadków nie było. Półtorej godziny później policja otrzymała anonimowy telefon, w którym dzwoniący opowiedział o ciężko rannym dziecku, lecz nie było jasne, czy był to sprawca wypadku czy też ktoś, kto przypadkowo znalazł się w pobliżu, ale chciał uniknąć wszelkich kłopotów związanych z faktem bycia świadkiem. Życie Dylana wisiało na włosku i kiedy się obudził ze śpiączki kilka miesięcy później, nie był już tym samym dzieckiem. Był ciężko upośledzony fizycznie i psychicznie, i jako taki zdany na dożywotnią opiekę. Wszczęto pościg za kierowcą samochodu, ale śledztwo zostało zamknięte z powodu niewykrycia sprawcy.

– Czy rozumie pan, dlaczego Jane Scapin nigdy nic nam o tym nie mówiła?

– spytał wyraźnie skonsternowany Robert. – Dlaczego ciągle wspominała coś bliżej nieokreślonego o błędzie przy porodzie? I dlaczego nigdy nie powiedziała o tym, że ma drugiego brata?

– Wymieniała czasami imię Sean, ale automatycznie zakładaliśmy, że chodzi o jej byłego męża – przypomniał sobie Caleb. – To nasz błąd. I trzeba pamiętać, że Jane w ogóle bardzo rzadko mówiła o swoich trudnych warunkach życiowych.

Często miałem wrażenie, że mówiła o upośledzeniu Dylana tylko dlatego, że potrzebowała kooperacji z naszej strony – w sytuacjach kiedy nagle musiała wcześniej iść do domu albo później przyjść do pracy. Nie mogła całkowicie zataić tego problemu, ale zgodnie z moim odczuciem chętnie by to zrobiła.

– Dlaczego? Przecież to żadna hańba. Wprost przeciwnie. Dokonywała rzeczy wręcz niemożliwych.

Robert nie mógł tego zrozumieć.

Ale Caleb, który musiał dźwigać swoją własną trudną historię – i właśnie znalazł się w niej z powrotem – znał to koszarne uczucie, którego powodem były pełne współczucia spojrzenia, ciche szepty czy też nagle milczenie. Jane była silną, niezależną kobietą, która z pewnością nienawidziła czegoś takiego jak współczucie albo niezdrowa ciekawość i żądza sensacji u innych ludzi, co często było efektem losu takiego jak jej. Caleba nie dziwiło więc zbytnio, że zataiła wypadek najmłodszego brata. A jeśli wierzyć opowieściom jej sąsiadki, to drugi brat był najwyraźniej człowiekiem uchylającym się od odpowiedzialności, który zostawił siostrę samą w trudnej sytuacji i prawie się u niej nie pokazywał, nie mówiąc już o tym, że nawet nie przyjeżdżał od czasu do czasu, aby choć trochę pomóc. Kobieta taka jak Jane nie zwykła się z czymś podobnym obnosić.

„Właściwie – pomyślał Caleb – wszystko tu do siebie pasuje. Nie ma w tym nic osobliwego”.

– Powinniśmy odnaleźć Seana Holgate’a – powiedział. – Ale jeśli się nam to nie uda, to nie musimy wariować z tego powodu. Myślę, że ta Mrs Pollard narzeka i się złości, ale nie zostawi Dylana samego. O wiele bardziej niepokoi mnie to, że śledcza Scapin jest niedostępna.

„A także Kate Linville” – dodał w myślach. Robert nie musiał wiedzieć, że Kate Linville była u niego poprzedniego wieczoru i chciała omówić z nim coś ważnego. Zwłaszcza że wobec tego nasuwało się pytanie, dlaczego w takim razie do tej rozmowy nie doszło. A Caleb nie chciał poruszać niczego, co byłoby związane z tymi tematami.

Hindus. Osoba Hindusa była w tej chwili jego jedynym punktem zaczepienia. Nie powinien był pozwolić, aby Kate działała dalej sama.

Wstał zdecydowanym ruchem, ignorując nagły ból głowy, jaki się przy tym pojawił.

– Jadę do Liverpoolu – oświadczył. Nie było innej drogi niż rozmowa z Mr Kadirem Roshanem. – Pan zostanie tu, na posterunku, sierzancie. Proszę być w kontakcie z kolegami z Newcastle, żeby udało się odnaleźć Seana Holgate’a. I proszę się zatroszczyć o Mrs Crane, kiedy tu później przyjdzie. Proszę też zaprotokołować jej zeznanie w sprawie Shove’a.

Robert nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Caleb i Jane jeżdżą gdzieś po kraju w sprawie morderstwa Normana Dowricka, a on musi siedzieć tutaj

i protokołować zeznanie. Ale oczywiście nie powiedział ani słowa. Zarządzenia szefa nie podlegały negocjacjom. Nawet jeśli Robertowi się wydawało, że szef tego dnia... był w nie najlepszej formie, mówiąc ogólnie. Było to tylko podejrzenie, ale wszystkie symptomy za tym przemawiały. Robert pomyślał więc: „Cholera! Jednak sobie nie poradził”.

Ale oczywiście nie powiedział ani słowa także na ten temat.

5

Stella Crane zjawiała się punktualnie i była rozczarowana, że nie zastała Jane. Przyniosła ze sobą wielki bukiet kwiatów, który wcisnęła w ręce Robertowi.

– Może będzie pan mógł przekazać jej potem te kwiaty – powiedziała. – Chciałabym, aby wiedziała, jak bardzo jesteśmy jej wdzięczni. Jej uporowi zawdzięczamy życie.

Stella wyglądała już całkiem dobrze, była wyraźnie wypoczęta i zrelaksowana. Jonas przetrwał noc i wszystko wskazywało na to, że wyzdrowieje. Ale Robert miał do czynienia z niejedną ofiarą przemocy i wiedział, że skutki tego, co spotkało Jonasa i Stellę, nie ustąpią tak szybko, a związane z tym przeżycia będą dawały o sobie znać jeszcze przez długi czas. Jednak w tej chwili Stella była szczęśliwa i cieszyła się, że koszmar, który mógł zakończyć się dla nich całkiem inaczej, po prostu minął.

Robert polecił więc młodszej koleżance, aby zajęła się ustalaniem miejsca pobytu Seana Holgate’a, dzięki czemu mógł poświęcić się spokojnie wysłuchaniu opowieści Stelli. Poprosił, aby usiadła, i zaczął nagrywać jej zeznanie na magnetofon. Od czasu do czasu zadawał jej dodatkowe pytania i robił notatki.

„Zwariowana historia – pomyślał. – Ktoś adoptuje dziecko i nagle musi obcować z kimś, z kim nigdy nie miałby żadnej styczności. I w konsekwencji jest narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo, i dosłownie musi uciekać grabarzowi spod łopaty, mimo uprzednich rozsądnych i oczywistych kroków”.

Roberta fascynowała wprost pewna nieuniknioność przeżyć Stelli. Utrata kontroli nad wydarzeniami we własnym życiu była według niego przerażającą perspektywą i dokładnie to przydarzyło się rodzinie Crane’ów: w pewnym momencie wpadli w wir wydarzeń, którego nie byli w stanie z własnej woli opuścić, ale też nie mogli w żaden sposób wpłynąć na jego przebieg.

„Nic dziwnego, że przyniosła te kwiaty” – pomyślał; nie dziwiła go też wdzięczność czy też wręcz cześć dla Jane. Jane była w oczach Stelli aniołem niosącym ratunek. Bez niej nie mieliby żadnych szans.

Jedna sprawa interesowała go szczególnie.

– Kim była pani zdaniem Therese Malyan? – spytał. – Ofiarą czy raczej współsprawczynią?

Stella zastanawiała się przez chwilę.

– Ofiarą – powiedziała. – Ona emocjonalnie była od niego całkowicie zależna i absolutnie mu posłuszna. Gdyby jej rozkazał utopić się w najbliższym jeziorze, zrobiłaby to. Była przekonana, że miała tylko jednego bliskiego człowieka na świecie, właśnie jego. Mógł nią kierować w dowolny sposób.

Robert skinął głową.

– To mimo wszystko nie uwalnia jej od winy. Jest dorosłą kobietą. Dobrowolnie uzależniła się od kryminalisty. Ale sąd z pewnością uwzględni jej sytuację psychiczną.

– Wszystko, co się stało, inspirował Shove – powiedziała Stella. – Na przykład mam wrażenie, że ona nie chciała zostawiać nas uwięzionych w tej szopie. Martwiła się, co z nami będzie. W pewien sposób była tak samo uwięziona jak my.

– Okay – powiedział Robert po chwili milczenia. – Wiem zatem już wszystko, co muszę wiedzieć. Co pani zamierza teraz zrobić, Stello? Pani mąż z pewnością musi jeszcze pozostać w szpitalu?

Skinęła głową.

– Wynajmę pokój w hotelu i zamieszkam w nim z Sammym. Zostaniemy tutaj tak długo, póki Jonasa nie wypiszą ze szpitala. Chciałabym, abyśmy wszyscy troje wrócili razem do Kingston. To będzie... bardzo szczególny moment. Były chwile, kiedy traciłam nadzieję, że to kiedykolwiek będzie możliwe. Myślałam, że jeśli w ogóle stamtąd wyjdziemy, to zostanę z Sammym sama. Mieliśmy wielkie szczęście.

Trudno było się z nią nie zgodzić. Bez Jane... Kiedy przypomniał ją sobie, mimowolnie zmarszczył czoło. To, że jej tu nie było, wyglądało po prostu dziwnie. I że nikt nie miał pojęcia, gdzie mogła być. Że zostawiła swojego brata samego.

Robert poczuł nieznaną, narastającą przygnębienie.

Zaledwie Stella pożegnała się i wyszła, do jego pokoju weszła policjantka, której zlecił ustalenie miejsca pobytu Seana Holgate'a.

– Otrzymałam meldunek od kolegów z Newcastle, którzy wysłali patrol do mieszkania Holgate'a – powiedziała. – Seana Holgate'a tam nie ma. Policjanci przepytali też sąsiadów i zgodnie z ich informacjami Holgate nie ma żadnej stałej pracy i żyje z zapomogi socjalnej. Dlatego też nikt nie wie, gdzie on może w tej chwili być.

– Hm... – mruknął Robert. Niezły okaz. I to jest brat Jane. I pomyśleć, że ona musiała się tak zaharowywać, żeby zadbać o Dylana i jeszcze jakoś funkcjonować w pracy... A taki Sean Holgate, który nie musiał przez cały dzień nic robić, prawie się nie pokazywał u swojego rodzeństwa.

– W porządku – powiedział. – Dziękuję, funkcjonariuszko. W tym momencie nic nie możemy zrobić. Możemy tylko mieć nadzieję, że śledcza Scapin wkrótce się pojawi, a jej sąsiadka wytrzyma do tego czasu z Dylanem. Przypuszczalnie to

i tak lepiej dla Dylana, niż gdyby zdać się na tego braciszka nicponia.

Młoda policjantka była ambitna, a przy tym należała do typu ludzi, którzy potrafią dostrzec nadarzające się okazje i je wykorzystać.

– Sir, sprawdziłam jeszcze parę spraw. Dotyczących tej historii sprzed lat, kiedy Dylan Holgate uległ wypadkowi.

Robert zmarszczył czoło.

– W tej chwili to nas nie interesuje.

Skinęła głową.

– Być może. Mimo to... Trafiłam na coś osobliwego. Skontaktowałam się z jednym kolegą z Newcastle, który w swoim czasie zajmował się tą sprawą. Ta historia spowodowała wtedy spory zamęt. Bo w końcu chodziło przecież o ucieczkę z miejsca wypadku, co miało bardzo poważne następstwa.

– I co?

– Proszę zgadnąć, kto zawiadomił wtedy pogotowie, lekarza i policję w Newcastle. A stało się to mniej więcej półtorej godziny po wypadku, według opinii lekarzy pogotowia.

– Kto taki? Myślałem, że to był jakiś anonimowy rozmówca.

– Nadkomisarz Richard Linville. To właśnie on zadzwonił.

– Linville? Ale...

– Nie, to nie on spowodował ten wypadek. Ale został zawiadomiony. Anonimowo. I zaczął od razu działać.

Robertowi zawirowało w głowie. Przez chwilę miał wrażenie, że niczego nie rozumie.

– Czy dobrze panią rozumiem? Anonimowy rozmówca zwrócił się wtedy do nadkomisarza Linville'a?

– Tak. I Linville zlecił podjęcie następnych kroków.

– To znaczy, że anonimowy rozmówca nie wybrał zwykłego numeru alarmowego policji? I zadzwonił wprost do wydziału kryminalnego w Scarborough? Dlaczego?

Głos młodej policjantki lekko drżał. Miała w zanadrzu jeszcze jedną sensację.

– Anonimowy rozmówca nie zadzwonił po prostu do wydziału kryminalnego w Scarborough. Zadzwonił wprost do Linville'a. Na jego komórkę.

Robert wytrzeszczył oczy.

– Na komórkę Linville'a?

– Tak. To dziwne, prawda? Jakiś nieznajomy człowiek, który albo właśnie przejechał to dziecko, albo był świadkiem wypadku, dzwoni do wysokiego rangą śledczego policji kryminalnej. Prawda, że to nie jest normalna droga?

– Skąd, do diabła, ten typ znał numer komórki Linville'a?

Wzruszyła ramionami.

– To chyba nigdy nie zostało wyjaśnione, sir.

Caleb zrobił sobie właśnie krótką przerwę na kawę na stacji benzynowej, kiedy zadzwonił sierżant śledczy Stewart. Trzymając w ręce styropianowy kubek, obszedł podłużny budynek z płaskim dachem i zatrzymał się wśród ostów i mniszków rosnących na ciągnącym się aż po horyzont polu. Za sobą słyszał hałas samochodów pędzących po autostradzie. Gdzieś w górze głośne ćwierkanie ptaków. Poczul na twarzy powiew chłodnego wiatru i sprawiło mu to ulgę. Tabletki i kawa zaczynały powoli działać, ale ciągle jeszcze czuł się podle. Gdyby nadal panował taki upał jak w ostatnich dniach, to z ledwością byłby w stanie utrzymać się na nogach.

– Sierżancie, co się dzieje? – spytał. – Jestem niedaleko od Liverpoolu.

– Sir, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie... Ale natknęliśmy się tu na kilka dziwnych rzeczy.

– Związanych z tą historią w Liverpoolu? – spytał Caleb. – I pozostałymi morderstwami?

Miał nadzieję, że Robert nie przedstawi mu jakiegoś zupełnie nowego problemu, którego rozwiązanie wymagało natychmiastowego działania. Na to brakowało mu w tej chwili sił.

– Nie wiem. Tylko że... co prawda może to nie ma żadnego znaczenia... ale to ma coś wspólnego z nadkomisarzem Linville'em.

– Sierżancie, chciałbym teraz szybko wypić kawę i jak najprędzej jechać dalej. Proszę się streszczać!

Robert, czując zniecierpliwienie szefa, nieco chaotycznie przedstawił krótko, czego się właśnie dowiedział: anonimowy telefon na komórkę Linville'a. Natychmiastowa reakcja Linville'a. Niewyjaśnione do dziś pytanie, skąd dzwoniący znał numer jego komórki.

Caleb był równie zaskoczony jak całkiem niedawno Robert.

– Tak... to oznaczałoby przecież, że dzwoniący znał numer Linville'a. Ale patrząc w drugą stronę: czy także i to, że Linville wiedział, kto dzwoni?

– Tak można sądzić, sir. Sam właśnie zadzwoniłem do Newcastle i rozmawiałem z policjantem, który się tym zajmował. Wtedy bardzo intensywnie poszukiwano zbiegłego kierowcy i w związku z tym także owego dzwoniącego – i jeśli o niego chodzi, to nigdy nie zdołano wyjaśnić, czy to była ta sama osoba, która spowodowała wypadek. Linville złożył wyczerpujące zeznanie. Na ekranie jego telefonu nie ukazał się żaden numer, a ponieważ w czasie rozmowy dwa razy usłyszał dźwięk wrzucanej monety, przypuszczano, że ktoś dzwonił z budki telefonicznej. Linville nie znał głosu dzwoniącego. Podkreślał wielokrotnie, że łamał sobie głowę, rozmyślając o tym, ale nie ma pojęcia, kto to mógł być. Dlaczego dzwoniący zwrócił się wprost do niego i skąd znał jego numer, to pozostało dla Linville'a zagadką.

– Linville dzięki swojej pozycji na pewno był znany ludziom, którzy wiedzieli, kim był, choć on mógł ich nie znać albo też nie pamiętał, że się z nimi zetknął. Dzwonił ktoś, kto go znał, nieważne, czy dobrze, czy tylko przelotnie, albo o nim słyszał i w takiej sytuacji wolał zadzwonić wprost do niego, zamiast wybrać numer alarmowy 999. Ale...

– Tak, to nie wyjaśnia, dlaczego zadzwonił na komórkę. Krąg osób, które znały ten numer, siłą rzeczy ograniczał się do jego osobistego otoczenia i do...

– ...i do zawodowego – dokończył Caleb i stęknął cicho. – *Ktoś z nas?*

Obaj milczeli przez chwilę. Caleb wylał resztę kawy w trawę. Nagle stracił na nią ochotę.

– To ma dalszy ciąg – powiedział Robert. – Bo ta historia jest jeszcze bardziej tajemnicza.

– Tak?

– Ten kolega z Newcastle dziwił się, że ja nie mam pojęcia o tej sprawie. Powiedział, że przecież jedna z policjantek z wydziału kryminalnego w Scarborough pod koniec ubiegłego roku zgłosiła się do niego i poprosiła o szczegółowe informacje na temat tej sprawy i tego, jak zakończyło się śledztwo.

Caleb zmarszczył czoło.

– Jedna z policjantek od nas?

– Tak. A teraz proszę zgadnąć kto.

– No, kto?

– Jane Scapin.

– Co?!

– Sir, to z drugiej strony nie musi nic znaczyć. Mam na myśli to, że Jane była częścią tej historii. Chodziło przecież o jej brata. Może nie jest niczym nadzwyczajnym fakt, że dorosła kobieta wykorzystuje swój status policjantki, aby dotrzeć do jakichś informacji. Które oczywiście otrzymuje. Od kolegów.

Caleb poczuł nagle mdłości.

– Ale to znaczy... że po tym, jak Linville został zamordowany i my zaczęliśmy wyjaśniać każdy szczegół z jego zawodowego życia, śledcza Scapin wiedziała o wszystkim i zatrzymała te informacje dla siebie. O tym dziwnym telefonie, o upieraniu się Linville'a, że nie zna dzwoniącego... i o skutkach, jakie to wszystko miało dla tej rodziny... *jej* rodziny.

– Może uważała, że te informacje nie mają znaczenia?

– Może uważała za nieprawdopodobne, że Linville rzeczywiście nie znał dzwoniącego?

– Sir! – W głosie Roberta słychać było niepokój. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Tego jeszcze nie wiem, sierżancie. Dlaczego, do cholery, nie dowiedzieliśmy się o tej sprawie? Plotek na różne tematy jest mnóstwo. I nikt nie

wspomniał o tej historii? Muszą być przecież wśród nas koledzy, którzy wówczas się z tym zetknęli!

– Ta część sprawy, która dotyczyła Linville’a, nie była zbyt głośno omawiana. Poza tym rodzina Holgate’ów w ogóle się o niczym nie dowiedziała. Chciano ochronić Linville’a przed ciągłym nękaniami właśnie ze strony rodziny, i także współpracowników, bo wszyscy powtarzaliby, że powinien sobie jednak przypomnieć, kto dzwonił. Linville dzięki swojej reputacji był poza wszelkimi wątpliwościami, także śledczych z Newcastle. Jeśli oświadczył, że nie wie, kto do niego dzwonił, to można było przyjąć, że tak rzeczywiście było. Ktoś taki jak on był poza zasięgiem telefonów czy listów interesantów, a także plotek współpracowników. Zadbano, aby nie był na to narażony. Przypuszczam, że część osób coś niecoś wiedziała, ale wszystko szybko poszło w zapomnienie. Nigdy nie stało się to często poruszonym tematem, bo każdy był przekonany, że Linville rzeczywiście nie miał pojęcia, kto dzwonił.

– To znaczy, że Scapin także nie wiedziała o roli Linville’a w tej historii. Zadzwoiła któregoś dnia do Newcastle, bo jej, osobie, której to wszystko najbardziej dotyczyło, ta sprawa nie dawała spokoju. I chciała ustalić, jak to wszystko wtedy wyglądało. I prawdopodobnie sama nie wierzyła, że dowie się czegoś istotnego, ale dość nieoczekiwanie otrzymała zupełnie nowe informacje.

– Tak zapewne było, sir.

– Ale nam nie powiedziała... ani słowa.

– Nie – potwierdził Robert. – Nie powiedziała.

Caleb zastanawiał się przez chwilę.

– Jak znam Jane Scapin, to na pewno drażyła sprawę do końca. Czy nie sądzi pan, że podejrzewała, że to sam Linville...

Ta myśl Robertowi także przysłała do głowy.

– Że to sam Linville był tym kierowcą? I w panice zwiął, a potem wymyślił historię, dzięki której zainteresowano się dzieckiem? To jest po pierwsze, nieprawdopodobne, bo przecież musiałyby tylko wybrać numer alarmowy i wcale nie musiałyby sam się mieszać do tej sprawy – w końcu po co ryzykować? A po drugie – sprawdziłem to. Także w Newcastle, oczywiście tylko *pro forma*, jak mnie zapewniano, sprawdzono miejsce pobytu Linville’a w momencie popełnienia wykroczenia. On był wtedy w swoim biurze. Razem z sierżantem Dowrickiem. Cały dzień. I zostało to potwierdzone także przez innych współpracowników.

– Sierżant Dowrick... – Caleb poczuł się naprawdę podle. I przyczyną tego nie była już whisky wypita poprzedniego wieczoru, lecz jakieś poczucie zagrożenia narastającego z minuty na minutę. Nie bardzo potrafił określić, co właściwie miał na myśli.

– Czy Jane także podano to nazwisko?

– Tak. Ponieważ Dowrick był w pokoju, kiedy do Linville’a zadzwonił ten

tajemniczy rozmówca. I Dowrick powiedział potem, że Linville rzeczywiście spytał kilka razy: „Kto mówi? Kto mówi?” i że nie otrzymał na to pytanie odpowiedzi.

– Śledczej Scapin podano nazwiska Dowricka i Linville’a. W związku z wypadkiem, w wyniku którego jej brat został osobą ciężko upośledzoną, co w dalszej konsekwencji najprawdopodobniej pociągnęło za sobą kolejne nieszczęścia całej rodziny. Wkrótce potem Dowrick zginął. Zaraz potem Linville. Zastanawiam się...

– Sir! – powiedział Robert przerażony.

– A ja wysłałem do niej wczoraj wieczorem Kate, która miała jakieś nowe informacje, ale ja... nie chciałem jej wysłuchać. Powiedziałem, że powinna to wyjaśnić z funkcjonariuszką Scapin. Kate chciała od razu do niej jechać. A teraz zniknęły obie. Kate Linville i Jane Scapin.

– To wcale nie musi oznaczać czegoś złego – powiedział Robert, ale jego głos był mocno zmieniony i nie brzmiał tak, jak gdyby Robert wierzył w to, co mówi.

– Sierzancie, musimy odnaleźć Jane Scapin najszybciej, jak to tylko jest możliwe. Proszę wysłać policjantów do jej domu. Mają się rozejrzeć i przepyttać raz jeszcze tę sąsiadkę. Może natrafią na jakąś wskazówkę. A ja zadzwonię z Liverpoolu, jak tylko będę coś wiedział.

Caleb zakończył rozmowę, odwrócił się i pobiegł do samochodu.

Czuł, że nie ma ani chwili do stracenia.

6

Sprawdziła się jako matka, mimo że tak naprawdę nią nie była, także jako policjantka. Jako kobieta sukcesu robiąca błyskotliwą karierę.

Kupiła kanapki, zawinęła je w plastikową folię i dokładnie tak one potem smakowały: jak folia. Nie miało to znaczenia, bo on był tak głodny, że zjadłby wszystko, każde podobne świństwo. Oczywiście miała ze sobą kilka butelek wody, co on przyjął bardzo chętnie, bo niemal umierał z pragnienia. Siedzieli oboje w samochodzie, on pochłaniał kanapki i czuł coś, o czym już niemal zapomniał: coś, co było związane z powrotem do domu i z bezpieczeństwem. Dawno już czegoś takiego nie odczuwał. Choć co prawda to uczucie nie pasowało do tej chwili zupełnie, wręcz przeciwnie: tkwił po uszy w nader skomplikowanej sytuacji. Może była ona nawet bardziej skomplikowana niż przedtem, ale kiedy się z nią upora, to już wszystko będzie dobrze.

Wtedy zacznie się nowe życie.

Sos z sałatki ciekł z kanapek i kapał na jego koszulę, ale nie przeszkadzało mu to. Nie spał całą noc i drżał ze zmęczenia, ale jedzenie uratowało go przed całkowitym załamaniem.

Jane go uratowała. Tak jak zawsze. W czasach jego młodości, całkowicie chorej, która byłaby jeszcze gorsza bez niej. To ona pakowała jego rzeczy do szkoły, prała jego ubrania. Szykowała mu kolację. Kupowała prowiant na wycieczki. Dbała o jego odzież.

Ona troszczyła się o wszystko. Tak samo jak teraz.

– Bez ciebie wszystko rozleciałoby się wtedy.

Była blada, zmęczona i smutna.

– I tak się teraz rozleciało – odpowiedziała cicho.

Z tym nie mógł się zgodzić.

– Nie. Wszystko jest w porządku. Wszystko *będzie* dobrze. Zobaczysz!

Przed nimi w mdłym świetle pochmurnego dnia ciągnęły się opuszczone doki. Wszędzie dookoła miasto dawno zbudziło się do życia, ale tu dziś nie zaglądał nikt. I bardzo dobrze, jego zdaniem, a to dlatego, że na tym polegał ich ratunek. Ale mimo wszystko musiał znaleźć jakieś rozwiązanie. Mniej więcej wiedział, jak ono ma wyglądać, ale nie wiedział jeszcze, czy jego siostra zgodzi się na to. I czy weźmie w tym udział.

Przełknął ostatnie kęsy kanapki, a potem wypił pół butelki wody. Może tracił teraz czas, ale musiał działać rozsądnie. Nie uda mu się, jeśli padnie ze zmęczenia. Potrzebował dużo sił. I czuł, że one stopniowo wracają. I nawet dzięki temu wzrastał też poziom adrenaliny we krwi i mógł zapanować nad zmęczeniem. Upadłby w którymś momencie jak podcięte drzewo, ale nie teraz. Jeszcze nie. Nie przed ostatecznym zakończeniem tej sprawy.

– Dwie rzeczy muszą być jeszcze załatwione – powiedział. – Dwie rzeczy, a potem wreszcie będzie koniec. Potem wystartujemy ze wszystkim od nowa.

Jej twarz była pełna wątpliwości.

– Jak? Cóż takiego się zmieniło?

– Wszystko – oświadczył. – Przynajmniej dla mnie. Dla ciebie nie?

– Myślę, że nie ujdzie nam to na sucho. Bo wszystko wymknęło ci się z rąk. Istnieje przecież Grace Henwood, którą policja kiedyś odnajdzie. Jest i Kate Linville, która jest bardzo zaangażowana w tę sprawę i nie spocznie, póki nie znajdzie rozwiązania. Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, Sean. A w tej chwili tylko się coraz bardziej pograżamy.

– Nie, wygrzebiemy się z tego. Zobaczysz. – Wypił jeszcze duży łyk wody i zakręcił butelkę. Czuł się teraz silny i pewny siebie. – Nie stracisz teraz nerwów? Tylko dlatego, że za pierwszym razem wszystko może nie pójść gładko?

Nie odpowiedziała, lecz pochyliła się do przodu i ukryła twarz w dłoniach.

Pogładził ją łagodnie po włosach. Patrzył na jej chude ramiona, wyraźnie widoczne pod cienkim swetrem. Była taka szczupła. Tak wycieńczona. I uwięziona w tym życiu z Dylanem, w poczuciu odpowiedzialności, którym dała się obarczyć. Znosząca los, który przyniósł im takie nieszczęście, które właściwie nie było

jakimś zrządzeniem opatrności. Spowodowali je inni ludzie i ci ludzie właśnie obarczyli ich wszystkimi skutkami tego nieszczęścia.

– Zawsze chciałam być dobrą policjantką – powiedziała cicho po chwili.

– Jesteś przecież dobrą policjantką – odparł.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Gdyby tak było, to nie dopuściłabym do tego wszystkiego. Nie siedziałabym tutaj, nie przyniosłabym ci tego jedzenia i picia. Sprzeciwiłabym się temu. Tak właśnie postąpiłaby dobra policjantka!

– Ale jesteś nie tylko Jane policjantka. Ty jesteś Jane moja siostra. Jane córka. Jane kobieta z przeszłością. Z trudną przeszłością, w której wydarzyło się coś bardzo złego. Nie możesz tego oddzielić. Cały czas wleciesz ze sobą tę historię. Czułaś i czujesz dokładnie tak samo jak ja, że nie możemy tego tak zostawić. Tego, że ofiary pozostają ofiarami, a sprawcom wszystko uchodzi bezkarnie.

Znów pogładził ją po włosach.

– Właśnie dlatego, że jesteś policjantką, Jane. Chodzi przecież o sprawiedliwość. W twoim zawodzie i w ogóle. Człowiek gorzknieje, jeżeli nie może liczyć na sprawiedliwość. Taka historia jak nasza wymaga, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jestem pewien, że ty też tak to odczuwasz.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Jane.

W tej chwili czuła po prostu strach. Była także zmęczona i wycieńczona. Gdyby on potrafił wszystko doprowadzić do porządku, zobaczyłaby świat nowymi oczami.

– Wydarzyło się zbyt wiele zła – powiedział. – Wtedy. Pamiętasz przecież, prawda?

Skinęła głową.

Wszyscy wtedy bardzo szybko zrozumieli, że Dylan już na zawsze pozostanie niepełnosprawny w wyniku ciężkiego upośledzenia. Z początku nie chcieli po prostu przyjąć do wiadomości rozmiaru tego nieszczęścia – wobec euforii, w którą wpadli, kiedy Dylan wreszcie obudził się ze śpiączki. Miesiącami sądzili, że albo umrze, albo też w ogóle się nie obudzi i na zawsze pozostanie w ciemności i kompletnym bezruchu. Ale jednak wrócił do życia, on, Dylan Holgate, pięcioletni, pełen życia chłopczyk o jasnych włosach, który pewnego jesiennego dnia wyjechał z domu na swoim rowerze, a teraz był znowu z nimi. Stał się jednak kimś zupełnie innym. Tak dalece innym, że cała rodzina nie pamiętała już, jaki był ten poprzedni Dylan. Zanim wydarzyło się to nieszczęście.

Jane pierwsza pojęła rozmiar całej tragedii, jeszcze przed rodzicami. Szybciej niż reszta rodziny przestała się łudzić, że będzie lepiej, że nie będzie tak źle, że wszystko wreszcie zacznie iść w dobrym kierunku.

Jej matka często mówiła, że po tak długim okresie śpiączki to normalne, że

człowiek nie jest taki sam jak poprzednio, ale piętnastoletnia wówczas Jane ze zdziwieniem pytała sama siebie, skąd jej matka to wie. Co ona mogła wiedzieć o długofalowych skutkach śpiączki u pacjentów? Jane wielokrotnie towarzyszyła rodzicom i Dylanowi w czasie wizyt u lekarzy i zawsze była potem zdziwiona, że poza nią najwyraźniej nikt nie pojmował, jak brutalna prawda kryła się za ich delikatnymi i zawoalowanymi słowami: Dylan, zgodnie z ówczesną wiedzą medyczną, zakończył swój rozwój. W jego uszkodzonym mózgu nie można było już niczego zmienić, niczego poprawić. Istniały nieliczne środki i metody bodźcowe, tak, ale czegoś, czego nie było, nikomu na świecie nie udało się jeszcze zmienić. Dylan skazany był na dożywotnią opiekę.

I kiedyś wreszcie wszyscy przestali się łudzić, że będzie lepiej, a w efekcie rodzina się rozpadła.

Jane była później zdania, że przyczyny były dwie: po pierwsze, jej matka nie miała już trojga dzieci, tylko jedno. A po drugie, jej ojciec nie znalazł w sobie tyle sił, aby pogodzić się z losem i próbować zrobić wszystko, co możliwe.

Oboje rodzice zawiedli, każde na swój sposób. Matka kręciła się od rana do nocy koło Dylana i błyskawicznie zamieniła się w kobietę wynędzniałą, chronicznie wyczerpaną i przeciążoną pracą. Dylana niemal nie można było poskromić, szybko stał się agresywnym, zamkniętym w sobie chłopcem, którego dawało się uspokoić tylko silnymi medykamentami. Lecz choć one go uspokajały, to jednocześnie osłabiały i otepiały tak, że przeważnie siedział bezmyślnie, całkiem nieobecny i nie brał w niczym udziału. Już wtedy był człowiekiem zupełnie zniszczonym. Matka któregoś dnia nie mogła znieść tego widoku, wpadła we wściekłość i wrzuciła wszystkie lekarstwa do toalety.

– Nie pozwolę z nim tego robić! – krzyczała i w ten sposób odebrała rodzinie nieliczne chwile spokoju, które w ogóle im wszystkim pozostały.

Ojciec trzymał się od wszystkiego z daleka, coraz rzadziej bywał w domu, coraz później wracał z pracy, a w czasie weekendów wynajdywał kolejne okazje, aby uciec od rodziny i chodzić własnymi drogami. I któregoś dnia w ogóle nie wrócił. Przez jakiś czas myśleli, że po prostu zrobił sobie małą przerwę od rodziny, ale w końcu stało się jasne, że po prostu uciekł i już go więcej nie zobaczą. Matka zebrała się któregoś dnia na odwagę i zgłosiła jego zaginięcie, ale niezbyt starannie prowadzone poszukiwania pozostały bezskuteczne. Bo przecież mógł być wszędzie na świecie.

Na nieszczęście był jedynym żywicielem rodziny. I od tej chwili do domowej kasy nie wpływały już żadne pieniądze.

Matka była tak całkowicie pochłonięta opieką nad Dylanem, że nie była w stanie zająć się tym problemem, ale Jane udało się w końcu zawlec ją do odpowiednich urzędów, aby przynajmniej złożyła wniosek o zapomogę socjalną dla rodziny. Z dużego jasnego mieszkania musieli się wyprowadzić. Znaleźli

schronienie na nieładnym osiedlu gdzieś na skraju miasta, w mieszkaniu składającym się z trzech malutkich pomieszczeń. Jane musiała dzielić pokój z Seanem, matka spała z Dylanem. Pieniądzy i tak nie starczało: brakowało na ubrania, rzeczy do szkoły, nie mówiąc już o kinie czy dyskotecie. Dawni przyjaciele zniknęli – kto chciałby jeszcze odwiedzać Holgate'ów? Kto chciałby patrzeć na to, jak zmęczona Mrs Holgate walczy z coraz silniejszym Dylanem, kto chciałby słuchać jego wrzasków, znosić ataki wściekłości?

I to właśnie Jane po powrocie ze szkoły robiła wszystko, aby rodzina nie wpadła w całkowity chaos. To ona troszczyła się przede wszystkim o Seana. Sean był zawsze chłopcem cichym, bardzo wysokim i dużym jak na swój wiek. Typ łagodnego olbrzyma, wiecznie rozmarzonego, zamkniętego w sobie i godzącego się na wszystko, ale także nieradzącego sobie w życiu. Jane, jak umiała, zastępowała mu matkę. Nie była jednak w stanie uchronić go przed codziennymi katastrofami i utratą pozycji społecznej. Ani przed odrzuceniem ze strony rówieśników. Przed obrazami, które musiał codziennie oglądać w domu. A przede wszystkim przed tym, że w wieku trzynastu lat był opuszczony właściwie przez oboje rodziców. Któregoś wieczoru, zapamiętała to bardzo dobrze, Sean zaczął mówić o swojej nienawiści. I o sprawiedliwości. Miał wtedy piętnaście lat, Jane siedemnaście. Każde leżało już w swoim łóżku w malutkim pokoju, w którym nawet nie było miejsca na szafę z ubraniami, i nagle w ciemności usłyszała jego głos:

– To nie jest wina naszych rodziców, że do tego doszło. To wina tego typu, który przejechał Dylana i potem zwiął.

Oczywiście, że była to jego wina, ale Jane wiedziała jednocześnie, dlaczego Sean mówił o tym w związku z rodzicami: ona sama wypowiadała się z żalem i smutkiem częściej o nich niż o nieznanym sprawcy wypadku. Mówiła o swoich straconych iluzjach i złudzeniach, które odczuwała wobec ojca. Sprawca wypadku nie miał twarzy ani nazwiska i nikt go nie znał. Ale rodzice – to przecież byli ludzie, którzy razem sprowadzili na świat troje dzieci i poprzez to wzięli na siebie odpowiedzialność za ich los. Kiedy jednak ten los wystawił ich na próbę, zawiedli oboje. Zachowanie rodziców bolało Jane bardziej niż wszystko. Rozczarowali ją oboje. Zawiodł ojciec, który nie widział innego wyjścia niż tchórzliwa ucieczka, choć wiedział przecież, że będzie to dla rodziny jednoznaczne z całkowitą katastrofą. Zawiodła także matka, która skupiła się wyłącznie na Dylanie w taki sposób, że przestał dla niej istnieć cały świat, a życie składało się tylko z tego wymagającego pomocy dziecka. Może Jane odczuła to najmniej, bo miała już piętnaście lat, kiedy zdarzył się ten wypadek; miała więc za sobą spokojne i szczęśliwe dzieciństwo, którego wspomnienia stanowiły dla niej oparcie. Ale Sean, ten wrażliwy chłopiec, który także potrzebował troski, miłości i opieki rodziców, był z całej trójki rodzeństwa najbardziej labilny i przypominał wręcz cienkie źdźbło na wietrze. I to o niego Jane bała się najbardziej, i już choćby z jego

powodu nigdy nie potrafiła przebaczyć rodzicom. Dotarło do niej, że teraz uzmysłowiła to sobie aż nadto wyraźnie.

– Ten człowiek zniszczył nasze życie – mówił dalej Sean. – Życie Dylana, ale także życie mum i dad. Także twoje. I moje.

To akurat były myśli, przed którymi Jane zawsze gwałtownie się broniła. Nie chciała mówić o zniszczonym życiu. Ani też myśleć.

– Ciągle jeszcze możemy bardzo dużo zrobić z naszym życiem, Sean – powiedziała.

– Ja nie – odparł.

– Owszem, ty też.

– Ja chciałbym znaleźć tego typa. Tego, który przejechał Dylana.

Uśmiechnęła się na samą myśl o tym. Sean mściciel.

– I co wtedy?

– Zapytałbym go, dlaczego to zrobił. Dlaczego po prostu stamtąd odjechał.

Nikt nie potrafił im powiedzieć, czy wszystko skończyłoby się lepiej dla Dylana, gdyby pomoc zjawiała się tam natychmiast. I czy godziny, które upłynęły od tej chwili, przyczyniły się do tego, że Dylan był dziś w takim stanie. Ale sama możliwość, że był odcinek czasu, który być może zdecydował o dalszym losie Dylana, wystarczyła, aby Sean nabrał przekonania, że tu zaczynał się cały problem. Gdyby kierowca miał dość odwagi i poczucia przyzwoitości, aby natychmiast wezwać pogotowie i lekarza, całej rodzinie oszczędzone byłoby to, co najgorsze.

– Sean, nie znajdziemy go. Zwłaszcza po tak długim czasie. Musimy to zaakceptować.

– Nie mogę tego zaakceptować.

– Musimy patrzeć do przodu. Sytuacja jest, jaka jest. Musimy postarać się wyciągnąć z tego to, co najlepsze.

– Ja nie potrafię myśleć o niczym innym – odpowiedział Sean. – Tylko o tym kierowcy. I o tym, jak on ucieka.

Czy powinna była w tym momencie zauważyć, że w głowie nastolatka zrodziły się myśli, które później staną się obsesją dorosłego człowieka?

– Hej – powiedziała cicho. – Wiesz, o czym często myślę?

– O czym?

– Żeby pójść pracować w policji. To znaczy, zawodowo.

– Chcesz być policjantką?

– Dlaczego nie?

– Oni przecież całkowicie zawiedli, jeśli chodzi o Dylana!

– To może będę lepsza niż oni.

– Szaleństwo! – Był wyraźnie pod wrażeniem. – Moja siostra. Policjantka.

Super!

Teraz, wiele lat później, Jane nie miała już wrażenia, że w którymkolwiek

momencie swej dotychczasowej długiej drogi rzeczywiście była super.

7

Dotarł do Liverpoolu, podjechał wprost na osiedle i natychmiast dostrzegł, że Kadir Roshan nie siedział już na murku.

Miał nadzieję, że to nie był zły znak.

Caleb zaparkował samochód i wysiadł. Najpierw poszedł do mieszkania Grace Henwood, choć nie żywił zbyt wielkiej nadziei, że jej rodzice dowiedzieli się tymczasem czegoś na temat miejsca pobytu ich córki.

Otworzyła mu Mrs Henwood; wyglądała, o ile to w ogóle było możliwe, jeszcze bardziej żałośnie niż ostatnim razem.

– Komisarz – powiedziała cicho. Najwyraźniej pamiętała, kim był. – Grace ciągle się nie pojawiła. Nie mamy pojęcia, gdzie ona może być. Policja sprawdziła wszystkich uczniów z jej szkoły. I nic.

Z kuchni wyszedł Mr Henwood.

– Czy odnalazł pan już Grace? – spytał.

– Nie. – Caleb potrząsnął głową. – Przykro mi.

W oczach Mrs Henwood pojawiły się łzy.

– Ona zniknęła, jak gdyby się pod ziemię zapadła! Nie rozumiem tego wszystkiego! To ma jakiś związek z tym mężczyzną, który został znaleziony martwy koło fabryki, prawda? Ale przecież nasza córka nie ma z tym nic wspólnego! Oczywiście nie wolno jej było zabierać tego wózka, ale...

– Mrs Henwood – przerwał jej łagodnie Caleb. – Nikt niczego nie zarzuca Grace. Ona nie zrobiła nic złego. Najwyraźniej sądzi, że zrobiła, i dlatego się ukryła, ale nie ma ku temu żadnych podstaw.

– Naprawdę pan uważa, że ona się tylko ukryła? Że nic się jej nie stało?

Niestety tego Caleb nie był zupełnie pewny, ale nie chciał przerażać Mrs Henwood.

– Naprawdę sędzę, że ona się tylko ukryła. A pani nadal nie przychodzi do głowy, gdzie mogła się schować?

– Ona może być wszędzie i nigdzie – oświadczył Mr Henwood.

– Czy ktoś jeszcze o nią pytał?

– Nie. Dziś i wczoraj nikt.

– Czy pojawił się u państwa Kadir Roshan?

– Kto?

– Młody Hindus. Przeważnie siedzi na dworze, na murku.

– Ach, ten – odparł Mr Henwood. – Śmieszny dziwak. Ma trochę nierówno pod sufitem. Nie, jego tutaj nie było.

– Czy wie pani, gdzie mieszka?

Mrs Henwood skinęła głową.

- W domu naprzeciwko nas. O ile wiem, pod samym dachem.
- Czy on ma coś wspólnego z zaginięciem Grace? – spytał Mr Henwood.
- Caleb machnął ręką w geście przeczenia.
- Ależ skąd. Ale możliwe, że coś zaobserwował.

Jakoś stracił już nadzieję, że znajdzie Kadira Roshana. Dziwnie było nie zastać go na murze, zwłaszcza że ani nie padało, ani też nie było dokuczliwego skwaru. Właściwie dzisiejszego dnia panowała idealna pogoda na siedzenie na murze. Caleb martwił się coraz bardziej. Co rusz znikał ktoś, kto miał jakiś związek z tą sprawą.

Pożegnał się z małżeństwem Henwoodów, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do stojącego naprzeciw domu. Wydawało się, że jest on zupełnie pusty, tylko za drzwiami wejściowymi usłyszał czyjeś kroki, które umilkły natychmiast, kiedy wchodził do środka. Przypuszczalnie mało kto tu bywał, a jego wizyta stanowiła na osiedlu sensację.

Pod dachem – powiedziała Mrs Henwood.

Popchnął ostrożnie drzwi, które były tylko przytknięte. Jego oczom ukazało się surowe małe pomieszczenie. Skośne ściany. Małe okno, które prawie nie przepuszczało światła. Redukcja do absolutnego życiowego minimum: materac, kuchenka gazowa, talerz, filiżanka, sztucce. Miska do mycia. Wszystko bardzo czyste, pomieszczenie idealnie wysprzątane.

A pośrodku tego: Grace Henwood.

Dziewczynka siedziała w kucki w kącie pomieszczenia, kurczowo obejmując rękami podciągnięte aż pod brodę kolana. Długie włosy okrywały ją jak gęsta miękka zasłona.

Caleb rozpoznał ją natychmiast na podstawie opisu Kate. Łagodna twarz Madonny. Ogromne niebieskie oczy. Długie włosy, które wymagały już umycia.

– Grace? – spytał mimo wszystko.

Skinęła głową. Wyglądała na bardzo wystraszoną i sprawiała wrażenie, że najchętniej zniknęłaby w ścianie.

– Tak – odpowiedziała.

Ostrożnie podszedł do niej.

– Jestem Caleb Hale. Należę do tych ludzi, którzy wyjaśniają morderstwo mężczyzny jeżdżącego na wózku.

Na jej twarzy natychmiast pojawił się lęk.

– Policja – powiedziała przerażona.

Caleb się uśmiechnął.

– Tak. Ale nikt nie chce zrobić ci krzywdy, Grace. Policja także nie. Absolutnie nic nie przeszkobałaś, a więc nie musisz się w ogóle obawiać. Chcielibyśmy tylko wiedzieć, czy coś zaobserwowałaś. Jak ten mężczyzna na terenie koło fabryki został... zapakowany do beczki.

– Wózek inwalidzki – powiedziała Grace.

Caleb machnął ręką.

– Możesz go sobie zatrzymać, to nic złego. Grace, naprawdę nie musisz się niczego bać. Ale mogłabyś nam naprawdę pomóc, bo wiedziałaś, że ten mężczyzna był w tej beczce. To znaczy, że wiedziałaś, jak ktoś go tam wsadził, prawda?

To było trochę pytanie, a trochę stwierdzenie. Grace skinęła głową.

– Czy to był mężczyzna? Kobieta? A może kilku mężczyzn albo kobiet? A może jedni i drudzy?

– Mężczyzna – odpowiedziała Grace.

– Jeden mężczyzna? I dał radę zrobić to całkiem sam?

Grace sprawiała wrażenie niepewnej.

– Przecież ten drugi był sparaliżowany. Nie mógł się bronić – stwierdziła.

– Tak, to prawda. To zły czyn, prawda? A mogłabyś opisać mi tego mężczyznę? A może go nawet znasz?

– Nie znam go. On jest bardzo duży. Blondyn. Niezbyt stary.

– Ile mniej więcej może mieć lat?

– Nie tyle co pan – odpowiedziała Grace.

Okay. A więc prawdopodobnie mniej niż czterdzieści.

– Ale... nie znasz jego nazwiska? A może wiesz, gdzie on mieszka?

– Nie.

– A wiedziałaś go od tamtego czasu? To znaczy od tamtej chwili, kiedy on... to zrobił?

Jeszcze ciałniej objęła rękami kolana. Bała się.

– Tak – odpowiedziała.

– Kiedy? Gdzie?

– Ostatniej nocy.

– A gdzie?

– On przyszedł do mojej kryjówki. Miał latarkę. I wszystko obszukał.

– Ale nie znalazł cię?

– Nie. Bo potem przyszedł Kadir. A potem ta kobieta.

– Jaka kobieta?

– Ta, której pokazałam mężczyznę w beczce.

– Kate – powiedział Caleb.

Grace gwałtownie skinęła głową.

– Kate. Ona jest bardzo miła.

Caleb podszedł jeszcze bliżej i przykucnął, aby nie stać nad dziewczynką jak wielki cień i jej nie przstraszyć.

– To prawda, Grace. Kate jest bardzo miła. I bardzo się martwiła, kiedy zniknęłaś. Chciała cię koniecznie znaleźć. Żeby cię chronić, wiesz?

Grace spojrzała na niego z niepokojem. Prawdopodobnie nie dane jej było

kiedykolwiek doznać tego, że ktoś chciał ją chronić, i nie bardzo wiedziała, o czym mówił Caleb.

– Gdzie jest teraz Kate, Grace? I Kadir? Czy oni oboje są razem?

– Tak.

– A gdzie oni są?

– Są uwięzieni.

– Uwięzieni? Czy to morderca mężczyzny na wózku ich uwięził?

– Tak.

– Gdzie? – spytał Caleb z naciskiem. – Grace, gdzie? Proszę. To bardzo ważne!

Kate Linville i Kadir Roshan byli w rękach człowieka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa miał na sumieniu trzy okrutne morderstwa. Który teraz czuł się osaczony i nie miał nic do stracenia.

– Proszę, Grace. Gdzie oni są?

Podniosła się jednym pełnym gracji ruchem i stanęła przed nim. Caleb dopiero teraz zauważył, że była bardzo wynędzniała, że jej ubranie było brudne, wręcz śmierdzące i że wokół szyi miała ciemne obwódki brudu. Od wielu dni mieszkała na ulicy. A przedtem też nikt z pewnością nie zwracał uwagi na to, czy się porządnie myje i czy ma czyste ubrania.

– Pokażę ci – powiedziała.

Wiedział, że to była chwila, w której powinien wezwać posiłki.

– Czy nie możesz mi wyjaśnić, gdzie jest to miejsce?

Popatrzyła na niego bezradnie.

Dobrze. Nie potrafiła tego opisać. Musiała go tam zaprowadzić. Czy powinni poczekać tutaj, aż on wezwie policję? To mogłoby potrwać; w dodatku Caleb obawiał się, że dziewczynka nie będzie chciała współpracować, jeśli zjawią się tu policjanci, że ze strachu po prostu umilknie i nie powie już nic. I wówczas dopiero miałby problem.

Uśmiechnął się więc.

– W porządku, Grace. Pokaż mi to miejsce. Musimy się pośpieszyć.

Kiedy już będzie wiedział, dokąd idą, będzie mógł zadzwonić. Najpierw należało pozyskać zaufanie Grace.

– Pośpieszyć – powtórzyła dziewczynka. Sprawiała wrażenie bardzo poważnej. – Musimy się pośpieszyć!

8

– Muszę to dokończyć – powiedział. Zjadł już wszystkie kanapki i wypił prawie całą butelkę wody. Nie było teraz nic innego do roboty jak dokładnie to, co właśnie powiedział: zakończyć całą sprawę.

– Proszę – powiedziała Jane – nie rób tego. Posunąłeś się już za daleko.

I będzie jeszcze gorzej. Zapłaczesz się jeszcze bardziej. Przestań!

Wytrzeszczył na nią oczy w zdumieniu.

– Zwariowałaś? Ci dwoje mogą spowodować, że znajdę się w więzieniu. Sama powiedziałaś, że ta policjantka ze Scotland Yardu depte mi po piętach. Nie mam wyboru!

– Uwięziłeś Kate i tego Hindusa. Ciągle jeszcze nie znalazłeś dziewczynki, która widziała, jak mordowałeś Normana Dowricka. To nie ma końca. Czy ty tego nie widzisz? Wszystko wymknęło ci się z rąk! To jest sytuacja bez wyjścia!

– Kiedy skończę z Kate i Hindusem, poszukam tej dziewczynki. Przecież nie mogła rozpuścić się w powietrzu.

– A potem ją też zamordujesz? Sean...

– Po której stronie ty jesteś?

– Jestem po twojej stronie, ale nie mogę dopuścić, żebyś ty... – Nie dokończyła. Odetchnęła głęboko.

– Do czego nie możesz dopuścić?

– Zamordowałeś troje ludzi. Sean, kryłam cię, ale...

– Nie tylko mnie kryłaś, Jane. Ty mi pomagałaś. Ostrzegłaś mnie, że ktoś widział mój samochód w Scalby. Teraz poinformowałaś mnie, że jest świadek morderstwa, ta opóźniona w rozwoju dziewczynka. Jak sądziłaś, co miałem zrobić z tą informacją? Miałem usiąść wygodnie w fotelu, powiedzieć „aha” i potem czekać w spokoju, aż mi wszystko udowodnią?

– Po pierwsze, powinieneś był się pozbyć tego samochodu. To, że nadal nim jeździsz, to szaleństwo. A teraz mogłeś się stąd wyprowadzić. Na drugi koniec południowej Anglii albo do Szkocji. Dokądkolwiek. Wszystko, co w najlepszym wypadku zdołałaby zdobyć policja, to jedynie portret pamięciowy – narysowany na podstawie zeznań umysłowo chorej nastolatki. Na tej podstawie nie mogliby cię złapać. Dobry Boże, Sean, ja chciałam cię ostrzec. Chciałam, abyś wiedział, że ktoś cię widział. Nie miałam zamiaru nakłaniać cię do tego, abyś ich mordował!

Wykrzywił pogardliwie twarz. Nie sądził, że aż tak bardzo zabraknie jej odwagi. Że miała tak słabe nerwy. Po prostu się poddała i próbowała jeszcze nakłonić go, aby też się poddał.

– Zadzwońska do mnie jeszcze wczoraj wieczorem – przypomniał jej. – Powiedziałaś mi, gdzie przypuszczalnie ukrywa się Grace. I że ten Hindus jest gdzieś blisko niej. I że ta policjantka ze Scotland Yardu prawdopodobnie też się tu pojawi. I jak sądziłaś, co z tym zrobić?

– Chciałam, żebyś opuścił Liverpool. Żebyś przestał się włóczyć po tym cholernym osiedlu i wypytywać ludzi o Grace. Do cholery, Sean, a teraz sam doprowadziłeś do tego, że ludzie będą w stanie dokładnie cię opisać. W efekcie tych głupich poszukiwań niemal potwierdziłeś to, co ewentualnie zeznałaby na twój temat Grace. A przecież opowieści tej dziewczynki przyjęto by z ogromnym

sceptycyzmem, ale ty poprzez swoje zachowanie tylko je uwiarygodniłeś. To szaleństwo. Chciałam cię powstrzymać!

– Jaka ty jesteś przebiegła – powiedział z wściekłością. Jednak doskonale wiedział, że ona miała rację. Zrobił wszystko, aby pogorszyć sytuację, w której się znalazł. – Ale to i tak wszystko jedno – dodał. – Jest tak, jak jest. Muszę załatwić tych dwoje tam w piwnicy. Inaczej nie pozwolą, abym uciekł.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Rozejrzał się. Dookoła panowała absolutna cisza i spokój. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Dobrze, musiał to wykorzystać, w końcu nie miał pewności, że tu nikt nigdy nie przychodzi. Za długo już czekał. Poczul nagłą wściekłość i pomyślał: to dlatego te kanapki, woda i ta troska. Chciała mnie powstrzymać. I przerobić na swoją modłę.

A on zaleje teraz te podziemne tunele. Grace Henwood zaprowadziła go w świetne miejsce, a Hindus i policjantka nie mogli wyświadczyć mu większej przysługi niż to, że się tu zjawili. On akurat znalazł pomieszczenie, w którym znajdowało się koło umożliwiające otwarcie klap i zalanie wszystkiego. Czysta sprawa. Nie musiał się zbliżać do więźniów, nie musiał ich widzieć. Nie będzie narażony na to, że go zaatakują albo że zostawi jakieś ślady.

Jane także wysiadła. Stali teraz naprzeciw siebie po dwóch stronach samochodu.

– Co zamierzasz? – zapytała.

– Zaleję tych dwoje. I okay, potem przestanę. Wyniosę się stąd. Może na inny kontynent na jakiś czas. Zostawię tę dziewczynkę w spokoju. Masz rację: wszystkiemu, co opowie, i tak uwierzą tylko połowicznie.

Jane patrzyła na niego z przerażeniem.

– Nie możesz pozwolić, aby Kate i Hindus utonęli w tej piwnicy!

Zrozumiała natychmiast, co miał na myśli. Znała urzędnika takie jak to. Zwykle można je było zalać.

– Mogę i zrobię to – powiedział. – Ci dwoje są naprawdę niebezpieczni. Szczególnie ta kobieta ze Scotland Yardu. Nie mam ochoty spędzić przez nią reszty życia w więzieniu.

Jane okrążyła samochód i podeszła do niego. Wyciągnęła z torebki telefon.

– Przykro mi. Wezwę posiłki. Nie pozwolę, żebyś to zrobił.

Z początku nie wierzył, że mówi poważnie. Nie mogła być przecież taka głupia, tkwiła w tej sprawie razem z nim. Dostarczyła mu ważnych informacji. Ukrywała przed swoimi kolegami prawdziwą tożsamość sprawcy trzech morderstw, którą dobrze знаła. Ostrzegała go, kiedy ziemia zaczynała mu się palić pod stopami.

– Nie bądź idiotką – powiedział. – Wylądujesz za kratkami tak samo jak ja. Może nie na tak długo, ale będziesz siedzieć. A swoją karierę możesz już skreślić.

– Wiem – odparła bez mrugnięcia okiem. – Ale nie mogę dopuścić do tego,

aby znów ktoś zginął.

– Biedny Dylan – powiedział Sean bez zastanowienia. – Dwoje jedynych ludzi, którzy mu pozostali, za kratkami przez całe lata. Pomyślałaś, co się z nim stanie?

Dostrzegł niepewność na jej twarzy. Cień wątpliwości i wahania.

Ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Po chwili była znów zdecydowana.

– Dzwonię po kolegów.

– Zostaw to – powiedział Sean.

Zaskoczona zobaczyła broń w jego ręce. Skąd wziął pistolet? Skierował wylot lufy w stronę siostry.

– Wyrzuć telefon – rozkazał. – Daleko.

Nie była w stanie sobie wyobrazić, że on to zrobi.

Że do niej strzeli.

– Nie pogarszaj wszystkiego – powiedziała.

– Wyrzuć telefon – powtórzył.

Usłyszała dźwięk odbezpieczanej broni.

Upuściła komórkę na ziemię, która leżała teraz między nią a Seanem. Sean wyciągnął nogę i kopnął aparat. Na bezpieczną odległość.

– Zastrzelisz mnie teraz? – spytała Jane. – Żeby ci nie przeszkadzała? A może sądzisz, że będę tu stać i czekać, aż ty zalejesz piwnicę?

Dostrzegła, że się zastanawiał. Miał skrupuły, żeby tak po prostu strzelić do własnej siostry. Ale ona stała się teraz niebezpiecznym przeciwnikiem.

– Skąd masz broń? – spytała.

Uśmiechnął się z dumą.

– Odebrałem ją policjantce – oświadczył.

Czyli przypuszczalnie chodziło o broń nieżyjącego Linville'a. Jane wiedziała, że wręczono ją Kate.

„To też jakiś rodzaj sprawiedliwości – pomyślała – że zostanę zastrzelona z jego pistoletu”.

Sean nagle wykonał szybki ruch w jej stronę, a ona pomyślała: „Teraz. Teraz mnie zastrzeli”.

Ale wówczas dostrzegła rękojeść pistoletu przed swoją twarzą, poczuła straszny ból w skroni i w następnej chwili zrobiło jej się czarno przed oczami. Nie czuła już, jak się przewraca. Była nieprzytomna, zanim runęła na ziemię.

9

Próbowali wielokrotnie otworzyć zasuwę. Szarpali drzwiami, ciągnęli je, rzucali się na nie oboje, aby wyrwać je z zawiasów. Wszystko na próżno. Słyszeli coś, w efekcie czego budziła się ich nadzieja, bo wydawało im się, że zasuwę wisi na jednej obłuzowanej śrubie. To jednak było tylko złudzenie. Trzymała nadal. Nie

można było w żaden sposób jej wyłamać.

Oboje byli wyczerpani. Właściwie nie zmęczeni, bo w ich krwi było już za dużo adrenaliny, ale zestresowani, wykończeni fizycznie i załamani. Pracowali najpierw całymi godzinami, aby na zmianę uwolnić się z więzów, a potem toczyli daremną walkę z drzwiami. Byli głodni i spragnieni. Jeżeli ktoś ich wkrótce nie uwolni, to woda stanie się ich głównym problemem, Kate już o tym wiedziała.

Z początku latarka świeciła się stale, ale nie można było zignorować faktu, że jej światło było wyraźnie słabsze, i Kate ustaliła z Kadirem, że będą ją od czasu do czasu wyłączać. Inaczej wkrótce w ogóle nie będą mieli światła. Siedzieli więc co jakiś czas w całkowitej ciemności i nie była to zwykła ciemność nocy. Był to wręcz gęsty, zupełnie nieprzenikniony mrok i tylko po to, aby nie oszaleć, Kate co jakiś czas włączała latarkę. Było to coś w rodzaju uprzytomnienia sobie, że dookoła jest świat – nawet jeśli teraz składał się on wyłącznie z kamiennej piwnicy. Poza tym Kate zerknęła też na zegarek. Było już prawie południe.

Ciągłe pytanie: kiedy Jane się zorientuje, że coś nie gra?

– Jak pani myśli, co się stanie? – spytał Kadir.

Czasami w świetle latarki Kate widziała, że poruszał bezgłośnie wargami. Przypuszczała, że powtarzając jakąś mantrę, starał się nie wpaść w panikę.

– Zakładam, że tego typu już tu nie ma – odpowiedziała Kate. Miała raczej nadzieję, że tak jest, ale starała się, aby zabrzmiało to przekonująco. – Nie mógł znaleźć Grace i uciekł. W każdym razie ja bym tak zrobiła na jego miejscu. Wyniosłabym się z Liverpoolu jak najdalej.

– I on po prostu nas tu zostawi? – spytał Kadir z przerażeniem.

– Nie może nas wypuścić. I sądzi, że nikt nas nie znajdzie. Ale tu się myli. Śledcza Scapin wie o wszystkim. Wie o pana przypuszczeniach, że Grace jest gdzieś w pobliżu Kanadyjskiego Doku. I Jane przyjedzie tutaj, jeśli ja przez dłuższy czas nie będę dawała znaku życia.

– Ale kiedy?

– Wkrótce. Jest bystra i nie spodoba jej się to, że nagle znikłam z powierzchni ziemi. Zarządzi poszukiwania.

Oby tak było! Przecież ona nie wie, że tu przyjechałam. Miejmy nadzieję, że nie zadowolą się niejasnymi oświadczeniami policji w Liverpoolu.

Ale tego Jane nie zrobiłaby nigdy. Była dokładna, wytrwała, nie dawała się zbić z tropu, kiedy prowadziła dochodzenie i natrafiała na przeszkodę. Kate ciągle nie знаła dokładnie szczegółów całej historii, ale dotarło do niej, że Jane uratowała całą rodzinę Crane'ów i w efekcie umożliwiła schwytanie Denisa Shove'a – i dokonała tego zupełnie sama.

– Czy pani też się chce tak strasznie pić, Kate?

– Tak. Ale nie mówmy o tym. Proszę się skoncentrować na czymś innym, Kadir. Pragnienie staje się jeszcze gorsze, kiedy się o nim mówi.

– Prawie nie mogę się na niczym innym skoncentrować. Myślę tylko o wodzie...

Kadir siedział tu dłużej niż ona. I prawdopodobnie też niewiele zjadł i wypił, zanim się tu znalazł. Zanim wyruszył do doków, aby chronić Grace.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Kate i włączyła latarkę. Kadir był błądy i wynędział. Oczy błyszczały mu gorączkowo. – To na pewno nie potrwa długo – zapewniła go.

– Spróbujemy jeszcze raz wyważyć te drzwi? – zaproponował Kadir.

Pozbierali się z trudem, wstali i kilkakrotnie oboje rzucili się na drzwi, uderzając w nie ciałami. Nic z tego. Kate czuła, że boli ją cały prawy bok. Uderzyła nim tyle razy o stalowe drzwi, że jutro zapewne będzie miała tam same siniaki.

– Powinniśmy oszczędzać siły – powiedziała w końcu. – Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na Jane. Nie otworzymy tych cholernych drzwi, Kadir, niestety taka jest prawda.

– Myśli pani, że można zlizywać wodę ze ściany? – spytał Kadir. Patrzył na wąskie strużki ciekące po kamieniach.

Kate wzruszyła ramionami.

– To woda z rzeki. Nie sądzę, żeby można było pić wodę z Mersey.

– U nas w Indiach ludzie piją wodę z Gangesu. Myją się w niej, wpuszczają tam swoje fekalia, wyrzucają śmieci – i piją z niego wodę.

– Wielu potem choruje i umiera.

– Ale zadziwiająco wielu przeżywa. Jeszcze jedna czy dwie godziny i ja...

Przerwał w połowie zdania. Usłyszeli dobiegający z góry dziwny dźwięk. Przeciągłe zgrzytanie zardzewiałego mechanizmu. Po chwili ciszy usłyszeli je znów.

– Co to jest? – spytał Kadir z przerażeniem.

Kate zerwała się i oświetliła latarką sufit. Nie byli w stanie rozpoznać, czy żelazna kłapa nad nimi poruszyła się, ale jedno było pewne: ten dźwięk pochodził właśnie stąd.

Ktoś próbował otworzyć kłapę.

Zrobiło jej się niemal niedobrze. Cholera. Ten typ wcale nie uciekł. Był tu jeszcze. Chciał być pewien losu swoich więźniów.

Próbował otworzyć kłapę.

Kadir także się poderwał. Zrozumiał w tym samym momencie, co się dzieje.

– O nie! – dyszał ciężko. – Nie, Kate. Co mamy... co możemy...?

Jak na komendę rzucili się oboje na drzwi. Szarpali nimi ze wszystkich sił, uderzali w nie pięściami, krzyczeli. Daremnie.

Sytuacja zmieniła się całkowicie.

Brak wody za kilka minut przypuszczalnie nie będzie już ich problemem.

Kiedy Jane się ocknęła, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Leżała

na miękkim siedzeniu, ale nie było to wygodna pozycja. Bolały ją mięśnie i nie mogła wyprostować nóg. Podniosła się i wyrzała na zewnątrz przez dość brudną szybę swojego samochodu.

Zobaczyła opuszczone doki i natychmiast przypomniała sobie wszystko.

Liverpool. Sean. Uderzył ją, a ona straciła przytomność. Zaniósł ją potem do jej samochodu, i posadził koło siedzenia kierowcy.

Opuściwszy lusterko, spojrzała na swoją twarz. Była blada, ale właściwie nie mogła niczego dostrzec na swojej prawej skroni, tam gdzie trafił ją cios. Tylko niewielka opuchlizna... Do wieczora będzie pewnie znacznie większa i kolorowa.

W następnej chwili wróciło wspomnienie tego, co zamierzał zrobić Sean, i natychmiast spróbowała otworzyć drzwi. Do cholery, Kadir i Kate siedzieli gdzieś uwięzieni w piwnicy, a Sean próbował zalać cały system podziemnych tuneli – jeśli tego już nie zrobił.

Nie mogła otworzyć drzwi, bo Sean zamknął samochód. Przechyliła się i nacisnęła przełącznik przed siedzeniem kierowcy, który otwierał wszystkie drzwi. Wyszła na zewnątrz, próbując zignorować narastający, pulsujący ból głowy, który pojawił się niemal natychmiast. Jej komórka... Gdzieś tu powinna leżeć jej komórka. Jane musiała natychmiast wezwać policję.

Ale nigdzie nie mogła znaleźć telefonu, mimo gorączkowych poszukiwań. Sean nie był głupi, wiedział, że prędzej czy później się ocknie i wyjdzie z samochodu. I zabrał komórkę.

Spojrzała na zegarek, ale ponieważ przedtem nie zwróciła uwagi na godzinę, nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna. Wahala się przez chwilę, czy nie powinna pobiec gdzieś dalej, w nadziei że natknie się na ludzi i będzie mogła zadzwonić, ale zdecydowała, że to zbyt ryzykowne. Kate i Hindus mieli przed sobą tylko kilka minut. Musiała ich znaleźć jak najszybciej i uwolnić.

Wspięła się za prowizoryczną barykadę zamykającą wejście na teren doku. A ponieważ peugeot Seana ciągle stał na zewnątrz, miała nadzieję, że jeszcze nie zrobił tego, co zamierzał. Z drugiej strony znaczyło to jednak, że musiała uważać, aby nie wpaść mu prosto w ramiona. Był uzbrojony. I zdecydowany. Do tego zrozpaczony i zdeterminowany. I być może tym razem nie zadowolony się jedynie chwilowym unieszkodliwieniem siostry.

Łatwo było znaleźć wejście, drzwi nie były zamknięte. Wstrzymując oddech, zeszła bezszelestnie w dół. Przeraziła się niemal na widok brudnej wody pod jej stopami, ale oprócz tego wszystko wydawało się suche. I wtedy usłyszała zgrzytanie, i wiedziała już, że Sean zaczął urzeczywistniać swój szalony plan. A ponieważ całego urządzenia od lat nie serwisowano ani nie używano, wszystkie mechanizmy były najwyraźniej w bardzo złym stanie, zardzewiałe i niemal się rozpadały. Sean miał znacznie więcej trudności, niż przypuszczał. Ale był silny i na pewno nie zamierzał się poddać.

Nie miała czasu do stracenia.

Zaczęła schodzić po stromych schodach w dół.

W ciemność, która w miarę oddalania się od wejścia stawała coraz bardziej nieprzenikniona. Schodziła, nie wiedząc, jak daleko będzie musiała iść, aby odnaleźć uwięzionych – o ile w ogóle ich znajdzie. Schodziła mimo niebezpieczeństwa zalania. Seanowi mogło się to udać w każdej chwili. Jane nie miała pojęcia, czy wówczas znajdzie szybko wyjście i dotrze do schodów prowadzących na górę.

10

Poruszali się pieszo, bo Grace wzbraniała się przed jazdą jego samochodem. Była pełna ogromnego lęku i nieufności. Caleb sądził, że tylko z powodu obawy o Kate zgodziła się w ogóle współpracować, zamiast od razu uciec. Dziewczyna panicznie bała się mężczyzn i policjantów. A Caleb był jednym i drugim, mężczyzną i policjantem, czyli po prostu uosobieniem jej koszmaru. I chociaż niemal dygotał z niepokoju i zniecierpliwienia, bo długi marsz pochłaniał zbyt wiele cennego czasu, a samochodem byłiby na miejscu oczywiście o wiele szybciej, to jednak starał się zachować pozory spokoju i udawać, że ten sposób przemieszczania się bardzo mu odpowiadał. Musiał unikać wszystkiego, co mogłoby wystraszyć Grace.

Byli już w drodze prawie trzydzieści minut, kiedy okolica wokół nich, mimo że byli w mieście, zaczęła sprawiać wrażenie coraz bardziej opuszczonej. Tu wyraźnie było widać, na czym polegał główny problem Liverpoolu: stanowiły go liczne firmy, które już dawno zbankrutowały, czego rezultatem była wysoka stopa bezrobocia. Mijali puste budynki biurowe, nieczynne stocznie, ciągnące się kilometrami rzędy olbrzymich rdzewiejących kontenerów, już teraz zarośniętych ostami. Tu w swoim czasie postawiono na rzekę i budowę statków, ale te nadzieje niestety się nie spełniły. Przedsiębiorstwa musiały stopniowo zaprzestać produkcji. Pozostał olbrzymi, pusty i smutny areal, w tej chwili przypominający miasto duchów.

– Daleko jeszcze? – spytał Caleb. Zasapał się trochę, podczas kiedy Grace marsz nie sprawiał żadnego wysiłku. Kondycję miał tego dnia nader nędzną. Nawet nie chciał wiedzieć, jak wysoki był poziom alkoholu w jego krwi.

– To tam, z przodu – odpowiedziała Grace. Uśmiechnęła się. – Tu! – Wskazała na porośniętą trawą budowlę, która stała tuż nad brzegiem rzeki i była otoczona kamiennym murem. Prowadzące na jej dziedziniec wejście prowizorycznie zabito deskami i belkami. Ale Calebowi natychmiast rzuciło się w oczy coś innego: zielony peugeot zaparkowany bezpośrednio przy zewnętrznej ścianie muru. A obok – samochód śledczej Scapin.

„Cholera” – pomyślał.

Czyli jednak była w to zamieszana. Nie wiedział jeszcze dokładnie na ile, ale wobec tego, czego dowiedział się dzisiejszego przedpołudnia, nie był w stanie wymyślić jakiegoś niewinnego wyjaśnienia.

Przez sekundę świadomość tego, że był oszukiwany przez Jane Scapin, sprawiła mu niemal fizyczny ból, tak gwałtowny, że musiał się zatrzymać i głęboko odetchnąć.

Ale czas naglił. Dalej. Później przyjdzie chwila, kiedy będzie mógł rozważać, jaki zawód sprawiła mu jego wspiana koleżanka.

Grace szła przed nim i zatrzymała się przed zamkniętym wejściem do dawnej stoczni.

– Tam, w środku – powiedziała. – Na dole.

Zajrzał za prowizoryczne zamknięcie. Zobaczył płaski budynek, rodzaj małej hali magazynowej, sprawiającej wrażenie zupełnie opuszczonej, obrośniętej z każdej strony ostami i pokrzywami. Drzwi prowadzące do jej wnętrza były otwarte.

– Oni są w tej szopie? – spytał.

– Na dole – odparła Grace, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. – Wielka piwnica. Tam są.

– Aha. Okay.

Najwyraźniej było to coś w rodzaju bunkra. Caleb wyciągnął telefon.

– Nie bój się – powiedział do Grace. – Przyjedzie policja. Ale nie z twojego powodu, słyszysz? Jesteś zupełnie bezpieczna i nie potrzebujesz się niczego obawiać.

Patrzyła na niego nieufnie, ale mimo wszystko nie uciekała.

Caleb tymczasem dodzwonił się do policji w Liverpoolu. Zażądał natychmiastowych posiłków i opisał dokładnie, gdzie się znajdował. Nie znał miejscowych nazw, ale zauważył po drodze tutaj nazwę jednej z ulic.

– To musi być mniej więcej w okolicy Kanadyjskiego Doku – odpowiedział policjant przyjmujący zgłoszenie.

– Całkiem możliwe. I proszę przekazać, że to bardzo pilne.

Zastanawiał się przez chwilę. Sądził, że będzie miał do czynienia z dwoma przeciwnikami, ale mogło być ich więcej. Nie wiedział, gdzie oni mogli być. Nie wiedział też, czy byli uzbrojeni. Nie wiedział, co dokładnie zamierzali. Ale na podstawie trzech ostatnio popełnionych morderstw wiedział jedno: byli całkowicie pozbawieni wszelkich skrupułów i niesłychanie brutalni.

Zgodnie z przepisami powinien był teraz wyprowadzić Grace z tak niebezpiecznego miejsca i czekać na przybycie posiłków. Nie wolno mu było przystąpić do akcji samemu i bez broni.

Tak mówiły przepisy. Jednak od dłuższego czasu słyszał wewnętrzny głos, który mówił mu, że nie ma czasu do stracenia. Nie potrafił tego logicznie

uzasadnić, ale miał poczucie jakiegoś bezpośredniego zagrożenia – niezależnie od okoliczności, że miał do czynienia z naprawdę agresywnymi i niebezpiecznymi sprawcami. Czuł, że czekanie na posiłki będzie trwało zbyt długo.

– Chodź – powiedziała Grace i zaczęła się wdrapywać na ogrodzenie.

Przytrzymał ją za ramię.

– Nie, Grace. Od tego miejsca pójde dalej sam. Nie możesz tam wejść. Idź do domu.

Przy słowach „do domu” jej wzrok zamigotał.

Dostrzegł to.

– Albo idź do mieszkania Kadira. Tam będziesz bezpieczna – zaproponował.

– Nie znajdziesz ich – powiedziała Grace. – Oni są całkiem z tyłu.

– Znajdę, uwierz mi. Proszę. Bardzo nam pomogłaś. Ale teraz idź stąd.

Grace zeskoczyła z ogrodzenia i cofnęła się o krok. Caleb miał nadzieję, że go posłucha. Musiała zniknąć. Jak najszybciej.

Wspiął się na prowizoryczny płot i zeskoczył na drugą stronę. Wylądował w miękkiej trawie.

Panowała cisza, zakłócana jedynie od czasu do czasu krzykiem mew i uderzeniami fal rzeki o kamienny brzeg. Można by sądzić, że nigdzie tu nie ma ani jednej ludzkiej duszy.

Ale samochody przed murem świadczyły o czymś innym.

Pochylił się i przemknął pod budynek. Właściwie mógł iść wyprostowany – i tak był doskonale widoczny i jeśli był tam ktoś, kto chciał go zastrzelić, to mógł to zrobić bez przeszkód. Ale nic się nie stało. Caleb dotarł do drzwi i otworzył je. Zobaczył przed sobą schody – bardzo strome, prowadzące w głąb, w całkowitą ciemność. Na dole panował gęsty, nieprzenikniony mrok.

„Labirynt – pomyślał Caleb – i to pod rzeką”.

Zawahał się przez chwilę. Jego wyposażenie było wręcz żałosne. Nawet nie miał przy sobie latarki. Jak miał się tam zorientować?

Może jednak lepiej będzie poczekać tutaj, na górze?

W tym momencie usłyszał okropny dźwięk.

Głośny, trzeszczący zgrzyt, przenikliwy i metaliczny, tak nieprzyjemny jak hałas dentystycznej wiertarki, tylko o wiele głośniejszy.

Stal trąca o stal. Ten dźwięk był tak straszny, że wręcz sprawiał ból.

Caleb nie wiedział, co to było. Ale z pewnością nie było to nic dobrego. Czas naglił.

Zaczął schodzić po stopniach w dół.

Kiedy zorientowała się, że nagle ktoś zaczął próbować otworzyć zasuwę, niemal wybuchnęła płaczem – nadzieja, że jednak będą uratowani, była wręcz obezwładniająca. A kiedy jeszcze usłyszała głos Jane, z trudem udało jej się zachować spokój, do którego z takim trudem zmuszała się od wielu godzin ze

względu na Kadira.

– Jesteście tam w środku? – spytała Jane i Kate natychmiast przycisnęła twarz do drzwi.

– Tak, Jane, jesteśmy. Na miłość boską, ten typ próbuje zalać piwnicę! Wypuść nas! Szybko!

Słyszeli, jak Jane raz po raz szarpała zasuwę.

– Do cholery, to nie chce puścić! – Zaraz po tych słowach zabrzmiał cichy okrzyk bólu.

– Co się stało? – spytała Kate.

– Zdaje się, że prawie wyrwałam sobie paznokiec. Nieważne. To się wcale nie rusza!

– Musi się ruszyć! Było poruszane zaledwie przed kilkanaście godzinami!

– Ale człowiek, który to zrobił, jest o dwie głowy wyższy ode mnie i spędza całe dni na podnoszeniu ciężarów! – stęknęła Jane. – Cholera, ani drgnie!

Znów rozległo się upiorne zgrzytanie. Ich przeciwnik próbował poruszyć żelazną płytę w suficie. On i Jane mieli ten sam problem: próbowali się uporać z całkowicie zardzewiałymi mechanizmami. Pytanie tylko, komu pierwszemu uda się wprowadzić w ruch cały system. Kate czuła, że opuszcza ją odwaga. Jane najwyraźniej widziała sprawcę i zgodnie z jej opisem chodziło o olbrzyma napakowanego mięśniami. Mieli w ręku znacznie gorsze karty. Pytanie, jak długo można było prosić Jane, aby próbowała otworzyć drzwi. Kiedy należało w poczuciu przyzwoitości powiedzieć: *Uciekaj na górę, w bezpieczne miejsce!*

– Jane, możemy liczyć na wsparcie? – spytała Kate.

Jane jak szalona szarpała zasuwę.

– On mi zabrał komórkę. Pobił mnie. Nie mogłam do nikogo zadzwonić. A poza tym jest uzbrojony.

– Czy Caleb wie, że tu jesteś?

– Nie.

Teraz, kiedy ratunek był tak blisko i jednak wszystkie wysiłki pozostały bezskuteczne, Kate czuła, że ogarnia ją panika, nad którą tak dobrze panowała.

– Jane...

– Nie mogę tego otworzyć! – sapała Jane.

Znów zgrzytanie przejmujące aż do szpiku kości. Kadir skierował światło latarki na górę, w stronę płyty.

– Wydaje mi się, że się nieznacznie poruszyła.

– Nonsens. Poruszy się albo całkiem, albo wcale – stwierdziła Kate. – Jest zupełnie zardzewiała.

– On może zejść na dół i nas zastrzelić – powiedział Kadir.

„Wolałabym to, niż utopić się tutaj” – pomyślała Kate.

I dokładnie w tej chwili usłyszeli kolejny głos. Z zewnątrz. Kate nigdy nie

sądziła, że zareaguje na jego dźwięk z taką euforią.

Głos Caleba.

– Jesteście tam? O Boże, jak tu ciemno! Jane?

– Sir! Proszę mi pomóc. Kate jest w środku. Ta zasuwa...

We dwoje pokonali ją wreszcie, ale dopiero za czwartym podejściem. Zasuwa ustąpiła ze zgrzytem. Drzwi się otworzyły. W świetle latarki Kate zobaczyła Jane i Caleba. Prawa ręka Jane była zakrwawiona. Caleb wyglądał strasznie, jak gdyby postarzał się o wiele lat.

Płyta nad nimi zazgrzytała i zaczęła się wyraźnie poruszać.

Wzrok Caleba powędrował w górę. Momentalnie zrozumiał, co się dzieje.

– Uciekać! Szybko! Jak najszybciej na górę!

Kate biegła pierwsza i oświetlała ciemne schody. Pozostali biegli tuż za nią.

Klapy się otworzyły i wody River Mersey zaczęły wlewać się do wszystkich pomieszczeń i korytarzy podziemnego systemu.

Na górze panował dzień, było jasno. Dookoła roiło się od policji. Ktoś narzucił Kate na ramiona koc, ktoś inny wcisnął jej do ręki kubek z kawą. Widziała Kadira, który siedział w kucki na trawie. Widziała Grace, z którą rozmawiała policjantka, w miły sposób, starając się nie przestraszyć dziewczynki.

Widziała Jane.

– Jane! – Wyciągnęła rękę w jej stronę. – Jane, tak bardzo jestem ci wdzięczna. Tak bardzo ci dziękuję! Że wytrzymałaś tam, na dole, że ryzykowałaś własne życie...

– Nie powinnaś mi dziękować – odpowiedziała Jane. Była niemal jeszcze bardziej blada niż Caleb, a on sam sprawiał wrażenie wręcz martwego. – Zaraz wszystko zrozumiesz. Podziękowania są zupełnie nie na miejscu.

Kate spojrzała zdumiona na Caleba i miała osobliwe wrażenie, że Caleb już rozumiał.

Był tak smutny. Tak zraniony. Rozczarowany. I tak bardzo przybity.

– To była Melissa Cooper, prawda? – powiedział. – To ona była kierowcą samochodu. To ona ma na sumieniu Dylana. I to ona w panice zadzwoniła do swojego ówczesnego kochanka: do Richarda Linville'a. On i Norman Dowrick pomogli wszystko zatuszować. I dlatego musieli wszyscy troje umrzeć.

Jane skinęła głową.

W tym momencie Kate w ogóle jeszcze niczego nie rozumiała. Wszystko, co do niej docierało, to fakt, że im się udało. Że wyszli stamtąd w ostatniej sekundzie. Że przeżyli.

„I w tym momencie – pomyślała, czując ogarniające ją wyczerpanie i słabość – w tym momencie jedynie to się liczy”.

Wieczorem słońce wynurzyło się zza chmur. Przez cały dzień kryło się za ich gęstą zasłoną i mimo że pojedyncze promienie chwilami ją przebijały, to ono samo nie pokazało się ani na chwilę. Pod koniec dnia powiał lekki wiatr i rozgonił chmury. Niebo odsłaniało się stopniowo, aż wreszcie światło słońca zalało kraj.

Było tak jak na początku, pierwszego dnia po jej przybyciu do Scalby: Caleb siedział z Kate na tarasie, a przed nimi na stole leżała duża papierowa torba. Curry pachniało intensywnie. Kate przyniosła z kuchni dwa talerze i sztućce, ale żadne z nich nie było na tyle głodne, aby otworzyć torbę.

Jednak nie wszystko było takie samo jak owego pierwszego dnia: zamiast ostrego południowego słońca taras oświetlało łagodne pomarańczowe światło zachodu. Powietrze stało się chłodniejsze i bardziej suche, a ogród był bardzo zarośnięty.

Oni sami też byli innymi ludźmi. Nawet jeśli w tej chwili nie potrafili jeszcze powiedzieć, na czym ta zmiana polegała – jednak to czuli. Może tę zmianę spowodowało to, że stracili tak wiele ze swoich iluzji.

Caleb wyglądał tak, jakby ostatniej nocy nie zmrużył oka. Jak gdyby nagle przybyło mu wiele lat.

„Jak bardzo ona go zraniła – pomyślała Kate – i jak bardzo rozczarowała”.

Kate także była kompletnie wytrącona z równowagi, kiedy dowiedziała się całej prawdy. Przerazona, wstrząśnięta i pełna niedowierzania. Caleb przyszedł do niej późnym popołudniem z potrawą curry w ręku. Miał smutek w oczach. I od tej chwili siedzieli tu, na tarasie, a on opowiadał jej, co się stało.

Jane przyznała się do wszystkiego. Jej brat także.

– To Melissa Cooper spowodowała ciężki wypadek Dylana Holgate’a. Oczywiście nieумыślnie. Koszmarne nieszczęście. Jechała tą wiejską drogą w pobliżu Newcastle, prawdopodobnie w drodze do domu, do Whitby. Wiemy przecież, że wtedy pracowała w Newcastle. Może jechała zbyt szybko, może nieuważnie. W gruncie rzeczy miała za daleko do pracy, była stale zmęczona i zestresowana. Tak czy owak, przejechała pięcioletniego chłopca na rowerze. Dylana Holgate’a. I najwyraźniej straciła nerwy i uciekła. Zostawiła ciężko ranne dziecko na drodze i jeździła bez celu po okolicy. Dopiero po przeszło godzinie zdołała się opamiętać. Ale zamiast od razu zadzwonić na policję i po pogotowie, wybrała w budce telefonicznej numer komórki swojego przyjaciela: zadzwoniła do Richarda Linville’a. Przerazona opowiedziała mu, co się stało. Nie wiedziała zupełnie, co ma robić.

– Ale mój ojciec... zrobił natychmiast wszystko, co było konieczne, aby ratować dziecko, prawda?

– Tak, on kazał sobie dokładnie opisać miejsce wypadku i natychmiast wysłał tam pogotowie. Oczywiście bezpieczniej byłoby poinstruować Melissę, aby zrobiła to sama jako anonimowy rozmówca, dzięki czemu od razu byłaby wyłączona z tej sprawy. Mogę tylko przypuszczać, dlaczego Linville odważył się zaryzykować: prawdopodobnie Melissa była tak wytrącona z równowagi, że nie mógł mieć pewności, czy rzeczywiście wykona taki telefon, a przede wszystkim – czy zrobi to natychmiast. Linville wolał więc wziąć to na siebie, niż ryzykować rosnące zagrożenie dla życia dziecka. Nie wolno pani o tym zapominać, bez względu na to, jak oceni pani całość.

Kate domyślała się już, co będzie dalej.

– Ale on krył Melissę.

– On skonstruował pewną historię o nieznanym rozmówcy, mężczyźnie, który do niego zadzwonił. I twierdził, że mimo najlepszych chęci nie wie, kto to mógł być. Oczywiście dla każdego było jasne, że musiało chodzić o kogoś, kto znał numer komórki Linville'a. Ale pani ojciec, Kate, był poza wszelkimi podejrzeniami. Jeśli mówił, że nie zna dzwoniącego, to nikt się nie wahał, czy mu wierzyć.

– Ale Dylana można było uratować. A tymczasem w wyniku wypadku wymaga opieki do końca życia.

– Tak. I w tym nieszczęściu rodzina Holgate'ów została zupełnie sama. Nie było nikogo, kogo można by postawić przed sądem, aby przynajmniej mieć jakieś poczucie sprawiedliwości. Jane opisuje to jako coś, co było najtrudniej znieść: brak sprawiedliwości. A co za tym idzie, wobec braku sprawcy nie zadziałało też ubezpieczenie, nic. To, że nigdy nie odnaleziono kierowcy tego samochodu, stało się dla rodziny dodatkową klęską finansową.

– I do tego przyczynił się mój ojciec – wyszeptała Kate.

Caleb skinął głową. Wiedział, jak bardzo bolało ją odkrycie tej prawdy o ojcu, ale jak miałby przed nią ukrywać oczywiste fakty?

– Tak. Pani ojciec milczał. A drugim człowiekiem, który zachował się tak samo, był sierżant śledczy Norman Dowrick, jego najbliższy współpracownik. To on siedział z Linville'em w tym samym pokoju, kiedy zadzwonił telefon. Wiedział, kto dzwonił – przypuszczam, że Linville nawet odezwał się do Melissy po imieniu. Dowrick był przecież we wszystko wtajemniczony. A potem Linville poprosił go, aby zachował się jak przyjaciel: czyli aby milczał na temat prawdziwego stanu rzeczy i poparł jego wersję o nieznanym rozmówcy. I Dowrick to zrobił. Także dzięki temu historia, którą przedstawił Linville, stała się bardziej wiarygodna.

Nie mogła tego pojąć. Nie mogła po prostu pojąć, że jej ojciec zrobił coś takiego.

– Ale co stałoby się Melissie Cooper, gdyby powiedziała prawdę?

Caleb pokręcił głową.

– Trudno powiedzieć. Spowodowanie wypadku to jedno. Ale potem ucieczka z miejsca wypadku, zaniechanie wezwania pomocy do dziecka przez półtorej godziny – to już stanowiło poważne naruszenie prawa. W tym momencie nie można było przecież ustalić, czy Dylan przeżył. Gdyby się jednak okazało, że zmarł, a można go było uratować, o ile lekarz znalazłby się od razu na miejscu, byłoby to przynajmniej nieumyślne spowodowanie śmierci. Nawiasem mówiąc, była to jedna z przyczyn narastającej latami nienawiści jego brata Seana Holgate’a: on był przekonany, że Dylan wyszedłby z opresji cało albo z lekkimi obrażeniami, gdyby nie ta fatalna zwłoka. O ile zrozumiałem śledczą Scapin, nie dało się tego jednak z całą pewnością stwierdzić. Mimo to: dla pani ojca jasne było od razu, że Melissa będzie miała ogromne kłopoty. Ochronił ją więc przed odpowiedzialnością.

– Musiał ją bardzo kochać. Nigdy bym nie przypuszczała, że zdradzi prawo i przepisy. Nigdy bym też nie przypuszczała, że znajdzie się człowiek, który mógłby go do tego skłonić.

– Nie wiemy dokładnie, jakie były tego powody, Kate. Richard musiał działać bardzo szybko. I zrobił to, co pierwsze przyszło mu na myśl – i przez to znalazł się w punkcie, z którego nie było już odwrotu. Gdyby potem powiedział prawdę, musiałby sam stanąć przed sądem, zniszczyłby swą nieposzlakowaną opinię, zrujnowałby swoją karierę, prawdopodobnie zaryzykowałby także swoją przyszłą emeryturę. I możliwe, że doprowadziłby do zguby również Dowricka. Tego nie zdołał zrobić. Wszyscy troje, Melissa, Richard i Norman, nie mieli już odwrotu.

Poszczególne elementy sprawy tworzyły teraz całość. Wszystko było zrozumiałe. I jasne.

– A to, co się stało, za bardzo naruszyło ich więzi – powiedziała Kate. – Te uczucia nie mogły już trwać dalej.

– Nie mogły. To, co się stało, było zbyt ekstremalne. W swoim czasie zwróciła mi pani uwagę, jakie to było dziwne, że potajemny związek Richarda i Melissy się rozpadł, kiedy właściwie mogli przestać się z nim kryć i ogłosić go oficjalnie. Przypuszczam, że Richard jednak nie mógł wybaczyć Melissie, że wciągnęła go w tę historię i że on z jej powodu naruszył wszystkie swoje zasady. A Norman Dowrick czuł dokładnie to samo wobec Richarda. Tych troje łączyła mroczna tajemnica i prawdopodobnie wszyscy, niewiele mówiąc, jednak robili sobie nawzajem wyrzuty. I kiedyś każde z nich poszło swoją drogą. I jak wiemy, los i tak potem sprowadził Normana Dowricka na margines społeczeństwa.

Kate zauważyła, że łatwiej było jej to wszystko znieść, kiedy zadawała rzeczowe pytania. To pomagało uporać się z szokiem. Jej ojciec – ktoś obcy. Ktoś,

kto oszukiwał swoją żonę i córkę i prowadził podwójne życie. Ktoś, kto zatuszował wypadek i ucieczkę z jego miejsca, kto krył sprawcę. Ktoś, kto wobec sytuacji tak ciężko dotkniętej przez los rodziny myślał tylko o własnym interesie: o swojej karierze, o swojej dobrej opinii i niedalekiej emeryturze. Ktoś, kto ukrywał trwający całymi latami pozamałżeński związek. Bo to także mogłoby się wydać, gdyby przyznał się do tego, co zrobił.

Kim on wobec tego był? Kim był ten człowiek, którego jak jej się wydawało, znała na wylot?

Przeczuwała już, że na to pytanie nigdy nie uzyska odpowiedzi.

– Jak Jane i jej brat mogli to odkryć? – spytała. – Po tylu latach? Czy Jane właśnie dlatego poszła pracować w policji? Bo miała nadzieję, że w ten sposób będzie mogła się tego dowiedzieć?

– Zgodnie z tym, co powiedziała, było inaczej. Ale jej pragnienie, by zostać policjantką, miało ścisły związek z tymi wydarzeniami. To akurat nie był przypadek. W oczach rodziny Holgate'ów policja żałośnie zawiodła, bo nie udało jej się ustalić, kto był sprawcą. Jane jako nastolatka, którą wówczas była, wyciągnęła wnioski, które poprowadziły ją w bardzo prawidłowym kierunku: postanowiła sama pracować w policji. Chciała być naprawdę dobra. Chciała być fantastycznym śledczym. Kimś, kto odda się swojej pracy bez reszty. Kimś, kto będzie ścigać takich ludzi jak ci, którzy mieli na sumieniu jej małego brata. Kto już nie pozwoli im uciec. I kto przywróci wiarę w sprawiedliwość rodzinom takim jak jej własna. Była pełna idealizmu. Zemsta nie była jej w głowie. I te plany udało jej się zrealizować. Ukończyła szkołę policyjną ze znakomitym wynikiem. Także u nas... była świetna. Była najlepszą współpracowniczką, jaką kiedykolwiek miałem.

– Ale czy to był rzeczywiście przypadek? – spytała Kate. – To, że trafiła akurat do Scarborough? Tam, gdzie pracował mój ojciec?

Caleb skinął głową.

– To faktycznie był przypadek. Ale oczywiście nie do końca: Jane pochodziła z Newcastle. Chciała zostać w północno-wschodniej Anglii. Chciała pracować w wydziale kryminalnym. Nie było aż tak dużo możliwości.

– I nikt tutaj nie znał jej historii...?

– Skąd? Ten wypadek nie był wtedy zbyt głośny. A Jane była mężatką i przyjęła nazwisko męża. Nikt się niczego nie domyślał, nie wyciągał żadnych wniosków – bo z czego?

– Co pan wtedy o niej wiedział?

– Tylko tyle, ile sama o sobie mówiła. W przypadku Jane nigdy nie było to wiele. Z początku wiedzieliśmy wszyscy, że jest młoda i bardzo uzdolniona. Była mężatką, ale nikt z nas nie znał jej męża. A wkrótce potem zmarła jej matka. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że ma brata, że on jest głęboko upośledzony

psychicznie i fizycznie i że dotychczas opiekowała się nim matka. Jane poprosiła mnie któregoś dnia o rozmowę i oświadczyła mi, że weźmie tego brata do siebie. Za dnia miał przebywać w specjalistycznej placówce opiekuńczej dla niepełnosprawnych, ale może się zdarzyć, że z jego powodu będzie musiała wyjść wcześniej do domu albo też przyjść później do pracy. Chciała wiedzieć, czy to się da pogodzić z jej pracą i czy ja będę skłonny tolerować tak szczególne okoliczności. Oczywiście zgodziłem się i powiedziałem jej to. Była przecież fantastyczna. Byłem skłonny pójść na wiele ustępstw, żeby tylko u nas została.

Kate przetarła oczy. Wszystko zaczęło się tak niewinnie, tak niezauważalnie. Zgodnie z jej doświadczeniami było to typowe dla wielkich dramatów: z początku wszystko było niepozorne. I dopiero potem okazywało się, że jeśli przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej, to wskazówki zwiastujące coś poważnego tak naprawdę można było dostrzec znacznie wcześniej.

Caleb najwyraźniej wiedział, o czym myślała.

– Od wczoraj z każdą sekundą coraz wyraźniej zdaję sobie sprawę, jak niewiele się o nią troszczyłem. Byłem z Jane każdego dnia i teraz nie potrafię sobie wyobrazić, jak my wszyscy dalej będziemy tak dobrze funkcjonować bez niej. Ale jednocześnie prawie nie brałem udziału w jej życiu. Nie miałem o nim pojęcia. Wiedziałem – albo przynajmniej byłem w stanie sobie wyobrazić – że jej życie z bratem wymagającym ciągłej opieki nie było bajką. Już choćby ze względów czysto logistycznych. Ale skoro wykonywała swoją pracę perfekcyjnie, nie dopytywałem się o nic. Potem dopiero się dowiedziałem, że mąż się z nią rozwiódł. Dziś wiem, że stało się to z powodu tego brata. Wówczas pomyślałem tylko: szkoda. Znowu kolejne zniszczone małżeństwo. Ale to przecież zdarza się ciągle.

Kate myślała o Dylanie, który tłukł talerze i rozrzucał je po kuchni. Który siedział przy stole i ryczał głośno, dopominając się o jedzenie. Który tkwił przed telewizorem i na cały głos naśladował lokomotywę. Widocznie mąż Jane tego nie wytrzymał.

– Jane mówiła, że to była chwila, w której wszystko zaczęło się walić – podjął Caleb. – Miała nadzieję, że mąż będzie ją wspierał, a on zamiast tego po prostu uciekł. I została sama z bratem i z obietnicą, którą złożyła matce: że będzie się o niego troszczyć. I że nigdy nie odda go do zakładu.

– To rzeczywiście było szaleństwo – powiedziała Kate.

– Ona czuła się z tym związana. I była coraz bardziej przeciążona obowiązkami. My, jej koledzy, widzieliśmy tylko to, co ona nam pozwalała zobaczyć: silną, wprawdzie zestresowaną, ale znakomicie funkcjonującą kobietę. Nikt, także ja, nie poprosił jej na stronę i nie zapytał, jak ona właściwie ze wszystkim dawała sobie radę.

– Prawdopodobnie nie powiedziałyby prawdy. Caleb, proszę się tak nie zdręzczać! Bo jak pan sam mówił: widział pan tylko to, na co ona pozwalała. Jane

nie chciała, aby inni widzieli jej problemy. I pan to respektował. Pan przecież sam... – Zagryzła wargi i urwała.

Caleb wiedział, co chciała powiedzieć.

– Tak, ja przecież sam w tym czasie zadawałem sobie wiele trudu, aby nikt nie zauważył, że chlałem jak świnia. I skoczyłbym do oczu każdemu, kto spróbowałby ze mną na ten temat rozsądnie porozmawiać. Dziwne, prawda? Widocznie wszyscy jesteśmy tacy sami. Zawsze chcemy zachować pozory, pokazać się od najlepszej strony. Nawet jeśli za tą piękną fasadą jest już tylko ruina.

Nie odpowiedziała. Prawdopodobnie było tak, jak mówił.

– No tak – powiedział. – Żeby już to zakończyć: Jane była bardzo we wszystko zaangażowana. W to nieszczęście, w którym cała rodzina znalazła się w wyniku wypadku. Ojciec wtedy opuścił rodzinę. Matka troszczyła się tylko o Dylana. Problemy finansowe zaczęły narastać coraz bardziej. Pod względem społecznym i finansowym rodzina była zniszczona. I nie tylko Dylan był tego przyczyną. Przyczyną był brak zdolności jego rodziców do odnalezienia się w tej sytuacji. Do poradzenia sobie z nią. Ale tak czy owak: zwłaszcza Jane, wbrew temu, co się wydawało, nie potrafiła sobie z tym poradzić. Nagle wróciły wszystkie uczucia: wściekłość, żal, poczucie bezradności. Mimo że z tym właściwie Jane udało się uporać. Jednak po latach coraz trudniej było jej to kontrolować.

– I wtedy zaczęła sama prowadzić dochodzenie – domyśliła się Kate.

– Tak. Z początku nie wierzyła, że uda jej się dotrzeć do jakichś istotnych ustaleń, jeśli takie w ogóle były. Ale kiedyś po prostu zapytała o to jednego z ówczesnych śledczych w Newcastle. Jako koleżanka. Wspomniała, że zna tę rodzinę i chciałaby się dowiedzieć, jaki właściwie był stan tej sprawy, kiedy zamknięto dochodzenie. Kolega był w nastroju do plotkowania, no a poza tym nie było podstaw do nieufności. Nazwisko Scapin nie miało żadnego związku ze sprawą. Najpierw Jane dowiedziała się o dziwnym telefonie do Richarda Linville’a. I o jego twierdzeniu, jakoby nie znał dzwoniącego, a ten przecież miał numer jego komórki. Padło też nazwisko Normana Dowricka – najbliższego współpracownika Linville’a, który potwierdził jego zeznania. Jane w żadnym wypadku nie była od razu pewna, że tu chodziło o jakiś spisek. Ale od tego momentu stała się nieufna. I to właśnie nieufność kazała jej działać dalej.

– Ale te zbrodnie – upewniła się Kate – popełnił tylko jej brat?

– Tak. Oboje to potwierdzili. Jeśli chodzi o niego, to trzeba przyznać, że Jane przy tym nie było. Ale jeśli chodzi o nią, to trzeba podkreślić, że wiedziała o wszystkim. Sean Holgate dał jej możliwość, aby trzymała się od wszystkiego z daleka, ale z tego nie skorzystała.

– I była od początku wtajemniczona we wszystko?

– Bezpośrednio po zamordowaniu pani ojca jeszcze nie. Miała jakieś

niedobre przeczucia, które mniej lub bardziej usiłowała wyprzeć ze świadomości. Ale kiedy zgłosiła się ta kobieta świadek, która widziała zielonego peugeota, zaczęła podejrzewać coś bardzo złego. I po morderstwie Melissy Cooper nie miała już wątpliwości. Zapytała o to Seana, a on przyznał się do tego, co zrobił. Od tej chwili Jane wiedziała o wszystkim. Teraz, poniewczasie, zdają sobie sprawę, że to ona popychała mnie w kierunku Denisa Shove'a. Musiała zrobić wszystko, abym go nie skreślił z listy podejrzanych i nie zajął się innym tropem. Bo to mogło być niebezpieczne dla niej i dla Seana. Sierżant Stewart był jedyną osobą, która zgłaszała w tej kwestii wątpliwości, ale wobec nas dwojga był na straconej pozycji.

– Ona próbowała nas uratować. Kadira i mnie. Ryzykowała przy tym swoje życie. To też musi być uwzględnione.

– Oczywiście, będzie uwzględnione. Ale jeszcze poprzedniego wieczoru telefonicznie poinformowała swojego brata o tym, że Grace przypuszczalnie jest w pobliżu Kanadyjskiego Doku. Że Kadir Roshan i pani deprecie mu po piętach. Kiedy mówiła pani, że zadzwoniła na policję w Liverpoolu, kłamała. Ona zawiadomiła swojego brata. W ogóle od razu powiedziała mu o istnieniu świadka – dziewczynki Grace Henwood. Kate, bez względu na to, jak do tego podejździemy: współpracowała z mordercą.

– On jest jej bratem.

– Tak – odparł Caleb. – A związki rodzinne były dla niej zawsze święte.

Umilkli oboje. Kate po dłuższej chwili wstała, zdecydowanym ruchem wzięła torbę i otworzyła ją.

– Chodźmy. Zjemy coś teraz. To czasami pomaga.

– Na co?

– Na ból. I na rozczarowanie.

Nie protestował, kiedy nałożyła mu na talerz już prawie całkiem zimne curry z ryżem.

– Co zamierza pani teraz robić? – spytał. – Zostaje pani tutaj? Może się pani ubiegać o pracę w wydziale kryminalnym w Scarborough. U nas zrobiło się jedno wolne miejsce.

Zabrzmiało to jak niewczesny żart i Kate spojrzała na niego pytająco.

Przechylił się do przodu na krześle.

– Poważnie. Poparłbym panią. Wykonała pani kawał dobrej roboty. Była pani naprawdę dobra. Pani jest naprawdę dobra.

Pierwszy raz, od kiedy siedzieli razem, uśmiechnęła się.

– Dziękuję, Caleb. Ale nie zostanę tutaj. Sprzedam ten dom jak najszybciej. A potem wrócę do Londynu. Do mojego dawnego życia. Później zobaczą, co dalej.

– Jest pani tego pewna?

– Tak. Czas już, abym się uwolniła od mojego ojca. A to oznacza także, że nie będę tkwić w jego pokojach. Że nie będę mieszkać w jego mieście. I wreszcie –

choć bardzo cieszy mnie pańska oferta – że nie będę pracować w jego dawnym miejscu pracy i siedzieć przy jego biurku. Chcę zbudować coś własnego. Jestem na to dostatecznie dorosła.

– Przecież pani kariera w Scotland Yardzie to jest coś własnego.

– Karierą tego nie można nazwać. A poza tym... jakoś zawsze stałam tu jedną nogą. U mojego ojca. Nigdy nie przecięłam, mówiąc w przenośni, łączącej mnie z nim pępowiny. Nigdy nie udało mi się pójść własną drogą w życiu. Chcę teraz spróbować.

– Ma pani wszelkie predyspozycje, aby zrobić wielką karierę.

Skinęła głową, ale wiedziała, że to nie takie proste. Bez wątplenia była dobra – dysponowała dobrym wyczuciem i instynktem, była kreatywna i uparta. Zdecydowana i pewna siebie, choć w to akurat jeszcze niedawno absolutnie by nie uwierzyła. Była taka, jaki powinien być dobry śledczy. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że teraz działała w szczególnych okolicznościach i że coś takiego już się nie powtórzy. Była zdana na siebie, działała jako osoba prywatna i nie ponosiła odpowiedzialności wobec żadnych władz. Teraz jednak miało być inaczej. Miała się znaleźć wśród kolegów. I przełożonych. Miała brać udział w naradach. Będzie musiała uzasadniać swój sposób działania. Bronić swego zdania przed współpracownikami, którzy widzieli pewne rzeczy zupełnie inaczej niż ona. Obawiała się, że momentalnie zamieni się w wystraszone, niepewne siebie stworzenie, którym była kiedyś: onieśmielone, milczące i zawsze speszzone. Niezdolne do tego, aby zająć jasne stanowisko i przedstawić swoje zdanie. Taka kiedyś była. Nie była już osobą młodą i na tyle naiwną, aby uwierzyć, że wróci do Londynu jako zupełnie inny człowiek.

– Proszę zawsze pamiętać o tym, czego pani tutaj dokonała – powiedział Caleb. – Można z tego czerpać siły.

Chciała tego spróbować. Więcej w tym momencie nie była w stanie sobie obiecać.

– A pan? – spytała. – Co będzie dalej z panem?

Wzruszył ramionami.

– W najbliższym czasie będę prowadził rozmowy z policją w Liverpoolu. Muszą wziąć pod lupę ojca Grace Henwood, i to bardzo dokładnie. Tej dziewczynce trzeba pomóc. Tak, a potem... potem poszukam następcy funkcjonariuszki Scapin. I mam nadzieję, że mój zespół prędko upora się z szokiem. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Nikt, nikt nie uważał czegoś takiego za możliwe.

– Na pewno jeszcze się zobaczymy. Będę częściej przyjeżdżać na północ, także wtedy, kiedy ten dom będzie sprzedany. Chciałabym móc odwiedzać Jane.

– Na koniec traktowała ją pani prawie jak przyjaciółkę, prawda?

– Tak. I nigdy nie zapomnę, że to ona próbowała nas uwolnić z tych

strasznych katakumb. Caleb, ona chciała powstrzymać ten amok swojego brata. Nie była wtedy po jego stronie.

– Ale było już za późno.

Umilkli oboje i jedli. Pili wodę, a Caleb tęsknił za piwem. I za whisky. Pił znów poprzedniej nocy, aby wymazać z pamięci ostatni dzień w Liverpoolu i to, co dane mu było przeżyć, i wiedział, że gdyby wrócił teraz do domu, to natychmiast sięgnąłby po butelkę whisky. Woda na werandzie u Kate była czystą farsą. Ale nie chciał żadnych dyskusji ani wymówek. Było tak, jak było.

Może Kate awansuje i coś osiągnie, w każdym razie życzył jej tego i miał nadzieję, że tak będzie.

On wrócił do tego, co było przedtem.

Ale z tym będzie musiał żyć i się uporać.

Albo któregoś dnia zginąć.

Wtorek, 17 czerwca

– Jestem pańskim adwokatem, Sean. Mogę pana nazywać Sean, prawda? Może mi pan wszystko opowiedzieć. Będę mógł pana dobrze bronić i reprezentować, kiedy będę wiedział, co panem powodowało. Co pana skłoniło do tego, aby zrobił pan to, co pan zrobił.

– Nie mam nic do ukrycia.

– To dobrze. Zamordował pan troje ludzi. Przyznał się pan już do tego. Musimy teraz spróbować zrobić wszystko, aby sąd znalazł zrozumienie dla pana i dla pana sytuacji.

– Moja siostra nie powiedziała mi, że mam to zrobić. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale siostra powiedziała panu o telefonie, który otrzymał nadkomisarz Linville, prawda? O telefonie od rzekomo nieznanego mu osoby, która zawiadomiła go o ciężkim wypadku pańskiego wówczas małego brata?

– Tak. I powiedziała mi, że ktoś jeszcze przy tym wtedy był. Sierżant śledczy Norman Dowrick, który już zakończył służbę w policji. Pomyślałem, że go odwiedzę. Moja siostra powiedziała mi, że w wyniku strzelaniny Dowrick został sparaliżowany i porusza się na wózku inwalidzkim. Myślałem...

– Myślał pan, że on będzie przeciwnikiem mniejszego kalibru niż Linville, prawda? Sparaliżowany człowiek... I że może z niego uda się panu więcej wydobyć?

– Tak. Tak mniej więcej.

– Poszedł pan do niego do domu?

– Tak. Ale w domu zastałem tylko jego żonę. Powiedziałem, że jestem jego dawnym kolegą i że chcę go odwiedzić. Dowiedziałem się, że są już rozwiedzeni i że Norman mieszka w Liverpoolu.

– Pojechał pan do Liverpoolu?

– Tak. Jego żona dała mi adres. Myślała przecież...

– Że jest pan jego kolegą. Wiem. To było w styczniu tego roku?

– Tak.

– Czy miał pan zamiar go zaatakować?

– Zaatakować?

– Porządnie go przycisnąć? Aby dowiedzieć się więcej na temat tego telefonu i kto dzwonił?

– Nie wiem. Chciałem z nim po prostu pomówić. Myślałem tak: to jest przecież śmieszne. Ktoś dzwoni do tego komisarza na komórkę, on przez minutę rozmawia z tym kimś, a potem nie ma zielonego pojęcia, z kim rozmawiał? Wydawało mi się to co najmniej osobliwe.

– I spotkał pan Normana Dowricka na tym opuszczonym terenie przyfabrycznym?

– Tak. Nie było go w jego mieszkaniu. Obszukałem więc okolicę. To przypadek, że wałęsałem się właśnie między tymi wałącymi się halami. I on tam jeździł wózkami w tę i z powrotem. Boże, cóż to był za zmarnowany typ. Całkiem zgorzkniały. Skończony.

– Zapytał pan go o to wprost?

– Tak.

– I co?

– Od razu zauważyłem, że coś tu nie gra. To widać po tym, jak ludzie reagują. Ta historia... To go prześladowało. Wiedział natychmiast, o czym mówię. Wypadek. Dziecko. Telefon. Tam coś było nie w porządku, byłbym gotów od razu przysiąc.

– Opowiedział panu wszystko?

– Tak.

– Co dokładnie?

– No to, że to była ta ukochana komisarza. Melissa Cooper. To ona przejechała Dylana. I zostawiła go tam leżącego, a sama uciekła. A potem, becząc, zadzwoniła do swojego kochanka. Dla niego zaś oczywiście od razu było jasne, że będzie miała ogromne kłopoty. Uknuli więc spisek. Anonimowy telefon, Linville nie wie, kto to był. I dzięki temu ta Cooper od razu znalazła się poza sprawą. A Linville skłonił Dowricka, aby ten przysiągł, że będzie milczał.

– Czy Norman Dowrick opowiedział to panu dobrowolnie?

– Nie całkiem.

– Co znaczy: nie całkiem?

– Nie chciał mówić. Ale było już za późno. Bo ja już wiedziałem, że coś się nie zgadza.

– Jak pan go skłonił, aby to panu opowiedział?

– W każdym razie wszystko powiedział.

– Co pan z nim zrobił?

– Czy to ważne?

– Będzie o tym mowa przed sądem. Raport sądowy nie pozostawia żadnych wątpliwości. Przeprowadzono dokładną sekcję zwłok.

– Tam była taka beczka.

– Beczka? Pusta beczka?

– Nie. Pełna wody. Bo pokrywa leżała obok. Po prostu z upływem czasu napełniła się wodą. Chemikalia też tam pewnie były. Pachniało to w każdym razie dziwnie.

– Okay. Dalej.

– Wepchnąłem mu głowę do wody.

- Czy on się bronił?
- Hm. Tak.
- Ale pan był oczywiście silniejszy?
- Trenuję bardzo dużo.
- Tak, prawda. To widać. A Dowrick był w dodatku sparaliżowany.
- Tak.
- I zanurzył mu pan głowę w wodzie kilka razy?
- Tak.
- I za każdym razem tak długo, że on myślał, że się utopi?
- Tak.
- Ale wtedy wyciągał mu pan głowę z wody?
- Tak. I pytałem, czy teraz mi wszystko opowie.
- I za którymś razem...
- Za którymś razem był gotów wszystko powiedzieć. I tak zrobił. Powiedział wszystko. O Linville'u. O Cooper. Wszystko.
- Fakt, że poddał się pańskim naciskom, niewiele mu jednak pomógł?
- A jak? Miałem powiedzieć: *milo było, Mr Dowrick, pięknie dziękuję za informacje?* I po prostu sobie pójść? Nieźle mu dołożyłem. Przecież on natychmiast wydałby mnie glinom!
- I dokończył pan swojego dzieła.
- Tak.
- Utopił go pan. I wepchnął od razu do tej beczki. I zakręcił pokrywę.
- Tak.
- Dość dobry schowek. Przypuszczalnie nikt nigdy by go tam nie znalazł. Nie miał pan pojęcia, że ktoś pana obserwował.
- Nie. Byłem obserwowany przez tę wariatkę. Nie miałem o tym pojęcia.
- Czy opowiedział pan swojej siostrze o tym, co pan zrobił?
- Nie. Powiedziałem jej tylko, że rozmawiałem z Dowrickiem. I co on mi powiedział.
- Jak zareagowała pańska siostra?
- Była przerażona, zrozpaczona. Ten Linville uchodził w wydziale za supermana. Był już na emeryturze, kiedy Jane zaczęła tam pracować, ale wszyscy ciągle go wspominali. Najwspanialszy, najlepszy, jakiego w ogóle mieli. Jane była oburzona. To było takie niesprawiedliwe. Ten typ i jego narzeczona wtrącili całą naszą rodzinę w nieszczęście i myśleli potem tylko o tym, aby ratować własną skórę. A wszyscy sądzili, że on jest wręcz drugim Jezusem. Jak to może być, myślałem, jak to może być?! Jak on może tak oszukiwać swoje otoczenie?
- Pańska siostra z początku nie wiedziała więc o śmierci Dowricka?
- Nie.
- A potem?

– Wie pan przecież. Poszedłem tam i załatwiłem Linville’a. A potem Cooper.

– Pańska siostra...

– Po śmierci Linville’a nie kontaktowałem się z nią. Dopiero po śmierci tej Cooper. Zadzwoiła do mnie. Niemal odchodziła od zmysłów. Chciała wiedzieć, czy mam z tym coś wspólnego.

– I? Przyznał się pan?

– Na ten temat nic nie powiem.

– Funkcjonariuszka Scapin ostrzegła pana telefonicznie po znalezieniu zwłok Dowricka, kiedy wiadano już, że jest ta dziewczynka – świadek zbrodni. Poza tym w ubiegły czwartek zawiadomiła pana o przypuszczalnym miejscu pobytu dziewczynki, której pan intensywnie poszukiwał. Pańska siostra najpóźniej w tym momencie wiedziała już, że to pan był sprawcą wszystkich trzech zbrodni, Sean.

– Nie wiem.

– Ale zadzwoniła do pana?

– Nic nie powiem na ten temat.

– Ja jestem pańskim adwokatem, Sean. Nie oskarżycielem. Nie jestem też oskarżycielem pańskiej siostry.

– Mimo to nie powiem.

– Trzy morderstwa, Sean. I był pan gotów zamordować sierżant śledczą Kate Linville ze Scotland Yardu. I Mr Roshana, który właściwie nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Nie będzie łatwo przed sądem. Ciągnie pan za sobą straszny, krwawy ślad.

– Równie straszny i krwawy ślad ciągnęli za sobą Linville i Cooper. To była krew mojego małego brata, który leżał bezradny na pustej wiejskiej drodze i był tak ciężko ranny, że nikt z lekarzy nie sądził, że w ogóle przeżyje. To także krwawy ślad mojej rodziny, która w rezultacie potem się rozleciała. Mój ojciec zniknął. Moja matka zmarła o wiele za wcześnie. Rozpadło się małżeństwo mojej siostry. Ja też nie osiągnąłem niczego, co chciałem w życiu osiągnąć. Byliśmy kiedyś szczęśliwi. Wszystko było w porządku. A potem zjawia się ta idiotka, rozhisteryzowana kobieta, która przejeżdża dziecko i po prostu sobie zwiewa. Nawet nie ma na tyle przyzwoitości, aby zadzwonić po pogotowie. A jej kochanek, który przypadkowo jest grubą rybą w policji, wszystko tuszuje. Robi, co może, żeby broń Boże nie doznała żadnego uszczerbku. Ale jestem gotów się założyć, że sędzia nie zrozumie tej tragedii. Nikt z was jej nie rozumie.

– A na czym dokładnie polega pańska tragedia, Sean?

– Na niesprawiedliwości. Nikt nie wie, jak się odczuwa coś takiego. I jak to boli. Kiedy ciągle od nowa trzeba tę niesprawiedliwość przeżywać. Kiedy się wie, że jest sprawca, który po prostu sobie uciekł. I wszystko uchodzi mu na sucho. A my siedzimy po uszy w gównie. Na zawsze. Źle jest czuć coś takiego i mieć tego

świadomość. W którymś momencie człowiek zaczyna myśleć, że tego już po prostu nie można dłużej znieść. I dlatego dobrze, że stało się to, co się stało.

– Co jest dobrze? Że pan i pańska siostra pójdziecie na wiele lat do więzienia?

– Nie. Dobrze, że oni wreszcie za wszystko zapłacili. I to jest tego warte. Bez względu na to, co będzie teraz. To jest absolutnie tego warte.

Poniedziałek, 23 czerwca

– Pierwsze, co muszę zrobić – powiedział Jonas – to skosić trawnik. To wygląda naprawdę źle. Wkrótce cały dom będzie zarosnięty!

– Pierwsze, co musisz zrobić – odpowiedziała Stella – to położyć się na kanapie. Ja się zajmę trawnikiem. Ledwo uszedłeś śmierci, Jonas. Pamiętaj o tym, co mówili lekarze. Masz się oszczędzać.

Stali przed domem i patrzyli na ogród, który w czasie ich czterotygodniowej nieobecności rzeczywiście całkowicie zarósł i zdziczał.

„Jeden miesiąc – myślała Stella. – Nie było nas dokładnie miesiąc. I wszystko wygląda tu tak jak w puszczy. I my też sprawiamy wrażenie zmarnowanych. I wykończonych. A Jonas stracił przynajmniej dziesięć kilogramów”.

– Dobrze jest móc być tu znowu – powiedział Jonas. Już samo wysiadanie z samochodu ogromnie go wyczerpało. Dzisiejszego ranka został wypisany ze szpitala i chciał natychmiast jechać do domu. Wszyscy troje chcieli wracać do domu. Do normalności, do życia, które było im tak bliskie i znajome. Życia, które toczyło się gdzieś z dala od Denisa Shove’a i Therese Malyan. Stella najchętniej wymazałaby ich oboje ze swoich myśli, ale wiedziała, że to jest niemożliwe. Therese była matką Sammy’ego i tego nie dało się już zmienić. Mogło być tak, że kiedyś znów tu się zjawi. Mogło być też tak, że Sammy zechce dowiedzieć się o niej czegoś bliższego, że będzie chciał się z nią kontaktować. To, co się stało, nie ułatwi życia małemu, adoptowanemu chłopcu, który w tej chwili nic z tego nie pojmował.

„Ale – myślała Stella – znajdą się sposoby, aby to wszystko rozwiązać”.

Teraz musiała najpierw uporządkować swoje myśli. Było jej przykro, że w ogóle nie mogła porozmawiać z miłą policjantką, która ich uratowała, śledczą Jane Scapin. Stella była przekonana, że gdyby nie ona, to oni wszyscy byliby już martwi. Powiedziano jej jednak w Scarborough, że zaistniał jakiś nieszczęśliwy splot okoliczności. Chodziło o tego nieżyjącego policjanta, o którym mówił Denis. Denis był poszukiwany właśnie w związku z tą sprawą, upierał się jednak, że jest niewinny, i wszystko wskazywało na to, że miał rację. Stella w jakiś sposób cieszyła się z tego. Bo to oznaczało, że Therese Malyan nie zadawała się z mordercą. Nawet jeśli Denis prawie stał się mordercą, ale to jednak było co innego. To wiele zmieniało, przynajmniej w świecie uczuć Stelli. Nie chciała, aby towarzysz życia matki jej syna był mordercą. Może to była irracjonalna myśl. Ale tak było.

Ale za to Jane była w jakiś sposób we wszystko zamieszana. Stella jeszcze tego nie odgadła, dotychczas nie miała też wystarczającej ilości informacji. Ale

dotrze do tego. Chciała się wszystkiego dowiedzieć.

– Wejdźmy do środka – powiedziała. W każdej chwili mogła się zjawić sąsiadka, a ona z pewnością zasypałaby ich pytaniami, na które Stella w tej chwili nie miała ochoty odpowiadać. Może kiedyś, później.

Usłyszała za sobą nieśmiały głos.

– Mrs Crane! Mr Crane!

Odwróciła się i zobaczyła starszego mężczyznę, który właśnie przechodził przez ulicę, lekko kulejąc i ciągnąc za sobą nogę. Najwyraźniej czekał na nich po drugiej stronie ulicy, stojąc pod drzewem.

Jonas także się odwrócił.

– Och, Mr Chalid!

Hamzah Chalid podszedł bliżej. Jego ciemne oczy nieustannie taksowały okolice, każdy poszczególny zakątek, domy i ogrody.

– Jak dobrze, że pan wrócił, Mr Crane. Czekałem na pana! Wie pan, to jest...

– Wiem – powiedział Jonas. – Wiem już, co się stało, Mr Chalid.

Popatrzył bezradnie nad głową Mr Chalida na Stellę. *Co z nim teraz zrobimy?* – wydawał się pytać.

Stella wiedziała natychmiast, kto przed nimi stał. Irakijczyk, który ciągle musiał znosić swoją traumę. Którego historia miała być tematem filmu.

– Mr Chalid – powiedziała, podając mu rękę – miło mi pana poznać. Jestem Stella Crane.

Hamzah ujął jej rękę. Poczuła, że jego kościste palce są lodowato zimne.

– Mrs Crane – wyszeptał.

Stella wiedziała od sierżanta Stewarta, że Hamzah Chalid miał także niemały udział w ratowaniu rodziny Crane'ów. To on zadzwonił do Jane Scapin. On się dziwił, kiedy Crane'owie nie wracali z wakacji. On wszczął alarm.

Widocznie na razie nie było możliwe, aby podziękować za wszystko Jane. Ale mogła przynajmniej zatroszczyć się teraz o tego biedaka.

Ujęła go za ramię.

– Proszę wejść z nami do środka – powiedziała. – Wypijemy razem herbatę. A potem pomówimy o tym, co można zrobić w pańskiej sprawie.

Nie rób mi niepotrzebnych nadziei – sygnalizowały oczy Jonasa.

Odpowiedziała w taki sam sposób:

Ale przecież tylko nadzieja trzyma nas przy życiu.

Weszli do domu. W środku było chłodno – ale panował tam spokój.

Sammy wydał okrzyk radości na widok zabawek leżących w salonie, których tak bardzo mu brakowało.

„Wszystko wygląda całkiem normalnie – pomyślała ze zdziwieniem Stella. – Jak gdyby nic się nie wydarzyło”.

A potem jej wzrok padł na Hamzaha Chalida i uświadomiła sobie nagle, że

chyba się ludzi. Bo po tak krańcowych doświadczeniach nie można już wrócić do poprzedniego życia. Że oni wszyscy, nawet Sammy, będą już coś nieśli przez całe życie i nigdy nie uwolnią się od tego ciężaru.

Później. Będzie mogła zająć się tym później. Najpierw przygotowuje herbatę dla wszystkich i kakao dla Sammy'ego. Otworzy wszystkie drzwi i okna, aby do środka napłynęło świeże powietrze. I aby znikła niemiła woń dawno niewietrzonych pomieszczeń.

„Bo bez względu na to, jak będzie trudno – pomyślała – to ciągle jest nasze życie. I rzeczywiście do niego wróciliśmy”.

